



# **NAJDALSZE KRESY** **OSTATNIE POLSKIE LATA**

**SŁAWOMIR KOPER   TOMASZ STAŃCZYK**

**FRONDA**

## **Projekt okładki, stron tytułowych i układ graficzny książki**

Fahrenheit 451

## **Fotoedycja i obróbka zdjęć**

TEKST Projekt

## **Redakcja i opracowanie indeksu**

Katarzyna Litwinczuk

## **Korekta**

Agata Łojek (UKKLW)

## **Dyrektor wydawniczy**

Maciej Marchewicz

## **Zdjęcia w książce:**

Archiwa Autorów, Narodowe Archiwum Cyfrowe, Biblioteka Narodowa, Wikipedia, Wikimedia Commons, Wikiart, Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa, Biblioteka Kongresu, Centralne Archiwum Wojskowe

ISBN 9788380796225

Copyright © by Sławomir Koper

Copyright © by Tomasz Stańczyk

Copyright © for Fronda PL sp. z o.o., Warszawa 2021

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**FRONDA**

Wydawca

Wydawnictwo Fronda Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

tel. 22 836 54 44, 877 37 35

faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl

[www.wydawnictwofronda.pl](http://www.wydawnictwofronda.pl)

[www.facebook.com/FrondaWydawnictwo](https://www.facebook.com/FrondaWydawnictwo)

[www.twitter.com/Wyd\\_Fronda](https://www.twitter.com/Wyd_Fronda)

Konwersja

[Epubeum](#)

# SPIS TREŚCI

Od Autorów

Rozdział 1. Kijów po polsku (Sławomir Koper)

Kijowskie kontrakty

Polacy nad Dnieprem

Bułhakow w Kijowie mówił po polsku

Przygody młodego pianisty nad Dnieprem

Polski Gaudí

Franciszek Rychłowski, Antoni Fertner i Pola Negri

Prasa i polityka

Koniec pewnej epoki

Cmentarz Bajkowa

Rozdział 2. Mińsk i ziemia mińska (Tomasz Stańczyk)

Magnaci i zaścianki

Zabytki Mińska

Tajemnica rzekomej zakonnicy

Edward Woyniłłowicz

Prezydent Karol Hutten-Czapski

Ożywienie polskości

W latach I wojny światowej i rewolucji

Bolszewicy w mieście

Pierwsze wyzwolenie Mińska

Sowieci po raz drugi



Szeptycki i Piłsudski nad Świsłoczą  
Polsko-bolszewickie rozmowy pokojowe

Rozdział 3. Tymoszkówka i Karol Szymanowski (Sławomir Koper)

W rodzinie Szymanowskich  
Tymoszkówka  
Elizawetgrad  
Muzy w Tymoszówce  
Niedyskrekcje  
Borys Kochno i Efebos  
Odruchy kresowego szlachcica

Rozdział 4. Przypadek Mikołaja Čiurlionisa (Sławomir Koper)

Z Druskienik do Warszawy  
Eugeniusz i Maria Morawscy  
Samotność nad Elsterą  
Pożegnanie przyjaciół  
Zofia Kimontówna  
W poszukiwaniu samego siebie  
Przerwany lot

Rozdział 5. Młodość Tamary Łempickiej (Sławomir Koper)

Pastereczka z gęsiami  
Miasto nad Newą  
Tadeusz Łempicki  
Dżentelmen usidlony  
Rewolucja  
Namiętności i kariera

Rozdział 6. Artyści w trybach historii (Sławomir Koper)

Niezniszczalny Arnold  
Problemy Juliusza Osterwy

Kochanka, hazard i rodzina  
Przygody aktora wędrownego  
Antosza filmowiec  
Wszystkie drogi prowadzą do Kijowa  
Namiętności i kariera  
Figliki i Studya

## Rozdział 7. Pożoga na Ukrainie. Pogrom polskich dworów (Sławomir Koper)

Polacy na Ukrainie  
Zabójstwo księcia Romana Sanguszkii  
Zemli, zemli!  
Brali, co się komu podobało  
Rizaty Lachiw!  
Chwila względnej normalności  
Pogrom Żydów w Płoskirowie  
Koniec Antonin

## Rozdział 8. Kijowskie lata Jarosława Iwaszkiewicza (Tomasz Stańczyk)

W Kalniku  
Kijowskie przyjaźnie  
Odnaleźć samego siebie  
Na rozdrożu  
Narodziny pisarza  
Rimbaud i rewolucja  
Poeta w mundurze

## Rozdział 9. Epopeja I Korpusu Polskiego (Tomasz Stańczyk)

Kariera Józefa Dowbora-Muśnickiego  
Pułk biełgorodzki  
Oficerowie i żołnierze

Konflikty z chłopami i bolszewikami

„Bunt” Korniłowa

Gławkowierch Krylenko wzywa generała Dowbora

Rozmowy w siedzibie Lenina

Ultimatum Dowbora

Zajęcie Bobrujska i walki z bolszewikami

Układ z Niemcami

Polska Dowborowa

Spisek w I Korpusie

Dramatyczna noc w Bobrujsku

Sprawa pomnika Dowborczyków

Rozdział 10. Organizacja Wojskowa na Białorusi (Tomasz Stańczyk)

POW w Mińsku

Oddział kobiecy POW

Aresztowanie i próba uwolnienia „Żywego”

Dramat Jadwigi Tejszerskiej

Rozdział 11. Od Rarańczy do Kaniowa – epepeja II Brygady Legionów (Tomasz Stańczyk)

Traktat brzeski

Bój pod Rarańczą

Bolszewicy na horyzoncie

W Sorokach

Marsz na wschód

Bitwa pod Kaniowem

Rozdział 12. Polacy w Odessie (Sławomir Koper)

Miasto francuskiego księcia

Mickiewicz, Śniadecka i inni

Odeskie problemy przyszłego noblisty

Belle époque w Odessie  
Szymanowski i Iwaszkiewicz nad Morzem Czarnym  
Przez Odessę do Polski  
Koniec polskiej Odessy

### Rozdział 13. III Korpus Polski na Ukrainie (Sławomir Koper)

Polska samoobrona  
Antoniny, polska oaza  
Masakra w Niemirowie

### Rozdział 14. Sztuka, wojna, miłość i rewolucja – Władysław Strzemiński i Katarzyna Kobro (Sławomir Koper)

Rodzina Strzemińskich z Mińska  
Petersburg  
Zbiorowe samobójstwo Europy  
Twierdza Osowiec  
Wielki bluff Niki Strzemińskiej  
Tajemnic część dalsza  
Okaleczony oficer  
Katarzyna Kobro  
Mińsk i Smoleńsk  
Kierunek: Polska

### Rozdział 15. Feliks Jaworski, kresowy zagończyk (Tomasz Stańczyk)

Z armii rosyjskiej do polskiej  
W obronie pałacu Potockich  
Przeciw Ukraińcom i Armii Czerwonej  
Walki pod Czarnobyłem  
Dramat ostatnich lat

### Rozdział 16. POW w Kijowie (Tomasz Stańczyk)

Józef Bromirski („Jot”)

Komenda Naczelna 3  
Perypetie Wieniawy  
Przeciwko bolszewikom  
Kłopoty i sukcesy  
Oddział Żeński POW  
Nie tylko bohaterowie  
Dramat księdza Andrzeja Fedukowicza  
Dekonspiracje w Winnicy  
Kijowski epilog  
Nieślomna Maria Glinczanka

#### Rozdział 17. Kijów 1920 (Sławomir Koper)

Przed marszem nad Dniepr  
Przymierze z Petlurą  
Tramwajem do Kijowa  
Ostatnie dni w Kijowie  
Mistrzowski odwrót

#### Rozdział 18. Mińsk przegrany w Rydze (Tomasz Stańczyk)

Rokowania w Rydze  
Kwestia Mińska  
Pozbyć się białoruskiego wrzodu!  
Skutki traktatu w Rydze  
Protesty i ulotki  
Minął wiek...

#### Rozdział 19. Kijowska tajemnica Niny Andrycz (Sławomir Koper)

Tajemnicze daty  
Tajemnic część dalsza  
Sowiecka szkoła  
Opera, balet i film w sowieckim Kijowie

Powrót

## Rozdział 20. Marchlewszczyzna (Sławomir Koper)

Polski Rejon Narodowościowy

Szaleństwo i metoda

Kołchozy Marchlewszczyzny

Wielki głód

Czystki i terror

## Rozdział 21. Skomplikowane dzieje rodziny Bacewiczów (Sławomir Koper)

Litewski nacjonalista w Łodzi

Najważniejsza jest muzyka

Rodzina i polityka

Czas decyzji

Frustracje Vytautasa Bacevičiausa

## Rozdział 22. Operacja polska NKWD (Sławomir Koper)

Polacy za Zbruczem

Rzekomi członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej

Początki wielkiej czystki

Nie tylko Polacy

Rozkaz nr 00485

Krwawy bilans

## Rozdział 23. Femme fatale II Rzeczypospolitej (Sławomir Koper)

Dzieje pewnego mezaliansu

Nietypowy związek

Chiromanci, jasnowidze i znachorzy

Sprawa pewnego transportu

Luksusy Lazurów Wybrzeża

Tajemnicze zabójstwo

Zakończenie

Ilustracje

Bibliografia



## OD AUTORÓW

Gdy mowa o Kresach Wschodnich, najczęściej mamy na myśli obszary, które znalazły się w granicach II Rzeczypospolitej. Tymczasem skupiska ludności polskiej znajdowały się nie tylko znacznie dalej na wschód od granicy ustalonej traktatem w Rydze kończącym wojnę z bolszewikami, lecz także na terenie Republiki Litewskiej i Republiki Łotwy. Granice Rzeczypospolitej Obojga Narodów obejmowały bowiem o wiele większy obszar Kresów i także tam przez pokolenia osiedlali się Polacy.

Ze względu na objętość książki mogliśmy tu przedstawić tylko te wydarzenia, które miały miejsce na późniejszych terenach sowieckich Ukrainy i Białorusi. Natomiast Inflantom i Kowieńszczyźnie poświęcimy piątą część tego cyklu pod roboczym tytułem *Północne polskie Kresy. Inflanty i Żmudź*.

Zdecydowaliśmy się również na pewien zabieg, który dodatkowo urozmaicił tę książkę: skoro Polacy byli rozrzućeni po różnych obszarach imperium Romanowów, proponujemy Państwu także kilka rozdziałów dotyczących terenów, które nigdy nie znalazły się w granicach Korony czy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nasi rodacy odgrywali bowiem znaczącą rolę w życiu kulturalnym i gospodarczym wielu miast Rosji – choć stanowili tam stosunkowo nieliczną mniejszość, byli jednak bardzo widoczni.

Do tej grupy należeli głównie posiadacze ziemscy i przemysłowcy, a także tysiące przedstawicieli wolnych

zawodów. Byli to ludzie zamożni i wykształceni, dzięki czemu zaliczali się do lokalnej elity. Właśnie dlatego znajdą Państwo w tej książce rozdziały o polskiej diasporze w Petersburgu, Moskwie i Odessie.

Zabieg ten wydaje się tym bardziej uzasadniony, że wybuch I wojny światowej spowodował kolejne zmiany ludnościowe, gdyż wycofujący się Rosjanie ewakuowali Królestwo Polskie i zachodnie gubernie imperium – w efekcie, na wschód musiało się przenieść około miliona Polaków. Byli to nie tylko urzędnicy, kolejarze czy rodziny wojskowych, lecz także chłopci i wykwalifikowani robotnicy. Nie zabrakło również reprezentantów środowisk artystycznych – nie bez powodu najlepsze polskie sceny teatralne w latach wojny działały właśnie w Moskwie i Kijowie.

Podobnie jak w poprzednich częściach naszego kresowego cyklu rozdziały o bardzo poważnej czy wręcz tragicznej treści sąsiadują tu z opowieściami o znacznie lżejszym nastroju. To pokazuje zróżnicowanie tematyki dotyczącej najdalszych polskich Kresów i przedstawia ją w jak najszerszym aspekcie – wszak wielkiej polityce zawsze towarzyszą sprawy życia codziennego, często wręcz humorystyczne. Ułożyliśmy więc dla Państwa mozaikę miejsc, wydarzeń oraz nazwisk – mamy nadzieję, że dzięki temu lektura będzie atrakcyjna i w najbardziej przyjazny sposób przybliży poruszane zagadnienia.

Celowym zabiegiem było też przeplatanie wątków ważnych wydarzeń politycznych czy kulturalnych z fragmentami życiorysów osób, których losy ściśle wiązały się z najdalszymi Kresami Rzeczypospolitej. Choć większość naszych bohaterów zawsze przyznawała się do polskości, oczywiście nie zabrakło też wyjątków.

Malarz i kompozytor Mikołaj Čiurlionis wychował się w kręgu naszej kultury, a język polski był jego rodzimym – w

wyniku splotu różnych wypadków wybrał jednak narodowość litewską. Natomiast skrzypaczka Grażyna Bacewicz, pochodząca z mieszanego polsko-litewskiego małżeństwa, ostatecznie zdecydowała się na polski paszport, chociaż jej ojciec i brat byli litewskimi nacjonalistami. Z kolei urodzeni na dalekiej Ukrainie Karol Szymanowski i Jarosław Iwaszkiewicz nigdy nie mieli problemu z określeniem swojej narodowości. Ale notowano również sytuacje, że polski patriotyzm pojawiał się dopiero po upadku caratu – tak było choćby ze słynnym kresowym zagończykiem, legendarnym Feliksem Jaworskim.

Mamy nadzieję, że książka, którą właśnie trzymają Państwo w ręku, będzie ciekawym dopełnieniem naszego cyklu o Kresach. Nie można bowiem dzielić ziem na wschodnich i północnych krańcach Rzeczypospolitej na bardziej lub mniej polskie. Wszędzie tam nasza kultura rozwijała się przez wieki i na zawsze zostawiła swoje ślady, nawet jeśli po tragicznych wydarzeniach politycznych XX stulecia niewielu potomków polskich mieszkańców przetrwało do dziś w swoich małych ojczyznach. Obojętnie, czy były to Mińsk, Odessa, czy Kijów...

*Sławomir Koper, Tomasz Stańczyk*

# ROZDZIAŁ 1

## KIJÓW PO POLSKU

Nie sposób wyobrazić sobie dalekich Kresów Rzeczypospolitej bez Kijowa. Wprawdzie miasto to pozostawało w granicach Królestwa Polskiego krócej niż przez stulecie, ale nasi rodacy odcisnęli znaczące piętno na jego dziejach. Chociaż zawsze stanowili mniejszość etniczną i religijną, to przez stulecia odgrywali dużą rolę w życiu miasta. Tym bardziej że Kijów był lokalną metropolią dla polskiego ziemiaństwa z Ukrainy.

### Kijowskie kontrakty

Przyłączenie miasta do Rosji (1667) spowodowało jego katastrofę ekonomiczną. Granica przebiegała wzdłuż Dniepru i Kijów odcięto od jego naturalnego zaplecza. Sytuacja zmieniła się dopiero po II rozbiorze, gdy Rosja zagarnęła niemal całą Ukrainę. Miejscowi Polacy stali się poddanymi carów, a Kijów – najważniejszym miastem Ukrainy. To właśnie tutaj przyjeżdżano w interesach, budowano zimowe rezydencje i wysyłano dzieci do szkół.

Ciekawe informacje zawarte są we wspomnieniach Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa) z lat 40. XIX stulecia, w

których opisuje on interesy polskich ziemian i przemysłowców w mieście nad Dnieprem:

„Kijów podówczas słynął swoimi kontraktami, na które się zjeżdżało najprzedniejsze obywatelstwo z całej Ukrainy, Wołynia i Podola, a po części i z Litwy, nie tylko dla załatwienia interesów ziemiańskich, nabycia albo zbycia majątku, dla sprzedaży produktów, ulokowania kapitałów lub też zaciągnięcia pożyczki, nie tylko dla zaopatrzenia się na cały rok w wiktuwały i wszelką prowizję spiżarnianą, jako też w rozmaite przedmioty elegancji i zbytku, w pyszne futra, jedwabie i aksamity, w marmury, srebra i kryształy, co wszystko zwozili tu kupcy przedniejsi z Warszawy, z Wilna, z Petersburga, z Moskwy i z zagranicy”<sup>[1]</sup>.

Kontraktami nazywano cykliczne zjazdy ziemian i przemysłowców mające na celu zawarcie umów handlowych na kolejny rok. Odbываły się w styczniu, co w sposób naturalny zbiegało się z karnawałem. Nic zatem dziwnego, że wesoło spędzano czas, odbywały się „świetne uczyty i bale”, które często przekształcały się w „bachanalia”, a wówczas „wino lało się strumieniem”. Swoich wielbicieli miał także hazard i czasami „jedna karta zabijała całą fortunę, a czasami i dobrą sławę”.

Inna sprawa, że nie wszyscy przyjezdni preferowali wyłącznie interesy, bale i alkohol, gdyż w ziemiańskich dworach na Ukrainie nie brakowało wielbicieli sztuki czy literatury. W miejscowych antykwariatach i galeriach mogli zaspokoić swoje upodobania, dzięki czemu księgarnie Glücksberga i Zawadzkiego zwiększały obroty. Do miasta przybywali z koncertami także znani muzycy, wśród których nie brakowało prawdziwych gwiazd, takich jak: Karol Lipiński, Ferenc Liszt czy bracia Kątscy. Pojawiali się również uznani literaci.

Na kijowskich kontraktach bywał choćby Józef Ignacy Kraszewski. Zakochał się w mieście od pierwszego pobytu – inna sprawa, że mogło zafascynować niemal każdego:

„Kijów wydał mi się, mimo zimy, prześlicznym, a tak oryginalnym, tak dziwnym! Wystaw sobie trzy miasta oddzielne, z ogromnych gmachów złożone, najeżone złotymi kopułami cerkwi niezliczonych, rozrzucone wpośród drzew, po wysokich górach, u brzegu Dniepru. A co za widoki! Z galerii cerkwi św. Andrzeja odkrywa ci się Padół [zabytkowa dzielnica Kijowa – red.], u nóg twych Dniepr, za nim step siniejący w oddaleniu, góry Carskiego Sadu... nie do opisania. Z mieszkania znowu mojego na Starym Kijowie, przy kościele katolickim, widać całe Peczerskie [rejon w centrum Kijowa – red.] i część Kreszczatik [główna aleja miasta – red.]”<sup>[2]</sup>.

Szczególnie zachwycał się miejscowymi zabytkami, a w ich poznawaniu nie przeszkadzały mu tłumy ziemian przybyłych na kontrakty. Pilnie jednak obserwował przedstawicieli polskiej elity, a zwłaszcza innych literatów. Szczególną uwagę zwracał na Henryka Rzewuskiego cieszącego się już wówczas uznaniem za zbiór gawęd *Pamiętki Soplicy*. Pan hrabia publicznie czytał fragmenty swoich nowych utworów, podobnie zresztą postępowali Michał Grabowski, a także sam Kraszewski.

Spotkania z literatami cieszyły się dużym zainteresowaniem wśród czytelników, a pisarze traktowali je jako formę promocji swej twórczości. Była to również okazja do ożywionych kontaktów towarzyskich – cały Kijów funkcjonował w tych dniach na przyspieszonych obrotach, dzięki czemu „na lekturach, gawędkach, sprzeczkach, obiadach, śniadaniach przechodziły kontrakty jak z bicia trzaski”.

# Polacy nad Dnieprem

Na początku XIX wieku miasto liczyło niewiele ponad 20 tysięcy mieszkańców. Rozwijało się jednak w szybkim tempie i w chwili wybuchu I wojny światowej mieszkało tam już ponad 600 tysięcy osób. Odsetek Polaków był zmienny, ale na początku XX stulecia nasi rodacy stanowili około 10 proc. ogółu ludności.

Zwiększony napływ Polaków był spowodowany zmianami społecznymi zachodzącymi w imperium Romanowów w II połowie XIX stulecia. W mieście osiedlały się zdeklasowane rodziny szlacheckie, które ucierpiały na skutek represji po powstaniu styczniowym lub nie potrafiły się odnaleźć w nowej rzeczywistości po uwłaszczeniu chłopów. Jednocześnie w Kijowie powstawało wiele nowych firm i przedstawicielstw, w których polska szlachta i inteligencja znajdowały zatrudnienie.

Liczna była też emigracja zarobkowa z terenu Królestwa Kongresowego, Litwy i Galicji – polscy robotnicy stanowili 15 proc. ogółu zatrudnionych w przemyśle. Niektóre zawody zostały niemal całkowicie przez nich zdominowane – wśród odlewników i ślusarzy ponad połowa zatrudnionych była właśnie narodowości polskiej.

Inna sprawa, że akurat ta grupa społeczna dość szybko zapomniała ojczystego języka. Dobitnie przekonał się o tym Antoni Fertner, gdy z trupą aktorską z Łodzi dotarł do Kijowa na gościnne występy. Podczas odgrywania farsy w teatrzyku fabrycznym panowała kamienna cisza, co wzbudziło zaniepokojenie aktorów. Potem wyjaśniono im, że wprawdzie widzom „było bardzo przyjemnie”, ale jednak nic nie zrozumieli, gdyż zapomnieli już polskiego...



Do Kijowa przyciągały naszych rodaków nie tylko finanse. Ogromnym magnesem był również fakt, że miasto nad Dnieprem stało się poważnym centrum edukacyjnym. Młodzież, która nie mogła sobie pozwolić na studia za granicą, często wybierała Kijów jako miejsce kształcenia. Szczególnym zainteresowaniem cieszył się utworzony w 1933 roku Cesarski Uniwersytet św. Włodzimierza.

Uczelnia otrzymała majątek zlikwidowanego Liceum Krzemienieckiego, chociaż właściwsze wydaje się tu określenie „rabunek”. Kadre naukową skierowano bowiem nad Dniepr przymusowo, wywieziono tam także bogate zbiory. W Krzemieńcu nie uchował się nawet ogród botaniczny – bez skrupułów wrywano z ziemi drzewa, krzewy i mniejsze rośliny, które następnie zostały przetransportowane furmankami do Kijowa.

Inna sprawa, że przyniosło to efekt odwrotny do zamierzonego, gdyż działalność uniwersytetu wzmocniła polski żywioł w mieście. Profesorowie byli niemal wyłącznie Polakami, nasi rodacy dominowali także wśród studentów. Nie można było pohamować ich napływu, powstawały tajne organizacje, a ukoronowaniem patriotycznego procesu stał się udział słuchaczy uczelni w powstaniu styczniowym. Niestety, zorganizowany oddział szybko rozbito, a na uczestników insurekcji spadły represje. Jednym z uwięzionych był Bolesław Iwaszkiewicz – ojciec Jarosława. Mimo to niemal do końca istnienia państwa carów 1/5 studiującej młodzieży w Kijowie stanowili Polacy.

Część absolwentów osiedlała się w Kijowie, wiążąc z miastem swoje życie zawodowe i osobiste. Dzięki temu Polacy byli nad Dnieprem bardzo widoczni, gdyż większość polskiej kolonii stanowiła inteligencja, do której dochodzili jeszcze ziemianie i handlowcy. Wspólnie nadawali miastu specyficzny koloryt – wydawało się, że Polaków w Kijowie jest znacznie

więcej niż w rzeczywistości. Inna sprawa, że miejscowa Polonia traktowała miasto jak swoje miejsce na ziemi.

„Ukraina i Polska – wspominał syn kijowskiego kupca, Tadeusz Zabłocki – kojarzyły się w nienaruszalną jedność. Ukraina to była nazwa dzielnicy Polski (...) pod zaborem nienawistnej Rosji. Gdzie mieszkamy? Na Ukrainie. Tak jakby powiedzieć – my z Poznańskiego lub Krakowa. (...) Kijów był naszym miastem, Ukraina naszym krajem”<sup>[3]</sup>.

Kijowscy Polacy uważali, że są u siebie, a to, że „Kijów tak dawno odpadł od Korony, w niczym nie zmieniało tego przeczucia”<sup>[4]</sup>. Była to ich mała ojczyzna, podobnie jak dla innych Lwów, Grodno, Wilno czy dziesiątki pozostałych kresowych miast.

„Pamięć podrostka – kontynuował Zabłocki – zanotowała zarówno obraz miasta, jak i wiele jego cech. Jego charakter, atmosferę, ulice, domy i parki. Nazwiska wybitnych ludzi. W tym kościele służyłem do mszy świętej, a w tamtym parku grałem w piłkę. (...) Profil miasta zakodowany w pamięci z niezmierną ostrością przechował się nietknięty przez tyle lat”<sup>[5]</sup>.

## Bułhakow w Kijowie mówił po polsku

Jednym z najważniejszych miejsc dla kijowskich Polaków był Magazyn Księgarsko-Muzyczny Leona Idzikowskiego. Firma rozpoczęła działalność w pierwszych dniach stycznia 1859 roku i przetrwała aż do czasów bolszewików. Mimo polskiego charakteru nie dotknęły jej represje po powstaniu styczniowym i pozostała ważnym ośrodkiem kultury dla całej Ukrainy. Do 1865 roku wydano tam ponad sto polskich

tytułów, a gdy w latach 80. rodzinny interes przejął syn założyciela, Władysław, księgarnia stała się jednym z najważniejszych wydawnictw w całej Rosji.

Idzikowscy nie koncentrowali się wyłącznie na działalności edytorskiej. Założyli też prężnie działającą bibliotekę, której zasoby w przededniu wybuchu I wojny światowej liczyły ponad 170 tysięcy tomów (!). Literatura polska zajmowała około 30 proc. tego księgozbioru, natomiast resztę stanowiły publikacje w językach: rosyjskim, włoskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Powstała również czytelnia, z której mogło jednocześnie korzystać 500 osób, mając do dyspozycji około 140 tytułów prasowych. W praktyce oznaczało to najważniejsze gazety z całego kontynentu.

Trudno jednoznacznie określić zasięg działalności firmy Idzikowskich, gdyż niektóre informacje na ten temat wzajemnie sobie przeczą. Z jednej strony zachowały się przekazy, że w ciągu jednego dnia w bibliotece wymieniano do 3 tysięcy tomów, a z drugiej – liczbę stałych abonentów określa się na 5 tysięcy<sup>[6]</sup>. Wydaje się jednak, że faktyczna liczba osób korzystających ze zbiorów biblioteki mogła być znacznie wyższa, gdyż konta uprawnionych były użytkowane także przez członków ich rodziny i znajomych.

Warto też podkreślić, że wypożyczenia były płatne, poza tym czytelników obowiązywała kaucja. Opłata za użyczenie jednego tomu wynosiła od 25 kopiejek do pół rubla (3–6 euro), co nieco ograniczało zasięg odbiorców. Firma była jednak przedsięwzięciem komercyjnym i nie korzystała z żadnych dotacji, a zatrudniała około 200 osób.

„Księgarnia i drukarnia Idzikowskiego – wspominał Jarosław Iwaszkiewicz – dostarczała nowych wydawnictw w postaci książek i nut. Z poszczególnych pozycji zapamiętałem książkę dla młodzieży pod tytułem *Gwiazda wschodzi* z opowiastkami m.in. Kornela Makuszyńskiego, np. *O Wicku Warszawiaku*,

ilustrowaną pięknymi drzeworytami. Dalej były takie książki jak *Bajka o sierotce Marysi*, *Na jagody*, *Noc wigilijna* Dickensa, *Robinson Crusoe*, *Robinson szwajcarski*, *Zaginiona w Alpach*, *W pustyni i w puszczy*, *Trylogia* Sienkiewicza, *Na Srebrnym Globie* Żuławskiego, fantazja o tytule *W głębinach morza* (lub podobnym), *Dzieci kapitana Granta*, *Kapitan Nemo*, *Kapitan Fracasse*. Oczywiście także *Szopka* Rydla wystawiana w teatrzykach szkolnych i *Bardzo dziwne bajki*. Niezależnie od lektur polskich czytało się lektury rosyjskie i np. *Trylogię* czytałem również w przekładzie w języku rosyjskim<sup>[7]</sup>.

Lektura powieści Sienkiewicza w rosyjskiej wersji językowej nie stanowiła wyjątku. Polonia w Kijowie była dwujęzyczna – inna sprawa, że czasami przynosiło to zaskakujące rezultaty. Wprawdzie na przełomie stuleci Kijów był miastem rosyjsko-ukraińskim, ale nasi rodacy wnosili do życia kulturalnego miasta jednak tak wiele, że praktycznie każdy człowiek o ambicjach towarzyskich i kulturalnych musiał znać język polski. Dzięki temu pochodzący z Kijowa Michaił Bułhakow poznał i cenił naszą literaturę.

Największy rozwój firmy Idzikowskich nastąpił po 1905 roku. Oprócz zwiększonych nakładów literatury pięknej i beletrystyki w ofercie zaczęły się pojawiać pozycje naukowe i popularnonaukowe, ze szczególnym uwzględnieniem Kijowszczyzny. Były to prace z dziedziny historii, geografii i rolnictwa. Nie zabrakło również opracowań dotyczących zabytków Kijowa oraz szeroko pojętej Rusi<sup>[8]</sup>.

Ekspansja firmy nabrała rozpędu po wybuchu I wojny światowej. Do Kijowa i zachodnich guberni Rosji napłynęły setki tysięcy uchodźców z terenów zajętych przez Niemców, a Idzikowscy doskonale wyczuli koniunkturę. Dzięki temu potrafili zaspokoić potrzeby wygnańców. Uważano, że gdyby nie ich „działalność wydawnicza, to przez te trzy lata przebywania na obczyźnie emigracja polska nie miałaby

zupełnie książek polskich i zaledwie w słabym stopniu mogłaby uskutecznić przedruk potrzebnych jej do życia kulturalnego książek”<sup>[9]</sup>.

## Przygody młodego pianisty nad Dnieprem

Firma Idzikowskich sponsorowała dużą liczbę wydarzeń kulturalnych, a jednym z zaproszonych artystów był Artur Rubinstein. W 1911 roku pianista miał 24 lata i dopiero startował do wielkiej kariery; poza muzyką najbardziej interesowały go kobiety i suto zastawiony stół. Chociaż w późniejszych latach chętnie przyznawał się do polskości (był synem żydowskiego małżeństwa z Łodzi), to przed I wojną światową reprezentował typ artysty kosmopolity.

Wśród jego bliskich przyjaciół nie brakowało także Rosjan, z pomocy których chętnie korzystał. Jednym z nich był Fiodor Szalapin, chociaż podróże artystyczne ze słynnym basem obfitowały w wydarzenia o skandalicznym charakterze. Śpiewak był bowiem nie tylko gorącym wielbicielem kobiecych wdzięków, lecz także wielkim admiratorem rosyjskiej wódki. Czasami nawet na trzeźwo potrafił zachowywać się w sposób co najmniej mało dyplomatyczny.

Pewnego razu koncertował z Rubinsteinem na Ukrainie. Po przyjeździe do jednego z miast nie dostrzegł na dworcu plakatów informujących o występach. Od razu zwrócił się z pretensjami do dwóch promotorów żydowskiego pochodzenia i w odpowiedzi usłyszał, że nie udało im się kupić gwoździ, by przymocować plakaty. Rozzłoszczony śpiewak wykrzyknął:

jak „Chrystusa przybijaliście do krzyża, to wtedy gwoździe się znalazły!”...

Do Kijowa Rubinstein dotarł już samotnie, były to bowiem ostatnie recitale trasy.

„Koncert organizowała tu moskiewska agencja Kusewickiego – wspominał pianista – a przygotowaniami zaś kierował Polak, pan Idzikowski, właściciel wielkiego magazynu książek i nut. Do stolicy Ukrainy przybyłem rankiem w dniu koncertu; panował dojmujący mróz. Po gorącej kąpieli i śniadaniu udałem się na spotkanie z Idzikowskim, niskim, starszawym panem o inteligentnej twarzy, który przyjął mnie w swym gabinecie.

– Tak się cieszymy, że przyjechał pan grać u nas, w Kijowie – powiedział. – Szkoda tylko, że nie ma pan w programie nic Szymanowskiego. Żyje tu spora grupa Polaków przejawiających ogromne zainteresowanie naszym młodym kompozytorem”<sup>[10]</sup>.

Okazało się, że w Kijowie faktycznie lepiej znano twórczość Szymanowskiego niż w Warszawie. Nie zmienia to jednak faktu, że Idzikowski uprzedził pianistę, iż raczej nie może liczyć na dużą frekwencję, gdyż dla miejscowych melomanów jest artystą anonimowym.

„Zaprowadził mnie – wspominał Rubinstein – do sali koncertowej będącej własnością kijowskiej Resursy Kupieckiej. Położona w parku miejskim odznaczała się pięknymi proporcjami i idealną akustyką, wyglądała też nader sympatycznie. Fortepian, dobry bechstein, był nastrojony”<sup>[11]</sup>.

Pierwszy koncert Rubinsteina zakończył się niepowodzeniem, gdyż na widowni zasiadło zaledwie kilkadziesiąt osób. Do artysty uśmiechnęło się jednak szczęście: gdy na prośbę Idzikowskiego włączył do repertuaru utwór Szymanowskiego, po występie pojawiła się w jego

garderobie trójka gości – hrabia Pruszyński i państwo Dawydowowie. To właśnie w ich willi w Odessie mieli za kilka lat mieszkać Szymanowski z Iwaszkiewiczem, natomiast teraz zapewnili Rubinsteinowi powodzenie nad Dnieprem.

„Dymitr Dawydow – tłumaczył pianista – był siostrzeńcem kompozytora Czajkowskiego, [jego] żona Natalia okazała się jedną z owych tak rzadko spotykanych istot ludzkich, których zapomnieć nie sposób – emanowała z niej jakaś światłość, niezwykła szlachetność serca i inteligencja; oczarowała mnie z miejsca. (...) Wszyscy jednomyślnie nalegali, abym nie opuszczał jeszcze Kijowa. Tłumaczyli:

– Dymitr Dawydow jest marszałkiem szlachty ukraińskiej, a jego szwagier to zięć generała Trepowa, gubernatora Ukrainy. We dwójkę potrafią wypełnić w Kijowie dziesięć sal”<sup>[12]</sup>.

Tak też się stało – i Rubinstein zdobył ogromne powodzenie. Ubocznym skutkiem recitalu było życiowe postanowienie pewnego siedmioletniego chłopca: zachwycony koncertem sam zapragnął zostać pianistą. Mowa o Vladimirze Horowitzu – przyszłym gigancie światowej pianistyki.

Dawydowowie zaprosili Rubinsteina na lato do siebie, co przyjął z dużym zadowoleniem ze względu na bliskość Tymoszkówki Szymanowskich. Natomiast hrabia Pruszyński wcielił się w rolę przewodnika po mieście. Muzyk wprawdzie uznał Kijów za „niepiękny”, ale za to „bardzo zajmujący”. Szczególne wrażenie wywarły na pianiście Ławra Peczerska i monastyr św. Michała Archanioła.

„Pewnego ranka hrabia Pruszyński – relacjonował Rubinstein – wesoły i wypoczęty zaprosił mnie do rosyjskiej bani, łaźni parowej.

– Rosyjska bania to najlepsza instytucja w Kijowie – powiedział żartobliwie. – Istny cud!



Zaintrygowany przyjąłem zaproszenie, choć pocenia się nie znoszę.

Rosyjska łaźnia mieściła się w ładnym budynku przy głównej ulicy. Weszliśmy do rozległego hallu wyłożonego marmurem, skąd wysoki, atletycznej budowy mężczyzna w białym fartuchu zaprowadził nas do mniejszego pomieszczenia i spytał, czy pragniemy się wypocić, czy też wolimy inny rodzaj łaźni, prysznic lub masaż.

Hrabia Pruszyński łamaną ruszczyzną powiedział:

– Krasiwoju żeńszczynu dla niewo i malczyka dla mienia.

(...) Poproszono go do innego pomieszczenia, ja zaś zostałem i czekałem. Po chwili do przyciemnionego pokoju weszła wysoka, mocno zbudowana kobieta. Lecz po bliższym przyjrzeniu się jej stwierdziłem z przerażeniem, że była w ostatnich miesiącach ciąży! Ochłonąwszy nieco, oświadczyłem jej uprzejmie, że lepiej będzie dla mnie, jeśli oprę się pokusie, a dla niej, jeśli na razie wyrzeknie się gwałtowniejszych ruchów. By wynagrodzić stracony czas, dałem jej parę rubli; uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Pruszyński, kiedy mu opowiedziałem o tej przygodzie, aż poczerwieniał ze złości.

– Bandyci! Złodzieje! – przeklinał. – Nigdy więcej mnie już tu nie zobaczą. Chce pan spróbować inną banię?

– Nie, nie, dziękuję – odparłem<sup>[13]</sup>.

## Polski Gaudí

Chociaż burzliwe dzieje XX stulecia zatarły w Kijowie większość polskich śladów, to do dziś zachowały się tam jeszcze budowle zaprojektowane przez polskiego architekta,

Władysław Horodecki. Spędził nad Dnieprem 30 lat, a pamięć o nim wciąż pozostaje żywa. Jedna z ulic miasta została nawet nazwana jego imieniem, a na Chreszczatyku wystawiono mu niewielki, ale gustowny pomnik. Architekt przedstawiony został przy kawiarnianym stoliku z filiżanką w dłoni, a przed nim umieszczono jego książkę, *W dżungli Afryki*. Horodecki był bowiem nie tylko architektem, lecz także zapalonym podróżnikiem i myśliwym.

Urodził się w maju 1863 roku w okolicach Braclawia. Rodzinny majątek przepadł z powodu udziału stryjów w powstaniu styczniowym i przyszły architekt dorastał w Szoludkach nad Bohem, a następnie uczył się w gimnazjum w Odessie. Studiował w Cesarskiej Akademii Sztuk w Petersburgu, by po jej ukończeniu osiąść w Kijowie.

Trafił na dobry czas, był to bowiem okres gorączki budowlanej nad Dnieprem. W latach 1898–1901 powstało ponad tysiąc murowanych budynków i zdolny architekt nie mógł narzekać na brak zamówień. Początki nie były jednak najłatwiejsze, a Horodecki wiedział, że musi wypromować swoje nazwisko.

Karierę nad Dnieprem rozpoczął od projektowania nagrobków i podwórkowych toalet. Zwrócił na siebie powszechną uwagę, gdy nieodpłatnie opracował plany drewnianego pawilonu dla Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Polowania. Projekt wzbudził duże zainteresowanie, a Horodecki poznał wielu wpływowych i zamożnych kijowian, co niebawem miało przynieść wymierne efekty.

Jego pierwszym ważnym projektem były istniejące do dziś hale produkcyjne Południoworosyjskiego Zakładu Budowy Maszyn, później przyszedł czas na osiedle mieszkaniowe w pobliżu Chreszczatyka. Horodecki zadziwiał swoją wszechstronnością. Z podobnym zapałem projektował

zarówno kościoły czy kamienice, jak i rzeźnie, zakłady przemysłowe oraz łaźnie.

Natomiast prawdziwą sensacją okazał się pawilon powstały dla hrabiego Józefa Potockiego na Wystawę Rolniczą i Przemysłową w 1897 roku. Była to eklektyczna budowla z dwiema wieżyczkami, wzniesiona z nieokorowanych pni oraz ozdobiona „kolumnami, balustradami, schodami i rzeźbionymi drzwiami”, a także porożami zwierząt, co nadawało jej charakter pawilonu myśliwskiego <sup>[14]</sup>.

Horodecki był nie tylko zdolnym twórcą, lecz także nowatorem. Wznosząc zachowany do dzisiaj gmach Narodowego Muzeum Sztuki, po raz pierwszy użył na tak dużą skalę betonu, co zresztą przyniosło mu dodatkowe dochody. W 1898 roku powstał bowiem w Kijowie zakład produkcji cementu, a jego współwłaścicielem był sam architekt. Nie wzbudziło to jednak specjalnego oburzenia, gdyż podobne postępowanie uchodziło w Rosji za najzupełniej normalne. Pewne komentarze wzbudził natomiast fakt, że Horodecki nie był głównym twórcą budynku – dokończył projekt moskiewskiego architekta, Piotra Bojcowca. Niebawem zresztą miało się to stać przyczyną poważnych frustracji Polaka.

Do dziś stoi również zbudowana w tym samym czasie kenesa karaimska (obecnie Dom Aktora). Wprawdzie społeczność karaimska w Kijowie nie była zbyt liczna (około 200 osób), jednak w większości tworzyli ją ludzie zamożni i wpływowi. Horodecki znakomicie wywiązał się z zadania – świątynię wzniesiono w stylu mauretańskim z fantastycznymi zdobieniami oraz półokrągłymi drzwiami i oknami. Niestety, nie przetrwała charakterystyczna kopuła gmachu. Uroczystego otwarcia kenesy dokonał w 1902 roku specjalnie przybyły hachan Taurydy i Odessy, Samuel Pampułow.

Jednym z najważniejszych kijowskich dzieł Horodeckiego okazał się kościół katolicki pod wezwaniem św. Mikołaja. Pozwolenie na budowę świątyni administracja carska wydała z dużą niechęcią, ale wpływy miejscowych Polaków przeważały. Podobnie jak w wypadku budynku muzeum Horodecki przejął projekt innego twórcy i dokończył go według własnego uznania. Za wzór wziął neogotycki kościół Wotywny na wiedeńskim bulwarze Ring, chociaż pominął bliźniacze zegary na wieżach. Ponownie zastosował nowatorskie podejście do projektu – gdy bowiem okazało się, że grunt pod świątynią jest niestabilny, pod fundamentami wbito betonowe pale. Natomiast sklepienie nad główną nawą powstało z żelazobetonu sprężonego, co również było niespotykanym wcześniej rozwiązaniem. Budowa kościoła trwała 10 lat (1899–1909).

Był to kolejny sukces Horodeckiego, ale jednocześnie źródło problemów. Przyłgnęła bowiem do niego opinia twórcy, który najlepiej sprawdza się w kończeniu projektów innych architektów. W tej sytuacji Horodecki postanowił uciszyć malkontentów i kupił mało atrakcyjną pod względem budowlanym działkę na skarpie w centrum Kijowa. Posiłkując się kredytem, wznosił tam pięciokondygnacyjny budynek mieszkalny wkomponowany w stok wzniesienia. Budowa trwała rok, a prace wykończeniowe przeciągnęły się o dwa kolejne lata.

Inwestycja wzbudziła w Kijowie sensację, a jeden z miejscowych architektów, Aleksandr Kobielew, uznał Horodeckiego za „pomyłonego”, gdyż tylko szaleńcowi „mogła przyjść do głowy taka idea”. Gdy budynek został ukończony, Polak stwierdził z dumą, że być może jest to dziwny gmach, „ale nie będzie w Kijowie człowieka, który by przechodząc obok, nie zatrzymał się, aby obejrzeć ten dom”<sup>[15]</sup>.

Miał rację, gdyż Dom z Chimerami nadal uchodzi za jedną z najciekawszych budowli w mieście. Jak zwykle w podobnych sytuacjach, nie brakowało też legend związanych z jego powstaniem; opowiadano, że gmach wzniesiono na cześć zmarłej na suchoty żony czy też córki, która ponoć utopiła się w Dnieprze. Była to oczywista nieprawda, gdyż obie panie przeżyły swojego męża i ojca. Twierdzono także, że w zamian za projekt Horodecki zaprzedał duszę diabłu.

Było to rzeczywiście najwspanialsze dzieło architekta – fantastyczny przykład wyobraźni i talentu. Modernistyczny budynek pełen jest dziwacznych stworów na półkolumnach, dekoracji mitologicznych i myśliwskich. Wewnątrz kamienica posiadała wręcz nieprawdopodobne rozwiązanie: okna wszystkich salonów wychodziły na piękne schody oświetlone wielkim, witrażowym oknem. A sam Horodecki zamieszkał w osmiopokojowym apartamencie na pierwszym piętrze.

Inna sprawa, że architekt nie cieszył się specjalnie długo swoim nowym mieszkaniem. Jego pasją było myślistwo, a koszty afrykańskiego safari w latach 1911–1912 okazały się tak wysokie, że Horodecki musiał zastawić dom, a potem całkowicie go utracił. Budynek zmieniał właścicieli, a w czasach sowieckich mieściła się tam klinika dla członków KC KPZR. Obecnie nadal pełni funkcję szpitala, pozostając w gestii prezydenta Ukrainy.

Horodecki nie ograniczał się wyłącznie do Kijowa. Zaprojektował też cukrownię w Szpikowie, budował wiejskie szpitale, restauracje, a nawet stajnie na zamówienie bogatych ziemian. W 1903 roku opracował plany gmachu gimnazjum żeńskiego w Czerkasach, a w Symferopolu na Krymie powstały według jego projektu zakłady produkcji dwutlenku węgla i sztucznego lodu. Nie zapominał też o bardziej osobistych potrzebach – w Eupatorii wzniósł willę dla siebie i swojej rodziny.

Jednocześnie interesował się nowinkami technicznymi i posiadał jeden z pierwszych samochodów w Kijowie. Przyjaźnił się też z Igorem Sikorskim, pionierem awiacji i przyszłym konstruktorem śmigłowców. Osobiście pilotował samoloty, a do tego zdobył też uznanie jako projektant kostiumów teatralnych. Nic dziwnego, że uważano go za prawdziwego człowieka renesansu, bowiem sprawdzał się także jako malarz, rzeźbiarz, a nawet jubiler.

Największą pasją Horodeckiego pozostawało myślistwo. Polował na terenie całej Rosji – od Syberii do Kaukazu. Wyprawą życia okazało się jednak wspomniane kilkumiesięczne safari z przyjaciółmi, po którym wydał (oczywiście w wydawnictwie Idzikowskiego) książkę *W dżungli Afryki*. Sukcesy myśliwskie ułatwiał mu fakt, że był znakomitym strzelcem, podobno trafiał w szyjkę podrzuconej butelki. Przy okazji znakomicie znał się na rasach psów używanych do polowań.

Chcąc sobie ułatwić wyprawy myśliwskie w pobliżu Kijowa, zbudował specjalną daczę na barce. Była luksusowo wyposażona i zaopatrzona we wszystkie wygody, nie zapomniał nawet o bogato zaopatrzonej bibliotece. Barka nie miała własnego napędu, zatem do jej wyposażenia należała także motorówka, dzięki której domek myśliwski na wodzie przemieszczał się po Dnieprze.

Gdy w czerwcu 1920 roku wojska polskie wycofywały się z Kijowa, Horodecki opuścił miasto. Stracił cały majątek, ale z właściwym sobie optymizmem objął stanowisko naczelnika Biura ds. Budowli i Sieci Wodno-Kanalizacyjnych w odrodzonej Rzeczypospolitej. Projektował zadziwiające gmachy: rzeźnię w Lublinie i Radomiu, wieże ciśnień w Piotrkowie i Częstochowie, kasyno w Otwocku, elektrownię i łaźnię miejską w Zgierzu.

U schyłku życia wyjechał do Iranu, gdzie w ciągu dwóch lat zaprojektował w Teheranie dworzec kolejowy, teatr i hotel. Zdobył tak duże uznanie, że powierzono mu nawet budowę pałacu dla szacha. Opracował projekt, a po jego akceptacji wyruszył na polowanie w góry nad Morzem Kaspijskim. Po powrocie do Teheranu, w pierwszych dniach stycznia 1930 roku, Horodeckiego powalił atak serca. Spoczął w perskiej stolicy.

## Franciszek Rychłowski, Antoni Fertner i Pola Negri

W ramach represji po stłumieniu powstania styczniowego zamknięto polską scenę teatralną w Kijowie i na prawie pół wieku miejscowi wielbiciele Melpomeny zostali pozbawieni możliwości oglądania przedstawień odgrywanych w rodzimym języku. Dopiero liberalizacja życia publicznego po rewolucji 1905 roku umożliwiła utworzenie polskiego zespołu, chociaż warto wspomnieć, że już w poprzednich latach nad Dniepr trafiały objazdowe trupy z centralnej Polski. Ich program najczęściej nie był zbyt ambitny, przeważały farsy niezbyt wysokich lotów, chociaż pojawił się również teatr Tadeusza Pawlikowskiego ze Lwowa z dziełami Rydla, Fredry i Przybyszewskiego. Podobny charakter miała również wizyta zespołu warszawskich Rozmaitości.

Polska scena teatralna w Kijowie zadebiutowała w październiku 1908 roku. Początki nie były łatwe, gdyż po pierwszych sukcesach „słomiany zapał publiczności przeminął i teatr zaczął się chwiać”. Mimo że usiłowano się ratować wyjazdami gościnnymi i zapraszaniem gwiazd, teatr



splajtował po kilku miesiącach. Trudno się zresztą dziwić, skoro koszty prowadzenia sceny określano na 5–7 tysięcy rubli rocznie (64–90 tysięcy euro), a z biletów można było pokryć tylko niewielką część wydatków.

Przez kolejne lata działała wyłącznie scena amatorska przy Kijowskim Polskim Towarzystwie Miłośników Sztuki. Przedstawienia odbywały się raz, a później dwa razy w tygodniu, jednak zespołowi zarzucano nieuwzględnianie nowości w repertuarze i zbyt dużą liczbę „pikantnych fars”. A przecież był to czas, gdy na scenach w Krakowie i Warszawie królowały dramaty autorstwa najlepszych piór Młodej Polski.

Scena zakończyła działalność po sezonie 1911/1912, a jej upadkowi towarzyszył głośny skandal. Wywołał go początkujący aktor, Wojciech Rolicz, który pobił recenzenta Teodora Staniszewskiego. Miał bowiem do niego pretensje za złośliwe i krzywdzące (jak uważał) opinie na temat swojej gry.

Do zajścia doszło po jednym z przedstawień, gdy Staniszewski pojawił się za kulisami, by porozmawiać z aktorami. Właśnie wtedy Roliczowi puściły nerwy.

„W kilka chwil po wsunięciu się tam redaktora – wspominał aktor Stanisław Kwaskowski – usłyszałem jakiś dziwny szum, który przeprowadził się w podniesione głosy męskie, wykrzykujące jakieś obelżywe, a nawet nieparlamentarne słówka, z których najłagodniejszym było »Ty łajdaku«. Następnie usłyszałem wyraźny odgłos zadanego policzka. Nie zdążyłem już zajrzeć, gdy drzwi raptem się uchyliły i... pan redaktor, trzymając się jedną ręką w okolicach pośladka, a drugą rozpaczliwie odpychając wroga, (...) uniesiony za kołnierz marynarki przez dwóch wysokich, ucharakteryzowanych aktorów, jednocześnie wypchnięty kolanem, wyskoczył jak na sprężynach na salę widowni”<sup>[16]</sup> ...

Zachowanie Rolicza określono mianem napaści i odmówiono artystom dalszego wynajmu sali, z której korzystali.

Oznaczało to koniec działalności trupy, a obyczaj załatwiania problemów artystycznych za pomocą rękoczynów miał jeszcze znaleźć w Kijowie znakomitych naśladowców...

Jesienią 1912 roku nad Dnieprem pojawił się Franciszek Rychłowski, który podpisał z Kijowskim Polskim Towarzystwem Miłośników Sztuki kontrakt na prowadzenie w Kijowie zawodowej sceny teatralnej. Miał otrzymywać dotację w wysokości 3 tysięcy rubli przez dwa lata, co uznano za kwotę wystarczającą. Rychłowski uchodził zresztą za doświadczonego fachowca, poprzednio prowadził jedną z pierwszych prywatnych scen w Warszawie, Teatr Zjednoczony.

Nad Dniepr przywiózł ze sobą kilkunastu aktorów ze swojego zespołu, sam również regularnie pojawiał się w obsadzie przedstawień. Kijowianie szybko dostrzegli słabość pana dyrektora – lubił obsadzać samego siebie w najbardziej efektownych rolach, nawet gdy nie odpowiadały jego warunkom fizycznym. Dowcipkowano, że zagra nie tylko Hamleta czy Gustawa-Konrada, lecz także byka w *Quo vadis*...

Nie można jednak odmówić Rychłowskiemu fachowości, w pierwszym sezonie zaproponował bowiem ambitny repertuar z utworami Wyspiańskiego, Zapolskiej i Rydla na czele. Niebawem sięgnął także po klasykę romantyczną, przy czym nie odrzucał całkowicie lżejszego repertuaru. Dyrektorowi udało się wypracować rozsądny kompromis między sztukami typowo rozrywkowymi a utworami o ambitniejszym charakterze. Na efekty nie trzeba było długo czekać – niebawem trupa Rychłowskiego grała trzy razy w tygodniu i na frekwencję nie narzekano. Jednak pan dyrektor zraził się nieco do poważnego repertuaru, gdy podczas premiery *Irydiona* omal nie przygniótł go potężny krzyż stanowiący część scenografii do ostatniego aktu...

Na gościnne występy w Kijowie zapraszano także wielkie gwiazdy polskiej sceny, co jeszcze bardziej nakręcało obroty teatru. Inna sprawa, że dyrektor raczej nie uchodził za specjalnie szczodrego i chętnego, by wypłacać aktorom duże gáže.

„Jakkolwiek był człowiekiem sympatycznym – wspominał Antoni Fertner – i serdecznym w słowie i goście (scenicznym), to przecież niejedyn z jego bliskich znajomych twierdził, że jakoby przed każdym spotkaniem towarzyskim Rychłowski nie tylko pakował przysłowiowego »węża« do kieszeni, ale tak wyhodował owego gada, że – ku zgorszeniu bliźnich – kręte cielsko bezwstydnie wysuwało się na znacznej długości z kieszeni właściciela”<sup>[17]</sup>.

Niestety, w kolejnym sezonie coś się zacięło w dotychczas sprawnej machinie teatralnej. Dotacja okazała się zbyt skromna jak na potrzeby zespołu i odeszło kilkoro aktorów. Na ich miejsce zaangażowano nowych, jednak zmiany personalne negatywnie wpłynęły na jakość spektakli. Na domiar złego Rychłowski rozpoczął sezon zbyt wcześnie, gdy inscenizacje nie były jeszcze dopracowane. Chciał bowiem zdążyć na Wystawę Kijowską, która miała ściągnąć do miasta wielu gości. Dlatego też przygotowano repertuar oparty na najnowszych farsach i komediach napisanych przez zagranicznych autorów. Zdecydowano również, że przedstawienia będą odbywały się codziennie. Przyniosło to fatalne skutki.

Frekwencja była bowiem bardzo słaba, a sala klubu Ogniu, z której na ogół korzystano, rzadko wypełniała się nawet w połowie. W tej sytuacji dyrektor zrezygnował z codziennych występów, a gdy to nie pomogło, zaprosił Antoniego Fertnera. Aktor cieszył się w Kijowie wielką popularnością i Rychłowski wierzył, że ten mistrz humoru potrafi uratować sytuację. Było to także wygodne dla Fertnera, który lubił odwiedzać stolicę

Ukrainy, gdyż właśnie tam „zdobywał najczęściej fundusze na swoje wyjazdy urlopowe”.

„Przyzwyczałem się – potwierdzał Fertner – zarówno do tego miasta, jak i do bardzo wyrobionej, świetnie reagującej na grę aktorską publiczności. Zdaję sobie sprawę z tego, że repertuar, a więc rodzaj sceniczny, z jakim głównie występowałem tu gościnnie, o wiele łatwiej zjednywał widzów aniżeli samo nazwisko artystyczne. Wiadomo: komedie i farsy (...) cieszą się zwykle daleko szerszym zainteresowaniem i prędsiej przyciągają przeciętnego odbiorcę niż nawet znakomite pod względem artystycznym dramaty”<sup>[18]</sup>.

Fertner odniósł sukces i Rychłowski mimo wrodzonego skąpstwa „nie szczędził rubli na trunki”. W efekcie aktor niemal co wieczór był odnoszony po kolacji „w swoim własnym futrze jak w lektyce”. Ponieważ „nie można było przez dwa miesiące grać tych samych sztuk”, dyrektor postanowił wzbogacić repertuar o utwór Kazimierza Hulewicza *Przebudzenie Afry (Wcielenie Afry)*. Fertner zaakceptował projekt, tym bardziej że grał już w tym przedstawieniu w Warszawie. Widział jednak poważny problem: Hulewicz napisał ten utwór z myślą o jednej, konkretnej wykonawczyni. Była nią 17-letnia początkująca aktorka i tancerka, Apolonia Chałupiec.

Rychłowski ostro zaprotestował przeciwko sprowadzeniu dziewczyny, twierdząc, że w Kijowie „nikt nie wyczuje różnicy w sposobie gry”. Fertner jednak się uparł i nawet zaproponował, że jeżeli teatr poniesie z tego tytułu stratę, odda do dyspozycji własne honorarium. Dyrektor osłupiał, ale potrafił dobrze liczyć, więc zaprosił przyszlą Polę Negri nad Dniepr.

„Na jej widok – kontynuował Fertner – dyrektor cmoknął z podziwu, ale jeszcze nic nie powiedział. Dopiero po próbach i

owacyjnym przyjęciu sztuki na premierze dostrzegłem w jego oczach ów – charakterystyczny dla wszystkich dyrektorów scen – błysk, który jest bardziej wymowny od najbardziej wyszukanej laurki słownej”<sup>[19]</sup>.

Jednak nie wszystkie gościnne występy przynosiły sukces. Gdy zaproszono znaną i lubianą Marię Przybyłko-Potocką, jej występy zakończyły się totalną klapą, gdyż jednocześnie w Kijowie pojawiła się Lucyna Messal. Nie pomogła nawet plotka rozpuszczona przez prasę, że na występy Potockiej nie będą wynajmowane lornetki, gdyż aktorka nie życzyła sobie, by widzowie odkryli jej prawdziwy wiek...

## Prasa i polityka

Liberalizacja życia politycznego w początkach XX stulecia objęła również prasę. W połowie lutego 1906 roku ukazał się pierwszy numer „Dziennika Kijowskiego” – codziennej gazety w języku polskim. Jej założycielem i redaktorem naczelnym był hrabia Włodzimierz Grocholski, który kierował redakcją przez trzy lata. Inicjatywa Grocholskiego nie była jedyna – w kwietniu 1906 roku rozpoczęto wydawanie „Głosu Kijowskiego”, który w końcu roku zmienił nazwę na „Świt i Praca”. To był tylko początek, gdyż w latach 1906–1918 ukazywały się w Kijowie aż 32 polskie periodyki o bardzo zróżnicowanym charakterze. Do tego dochodziło jeszcze 10 cyklicznych dodatków do regularnych tytułów.

Polskie programy polityczne miały w Kijowie mniej lub bardziej trwałe reprezentacje prasowe. Profil „Dziennika Kijowskiego” odpowiadał zdecydowanej większości ziemian pragnących popierać i bronić polskich interesów narodowych,

ekonomicznych i wyznaniowych, co było zbieżne z poglądami narodowej demokracji. Dzięki temu spółka wydawnicza nie narzekała na braki finansowe, co zapewniło przetrwanie pisma aż do czasów bolszewików. Średnia sprzedaż gazety wynosiła około 5 tysięcy egzemplarzy, co można uznać za bardzo przyzwoity wynik.

Zaplecza finansowego nie posiadał „Głos Kijowski”, co ostatecznie stało się przyczyną upadku tytułu. Jego następca, „Świt i Praca” Artura Śliwińskiego, utrzymał niepodległościowy i lewicowy charakter poprzednika, jednak kara administracyjna w wysokości 500 rubli (około 6,4 tysięcy euro) nałożona na redakcję w 1908 roku również doprowadziła do plajty. Tylko kilka miesięcy przetrwał też „Goniec Kijowski” Wacława Lipińskiego reprezentujący niezależne i federacyjne poglądy.

Problemy dotyczyły głównie prasy codziennej, natomiast tygodniki i miesięczniki funkcjonowały bez większych przeszkód. Polscy wydawcy w Kijowie dbali o zróżnicowanie charakteru prasy odpowiednio do oczekiwań jej odbiorców. Ukazywały się więc pisma ilustrowane, społeczno-kulturalne, popularno-naukowe, satyryczne, a nawet branżowe. Dodatkowo wychodziło jeszcze dziewięć nielegalnych tytułów w języku polskim.

Wydawano również prasę kościelną, gazetki dla dzieci, młodzieży, kobiet, nauczycieli i wojskowych. Były też organy stowarzyszeń i organizacji, np. „Przewodnik Kółek Rolniczych” czy „Polski Miesięcznik Lekarski”. A na łamach literackiego „Pionu” debiutował Jarosław Iwaszkiewicz – student miejscowego uniwersytetu.

## Koniec pewnej epoki

W chwili wybuchu I wojny światowej znaczna część rolnictwa i przemysłu przetwórczego Ukrainy znajdowała się w rękach polskich. Nasi rodacy byli właścicielami 96 ze 180 cukrowni, 154 z 400 gorzelni, a zasoby polskich banków szacowano na ponad 430 mln rubli. Łącznie wartość całego polskiego kapitału wyceniano na prawie 10 mld rubli w złocie, a polscy przemysłowcy i ziemianie finansowali wiele inicjatyw społecznych – budowano kościoły, zakładano towarzystwa dobroczynne, wspierano rodzime szkolnictwo. Polskie firmy, banki i hotele miały siedziby przy głównych ulicach Kijowa i nie bez powodu nowo mianowany gubernator na początku urzędowania składał wizytę właśnie u przedstawicieli polskiej mniejszości. Wszystko zmienił jednak wybuch wielkiej wojny.

Pierwsi polscy uchodźcy pojawili się nad Dnieprem już jesienią 1914 roku. Ponieważ było ich stosunkowo niewiele, bez większych problemów otrzymali pomoc od polskich organizacji społecznych. Sytuacja pogorszyła się jednak wraz z postępowaniem wojsk państw centralnych, gdy Rosjanie ewakuowali Królestwo Kongresowe i część zachodnich guberni.

Jesienią 1915 roku Kijów stanął „wobec istnej lawiny uchodźców”, z których tylko nieliczni opuścili swoje domy z własnej woli. Przytłaczająca większość została wysiedlona na polecenie władz rosyjskich, które stosowały wobec przeciwnika taktykę spalonej ziemi. W Rosji znaleźli się nie tylko urzędnicy, kolejarze czy nauczyciele, lecz także dziesiątki tysięcy robotników, których zakłady przemysłowe ewakuowano na wschód. Do tego doszły jeszcze tysiące chłopów, których wsie wojska carskie niszczyły bez większego uzasadnienia strategicznego.

„Zobaczyłem z daleka – wspominał ziemianin i dyplomata, Mieczysław Jałowiecki – ciągnący się nieprzerwanym korytem potok ludzi, furmanek, wozów, bydła. Straszny był

widok tych tłumów pędzonych gdzieś w dal ku wschodowi, bez żadnej organizacji, zaplecza. (...) Sąsiadujące z gościńcem pola i łąki były zdeptane przez ludzi i zwierzęta, a na poboczach walały się zatruwające powietrze ścierva bydłce i końskie. (...)

Na łąkach nad rzeką pasły się dziesiątki zmarniałego bydła i koni. Rozmawiałem z niektórymi z uciekinierów. Byli to przeważnie chłopci z siedleckiego i z okolic Brześcia. Opowiadali, że Rosjanie przymusowo wypędzali ludność z wiosek, a opornym kozacy podpalali chaty”<sup>[20]</sup>.

Trudno określić dokładną liczbę Polaków przymusowo wysiedlonych w głąb Rosji, ale szacunki wahają się od 500 tysięcy aż do półtora miliona osób. Można przyjąć, że taki los spotkał milion Polaków. Do Kijowa napłynęło być może aż 100 tysięcy naszych rodaków, ale dokładnej liczby zapewne nigdy nie poznamy.

Oczywiście nad Dniepr przybywali nie tylko Polacy, lecz także Rosjanie, Ukraińcy i Żydzi, a gwałtowna emigracja spowodowała tam poważne trudności aprowizacyjne i lokalowe. Większość naszych rodaków osiedlała się jednak w mniejszych miastach Ukrainy, do stolicy napływali głównie ludzie zamożni i wykształceni.

„[Jako pierwsi] przybyli do Kijowa endecy z Galicji Wschodniej – wspominał adwokat Tadeusz Garczyński – po nich stopniowo, w miarę postępów wojsk niemieckich, zaczęli przybywać z Królestwa Kongresowego urzędnicy, pracownicy ewakuowanych urzędów oraz przedsiębiorstw, pisarze, dziennikarze, artyści, uczeni itd. Na zakończenie pokazali się ziemianie z polskich Kresów, którzy uważali, że przy tak szybkich zmianach losów wojny bezpieczniej będzie siedzieć w wielkim mieście”<sup>[21]</sup>.



Napływ inteligencji ogromnie ożywił polskie życie kulturalne w Kijowie. Nakłady książek wydawanych przez Idzikowskich były rekordy, powstawały nowe sceny teatralne, w mieście działali twórcy tej miary, co Arnold Szyfman, Juliusz Osterwa i Stefan Jaracz. Powszechnie mówiono, że ówczesny Kijów stał się „sercem i intelektualną stolicą polskości”. Nasz język „słyszał było wszędzie”, a miasto uważano „za małą Warszawę”<sup>[22]</sup>.

Większość emigrantów traktowała jednak swój pobyt nad Dnieprem jako przejściowy – spora ich grupa opuściła miasto po rewolucji lutowej i obaleniu caratu. Niebawem zresztą dla stolicy Ukrainy nadeszły straszne czasy, gdyż w ciągu niespełna trzech lat okupanci zmieniali się tam aż 19 razy! Nic dziwnego, że nastąpił wówczas masowy exodus Polaków. Duża ich część opuściła Kijów w tragicznych dniach rewolucji październikowej, natomiast inni (jak Iwaszkiewicz) wyjechali po zajęciu miasta przez wojska niemieckie. Reszta ewakuowała się wraz z oddziałami Śmigłego-Rydza, zaś ostatni wyjechali po traktacie ryskim. Często zresztą pod zmienionymi nazwiskami, by uniknąć komplikacji. W Kijowie pozostali tylko nieliczni, którzy nie chcieli porzucić rodzinnego miasta, albo zadeklarowani zwolennicy bolszewickich porządków. Z czasem w stolicy Ukrainy osiedliła się garstka Polaków z innych rejonów ZSRS, najczęściej zmuszonych do migracji przez władze sowieckie.

W połowie lat 20. liczbę miejscowej Polonii oceniano na niewiele ponad 10 tysięcy, jednak trudno dokładnie określić, jak wielu dawnych mieszkańców Kijowa pozostało nad Dnieprem. Większość miejscowych Polaków porzuciła bowiem dorobek pokoleń, ratując życie, a polski Kijów na zawsze przeszedł do historii...

# Cmentarz Bajkowa

Ślady po czasach, gdy nasi rodacy nadawali ton życiu stolicy Ukrainy, można odnaleźć na cmentarzu Bajkowa, zwanym też Bajkowym. Jego nazwa pochodzi od nazwiska carskiego generała – właściciela gruntów, na których powstała nekropolia. Wytyczono ją w 1833 roku, od samego początku miała mieć charakter wielowyznaniowy i z tego powodu powstały tam oddzielne sektory dla prawosławnych, protestantów i katolików.

Początkowo na teren cmentarza można było się dostać wyłącznie wąską ścieżką, z czasem powstała wygodna droga (obecna ulica Bajkowa). Przedzieliła ona teren nekropolii na dwie części, wzniesiono również oddzielne bramy stylizowane na cerkiew, kościół i zbór <sup>[23]</sup>.



**Witryna księgarni Leona Idzikowskiego w Kijowie, 1900 r. (na górze)**

(Wikipedia)



**Chreszczatyk – reprezentacyjna ulica Kijowa, ok. 1900 r.(na dole)**

(Wikipedia)



**Defilada polskiego wojska na Chreszczatyku w 1920 r. (na górze)**

(Wikipedia).

**Chreszczatyk w ruinie w 1942 r.(na dole)**

(Wikipedia)

Sektor katolicki znajduje się po lewej stronie drogi, a chociaż sowieckim obyczajem przez całe lata niszczone tam polskie mogiły, to relikty polskości przetrwały – na Bajkowym wciąż można odnaleźć nagrobki ze swojsko brzmiącymi napisami. Podobnie jak na całych Kresach dużo tam archaizmów – nawet na stosunkowo nowych grobach pojawiają się imiona zapisane w identyczny sposób jak przed dziesiątkami lat: Marija, Zofija, Aleksandr, Juzef. Czasami w obrębie jednego grobowca i jednej rodziny znajdują się też napisy po polsku, rosyjsku czy ukraińsku, a do tego alfabetem łacińskim lub cyrylicą.

Mogiły naszych rodaków przetrwały na przekór tragicznej historii XX stulecia. Ich nagrobki wykonywali wybitni artyści, a dzięki sekcji opieki nad mogiłami polskimi działającej przy

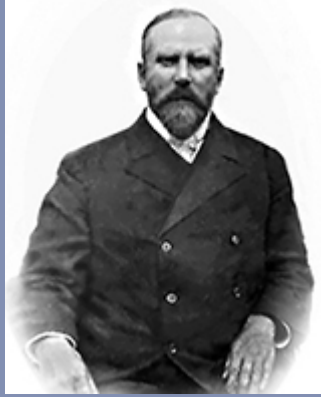
Kijowskim Narodowościowo-Kulturalnym Stowarzyszeniu Polaków „Zgoda” w ostatnich latach uporządkowano (a często na nowo odkryto) pochówki wielu zasłużonych Polaków, m.in. Leona Idzikowskiego, Ludwika Góreckiego, Józefa Zawadzkiego, Leonarda Jankowskiego, księdza Piotra Żmigrodzkiego i Wilhelma Kotarbińskiego.

Warto o nich pamiętać, gdyż odgrywali niegdyś ważną rolę w życiu kijowskiej Polonii. Ludwik Górecki pracował jako lekarz i przez wiele lat pełnił funkcję kierownika kliniki terapeutycznej. Józef Zawadzki był natomiast pierwszym prezydentem Kijowa i twórcą giełdy miejskiej, zaś pochodzący z Żytomierza absolwent prawa Leonard Jankowski objął stanowisko deputata szlachty w Kijowskiej Izbie Cywilnej, a później wiceprezesa Kijowskiego Towarzystwa Rolniczego. To właśnie on był przewodniczącym budowy polskiego kościoła pod wezwaniem św. Mikołaja autorstwa Horodeckiego. Z okolic Żytomierza pochodził również ksiądz Piotr Żmigrodzki, który przez 16 lat był proboszczem parafii polskiej przy kościele św. Aleksandra.



**Młody Artur Rubinstein, ok. 1906 r.**

(Biblioteka Kongresu)



**Władysław Horodecki.**  
(Wikipedia)

Wilhelm Kotarbiński ukończył Warszawską Szkołę Rysunku, a następnie Akademię św. Łukasza w Rzymie oraz Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu. W jego twórczości dominowała tematyka religijna – był jednym z artystów zatrudnionych przy ozdabianiu wnętrza soboru św. Włodzimierza w Kijowie.



**Pola Negri (Apolonia Chałupiec), 1921 r.**  
(Biblioteka Kongresu)



**Fronton gmachu głównego Carskiego Uniwersytetu św. Włodzimierza, 1915 r. (na górze), a także widok od strony ogrodu (na dole).**

(Wikipedia)

Na cmentarzu Bajkowa pochowano również 114 polskich żołnierzy poległych w walkach o Kijów w 1920 roku. Odnalezienie ich mogił było wyjątkowo trudnym zadaniem – fragment kwatery (placyk osiem na cztery metry) udało się zlokalizować dopiero po przewertowaniu dokumentacji cmentarza i dzięki pomocy naocznego świadka (nieżyjącej już dziś Marii Berezowskiej). Powojenne pochówki zniszczyły znaczną część żołnierskich mogił, ale udało się odnaleźć dawne elementy fasady granitowego postumentu – kamienną płytę z reliefem krzyża Virtuti Militari. Zamontowano ją na odbudowanym cokole, który zwieńczono dużym żelaznym krzyżem. Z przedwojennych krzyży z grobów legionistów odnaleziono tylko jeden – obecnie stoi na placyku.

Ostatnią znaną postacią z polskich dziejów pochowaną na cmentarzu Bajkowa jest Wanda Wasilewska. Spoczęła samotnie, bowiem zażądała w testamencie, by jej ostatni mąż,

Aleksandr Korniejczuk, nie towarzyszył jej po śmierci. Jednak odnoszę wrażenie, że postać tej wybitnej działaczki komunistycznej, która chciała, by Polska stała się kolejną republiką sowiecką, należy już do całkiem innej historii Kijowa i nie ma dla niej miejsca w tej książce...

## ROZDZIAŁ 2

# MIŃSK I ZIEMIA MIŃSKA

Miasto nad Świsłoczą nie zachwycało bogactwem zabytków ani pięknym położeniem. Dawna stolica województwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów była za czasów rosyjskich miastem gubernialnym, ze stosunkowo nieliczną ludnością polską. Ale to właśnie nasi rodacy od 1890 do 1917 roku pełnili tam funkcję prezydenta miasta, a pierwszy z nich, Karol Czapski, znacznie przyczynił się do rozwoju Mińska.

## Magnaci i zaścianki

Gubernia ze stolicą w Mińsku powstała z części ziem przyłączonych do Rosji w efekcie rozbiorów. Według spisu powszechnego z 1897 roku Polacy stanowili tam zaledwie 3 proc. ludności. Przed powstaniem styczniowym w rękach naszych rodaków znajdowało się aż 3/4 obszaru majątków ziemskich, lecz w wyniku popowstaniowych represji udział ten spadł do niespełna 50 proc.<sup>[1]</sup>

W powiecie mińskim najwięcej gruntów posiadali: Czapscy, Tyszkiewiczowie i Radziwiłłowie, natomiast do grona właścicieli największych gorzelni należeli: Horwattowie,



Woyniłowiczowie i Skirmunttowie. Polacy dominowali także wśród właścicieli fabryk krochmalu (Tyszkiewiczowie, Czapscy i Wańkowiczowie)<sup>[2]</sup>.

Oprócz ziemian Mińszczyznę zamieszkiwała też polska szlachta zaściankowa, która z reguły nie różniła się zamożnością od chłopów. Byli to jednak ludzie świadomi swoich korzeni i kultywujący własne tradycje. W jednym z zaścianków koło Bobrujska urodził się w 1900 roku Florian Czarnyszewicz, autor powieści *Nadberezyńcy*, którą z racji epickiego rozmachu porównywano do *Pana Tadeusza*.

Do chłopstwa zaliczano też wiele zdegradowanych rodzin szlacheckich, które nie potrafiły udowodnić dokumentami swojego herbowego pochodzenia. Ich przedstawiciele – chociaż pozbawieni własnych księży i kościołów, rusyfikowani przez władze carskie i często zmuszani do przejścia na prawosławie – zachowywali „zadziwiającą siłę świadomości narodowej”<sup>[3]</sup>.

Generał Stanisław Kopański, były żołnierz I Korpusu Polskiego, który zawitał do Dubrawki zamieszkałej przez Lipskich i Grochowskich, był wzruszony wiernością polskości, jaką demonstrowali mieszkańcy zaścianka. To właśnie oni „stanęli mu przed oczyma”, gdy po latach czytał *Nadberezyńców*<sup>[4]</sup>.

## Zabytki Mińska

Wprawdzie pierwsze wzmianki o Mińsku pochodzą z XI wieku, ale w ciągu swoich dziejów miasto było wielokrotnie niszczone przez wojny i pożary i niewiele zabytków zachowało się do czasów współczesnych. O tym, że za każdym razem Mińsk

odbudowywano i stał się nawet stolicą województwa, zdecydował właściwie tylko fakt, że miasto znajdowało się na skrzyżowaniu ważnych dróg handlowych. Popularny katalog zabytków Białorusi wymienia tylko pięć świątyń oraz cztery dwory i zespoły pałacowe <sup>[5]</sup>.

„Mury mińskie nie wołały wielkim głosem – zauważał mieszkaniec miasta, Michał K. Pawlikowski – ale działa się to z tej prostej przyczyny, że tych murów (starych) nie było prawie wcale” <sup>[6]</sup>.

Jedną z najważniejszych pozostałości dawnych epok są pochodzące z lat 1700–1710 kościół i kolegium jezuitów. Zakonnicy prowadzili nad Świsłoczą renomowaną szkołę, którą po kasacie zakonu przejęła Komisja Edukacji Narodowej. Od końca XVIII wieku kościół pojezuicki był katedrą diecezji mińskiej, a w świątyni odbywały się nabożeństwa patriotyczne poprzedzające wybuch powstania styczniowego. W 1869 roku kościół przestał pełnić funkcje katedralne, gdyż w ramach represji popowstaniowych władze rosyjskie zlikwidowały diecezję i usunęły biskupa.

W latach sowieckich fasadę kościoła, w którym mieściła się wówczas siedziba lokalnego klubu sportowego, przesłonięto socrealistycznym budynkiem mieszkalnym, by nie harmonizowała z obliczem komunistycznego miasta. Po zburzeniu tego specyficznego parawanu w latach 90. minionego wieku fasada ponownie jest widoczna. Świątynia – zwrócona wiernym w 1994 roku – jest obecnie katedrą diecezji mińsko-mohylewskiej.

Katolickie miejsca kultu nie odpowiadały także władzom carskim i chyba w żadnym innym mieście „Rosjanie nie przerobili tylu kościołów na cerkwie lub koszary żołdackie”. Podobny los spotkał kompleks zakonu bernardynów fundacji Aleksandra Słuszki, wojewody trockiego i starosty

homelskiego. Po kasacie zakonu gmach został zamknięty w 1852 roku, a podczas powstania styczniowego w klasztorze mieściło się więzienie śledcze. Następnie świątynię przekazano Cerkwi prawosławnej i w jej posiadaniu pozostaje do dziś.

## Tajemnica rzekomej zakonnicy

W 1845 roku pojawiła się w Paryżu Makryna Mieczysławska przedstawiająca się jako ksieni unickiego zakonu bazylianek w Mińsku. Opowiadała o straszliwych prześladowaniach, jakich doznawały siostry zakonne od biskupa Józefa Siemaszki, który wyrzekł się unii z Rzymem. Zakonnice nie chciały przejść na prawosławie i z tego powodu miały być torturowane, a kilka z nich straciło nawet życie. Polscy emigranci rozpropagowali opowieść matki Makryny w całej Europie, księża zmartwychwstańcy organizowali z nią spotkania, a Słowacki – pod wpływem rozmowy z zakonnica – poświęcił jej poemat.

Zmartwychwstańcy doprowadzili nawet do spotkania Makryny z papieżem Grzegorzem XVI, który wstrząśnięty relacją ksieni wykrzyknął, że zakonnice „tyle wycierpiały, a on nic o tym nie wiedział!”<sup>[7]</sup>.

Dopiero po wielu dziesięcioleciach okazało się, że rzekoma Makryna Mieczysławska (prawdziwe nazwisko kobiety jest nieznane) nie była nawet zakonnica, a siostr z Mińska nikt nie zabijał. Nie wiadomo, kto stał za tą niezwykłą mistyfikacją, ale jej celem było wytworzenie w Europie atmosfery niechęci do Rosji. Zmartwychwstańcy mieli nadzieję, że papież zmieni swoją politykę wobec imperium Romanowów i sprawy

polskiej, jednak Stolica Apostolska nie dokonała żadnego spektakularnego zwrotu w tej kwestii.

W opowieściach matki Makryny było jednak trochę prawdy. Mińskie bazylianki, których ksienią była Prakседа Lewszecka, w 1834 roku zostały wywiezione do Miadzioła. Tam głodzono je i bito, chcąc zmusić do porzucenia unii i przejścia na prawosławie... <sup>[8]</sup> .

## Edward Woyniłłowicz

Najmłodszym zabytkiem Mińska związanym z polską kulturą jest kościół pod wezwaniem Świętych Symeona (Szymona) i Heleny, zwany także Czerwonym Kościołem.

Po powstaniu styczniowym władze carskie ograniczyły w Mińsku liczbę świątyń katolickich wyłącznie do katedry. Ponieważ nie mogła ona pomieścić wszystkich wiernych, padł pomysł o wzniesieniu nowego kościoła. Jednak o pozwolenie na budowę nie było łatwo. Inicjatywę podjął ksiądz Adam Akko (d'Accault) i spotkała się ona z odzewem ze strony Edwarda Woyniłłowicza, który planował ufundowanie świątyni pod wezwaniem patronów swoich zmarłych dzieci.

Stanął na czele delegacji, która pojechała do Petersburga, i uzyskał zgodę na budowę. Nie bez znaczenia była też jego pozycja – Woyniłłowicz pełnił bowiem funkcję prezesa Mińskiego Towarzystwa Rolniczego i był powszechnie szanowany przez Rosjan. W pełni pokrył też koszt budowy świątyni i podjął decyzję co do jej stylu architektonicznego. Chociaż modny był wówczas neogotyck, fundator jednak uznał, że styl ten jest tak różny od architektury cerkiewnej, iż będzie „podkreślał rozbrat w wierzeniach klas społecznych,

albowiem przeważna część włościaństwa była prawosławna, a ziemiaństwo katolickie”<sup>[9]</sup>.



**Panorama Mińska, ok. 1918 r.**  
(NAC)



**Kolegium jezuitów ok. 1920 r.**  
(Wikimedia Commons)



## **Wysoki Rynek z kolegium jezuitów, połowa XIX w.**

(Wikimedia Commons)

W tej sytuacji Woyniłłowicz zdecydował się na styl romański, który rozkwitał, zanim nastąpił podział w chrześcijaństwie. Wybrał też architekta, Tomasza Pajzderskiego, gdyż zwrócił uwagę na zrealizowany przez niego neoromański kościół w wielkopolskim Jutrosinie wzorowany na XII-wiecznej katedrze w Spirze. Kamień węgielny poświęcono w 1906 roku, zaś świątynię konsekrowano cztery lata później. W 1932 roku została zamknięta przez władze sowieckie, a w przebudowanym wnętrzu mieściły się: studio filmowe, muzeum kinematografii i kawiarnia. Zwrócono ją wiernym w 1990 roku.

Choć w Mińsku mieszkał także malarz Walenty Wańkowicz, autor słynnego *Portretu Adama Mickiewicza na Judahu skale*, a młode lata spędził tu Stanisław Moniuszko, to polskie dzieje miasta u schyłku XIX stulecia związane są głównie właśnie z Woyniłłowiczem.



## **Kościół Świętych Szymona i Heleny, połowa XIX w.**

(Biblioteka Narodowa)



**Ulica Zacharzewska w Mińsku, połowa XIX w.**  
(Biblioteka Narodowa)



**Kościół Świętych Szymona i Heleny współcześnie.**  
(Wikipedia/Robanus Flavus)

Urodził się w 1847 roku w majątku Ślepianka pod Mińskiem, a przygotowując się do zarządzania włościami, ukończył Akademię Rolniczą w Prószkowie na Śląsku Opolskim.

Przypisywano mu założenie Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, jednak w rzeczywistości powstało ono z inicjatywy rosyjskiej w 1876 roku. Miało zresztą na celu integrację Rosjan – nowych właścicieli polskich majątków skonfiskowanych po powstaniu styczniowym. Towarzystwo działało jednak bardzo anemicznie, zatem po dwóch latach

dopuszczono do niego kilku polskich ziemian z Woyniłłowiczem na czele. Stał się tam najwybitniejszą postacią, a w 1888 roku został wiceprezesem. W 1907 roku, na fali liberalnych zmian w Rosji, objął prezesurę.

Z jego inicjatywy założono w Klecku Towarzystwo Oszczędnościowo-Pożyczkowe oraz zaczęto organizować zjazdy stowarzyszonych w nim ziemian. Miały one na celu „wejście w bezpośrednie stosunki producentów z konsumentami dla uniknięcia kosztownego, zazwyczaj starozakonnego pośrednictwa”. Przy okazji była to także jedyna forma działalności społecznej dostępna dla Polaków<sup>[10]</sup>.

Woyniłłowiczowi udało się też pokonać przeszkody prawne, na jakie trafiła Józefa Tuhanowska, która planowała przekazać Mińskiemu Towarzystwu Rolniczemu majątek Tuhanowicze. Pragnęła, by posiadłość związana z miłością Adama Mickiewicza i Maryli Wereszczakówny została po jej śmierci „muzeum pamiątek po wieszczu narodowym, tudzież przypomnieniem dla okolicznych zaścianków szlacheckich tradycji Dobrzyńskich”<sup>[11]</sup>.

Wprawdzie Tuhanowska poczyniła odpowiedni zapis w testamencie, ale ówczesne przepisy nie pozwalały Polakom nie tylko na zakup majątków, lecz także na przekazywanie ich w drodze spadku. Woyniłłowicz utrzymywał jednak dobre stosunki z miejscowym gubernatorem, księciem Trubeckim – przekonał go, że Mińskie Towarzystwo Rolnicze nie jest czysto polską instytucją, i gubernator wyraził zgodę na akt darowizny dla towarzystwa.

Niestety, los Tuhanowicz podczas I wojny światowej okazał się tragiczny. Leżące na linii frontu, „w strefie ognia działowego, zostały z ziemią zrównane, dziedziczka na bruk miński wyrzucona, ledwo z majątku z życiem ująć zdołała”<sup>[12]</sup>.



Ponury był także los pałacu Woyniłłowiczów w Sawiczach. W lutym 1918 roku został zniszczony podczas pogromu dokonanego przez białoruskich chłopów i bolszewików. Zagładzie uległy też archiwa z dokumentami sięgającymi XVI wieku oraz licząca 5 tysięcy tomów biblioteka.

Po traktacie ryskim Sawicze znalazły się w Związku Sowieckim, a Edward Woyniłłowicz zmarł w 1928 roku w Bydgoszczy. Na jego grobie umieszczono napis: „Traktatem ryskim z swej ziemi wygnany deptać musiałem obce sobie łąny”. W 2006 roku prochy ziemianina przeniesiono do ufundowanej przez niego świątyni w Mińsku, a 10 lat później ruszył jego proces beatyfikacyjny.

## Prezydent Karol Hutten-Czapski

Na przełomie XIX i XX wieku miasto – niespecjalnie urodziwe oraz uważane za „ruchliwe, ale dosyć bezbarwne” – liczyło już sto tysięcy mieszkańców, którzy jednak nie darzyli go sentymentem. W efekcie „odzywanie się o Mińsku z dobroduszną pogardą należało do dobrego tonu”.

Stolica guberni była miastem wielonarodowym, w którym dominowała ludność żydowska oraz Rosjanie. Na początku XX stulecia starozakonni stanowili nieco ponad połowę mieszkańców miasta, Rosjanie – jedną trzecią, a Polacy 15 proc. (tuż przed I wojną światową 20 proc.). Wielokulturowego obrazu miasta dopełniali Białorusini i półtoratysięczna społeczność tatarska.

„W zażydżonym i zmoskwiczonym śródmieściu rozbrzmiewała mowa rosyjska – wspominał Pawlikowski – lecz wystarczyło pospacerować po przedmieściach, Lachówce Dolnej i Górnej (zapewne od Lach, a więc nomen omen),

Uborkach, Komarówce lub Trojeckiej Górze, gdzie mieszkała ludność najuboższa i najliczniejsza, aby nasycić uszy mową polską – mową o brzmieniu regionalnym, lecz wcale nie gorszą na przykład od gwary wileńskiej”<sup>[13]</sup>.

Polacy posiadali domy także w centrum miasta, a wśród mińskiej elity było wielu naszych rodaków. Polscy lekarze, prawnicy, przedsiębiorcy i ziemianie chętnie nabywali tam nieruchomości i dominowali w radzie miasta. Wybitnie zasłużył się dla Mińska Karol Hutten-Czapski pełniący obowiązki prezydenta miasta w latach 1890–1901. Jego kuzynka, Maria Czapska, uważała, że na tym stanowisku „jego dynamizm, zmysł organizacyjny, bujna pomysłowość, nerwowa potrzeba ruchu znalazły ujście i cel godny jego ambicji”<sup>[14]</sup>.

Hutten-Czapscy byli największymi posiadaczami ziemskimi w powiecie mińskim. Jednak z powodu konfliktów z ojcem, Emerykiem Czapskim, znakomitym kolekcjonerem (zbierał m.in. monety, ordery, militaria, starodruki, tkaniny, obrazy), Karol nie zarządzał żadnym majątkiem, ale w zamian posiadał nieruchomości w Mińsku. Gdy został prezydentem miasta, miał 30 lat. Wybór ten wyrwał go z bezczynności i frustracji, a dla Mińska i jego mieszkańców stał się bardzo szczęśliwym wydarzeniem.

„Rządził miastem po wielkopańsku – komentował Pawlikowski – nieraz dokładając do gospodarki z własnej pięknej fortuny. Gospodarzył po europejsku. Przede wszystkim rozjaśnił mroki mińskie elektrycznością”<sup>[15]</sup>.

Lista dokonań Czapskiego jest imponująca. Mińsk zawdzięczał mu tramwaje konne, elektrownię, centralę telefoniczną, rozbudowę wodociągów, dokończenie budowy teatru miejskiego, rzeźnię, szpital położniczy, schronisko dla bezdomnych i kuchnie dla bezrobotnych. Założył

Towarzystwo Miłośników Sportu oraz Towarzystwo Ochrony Kobiet Miasta Mińska, a także Mińskie Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń Rolniczych.

W 1901 roku Czapski zrezygnował z urzędu ze względu na stan zdrowia. Zmarł kilka lat później. Józef Czapski, jego bratanek, oceniał, że stryj stał wówczas na granicy bankructwa, a przyczyną tego faktu było finansowanie wielu potrzeb miasta z własnych środków<sup>[16]</sup>.

## Ożywienie polskości

Dopiero w wyniku rosyjskiej rewolucji w 1905 roku Polacy na Ziemiach Zabrzanych (czyli wcielonych bezpośrednio do Rosji) przestali podlegać represyjnym przepisom narzuconym po powstaniu styczniowym. Na szyldach mogły się odtąd pojawiać – obok rosyjskich – także polskie napisy, a w szkołach zaprzestano zwalczania rozmów w naszym języku. Po polsku odbywały się lekcje religii. Nastąpiły też zmiany obyczajowe – w gimnazjach pojawiły się palarnie, a inspekcja szkolna nie zabraniała już młodzieży uczęszczania na spektakle teatralne.

Dla ożywienia polskości w Mińsku niezwykle ważne było utworzenie w 1907 roku Towarzystwa Sportowo-Gimnastycznego „Sokół” i Klubu Polskiego „Ognisko”. „Sokół” był zresztą czymś więcej niż tylko zrzeszeniem miłośników kultury fizycznej.

„Ściąga do siebie ziomków – wspominał jeden z mieszkańców Mińska – żeby się łączyli, zaznajamiali między sobą. Koncerty, zabawy, amatorskie przedstawienia były tą stroną duchową, którą »Sokół« podawał i umysłowi, i sercu, a biblioteka coraz bardziej rosnąca dopomogła w tej pracy”<sup>[17]</sup>.

Sokół integrował Polaków, a „gimnastyka” w nazwie stowarzyszenia stanowiła przykrywkę dla działalności kulturalnej i narodowej. Podobną rolę odgrywało Ognisko założone w 1906 roku, które posiadało: sekcję dramatyczną, śpiewu chóralnego i literacką. Amatorskie przedstawienia członków tego klubu rekompensowały Polakom w Mińsku brak stałego polskiego teatru.

Sokół i Ognisko nie cieszyły się długo pełną swobodą – niebawem władze rosyjskie zakazały używania języka polskiego podczas zebrań publicznych. W efekcie powstał „dziwoląg nadzwyczajny, gdy na zebraniach członków »Polskiego Klubu Ognisko« lub Towarzystwa »Sokół« obrady toczyły się w narzeczu nadwożańskim”<sup>[18]</sup>.

Tylko przez dwa lata działało legalnie założone w 1907 roku Polskie Towarzystwo „Oświata” prowadzące nauczanie w języku polskim i organizujące odczyty o polskiej kulturze. Współzałożycielką Oświaty była Aleksandra Łappa, która wcześniej zajmowała się tajnym nauczaniem.

„Pracująca ciężko na chleb jako nauczycielka – komentował Jarosław Iwaszkiewicz – znajdowała czas na organizowanie tajnych szkółek, odczytów polskich dla miejscowej inteligencji, obchodów rocznicowych, wreszcie na wspieranie miejscowej nędzy, zaopatrując ją w żywność i ubrania”<sup>[19]</sup>.

Człowiekiem instytucją była natomiast wywodząca się z ziemiańskiej rodziny Maurycja Czarnocka, „anioł opiekuńczy dla wszelkiej nędzy i ubóstwa, tak materialnej, jak i moralnej”. Z własnych funduszy utworzyła zakład św. Józefa dla ubogich dziewcząt i zakład św. Kazimierza dla chłopców. Obie placówki zostały zalegalizowane w 1906 roku, a w ich ramach funkcjonowały kursy i warsztaty rzemieślnicze.

## W latach I wojny światowej i rewolucji

W związku z działaniami wojennymi w Mińsku pojawili się liczni uchodźcy z Królestwa Polskiego. Szacowano, że mogli ich być aż 20 tysięcy – w celu zapewnienia im opieki zorganizowano Polskie Towarzystwo Pomocy dla Ofiar Wojny. Powstały też schroniska dla mniej zamożnych wygnańców, biuro pośrednictwa pracy oraz dwie szkoły średnie. Wśród przybyszów zdecydowanie dominowali mężczyźni, co zakłóciło równowagę w mieście.

„Kobiety więc były na wagę złota – potwierdzał Michał K. Pawlikowski. – Powodzenie miały nawet straszdyła, które normalnie skazane były na staropanieństwo albo pisanie wierszy lub powieści”<sup>[20]</sup>.

Rewolucja lutowa w Rosji spowodowała zniesienie właściwie wszystkich ograniczeń dla Polaków. Powstała wówczas organizacja społeczna Polska Macierz Szkolna Ziemi Mińskiej, która założyła sto szkół elementarnych i szkołę średnią imienia Emilii Plater. Zaczęła się ukazywać gazeta „Dziennik Miński” – „pismo narodowe, bezpartyjne i demokratyczne” związane z Radą Polską Ziemi Mińskiej. Z entuzjazmem przyjęto też wieczór poezji polskiej, który zakończono modlitwą z *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza. Jesienią 1917 roku wystawieniem *Kordiana* Juliusza Słowackiego rozpoczął działalność polski teatr, a w Boże Narodzenie zaprezentowano *Betlejem polskie* Lucjana Rydla<sup>[21]</sup>.

W związku z formowaniem się I Korpusu Polskiego powstało także Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego. Dowborczykami opiekowało się Koło Polek im. ks. Józefa Poniatowskiego, którego członkinie zaopatrywały wojaków we wszystko, co potrzebne. Samych tylko rękawiczek

dostarczyły 2187 par. Panie przynosiły także książki – część z nich przywieziono nawet z rozgrabionego dworu, gdzie zasobami tamtejszej biblioteki „miejscowy Sowdep palił w piecach”<sup>[22]</sup>.

Oddziały I Korpusu otrzymały od Koła Polek orzełki „i tyle amarantu, ile tylko u Żydków mińskich się znajdzie”. Trzeba było bowiem „z obdartego szynela rosyjskiego wydobyć żołnierza polskiego”<sup>[23]</sup>.

Po rozpoczęciu w styczniu 1918 roku rozbrajania oddziałów I Korpusu powstało Pogotowie Wojenne Kobiet. Panie nosły pomoc żołnierzom z rozproszonych przez bolszewików oddziałów, zaopatrywały w dokumenty oraz ukrywały ściganych oficerów. Opiekowały się też więźniami, a szczególnie zajmowały się tym mińskie skautki pod wodzą Stanisławy Kuszelewskiej.

„Czasem Stasia zapraszała którąś z nas – wspominała Zofia Wańkowiczowa, żona słynnego Melchiora – ażeby poszła do uwięzionych żołnierzy i oficerów. Figurowaliśmy więc zwykle jako żony i narzeczone, a rolę córek spełniały skautki. Wreszcie któregoś ciemnego wieczora przy wywożeniu więźniów z Mińska udało się Stasi z harcerzami wyprawić ich zupełnie gdzie indziej, niż byli wysyłani »za dokumentami« w głąb Rosji”<sup>[24]</sup>.

Polski Mińsk przygotował też uroczyste obchody setnej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki, chociaż początkowo generał Piotr Bałujew, dowódca Frontu Zachodniego, odmówił zgody na udział w uroczystości żołnierzy I Korpusu. Zmienił zdanie dopiero po rozmowie z jego dowódcą, generałem Józefem Dowborem-Muśnickim.

Organizacja tej uroczystości natrafiła na liczne przeszkody. Przez nieostrożność potłuczono popiersie Kościuszki, natomiast członkowie amatorskiego zespołu, który miał

wystąpić, nie potrafili „ani chodzić, ani ruszać się, ani mówić”. Humorystyczne wydarzenie miało miejsce już podczas samej uroczystości, gdy orkiestra po *Boże, coś Polskę* zagrała niespodziewanie *Ćwir, ćwir, ćwir za kominem*, co rozproszyło podniosły nastrój zebranej w teatrze publiczności<sup>[25]</sup>.

Wielkie wrażenie na zgromadzonych wywarło odświętne nabożeństwo w katedrze (ustawiono tam katafalk), wojskowa rewia oraz spektakl, podczas którego zaprezentowano fragmenty widowiska *Kościuszko pod Racławicami*.

„W oczach zebranych na placu rewii mieszkańców – wspominał Pawlikowski – tej świętej ziemi męczenników za sprawę polską skrzyły się pogodne łzy, bo z tego Obchodu Kościuszkowskiego, który był dla ziemi mińskiej jakoby zadośćuczynieniem za doznane przez nią krzywdy i prześladowania, zaczerpnęli moc wiary, że to, co w miłości się objawia, zwycięża zawsze i obala panowanie nienawiści”<sup>[26]</sup>.

Rok 1917 był przełomowy dla Polaków w Mińsku także dlatego, że w wyniku wyborów do władz miasta po raz pierwszy od 1890 roku prezydentem nie został Polak. Stanisława Chrzóstowskiego zastąpił Piotr Kaszczenko, członek partii eserowców, a przewodniczącym rady miejskiej został Aron Wajnsztajn. Skończyła się też dominacja Polaków w radzie miejskiej. Wśród 102 radnych było zaledwie 20 Polaków wybranych z listy narodowej i socjalistycznej. Tymczasem w Mińsku Polacy stanowili wówczas około 23 proc. ludności<sup>[27]</sup>.

## Bolszewicy w mieście

Na wieść o przewrocie w Piotrogradzie i obaleniu Rządu Tymczasowego mińska Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich ogłosiła przejęcie władzy w mieście. Na jej siedzibie pojawił się czerwony sztandar, a Michał Stanisław Kossakowski, prezes rejonu mińskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego, zanotował, że do rady zostali wybrani: „Stanisław Berson, żydek z Warszawy, mój kolega ze szkoły realnej Friedman, Lander i inni nieznanymi Izraelici”<sup>[28]</sup>.

Rada zażądała, by żołnierze I Korpusu opuścili miasto, co spotkało się ze sprzeciwem generała Dowbora, który zapytał, czy nowe władze potrafią utrzymać porządek w mieście. Gdy nie otrzymał gwarancji, odmówił opuszczenia Mińska.

Na początku grudnia 1917 roku doszło do incydentu z udziałem bolszewików i dowborczyków. Bolszewicka komisja w asyście żołnierzy wtargnęła do polskiej mleczarni (rodzaj jadłodajni) Ignatycze, by zarekwirować żywność. Podobno okazano „jakiś papierek uwierzytelniający”, ale Dowbor-Muśnicki – chcąc zapobiec konfiskacie – wysłał do lokalu szwadron ułanów. Komisję wyrzucono z jadłodajni, a żołnierzy rozbrojono. Gdy ułani znaleźli się na ulicy Zacharzewskiej, niedaleko zaułku, gdzie mieściła się siedziba władz bolszewickich, padły strzały – przypadkowo zginęło wtedy dwóch rosyjskich żołnierzy.

Sowieci oskarżyli ułanów o śmierć swoich towarzyszy, nie ukrywali też wrogości wobec dowborczyków, wykrzykiwano: „Śmierć polskim panom, śmierć białogwardzistom!”<sup>[29]</sup>.

Gdy generał dowiedział się o sprawie, pojechał do Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, by wyjaśnić sytuację. Został tam już kilku zatrzymanych polskich oficerów, a wśród nich Bolesława Mościckiego, dowódcę 1 Pułku Ułanów. Po burzliwej wymianie zdań wszyscy zostali zwolnieni. Obecni w sztabie polscy działacze lewicowi Luft i Baryła odradzali



jednak Dowborowi samotny powrót i nawet eskortowali go w drodze na kwaterę<sup>[30]</sup>.

Noc nie uspokoiła nastrojów, strzały rozlegały się w różnych punktach miasta. Obawiano się, że wkrótce dojdzie do starć bolszewików z dowborczykami, ale przyczyna zamieszek byłajuz inna. Na stację w Mińsku wjechał bowiem skład z kilkoma cysternami spirytusu, a jedną z nich zarekwirowali rosyjscy żołnierze. Rozpoczęła się pijatyka, strzelano w powietrze na wiwat.

„Nazajutrz znaleziono wielu żołnierzy rozebranych do bielizny – informowała prasa – i zmarzniętych, podobno jeden utopił się w cysternie, kilku spoczęło snem sprawiedliwych na torach i dostało się pod koła manewrującej maszyny”<sup>[31]</sup>.

Po incydencie w Ignatyczach na żądanie Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich oddział ułanów Dowbora miał stacjonować w Dukorze. Ta decyzja zaniepokoiła Polaków mieszkających w Mińsku – uznali, że „odtąd byli zdani na łaskę i niełaskę nieokreślonych żywiołów”<sup>[32]</sup>.

## Pierwsze wyzwolenie Mińska

W lutym 1918 roku w mieście stacjonowało kilkanaście tysięcy żołnierzy bolszewickich. Nie stanowiło to jednak przeszkody dla konspiratorów ze Związku Broni, do którego należeli także żołnierze I Korpusu – ruszyły przygotowania do opanowania Mińska. Udało się zmobilizować około 350 słabo uzbrojonych ludzi, a kierownictwo objął żołnierz Korpusu, sztabkapitan Ignacy Matuszewski. Akcję rozpoczęto 19 lutego, do konspiratorów przyłączyli się także polscy harcerze. A skoro

bolszewicy nie wykazywali chęci do walki, bez problemu opanowano duży skład broni.

„Oddziałek powstańców niepytany przez nikogo – relacjonował uczestnik wydarzeń, Ziemomysł Zaborski – wszedł do środka, zastał tam kilku »czubaryków« [pogardliwie o żołnierzach bolszewickich – T.S.] grających w karty. Podobnie »towarzysze« na wezwanie pokazali, gdzie się jaka broń znajduje, nie myśląc stawiać oporu. Potem użyci zostali do ładowania karabinów na samochody”<sup>[33]</sup>.

Ale na dworcu kolejowym znajdowały się jeszcze tysiące bolszewickich żołnierzy. Zamierzali uciec z Mińska przed zbliżającymi się wojskami niemieckimi, lecz kolejarze – wściekli na władze bolszewickie, które zarekwirowały pieniądze przeznaczone na wypłaty – spuścili parę z lokomotyw<sup>[34]</sup>.

Spiskowcy, którzy przejęli już kontrolę na miastem, obawiali się, że zanim Niemcy pojawią się w Mińsku, bolszewicy ruszą do rozprawy z Polakami. Postanowiono zatem użyć fortelu, by pozbyć się tłumów koczujących na stacji. Konspiratorzy zdobyli niemieckie mundury oraz czapki i w takim przebraniu kilku z nich pojawiło się na dworcu.

„Porucznik Mosiewicz podkręcił wąsiki ku górze – kontynuował Zaborski – naostrzył je à la [cesarz] Wiluś, nadział na głowę pikielhaubę i poszedł do lustra. Za mała pikielhauba zabawnie siedziała mu na głowie, jednak srogo-buńczuczna mina i podkręcone ku górze wąsy nadawały mu typowo niemiecki wygląd”<sup>[35]</sup>.

Uczestnicy akcji zajechali autem na dworzec, a Mosiewicz surowym tonem oświadczył bolszewickim żołnierzom, że w ciągu trzech godzin muszą opuścić Mińsk, gdyż w przeciwnym razie stacja kolejowa będzie ostrzelana przez niemiecką artylerię. Zażądał też, by składy pozostały na miejscu, a na

pytanie, w jaki sposób żołnierze mają opuścić Mińsk bez pociągów, odparł, że zawsze mogą iść pieszo<sup>[36]</sup>.

Ostatecznie jednak Sowieci odjechali koleją, ale nie pozwolono im zabrać wagonów z materiałami wojennymi. Odwrót bolszewików ze stacji był chaotyczny, a ich pociąg pancerny „strzelał panu Bogu w okno”<sup>[37]</sup>. Konspiratorzy zarekwirowali też 8 milionów rubli, które w Bobrujsku przekazano generałowi Dowborowi-Muśnickiemu.

W akcji oswobodzania Mińska brały również udział uzbrojone grupy Centralnej Białoruskiej Rady Wojskowej. Białorusini zajęli arsenał i siedzibę władz w mieście oraz staczali potyczki z żołnierzami bolszewickimi<sup>[38]</sup>.

21 lutego do Mińska wkroczyli Niemcy, których powitano jako solidne zabezpieczenie przed powrotem Sowietów. Nowi okupanci wprowadzili jednak swoje porządki – polskim oddziałom polecieli opuścić miasto, a białoruskie rozbroili. Zerwano też biało-czerwono-białą flagę z siedziby białoruskiego Sekretariatu Ludowego.

Niemieckie rządy w Mińsku trwały niemal do końca 1918 roku, lecz „zbolszewiczała tłuszcza jeszcze przed odejściem Niemców gospodarowała w Mińsku jak u siebie w Bolszewii”<sup>[39]</sup>.

## Sowieci po raz drugi

W listopadzie 1918 roku do Mińska dotarła radosna wieść z Warszawy, że Józef Piłsudski objął władzę i zaczęło się rozbijanie Niemców. Jednak w Mińsku ci znienawidzeni Niemcy byli „obrońcami od dziczy ze wschodu”<sup>[40]</sup> ... W tej sytuacji zaczęto tworzyć mińską samoobronę, która niebawem

liczyła około tysiąca ludzi – w jej skład wchodziłi byli żołnierze I Korpusu Polskiego i rodacy z armii rosyjskiej. Były to jednak zbyt słabe siły, aby przeciwstawić się nadciągającym oddziałom Armii Czerwonej. Zapadła zatem decyzja o wyjściu samoobrony z miasta, a jej członkowie uzupełnili później Dywizję Litewsko-Białoruską.

Wojska niemieckiego Ober-Ostu zostały ostatecznie ewakuowane i 10 grudnia 1918 roku do miasta wkroczyła Armia Czerwona „witana kwiatami i chorągwiami przez Żydów”<sup>[41]</sup>. Jednak żydowscy kupcy, handlowcy, sklepikarze i rabini mieli powody do obaw – władza bolszewicka zapowiadała dla nich wszystko, co najgorsze.

Także dla Polaków nastaly ciężkie czasy. Zlikwidowano istniejące od stu lat Towarzystwo Dobroczytności oraz „Gońca Mińskiego”, zamknięto też polskie gimnazja. Do więzień trafiło tak wiele osób, że część Polaków wywieziono nawet do Bobrujska i Smoleńska<sup>[42]</sup>.

Bolszewicy zaczęli wprowadzać swoje porządki także pod względem obyczajowym. W internacie polecono, by dziewczynki „umieścić w sypialniach z chłopcami, bo »proletariat« nie uznaje różnicy płci”. Przy okazji przysłano też „szumowiny uliczne, które ogołociły ściany z obrazów i krzyża”<sup>[43]</sup>.

Biskup Zygmunt Łoziński protestował przeciw usuwaniu religii ze szkół i jawnie też występował przeciwko „bolszewickim świętokradztwom”. W odpowiedzi aresztowano niemal wszystkich księży, a sam hierarcha musiał się ukrywać w przebraniu drwała. Natomiast gdy w lipcu 1919 roku do Mińska zaczęło się zbliżać wojsko polskie, natychmiast ruszyły egzekucje naszych rodaków. Wywożono ich grupami za miasto i tam rozstrzeliwano.

Wśród ofiar była też Felicja Haniczówna, główna lekarka mińskiego szpitala zakaźnego. Zadenuncjował ją szpitalny aptekarz, który kradł lekarstwa, a czekistom wystarczyło, że Haniczówna miała się odgrażać, iż niebawem wróćą „polskie pany”. Zginęła razem ze Stanisławem Daszkiewiczem, członkiem zarządu Macierzy Szkolnej, rozstrzelanym za przyjaźń z księżmi i odmowę ewakuacji<sup>[44]</sup>.

## Szeptycki i Piłsudski nad Świsłoczą

Miasto zostało wyzwolone 8 sierpnia 1919 roku, na dwa dni przed zapowiedzianymi przez bolszewików aresztowaniami polskiej elity miasta. Ulga i entuzjazm naszych rodaków były ogromne, a po zakończeniu defilady pewna wiekowa pani, której mąż figurował na czarnej liście, podeszła do generała Stanisława Szeptyckiego i z wdzięczności pocałowała go w rękę. Generał po chwili konsternacji odwzajemnił się kobiecie takim samym pocałunkiem<sup>[45]</sup>.

W Mińsku pozostała natomiast na swoją zgubę Rosjanka, która zatwierdzała w czerezwyczajne wyroki śmierci. Została aresztowana przez polskich żołnierzy, ale nie zdołano jej nawet doprowadzić do więzienia, gdyż padła ofiarą linczu ze strony mieszkańców miasta.

Dzień po defiladzie Szeptycki przyjął delegację mieszkańców, którzy dziękowali mu za zakończenie bolszewickiej okupacji. Podkreślali, że „kresowa ludność polska była zawsze zespolona ze swą Macierzą, ale też nigdy nie wątpiła, że Macierz ta, że Polska, gdy zmartwychwstanie, upomni się o swoje dziedzictwo, o Kresy Wschodnie”<sup>[46]</sup>.

Radosną atmosferę zakłóciło zachowanie niektórych polskich żołnierzy, szczególnie służących w pułkach poznańskich. Dali wiarę pogłoskom, że do prześladowań Polaków najbardziej przyczynili się Żydzi bolszewicy, i w odwecie próbowali rabować sklepy oraz składy należące do starozakonnych. Mińscy działacze przeciwstawili się temu energicznie, rozwiesili też plakaty wzywające żołnierzy do zachowania spokoju<sup>[47]</sup>.

Przybycie polskiej armii spowodowało jednocześnie zaskakujące zmiany w zachowaniu ludności starozakonnej posługującej się dotąd wyłącznie jidysz.

„I oto wszyscy ci Żydzi – wspominał Pawlikowski – starzy i młodzi – zaczęli zupełnie poprawnie wystawiać się po polsku już na drugi dzień po wkroczeniu wojsk polskich w sierpniu 1919 roku. Czyżby nauczyli się polskiego w ciągu dwudziestu czterech godzin?”<sup>[48]</sup>.

19 września 1919 roku do oswobodzonego od bolszewików Mińska przybył Józef Piłsudski. Pierwsze kroki skierował do katedry na mszę dziękczynną, a wielu jej uczestników „zbierało grudki ziemi, po której stąpał honorowy gość”. Naczelnika powitali też przedstawiciele ludności muzułmańskiej i żydowskiej.

Piłsudski przybył do miasta nie tylko po to, by celebrować zwycięstwo. Wciąż bowiem wierzył, że uda mu się przeprowadzić ideę federacyjną, choć już wtedy wątpił w zdolność Białorusinów do stworzenia własnego państwa. W mieście znalazł się także anonimowy autor broszury, który proponował w niej własną koncepcję federacyjną. Uznał, że przyłączenie Mińszczyzny do Polski byłoby sprzeczne z ideą Piłsudskiego, a gdyby władzę objął rząd białoruski, to po wycofaniu się wojska polskiego natychmiast wkroczyliby tam Rosjanie. Proponował zatem proklamowanie Józefa

Piłsudskiego na prezydenta Rzeczypospolitej Mińskiej z władzą podobną do tej, którą dzierżył prezydent Stanów Zjednoczonych.

„Jeżeli komuś – przekonywał w broszurze – nie spodoba się w mojej formule tytuł »Prezydent Rzeczypospolitej Mińskiej«, to niech zaproponuje inny, np. »Hospodar Miński«”<sup>[49]</sup>.

Piłsudski pozostawałby Naczelnikiem Państwa, a rządy warszawski i miński mogłyby zawrzeć wiele konwencji, między innymi wojskową, a także układy podobne do unii z czasów Jagiellonów.

„Z chwilą, kiedy jako syn tej samej ziemi stanąłem na czele swoich żołnierzy – przemawiał Naczelnik do żołnierzy – wydałem ogłoszenie, że ziemi tej nic gwałtem narzucone nie będzie, że ziemia ta wolny i swobodny głos wśród innych ziem podniesie, że ziemia ta sama rozstrzygnie, jak żyć ma i jakim prawem ma się rządzić”<sup>[50]</sup>.

Do dalszego marszu na wschód zachęcał Piłsudskiego biskup Zygmunt Łoziński, sugerując w swoim memorandum osiągnięcie przez wojsko polskie linii rzek Dźwina-Dniepr. Uważał bowiem, że jest to linia graniczna „licznych placówek polskich” wśród dominującej białoruskiej większości. Łoziński przestrzegał jednak przed ignorowaniem aspiracji Białorusinów, chociaż twierdził, że zrozumieli oni, iż nie mają warunków do stworzenia własnego państwa. Chcieli jednak, by ich ziemie nie uległy podziałowi i stanowiły jedność państwową z Polską<sup>[51]</sup>.

Podczas jednego z przyjęć Henryk Grzybowski, przewodniczący Komitetu Polskiego, podał Piłsudskiemu srebrny puchar, prosząc, by wzniósł toast na cześć Wielkiego Księstwa Litewskiego. Marszałek nie przepadał za alkoholem, a puchar był naprawdę okazały. Zapytał zatem, co to za kielich, a w odpowiedzi usłyszał, że dowie się, jeżeli wypije wino. Tak

się stało, gdyż przeczytał wygrawerowaną na dnie dedykację: „Tadeuszowi Rejtanowi – od posłów ziemi nowogródzkiej”<sup>[52]</sup>.

„Mińsk się dziwnie szybko spolszczył – zauważał Edward Woyniłłowicz – nazwy ulic polskie, szyldy wprawdzie chananejską polszczyzną pisane, ale polskie, (...) Żydzi (...) aczkolwiek niezupełnie pewni, czy obecne »status quo« będzie długotrwałe”<sup>[53]</sup>.

Miało trwać niespełna rok. W lipcu 1920 roku do miasta zbliżała się Armia Czerwona i wówczas rozpoczęła się pospieszna, a chwilami wręcz paniczna ucieczka Polaków z Mińska. Chaos sprzyjał rabunkom sklepów żydowskich, ale ekscesom na większą skalę zapobiegł biskup Zygmunt Łoziński, który pojawił się w dzielnicy starozakonnych, „ażeby nie dopuścić do niegodnych katolików rabunków i pogromów”<sup>[54]</sup>.

Hierarcha odmówił zresztą wyjazdu z miasta, chcąc pozostać z wiernymi. Uznał, że tutaj jest jego miejsce, a pasterz nie porzuca swoich owieczek w godzinie próby.

## Polsko-bolszewickie rozmowy pokojowe

14 sierpnia 1920 roku w Mińsku pojawiła się polska delegacja na rozmowy pokojowe z bolszewicką Rosją. Przewodził jej Jan Dąbski, wiceminister spraw zagranicznych i członek PSL-Piast. Delegaci wyjeżdżali z Warszawy w ponurych nastrojach – w mieście słychać już było huk dział z frontu, zbliżała się Armia Czerwona...



W Mińsku przedstawiciele Rzeczypospolitej umieszczono w dość podłych warunkach, a w dodatku pozostawali pod stałą strażą. Biskup Łoziński odprawił dla nich mszę świętą, która wyglądała dość osobliwie. Przy dostojniku stało bowiem dwóch bolszewickich komisarzy w skórzanych hełmach z czerwoną gwiazdą, którzy nie pozwolili mu wygłosić kazania. Biskup był jednak nieugięty i po mszy zaczął się głośno modlić o zwycięstwo polskich żołnierzy i błogosławieństwo dla ich oręża <sup>[55]</sup>.

„Udręką dla nas moralną – wspominał Jan Dąbski – było przede wszystkim to, że nie wiedzieliśmy przez szereg dni nic, co dzieje się w Polsce, czy bitwa pod Warszawą wygrana, gdzie się obecnie znajduje front bojowy”<sup>[56]</sup>.

Tymczasem na przedpolach Warszawy odparto natarcie Armii Czerwonej, a kontrofensywa znad Wieprza osiągnęła pełny sukces. Polska delegacja dowiedziała się o tym z opóźnieniem, łączność poprzez radiostację przez kilka dni była niemożliwa z powodu „niesamowitych zaburzeń atmosferycznych”. Radiotelegraficznie udało się jednak odebrać komunikat o zwycięstwie nad Wisłą i wówczas „każdy, kto miał, wyciągał jakąś butelkę koniaku czy wina i pił na zdrowie i powodzenie wojska polskiego”<sup>[57]</sup>.

Przyjęcie warunków, które 17 sierpnia zaproponował przewodniczący delegacji bolszewickiej, Karł Daniszewski (Łotysz, mimo polskiego brzmienia nazwiska), byłoby całkowitą kapitulacją. Polska miała bowiem zredukować armię do 50 tysięcy żołnierzy, a cały sprzęt wojenny przekazać Rosji. Poza tym obowiązywałby zakaz produkcji broni i amunicji, a granica wschodnia miała przebiegać wzdłuż linii Curzona. Daniszewski z wyraźną satysfakcją podkreślał, że to nie Rosja, lecz Francja i Wielka Brytania nakreśliły w ten sposób wschodnią granicę Polski.

21 sierpnia na ulicach Mińska ukazała się odezwa Michaiła Tuchaczewskiego, dowódcy Frontu Zachodniego. Oskarżył w niej członków polskiej delegacji, że przyjechali do Mińska w charakterze szpiegów. Zapewne był to wyraz jego frustracji po nieudanej próbie zdobycia Warszawy, ale odezwa miała także stanowić element nacisku psychicznego na polskich negocjatorów. Wręczając Polakom odezwę, komendant straży otaczającej domy, w których mieszkali, stwierdził bowiem, że „miejscowy lud się burzy, ale on będzie starał się nas obronić”<sup>[58]</sup>.

Dąbski stanowczo oświadczył, że do chwili uzyskania przeprosin i zdezwuowania odezwy przez delegację bolszewicką wstrzymuje dalsze rozmowy. Być może odezwa była grą w złego (Tuchaczewski) i dobrego policjanta (Daniszewski), a być może negocjatorzy bolszewicy nic nie wiedzieli o inicjatywie dowódcy Frontu Zachodniego. Tak czy inaczej – Daniszewski powiedział Polakom, że był zaskoczony odezwą, zawarte w niej oskarżenia są niedopuszczalne i afisze zostaną usunięte. Poinformował też, że Cziczerin, ludowy komisarz spraw zagranicznych, potępił wydanie odezwy.



**Edward Woyniłłowicz. (Wikimedia Commons)**



**Jan Dąbski. (NAC)**

Polska delegacja odrzuciła sowiecki dyktat niemal w całości. Przypomniano, że linia Curzona niemal całkowicie pokrywa się z linią trzeciego rozbioru dokonanego przez Rosję, padły słowa, że rząd bolszewicki „chce utrzymać (...) wszystko, co zaborczość caratu zabrała Polsce”. Zwracano też uwagę, że na wschód od linii Curzona mieszkają Polacy i „siła tego żywiołu powinna być w pełni uwzględniona”, a wszystkim narodowościom zamieszkałym pomiędzy Polską a Rosją należy się prawo do demokratycznego stanowienia o swym losie. Z kolei żądanie drastycznej redukcji polskich sił zbrojnych określono jako „pójście bolszewików w ślady Piotra Wielkiego i Katarzyny II”<sup>[59]</sup>.

Daniszewski odparł, że przedstawione warunki nie mają charakteru ultimatum, zaś Dąbski uznał, iż dalsze rozmowy są możliwe. Jednak 28 sierpnia nadał depezę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w której żądał, by wobec „położenia nie do zniesienia” i obelżywej odezwy przenieść rozmowy do Rygi. Łotwa zgodziła się na propozycję polskiego rządu, a członkowie naszej delegacji z radością opuszczali Mińsk, który uznali za „symbol ich klęski i upokorzenia”.

Wkrótce po wyjeździe polskiej delegacji biskup Zygmunt Łoziński został aresztowany, wywieziony do Moskwy i osadzony na Butyrkach. Pozostał za kratami mimo zawarcia w marcu 1921 roku traktatu ryskiego, a wolność odzyskał dopiero kilka miesięcy później, po interwencji rządu polskiego. O powrocie do Mińska – oczywiście – nie było mowy i hierarcha przybył do Warszawy. Wówczas doszło do przykrej sceny, gdyż witający biskupa Dąbski pochwalił się, że to właśnie on był głównym negocjatorem ze strony Polski traktatu zawartego w Rydze. Jednak dla Łozińskiego zawarcie pokoju, wskutek którego poza granicami pozostały setki tysięcy rodaków i 75 proc. jego diecezji, było sprawą hańbiącą.



**Karol Hutten-Czapski.**  
(Biblioteka Narodowa)



**Biskup Zygmunt Łoziński.**

(Wikimedia Commons)

„Zgodnie z naszą historyczną tradycją – pisał hierarcha w liście pasterskim opublikowanym w rocznicę traktatu ryskiego – odniósłszy zwycięstwo na polach bitew, zostaliśmy sromotnie pobici przy zielonym stole i nie oręż nasz, ale rozum pana Joffe [główny negocjator bolszewicki – T.S.] rozstrzygnął o stosunkach między Polską a ziemią »rad ludowych«”<sup>[60]</sup>.

## ROZDZIAŁ 3

# TYMOSZÓWKA I KAROL SZYMANOWSKI

Z dalekich Kresów pochodził jedyny polski kompozytor, którego utwory zyskały światowy rozgłos zbliżony do twórczości Fryderyka Chopina. Przyszedł na świat na naddnieprzańskej Ukrainie w rodzinnym majątku Tymoszkówka. Tam też spędził młodość, a jego rodzinny dwór był ważnym ośrodkiem polskości na Kresach.

## W rodzinie Szymanowskich

Pierwsze wzmianki o Korwin-Szymanowskich herbu Ślepowron można odnaleźć w dokumentach z połowy XVI wieku. Rodzina pochodziła z Mazowsza, a jej członkowie zdobyli znaczenie także poza granicami regionu. Pełnili nawet urzędy senatorskie, a podpis niejakiego Marcina Szymanowskiego, sędziego sochaczewskiego, figurował pod aktem unii lubelskiej. Natomiast Maciej Szymanowski posłował w imieniu Władysława IV do papieża.

Założycielem linii ukraińskiej rodziny był prapradziadek kompozytora, Dominik. Ożenił się z córką niezwykle zamożnego Kajetana Rościszewskiego, dzięki czemu stał się

właścicielem rozległych dóbr w Motyżynie na zachód od Kijowa.

Przyszły kompozytor urodził się 3 października 1882 roku w Tymoszwówce leżącej 60 kilometrów na północ od Elizawetgradu (obecnie Kropywnycki). Był trzecim dzieckiem Stanisława i Anny, a w przyszłości rodzina miała się jeszcze powiększyć o dwoje dalszych potomków. Szymanowscy byli utalentowani artystycznie, ojciec grał na wiolonczeli i fortepianie, natomiast starszy brat, Feliks, był pianistą i kompozytorem. Starsza siostra, Anna, zajmowała się plastyką, młodsza, Stanisława, zrobiła karierę śpiewaczki operowej, zaś kolejna, Zofia, została pisarką i poetką. Do jej tekstów Karol skomponował zresztą dwie kantaty i cykl pieśni.

W chwili narodzin kompozytora Tymoszwówka należała do jego dziadka, Feliksa Szymanowskiego. Była to wieś kolokacyjna, czyli należąca do kilku właścicieli. Szymanowscy posiadali około 630 hektarów ziemi ornej, co dawało dochód roczny w wysokości 7,5 tysiąca rubli (około 95 tysięcy euro). Chociaż mowa o kwocie netto – już po odliczeniu kosztów utrzymania domu i służby – było to jednak zbyt mało jak na styl życia rodziny. Domy ziemiańskie na Kresach rządziły się bowiem swoimi prawami – preferowano życie ponad stan. Nie liczone się z wydatkami, normą była obecność „staroświeckich rezydentów” oraz ciągłe „pasma wizyt, zabaw i rozrywek najrozmaitszego rodzaju”.

Przy okazji ziemianie często inwestowali w różnego rodzaju chybione przedsięwzięcia, czego dobrym przykładem jest postępowanie ojca kompozytora. Stanisław Szymanowski założył w Elizawetgradzie fabryczkę asfaltytu (materiał do pokrywania dachów), co zamiast krociowych zysków przyniosło znaczne straty. Poza tym kompletnie nie czuł tematyki rolniczej – nic dziwnego, że znajomi ziemianie odwiedzający Tymoszwówkę kończyli „rozmowy o pszenicy,

burakach czy kukurydzy gdzieś w pół drogi do majątku Szymanowskich”. Z czasem miało to przynieść fatalne skutki.

Na pewien czas sytuację finansową rodziny poprawił spadek po zmarłym w Szwajcarii dalekim kuzynie, Oswaldzie Szymanowskim. Stanowiła go willa Corvin pod Genewą wraz z bogatym wyposażeniem oraz pamiątkami o charakterze rodzinnym i narodowym. Budynek sprzedano po przejęciu spadku, natomiast reszta mienia trafiła do Tymoszkówki. To właśnie wtedy w dworku pojawiły się mahoniowe meble gdańskie, perskie dywany, cenne srebra stołowe i porcelana. A także zbiory białej broni, monet i rycin oraz portrety dalekich przodków. Eksponowano też róg myśliwski i puginał Jana III Sobieskiego, autografy Kościuszki i Słowackiego, a nawet gęsie pióro Klementyny z Tańskich Hoffmanowej... <sup>[1]</sup>

Większe znaczenie miała jednak gotówka uzyskana ze sprzedaży szwajcarskiej nieruchomości. Dzięki temu Szymanowscy mogli nabyć dwie usytuowane obok siebie kamienice w Elizabetgradzie. Na parceli stanęła również nieszczęsna fabryczka asfaltu.

Problemy finansowe nie skłoniły jednak rodziny do oszczędności. Wprawdzie teoretycznie lato spędzano w Tymoszwówce, a zimę w Elizabetgradzie, jednak w rzeczywistości Szymanowscy nie odmawiali sobie dalekich, kosztownych podróży. Często wyjeżdżali na lato do Odessy, ewentualnie nad Bałtyk, a zimą odwiedzali Zakopane. Przez pewien czas część rodziny mieszkała też w Warszawie, co miało związek ze studiami muzycznymi Karola.

## Tymoszkówka



„(...) Był wielki i trochę mroczny – opisywała rodzinny dworek Zofia Szymanowska. – Szeroki korytarz ciągnął się jak kręgosłup przez całą długość domu. Dom był parterowy, z jasnym dachem, z jednej strony otoczony lipami. Przez całą prawie długość domu, od zachodniej strony, ciągnęła się biała weranda, gęsto dzikim winem obrosła”<sup>[2]</sup>.

Bliskim kuzynem Szymanowskich był Jarosław Iwazskiewicz, który niemal corocznie spędzał wakacje u krewniaków. Wspomnienia z tych wizyt zachował na całe życie:

„Podjeżdżało się do domu od małego ganku, ozdobionego dość śmiesznymi drewnianymi arkadami. Z ganku wchodziło się do przedpokoju, potem do długiego korytarza. Z korytarza na lewo były pokoje, za sypialnym Nuli [Anny, najstarszej siostry Karola – S.K.] była wielka jadalnia, za jadalnią kwadratowa biblioteka, a potem wielki, sześciookienny chyba salon. Z biblioteki wychodziło się na dużą werandę, z której po stopniach schodziło się do właściwego ogrodu. (...) Gdy się schodziło tarasami na sam dół, aż po niebieską przestrzeń wielkiego stawu (...) rozmiarów małego jeziora, pływaliśmy po nim i we dnie, i wieczorami i czasami czekaliśmy nad wodą, aż się pokaże księżyc wschodzący jak nokturn fletowy nad przestrzenią liliowej mgiełki”<sup>[3]</sup>.

Zachowane fotografie ukazują niewielki, zadbane dwór z bogato wyposażonym wnętrzem. Dywany, stare meble, srebra, obrazy. Zwracają uwagę dwa fortepiany – pierwszy w salonie, drugi w niewielkim domku, gdzie komponował Karol. Nic dziwnego, że ten budynek nazywano „kompozytornią”.

„Zetknąłem się – kontynuował Iwazskiewicz – (...) z rodziną, w której każda osoba była interesującą indywidualnością. Słuchałem gry Feliksa Szymanowskiego, zespołów śpiewaczych organizowanych przez rodzeństwo, widziałem

pomysłowe, inteligentne zabawy artystyczne. Wreszcie zetknąłem się z nowoczesną sztuką, z książkami Wyspiańskiego, Stanisława i Dagny Przybyszewskich, a zwłaszcza Kasprowicza, które leżały na wszystkich stołach we wszystkich pokojach – podniecając wyobraźnię i budząc zaciekawienie”<sup>[4]</sup>.

Poważnym problemem dla badacza śledzącego losy Szymanowskich jest ogromna liczba ich krewnych i powinowatych. Nawet dobrze orientujący się w tych sprawach Jarosław Iwaszkiewicz czasami gubił się we wzajemnych powiązaniach. Była to zresztą charakterystyczna cecha ziemiańskich rodzin na Kresach, które zawierały małżeństwa niemal wyłącznie we własnym środowisku. W efekcie właściwie wszyscy ze wszystkimi byli spokrewnieni.

Matka kompozytora pochodziła z duńskich baronów Taube, którzy przez Szwecję i Inflanty przywędrowali na Ukrainę i całkowicie się spolszczyli. Uchodziła za bardzo piękną kobietę, ale zarzucano jej, że dostrzega właściwie tylko własnych potomków.

„(...) Odgrywająca zawsze dużą rolę towarzyską – krytykował Iwaszkiewicz – czarująca i elegancka »ciocia Anusia« (...) wydawała mi się zawsze egoistką wpatrzoną tylko w swoje »nadzwyczajne« dzieci. Swojej kuzynce Neuhausowej, matce znakomitej pary pianistów, powiedziała w okrutnej naiwności: »Moja Marciu, jaka ty jesteś szczęśliwa, że masz zwyczajne dzieci!«. Po śmierci mojego ojca, na którego pogrzeb nikt z jej rodziny nie przyjechał, w liście kondolencyjnym prosiła o przysłanie jej sadzonek pewnego gatunku jabłek”<sup>[5]</sup>.

Anna i Stanisław Szymanowscy mieli braci i siostry, którzy również dochowali się licznych potomków. Czasami całe to młode towarzystwo spędzało lato w Tymoszwówce, wręcz terroryzując domowników. Na tym nie kończyły się jednak

komplikacje rodzinne, bowiem mężowie i żony rodzeństwa również posiadali licznych krewnych, z którymi utrzymywano ożywione stosunki towarzyskie. Nic zatem dziwnego, że pokaźną część dochodów Tymoszkówki przeznaczano właśnie na kontakty rodzinne...

## Elizawetgrad

Metropolią dla całej okolicy był Elizawetgrad nad Ingułem, dopływem Bohu. Miasto liczyło wówczas niewiele ponad 60 tysięcy mieszkańców – dominowali Żydzi, nieco mniej było Rosjan i Ukraińców, zaś Polacy stanowili niespełna 2 proc. ogółu.

„Było to brzydkie i dość zaniedbane osiedle – narzekał Iwazskiewicz. – (...) Centrum tego miasta stanowiła stara oficerska szkoła kawaleryjska, w której kształciło się także wielu Polaków. (...) Elizawetgrad posiadał dość liczną kolonię polską gromadzącą się przy kościele tutejszym i wokół Towarzystwa Dobroczynności. Rzecz naturalna, że w tej kolonii ogromną rolę odgrywali Szymanowscy ze wszystkimi swoimi rodzinnymi rozgałęzieniami. Była to przed rokiem 1917 zimowa ich stolica”<sup>[6]</sup>.

Chociaż Polaków było tam niewiele ponad tysiąc osób, stanowili w mieście dość widoczną grupę. Warto bowiem pamiętać, że ludność żydowska żyła na ogół w swoim środowisku, a do Elizawetgradu przyjeżdżali liczni ziemianie z okolicy. Zmuszały ich do tego interesy, gdyż miasto miało połączenie kolejowe. Ale także można się było trochę tam zabawić i „puścić nieco gotówki” bez wyprawy w dalekie

strony. Liczba Polaków wśród okolicznej inteligencji i szlachty sięgała 20 proc.

To właśnie w Elizawetgradzie młody Karol Szymanowski pobierał lekcje gry na fortepianie od Gustawa Neuhausa (oczywiście swojego krewnego). Tam też uczęszczał do gimnazjum. Biografowie twierdzą, że nawet zdobył maturę, natomiast dobrze zorientowany w tych sprawach Iwaszkiewicz był przekonany, że szkołę ukończył tylko Feliks, natomiast Karol „chodził tam przez parę lat”... Podobno słyszał o tym osobiście od kompozytora i jego przyjaciół.

Być może zresztą prawda leżała pośrodku. Karol miał problemy z kolanem, prawdopodobnie były to efekty gruźlicy kości. Być może zatem pobierał naukę w domu, a egzaminy zdawał eksternistycznie. Inna sprawa, że problemy z nogą nie przeszkadzały mu w grze w tenisa w Tymoszwówce kilka lat później, ale było to już po operacji, jaką przeszedł w Moskwie.

Kalectwo nie ograniczało też bogatego życia towarzyskiego, jakie prowadził w Elizawetgradzie. Wraz z bratem i najbliższymi przyjaciółmi preferowali mocno wyrefinowane rozrywki.

„Karol i Feliks – kontynuował Iwaszkiewicz – i ich kuzynowie Feliks i Hieronim Byszewscy oraz mój brat Bolesław stanowili zgraną paczkę, mocno się rozbijającą po tak małym miasteczku, jakim był Elizawetgrad. Brat mój miał słabą głowę i pił bardzo, tracąc powoli na zabawy niedużą sumkę pieniędzy, jaką pozostawił nam nasz ojciec”<sup>[7]</sup>.

Trudno zatem się dziwić, że matka Bolesława uważała, iż Szymanowscy sprowadzają jej syna na złą drogę. Wielokrotnie protestowała przeciw kontaktom Bolesława z Karolem i Feliksem, ale bezskutecznie. Kierując się kobiecą logiką, uważała bowiem, że jej syn nie ma skłonności do alkoholu, a wszystkim winne jest otoczenie. Nie przyszło jej nawet do głowy, że kompozytor i jego brat wcale nie zmuszali

Bolesława do picia. Inna sprawa, że niektóre zachowania tego towarzystwa mogą nawet dziś wprowadzić w osłupienie...

Pod koniec lata 1907 roku w Dachnówce nad Dnieprem zmarła bliska kuzynka obu panów i Karola obciążono załatwianiem wszystkich formalności w Elizawetgradzie. Pogrzeb miał się odbyć właśnie w tym mieście, należało także uzyskać zgodę na transport zwłok. Karolowi pomagał Bolesław, obaj przez dwie doby zajmowali się sprawami pochówku. Udało im się zdobyć wszystkie wymagane zezwolenia i uroczystość miała się odbyć za trzy dni. Wieczorem, po nadaniu ostatniej depeszy do rodziny, postanowili się odprężyć i poszli na kolację do jednego z lokali.

„Wieczór był piękny i pogodny – relacjonował młodszy z Iwaszkiewiczów – restauracja »Teatralna« znajdowała się na świeżym powietrzu – przed tarasem widniał ogródek. Otóż moi bracia oprzytomnieli w momencie, kiedy w tym ogródku zajmowali się polewaniem z węża ogrodowego przechodniów na ulicy. Po bliższym zbadaniu okoliczności okazało się, że już to jest trzeci dzień od chwili, kiedy zaczęli pić – i że to już jest właśnie dzień pogrzebu. Zrozpaczona rodzina poszukiwała ich już od dawna po mieście; trzeba było naprędce oblać głowy zimną wodą i udać się do kościoła”<sup>[8]</sup>.

Nie był to jednostkowy przypadek, gdyż kompozytor przez całe życie „uprawiał kult wina”. Trudno powiedzieć, co pijał w młodości, ale u schyłku życia preferował dobre koniaki. Mimo śmiertelnej choroby nadal pił ponad miarę (palił również), a gdy trafił do jednego z alpejskich sanatoriów, przemycano tam dla niego butelki z alkoholem. Miał jednak problemy z dyskretnym usuwaniem tych opróżnionych, wobec czego wrzucał je w ogromną zaspę śniegu pod oknem. Ale nawet w Alpach zdarzają się czasami załamania pogody. Toteż gdy przyszła odwilż, musiał się gęsto tłumaczyć przed lekarzami.

Sterta pustych butelek pod jego oknem robiła bowiem imponujące wrażenie...

## Muzy w Tymoszwówce

Ważną cezurą w życiu Szymanowskich była śmierć Stanisława w 1905 roku. Chociaż był on człowiekiem wielkiej kultury, to – kultywując polskie tradycje – skazywał siebie i najbliższych na pewne ograniczenia. Jako prawdziwy Polak patriota nie utrzymywał kontaktów towarzyskich z rosyjskimi sąsiadami, wśród których była rodzina Dawydowów odgrywająca dużą rolę w życiu intelektualnym południowej Rosji. Należącą do nich pobliską Kamionkę odwiedzali znani rosyjscy twórcy, a Piotr Czajkowski skomponował tam nawet swój słynny *I koncert fortepianowy b-moll* i operę *Dama pikowa*.

Ojciec rodziny uważał, że polska szlachta nie powinna się bratać z okupantami, ale młodość miała swoje prawa... W efekcie, po śmierci Stanisława w Tymoszwówce zaczęli się pojawiać rosyjscy sąsiedzi. Wnosili „specjalny ton półarystokracji rosyjskiej, ale kosmopolityczny, ale też o błyszczącym europejskim polorze”. Karol szczególnie zaprzyjaźnił się z Natalią Dawydową, która na całe życie pozostała wielbicielką jego muzyki i chyba podkochiwała się kompozytorze. Uchodziła za niezwykle piękną kobietę, a urodzie towarzyszyły: dobry charakter, inteligencja i pozytywny stosunek do otoczenia. Szymanowski pozostał jednak niewzruszony (miała męża), ale zadedykował jej swoją *II sonatę fortepianową*.

Tymoszwówkę odwiedzali również goście z dalekich stron: młody utalentowany dyrygent Grzegorz Fitelberg, pianista Artur Rubinstein i skrzypek Paweł Kochański. Obecność

przyjaciół muzyków Karol wykorzystywał przy komponowaniu, chętnie słuchając ich opinii. Pracował zawsze wcześniej rano i przed obiadem – tej metodzie pozostał wierny do końca życia.

„Z trudem udawało się namówić go na partię tenisa przed śniadaniem – wspominała Zofia Szymanowska – po paru setach odkładał na ławkę raketę i uchodził spieszenie w swoją samotność. Znikał nam z oczu na cały dzień. Przywołany gongiem na obiad jadł go w zupełnym niemal milczeniu, zapatrzony oczyma gdzieś daleko, ponad głowami siedzących przy stole. Śmiech i rozmowy nie dotyczyły go – przelatowały mimo jak rój wesołych trzmieli”<sup>[9]</sup>.

Właśnie wtedy opracował metodę komponowania, której pozostał wierny przez całe życie. Pisał wcześniej rano i do obiadu – wtedy, gdy miał jasny i trzeźwy umysł. Natomiast resztę dnia spędzał na tym, co lubił najbardziej: rozmowach, lekturze, spacerach lub wizytach u sąsiadów. Lubiał czasami wpraszać się do nich na kolację, gdyż z niewiadomych powodów kuchnia w Tymoszwówce uchodziła za fatalną. Jedynie miejscowe owoce były ponoć bardzo smaczne.

W tamtych latach siedziba Szymanowskich stanowiła połączenie tradycji kresowego dworu z nowymi prądami w kulturze. O tradycję dbała mieszkająca we dworze matka Anny Szymanowskiej, Michalina Taube. Wprawdzie rzadko opuszczała swoje pokoje, ale drżeli przed nią wszyscy domownicy, którzy z dala od „małych czarnych oczu” czytali „nieprzyzwoite książki” i prowadzili rozmowy o treści „skandalicznej”.

„Nastrój domu da się zrozumieć jedynie wówczas – tłumaczył Iwaszkiewicz – kiedy się wżyjemy w artystyczny świat ostatnich lat sprzed pierwszej wojny światowej. Nastroje artystyczne zamknięte w pieśniach Brahmsa i Mahlera, estetyzm niemieckiej literatury owoczesnej, potężna

indywidualność Wagnera, brutalność Straussa – wszystko to stanowiło przeżycia tych ludzi, którzy – niby to zamknięci na wsi – współżyli i współoddychali z twórczością europejską. Ale jednocześnie, jak obok międzynarodowych artystów w rodzaju Rubinsteina czy arystokratów w rodzaju Dawidowych czy Druckich-Sokolińskich, spotykało się w Tymoszwówce staroświeckie rezydentki, jak obok misterii Wagnera słuchało się nabożeństwa majowego, odprawianego przez babunię Milusię – tak żyły tam obok międzynarodowych potęg artystycznych utwory Wyspiańskiego i Żeromskiego”<sup>[10]</sup>.

Ciekawą postacią był także Feliks. Podobno przejawiał inwencję melodyczną większą od brata i mógł zdobyć dużą popularność. Wprawdzie nie jako twórca muzyki symfonicznej, lecz autor pieśni, muzyki tanecznej i operetek. Uznał jednak, że jego twórczość może zaszkodzić Karolowi, bowiem lepiej, by nazwisko Szymanowskich kojarzyło się z ambitną muzyką. Przestał zatem komponować, a decyzja przyszła tym łatwiej, że po śmierci ojca musiał zająć się administracją rodzinnego majątku.

Niestety, okazał się jeszcze gorszym gospodarzem niż Stanisław i zadłużenie Tymoszwówki narastało. Mieszkańcy dworu mocno umiłowali bowiem sztukę i przejawiali typowo polską gościnność, jednak brakowało im zmysłu praktycznego. Z tego powodu w efekcie rewolucji bolszewickiej Szymanowscy mogli uchodzić za wygnanych ziemian, a nie zlicytowanych bankrutów.

„Gospodarstwo prowadzone było jeszcze fatalniej – podsumowywał Iwaszkiewicz – (...) i obdłużenie Tymoszwówki stawało się z roku na rok niebezpieczniejsze. Przypuszczam, że rewolucja, zabierając majątek Szymanowskim w tragiczny sposób, zaoszczędziła im tylko innej, bardziej osobistej tragedii”<sup>[11]</sup>.



Z rodzinnego majątku Szymanowskich nic nie zostało, rewolucja bolszewicka dokładnie zniszczyła ślady pracy i życia pokoleń polskich ziemian. Elizawetgrad zmieniał swoją nazwę kilka razy (Zinowjewsk, Kirowo, Kirowohrad, od 2016 roku Kropywnycki). Pierwsza z nich upamiętniała fakt, że z miejscowej diaspory żydowskiej pochodził Grigorij Zinowjew, a nazwę zmieniono jeszcze przed jego rozstrzelaniem w 1936 roku. Dla nas, Polaków, ważniejsze jest to, iż w Elizawetgradzie urodził się pisarz Michał Choromański, któremu zresztą Karol Szymanowski pomógł w literackiej karierze.

W mieście zachowała się dawna kamienica jego rodziny, gdzie obecnie mieści się muzeum kompozytora. Niestety, zbiory placówki są bardziej niż skromne, hordy rewolucyjne wzorowo wypełniły swoje zadanie. Zresztą burzliwa historia XX wieku zmiotła niemal całkowicie polskie ślady na ziemi kijowskiej. A symbolem nowych czasów i władzy chłopsko-robotniczej stał się fortepian Karola Szymanowskiego utopiony w dworskim stawie w Tymoszwówce. Dwór spalono, a otaczający go park wyrąbano...

## Niedyskrecje

Wprawdzie kompozytor uważany jest obecnie za stuprocentowego homoseksualistę, ale swoją orientację określił dopiero jako dorosły mężczyzna. Wcześniej, w latach Tymoszwówki, uchodził za groźnego uwodziciela, przed którego „zepsuciem” przestrzegano młode dziewczęta. Nie chodziło przy tym o jego alkoholowe upodobania (przed tym z kolei ostrzegano młodych mężczyzn), ale o hipnotyzujący urok, jaki

rozsiewał wokół siebie. Potwierdzają to relacje osób znających kompozytora osobiście.

„Wszyscy wiedzą – twierdziła Anna Iwaszkiewicz – bo mówi o tym każdy, kto znał Karola Szymanowskiego, że był to człowiek o niezwykłym wprost uroku osobistym, ale cóż znaczą te słowa dla tego, kto wymawiając je, nie ma jednocześnie w pamięci lekko przyciszonego głosu, subtelnego uśmiechu misternie zarysowanych ust, intensywnego spojrzenia wąskich, bardzo długich, szafirowych oczu patrzących spod trochę zbyt ciężkich brwi, oczu, które miały skłonność do zapatrzenia się w przestrzeń i o których nie zawahałabym się powiedzieć, że tak właśnie wyobrażać sobie można oczy genialnego artysty. Rozmowa z Karolem była zawsze tak zajmująca nie tylko dlatego, że posiadał zupełnie nieprzeciętną inteligencję i kulturę, ale i dlatego, że jego zainteresowania były niezwykle wszechstronne”<sup>[12]</sup>.

Podobną opinię wyrażała pisarka Irena Krzywicka, uważając, że był „przystojny, o nieopisanym wdzięku”. Roztaczał nie tylko „rzadki czar osobisty, ale był mądry, interesujący w rozmowie. Nigdy żadnego banału, wielkie poczucie humoru i taka jakaś serdeczność w stosunku do ludzi”. Kompozytor przejawiał „wielkie wyrefinowanie i wielką inteligencję”, a to w połączeniu z talentem dawało nieprawdopodobną mieszankę.

W młodości nawiązywał romanse z przedstawicielkami płci odmiennej i przebywając przed wybuchem I wojny światowej w Wiedniu, pokłócił się nawet z Arturem Rubinsteinem o względy 14-letniej (!) córki pianisty Leopolda Godowskiego, Dagmar. Zwycięzcą okazał się Rubinstein, a Szymanowski nie mógł wybaczyć przyjacielowi, że ten ją uwiódł.

Jednak wyjazdy do Włoch, a szczególnie pobyt na Sycylii i w północnej Afryce spowodowały, że ostatecznie określił swoją

orientację seksualną. W tych rejonach stosunki homoseksualne były stosunkowo łatwo dostępne, szczególnie dla zamożnych cudzoziemców. Mężczyzna, który nie tak dawno oświadczał się o rękę Dagmar Godowskiej, określił teraz swoje seksualne fascynacje, co dało mu potężny impuls twórczy. Nigdy więcej nie komponował tak łatwo jak podczas I wojny światowej.

Przy okazji wybaczył Rubinsteinowi jego winy, a poszło tym łatwiej, że zdążył się pokłócić z innym nieodłącznym dotąd przyjacielem, Grzegorzem Fitelbergiem. Ten bowiem popełnił „straszną zbrodnię” w oczach homoseksualnego kompozytora. Szymanowski zwierzył się z tego Rubinsteinowi, któremu skojarzyło się to z dawnym sporem między Chopinem i Lisztem:

„- Arturze, wyobraź sobie tylko - złorzeczył kompozytor - że ten łajdak, pod moją nieobecność przyprowadził do naszego mieszkania kobietę i miał niewiarygodną czelność spać z nią na moim łóżku, tuż pod portretem mojej matki. Rozumiesz, Arturze? Pod portretem mojej rodzonej matki! Powinienem go zabić za to!”<sup>[13]</sup>.

Na marginesie: ani Chopin, ani Liszt nie byli homoseksualistami, ale sytuacja faktycznie była podobna. Jednak Chopin miał pretensje do Liszta bardziej o to, że nie posprzątał po sobie i swojej partnerce...

Szymanowski - oczywiście - wybaczył Fitelbergowi i przyjaźń artystów trwała aż do śmierci kompozytora. Podobnie jak z Rubinsteinem, a obaj panowie byli wielkimi propagatorami muzyki przyjaciela.

Pianista zresztą wkrótce utwierdził się w swoich podejrzeniach co do ostatecznych zmian w seksualności Szymanowskiego. Przyjaciel nie ukrywał bowiem przed nim fascynacji urodą męskiego ciała:

„Karol zachwycał się Sycylią, zwłaszcza miasteczkiem Taormina.

– Widziałem tam – mówił – kilku kąpiących się młodych chłopców, którzy mogliby pozować do postaci Antinousa. Nie mogłem oderwać od nich oczu.

Był teraz zdecydowanym homoseksualistą”<sup>[14]</sup>.

## Borys Kochno i *Efebos*

W twórczości instrumentalno-wokalnej kompozytora trudno jednak znaleźć echa upodobań do przedstawicieli tej samej płci. Jedynie w operze *Król Roger* pobrzmiewają ślady tej fascynacji, ale czy mogło być inaczej, skoro autorem libretta był Jarosław Iwaszkiewicz?

W 1919 roku, w zamęcie rewolucji bolszewickiej, kompozytor poznał w Kijowie 15-letniego Borysa Kochnę. Chłopiec marzył o dołączeniu do zespołu Baletów Rosyjskich Diagilewa, chciał zostać tancerzem i choreografem. Pisał również wiersze, a jego osobowość i uroda wywarły ogromny wpływ na kompozytora.

Szymanowski zapoznał go z muzyką baletową Strawińskiego, prezentując aranżacje fortepianowe na cztery ręce. Zakochał się w młodzieńcu, odnosząc wrażenie, że uczucie to jest odwzajemniane.

„Ale, Arturze, nie uwierzysz – zwierzał się Rubinsteinowi – w Kijowie (...) spotkało mnie największe szczęście – żyłem w niebie. Poznałem młodego człowieka niezwyklej urody, poetę o głosie brzmiącym jak muzyka i on, Arturze, kochał mnie. Tylko naszej miłości zawdzięczam, że mogłem napisać tyle muzyki”<sup>[15]</sup>.

Uczucie potwierdza także Iwaszkiewicz, który wspominał, że widział w pokoju kompozytora „olbrzymią fotografię Borysa z chryzantemą w butonierce”.

Różnica wieku między kochankami wynosiła 22 lata, co wówczas nie było niczym wyjątkowym. Ówczesni homoseksualiści realizowali w dużej mierze model znany z antycznej Grecji, gdzie ideałem był związek młodzieńca z dojrzałym partnerem. Nie istniały jeszcze współczesne wzory wspólnego życia dwóch mężczyzn, nie było nawet języka, którym można by o takich związkach opowiadać. Słowo „homoseksualizm” funkcjonowało wówczas jako termin medyczny o pejoratywnym znaczeniu, stąd często posługiwano się ogólnikami, eufemizmami czy sugestiami.

W tym czasie Karol napisał dwutomową powieść *Efebos* o zdecydowanie homoseksualnym przesłaniu. Była to „próba wyrzucenia z siebie czarnej otchłani nieskończonego szeregu dni, tygodni, miesięcy spędzonych wśród najstraszliwszych okoliczności zewnętrznych; wywołanie z pamięci magicznej wizji Italii – ojczyzny wszystkich marzycieli”. Chciał, by „światło prawdy przenikało tam, gdzie dotychczas panowały tylko mroczne cienie”. Nie ukrywał, że w powieści wyraził „być może wszystko, co mam do powiedzenia w tej materii, która jest dla mnie bardzo ważna i bardzo piękna”.

*Efebos* nigdy nie został opublikowany, a jego rękopis spłonął we wrześniu 1939 roku. W dokumentach Borysa Kochny zachowało się jednak rosyjskie tłumaczenie centralnego rozdziału zatytułowanego *Sympozjon* (przekładu dokonał osobiście Szymanowski). Rozdział ma charakter dyskusji między zwolennikami miłości heteroseksualnej a rzecznikami homoseksualizmu. Jeden z uczestników uczt, porównując ciało kobiety i młodzieńca, zauważa, że pierwszeństwo należy do mężczyzny, albowiem „łono kobiety zaburza linie brzucha i piersi, a biodra są zbyt szerokie”.

Koronnym argumentem stała się zawarta w *Sympozjone* lista wielkich homoseksualistów i rola, jaką odegrali w dziejach świata. W gronie władców pominięty został jednak Henryk Walezy – Szymanowski nie był zwolennikiem pederastii w zniewieściálním wydaniu.

Fragment *Efebosa* udostępniono Polskiemu Radiu dwa lata po śmierci kompozytora. I chociaż wybrany przez Iwaszkiewicza cytat był bardzo dyskretny, to audycja spotkała się z ostrą reakcją rodziny kompozytora.

Szymanowski i Kochno rozstali się w 1919 roku, a rodzinie kompozytora udało się opuścić Ukrainę i wyjechać do Polski. Karol nie zapomniał jednak o swoim młodocianym partnerze i miał nadzieję na kontynuację związku. Rok później Kochno wraz z matką przedostał się do Paryża, gdzie spełniło się jego marzenie – poznał Siergieja Diagilewa.



**Rodzeństwo Szymanowskich: (od lewej) Stanisława, Feliks, Karol i Anna.**

(NAC)



**Młodzi kompozytorzy: (od lewej) Apolinary Szeluto, Karol Szymanowski, Władysław Lubomirski, Grzegorz Fitelberg i Ludomir Różycki.**

(NAC)



**Borys Kochno, wielka miłość Karola Szymanowskiego ok. 1920 r.**

(Biblioteka Kongresu)

Szybko stał się jego kochankiem. Rosyjski impresario był pederastą o wręcz nienasyconym apetycie seksualnym, mawiał, że potrzebuje seksu trzy razy dziennie, jednak rola Kochny nie ograniczała się tylko do spraw płciowych. Został jego bliskim współpracownikiem, a niebawem choreografem. Gdy przypadkowo natknął się w Paryżu na Szymanowskiego, spotkali się ukradkiem kilka razy, ale ich znajomość definitywnie się skończyła. Kompozytor nie mógł się równać z potężnym rosyjskim impresariem i uznał się za pokonanego.

Do końca życia pozostał zadeklarowanym homoseksualistą, ale preferował monogamiczne związki. Po latach, zwierając

się Iwaszkiewiczowi, stwierdził, że „jedno, co jest coś warte w życiu, to miłość... A tego miał, dzięki Bogu, dużo!”.

## Odruchy kresowego szlachcica

Po traktacie ryskim znaczna część Kresów pozostała poza granicami Polski i kraj zaludnił się pozbawionymi majątków ziemianami. Dawni posiadacze ziemscy nie potrafili przystosować się do nowej rzeczywistości, a wokół nich krążyli ich rezydenci – oczekiwali, że pozostaną na utrzymaniu dawnych dobrodziejów. Nie inaczej było z rodziną Szymanowskich.

Właściciele Tymoszwówki również mieli poważny problem, by zaadaptować się do mieszczańskiego, oszczędnego trybu życia i odnaleźć się w nowej sytuacji ekonomicznej. Ponadto uważali, że skoro Karol osiągnął uznanie jako kompozytor, powinien być za to należycie wynagradzany. A najlepiej tak, by gaże wystarczały dla całej rodziny.





## **Karol Szymanowski i Grzegorz Fitelberg byli przyjaciółmi przez całe życie.**

(NAC)

Nie można powiedzieć, że władze państwowe ignorowały potrzeby finansowe kompozytora. Podróże odbywał jako delegat Ministerstwa Oświaty, często otrzymywał subwencje, a dochody uzupełniały całkiem pokaźne profity z wydawnictw i koncertów.

Szymanowski jednak nigdy nie umiał skutecznie zarządzać własnymi finansami. Na zawsze pozostał kresowym szlachcicem, mieszkańcem polskiego dworu, gdzie nie liczone są wydatki. I chociaż przez wiele lat zarabiał całkiem poważne pieniądze, nie potrafił żyć oszczędnie. Miał szeroki gest dla rodziny, przyjaciół oraz uczniów. I dopóki posiadał jakiegokolwiek fundusze, zawsze dzielił się z innymi.

Nawet w kompletnej biedzie przejawiał wielkopańskie zachowania. Kiedyś w Zakopanem, nie mając pieniędzy na bilet kolejowy do Warszawy, pożyczył potrzebną sumę od zamożnych przyjaciół. Nie wiedział, że również oni wybierają się do stolicy tym samym pociągiem. Na dworcu okazało się, że zamożni przyjaciele wsiedli do wagonu II klasy, natomiast Szymanowski do oddzielnego przedziału sypialnego...

Karol Szymanowski zmarł na gruźlicę pod koniec marca 1937 roku w Lozannie. Trzy lata wcześniej ze światem pożegnał się jego brat, natomiast Stanisława, była śpiewaczka Opery Lwowskiej, odeszła w grudniu 1938 roku. II wojnę światową przeżyły dwie siostry kompozytora – Zofia zmarła rok po jej zakończeniu, natomiast Anna pięć lat później. Po matkę Karola Szymanowskiego śmierć przysłała jeszcze w 1943 roku, co nie zmienia faktu, że „ciocia Anula” widziała nie tylko koniec kresowego świata, lecz także zgony większości swoich dzieci...

## ROZDZIAŁ 4

# PRZYPADEK MIKOŁAJA ČIURLIONISA

Najwybitniejszy litewski artysta znaczną część życia spędził w Warszawie, zaś jego rodzimym językiem był polski. Litewskiego nauczył się dopiero jako dorosły człowiek, a o wyborze narodowości zdecydował przypadek. Niewiele bowiem brakowało, by jego twórczość należała do kultury polskiej, a nie litewskiej.

## Z Druskienik do Warszawy

Rzadko zdarza się, by artysta osiągał najwyższy poziom w tak odległych od siebie dziedzinach jak plastyka i muzyka. W kręgu kultury polskiej właściwie trudno wskazać taki przypadek, więc tym bardziej można żałować, że osiągnięciami Mikołaja Konstantego Čiurlionisa szczycą się obecnie Litwini.

Wprawdzie był synem litewskiego chłopca i Niemki, której rodzina przeniosła się nad Bałtyk z Bawarii, jednak w jego domu mówiono wyłącznie po polsku. Przyszedł na świat we wrześniu 1875 roku w Oranach, a potem wraz z rodzicami przeniósł się do Druskienik. Konstanty Czurlanis (ojciec artysty posługiwał się spolszczoną wersją nazwiska) objął tam

bowiem posadę organisty. W kurorcie urodziła się szóstka kolejnych dzieci.

Mikołaj wcześniej zaczął zdradzać duży talent muzyczny, podobno już jako pięciolatek grał ze słuchu na pianinie, a dwa lata później czytał nuty. Niebawem zaczął też zastępować ojca w obowiązkach organisty i stało się jasne, że domowa edukacja już nie wystarcza dla tak uzdolnionego dziecka.

Z pomocą przyszedł przypadek. Czurlanis poznał w kurorcie warszawskiego lekarza, Józefa Markiewicza, który zarekomendował jego syna znanemu mecenasowi sztuki, księciu Michałowi Ogińskiemu. Wnuk słynnego Michała Kleofasa stworzył w swoim pałacu w Płungianach orkiestrę z dyplomowanym dyrygentem na czele, a w pałacowej bibliotece zgromadził pokaźny księgozbiór muzyczny. To właśnie podczas czterech lat spędzonych na Żmudzi pojawiły się pierwsze próby kompozytorskie Čiurlionisa. Chłopak zaczął także wykazywać zainteresowania plastyczne – z tego okresu pochodzą jego pierwsze rysunki.

Ogiński potrafił dobrze ocenić, jaki klejnot trafił do jego zespołu – zatem gdy Mikołaj ukończył 18 lat, mecenas ufundował dla niego stypendium, by chłopak mógł się kształcić w warszawskim Instytucie Muzycznym.

## Eugeniusz i Maria Morawscy

Mikołaj wybrał klasę fortepianu, a przy okazji studiował kompozycję. Uczęszczał również na zajęcia w klasie chóru, zawsze bowiem interesowała go muzyka wokalnie-instrumentalna. Jak przystało na człowieka obdarzonego ogromnym talentem, od samego początku miał własne zdanie nie tylko w sprawach muzyki – doskonale potrafił ocenić także

umiejętności swoich wykładowców. Z sympatią odnosił się do pianisty i krytyka Antoniego Sygietyńskiego, natomiast – delikatnie mówiąc – nie przepadał za wykładającym kompozycję Zygmuntem Noskowskim. Uważał go za zbyt konserwatywnego muzyka i wyjątkowo upartego człowieka.

Najbliższym przyjacielem młodego Litwina został wówczas młodszy o rok Eugeniusz Morawski. Obaj studiowali w tych samych klasach i od razu przypadli sobie do gustu, gdyż wyrażali te same poglądy na sztukę i życie. Żaden z nich nie zamierzał poświęcić się wyłącznie muzyce – uważali bowiem, że zamykanie się w obrębie jednej dziedziny stanowi poważne ograniczenie.

„Nie ma granic pomiędzy sztukami – twierdził Čiurlionis. – Muzyka łączy poezję i malarstwo, ma swoją architekturę. Malarstwo może posiadać taką architekturę jak muzyka i w barwach wyrażać dźwięki”<sup>[1]</sup>.

Mikołaj był blisko związany nie tylko z Morawskim, lecz także z jego rodziną. Zakochał się bowiem z wzajemnością w siostrze przyjaciela, Marii, i poważnie zaczął myśleć o małżeństwie.

„Była naprawdę ładną dziewczyną – wspominał – z dużymi brązowymi oczami. Bardzo muzykalna, miała piękny głos i grała na fortepianie, tak samo lubiła rysować i malować”<sup>[2]</sup>.

Mariażowi sprzeciwiał się jednak ojciec rodzeństwa. Morawscy byli bowiem inteligencką rodziną pochodzenia szlacheckiego i nie było tam miejsca dla „litewskiego chudopachołka”. Na wszelki wypadek Marię pośpiesznie wydano za zamożnego wdowca z czwórką dzieci, a rozżalony Mikołaj na pewien czas opuścił Warszawę.

Okazja sama się pojawiła, gdyż dzięki znajomościom Sygietyńskiego i pieniądzom Ogińskiego mógł rozpocząć studia muzyczne w Lipsku. Miał już wówczas na koncie

pierwszy poemat symfoniczny *W lesie* oraz wiele drobniejszych kompozycji. Jedna z nich, *Nocturne fis-moll*, została nawet opublikowana, natomiast kilka innych utworów zadedykował Marii.

## Samotność nad Elsterą

Królewskie Konserwatorium Muzyczne w Lipsku cieszyło się wielką sławą. W murach uczelni studiowało jednocześnie aż 800 studentów, a wykładowcy posiadali znakomitą renomę. Nad Elsterę ściągąta utalentowana młodzież nie tylko z całej Europy, lecz nawet z Ameryki. Nie brakowało też wybitnych wychowanków, lipską uczelnię ukończyli bowiem m.in. Edvard Grieg, Leoš Janáček, Isaac Albéniz czy Ferruccio Busoni.

Litwin czuł się jednak w Lipsku samotny. Z natury nie był skłonny do zawierania zbyt wielu znajomości, a ogrom szkoły go oszałamiał. Przywykł do warunków panujących w warszawskim Instytucie Muzycznym, gdzie w klasie fortepianu poza nim i Morawskim studiowało jeszcze tylko dwóch uczniów.

„Znajomych tu nie mam żadnych – potwierdzał w liście do przyjaciela. – Kolegów i koleżanek przeszło 800 egzemplarzy. Znam się tylko z kilkoma, a i to z daleka. Salter: Anglik (Amerykanin), muzykalny, zawsze chwali Amerykę, nieśmiały, słodki, fałszywy i na mnie patrzy trochę z góry, jak na Azjatę. Paulisson: Szwed, ma talent, doskonały kontrapunkcista, cicha woda”<sup>[3]</sup>.

Z Paulissonem wspólnie chodzili na koncerty i do opery (szczególnie na inscenizacje dzieł Wagnera). Porozumienie utrudniał im jednak fakt, że jedynym wspólnym językiem był

niemiecki, a żaden nie znał go w dostatecznym stopniu. Mimo to Szwed pozostał najbliższym znajomym Čiurlionisa w Lipsku.

Inna sprawa, że chociaż Litwin doceniał miejscowe inscenizacje operowe, to tamtejszą infrastrukturę teatralną uznawał za znacznie gorszą niż w Warszawie:

„Buda straszna ten cały lipski teatr, orkiestra nietęga, artyści też prawie że pod psem, dekoracje nieszczególne, bilet niezgrabny, nawet krzesło (...) okazało się niewygodne, ciągle musiałem poprawiać”<sup>[4]</sup>.

Podobało mu się jednak przedstawienie *Samson i Dalila* autorstwa Saint-Saënsa. Muzyka „miejscami była bardzo ciekawa”, nawet „był wprost oszołomiony, że tyle w tej muzyce było czegoś takiego miłosnego”. Natomiast finał wprowadził go wręcz w ekstazę, że „o mało sam nie poleciał do Dalili, chociaż była brzydka jak siedem grzechów głównych”.

Zachowała się korespondencja z Morawskim pochodząca z tego okresu. Dyskutowali głównie o sztuce, ale Morawski prosił też przyjaciela, by ten dbał o siebie. Doskonale bowiem wiedział, że Čiurlionis nie ma zbyt wiele pieniędzy do dyspozycji, zaś Lipsk nie jest najtańszym miastem. Litwin zresztą nigdy nie był okazem zdrowia, a poza tym nie miał zwyczaj zwracać uwagi na codzienne potrzeby.

„Nie wiedziałem – strofował Morawski przyjaciela – że Ty jesteś takie wielkie bydlę. Pojechałeś po co do Lipska? Uczyć się, czy tak? Jak możesz robić rzeczy, które Ci w niedługim czasie udaremnią naukę? Jeżeli, idioto, dostaniesz zapalenia kiszek lub kipniesz, to nie będziesz mógł się uczyć i marki przeznaczone na naukę pójdą na lekarstwa albo na pogrzeb. Herbata i bułki, a to litewska, psiakrew, niezaradność. A kupić za te pieniądze kaszy i nagotować bez okraszy”<sup>[5]</sup>.

Morawski nie ograniczał się tylko do dobrych rad – gdy bowiem zmarł książę Ogiński i ustało wypłacanie stypendium, przesyłał przyjacielowi pieniądze na wyżywienie. Za wszelką cenę chciał, by Čiurlionis skończył studia, tym bardziej że utwory, jakie wówczas komponował, wskazywały na dalszy rozwój jego talentu. Śmiało też wprowadzał do swoich dzieł elementy litewskiej muzyki ludowej, co zresztą spotkało się z dezaprobatą jednego z profesorów. Wykładowca dziwił się bowiem, że w utworach młodego człowieka jest tak dużo „smutku i monotonii”.

## Pożegnanie przyjaciół

Čiurlionis zdał końcowe egzaminy, a po powrocie do Warszawy wstąpił – wraz z Morawskim – do Szkoły Rysunku Jana Kauzika. Litwin utrzymywał się z lekcji muzyki, odmówił jednak objęcia stanowiska wykładowcy w Instytucie Muzycznym. Był rozżalony, że nowo powstała Filharmonia Warszawska nie wykonała jego poematu symfonicznego – nie chciał mieć więc nic wspólnego ze stołecznym światem muzycznym. Nie przyjął także posady dyrygenta chóru i orkiestry w Lublinie.

Wkrótce środowisko muzyków zaczęło go uważać za dziwaka, panowało bowiem powszechne przekonanie, że poważny kompozytor nie powinien się zajmować malarstwem. Mimo to przyjaciele rok później wstąpili do nowo otwartej Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie (dzisiejsza ASP), gdzie Litwin szybko zdobył uznanie. To właśnie jego prace były najczęściej nagradzane na przeglądach twórczości studentów uczelni.

Chętnie też brał udział w plenerach organizowanych przez szkołę (w łowickiej Arkadii oraz w Istebnej), co miało zaowocować upodobaniem do studiowania krajobrazu.

„Na »Wyspie Topolowej« – opisywał historyk sztuki, Jan Wegner – w małym domku zamieszkała grupka trzech osób – dwaj muzycy Kostek Czurlianis, Eugeniusz Morawski i młodszy ich kolega po palecie, którego Czurlianis przezywał »Mimoza« [Jan Brzeziński – S.K.]. Muzycy naprawili zaraz organy w jednej z komnat Świątyni Diany, wystarali się też o pianino i rozpoczęli muzykowanie. W tej sali odbywały się koncerty chopinowskie, których wykonawcami byli nasi muzycy: Konstanty Czurlianis i Eugeniusz Morawski”<sup>[6]</sup>.

Malarstwo stało się dla Čiurlionisa najważniejszym środkiem wyrazu, jednak z większości swoich obrazów nie był zadowolony. Mimo to nie załamywał się i nie odkładał pędzla nawet podczas wakacji spędzanych u rodziców w Druskienikach. To właśnie wtedy pojawiła się u niego dziwna nerwowość przeradzająca się w pracoholizm.

„Teraz, po przyjeździe do Druskienik – zwierzał się w jednym z listów – strasznie zapaliłem się do studiowania natury. Już przeszło tydzień, jak maluję dziennie cztery, pięć pejzaży. Namalowałem czterdzieści sztuk i niektóre być może, że są bardzo dobre”<sup>[7]</sup>.

Latem 1905 roku Čiurlionis wyjechał z Morawskim i zaprzyjaźnioną rodziną Wolmanów na wakacje na Kaukaz. Tamtejsze plenery wywarły na nim ogromne wrażenie, wtedy też zainteresował się fotografią. Zachowały się zdjęcia z tej wyprawy, głównie ujęcia morza i jego brzegów. Potwierdzają one ogromną wrażliwość plastyczną Čiurlionisa – można tylko żałować, że nie przetrwały fotografie z Krymu, który artysta również odwiedził podczas tej eskapady.



Były to jednak ostatnie miesiące bliskiej znajomości z Morawskim zaangażowanym w działalność PPS Frakcji Rewolucyjnej. Przyjaciel był zamieszany w zamach na warszawskiego generała-gubernatora Georgija Skałona, a w październiku 1907 roku wziął udział w napadzie na funkcjonariuszy carskiej policji. Dostał się wówczas w ręce Rosjan i osadzono go w więzieniu na Cytadeli. Wyrok zapadł po kilku miesiącach i – jak na ówczesne warunki – był dość łagodny. Morawski został skazany na cztery lata zesłania do Kraju Turuchańskiego położonego w zachodniej części Syberii. Interweniował jednak ojciec artysty i wyrok zamieniono na czteroletni pobyt poza granicami imperium Romanowów. Podobno wzięto pod uwagę zły stan zdrowia Eugeniusza. Inna sprawa, że kontakty i znajomości ojca bardzo się przydały <sup>[8]</sup>.

Wyjazd przyjaciela wywarł ogromny wpływ na przyszłość Ćiurlionisa i zapewne też odbił się na jego późniejszych decyzjach. Morawski trafił bowiem do Paryża, gdzie pozostał aż do 1930 roku. Wprawdzie korespondowali ze sobą i Eugeniusz wspomagał nawet czasami przyjaciela finansowo, ale Litwin stracił najbliższego sobie człowieka. Zbliżył się wówczas do niewielkiej kolonii żmudzkiej studiującej w Warszawie i propagującej hasła odrodzenia narodowego. Niebawem miał też podjąć decyzję, że całą swoją twórczość poświęci Litwie. Człowiek, który wychował się w kulcie Mickiewicza i Słowackiego, teraz postanowił stać się członkiem narodu, którego języka w ogóle nie znał (zresztą usystematyzowano go zaledwie kilka lat wcześniej, w 1901 roku).

## Zofia Kimontówna

Hasła litewskiego odrodzenia narodowego pojawiły się w drugiej połowie XIX wieku. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że jego zwolennicy nie mieli łatwej sytuacji – elity zostały przed wiekami gruntownie spolonizowane, a po upadku powstania styczniowego władze carskie wprowadziły zakaz druku litewskiej prasy i książek w alfabecie łacińskim. Władze carskie uznały, że używanie cyrylicy będzie sprzyjało rusyfikacji, i dlatego większość litewskiej literatury wydawano w Prusach i przemycano przez granicę.

Sytuacja zmieniła się w 1904 roku, gdy zniesiono dotychczasowe obostrzenia i entuzjaści powrotu do narodowych tradycji uzyskali możliwość bardziej swobodnego działania. Zbiegło się to z wyjazdem Morawskiego za granicę i zbliżeniem się Čiurlionisa do litewskich studentów w Warszawie. Pod ich wpływem artysta przyjechał do Wilna, gdzie został współzałożycielem Towarzystwa Sztuki Litewskiej. Tam też poznał kobietę swojego życia, a znajomość z nią utwierdziła go, że podjął właściwą decyzję.

Zofia Kimontówna (Sofija Kymantaitė) była młodsza od Čiurlionisa o ponad 10 lat. Ukończyła gimnazjum w Rydze, a następnie przez trzy lata studiowała nauki humanistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. W Wilnie pracowała jako dziennikarka i podczas jednej z prób teatralnych spotkała Čiurlionisa.

„Duża, pustawa sala – wspomiwała – na scenie aktorzy zaczęli grać. Usiedliśmy, obserwujemy. Bortkievičienė [przyjaciółka – S.K.] szepcze do mnie: »Spójrz, tam pod ścianą stoi Čiurlionis«. (...) I nagle jakaś fala załała mi serce. Wiedziałam absolutnie wszystko. To »On«”<sup>[9]</sup>.

Mikołaj zaczął się spotykać z Zofią pod pozorem nauki litewskiego. Szybko też uległ urokowi dziewczyny i postanowił na stałe przeprowadzić się do Wilna.

Na ten czas przypadł okres jego gorączkowej pracy malarskiej i poszukiwań metod syntezy plastyki z muzyką. Zaczął tworzyć cykle obrazów nazywane sonatami: *Słoneczna*, *Wiosenna*, *Zima*. Jak zawsze pracował w niezwykłym pośpiechu, jakby się obawiał, że nie będzie miał zbyt wiele czasu.

„Wiesz, Zośka, maluję! – zwierzał się ukochanej. – Od czwartku maluję po 8 do 10 godzin dziennie. Nic nie wychodzi, ale to nic. Maluję sonatę – naszkicowana już cała (4 części) i bardzo trudno daje mi się (...) skończyć. A chciałbym skończyć jak najprędzej, bo już druga zaczyna mi stawać przed oczami. (...) Żebyś Ty wiedziała, jak to przyjemnie tak zajadle, wściekle, tak bez pamięci i przytomności, i wytchnienia malować. Strach, jak przyjemnie”<sup>[10]</sup>.

Powstała wówczas *Sonata letnia* oraz inne obrazy o typowo muzycznych nazwach: *Preludium* i *Fuga*. Sił dodawała mu nie tylko miłość, lecz także fakt, że wileńscy krytycy mieli znacznie lepsze zdanie o jego talencie plastycznym niż warszawscy. Wystawa w Wilnie znalazła oddźwięk na łamach prasy, gdzie podnoszono zarówno indywidualność artysty, jak i jego „talent wizjonerski”. Jeden z dziennikarzy zauważył, że obrazy są „symfonią kolorów”, która zdradza, że ich autorem „mógł być tylko muzyk”. W efekcie, uznano go za twórcę, z którego „mógł być dumny każdy kraj, każdy naród”.

Čiurlionis nie zapominał też o muzyce – tworzył chorały do słów narzeczonej, razem planowali napisanie pierwszej litewskiej opery. Nie zmieniało to jednak faktu, że Konstanty żył w skrajnej biedzie, gdyż dochody miał niewielkie. Do tego musiał jeszcze spłacać raty za pianino, gdyż inaczej nie mógłby komponować. Swoją cenę miały też materiały malarskie, ale Čiurlionis się nie załamywał. W Warszawie nie został doceniony, zatem będzie twórcą litewskim. Największym w dotychczasowych dziejach tego narodu.

W wielu artykułach poświęconych artyście można znaleźć informacje, że o zerwaniu Čiurlionisa z kulturą polską zdecydował fakt odrzucenia jego utworu przez władze Filharmonii Warszawskiej jako dzieła autorstwa twórcy litewskiego. To zupełny absurd – na stołecznej estradzie prezentowano przecież utwory z całego świata. Poza tym w tamtych latach słowo „Litwin” oznaczało mieszkańca regionu Polski, podobnie jak Poznaniak, Mazowszanin czy „Galileusz” z Galicji. Do tego Čiurlionis posługiwał się wówczas wyłącznie językiem polskim, a w jednym z listów do Morawskiego użył nawet sformułowania: „My, Polacy”.

Rzeczywiście jednak obraził się na warszawskie środowisko muzyczne, ale być może chodziło o odrzucenie utworu ze względów typowo muzycznych, gdyż nie wszyscy doceniali nowatorstwo Čiurlionisa. Niewykluczone też, że przyczyna była inna: był to rodzaj zemsty za odmowę przyjęcia stanowiska wykładowcy w Instytucie Muzycznym i skierowanie swoich zainteresowań w stronę plastyki. Być może chciano przywołać do porządku upartego artystę, a na to nałożyła się jeszcze przymusowa emigracja Morawskiego i poznanie Zofii. Zapewne to wszystko razem spowodowało, że w Čiurlionisie nagle odezwał się twórca litewski.

## W poszukiwaniu samego siebie

Na razie najważniejsze dla niego było to, że się oświadczył i został przyjęty. Razem z Zofią spędzili wakacje w Połędzie, dziewczyna pisała, a Čiurlionis malował. I z każdym dniem był coraz bardziej zakochany w narzeczonej.

„A wiesz Ty, kto to jest Zosia? – zwierzał się bratu. – Domyślasz się pewno – żona moja – narzeczona. Ta, o której

przez tyle lat śniłem i szukałem na drodze swojej, a spotykałem tylko słabe podobieństwa, złudzenia i rozczarowania, i zawody. Teraz jest mi tak jasno na sercu, że chciałybym bardzo ogarnąć świat cały, przytulić, ogrzać i pocieszyć”<sup>[11]</sup>.

Ślub zaplanowano na 1 stycznia 1909 roku, a do tego czasu Mikołaj planował znaleźć stałe źródło dochodów, by zapewnić rodzinie utrzymanie. Chociaż bowiem cieszył się coraz większą popularnością, wciąż zarabiał bardzo skromnie. Niewielką kwotę otrzymywał za prowadzenie litewskiego chóru w Wilnie, do tego dochodziły jeszcze nieregularne honoraria za udzielanie prywatnych lekcji muzyki. Zresztą pod tym względem rynek był niemal całkowicie nasycony, a nauczyciele muzyki latami pracowali na swoją renomę.

W tej sytuacji Čiurlionis udał się do Petersburga, który od dawna przyciągał twórców ze wszystkich stron Rosji. Tam była największa publiczność i największe pieniądze, a zdobyte nad Newą uznanie procentowało w całym imperium Romanowów. Pierwsza próba podjęta przez Čiurlionisa zakończyła się niepowodzeniem, ale uparty artysta po kilku miesiącach trafił do rosyjskiej stolicy po raz drugi. Tym razem poza obrazami zabrał ze sobą rekomendacje do Litwinów osiadłych w Petersburgu – i początki pobytu faktycznie były obiecujące. Utwory Mikołaja miały zostać zaprezentowane w cyklu koncertów nowej muzyki współczesnej, a kilka obrazów zakwalifikowano na dużą wystawę, która miała się odbyć po Nowym Roku. Jednak najbardziej ucieszyło go przysłane przez narzeczoną libretto do opery *Jurata*, do którego miał skomponować muzykę. Zresztą jak zwykle miał głowę pełną pomysłów.

„Chciałybym ułożyć symfonię ze szmeru fal – pisał do Zofii – z tajemniczej mowy boru wiekowego z mrugania gwiazd, z piosenek naszych [litewskich – S.K.] i z bezmiernej tęsknoty

mojej. Chciałbym wejść na najwyższe szczyty niedostępne śmiertelnym i z najpiękniejszych gwiazd upleść wianek dla Zosi – żony mojej”<sup>[12]</sup>.

Čiurlionis na krótko opuścił Petersburg, by wziąć ślub w Płungianach, a zaraz potem wraz z żoną ponownie przyjechał nad Newę. Niestety, zapowiadzana wystawa okazała się porażką – obrazy Mikołaja zostały źle ocenione i nikt nie kwapił się do ich zakupu. Natomiast na jednym z koncertów jego muzyka rozbrzmiewała pomiędzy utworami Rachmaninowa i Skriabina, ale również nie wywołała zachwyty. Čiurlionisowie zrozumieli, że nie będą mogli utrzymać się w Petersburgu, i po kilku tygodniach wrócili do Wilna.

Tam także nie wiodło im się lepiej. Recenzenci solidarnie skrytykowali kolejną wystawę artysty, ich irytację wzbudzały zwłaszcza muzyczne tytuły obrazów. Co gorsza, pojawiły się głosy, że twórczość Čiurlionisa jest „obca narodowi litewskiemu”, co szczególnie zabolęło Mikołaja. Najwyraźniej nie doceniano jego nowatorstwa, nie zdając sobie sprawy z faktu, że prawdziwego talentu nie można zbyt łatwo zaszufladkować.

Nawet dziś badacze mają z tym problem – wprawdzie Čiurlionis bywa uważany za symbolistę, ale w jego malarstwie można także dostrzec wyraźne zapowiedzi abstrakcjonizmu i surrealizmu. Dlatego też pojawiały się propozycje przyznania mu zupełnie oddzielnego statusu w plastyce – jako jedynego przedstawiciela transsymbolizmu. Podobnie było z muzyką, obecnie uważany jest za prekursora serializmu, chociaż badacze próbowali określać go także jako muzycznego symbolistę.

Čiurlionis miał jednak wizję swojej sztuki i nie zamierzał zwracać uwagi na krytykę. Choć brakowało środków do życia, nie poddawał się.

„Malowałem najczęściej od dziewiątej rano do szóstej, siódmej – zwierzał się w jednym z listów. – Później mniej tylko dlatego, że zaczęły się robić krótsze dni. Prawie co dzień po malowaniu chodziliśmy z Zosią na spacer. (...) Moja muzyka odłogiem stoi – leży mi to ciężkim kamieniem na sercu, ale to nic, przyjdzie czas po temu i znowu będzie dobrze. Tylko ciągle mi brak na wszystko czasu”<sup>[13]</sup>.

Gdy żona zaszła w ciążę, Čiurlionis postanowił ponownie szukać szczęścia w Petersburgu. Zabrał ze sobą nowe obrazy, ale nad Newą ponownie poniósł klęskę. Z trudem utrzymywał się z dawania lekcji muzyki i kierowania Chórem Litewskim. Mimo fatalnych warunków lokalowych i małej ilości światła (nadchodziła zima) ciągle obsesyjnie malował, ale zaczynał odczuwać coraz większą rezygnację. Najbardziej bolał go fakt, że nie tylko nie potrafi utrzymać rodziny, ale nawet sam nie przeżyłby w Petersburgu bez pomocy finansowej ze strony Zofii.

„[Pieniędzy] tyle jest na Bożym świecie – żalił się – krążą po rozmaitych portmonetkach, kasach i bankach, a tu (uderzyłem się w tej chwili po kieszeni), tu, gdzie one są tak bardzo potrzebne, to ich jakoś nie ma”<sup>[14]</sup>.

## Przerwany lot

Zofia, która przyjechała do Petersburga na święta, zastała męża w fatalnym stanie psychicznym. Opinia lekarza był jednoznaczna – Čiurlionis wpadł w depresję spowodowaną przemęczeniem pracą. W tej sytuacji żona zabrała go do Druskienik, gdzie powoli doszedł do siebie. Nie chciał jednak

malować ani komponować, odmawiał nawet gry na pianinie. Sprawiał wrażenie kompletnie wypalonego.

Nastroju nie poprawiły też informacje z Petersburga, gdzie prace Čiurlionisa poddano ostrej krytyce po prezentacji na Wystawie Związku Artystów Rosyjskich. Mikołaj wpadł w całkowitą apatię. W tej sytuacji uznano, że może mu pomóc tylko leczenie szpitalne. Wybrano sanatorium w Czerwonym Dworze w podwarszawskim Pustelniku, a koszty pokryła rodzina Wolmanów i Eugeniusz Morawski. Zofia natomiast wyjechała do Wilna, gdyż zbliżał się termin porodu. Wówczas jeszcze nie wiedziała, że już nigdy nie zobaczy męża żywego.

Diagnoza postawiona w Pustelniku była bardzo niepomysłna – lekarze rozpoznali schizofrenię i raczej nie dawali Čiurlionisowi szans na jej pokonanie. Artysta był tak pogrążony w apatii, że nawet nie wiadomo, kiedy dowiedział się, że w czerwcu 1910 roku Zosia urodziła córkę Danutę. Čiurlionis nigdy nie zobaczył swojego jedyne dziecko.



**Eugeniusz Morawski (po lewej) i Mikołaj Čiurlionis.**  
(Wikipedia)





**Eugeniusz Morawski ok. 1915 r.**  
(NAC)

Z upływem czasu jego stan powoli zaczął się polepszać, a nastrój poprawiła mu wiadomość, że kilka jego obrazów było prezentowanych na Wystawie Artystów Rosyjskich w Paryżu. Ignorując zalecenia lekarzy, powrócił do malowania i ponownie poświęcał swej pasji całe dnie i noce. Specjaliści byli zaskoczeni, Čiurlionis najwyraźniej czuł się coraz lepiej i zaczęto mówić o jego wyleczeniu. Planował nawet wakacje z żoną i córką w Druskienikach. Niespodziewanie jednak zaziębił się, a osłabiony organizm nie poradził sobie z zapaleniem płuc. Čiurlionis zmarł w kwietniu 1911 roku, spoczął na wileńskim cmentarzu Na Rossie.

Po śmierci męża Zofia przeprowadziła się z córką do Kowna. Pracowała jako nauczycielka, a po odzyskaniu niepodległości przez Litwę wykładała na Uniwersytecie w Kownie. Zmarła w grudniu 1958 roku.

Władze Republiki Litewskiej uznały Čiurlionisa za najważniejszego artystę narodowego. W 1921 roku otwarto w Kownie Narodowe Muzeum Sztuki, które przyjęło jego imię. Oczywiście w brzmieniu litewskim, którego sam Mikołaj

nigdy nie używał. Nie zmienia to jednak faktu, że udało się tam zgromadzić większość z jego 300 prac malarskich, a kolekcja przetrwała wszelkie zawieruchy polityczne.



**Plener Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych pod kierunkiem prof. Konrada Krzyżanowskiego, 1905 r. Čiurlionis siedzi w centrum grupy.**

(Biblioteka Narodowa)



**Mikołaj Čiurlionis z Zofią Kimontówną (Sofija Kymantaitė).**

(Wikimedia Commons)

Władze litewskie miały jednak dużo problemów ze spuścizną po Čiurlionisie. Gdy w okresie międzywojennym zaplanowano wydanie jego korespondencji, najpierw trzeba było ją przetłumaczyć na litewski, gdyż artysta pisał listy wyłącznie po polsku. Zresztą nawet dziś w kowieńskiej galerii czeka turystów spore zaskoczenie – podobnie jak miało to miejsce w przypadku Stanisława Cata-Mackiewicza, który odwiedził muzeum przed wybuchem II wojny światowej:

„Prawdziwie litewskim Litwinem jest wielki Čiurlionis – komentował Cat. – (...) Litwini go czczą jako nareszcie swoją autentyczną znakomitość, przecież to nie żaden Mickiewicz piszący: »Litwo, ojczyzno moja...« po polsku. Čiurlionis ma w Kownie własne muzeum. Zwiedzałem je i cóż! Na jednym z obrazów Čiurlionisa, malowanym w roku 1907, widzę wyraz... »Zachód«, tak jest, cynicznie dużymi literami wyraz »Zachód«, bez wątpienia po polsku”<sup>[15]</sup>.

## ROZDZIAŁ 5

# MŁODOŚĆ TAMARY ŁEMPICKIEJ

**D**la Polaków Dalekie Kresy to nie tylko tereny dawnej Rzeczypospolitej. Polska diaspora żyła bowiem także na obszarach, które nigdy nie leżały w granicach Korony czy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jednym z takich miejsc był Petersburg, gdzie u schyłku XIX wieku mieszkało około 40 tysięcy Polaków (prawie 3 proc. mieszkańców). Była to mniejszość bardzo widoczna, stanowili ją bowiem ludzie zamożni i wykształceni, dla których miasto nad Newą było dobrym miejscem do zrobienia kariery. Należała do nich także rodzina Łempickich. Jednak osoba, która unieśmiertelniła to nazwisko, weszła w skład rodziny poprzez małżeństwo. Inna sprawa, że nikt wówczas nie przypuszczał, jak wielka czeka ją przyszłość...

## Pastereczka z gęsiami

Najwięcej nieporozumień narosło wokół młodych lat artystki. Tamara – jak większość kobiet tamtej epoki – konsekwentnie się odmładzała, a przy okazji konfabulowała na temat swojego pochodzenia. Twierdziła, że urodziła się i wychowała w Warszawie, podczas gdy naprawdę przyszła na świat w

Moskwie. I chociaż zawsze uważała się za Polkę, to w rzeczywistości była jednym z trojga dzieci zamożnego żydowsko-polskiego małżeństwa. Związek jej rodziców zaczął się od wielkiej miłości, która niebawem zamieniła się we wzajemną niechęć.

„(...) byli ze sobą nieszczęśliwi – wspominała Tamara pod koniec życia. – Kłótnie i nieporozumienia – mój ojciec odszedł – któregoś dnia nie wrócił – dowiedziałam się o rozwodzie”<sup>[1]</sup>.

Minęła się tu z prawdą, albowiem w imperium rosyjskim nie przeprowadzano rozwodów, a małżeństwo jej rodziców zakończyło się w chwili, gdy Borys Gurwik-Gorski popełnił samobójstwo. Na zawsze jednak zapamiętała śniadania z ojcem, kiedy to siadała mu na kolanach i razem spożywali „chrupiące bułeczki, smaczne masło, ryby, ser, pyszną szynkę, a od czasu do czasu i kawę”.

Wychowywała się głównie w Moskwie, jednak długie miesiące spędzała również w Warszawie u rodziny matki. Jej dziadkowie, Klementyna i Bernard Deklerowie, należeli do elity miasta, a w ich domu często gościły sławy tej miary, co Ignacy Paderewski czy Artur Rubinstein. Tymczasem Tamara od najmłodszych lat przejawiała talent plastyczny.

„Moja mama chciała mieć mój portret – opowiadała po latach swojej córce. – W związku z tym musiałam pozować bez ruchu przez kilka godzin, to była prawdziwa tortura. (...) Kiedy artystka skończyła, obraz mi się nie spodobał; nie był... staranny. Linie nie były dokładne, nie były czyste. To nie byłam ja. Uznałam, że potrafiłabym lepiej. Nie znałam oczywiście techniki, nigdy nie malowałam, ale to było mniej ważne. Miałam dwa lata młodszą siostrę. Zamówiłam farby, kazałam jej usiąść. Malowałam, malowałam, aż uzyskałam satysfakcjonujący mnie rezultat. Nie był perfekcyjny, ale

bardziej podobny do siostry niż mój wizerunek namalowany przez znaną artystkę”<sup>[2]</sup>.

Tamara często podróżowała do Petersburga, gdzie mieszkała siostra matki wraz z mężem, zamożnym prawnikiem, Maurycym Stifterem. Spędzała tam kilka tygodni w roku, a pewnego dnia udała się wraz z wujem i ciotką na bal, na którym miała być obecna cała petersburska śmietanka towarzyska. Kilkunastoletnia dziewczyna postanowiła zwrócić na siebie uwagę i wystąpiła w stroju chłopskim, prowadząc za sobą dwie żywe gęsi.

„Kiedy pletwiaste nogi ptaków dotknęły wypolerowanej podłogi sali – opisywała to wydarzenie biografka Tamary, Laura Claridge – gęsi zaczęły się ślizgać i gęgać jak oszalałe, a przy każdym kroku ślizgały się jeszcze bardziej. Widowisko to serdecznie rozbawiło gości, którzy oklaskami nagrodzili brawurowy występ – gęsi, a nie ich właścicielki”<sup>[3]</sup>.

Jednym z najbardziej rozbawionych uczestników balu był 22-letni prawnik, Tadeusz Łempicki, który kilka lat później miał zostać mężem Tamary.

## Miasto nad Newą

Petersburg uważano wówczas za jedną ze stolic świata. Było to „okno na Zachód i zapisana w kamieniu kronika potężnej przebudowy rosyjskiego społeczeństwa w XVIII wieku”. Imperialne miasto z szerokimi bulwarami, niezliczoną liczbą mostów i monumentalnych gmachów, zaliczano do najpiękniejszych w Europie. W sklepach można było nabyć „ostrygi z Paryża, homary z Ostendy, kwiaty z Nicei”, sprowadzano także angielskie „placki owocowe, sole pachnące,

mydło Pearsa” oraz „białe jak talk piłki tenisowe i trykoty do gry w piłkę nożną w barwach Cambridge i Oksfordu”.

Petersburskie elity ceniły zabawę i wyrafinowanie, a początek XX wieku był okresem nieustannych balów, rautów i bankietów.

„(...) w sezonie życie nabierało nadzwyczajnego tempa – opisywali Rosemary i Donald Crawfordowie. – Wieczory spędzano na balach maskowych w jednym z miejscowych wspaniałych pałaców. Albo goszcząc w pyszniącym się złotem i purpurą prywatnym teatrze książąt Jusupowów nad brzegiem rzeki Mojki, ewentualnie na koncertach, po których odbywały się kolacje w urządzonych z ogromnym przepychem rezydencjach. Petersburg, »miasto zamawiające szampana na galony, a nie na butelki«, był jedną wielką salą balową”<sup>[4]</sup>.

Szczególnie wyrafinowane były bale w pałacu książąt Jusupowów. Księżna, siostrzenica Mikołaja II, i jej małżonek (przyszły zabójca Rasputina) należeli do najwyższych kręgów arystokracji rosyjskiej. Reprezentowali środowisko niezwykle eleganckie, ale przesiąknięte dekadencją odchodzącej epoki. Feliks Jusupow był homoseksualistą, lubił też pokazywać się w damskich szatach, w których zresztą prezentował się bardzo korzystnie. Kiedyś wzbudził nawet zainteresowanie króla Anglii Edwarda VII, który zażądał, by przedstawiono go tej „uroczej młodej damie”...

Tamara chętnie uczestniczyła w życiu towarzyskim rosyjskiej stolicy, a po latach uważała, że to właśnie wtedy nabrała ogłady. Na każdej imprezie wypatrywała Tadeusza Łempickiego, zachwyty nad jego urodą przerodził się u niej w prawdziwą obsesję. Wiedziała jednak, że ma wiele rywalek.

„Spojrzałam na niego i powiedziałam: »Ależ on musi być szczęśliwy, mając wokół siebie te wszystkie dziewczęta«. (...) I od razu się w nim zakochałam, ponieważ był taki przystojny. I

dlatego, że był zupełnie sam wśród tych dziesięciu otaczających go kobiet”<sup>[5]</sup>.

## Tadeusz Łempicki

Wybranek Tamary pochodził z zamożnej polskiej rodziny, jego ojciec był przedstawicielem Towarzystwa Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Petersburgu. Tadeusz ukończył tu prawo, nigdy jednak nie należał do mężczyzn nadmiernie pracowitych. Lubił kobiety i dobrą zabawę – najwyraźniej uważał, że dżentelmen nie musi się starać o pieniądze, tylko po prostu je ma. Był nieprawdopodobnie przystojny i nigdy nie narzekał na brak adoratorek.

Zapewne potrzeba częstego widywania Tadeusza spowodowała, że Tamara postanowiła przenieść się na stałe nad Newę. Stifterowie nie mieli własnych dzieci i traktowali dziewczynę jak rodzoną córkę. W dodatku stolica Romanowów – atrakcyjne miasto, w którym wiele się działo – dawała jej znacznie lepsze możliwości życiowego startu niż Moskwa czy Warszawa. Po latach Łempicka twierdziła, że Petersburg urzekł ją od pierwszego kontaktu:

„(...) bez końca padające gwiazdziste płatki śniegu, czasami miękkie i spokojne, czasami rozsypujące się jak konfetti w podmuchach wiatru. (...) Ulice, przy których stały pastelowe pałace, bulwary, którymi pędziły trojki i jednokonne saneczki prowadzone przez dżentelmenów w futrach, gdzie woźnice klepali się rękami dla rozgrzewki, a ich oddechy mieszały się z płatkami śniegu”<sup>[6]</sup>.

Tamara wiedziała, że u Stifterów będzie miała większą swobodę niż u boku matki. Wujostwo bowiem uwielbiali



dziewczynę i pozwalali jej praktycznie na wszystko.

„Chciałam zamieszkać z ciotką Stefą – wspominała artystka – wiedziałam bowiem, że poświęci mi dużo uwagi, gdyż będę jedyną dziewczynką w rodzinie. Zawsze uwielbiałam piękne rzeczy, a ciocia Stefa miała najpiękniejszy w świecie dom, stroje i biżuterię”<sup>[7]</sup>.

Niebawem udało jej się nawiązać bliższą znajomość z Tadeuszem – to Tamara była stroną inicjująca spotkania. Sytuacja taka trwała przez kilka lat ku wielkiemu niezadowoleniu wuja dziewczyny. Stifter nie uważał bowiem Łempickiego za odpowiednią partię, twierdząc, że jest on „bezrobotnym prawnikiem”, który ma „reputację kochasia”.

Tamara jednak postawiła na swoim, a wpływ na przebieg ich znajomości miały również niepowodzenia finansowe Łempickich. Ojciec Tadeusza przeżywał kryzys wieku średniego, co zakończyło się katastrofą. Wydawał ogromne sumy na kolejne kochanki i huczne imprezy – w efekcie musiał sprzedać rodzinny majątek. Z kolei Tamara miała obiecany duży posag, co było poważnym argumentem dla pozbawionego pieniędzy Tadeusza. Dziewczyna sprawnie to wykorzystała, przekonała wuja do swoich planów i Stifter wystąpił w roli pośrednika.

„Wyłóżę karty na stół – powiedział w rozmowie z Tadeuszem. – Jesteś eleganckim mężczyzną, ale nie masz dużo pieniędzy. Mam siostrzenicę, Polkę, którą chciałbym wydać za mąż. Jeśli się z nią ożenisz, dam jej posag. W każdym razie już ją znasz”<sup>[8]</sup>.

## Dżentelmen usidlony

Tamara chciała mieć jednak pewność, że narzeczony nie zrezygnuje ze ślubu, i zaszła z nim w ciążę. W tej sytuacji Łempicki nie miał już wyjścia – musiał poślubić kochankę, by uniknąć skandalu, który pograżyłby ich oboje w oczach eleganckiego świata rosyjskiej stolicy. Elity tej epoki tolerowały bowiem niewierność małżeńską, ale nieślubne dzieci były niemile widziane. Kobieta, która pozwoliła sobie na podobny krok, raz na zawsze zniknęła z życia towarzyskiego, a mężczyznę niepotrafiącego się odpowiednio zachować uznawano za człowieka pozbawionego honoru. A takich ludzi nie przyjmowano w eleganckim świecie...

Na początku 1916 roku Tamara osiągnęła swój cel i wyszła za mąż za Tadeusza. Ich ślub był ważnym wydarzeniem, toteż mimo trwającej od prawie dwóch lat wojny ściągnął całą śmietankę towarzyską rosyjskiej stolicy. Według relacji panny młodej uroczystość odbyła się w kaplicy Kawalerów Maltańskich, zapewne w obrzędku katolickim, gdyż oboje należeli do tego wyznania. Powszechną uwagę zwracał strój Tamary – tren jej sukni „ciągnął się przez cały kościół aż do ołtarza jak dramatyczny efekt, który sobie wcześniej wymarzyła”. Po latach artystka wspominała, że „tak powinna wyglądać każda suknia ślubna”, gdyż „kobieta ma tylko tę jedną okazję, by wszyscy się za nią oglądali, niezależnie od tego, czy jest piękna, czy nie”.

Młoda pani Łempicka z pewnością była zadowolona, że wreszcie poślubiła Tadeusza, ale nie okazała się wierną żoną. W jej życiu wkrótce pojawili się inni mężczyźni, więc można podejrzewać, że nigdy nie miała skłonności do monogamii.

„Kiedyś – wspominała córka Tamary – opowiadała o swoim weselu meksykańskiemu bankierowi Felipe Ortiz-Monasterio i jego narzeczonej Gabriele, (...) przyznając się przed parą, że podczas wesela poznała oszałamiająco przystojnego dyplomatę z Syjamu, który tak zawrócił jej w głowie, że gdy

spotkali się ponownie już po jej miesiącu miodowym, to wylądowała w jego łóżku”<sup>[9]</sup>.

W połowie września 1916 roku na świat przyszła Maria Krystyna (Kizette), jedyna córka Tamary i Tadeusza. Małżonkowie zajmowali wówczas modnie urządzone mieszkanie w centrum Piotrogradu (Petersburg), dziewczynkę oddali na wychowanie mieszkającej w Moskwie matce Tamary, a sami – mimo coraz bardziej skomplikowanej sytuacji politycznej – nadal uczestniczyli w życiu towarzyskim miasta. W stolicy wciąż funkcjonowały teatry i kabarety, a dla ludzi zamożnych braki w zaopatrzeniu były niezauważalne. Nie zrobiła na nich wrażenia nawet abdykacja Mikołaja II i ogłoszenie Rosji republiką. Gwałtowne zmiany w ich sytuacji życiowej miała przynieść dopiero rewolucja październikowa.

## Rewolucja

Bolszewicy nie przebiali w środkach prowadzących do utrzymania władzy i w Piotrogradzie zapanował terror. Na pierwszy ogień poszli przedstawiciele starego porządku, którym nie udało się opuścić kraju. Niebawem przyszedł też czas na Łempickich, którzy uważali rządy komunistów za przejściowe i czekali na wkroczenie do Piotrogradu oddziałów „białych”.

„Czekiści zatrzymywali każdego, kto miał konto bankowe – opowiadała Kizette. – Tadeusz oczywiście je posiadał, toteż dość szybko został aresztowany. Przyszli po niego w nocy, trzech mężczyzn o pociągłych twarzach, ubranych w czarne skórzane płaszcze. Łempiccy kochali się właśnie, gdy rozległo się walenie do drzwi”<sup>[10]</sup>.

Tamara zachowała przytomność umysłu i po wyjściu czekistów zniszczyła dokumenty, których nie znaleziono podczas rewizji. Chociaż miała możliwość wyjazdu do Kopenhagi, gdzie schroniła się jej rodzina, postanowiła ratować męża. Poszukiwała kontaktu z ludźmi, którzy mogli pomóc w jego uwolnieniu – wreszcie trafiła do szwedzkiego konsula, którego poznała na swoim weselu. Dyplomata zażądał jednak, by w zamian została jego kochanką, wyjaśniając, że jest to „usługa za usługę”.

Szwed dotrzymał słowa i kilka dni później przedstawił plan wydobycia Tadeusza z więzienia. Małżonkowie mieli się spotkać za granicą, a na razie Tamara powinna opuścić Rosję. Miała wyjechać razem z konsulem, posługując się szwedzkim paszportem.

„Jeśli będzie mnie pani zmuszała – tłumaczył Łempickiej – abym obstawał w negocjacjach, aby pani mąż wyjechał wraz z panią, cały plan spali na panewce”<sup>[11]</sup>.

Konsul miał rację – sprawa była delikatna i tylko spokojne działanie mogło zapewnić sukces, tym bardziej że po kilku miesiącach rządów bolszewików nawet wyjazd samej Tamary nastęrczał wielu trudności.

„W pociągu proszę mówić wyłącznie po francusku – instruował Szwed – i starać się zachowywać naturalnie, gdy będzie pani okazywała szwedzki paszport eskortcie”<sup>[12]</sup>.



**Portret młodej kobiety.**

(NAC)



**Portret markiza D'Afflitto.**  
(NAC)

Po przekroczeniu granicy rosyjsko-fińskiej Tamara spędziła noc ze swoim wybawcą, po czym wsiadła na statek płynący do Kopenhagi. Tam spotkała Stifterów oraz matkę z Kizette. Nie chciała tłumaczyć, jak opuściła zbolszewizowany Piotrogród, stwierdziła tylko, że udało jej się uciec dzięki „transakcji handlowej, umowie, w której druga strona dotrzymała słowa”.

Tadeusz został zwolniony z więzienia i jako Polak uzyskał zgodę na wyjazd do Warszawy. Następnie udał się do Paryża, by tam – po kilkunastu miesiącach rozłąki – spotkać się z żoną.

## Namiętności i kariera

Tymczasem Tamara nudziła się w Kopenhadze. Mogła kochać Łempickiego, ale miała swoje potrzeby i nie zamierzała rezygnować z uroków życia. Gdy spotkała syjamskiego dyplomatę, z którym romansowała w Rosji, ponownie została jego kochanką. Egzotyczny przyjaciel zrobił na niej oszałamiające wrażenie. Był elegancki, miał pieniądze, a do tego dysponował paszportem dyplomatycznym.



**Dwie dziewczynki z wstążkami.**

(NAC)



**Kobieta karmiąca.**

(NAC)

„(...) poczuła się równie atrakcyjna, co w dniu swojego ślubu – relacjonowała Kizette – i nie starała się specjalnie ukrywać swojego romansu. Wyjechała z nim do Londynu, doceniając

luksus, jakim ją otaczał. Nazywała go »azjatyckim umysłem«, zachwycała się jego garderobą, służbą, »wyrafinowaniem« i »bardzo wysoką kulturą«<sup>[13]</sup>.

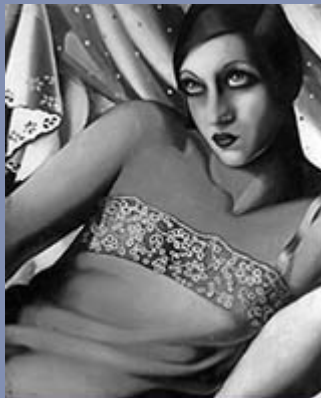
Do końca życia chlubiła się tą znajomością, twierdząc, że Syjamczyk zaopiekował się nią i ochronił przed nędzą. Romansu nie ukrywała też przed mężem, tym bardziej że gdy wreszcie spotkała Tadeusza, okazało się, iż Łempicki nie jest już tym samym człowiekiem, co przed aresztowaniem. Nic dziwnego, że ostatecznie doszło do rozwodu, ale Tamara była już wówczas uznaną malarką.

Na całe życie zachowała też głęboką niechęć do komunizmu i wszelkiego rodzaju ruchów totalitarnych. Paradoksem całej sytuacji pozostaje fakt, że gdyby nie bolszewicki przewrót, świat zapewne nigdy nie usłyszałby o Tamarze Łempickiej.

Razem z córką wyjechała do Paryża, gdzie zaczęła się jej niezwykła kariera. O jej życiu miały krążyć legendy, a sama artystka okazała się mistrzynią autokreacji. Z perspektywy czasu za najświetniejszą pracę Łempickiej uważa się *Autoportret w zielonym bugatti*. Niewielki obraz powstał na okładkę „Die Dame” w 1929 roku, po czym – wielokrotnie reprodukowany – stał się symbolem epoki. Przedstawia kobietę w skórzanej pilotce i rękawiczkach za kierownicą potężnego samochodu. Piękna dama w szarym stroju i barwny pojazd – metafora emancypacji, szybkiego życia i swobody. Tamara idealnie trafiła w zapotrzebowanie publiczności, a to, że nigdy nie posiadała bugatti, tylko małe, żółte renault, nie miało większego znaczenia.



**Smutek.**  
(NAC)



**Młoda dziewczyna.**  
(NAC)

Inna sprawa, że Łempicka nie musiała specjalnie dbać o wzbogacanie swojej biografii. Zawsze „nienasycona seksualnie, teatralna, elegancka, bystra i utalentowana” stała



się symbolem szalonych lat 20. ubiegłego stulecia. Jej życie osobiste wzbudzało powszechne zainteresowanie, gdyż „romansowała z każdym mężczyzną i każdą kobietą, których uznała za pięknych”. W życiorysie artystki nie brakowało też seksu grupowego w oparach kokainy i alkoholu oraz romansów z prostytutkami i marynarzami. A jednocześnie tworzyła obrazy, które osiągały zawrotne ceny...

## ROZDZIAŁ 6

# ARTYŚCI W TRYBACH HISTORII

Polscy aktorzy traktowali występy w Rosji jak „wyprawy po złote runo”, gdyż miejscowi promotorzy dobrze płacili, a polska diaspora była spragniona kontaktu z rodakami. Nikt jednak nie przypuszczał, że w latach I wojny światowej setki artystów przymusowo znajdą się w Rosji i będą tam zostawieni na pastwę losu. Dotknęła ich bowiem rosyjska polityka „spalonej ziemi”, gdy carskie wojska, wycofując się przed armiami państw centralnych, przesiedliły na wschód ponad milion naszych rodaków.

## Niezniszczalny Arnold

Wielu ludzi sceny grających na co dzień w Warszawie pochodziło z Galicji i posługiwało się paszportami państwa Habsburgów. Wprawdzie w stolicy funkcjonowała rosyjska cenzura, ale były tu jednak najwyższe gáže i największa publiczność. Artyści z zaboru austriackiego tłumnie zatem ścigali do Warszawy, gdzie solidarnie złożyli na moskiewskie zarządzenia, ale nie myśleli o powrocie na prowincjonalne sceny. Życie teatralne Krakowa czy Lwowa nie mogło się bowiem równać z warszawskim, a – jak wiadomo –

ludziom teatru zależy najbardziej na aplauzie publiczności i wysokich honorariach.

W 1908 roku w Warszawie pojawił się doktor filozofii i początkujący promotor teatralny, Arnold Szyfman. Karierę w stolicy rozpoczął od założenia kabaretu Momus, jednak niebawem zaangażował się w znacznie poważniejsze przedsięwzięcie. Z jego inicjatywy rozpoczęto budowę Teatru Polskiego, a Szyfman objął dyrekcję tej placówki. Scenę szybko uznano za najlepszą w Warszawie, jednak wybuch wojny właściwie wszystko przekreślił.

Pod koniec sierpnia 1914 roku Szyfman jako obywatel austriacki został aresztowany i osadzony w więzieniu przy Daniłowiczowskiej. Następnie wysłano go do Orłowa w guberni wiackiej, gdzie został zwolniony natychmiast po przybyciu. Powrócił do Warszawy, ponownie objął dyrekcję Teatru Polskiego i korzystając ze stabilnej sytuacji na froncie, przygotowywał kolejne inscenizacje. Wybrał się nawet z zespołem na gościnne występy kijowskiego teatru Rychłowskiego. Jednak kilka miesięcy później żarty się skończyły – Niemcy zagrozili Warszawie. Dyrektor dostał polecenie wyjazdu do Moskwy, któremu musiał się podporządkować, gdyż alternatywą było aresztowanie i pobyt w więzieniu.

Moskwa okazała się znacznie lepszym miejscem dla Polaka z austriackim paszportem niż Petersburg. Z rosyjskiej stolicy usunięto bowiem Polaków będących obywatelami monarchii Habsburgów, wyjaśniając, że „w bliskości majestatu cesarza nie mogą zamieszkiwać niepewni poddani wojujących z nim państw”. To była jednak elegancka epoka...

Nie zmienia to faktu, że Polacy z Galicji byli czujnie obserwowani przez policję. Rewidowano pokoje, w których mieszkali, i regularnie wzywano ich na przesłuchania. Natomiast humorystycznym akcentem w całej sprawie było

to, że autentycznym współpracownikiem Niemców okazała się właścicielka hotelu, w którym mieszkała jedna z grup aktorskich. Miejscowa policja nie interesowała się obywatelką Rosji, całą energię poświęcając na tropienie austriackich Polaków...

Przyjeżdżając do Moskwy, Szyfman dysponował kwotą 350 rubli, co nie mogło zaspokoić potrzeb zespołu teatralnego. Pilnie jednak obserwował miejscowe życie kulturalne i był świadkiem pierwszej próby powołania sceny polskiej. Inicjatywa zyskała poparcie Komitetu Polskiego Pomocy Ofiarom Wojny i Domu Polskiego w Moskwie, a trupa złożona z aktorów z różnych zespołów dała kilkanaście przedstawień na scenie Teatru Kameralnego. Impreza okazała się jednak nieudana, klapą zakończyła się również próba powołania Teatru Narodowego. W tej sytuacji część aktorów przeniosła się do Kijowa pod skrzydła Rychłowskiego.

Wreszcie Szyfman miał już dość przymusowego bezrobocia i w oparciu o Dom Polski stworzył nowy zespół. Gdy zapewniono mu dostęp do sceny Teatru Kameralnego, ściągnął znakomitych aktorów z Jaraczem, Osterwą i Brydzińskim na czele. Pozyskał także do współpracy utalentowanych plastyków – doskonale wiedział, jak ważną rolę odgrywa scenografia.

Dyrektor ułożył ambitny repertuar, choć liczbę premier musiał ograniczyć do dziewięciu. Nie zmienia to jednak faktu, że postawił na jakość – zaprezentował utwory: Słowackiego, Fredry, Wyspiańskiego i Bałuckiego. Inna sprawa, że od samego początku rywalizacja o względy widzów nie była łatwa, gdyż w tym samym czasie w mieście triumfy święciła Operetka Polska z Lucyną Messal, Kazimierą Niewiarowską i Wiktorią Kawecką. A jak wiadomo, lekki repertuar zawsze spotka się z większym uznaniem widzów niż bardziej ambitny.

Teatr Polski w Moskwie zainaugurował działalność *Zemstą* Fredry w doborowej obsadzie. Rolę Rejenta odtwarzał Jaracz, Wacława – Władysław Lenczewski, a Cześnika – Jan Szymański. Recenzenci byli zachwyceni, jedyne obiekcje wzbudził Fertner jako Papkin, gdyż uznano, że zbyt szarżował.

„Przedstawienie *Zemsty* – oceniał jeden z dziennikarzy – dowiodło faktycznie wielkiej żywotności naszego teatru w Moskwie. W tym teatrze jest dusza i jest smak artystyczny, i są siły pierwszorzędne. I jest potęga twórcza”<sup>[1]</sup>.

Zjawiskowe okazały się dwa wieczory literacko-artystyczne zorganizowane pod koniec sezonu. Pierwszy z nich poświęcono Szekspirowi, a kolejny Mickiewiczowi. Szczególnie ten drugi wywarł wręcz nieprawdopodobne wrażenie na publiczności, gdyż poezja wieszczka do niedawna była całkowicie zakazana w granicach państwa carów. Do tego doszła jeszcze mistrzowska interpretacja w wykonaniu Osterwy, Jaracza i Michała Tarasiewicza.

„Była to chwila – wspominał po latach późniejszy premier II RP, Leon Kozłowski – kiedy scena i sala tak się zlały w jednym nastroju, że nie było już ani aktora, ani widza, był jeden wielki zespół rozmodlony w ekstazie, uczestniczący w misterium, a w misterium tym nie było granic dzielących sztukę od życia, estradę sceniczną od sceny dziejowej”<sup>[2]</sup>.

Wieczór zamknęła ostatnia księga *Pana Tadeusza*, co jeszcze bardziej podniosło nastrój. Aktorzy i widzowie mieli łzy w oczach, a przyjęcie widowiska było tak gorące, że powtórzono je pięciokrotnie.

Nie zmienia to jednak faktu, że teatr Szyfmana okazał się przedsięwzięciem deficytowym. Komitet Polski nie miał środków na pokrycie wysokich kosztów i pierwszy sezon działalności placówki okazał się jednocześnie ostatnim. W tej sytuacji pan dyrektor zainteresował się kinematografią i

podjął współpracę z wytwórnią Biofilm. Łącznie powstało osiem obrazów – grali w nich nie tylko aktorzy rosyjscy, lecz także podopieczni Szyfmana z Teatru Polskiego. Ekipa filmowa trafiła nawet na Krym, gdzie poznano Fiodora Szalapina, który uznał spotkanie za dobrą okazję do zorganizowania szalonej imprezy. Po latach Szyfman wspominał trzy miesiące spędzone na półwyspie jako jeden z najprzyjemniejszych okresów w swoim życiu...

Był jednak przede wszystkim człowiekiem sceny i po powrocie do Moskwy wystawił dwa przedstawienia w rosyjskim Teatrze Dramatycznym. Były to *Dama kameliowa* Dumasa i *Damy i huzary* Fredry, a zaproszenie na ważną moskiewską scenę potwierdziło pozycję Szyfmana w miejscowym świecie teatralnym.

Pan dyrektor jak zwykle ignorował politykę, ale rewolucja lutowa i obalenie caratu wywarły na nim duże wrażenie. Z kolei przewrót bolszewicki uznał za ostatni sygnał alarmowy przypominający mu o konieczności opuszczenia Rosji. A ponieważ właśnie odradzała się Rzeczpospolita, podjął decyzję o powrocie nad Wisłę. Umożliwiły to kontakty z poselstwem duńskim i w połowie 1918 roku Szyfman pojawił się w Warszawie, gdzie niebawem ponownie objął dyrekcję Teatru Polskiego.

## Problemy Juliusza Osterwy

Znakomity aktor nie miał tyle szczęścia co Szyfman – wraz z rodziną trafił do Samary (obecnie Kujbyszew) na wschód od Uralu. Początkowo zamieszkali w prymitywnej daczce bez mebli, ale wkrótce przenieśli się do pensjonatu. Brakowało im jednak pieniędzy na utrzymanie, bo oszczędności zabrane z

Warszawy nie wystarczyły na długo. Ich sytuacja do złudzenia przypominała los Polaków zsyłanych na osiedlenie się na Syberii.

„Samara – notował zrezygnowany Osterwa. – Spichrze – olbrzymy, cerkwie złociste, milionerskie »dacze« i domki drewniane, chaty. Rosjanie, Żydzi, Tatarzy. Kolonia Polaków. Kościół, parafia. Pensjonat, pokoik. (...) Bieżące my niby, to zesłańce, cywilne jeńce”<sup>[3]</sup>.

Pan Juliusz jednak się nie poddawał i z pomocą aktora Wincentego Drabika (także zesłanego do Samary) wystawił siłami amatorskimi *Betlejem polskie* Lucjana Rydla, które uzupełnił fragmentami poezji Mickiewicza, Wyspiańskiego i Konopnickiej. Spektakl odniósł ogromny sukces.

Osterwa przebywał w Samarze kilka miesięcy, a w lutym 1916 roku otrzymał od Szyfmana wezwanie do Moskwy. Początkowo udał się tam samotnie i zdążył wziąć udział w premierze *Wesela*. Przy okazji doszło też do awantury na scenie, gdyż podczas prób Osterwa zażądał usunięcia budki suflera. Twierdził, że go rozprasza, a poza tym „*Wesele* powinno się grać bez suflera”.

Uczciwie trzeba przyznać, że współpraca z Osterwą nie była łatwa, gdyż wiele czasu poświęcał na odczytywanie na nowo znanych wszystkim utworów scenicznych. Sprawa była tym trudniejsza, że aktor zaczął się także koncentrować na reżyserii, co w pełni uwidocznilo jego apodyktyczny charakter. Jednak to właśnie on był główną gwiazdą wspomnianego już wieczoru Mickiewiczowskiego, a jego deklamacji *Widzenia księdza Piotra z III części Dziadów* nikt z widzów nie zapomniał do końca życia.

Przy okazji – głównie w celu poprawienia domowego budżetu – zagrał też w dwóch filmach. Ponieważ wychodził z założenia, że zawód aktora wymaga poświęceń, nie zawahał się nawet skoczyć z wysokości czterech pięter do płytkiej

wody. Skoro bowiem wymagał tego scenariusz, aktor musiał to zrobić, a o dublerach i kaskaderach nikt jeszcze wtedy nie słyszał.

Pobyt Osterwy w Moskwie zakończył się pod koniec lipca. Rychłowski zwietrzył interes w upadku Teatru Polskiego Szyfmana i hurtem zakupił wyposażenie likwidowanej sceny. Przy okazji zatrudnił też w Kijowie kilkoro aktorów, zaś Osterwa został u niego kierownikiem artystycznym. Obaj panowie mieli w przyszłości tego żałować.

## Kochanka, hazard i rodzina

Poddanym Habsburgów był także Stefan Jaracz. Tuż przed wybuchem wojny otrzymał wezwanie mobilizacyjne i ruszył do Galicji, by stawić się w macierzystym pułku. Razem z nim wyjechała z Warszawy żona, Jadwiga. Ponieważ zamknięto granice, zdążyli dotrzeć tylko do Częstochowy. Wobec tego zawrócili do stolicy, gdzie pan Stefan jako obywatel austriacki został aresztowany.

Zwolniono go dzięki protekcji Szyfmana, jednak niespełna rok później Jaraczowie przymusowo znaleźli się w głębi Rosji. Osiedlono ich w Moskwie, a niebawem w życiu aktora pojawiły się poważne problemy osobiste. Wdał się bowiem w romans z pochodzącą z dalekich Kresów Izą Gliczanką i poważnie rozważał zakończenie swojego małżeństwa. Nie przeszkadzało mu to jednak w utrzymywaniu regularnych kontaktów seksualnych z żoną. Na efekt nie trzeba było długo czekać: obie panie zaszły w ciążę i Jaracz musiał podjąć ostateczną decyzję.

Najwyraźniej nie mógł się jednak zdecydować i znalazł salomonowe rozwiązanie. Postanowił, że wybierze partnerkę,



która jako pierwsza urodzi mu dziecko. Los zdecydował za niego – Gliczanka poroniła, żona szczęśliwie urodziła córkę i Jaracz pozostał z Jadwigą.

O urodzinach córki dowiedział się, schodząc ze sceny po wieczorze poezji Mickiewicza. Podobno wyjątkowo się wtedy wzruszył, usiadł na krześle i rozplakał się. Anna Jaracz była jego jedynym potomkiem, ona również – śladem ojca i matki – wybrała profesję aktorską.

Romans był dla Jaracza tylko przerywnikiem, tak naprawdę najbardziej liczyło się dla niego życie teatralne. Nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z okazji, by odwiedzić słynny Moskiewski Teatr Artystyczny Konstantina Stanisławskiego. Wieczór ten wywarł na Jaraczu i jego przyjaciółach ogromne wrażenie.

„W Moskwie – wspominała pani Jadwiga – mieliśmy wiele przeżyć w teatrach, ale jeszcze jedno jest mi szczególnie pamiętne. Było to »Studio« Stanisławskiego na przedstawieniu *Świerszcza za kominem* Dickensa. Sala była pogrążona w ciemnościach, jeden z aktorów siedział na widowni, słychać było bulgotanie wody i cieniutki, piękny śpiew świerszczyka. Tym zaczynała się sztuka, a przedstawienie było czymś tak niekłamaniem pięknym, a równocześnie wzruszającym, że nie mogłam powstrzymać się od łez. Gdy na sali zapaliło się światło, wstydziłam się wzruszenia i starałam się je ukryć. Spojrzałam ukradkiem w bok, gdzie siedzieli Jaracz i Osterwa, a o krzesło dalej Brydziński. Ich twarze też były zalane łzami”<sup>[4]</sup>.

Wzruszenia artystyczne nie przesłoniły jednak prozy życia, która wymuszała na Jaraczu całkiem przyziemne zachowania. Aby utrzymać rodzinę, grywał w lokalnych produkcjach filmowych i nie unikał hazardu – czasami zresztą ze znakomitym efektem. Szczególnie pamiętne okazały się dni bezpośrednio po urodzinach córki.

Jaracz miał przy sobie tylko 90 rubli, gdy przyszło mu uregulować rachunek za pobyt żony w szpitalu. Uznał więc, że posiadane pieniądze go nie zbawią, i postanowił zawierzyć losowi. Udał się na tor wyścigowy, gdzie postawił 10 rubli na fuksa, gdyż spodobał mu się zielony kasak dżokeja. Wygrał, a skoro przebiecie okazało się 25-krotne, postawił 20 rubli na klacz ze stajni księcia Lubomirskiego. Patriotyzm bardzo się opłacił, bo zwycięstwo polskiego konia przyniosło Jaraczowi kolejne 320 rubli. Zachował jednak rozsądek i natychmiast opuścił tor, a gdy wieczorem szedł na pokera, przezornie zabrał ze sobą tylko 50 rubli. Los nadal był łaskawy – artysta pomnożył kwotę dziesięciokrotnie i za zyski z tego dnia żył z rodziną przez następne kilka miesięcy<sup>[5]</sup>.

## Przygody aktora wędrownego

Antoni Fertner, znakomity aktor komediowy, poznał rosyjskie sceny na długo przed wybuchem I wojny światowej. Brał bowiem udział w różnego rodzaju eskapadach artystycznych z reguły odbywających się na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej. Uczciwie trzeba przyznać, że nie zawsze były one dobrze przygotowane, a promotorzy płacili nieregularnie. W efekcie zdarzało się, że artyści podróżowali pociągami, nie mając biletów, i znikali z hoteli bez opłacenia noclegu. Informacje o ich postępkach rozchodziły się po kraju i w Słonimiu solidarnie odmówiono im wynajęcia pokoi. Ostatecznie nad aktorami zlitował się miejscowy przedsiębiorca pogrzebowy i pozwolił spać w swoim zakładzie w nieużywanych trumnach...

Jednak organizatorzy oszczędzali na kosztach nawet wtedy, gdy wszystko działało jak należy, na przykład nie opłacali

posiłków.

„O ile nie byliśmy proszeni na kolacje – potwierdzał Fertner – jadaliśmy w pokoju hotelowym. Najwytworniejszą, a zarazem stałą potrawą były wędzone szproty na widelcu. Naturalnie podgrzewane! W tym celu wlewaliśmy do blaszanej puszki spirytus, który się podpałało, i nad ogniem uroczyście smażyliśmy każdego szprota”<sup>[6]</sup>.

Było to jednak zajęcie nieco niebezpieczne, o czym przekonał się członek trupy, Stanisław Stanisławski. Specjalizował się w rolach amantów, był naturalnym blondynem i nosił „swój łeb z dumą najpiękniejszej, starożytniej hetery”. Oczywiście nie musiał używać peruki, jak to robili jego koledzy po fachu.

„Pewnego wieczoru – kontynuował Fertner – siedząc przy normalnej kolacji szprotowej, (...) Staszkowski sprawował funkcję palacza przy puszcze. Coś mu się tam poplątało i ogień zgasł. Sądząc, że spirytus się wyczerpał, dolał nową porcję. Tymczasem płomień się jedynie skurczył, a świeża dawka spirytusu wywołała raptowny wybuch. Nim się ktokolwiek zorientował, zdradliwe, płonące strumienie, jak wyrzucone ze szprycy – trysnęły w stronę Stanisławskiego. Po chwili zamiast głowy kolegi ujrzeliśmy żywą pochodnię”<sup>[7]</sup>.

Oczywiście płomień od razu ugaszono, ale aktor stracił swoją dumę – blond loki. Co gorsza, spaliły się także rzęsy i eleganckie wąsiki – głowa Stanisławskiego bardziej przypominała „okazały melon” niż twarz amanta. Poza osobistym dramatem był to także poważny problem dla reszty zespołu, gdyż trupa nie posiadała odpowiednio dopasowanej peruki. Ale kto „mógł przypuszczać, że ich naturalny amant zostanie w krótkim czasie łąsą pałą?”.

# Antosza filmowiec

W ostatnich latach przed wybuchem I wojny światowej Fertner zdobył znaczną popularność na rosyjskich scenach. Był urodzonym komikiem, a farsy i lekkie komedie stanowiły żelazny punkt repertuaru przyjezdnych zespołów aktorskich. Jeszcze większe uznanie przyniosły mu pierwsze filmy, które kręcił w Warszawie. W czasach niemego kina praktycznie nie istniała bowiem bariera językowa, a niezbyt skomplikowana fabuła wzbudzała z reguły aplauz widowni.

Zaczął się od tytułowej roli w jednym z pierwszych polskich filmów – *Antoś pierwszy raz w Warszawie*. Obraz osiągnął tak wielką popularność, że nakręcono kolejne części, które wyświetlano również w Rosji. W ten sposób „Antosza” stał się tam znanym aktorem, co bardzo mu pomogło, gdy przymusowo znalazł się w Moskwie.

W odróżnieniu od Szyfmana, Jaracza czy Osterwy nie miał problemów paszportowych, gdyż urodził się w Częstochowie leżącej w granicach imperium carów. Pojawiła się jednak poważniejsza przeszkoda – mężczyzn w jego wieku powoływano do służby na froncie, a to nie wydawało się Fertnerowi zbyt kuszącą perspektywą. Na szczęście dla niego Rosja uchodziła za jedno z najbardziej skorumpowanych państw ówczesnego świata, gdzie wszystko można było załatwić za pomocą znajomości i łapówek.

Fertner odszukał więc swojego znajomego z Warszawy, hrabiego Eugeniusza Trolla, który uznał, że aktor może pełnić funkcję szofera, co jednocześnie zapewniłoby mu zwolnienie z wojska. Konieczna była jednak wizyta na komisariacie policji, by odnotowano zatrudnienie Fertnera w tak ważnej dziedzinie dla obronności państwa jak komunikacja. Oczywiście nie obyło się bez drobnej łapówki dla oficera policji (banknot

pięciorublowy między kartkami paszportu). Ubocznym skutkiem całej sprawy był jednak fakt, że Fertner faktycznie musiał uczyć się na kurs nauki jazdy, czego szczerze nie cierpiał.

Po powrocie do Moskwy występował w antyniemieckich przedstawieniach i wtedy zwrócił na niego uwagę Aleksandr Chanżonkow, szef Towarzystwa Akcyjnego Chanżonkow i Co. Zaproponował Fertnerowi rolę w filmie, a po jego komercyjnym sukcesie pozwolił, by aktor sam wybrał scenariusz następnej produkcji. Pan Antoni zdecydował się na tekst oparty na francuskiej sztuce *Kawiarenka* autorstwa Tristana Bernarda. Zdjęcia trwały zaledwie dwa dni, a film okazał się kolejnym triumfem. Fertner dostał propozycję stałego, wysokiego kontraktu, ostatecznie jednak związał się z wytwórnią Lucyfer prowadzoną przez spółkę Puchalski-Frenkiel. Zdecydowały zarobki (aż 500 rubli za dzień zdjęciowy), ponadto Edwarda Puchalskiego znał jeszcze z Warszawy.

„[Filmy] kręcono w Moskwie i na Krymie – opowiadał po latach. – W kontrakcie miałem zastrzeżone, że tytuł każdego z nich musi zawierać słowo »Antosza« (Antoś), moje filmy cieszyły się bowiem w Rosji ogromnym powodzeniem i »Antosza« w tytule stanowił magnes dla publiczności. Zagrałem w Rosji w 36 filmach, kłopotów z językiem nie miałem żadnych, bo wszystkie były niemie”<sup>[8]</sup>.

Szybko osiągnął wielką popularność, podobno każdy „przechodzień moskiewskich ulic witał go jak dobrego znajomego”. Dzięki temu Fertner chwilami czuł się „zupełnie jak właściciel Moskwy”, a miejscowa prasa uznała go za „pioniera rosyjskiej kinematografii”. Łącznie zrealizował około 40 filmów i gdy po latach do Polski przyjechała sowiecka gwiazda filmowa Lubow Orłowa (*Świat się śmieje* i *Wołga*,

Wołga), na widok Fertnera zaniemówiła, po czym rzuciła mu się na szyję z okrzykiem: „Witaj, Antosza!”...

Obowiązki filmowe zaprowadziły go nawet na Krym, co – w odróżnieniu od Szyfmana – wspominał z dużym niesmakiem. Dostał bowiem zakwaterowanie w zapchlonym pokoju i walcząc z insektami, oblał się jakimś kwasem. Co ciekawe, cała sprawa korespondowała z jednym z filmów, jaki nagrał w Moskwie. Nosił on tytuł *Antosza pogryziony*, a sprawcami były właśnie pchły...

Niestety, po raz kolejny w życiu pana Antoniego zaczęła ingerować polityka. Klęski na froncie i przedrewolucyjne wrzenie spowodowały stagnację w przemyśle filmowym, a Fertner w poszukiwaniu pracy wyjechał do Kijowa. Początkowo zatrudnił się tam w teatrzyku Figliki, by następnie dołączyć do zespołu śpiewaczki Teodozji Wandyczowej. Trupa podpisała kontrakt na tournée po Ukrainie.

Wszystko zaczęło się pod złymi auspicjami, gdyż już w Homlu, pierwszym mieście na trasie, w hotelu zabrakło wolnych pokoi i artystów ulokowano w zajezdni kolejowej. Na szczęście było tam ciepło, czego nie można powiedzieć o teatrze, w którym mieli występować. Miejscowy impresario, major kawalerii, wynajął tam scenę teatru letniego, co okazało się fatalnym pomysłem. Był bowiem początek kwietnia – w okolicach Homla zima trwała w najlepsze, a w budynku termometr wskazywał cztery stopnie poniżej zera.

„Z początku wszystko przebiegało zgodnie z planem – wspominał Fertner. – Ale wzrastający ziąb czynił z nas sztywne kukły, ręce gwałtownie szukały kieszeni (...), a nogi automatycznie wykonywały niezwiązane z akcją sceniczną podrygi. Obserwując siniejące z minuty na minutę ramiona kobiet oraz charakterystyczne mgiełki wokół ust po każdym słowie – pojęliśmy, że nie ma takiej siły, która by nas zmusiła

do zademonstrowania całego programu wieczoru. Podczas przerwy zapadła jednomyślna decyzja, że spektakl należy skrócić co najmniej o połowę”<sup>[9]</sup>.

Do prawdziwej tragedii doszło jednak w nocy po przedstawieniu – na serce zmarła jedna z aktorek. Ekipa musiała dać kolejny spektakl, by zebrać pieniądze na pochówek. W pogrzebie, oprócz polskiego zespołu, wziął jeszcze udział ponury pies, który następnie wył przeraźliwie przy świeżej mogile. Podobno był stałym bywalcem miejscowych imprez żałobnych...

Zespół odwołał resztę przedstawień i powrócił do Kijowa – oznaczało to koniec zagranicznych wojaży Fertnera, który niebawem wyjechał do kraju. Wiedząc jednak, że w Warszawie są trudności z zaopatrzeniem, zakupił solidny zapas „szynek, kiełbas i innych prowiantów”, by po przyjeździe do stolicy wydać wielką imprezę dla przyjaciół. Rzeczywiście się odbyła, ale przy kaszy „z przedwojennych zapasów domowych”. Walizki Fertnera wypełnione „wędzonym mięsiwem” zostały bowiem okradzione na granicy przez celników i żołnierzy, którzy w zamian włożyli do nich cegły...

## Wszystkie drogi prowadzą do Kijowa

W sierpniu 1916 roku większość polskich aktorów przeniosła się do Kijowa – Franciszek Rychłowski miał bowiem wielkie ambicje i ściągał wykonawców z całej Rosji. Szybko zatem skompletował znakomity zespół z Osterwą, Jaraczem, Drabikiem, Szymańskim i Tarasiewiczem. Przy okazji do Kijowa dotarło jeszcze kilkunastu innych aktorów wysokiej klasy.

Początkowo jego scena odnosiła ogromne sukcesy, a pierwsze cztery inscenizacje przyniosły dochód brutto powyżej 5,6 tysiąca rubli (około 72 tysięcy euro) w ciągu miesiąca – takich pieniędzy w kijowskim teatrze jeszcze nie widziano. Zespół Rychłowskiego był w tym czasie najlepszą polską grupą sceniczną – łamano konwencje, mieszano repertuar, w ciągu jednego wieczoru obok *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego prezentowano *Fircyka w zalotach* Zabłockiego.

„Rola Fircyka leżała Osterwie jak ulał – wspominał Jarosław Iwaszkiewicz. – Cały wdzięk tego niezwykłego aktora, cała jego inteligencja, cała giętkość wymowy, głosu, cała wreszcie nieco groteskowa pomysłowość Juliusza, znalazły tutaj znakomite zastosowanie. Pozwalał on sobie w tej roli na rzeczy dość ryzykowne, jak na przykład udawanie ciałem krzywego drzewa przy słowach: »na pochyłe drzewo i kozy skaczą«, co mu jednak zawsze wychodziło wzruszająco pięknie. Przedstawienia kijowskie w ogóle były znakomite”<sup>[10]</sup>.

Do wysokiego poziomu Osterwy dostosowali się inni wykonawcy, a szczególnie wyróżnił się Jaracz jako Pustak. Recenzenci zwrócili też uwagę na znakomitą scenografię.

„Drabik dał uroczą dekorację – zachwycał się dziennikarz kijowskiego »Przedświtu« – której kwiaty zdawały się rozmarzająco pachnąć, stroje pań i panów były przepiękne i doskonale zharmonizowane (rzecz nawet na dużych scenach polskich rzadka) i gdyby nie pewne, małe zresztą przejawskrawienie w charakteryzacji twarzy, całość byłaby wzrokowo tak idealna, że nawet tak surowy sędzia, jak niżej podpisany, miast sądzić, rozpłakałby się z zachwyty”<sup>[11]</sup>.





**Arnold Szyfman.**  
(NAC)

Niestety, z upływem czasu frekwencja była coraz gorsza, a koszty rosły w zastraszającym tempie (nawet ascetyczne dekoracje do *Księcia niezłomnego* pochłonęły znaczne kwoty). W tej sytuacji dyrektor wykorzystał czteromiesięczny urlop swojego kierownika artystycznego, by z powrotem przekształcić „teatr Osterwy” w „teatr Rychłowskiego”. Miało to zapewnić stabilną egzystencję zespołu kosztem poziomu artystycznego. Tego Osterwa nie mógł Rychłowskiemu wybaczyć i wraz z rodziną wyprowadził się z mieszkania dyrektora, które dotychczas zajmował. Pan Julian przygotował jeszcze premierę *Kordiana* zakończoną zresztą ogromnym sukcesem, jednak potem było już tylko gorzej.

Do tego dochodziła coraz trudniejsza sytuacja polityczna, bowiem w lutym 1918 roku bolszewicy po raz pierwszy zdobyli Kijów. Zespół nie mógł grać, podczas rewizji Jaracz

został uderzony kolbą w głowę. Miesiąc później miasto opanowali Niemcy, a w teatrze doszło do karczemnej awantury między Rychłowskim i Osterwą oraz Jaraczem. Zakończyła się ona pobiciem pana dyrektora przez aktorów, po czym obaj odeszli z zespołu. Wprawdzie zaraz założyli Nowy Teatr Polski, ale przetrwał on tylko 10 tygodni. Osterwa planował już wtedy zorganizowanie „komuny aktorskiej” i reprezentował zupełnie nowe spojrzenie na sztukę. Kilka lat później miał to urzeczywistnić w teatrze Reduta.

Jaracz i Osterwa wrócili do Warszawy latem 1918 roku, a niebawem ich śladem podążył Rychłowski, którego teatr upadł z końcem czerwca.



**Juliusz Osterwa.**  
(NAC)



**Stefan Jaracz.**

(NAC)

**Zespół Teatru Polskiego w Kijowie w 1917 r.**

(Biblioteka Narodowa)



**Antoni Fertner na okładce Kuplety. Polka w Szafliku, 1910 r.**

(Biblioteka Narodowa)



## Figliki i Studya

W latach wielkiej wojny polskie życie teatralne w Kijowie nie ograniczało się jednak wyłącznie do sceny Rychłowskiego. Od września 1916 roku działały tam Polska Farsa i Operetka, w których występowało wielu aktorów zmuszonych do wyjazdu z terenu Królestwa Kongresowego. Kilka miesięcy później w Kijowie zainaugurował działalność wspomniany teatrzyk Figliki pod kierownictwem Władysława Ochrymowicza. Był to zespół kabaretowy wzorowany na warszawskim Momusie – gościnnie występował tam Antoni Fertner, który po latach przypisywał sobie sukces przedsięwzięcia:

„Pełny komplet widzów na sali! Ale później czekała nas nowa niespodzianka. Konieczność zrezygnowania z zaplanowanych dziesięciu przedstawień... Wystąpiliśmy bowiem – czterdzieści pięć razy! Przez półtora miesiąca Figliki nie tylko przywróciły

równowagę finansową Ochrymowiczowi, ale przyniosły także zysk, na który dyrektor nawet w skrytości ducha nie liczył”<sup>[12]</sup>.



**Stanisława Wysocka.**  
(NAC)



**Władysław Ochrymowicz z żoną Teodozją Wandycz-Ochrymowicz.**  
(NAC)

Koniec tej sceny był równie spektakularny jak jej sukces. W zespole pojawiła się bowiem wspomniana śpiewaczka Teodozja Wandyczowa, która szybko podkupiła aktorów i zakładając własną trupę, pozostawiła Ochrymowicza bez zespołu.

Znacznie poważniejszym przedsięwzięciem teatralnym okazał się natomiast teatr Studya Stanisławy Wysockiej-Stanisławskiej. Miał on charakter sceny eksperymentalnej, a pierwsze przedstawienie odbyło się pod koniec lutego 1916 roku.

„Maleńki teatrzyk na sto kilkadziesiąt widzów – notował jeden z recenzentów – z maleńką sceną, na której od razu uderza brak budki suflerskiej. Na przedstawieniu pozna się zaraz, że na tym nie kończy się osobliwość tego teatru. Pod wpływem moskiewskiego Stanisławskiego dąży się tutaj do »przeżywania«, do wygnania precz szablonu teatralnego, nie gubiąc się jednak w poziomym naturalizmie, lecz przeciwnie, strzegąc bacznie dostojności Sztuki”<sup>[13]</sup>.

Wysockiej udało się pozyskać wsparcie prywatnych sponsorów, dzięki czemu równolegle prowadziła szkołę aktorską oraz teatr zawodowy. Wkrótce powołano Towarzystwo Popierania Teatru Studya – w skład jego zarządu wszedł m.in. Jarosław Iwaszkiewicz, który później został nawet kierownikiem literackim sceny.

Przez dwa lata odbyło się tam 12 premier i ponad 200 przedstawień. Wzbudzały skrajne emocje u recenzentów, a niektórzy mieli Wysockiej za złe, że omija polski repertuar:

„(...) Pani Wysocka robi niesłusznie, wpatrując się we wzory obce, miast szukać podniety w swojskości objawów artystycznych. Zwłaszcza »czasy osobliwe«, jakie przeżywamy teraz, nie nadają się zgoła na wiwisekcje przeróżne dusz słabych, wąpiących i wątych. A takim ma być właśnie repertuar teatru Studya. Po dręczącej *Prawdzie* p. M.

Czajkowskiego zamierza Wysocka niecić w swej salce dreszcze *Upiorów* Ibsena”<sup>[14]</sup>.

ukrywać swojego romansu. Wyjechała z nim do Londynu, doceniając luksus, jakim ją otaczał. Nazywała go »azjatyckim umysłem«, zachwycała się jego garderobą, służbą, »wyrafinowaniem« i »bardzo wysoką kulturą»<sup>[13]</sup>.

Wprawdzie pani dyrektor chętnie przyjmowała uciekinierów od Rychłowskiego, ale nie zapominała też o swoich wychowankach. Wzbudzało to opór zawodowych aktorów i stało się przyczyną odejścia Wysockiej z teatru z początkiem grudnia 1917 roku. Scena działała jeszcze przez kilka tygodni, a decydujący wpływ na jej upadek miało zniszczenie siedziby teatru podczas walk z bolszewikami o Kijów w lutym 1918 roku.

Wysocka jednak nie poddała się i próbowała jeszcze prowadzić zespół powstały na gruzach Teatru Nowego Osterwy i Jaracza. Następnie, w czerwcu 1919 roku, założyła Polskie Studio Dramatyczne będące w rzeczywistości szkołą aktorską. Udało jej się uzyskać dotację od władz bolszewickich, gdyż oficjalnie podczas zajęć miano tam „ośmieszać i krytykować »przeżytki przeszłości«” i „wpajać »masom zamiłowanie do czystego piękna«”. Miał to być zespół teatralny złożony z młodzieży robotniczej grający dla robotników. Gdy wreszcie zorganizowano stałą grupę aktorów, wystawiono jednak *Wyzwolenie* Wyspiańskiego oraz zorganizowano kilka wieczorów poezji polskiej. Scena przetrwała drugie rządy bolszewików, a zaprzestała działalności, gdy Kijów zdobyli „biali” Rosjanie Antona Denikina.

Wprawdzie Wysocka próbowała jeszcze działać w ramach Towarzystwa Udziałowego Artystów, ale w październiku 1919 roku zdecydowała się na wyjazd do kraju. Niemal rok przetrwał natomiast Młody Teatr Polski Zygmunta

Wilczkowskiego. We wrześniu 1920 roku bolszewicy zmienili jego nazwę na Robotniczy Teatr Polski. Był to koniec polskiej sceny narodowej nad Dnieprem.



# ROZDZIAŁ 7

## POŻOGA NA UKRAINIE. POGROM POLSKICH DWORÓW

W latach 1917–1919 na ziemiach nad Dnieprem doszło do zagłady polskich dworów i pałaców. Grabieży i zniszczeniom dokonywanym przez miejscowych chłopów i dezertersów z armii rosyjskiej towarzyszyły zbrodnie na rodzinach ziemian i ich pracownikach. Przepadły również gromadzone przez pokolenia zbiory dzieł sztuki, biblioteki i archiwa. Był to prawdziwy koniec dalekich polskich Kresów.

### Polacy na Ukrainie

Polscy ziemianie na terenach nad Dnieprem nie byli kolonizatorami, chociaż czasami tak ich się określa. Nie można ich jednak przyrównywać do Belgów, Francuzów czy Brytyjczyków w Afryce lub Azji. Tereny ukraińskie, które włączono do Rzeczypospolitej, nie zostały podbite, lecz weszły w jej skład w wyniku unii lubelskiej. Wprawdzie faktycznie napłynęła tam polska szlachta, tworząc wielkie majątki ziemskie, ale warto pamiętać, że osiedlano się z reguły na wyludnionych obszarach zniszczonych przez lata wojen i

najazdów. Zresztą znaczna część wielkich posiadaczy ziemskich wywodziła się ze szlachty litewskiej i ruskiej (Wiśniowieccy, Sanguszkowie, Czetwertyńscy, Chodkiewiczowie, Radziwiłłowie, Szeptyccy), więc dlatego należy ich traktować jako autochtonów. Chociaż z czasem rody te spolonizowały się i przeszły na katolicyzm, był to jednak dobrowolny i powolny proces.

Na początku XX stulecia na Ukrainie Polakami byli nie tylko właściciele dużych majątków, lecz także drobna szlachta, zarządcy i wielu ich pracowników. Do tego dochodzili jeszcze przedstawiciele inteligencji kierujący cukrowniami, gorzelniami, fabrykami narzędzi i nawozów sztucznych, a także właściciele domów handlowych, hoteli, aptek i księgarni<sup>[1]</sup>. W chwili wybuchu I wojny światowej w guberniach kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej żyło około miliona Polaków, a w polskich rękach były 4 tysiące majątków ziemskich<sup>[2]</sup>.

Rewolucja lutowa i upadek caratu rozpoczęły okres zamętu na ziemiach dawnego imperium Romanowów. Zadbali o to bolszewicy przygotowujący się do przejęcia władzy, którzy z miesiąca na miesiąc zyskiwali przewagę nad demokratycznym Rządem Tymczasowym. Na jego czele stał elokwentny, ale pozbawiony charakteru Aleksander Kiereński, który nie był typem polityka na tak trudne czasy. Natomiast bolszewicy obiecywali zakończenie wojny i powrót żołnierzy do domów, a dodatkowo – parcelację majątków ziemskich. Towarzyszyło temu niezwykle nośne hasło „Pokój chatom, wojna dworom”. Warto też pamiętać, że armia rosyjska składała się głównie z chłopów.

„Wcześniej niż skowronki i ptactwo przelotne zjawiła się szara, dwuznaczna ćma agitatorów – wspominała wiosną 1917 roku Zofia Kossak-Szczucka. – Rozpełzła się po chatach, wsiąkła w kraj. Za nią przyszła druga, a potem trzecia i czwarta. Każda z nich niosła w ręku hasło niezawodne,

straszne i do kainowej walki każdej chwili sposobiące:  
»Ziemia!«<sup>[3]</sup>.

Konflikt na linii wieś-dwór rozpoczął się od samowolnego wypasu bydła na dworskich polach oraz od wycinki lasów należących do ziemian. Bolszewicy agitatorzy tłumaczyli chłopom, że mogą zrobić, co tylko zechcą, gdyż właściciele będą musieli ustąpić przed siłą włościan. W efekcie, chłopci zaczęli wprowadzać bydło nawet do dworskich parków i ogrodów, „jak gdyby to było od wiek wieków ich przywilejem i prawem”<sup>[4]</sup>.

Latem pojawiły się konflikty o wynagrodzenie za pracę przy żniwach. Robotnicy rolni domagali się znacznie więcej, niż dotychczas było to przyjęte – żądali bowiem od 1/3 do połowy całości zbiorów. Dodatkowo zachowywali się opryskliwie, a pouczani przed rozpoczęciem pracy odpowiadali hardo: „*Sam znaju, szo maju robtyty*”<sup>[5]</sup>.

We wrześniu zaczęły się już regularne pogromy, które zapoczątkował rajd zrewoltowanego II Korpusu Gwardii armii rosyjskiej z Kamieńca Podolskiego do Starokonstantynowa. Na szlaku przemarszu grabiono nie tylko pałace i dwory, lecz także gorzelnie i cukrownie. Szybko znaleźli się naśladowcy, szczególnie wśród otumanionych bolszewicką propagandą żołnierzy z oddziałów stacjonujących w pobliżu linii frontu.

„Działy się przy tych zniszczeniach straszne rzeczy – informowali warszawską Radę Regencyjną polscy ziemianie na Ukrainie – zwłaszcza przy rabowaniu gorzelnii, gdy opojone tłuszcze dokonywały pogromów całych wsi i miasteczek (miasto Bar zniszczone niemal doszczętnie) lub toczyły ze sobą krwawe bójki. Niszczono fabryki, domy mieszkalne, budynki folwarczne, ogrody i zakłady ogrodnicze, rabowano inwentarze, palono ruchomości księgozbioru i archiwum”<sup>[6]</sup>.

Sytuację pogorszył jeszcze bolszewicki przewrót, gdy partia Lenina wydała dekret znoszący prywatną własność ziemi, bez jej wykupu.

W tym czasie Ukraina miała status autonomicznej części państwa rosyjskiego, co proklamowała Ukraińska Centralna Rada z czerwca 1917 roku. W listopadzie powstała Ukraińska Republika Ludowa i ogłoszono, że cała ziemia dworska oraz kościelna ma przejść bez wypłaty odszkodowań w ręce chłopów.

W tej sytuacji włościanie poczuli się właścicielami nie tylko ziemi, lecz także pałaców, dworów, całości inwentarza oraz wyposażenia. Popularność zdobywało hasło „*Treba nam zemli, nie treba paniw!*” i nie zamierzano czekać na urzędową parcelację. Chłopi byli zresztą nieufni – uważali, że okazja do grabieży może się więcej nie powtórzyć, wobec czego postanowili wziąć sprawę w swoje ręce.

Pogromy nasiliły się w listopadzie i grudniu 1917 roku. Ukraińska Centralna Rada była świadoma sytuacji na wsi, ale chcąc pozyskać poparcie włościan, nie zamierzała położyć kresu przemocy. Chłopi natomiast zrozumieli, że wyłączenia uzyskały „sankcję władzy państwowej”, co „przyczyniło się do dalszego wzrostu anarchii”.

## Zabójstwo księcia Romana Sanguszki

W Sławucie, stolicy liczących 70 tysięcy hektarów dóbr książąt Sanguszków, jesienią 1917 roku stacjonował rosyjski 264 Pułk Zapasowy – jednostka złożona z byłych katorżników, którzy szybko ulegli bolszewickiej agitacji. Grabiono spichrze, wybito stado 300 danieli, wraz z chłopami wycinano książęce lasy.

Żołnierze tłumaczyli okolicznym włościanom, że Sanguszkowie już „dosyć się napili ich krwi!”.

W tej sytuacji na prośbę księcia Romana w Sławucie pojawiła się sotnia kozaków dla ochrony majątku, co jeszcze bardziej „rozjuszyło ów pułk zdziczały”. Kozacy oficerowie nie zamierzali jednak siłą zaprowadzać tam porządku.

„Nahajka nasza poskromiłaby niezawodnie żołnierzy-żłodziei i chłopów – tłumaczyli – wszakże rozważniej jest ze względu na czasy i okoliczności powstrzymać się od surowych środków, nie podburzać ich jeszcze. Nam wszystko jedno, my sobie zawsze damy radę, ale po naszym odejściu wy tu zostaniecie z nimi sami...”<sup>[7]</sup>.

Po miesiącu sotnia kozacka opuściła Sławutę i zastąpiło ją 25 dragonów. Niebawem też doszło do tragedii, a pretekstem do mordów było rzekome zabicie przez dragona jednego z żołnierzy. W rzeczywistości kawalerzysta obił go tylko szablą, gdy ten brał udział w wycinie drzew w lesie należącym do Sanguszków. Ale to i tak nie miało już większego znaczenia... Rozjuszona żołdacka banda zażądała wydania rotmistrza dragonów, a następnie obległa pałac i wtargnęła do środka. Nie reagowano na wezwania własnych oficerów, żołnierze krzyczeli: „*Hdie Sanguszeko? Dawajcie nam Sanguszeku!*”.

Wywleczono 80-letniego księcia z pałacu, lżąc go i wyzywając. Nieszczęsny ziemianin prosił o księdza, by się wyspowiadać przed śmiercią – w odpowiedzi usłyszał jedynie drwiny. Po chwili posypały się ciosy bagnetami, przed którymi Sanguszeko usiłował zasłaniać się rękoma. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Już dosyć”. Na ciele księcia doliczono się ponad 30 ran.

Pałac w Sławucie obrabowano i podpalono. Na szczęście większość słynnego stada koni arabskich udało się uratować i przeprowadzić do Gumnisk – majątku Sanguszków, gdzie do

1945 roku istniała najlepsza w Polsce prywatna stadnina koni rasowych <sup>[8]</sup> .

„Były chwile, kiedy zamykałam oczy – wspominała adoptowana córka księcia, Ewa Rzyaszczewska – niezdolna patrzeć na niszczycielską pracę płomieni, podniósłszy powieki znów widzę słupy iskier, wstęgi ognia, kłęby dymu, tragiczne fragmenty osuniętych budowli, opętańczą bieganinę morderców i złodziei, grabione wielkie, historyczne dziedzictwo, ponad tym zaś u góry pełną tarczę księżycową...”<sup>[9]</sup> .

Rabusie w żołnierskich szynelach (w plądrowaniu nie brała udziału ludność ukraińska) wynosili z pałacu obrazy, srebra i porcelanę. Następnie „sprzedano to przy świetle łuny za grosze lub za wódkę Żydom, którzy zbiegli się tu z całego rynku, gdy tylko ustała strzelanina. Grabież i handel trwały całą noc”<sup>[10]</sup> .

Zniszczona została biblioteka, ale uratowano obraz św. Teresy, który przeniesiono do kościoła. Na szczęście ocalała też część cennych zbiorów, a przede wszystkim archiwum sławuckie wywiezione podczas I wojny światowej do Niżnego Nowogrodu. Na mocy traktatu ryskiego powróciło ono do Polski <sup>[11] [12]</sup> , .

Kilka dni później w Sławucie pojawiły się oddziały konnej gwardii, dwie sotnie kozaków oraz dragoni. Zaprowadzano porządek wśród rozbestwionych piechurów, a kilku sprawców mordu na Sanguszce skazano na ciężkie roboty. Wątpliwe jednak, by wobec ogólnej anarchii wyrok ten został wyegzekwowany <sup>[13]</sup> .

*Zemli, zemli!*

„Ten krzyk gonił wszędzie, śnił się po nocach – relacjonowała Zofia Kossak-Szczucka. – Oddajcie ziemię, ziemia nasza, czytało się w każdym słowie. To już nie były namiętności ani pożądania ludzkie, to był żywioł nieodparty i nieubłagany, który powstawał z szumem głośnym fali, a runąwszy, miał zalać wszystko i zagłodzić”<sup>[14]</sup>.

Pragnienie zdobycia „pańskiej” ziemi wzmacniała ogromna różnica między zacofanymi gospodarstwami włościan a dobrze prosperującymi, rozległymi majątkami szlachty. Było to ważniejsze niż braki finansowe, gdyż wbrew pozorom ukraińscy chłopcy wcale nie byli aż tak bardzo ubodzy. Mimo bowiem dużego przyrostu naturalnego i rozdrobnienia gospodarstw miejscowe ziemie były na tyle urodzajne, że nie cierpieli głodu<sup>[15]</sup>.

„Żyjemy niby wśród wilków i szakali – wspominała listopad 1917 roku ziemianka z Podola, Elżbieta Dorożyńska – nie można się opędzić od złodziei, którzy kradną bezczelnie w biały dzień, co się da. Chyba pod ziemię wszystko schować, ale i spod ziemi wygrzebują, bo przecież i umarłych z grobów wyciągają i obdzierają”<sup>[16]</sup>.

Atmosferę dodatkowo podgrzewali dezertrzy powracający z frontu do swoich chałup. Z reguły „bywali nauczycielami i przywódcami ludności miejscowej w pogromach majątków ziemskich”. Uciekali zresztą z okopów nie tylko dlatego, że mieli już dosyć wojny, lecz także – by wziąć udział w spodziewanym podziale mienia i majątków ziemiańskich. Niezależnie bowiem od bolszewickiej agitacji także Niemcy wywieszali na linii frontu transparenty po rosyjsku, namawiając żołnierzy przeciwnika, by się spieszyli, gdyż inaczej nie dostaną nawet kawałka dworskiej ziemi<sup>[17]</sup>.

Chociaż do pogromów dochodziło coraz częściej, podpalenia ziemiańskich siedzib nadal były rzadkością. Ukraińscy

włościanie okazali się ludźmi stosunkowo praktycznymi – zdecydowanie preferowali „rozbieranie zabudowań cegła po cegle aż do fundamentów, do ostatniej deski i belki”. Wszystko bowiem miało „wartość praktyczną w gospodarstwie domowym”<sup>[18]</sup>.

Wiejskie kobiety, które wtargnęły do pałacu Jana Pruszyńskiego w Semerynkach, cięły XVI-wieczne gobeliny na kapy do przykrywania swoich łóżek i „spluwały, pokazując sobie nagie ciała nimf”. Z kolei do obrabowania dworu w Skowródkach zachęcała je informacja, że „*tam je duże sławny franki na spidnycu*”<sup>[19]</sup>.

Likwidowano „wszystko to, co wskazywało na wyższe potrzeby życia”, co uznawano za „burżujskie wymysły”. Dzieła sztuki były niszczone, a fortepiany z upodobaniem topione w stawach. Ze szczególną nienawiścią traktowano księgozbiory<sup>[20]</sup>.

Chłopi zabijali rasowe konie jako nieprzydatne do pracy w polu. Często też barykadowali i podpalali stajnie z wierzchowcami<sup>[21] [22]</sup>.

Drzewa w parkach wyrąbywano, zaś oranżerie – jako „pańskie fanaberie” – były burzone do fundamentów. Chłopi z Halźbijówki „większe maszyny i narzędzia zwieźli na placu przed kancelarię ku ucieście wiejskich dzieci, które odkręcają wszystkie śrubki, łamią i niszczą”.

Demolowano także gorzelnie i cukrownie, które mogły przecież służyć wiejskiej społeczności. Uznano jednak, że powinien zginąć wszelki ślad po polskich ziemianach, tak „aby piskłeta nie mogły później znaleźć nawet miejsca, gdzie było ich gniazdo”. Wcześniej chłopi rekwirowali zapasy alkoholu z magazynów, co prowadziło do dalszych ekscesów. Pijani włościanie często sami padali ich ofiarą – wybuchały pożary,



płonęły wsie, sprawcy grabieży ginęli „pijani do nieprzytomności, leżący w kałużach trunku”<sup>[23]</sup>.

W Łaszkach zrewoltowani żołnierze dobrali się do dworskiej piwnicy, w której stało wiele butelek trunków. Było ich jednak tak dużo, że nie zabrali ze sobą wszystkich – resztę pozostawiono miejscowym chłopom.

„Nie minęło parę godzin – wspominała Kossak-Szczucka – a wieś leżała pokotem pijana. Chłopi, baby, dzieci, nawet psy, świnie i drób, wszystko to zaległo opłotki, podwórza i przyzby, niezdolne do najmniejszego ruchu”. Nad ranem niewytrzeźwiały tłum runął na dwór, grabiąc i dewastując<sup>[24]</sup>.

Niektórzy właściciele w obawie o swe życie porzucali majątki, przenosząc się z częścią dobytku do miasta. Nie wszyscy jednak zdążyli zabrać co cenniejsze przedmioty – z reguły mieli tylko chwilę na opuszczenie dworu. Ale i tak mogli się uważać za szczęściarzy, że nie podzielili losu innych „krwiopijców ziemian”...

Gdy Stefan Szczucki, zarządzający majątkiem Józefa Potockiego w Nowosielicy, dzięki eskorcie żołnierzy z oddziału partyzanckiego Feliksa Jaworskiego zabrał ze sobą konie, powozy i wyposażenie kuźni, miejscowi chłopie nie kryli oburzenia. Uważali bowiem, że należy im się wszystko.

Natomiast w pałacu Sobańskich w Sumówce pojawił się przedstawiciel komitetu wiejskiego z sąsiedniej wsi i zażądał, by rodzina przeniosła się do chłopskiej chałupy. Właściciele jednak nie zamierzali ulec żądaniom i za pomocą karabinów odparli napaść.

„Można powiedzieć, że była to prawdziwa bitwa – wspominała Maria Sobańska – bo cała banda napastników nas tylko – w jednym kącie domu skupionych – miała na celu i nie ustawała w strzelaniu”<sup>[25]</sup>.

Dwór ograbiono pod koniec 1918 roku, a kilka miesięcy później ostatni właściciel Sumówki Hieronim Sobański został zamordowany. Jego los podzielił również syn, Paweł.

## Brali, co się komu podobało

Chłopi z reguły pilnie obserwowali majątki, które planowali splądrować. Szczególnie dobrze byli poinformowani o ruchach polskich oddziałów broniących ziemian i gdy tylko wojsko zmieniało miejsce pobytu, natychmiast przystępowali do działania. W ten sposób zniszczono Pietniczany, majątek Grocholskich, gdzie wcześniej stacjonował oddział należący do III Korpusu Polskiego<sup>[26]</sup>.

Gdy natomiast do Strzyżawki wkroczyli bolszewicy, miejscowi włościanie – przekonani, że zaczną oni rabować tutejszy pałac i folwark – postanowili ich uprzedzić.

„Trudno opisać, co się działo – relacjonowała Zofia Grocholska – ryk, piski, kwik świń, wrzask drobiu zabieranych przez chłopów. Bezceremonialnie wpadli do pałacu i brali to, co się komu podobało lub mogło przydać”<sup>[27]</sup>.

Prawosławny pop wręcz zachęcał wiernych do grabieży, mówiąc: „Idźcie i bierzcie” – twierdził, że trzeba było zrobić to już dawno. Grocholska wspominała chłopkę, która dźwigała stół z pałacu, jednocześnie użalając się nad krzywdą, jaka spotkała jego mieszkańców. A przecież „oni zawsze dobrzy i sprawiedliwi byli, nikomu krzywdy nie czynili”<sup>[28]</sup>.

Jednej z ukraińskich dziewcząt zatrudnionych w pałacu dano na przechowanie figurę Dzieciątka Jezus, lecz „łotr jakiś wydarł jej z rąk statwę i rzucając na ziemię, zawołał: »Bodaj

polskim bogom oczy powyłaziły«”. Po całonocnym rabunku pałac został podpalony.

Nikorowiczowie, właściciele Rosochowatej, usiłowali wyjechać ze wsi, gdyż ich ziemia została już zajęta przez chłopów. Z trudem uszli pogoni, bo „baby biegły ku nim, z bezsilnego gniewu oszalałe jak furie, krzycząc wniebogłosy: »Do dwora, do dwora!«. W pragnieniu zemsty na „wyzyskiwaczach” przodowały bowiem kobiety. Były bardziej zainteresowane rabunkiem niż ich mężowie, bo „*we dwori je knyżki, je kresetka, je wsiakoho dobra do woli*”. Upajały się też nadzieją, że „*ohoń bude pid niebo!*”<sup>[29]</sup>.

Ukraińskie chłopki zachęcały swoich mężczyzn do rabunku i często wraz z dziećmi szły na czele pochodu zdążającego po łupy do dworu. Dopiero w drugim szeregu maszerowali ich mężowie i bracia uzbrojeni w broń palną, widły i siekiery.

„Nikt tak chciwie – potwierdzała Kossak-Szczucka – nie pragnął wszystkiego, co dworskie – jak one. Żydzi prowadzili je, jak chcieli i dokąd chcieli, a one prowadziły ostrożniejszych i powściągliwszych od siebie mężów. Na »schodach«, czyli zebraniach wiejskich, nikt ich nie przegadał i nie powstrzymał. Dotychczas tak ciche i bezosobowe czarnobrewne i rzewne Ulany, Hapki i Frasynty ogarnął istny szal wiecowania”<sup>[30]</sup>.

Ze szczególną zaciekłością niszczone pamiątki rodzinne i wszystko, co przypominało dworski luksus. Napastnicy „młócili cepami saską porcelanę, wykłuwali oczy portretom dziedziców”. Miała to być symboliczna zemsta za pańszczyznę zniesioną pół wieku wcześniej. Rozpamiętywano ucisk przodków, a chociaż było to dawno, „*wse taki krywda dla narodu, oj krywda*”<sup>[31]</sup>.

„Nieprzeliczone mrowie żołdactwa i chłopów – opisywał ziemianin i historyk, Antoni Urbański – wyjąc i klnąc, wpada do domu i zaczyna się orgia, szalony zamęt, rujnacja. Wnet

wszystkie pokoje są zapchane gawiedzią i tłuszczą. Rozlega się wycie drabów (...) i straszny łomot wywracanych mebli, zbitego szkła. Pijany, cuchnący motłoch jedne rzeczy grabi, inne kłuje bagnietami i rąbie. Mrowie pastwi się nad pamiątkami. Wnet wszystko zdeptane i splugawione. Okna potłuczone, kawałki mebli i spopielonego papieru rozrzucone po ziemi, ze sprzętów – kłaki, z książek i albumów strzępy. (...) Wnet tłuszczą rzuca się na ogród, rąbie wszystkie drzewa i wkrótce gromi wszystkie sąsiednie budynki, cały dobytek, całe gospodarstwo. Jeszcze parę chwil i zostają szkielety budynków podobne do osmalonych trupów, wśród pogorzelsk i zwalisk nocą snują się mary – wszystko sprofanowane, sponiewierane”<sup>[32]</sup>.

## *Rizaty Lachiw!*

Na ukraińską wieś dotarła odezwa Lenina głosząca, że „panowie i właściciele leżą na waszej drodze do szczęścia i bogactwa jak kłoda w lesie”. Wódz bolszewików nawoływał, by włościanie byli jak „tędy drwale” i tak długo „uderzali siekierą, aż poczną z niej lecieć trzaski na wszystkie strony”<sup>[33]</sup>.

Nie była to wprost zachęta do mordowania ziemian, ale wielu chłopów właśnie tak rozumiało te słowa. Dlatego coraz częściej żądano śmierci „panów”, a z czasem – wszystkich ukraińskich Polaków. To właśnie wtedy pojawiło się hasło „*Rizaty Lachiw!*”, które kojarzy się z tragedią Wołynia ćwierć wieku później.

Chłopi rozumowali pragmatycznie – uważali, że jeśli panowie zostaną wyrżnięci, to przecież „*z tamtoho swita nie pryduť*”<sup>[34] [35]</sup>. Zgodnie z tą logiką zabito Ignacego i Antoniego

Platerów broniących się w Worobinie. Gdy napastnicy zagrozili, że podpalą dwór, obaj ziemianie poddali się, po czym i tak zostali zamordowani. Natomiast w Koszowatej schwytano doktora Grabowskiego i jego córkę. Pędzono ich nago do wsi Łuka, tam wyłupiono im oczy i żywcem, głową w dół, zakopano. Była to zresztą – obok bicia aż do śmierci – ulubiona metoda pozbawiania życia.

Zdarzało się jednak, że wieś broniła ziemian. Gdy do Lemieszówki wpadła uzbrojona banda i chciała zorganizować sąd nad Kalikstem Dunin-Kozickim, zaprotestowali miejscowi włościanie. Oświadczyli, że dziedzic płacił im za pracę i nie czuli się pokrzywdzeni. Zaprzeczyli też, że we dworze ukrywano broń – zgodnie orzekli, że Dunin nie zasłużył na śmierć.

## Chwila względnej normalności

Falę przemocy zahamowało w lutym 1918 roku wejście na Ukrainę wojsk niemieckich i austro-węgierskich, a następnie objęcie władzy przez hetmana Pawła Skoropadskiego. Chłopi zaczęli nawet oddawać zagrabiony inwentarz, chociaż w wielu przypadkach woleli go zniszczyć. W Strzyżawce zwrócono krowy, ale domagano się zwrotu kosztów ich utrzymania. Natomiast meble zrabowane z pałacu były podrzucane do parku albo topione w rzece.

„Každy w strachu przed Austriakami – wspominała Elżbieta Dorożyńska – specjalnie się do mnie skradał i pod połą lub też w worku składał swoje *corpus delicti*, najrozmaitsze drobiazgi, kawałki uprząży, latarnie od powozów. (...) Každy był pokorny, uniżony, zgięty we dwoje, proszący o przebaczenie. Każdemu

powtarzałam, że nic mu nie będzie, wymagam tylko oddania zagrabionych rzeczy”<sup>[36]</sup>.

Chłopi z majątków Sobańskich witali ich chlebem i solą, deklarując radość, że „państwo wracają” i znów razem z nimi będą pracować na roli. Nic zatem dziwnego, że wielu ziemian sądziło, iż czasy pożogi odeszły w przeszłość, i z powrotem obejmowało swoje majątki. Niebawem mieli się gorzko przekonać o pomyłce...

Inna sprawa, że Austriacy i Niemcy byli zainteresowani powrotem polskich ziemian i niekiedy im pomagali. Robili to jednak głównie w swoim interesie, gdyż chcieli wyegzekwować od państwa ukraińskiego ogromne dostawy zboża i żywca. Zdawali sobie przy tym sprawę, że ów kontyngent mogą dostarczać przede wszystkim polskie majątki, a nie małe gospodarstwa chłopów ukraińskich.

Dlatego też, odpowiadając na prośbę Sobańskich z Sumówki, zagrożonych najściem bandy Wolnych Kozaków, skierowano tam oddział wojskowy. Żołnierze zdążyli w ostatniej chwili.

„Oddział napastników – relacjonowała Maria Sobańska – dojechał do bramy i niespodziewanie natknął się na strzały z maszynowego karabinu Austriaków, w rezultacie czego podał tyły i błyskawicznie bokami, rowami znikł w wielkim przerażeniu z horyzontu”<sup>[37]</sup>.

Względna normalność skończyła się jeszcze w 1918 roku wraz z upadkiem hetmana Skoropadskiego i wycofaniem się z Ukrainy wojsk państw centralnych. Władzę objął ataman Symon Petlura, który zapowiedział, że „ciemężyciele będą karani”. Rozpoczęły się prześladowania nie tylko ziemian, lecz także polskiej służby, pracowników majątków i „całej polskości jednym słowem”<sup>[38]</sup>.

Ponownie dochodziło do napadów na dwory, a w Halzbijówce zażądano od Elżbiety Dorożyńskiej pieniędzy na

armię Petlury. Włościanie stwierdzili, że będzie to wojsko dbające, „aby lud otrzymał ziemię i zgnębił obywateli”, czyli ziemian. Dorożyńska nie miała możliwości odmowy...

Pod koniec grudnia do Nowosielicy wtargnęła uzbrojona bolszewicka banda z Międzyborskiej Sowieckiej Republiki. Ponieważ właściciele zdążyli jednak wyjechać z majątku, zwołano „sąd” nad „przyjaciółmi pana”. Zadenuncjowali ich chłopci, wskazując między innymi służącego, Józefa Sawickiego.

*„Ce łokaj – wołano – perwszyj burżujski słuha! On bez pana ničeho nie ponimaje, szcze teper za nim płacze.*

*– Prawdu każut, Józif Sawicki...*

– Prawda – odpowiedział stary na poły ze łkaniem. – Mnie z panami było dobrze, a z wami bieda i śmierć”<sup>[39]</sup>.

Bolszewicy stwierdzili, że w ten sposób Sawicki wydał na siebie wyrok śmierci. Po zarąbaniu szablami kilku innych skazańców miał przyjść czas na wiernego służącego, ale akurat wtedy do członków bandy dotarła informacja, że Niemcy właśnie opuścili Starokonstantynów, co oznaczało, że była szansa na zajęcie miasta, zanim wejdą tam żołnierze Petlury. W tej sytuacji przerwano egzekucję i zażądano od włościan, by ją dokończyli. Wieśniacy jednak zaczęli się wahać, a na koniec doszli do wniosku, że – chociaż była to wielka pokusa – być może „chwile przyjemności przyjdzie odkupić zbyt drogo”.

Tymczasem w Starokonstantynowie bolszewicy z Międzyboża rozpoczęli polowanie na „pomieszczyków”, czyli ziemian. Zamordowano Jana Pruszyńskiego, którego „ciało obdarto do naga, po śmierci jeszcze kalecząc je i znieważając”. W spodniach zabitego paradował później przywódca bandy.

Okrutną śmiercią zginęło kilku Polaków z okolic Hrycowa, którzy wpadli w ręce włościan. Pięć osób (w tym kobietę i

dziecko) „torturowano kilka godzin, zdzierając z nich skórę kawałkami, krwawymi kikutami bez palców i pięt pędząc po śniegu, odrąbując po kolei wszystkie członki”<sup>[40]</sup>.

Gdy do Starokonstantynowa wkroczyły ukraińskie pułki z Galicji, pozornie zachowywały neutralność wobec Polaków. W rzeczywistości jednak żołnierze podburzali miejscowych Ukraińców, drukowano nawet ulotki, w których zachęcano do krwawej rozprawy.

*„Hańba tomu – pisano w jednej z nich – kto by Lachom pomahał i z nymi bratałsia, kto by ranienomu Lachowi wody podał abo do chaty pryńiał. Ne ma pomyłowania cym muczytieliam, krowopijcam, pidpankom i pankam biłoruczkim i czwankowatym. Riżtie ich wsiech wo sni na kwatirach (...) i nie mijtie miłosti dla nikoho z nych, bo lacka pijawka najhirsze osorużena so wsich pijawok na switi”<sup>[41]</sup>.*

## Pogrom Żydów w Płoskirowie

Wezwanie do rzezi faktycznie się urzeczywistniło, ale na celownik wzięto Żydów. W lutym 1919 roku, po nieudanej próbie opanowania Płoskirowa przez bolszewików, ataman Semosenko nakazał rzeź starozakonnych<sup>[42]</sup>.

„Wśród stosu ofiar zalegających ulice – opisywała Szczucka – (...) wszyscy zostali zarżnięci, zakłuci lub poćwiartowani żywcem, (...) z balkonów zwieszały się wianki związane z dzieci maleńkich, rozplątanych bagnetami, powiązanych sznurem za główki żałośnie zwieszono”<sup>[43]</sup>.

Nieszczęśni Żydzi bezskutecznie próbowali ratować życie, oferując pieniądze i kosztowności, lecz w odpowiedzi słyszeli:



„*Nam was treba, ne waszich hroszi*”. Było to zresztą zgodne z rozkazem atamana Semosenki, który zakazał rabunków.

Zdarzyło się, że podczas pogromu zbrodniarze wbiegali do polskiej apteki, żądając perfum, „myli sobie twarze, ręce, posklejane od krwi włosy, po czym stokroć jeszcze bardziej potworni niż przedtem wybiegali kończyć straszne swoje dzieło”<sup>[44]</sup>.

Szacuje się, że w Płoskirowie zamordowano około tysiąca Żydów. Wkrótce w pobliskim Felszynie ofiarą podwładnych Semosenki padło kolejnych 600 Izraelitów. Czas odwetu nadszedł w maju 1926 roku, gdy poeta Szolem Szwarcbard zamordował w Paryżu Symona Petlurę, byłego przywódcę Ukraińskiej Republiki Ludowej. Akt zemsty nie był jednak skierowany we właściwą stronę, gdyż Petlura nie nakazywał pogromów, a nawet powołał w maju 1919 roku komisję śledczą do wyjaśnienia tych zbrodni. Czas wojny nie sprzyjał jednak jej pracom i nie doszło do ukarania żadnego ze sprawców, a szczególnie „niezdyscyplinowanych watażków”<sup>[45]</sup>.

Na wiosnę 1919 roku prawobrzeżną Ukrainę opanowała Armia Czerwona, a jesienią do Kijowa weszła armia generała Denikina. Przed opuszczeniem miasta bolszewicy dokonywali egzekucji Polaków, Ukraińców i Rosjan. Tragiczne chwile przeżywały rodziny więźniów asystujące przy ekshumacjach, gdyż dotychczas nie było żadnych informacji o losach ich najbliższych.

„Staję jak wryta – wspominała Maria Dunin-Kozicka poszukująca swojego męża. – Widzę przed sobą szeroki i długi dół, z którego wychylają się martwe, nagie ciała z roztrzaskanymi czaszkami. (...) Opodal w długim szeregu, na wznak leżą już odkopani, nadzy, skostniaли w jakimś rozpaczliwym wygięciu ramion lub nóg, w bezgranicznym lęku i męce wyrytych na twarzach”<sup>[46]</sup>.

## Koniec Antonin

Na wiosnę 1919 roku doszło do likwidacji słynnej stadniny Potockich w Antoninach. Bolszewicy rekwirowali tam konie i – w odróżnieniu od chłopów – nie przeszkadzały im wierzchowce pełnej krwi. Oczywiście komunistów interesowały tylko dorosłe zwierzęta, ale źrebięta instynktownie pobięły za matkami.

„Drobne ich kopytka utykały w ciężkim błocie – opisywała Kossak-Szczucka – a żałosne rzenie niosło się po polach jak sierocy płacz dziecięcy. Na przestrzeni kilkunastu wiorst padały ze zmęczenia, a gasnące oczy z trwożną ciekawością patrzyły na podlatujące coraz bliżej kruki. Młodsze – żołnierze zabijali na dziedzińcu, by nie były zawadą. Wtedy płacz-rzenie matek rozdzierało serce”<sup>[47]</sup>.

Chlubą antonińskiej stadniny był ogier Ibrahim – znakomity reproduktor i ojciec słynnego Skowronka, który w Anglii zrobił światową karierę, został kupiony przez Józefa Potockiego od syryjskiego szejka. Ibrahim „na pohańbienie iść nie chciał, szablami go porąbali rozwścieczeni oporem żołdacy”. Ze stadniny zachowało się tylko 20 koni, które trafiły do Polski<sup>[48]</sup>.

Niewiele później uległ zagładzie pałac Potockich, „jedna z najzbytówniejszych siedzib polskich na Wołyniu” i synonim zachodnioeuropejskiego luksusu<sup>[49]</sup>. Ostatecznie budynek zniszczono w sierpniu 1919 roku, gdy przed nadejściem wojsk polskich podpalili go żołnierze Armii Czerwonej.

„Wyły z uciechy dzikie hordy, patrząc, jak płomień pastwił się nad biblioteką kilkanaście tysięcy tomów liczącą – informował miesiąc później „Kurier Warszawski” – jak ginęło w ogniu archiwum rodzinne ks. Sanguszków, jak paliły się stare portrety i nowe pędzla Matejki, jak nikły obrazy

Kossaków, Pochwalskich i starych mistrzów, jak tłukły się i rozpadały bezcenne zbiory porcelany koreckiej, jak prastare pamiątki rodzinne, jak wspaniałe brązy i kryształy niszczył żywioł rozszalały, obracając wszystko w perzynę”<sup>[50]</sup>.

Ta apokaliptyczna wizja była na szczęście trochę przesadzona, gdyż dawnym pracownikom majątku i rezydencji Potockich udało się wynieść z pożaru część dzieł sztuki, księgozbioru i archiwów. Przewieziono je do Polski w 1920 roku, ale spłonęły podczas Powstania Warszawskiego. Natomiast w 2018 roku, z inicjatywy miejscowych władz, w Antoninach otwarto muzeum Potockich.

„Surowy gmach o oknach zabitych deskami nie spogląda ku nam – żegnała się wiosną 1919 roku ze swoim domem w Nowosielicy Zofia Kossak-Szczucka. – Mijam go z żalem, jak przyjaciela, co mnie nie widzi, a na którego zawołać nie wolno. (...) Z krzaków jakiś pies obcy wyskakuje do nas zajadle, aż w gardle dławi. Milczkiem, prawie że ukradkiem, niewidziani przez nikogo wyjeżdżamy z parku. Ostatni raz spoglądam za siebie...”<sup>[51]</sup>.



**Pałac Grocholskich w Strzyżawce.**

(Biblioteka Narodowa)



**Pałac Potockich w Antoninach.**

(Wikipedia)



**Barokowy pałac Sanguszków w Sławucie.**

(Biblioteka Narodowa)



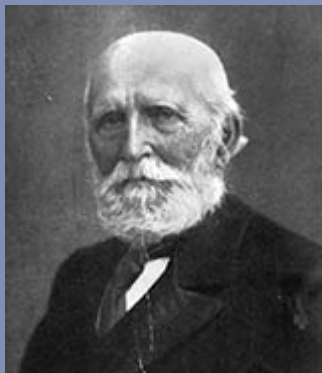
**Maria Dunin-Kozicka.**

(Zbiory Sławomira Kopra)

Elżbieta Dorożyńska wciąż trwała w Halzbijówce – obserwowała, jak na Podolu pojawiają się oddziały denikinowskie, ukraińskie i bolszewickie. Pewnego dnia, w lutym 1920 roku, do Halzbijówki wpadli żołnierze wyglądający na bolszewików, ale podający się za denikinowców. Zażądali wydania zboża i słomy, na co mieszkańcy wsi zareagowali

oburzeniem, uznając, że „panienkę grabią”. W rzeczywistości jednak traktowali majątek dworski jak swoją własność i nie zamierzali go oddawać. Napastników rozbrojono, a potem – mimo protestów Dorożyńskiej – zaczęła się rzeź.

„Rozjuszony tłum wywłókł żołnierzy z podwórza przed dwór – wspominała – i ze zwierzęcym – nie! – z ludzkim okrucieństwem znęcał się nad tymi bezkształtnymi bryłami błota i krwi: gdy któryś z nich zdawał się konać, bili go, dopóki nie podniósł się na chwiejące się nogi, a wtedy ciężkie uderzenia kolby i kijów gnały go przed siebie w bezprzytomnym szale, aż znów łachmanem krwawego ciała zarył się w rozmieszane błoto”<sup>[52]</sup>.



**Książę Roman Damian Sanguszko.**

(Wikimedia Commons)



## **Ciało zamordowanego księcia Sanguszki.**

(Wikimedia Commons)



## **Nagrobek księcia Romana Damiana Sanguszki w kościele św. Doroty w Sławucie.**

(Biblioteka Narodowa)

Dorożyńska doczekała ofensywy kijowskiej Wojska Polskiego w kwietniu 1920 roku, a później goryczy odwrotu. Na Podolu ponownie zapanowali bolszewicy, chociaż nie wypędzili jej z dworu. Ostatecznie opuściła posiadłość w czerwcu 1921 roku i wyjechała do Polski:

„Moja Halźbijówka jakby urokiem swoich czarów chciała mnie zatrzymać przy sobie, ustroiła się we wszystkie piękności: puchem rozkwitłych gałązek, szmerem drzew i taflą marzącej wody zdaje się skarżyć, że ją opuszczam, że dzieje się jej krzywda. Wtedy mam wyrzuty sumienia, jak gdybym coś zdradzała, jak gdybym dla osobistych względów coś porzucała, coś, czemu wiernie służyć powinnam. Boże, miłosierdzia!”<sup>[53]</sup>.

## ROZDZIAŁ 8

# KIJOWSKIE LATA JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

Pisarz spędził młodość na Ukrainie, przez dłuższy czas mieszkał w Elizawetgradzie i Kijowie, a jako korepetytor pracował w kresowych pałacach i dworach. Poczynione wówczas obserwacje i zawarte przyjaźnie wielokrotnie odzywały się echem w jego twórczości. W Kijowie dojrzał jako pisarz i zawsze powtarzał, że bez tego miasta i jego mieszkańców byłby kimś zupełnie innym. Ukrainę opuścił ostatecznie w wieku 24 lat, będąc już w pełni ukształtowanym człowiekiem<sup>[1]</sup>.

## W Kalniku

Jarosław Iwaszkiewicz przyszedł na świat 20 lutego 1894 roku w Kalniku położonym na wschód od Winnicy. Jest to jednak datowanie starego stylu według kalendarza juliańskiego obowiązującego wówczas w Rosji. W rzeczywistości pisarz urodził się 6 marca<sup>[2]</sup>.

Kalnik ma bogatą przeszłość, a jego pierwszymi znanymi właścicielami byli Jancyńscy – rodzina, która przywędrowała

tu z Wołynia. W XVI wieku miejscowość przeszła w ręce księżnej Anny Koreckiej, córki hetmana Jana Karola Chodkiewicza. Było to miasteczko wielonarodowe i wielowyznaniowe, w którym znajdowały się: cerkwie, żeński klasztor prawosławny, zbór ariański, synagoga i karaimska kenesa. Symptomatyczne, że w Kalniku nie było świątyni katolickiej<sup>[3]</sup>.

Kres świetności miasteczka przyniosło powstanie Chmielnickiego, podczas którego zostało spustoszone. Nigdy już nie podniosło się z upadku i stało się wsią, a jej kolejnymi właścicielami byli: Czartoryscy, Broel-Platerowie i Potoccy.

W latach 80. XIX wieku Kalnik należał do „akcyjnej kompanii cukrowniczej” i funkcjonowała tam cukrownia. Było to zgodne z ogólnymi trendami gospodarczymi nad Dnieprem, a dzięki uprawie buraków i produkcji cukru powiększały się fortuny Potockich i Branickich. Przy okazji powstawały też nowe, jak Jaroszyńskich czy Wołodkowiczów.

Buchalterem kalnickiej cukrowni był ojciec pisarza, Bolesław Iwaszkiewicz. Jego przodkowie wywodzili się z ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego i zapewne mieli białoruskie korzenie. Nazwisko utworzono bowiem od imienia Iwan, co sugeruje także prawosławną przeszłość rodziny. Natomiast matka pisarza pochodziła z ziemi sochaczewskiej na Mazowszu<sup>[4]</sup>.

Najważniejszym wydarzeniem młodości Bolesława Iwaszkiewicza było powstanie styczniowe. W chwili jego wybuchu studiował na uniwersytecie kijowskim, jednak jako zwolennik „czerwonych” przyłączył się do insurekcji. Należał do jednego z powstańczych oddziałów i na krótko trafił do więzienia. Po zwolnieniu nie mógł już powrócić na studia i zarabiał na życie jako korepetytor. Ostatecznie został buchalterem.



Nastoletni Jarosław zauważał, że współczesne mu pokolenie ignorowało opowieści powstańców, z czym nie potrafił się pogodzić. Podkreślał, że przecież „oni mieli jakieś ideały, wiedzieli, za co walczą”. Natomiast dla jego rówieśników liczyły się „tylko pieniądze, pieniądze i pieniądze”<sup>[5]</sup>.

Już jako dojrzały pisarz wspominał udział ojca i stryja w patriotycznym zrywie, jednak gdy opowiadał o fotografii grupy powstańców, na której figurowali obaj, stwierdził, że „wyglądali tragicznie i barbarzyńsko”<sup>[6]</sup>. Być może dlatego nie stał się piewą insurekcji i nie tworzył jej legendy, a opowiadanie *Heydenreich* osnute wokół wydarzeń roku 1863 nie jest bynajmniej patriotyczną, grzeczną lekturą. Przeciwnie – pokazuje grozę i okrucieństwo wojny.

Iwazzkiewicz został ochrzczony w kościele w Ilińcach. W metryce wpisano imię Leon, gdyż ksiądz odmówił ochrzczenia dziecka imieniem Jarosław, gdyż kojarzyło się mu ono z prawosławiem. Niewykluczone, że w tej sytuacji imiona przyszłego pisarza brzmiały: Leon Jarosław. Dopiero jako dorosły mężczyzna Iwazzkiewicz zaczął posługiwać się tym drugim<sup>[7] [8]</sup> , .

Iwazzkiewicz spędził w Kalniku pierwsze lata życia. Wspominał, że jego dom był „niezwykle skromny w swej formie, niezamożny, choć nie ubogi”<sup>[9]</sup>. Jego domowymi nauczycielkami języka polskiego, historii i literatury były starsze siostry: Helena, Anna, Jadwiga.

Po śmierci Bolesława Iwazzkiewicza matka wraz z dziećmi w 1904 roku przeprowadziła się do Elizawetgradu. Mieli tam swoje domy Szymanowscy, z którymi Iwazzkiewiczowie byli rodzinnie związani. Pisarz wspominał odwiedziny u krewnych w Tymoszwówce, zapamiętał atmosferę bogatego, kulturalnego dworu, w którym mieszkał starszy od niego o 12 lat Karol Szymanowski. Z kompozytorem połączyła go później wielka

przyjaźń, a odwiedziny u rodziny kompozytora dały mu „pierwsze wrażenia towarzyskie i artystyczne”<sup>[10]</sup>.

W Tymoszwówe Iwaszkiewicz poznał twórczość Wyspiańskiego, Żeromskiego, Przybyszewskiego oraz kompozycje Ravela i Debussy’ego. Chłonał książki, słuchał muzyki i wówczas zapominał, że był tylko ubogim krewnym właścicieli dworu. Ta edukacja dała mu więcej niż nauka w gimnazjach w Elizawetgradzie i Kijowie.

## Kijowskie przyjaźnie

W 1909 roku Iwaszkiewiczowie przeprowadzili się do Kijowa. Mieszkało tam wówczas 45 tysięcy Polaków stanowiących kilkanaście procent ludności. Kijowskie gimnazjum dobrze zapisało się w pamięci Jarosława za sprawą nauczycieli. Pisarz wiele im zawdzięczał, gdyż nie były to już czasy brutalnej szkolnej rusyfikacji i dzięki temu mógł bez przymusu poznawać wielkie dzieła literatury rosyjskiej.

Polonia w Kijowie była dwujęzyczna, a niektórzy jej przedstawiciele, przyznając się do polskości, w ogóle nie znali rodzimego języka.

„Oczywiście i tutaj – tłumaczył pisarz – jak w Elizawetgradzie, najbardziej zwartą grupę w klasie stanowili Polacy, których było aż ośmiu, czyli 20%. Dwaj z tych Polaków, zresztą może najwybitniejsi, byli zupełnie zrusyfikowani. W obu wypadkach nastąpiło to z przyczyn jednakowych, a mianowicie obaj byli synami małżeństw mieszanych, Polaków z Niemkami. Rodzice, nie znając nawzajem swoich języków, porozumiewali się ze sobą po rosyjsku i dzięki temu chłopcy

znali język tylko rosyjski i niemiecki. Ale obaj, jako katolicy, stanowili wspólną z nami gromadę”<sup>[11]</sup>.

Kijowskie lata szkolne były dla Iwaszkiewicza okresem burzliwego dojrzewania i kształtowania się światopoglądu. Ogromną rolę odegrali w tym przyjaciele z gimnazjum: Jura Mikłucho-Makłaj i Mikołaj Niedźwiedzki.

Iwaszkiewicz nie zapomniał Jury do końca życia. Ponad ćwierć wieku od rozstania potwierdzał, że przyjaciel „miał na niego ogromny wpływ”, chociaż chyba bardziej na psychikę niż na twórczość. Był to jednak wpływ dość destrukcyjny, gdyż najgłębszą treścią istoty duchowej Mikłuchy-Makłaja było nihilistyczne hasło „nie warto”. Z tego powodu Jura porzucił szkołę – inna sprawa, że właściwie nigdy nie cenił wysoko nauki. Bardziej imponowały mu siła i wojna, był też skłonny do burd awanturnikiem. Jednocześnie potrafił poddać się totalnej rezygnacji, a wszystko to było „posmarowane w bardzo mocny sposób filozofią Nietzschego, imperializmem Kiplinga i rodzimym rosyjskim nihilizmem”. Przy okazji był też zatwardziałym hedonistą<sup>[12]</sup>.

Mikłucho-Makłaj fascynował Iwaszkiewicza, chociaż ten buntował się przeciwko jego prymatowi do tego stopnia, że chciał zerwać znajomość. Próba wyzwolenia się z więzów przyjaźni była jednak trudna i omal nie zakończyła się tragedią 17-latka. Iwaszkiewicz bowiem całkiem poważnie rozważał samobójstwo.

Silniejsza osobowość zdominowała słabszą, doprowadzając Jarosława na skraj załamania nerwowego. Ostatecznie pisarz uległ argumentom Jury, że nie powinni przestać się przyjaźnić i na zgodę „wycelowali się serdecznie”<sup>[13]</sup>.

Po latach sportretował przyjaciela w powieści *Księżyc wschodzi*. Na pytanie, jak można żyć z przekonaniem, że nic nie warto, Jura odpowiedział, że może i nie będzie żył, gdyż nie

ma dla kogo<sup>[14]</sup>. I faktycznie, nie żył zbyt długo, gdyż został zamordowany przez ukraińskich chłopów w 1918 roku.

Iwazzkiewicz dedykował mu opowiadanie *Zenobia Palmura*, w którym sportretował go jako pięknego Jurę Mawrickiego. Akcja utworu rozgrywała się w Kijowie w 1912 roku, a jej bohaterami byli trzej mężczyźni zakochani w tej samej kobiecie. Inna sprawa, że opowiadanie można było także odczytywać jako opis relacji erotycznych między głównymi bohaterami.

Młodzięcza przyjaźń z Jurą Mikłuchą-Makłajem i jego poglądy naznaczyły pisarza na zawsze. Po latach twierdził, iż nihilizm przyjaciela „zainfekował go tak głęboko, że do końca życia będzie odzywał się w chwilach zwątpienia”.

Inny charakter miała przyjaźń Jarosława z synem Polaka i Niemki, Mikołajem Niedźwiedzkiem. W domu Koli „grano, śpiewano i deklamowano. (...) W całym tym towarzystwie najważniejszymi zagadnieniami były kwestie artystyczne – nieobce jednak mu były i inne zainteresowania”<sup>[15]</sup>.

W pokoju Niedźwiedzkiego w rodzinnym domu w podkijowskiej Bojarce zwracał uwagę „mały ołtarzyk, na którym stała fotografia Wilde’a”<sup>[16]</sup>. Rozmowy z przyjacielem mocno zaważyły na przyszłości Iwazzkiewicza. Skierowały go bowiem w stronę „estetyzowania życia” i zamykania się w wieży z kości słoniowej „pod najwyższymi auspicjami »boskiego Oskara«”<sup>[17]</sup>. Powtarzał też często słowa Koli, że „żyć – to znaczy obcować przez piękno z nieskończonością”...

Był to dla pisarza najlepszy uniwersytet estetyki, tym ważniejszy, że na ten prawdziwy uczęszczał z dużą niechęcią. Pod presją brata i matki zapisał się bowiem na praktyczny życiowo wydział prawa, podczas gdy głowę miał zajętą poezją i muzyką. Nie zdawał sobie wówczas sprawy, że kilkanaście lat

wcześniej ten sam kierunek skończył tu inny przyszły poeta, Bolesław Leśmian.

Innym bliskim kolegą szkolnym Iwaszkiewicza był Kostia Mastwiejew, którego również wspominał przez długie lata:

„Był to prześliczny chłopiec o wiele ode mnie młodszy; wybrałem go spośród najmłodszych, wiedziony nowym dla mnie i niespodziewanym instynktem. Pociągała mnie jego piękna twarz, nieprawdopodobny wdzięk, uśmiech wiosenny. (...) Po raz pierwszy skonstatowałem wtedy rewelacyjny dla mnie związek pomiędzy twórczością a erotyzmem. Pierwszą książką, jaką kupiłem sobie na własność jako zaczątek mojej biblioteki, była *Uczta Platona*. Przez lekturę tej książki i poprzez czarowną postać Mastwiejewa odkryły mi się perspektywy sublimacji instynktu, z którym nie wiedziałem, co począć... Stosunek nasz nie wyszedł nigdy poza radość wspólnych spacerów, chodzenia do teatru, składania sobie dość oficjalnych wizyt... ale Kostia przeszedł przez moją młodość jak jasny promień, bukiet bzu majowy. I pamięć – do dziś dnia, choć kontakt nasz był tak wątki, myśl o miłości, choć jej nie było, zapowiedź czegoś, co się nie ziściło...”<sup>[18]</sup>.

W prowadzonym wówczas *Dzienniku* Iwaszkiewicz po raz pierwszy użył słowa „miłość”. Jednak obiektem tego uczucia nie był Mastwiejew, lecz młodszy od Jarosława o rok Czesław Peszyński. Zrównoważony, urodziwy chłopiec, syn lekarza cieszącego się uznaniem wśród kijowskich Polaków.

Obie rodziny znały się dobrze, a matka i siostry Jarosława lubiły Czesława. Chłopcy wspólnie spacerowali nad Dnieprem, recytowali poezję. Iwaszkiewicz był przekonany o swoim uczuciu do przyjaciela.

„W poniedziałek, to jest pozawczoraj, byłem u najukochańszego – zanotował w styczniu 1911 roku – miły on stale i ciągle; tak go kocham, że boję się, czy nie jestem homoseksualistą. Nadzwyczaj on miły i może mnie lubi, tylko

że on taki mój biegun. (...) Łajałem go, że nie przychodzi (...). Jestem o niego zazdrosny (...)”<sup>[19]</sup>.

Po latach Iwaszkiewicz poświęcił pamięci Cesia wiersz *In memoriam*:

*Nie wiem: może gdzie, może nieświadomie, ale cię zobaczę.*

*Bo jakże inaczej? Ale upał jest.*

*Zmęczony jestem i płaczę<sup>[20]</sup>.*

Fascynacje szkolnymi kolegami nie przysłaniały mu jednak spraw ważniejszych. Jarosław zapowiadał się na dobrego pianistę i obok edukacji w gimnazjum podjął również naukę w prywatnej szkole muzycznej. Komponował nawet pierwsze utwory i z coraz większą niechęcią odnosił się do studiów prawniczych. Ale presja rodziny robiła swoje – wciąż uczęszczał na zniechęcające zajęcia.

## Odnaleźć samego siebie

Pisarz wychowywał się niemal wyłącznie w otoczeniu kobiet. Ojciec zmarł wczesnie, chłopak dorastał w silnym związku uczuciowym z matką i siostrami. Niektórzy badacze interpretują ten fakt jednoznacznie, sugerując, że nabrał przez to pewnych cech kobiecych. Wydaje się to jednak całkowicie bezpodstawne.

Chociaż bowiem w kijowskich latach dostrzegł u siebie skłonność do partnerów tej samej płci, to podobały mu się także dziewczęta. Przeżył wówczas fascynację urodziwą i elegancką nauczycielką języka francuskiego, Lidią Łapiną, o której względy rywalizował z jednym ze swoich przyjaciół, Stefanem Knabe. Łapina ostatecznie wybrała Knabego i dla

znacznie młodszego gimnazjalisty porzuciła narzeczonego, po czym, nie zwracając uwagi na skandal, poślubiła chłopca. Wprawdzie małżeństwo rozpadło się już po dwóch latach, ale przy tej okazji Iwaszkiewicz poznał smak odrzucenia przez kobietę. Zaowocowało to wierszem *Lilith*, który jako pierwszy utwór poetycki Iwaszkiewicza został opublikowany na łamach prasy (w kijowskim „Pionie”, w 1915 roku).

Fascynacja Lidią Łapiną nie była zresztą wyjątkiem, gdyż duże znaczenie dla Jarosława miała również znajomość z Zofią Kurkiewiczówną. Poznał ją w Byszewach koło Łodzi, gdzie spędzał wakacje w majątku wuja swojego szkolnego kolegi, Józefa Świerczyńskiego. Przyszłemu pisarzowi na zawsze pozostało w pamięci ich pierwsze spotkanie:

„Poprzedziła ją sława urody, nie bardzo mi się jednak podobała, była w niebieskiej sukni i coś mówiła. Uderzył mnie wtedy jej głos, który i dzisiaj brzmi jeszcze mi w uszach, i ta bardzo staranna polska, warszawska wymowa (...)”<sup>[21]</sup>.

Jarosław nie musiał długo czekać na rywala, bo Zofię zaczął też adorować Józef Świerczyński, a ich rywalizacja o względy dziewczyny miała bardzo specyficzny charakter. Biograf Iwaszkiewicza, Radosław Romaniuk, podejrzewał, że Świerczyński był pierwszym kochankiem pisarza. Zapewne to właśnie o Świerczyńskim pisał on w swoim *Dzienniku* wiele lat później:

„To zadziwiające, jak do dziś dnia prześladowe mnie wspomnienie tego ciała sprzed sześćdziesięciu przeszło lat, jak czuję nie tylko jego dotknięcie i jego kształt, że tak powiem, jego smak, ale czuję tak dotykalnie (w dziedzinie pojęć) jego istotę (...). Całe duchowe mięso tego ciała tkwi przy mnie i nie mogę się od niego oddalić. (...) I to najdziwniejsze, że nie była to miłość – tyle razy kochałem różnych ludzi, ale

właśnie tego człowieka nie kochałem, miałem tylko nabożeństwo do tego tak pięknego ciała”<sup>[22]</sup>.

Ten dziwny emocjonalno-erotyczny trójkąt miał funkcjonować przez kilka najbliższych lat. Jarosław korespondował z mieszkającą w Warszawie Zofią i nawet ją tam odwiedził, ale dziewczyna traktowała go wyłącznie jako powiernika – zwierzała mu się ze swoich problemów ze Świerczyńskim. Z tym samym Świerczyńskim, z którym w Kijowie Iwaszkiewicz nadal utrzymywał intymne kontakty.

„(...) Kiedy się odchodzi na bardzo daleki dystans od pewnej epoki życia – notował pisarz w 1975 roku – cała ta epoka przybiera sobie innego patrona, niż się dotąd wydawało. Tak na przykład cała młodość w Kijowie nie ma za patronów ani Cesia, ani Jury, ale tylko Józia Świerczyńskiego, który w tamtym czasie, zdawało się, nie odgrywał tak wielkiej roli w mym życiu. Zresztą co się tyczy Józka, to trzeba by było kiedyś napisać większy kawałek o nim. Pod względem psychologicznym i pod względem spraw seksualnych może by to było interesujące, bo tak zupełnie do niczego niepodobne i bez precedensów”<sup>[23]</sup>.

Nie wiadomo, jak potoczyłoby się intymne życie Iwaszkiewicza, gdyby Zofia wybrała jego, a nie przyjaciela. Panna Kurkiewiczówna była jednak osobą konsekwentną i kilka lat później, już w wolnej Polsce, poślubiła właśnie Józia.

## Na rozdrożu

Iwaszkiewicz już jako gimnazjalista dawał lekcje muzyki, zaczął też zarabiać jako korepetytor w kresowych dworach i pałacach. W Stawiszczach był nauczycielem Tola Hanickiego,



syna administratora ogromnego majątku Branickich, gdzie zetknął się z magnackim stylem życia i przyjemnościami wielkiego świata. Zapamiętał Stawiszczę także ze względu na trzy dziewczęta: siostrę swojego ucznia, siostrzenicę pana domu i jej przyjaciółkę. Wszystkie były inteligentne i urodziwe, a najbardziej podobała mu się Jadwiga Hanicka. Była to raczej fascynacja, którą starał się ukryć, może flirt, ale na pewno nie miłość. Atrakcyjność dziewcząt działała jednak na niego „jak poezja i wywoływała poezję”<sup>[24]</sup>.

Z kolei w Piatyhorach należących do rodziny Lipkowskich Iwaszkiewicz poznał nieco starszego od siebie Jasia Zaleskiego i oceniał, że było to jedno z istotniejszych spotkań w jego życiu. Choć rozmawiali tylko raz czy dwa i „nigdy nic z tego nie wynikło”, to w tym kontakcie zawarło się „ziarno tyłu jego utworów”<sup>[25]</sup>.

Najważniejszy był chyba jednak jego pobyt we dworze Plichtów w podłódzkich Byszewach – daleko od rodzinnych stron. Dopiero tam „poznał Polskę” i stała mu się „droga, ciasna może i inna od Ukrainy, ale bardzo kochana”. Przyznawał też, że *Panny z Wilka* to opowiadanie całkowicie „byszewskie”<sup>[26]</sup>.

Dotąd Polska była dla niego czymś niemal egzotycznym. W Byszewach poznał jednak polską wieś i zrozumiał, jak bardzo jest odmienna od ukraińskiej. Podobnie zresztą jak kultura szlachecka centralnej Polski zdecydowanie różniła się od tej znad Dniepru<sup>[27]</sup>.

To spotkanie było dla Iwaszkiewicza niezwykle ważne – wprawdzie nie uległ rusyfikacji, jednak szkoła zrobiła swoje. Z upodobaniem czytał literaturę rosyjską i nawet swoje pierwsze utwory pisał na zmianę: raz po polsku, raz po rosyjsku.

Dopiero teraz przyznał się przed sobą, że do pewnego stopnia zubożniał „na wszystko, co wyniósł z domu, z tradycji powstaniowych swojego ojca, nauk moich sióstr, ze śpiewania »zakazanych pieśni« i z czytania polskich poezji”. Choć znał i lubił *Pana Tadeusza* oraz *Dziady*, jednak „to, co stanowi naprawdę nurt polskiej kultury, sama jej istota, pozostawało mu obce”<sup>[28]</sup>.

W Byszewach powiększył znajomość kanonu polskiej literatury o *Trylogię* Henryka Sienkiewicza. Oprócz niej we dworze była tylko Biblia.

## Narodziny pisarza

Początkowo bardziej skłaniał się ku muzyce i w latach 1911–1912 wraz z Niedźwiedzkim i jeszcze jednym kolegą skomponowali sonatę. Ponieważ wydawała im się udana, zabrali się do pisania opery opartej na *Portrecie Doriany Gray* Wilde'a. Pracy jednak nie ukończyli, gdyż Iwaszkiewicz postanowił poddać ocenie Szymanowskiego swoje utwory muzyczne. Ten, będąc już wówczas utytułowanym kompozytorem, nie krył sceptycyzmu. Poradził kuzynowi, by zastanowił się, czy chęć wypowiedzania się w muzyce nie jest pomyłką, oraz zasugerował, że może byłoby lepiej, gdyby „na serio wziął się do pióra”<sup>[29]</sup>.

Na szczęście Iwaszkiewicz nie upierał się przy muzyce. Gdy w 1916 roku napisał powieść poetycką *Ucieczka do Bagdadu*, również pokazał ją Szymanowskiemu. Tym razem spotkał się z życzliwą oceną – panowie zaczęli nawet omawiać adaptację utworu na libretto operowe. Kompozytor podobnie wysoko

ocenił cykl wierszy Iwaszkiewicza *L'amour cosaque* i od tej pory „widział w nim kolegę artystę”<sup>[30]</sup>.

Do pochwał dołączyła się Nula, siostra Szymanowskiego, co przyszłemu pisarzowi dodało wiary we własny talent literacki. Jednocześnie odniósł wrażenie, że akceptacja Szymanowskich oznaczała swego rodzaju pasowanie go na twórcę.

Przełomowym momentem w życiu Jarosława było ponowne spotkanie z Szymanowskim w czerwcu 1918 roku w Elizawetgradzie. Kompozytor odbył już wówczas podróże do Włoch, Afryki Północnej i na Sycylię, gdzie ostatecznie określił swoją orientację seksualną.

„Po raz pierwszy – wspominał pisarz – spotkałem się tutaj z Karolem jak równy z równym, mieszkaliśmy w jednym pokoju i całymi nocami gadaliśmy na tematy nas obchodzące. Bez końca opowiadał o Sycylii. Na ową epokę przypada również moment, kiedy mnie zaznajamiał z pierwszymi rozdziałami swojej powieści, do której podówczas przywiązywał dużą wagę”<sup>[31]</sup>.

Tą powieścią był wspomniany *Efebos*, literacka pochwała homoseksualizmu. Natomiast sam kompozytor przeżywał wówczas gorący romans z kilkunastoletnim Borysem Kochną, późniejszym partnerem Diagilewa.

Rozpoczęła się bliska współpraca kuzynów, a Iwaszkiewicza zafascynowała postać króla Rogera II. Naszkicował dramat o sycylijskim królu i wysłał go Szymanowskiemu.

„Pobieżny szkic – entuzjazmował się kompozytor – który mi przysłałeś, olśnił mnie od razu swą dziwną bliskością, stał się jakby objawieniem własnej jakiejś tajemnicy! Oczywiście strasznie mi się podoba”<sup>[32]</sup>.

Szymanowski namawiał kuzyna do rozwinięcia tematu i w efekcie Iwaszkiewicz stworzył na jego bazie libretto opery

*Król Roger* (premiera w 1926 roku). Przy okazji zapadła mu w pamięć Sycylia, tak żywo przedstawiona przez kompozytora. W okresie międzywojennym i po II wojnie światowej Iwaszkiewicz kilkanaście razy odwiedził włoską wyspę, dostrzegając pewne podobieństwo do swoich rodzinnych stron. Uważał, że „i tu, i tam warstwy kultur Wschodu i Zachodu nakładały się jedna na drugą, tworząc specyficzną atmosferę”<sup>[33]</sup>.

## Rimbaud i rewolucja

W 1916 roku Iwaszkiewicz zaangażował się do teatru Studya Stanisławy Wysockiej. Został jego kierownikiem literackim i poznał wówczas młodszego o kilka lat Mieczysława Kozłowskiego (później przyjął nazwisko Rytard). Miało ich połączyć młodzieńcze uczucie, które jednak pozostało wyłącznie epizodem. Ważniejszy był bowiem fakt, że to właśnie Kozłowski odkrył przed Iwaszkiewiczem twórczość Artura Rimbauda. Gdy przeczytał przyjacielowi przekład *Statku pijanego*, ten uznał, że „to było dla niego dopiero prawdziwe odkrycie poezji”<sup>[34]</sup>. Z fascynacji Rimbaudem wzięto się też wspólne tłumaczenie *Iluminacji* i *Sezonu w piekle*.

Wybuch I wojny światowej zastał Iwaszkiewicza w Byszewach, skąd powrócił do Kijowa. Latem 1917 roku wraz ze swoim uczniem, Jerzym Jaczewskim, odbył konną podróż po Ukrainie, odwiedzając rodzinne strony. Przy okazji z dużą przyjemnością oglądał miejsca, o których niedawno czytał w *Trylogii*. Ponownie odwiedzał dwory i pałace – był w Berszadzie, majątku Szeptyckich, Czarnominie Czarnomskich,

Hajworonie Rzewuskich. Widział ziemiańskie rezydencje tuż przed ich zagładą.

Po latach przelał swoje obserwacje na karty książek, uwiecznił świat, który odszedł wraz z rewolucją. Pałace rosyjskiej arystokracji, dworki polskiej szlachty, ukraińskie wsie, żydowskie miasteczka to częste tło jego powieści, z których na czoło wybija się saga rodzinna o wątkach autobiograficznych – *Sława i chwała*.

W styczniu 1918 roku na prośbę pani Świeykowskiej, właścicielki posiadłości w Tokarówce, wyprawił się tam po cenne przedmioty. Pałac nie był jeszcze rozgrabiony, ale w każdej chwili spodziewano się napadu<sup>[35]</sup>. Towarzyszący mu w tej eskapadzie Kozłowski wspominał, że w Tokarówce trafili na ostatnie chwile czegoś, co trwało przez wieki na Ukrainie, „w rajskiej, beztroskiej atmosferze niewzruszoności zasiedziałego dobrobytu”<sup>[36]</sup>.

Z wizytami w polskich dworach na Ukrainie wiążą się też doznania w sferze uczuciowej:

„W budzących się wtedy odczuwaniach młodzieńczej cielesności, w nieznanym świecie, jaki się odkrywał chłopcu o zacisku wiejskim, kiedy objawiały mu się dalekie horyzonty miłości, dalekie możliwości, do których sięgają przeżycia ciała – gama dotyków na nagim ciele... zostawiała pamiętne smaki”<sup>[37]</sup>.

W Piatyhorach był natomiast świadkiem sceny, którą zapamiętał do końca życia:

„(...) z przeciwnej strony (...) szedł chłopiec w płóciennym ubraniu. I zaraz poczułem, że to jest ważne spotkanie, że krzyżuje się ze mną ktoś, kto ważną rolę odegra w moim życiu. Wychodziła ku mnie najważniejsza z przygód życia, przygoda nie przeżyta, ale wyimaginowana, a przez to nie skazana na śmierć, tylko na wieczne życie. Chłopiec w

płóciennym ubraniu... stał się bohaterem moich lirycznych przeżyć – począł żyć bytem samoistnym, odradzając się po kolei w moich książkach”<sup>[38]</sup>.

W lutym 1917 roku obalono dynastię Romanowów, kilka miesięcy później nastąpił bolszewicki przewrót. Rosja zapłonęła ogniem, a bolszewicy krwawo wprowadzali swoje porządki. Na Ukrainie zbuntowane chłopstwo niszczyło polskie dwory, mordując ich właścicieli.

„Ze wszystkich stron nadchodziły wieści – wspominał pan Jarosław – Tymoszkówka Szymanowskich, Ryżawka Iwańskich, Hajworon Rzewuskich padały pod niszczycielską ręką. Fortepian Szymanowskiego spoczął w stawie, portret Balzaka u Rzewuskich spalono, kolekcję obrazów Iwańskiego wywieziono do małego muzeum w Humaniu, a dom cioci Masi zrównano z ziemią, ogród wycięto i całe miejsce, gdzie leżały Czernysze, zaorano. Obszarnicy uciekali ze swoich siedzib. Ale niektóre z nich ostawały się jeszcze przez długie tygodnie i sterczały jak wraki w burzliwym morzu”<sup>[39]</sup>.

## Poeta w mundurze

Henryk Józewski, kijowianin, scenograf teatru Studya i członek Polskiej Organizacji Wojskowej, bezskutecznie chciał wciągnąć Iwaszkiewicza w konspirację.

„Przypuszczam – tłumaczył pisarz – że palnąłem mu wówczas coś o moich zainteresowaniach sztuką, może o międzynarodowości sztuki, co mu nie poszło w smak – w każdym razie więcej już ze mną na ten temat nie rozmawiał”<sup>[40]</sup>.

Gdy jednak na przełomie lat 1917 i 1918 na Ukrainie naddnieprzańskej zaczęły się formować oddziały wojskowe, z których tworzonego III Korpusu Polskiego, Iwaszkiewicz założył mundur. W żołnierskim plecaku miał *Króla-Ducha* i wspominał, że razem z Kozłowskim na jakimś wzgórzu nad Bohem studiowali od deski do deski „ciemny, zawiły, ale także poetycki poemat, rapsod po rapsodzie”<sup>[41]</sup>.

Nie zawsze jednak było tak idyllicznie. Iwaszkiewicz widział zdewastowane i rozgrabione przez ukraińskich chłopów polskie majątki, między innymi pałac Grocholskich w Strzyżawce „z wypalonymi oczami okien”. Brał też udział w ostrzeliwaniu ukraińskiej wsi, z której robiono wypady na polskie oddziały, i przebijał się do Gniewania z okrażenia w boju. Tam Polacy byli oblegani przez uzbrojonych chłopów – uszli z życiem tylko dzięki pomocy austriackich żołnierzy. Iwaszkiewicz wspominał, że gdyby nie oni, polscy żołnierze zostaliby wymordowani jak ułani III Korpusu w Niemirowie<sup>[42]</sup>.

Zanim Austriacy ich rozbroili, obaj przyjaciele poprosili o zwolnienie z szeregów i powrócili do Kijowa. Stamtąd Kozłowski wyjechał do Warszawy i przysyłał Jarosławowi informacje, że „w poezji polskiej coś się dzieje”. Jednakże nie tylko dlatego Iwaszkiewicz postanowił przenieść się nad Wisłę. Widział, że w Kijowie i na całej Ukrainie kończy się świat, w którym dorastał i dojrzewał.



**Jarosław Iwaszkiewicz.**  
(NAC)

Jednak przedostanie się do Warszawy nie było łatwe – pisarz musiał skłamać w kijowskim oddziale Rady Głównej Opiekuńczej. Wyznał, że jest uchodźcą z Królestwa Kongresowego i teraz chce powrócić w rodzinne strony. Zrobił to bez żalu, gdyż „pozostawiał na Ukrainie wszystko umierające i umarłe, mogiły i żywe trupy, ludzi skazanych na zagładę, jak Jura Mikłucho-Makłaj, i ludzi skazanych na wegetację, jak Niedźwiedzki”<sup>[43]</sup>.

14 października 1918 roku Iwaszkiewicz wysiadł w Warszawie z pociągu. Był bez środków do życia, nie znał właściwie nikogo. W ten sposób otworzył nowy rozdział w swoim życiu i jako pisarz miał zejść naprawdę daleko. W rodzinne strony dane mu było wrócić dopiero po II wojnie światowej: pierwszy raz był na Ukrainie po 40 latach od wyjazdu z Kijowa, a ostatni – trzy lata przed śmiercią.



Pozostawił nieukończoną książkę o swoich podróżach po Ukrainie.

Kola Niedźwiedzki pozostał w Kijowie. Po latach zrobił studia kompozytorskie i dokończył operę, którą kiedyś rozpoczęli razem z Iwaszkiewiczem. Wywieziony na roboty do Niemiec podczas II wojny światowej nie powrócił już nigdy do ZSRS. Osiadł w USA, a z Iwaszkiewiczem do końca życia utrzymywał bliski kontakt korespondencyjny. Nieznana jest data jego śmierci, prawdopodobnie zmarł niedługo przed swoim przyjacielem.

## ROZDZIAŁ 9

# EPOPEJA I KORPUSU POLSKIEGO

Pierwszy wyższy związek taktyczny powstały w Rosji do dziś otacza czarna legenda. Jej twórcami byli piłsudczycy, a przez lata podtrzymywali ją komuniści. Pierwsi zarzucali Dowborowi, że zamiast skierować korpus do walki z Niemcami, doprowadził do jego rozbicia, natomiast drudzy uważali go za wroga rewolucji bolszewickiej i obrońcę polskich majątków na Białorusi. Niewiele osób pamięta, że dowórcy byli pierwszymi polskimi żołnierzami, którzy walczyli z armią sowieckiej Rosji.

## Kariera Józefa Dowbora-Muśnickiego

W czerwcu 1917 roku w Piotrogradzie powstał Naczelny Komitet Wojskowy (Naczpol) będący reprezentacją 600 tysięcy Polaków służących w armii rosyjskiej. Na jego prezesa wybrano chorążego Władysława Raczkiewicza, późniejszego prezydenta Rzeczypospolitej na uchodźstwie. Kilka tygodni potem utworzono Polski Wojskowy Komitet Wykonawczy Naczpolu, którego celem miała być budowa polskiej armii. W porozumieniu z naczelnym dowódcą wojsk rosyjskich, generałem Ławrem Korniłowem, ustalono, że powstanie

korpus składający się z trzech dywizji strzelców i kilku brygad artylerii. Jego dowódcą mianowano generała Józefa Dowbora-Muśnickiego.

50-letni wówczas oficer miał za sobą studia w elitarnej Akademii Sztabu Generalnego w Petersburgu. Ponieważ nie przyjmowano tam katolików, przyszły generał zadeklarował się jako kalwin, co w zupełności wystarczyło, gdyż nikt nie żądał od niego potwierdzenia wyznania. Następnie studiował w Mikołajewskiej Akademii Sztabu Generalnego, którą ukończył w stopniu kapitana. Wziął udział w wojnie rosyjsko-japońskiej, a wybuch pierwszego światowego konfliktu zastał go w stopniu pułkownika i na stanowisku szefa sztabu 7 Dywizji Piechoty.

Szybko awansował – dowodził pułkiem, dywizją, a następnie korpusem armijnym. Otrzymał promocję na generała lejtnanta, nie zabrakło też wysokich odznaczeń rosyjskich, a nawet brytyjskich (Order Łażni). W międzyczasie został też ciężko ranny.

„Zmiana dowództwa nad XXXVII Korpusem – wspominał Dowbor – na dowodzenie I Korpusem Polskim nic ze względu na karierę dodatniego nie obiecywała. W armii rosyjskiej lub, gdybym stał się adeptem bolszewizmu, w Armii Czerwonej, oczekiwało mnie szersze pole działania, ale trzeba by było przefrymarczyć swoje przekonania”<sup>[1]</sup>.

W rzeczywistości nie miał jednak szans na dalszą karierę w armii rosyjskiej, a tym bardziej bolszewickiej. W 1917 roku wojska dawnego imperium Romanowów rozpadały się w szybkim tempie i Dowbor mógł się obawiać, że zostanie zabity przez zrewoltowanych żołnierzy. Niewiele zresztą brakowało, by do tego doszło, gdy polecił aresztować chorążego, który odmówił wykonania rozkazu. Natychmiast został otoczony przez buntowników z karabinami, ale sytuację uspokoił dowódca pułku.

Nie myślał też na poważnie o dołączeniu do bolszewików, chociaż wielu carskich oficerów tak właśnie postąpiło. Ideologia komunistyczna nigdy go nie pociągała. Poza tym pamiętał, że pochodzi z rodziny ziemiańskiej, i nigdy nie wyrzekł się swojej polskości.

„Silny, energiczny – oceniał Dowbora generał Anton Denikin – prowadzący nieustraszoną walkę z rozprzężeniem w wojsku, potrafił on w krótkim czasie stworzyć oddziały, jeżeli nie zupełnie pewne, to w każdym razie wybitnie różniące się od wojsk rosyjskich – dyscypliną, bez wieców, komitetów, komisarzy”<sup>[2]</sup>.

Sztab I Korpusu stacjonował w Mińsku, ale formujące się oddziały były rozrzucone na dużym obszarze. Zgłaszało się jednak mniej ochotników, niż oczekiwano, a dowódcy rosyjscy niechętnie zwalniali Polaków ze swoich jednostek. Zresztą niektórym naszym rodakom odpowiadała anarchia, jaka zapanowała w armii po obaleniu caratu, i nie chcieli jej zamieniać na dyscyplinę w polskiej jednostce.

Z drugiej jednak strony „warunki służby w szeregach rosyjskich stawały się coraz trudniejsze dla żywołów kulturalniejszych, które uciekały do Korpusu”<sup>[3]</sup>. Dotyczyło to głównie oficerów – nic zatem dziwnego, że do jednostki zgłosili się w nadmiarze. Tym bardziej że w zdominowanej przez bolszewików armii rosyjskiej, w oddziałach rządzonych przez komitety żołnierskie, nie mogli się spodziewać niczego dobrego.

Przeciwko wstępowaniu do I Korpusu agitowali natomiast polscy socjaliści przebywający w Rosji, którym było znacznie bliżej do bolszewików niż do niedawnego carskiego generała. Dowbor oceniał (zapewne z dużą przesadą), że 90 proc. Polaków w armii rosyjskiej było „obałamuconych przez prądy wywrotowe”<sup>[4]</sup>.

# Pułk biełgorodzki

Obałamuconą jednostką był bez wątpienia zapasowy pułk Dywizji Strzelców Polskich stacjonujący w Biełgorodzie. Latem 1917 roku komitet żołnierski usunął tam dowódcę i mianował na jego miejsce zaufanego porucznika Mieczysława Jackiewicza. Podobno pułk był wyjątkową jednostką nawet jak na czasy przewrotu bolszewickiego.

„Składała się z tchórzów, warcholów, szulerów, pijaków – wspominał Dowbor. – (...) Wszyscy niemal spędzali czas na zabawie, hulankach, wiecowaniu, politykowaniu, w czym widzieli urzeczywistnienie zasad demokratycznych. Roiło się tam od adeptów nauk socjalistycznych. (...) Musiałem oświadczyć ministrowi wojny, pułkownikowi Wierchowskiemu, że niech sobie tę polską hołotę zabierze, bo ja jej nie potrzebuję”<sup>[5]</sup>.

Pułk przeszedł pod zwierzchnictwo moskiewskiego okręgu wojskowego, jednak późniejsze wydarzenia rzuciły nieco inne światło na jego charakter. W grudniu 1917 roku bolszewicy dowódcy zażądali od porucznika Jackiewicza, by jednostka (nadano jej nazwę 1 Polskiego Pułku Rewolucyjnego) wzięła udział w walkach z oddziałami atamana Aleksieja Kaledina. Po naradzie z komitetem żołnierskim porucznik odmówił, oświadczając, że wprawdzie jest rewolucjonistą, ale zaangażowanie pułku mogłoby wywołać właśnie narodowe między Polakami a Ukraińcami. W efekcie uznano, że jednostka przeszła na stronę kontrrewolucji. Oliwy do ognia dołało oświadczenie pułkowego komitetu żołnierskiego, w którym domagano się uznania Polaków za „obywateli wolnej, niepodległej, demokratycznej Polski”<sup>[6]</sup>.

W Biełgorodzie pojawił się oddział bolszewicki, aresztowano dowódcę i członków komitetu żołnierskiego. Próby

zmuszenia, by jednak zgodzili się na udział w walce z Ukraińcami, spełzły na niczym, wobec czego dokonano samosądu.

„Jackiewicza wyciągnęli za włosy na ulicę – relacjonował Dowbor – pobitego i poranionego zawieźli na stację. Strzelano do niego, kłuto bagnietami i rąbano tasakami, a wreszcie po śmierci wykłuto oczy”<sup>[7]</sup>.

## Oficerowie i żołnierze

Generał Dowbor wyrażał się z niesmakiem o wielu Polakach wstępujących do I Korpusu. Uważał, że chętnie zamieniali służbę na tyłach armii rosyjskiej na podobną w polskiej jednostce. Niektórzy narzucali mu się jako adiutanci lub oficerowie sztabu. Nie brakowało też chętnych na przydział do intendentury, a większość żądała wyższych stopni niż dotychczas posiadane.

W niektórych jednostkach panował absolutny brak dyscypliny. Dawała o sobie znać anarchia, która ogarnęła armię rosyjską pod wpływem bolszewików. Zresztą klęski ponoszone na froncie od państw centralnych też nie pozostały bez efektów.

„Mieli porozpinane płaszcze bez pasów – irytował się generał – karabiny w kozłach, w oczach zuchwalstwo i lekceważenie. Wydawało się, że za chwilę rzucą się na mnie i rozszarpią, jak to zrobili bolszewicy z generałem Duchoninem [były głównodowodzący armii rosyjskiej – T.S.] na dworcu w Mohylewie. Wszedłem w środek tego mrowiska i stanąłem. Uciszyło się. Patrzyli na mnie. Zdjąłem czapkę i zawołałem na cały głos: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«. Piorun

z jasnego nieba, wybuch pocisku z ciężkiej artylerii nie wstrząsnąłby nimi tak, jak te słowa. Byłem zresztą ich pewien. Przede mną stała banda, ale to przecież byli Polacy. Jak jeden głos odkrzyknęli: »Na wieki wieków amen!«. [Nastąpiło błyskawiczne zapinanie mundurów, poprawianie pasów i oto cały pułk stał na baczność. Wtedy ja ich rugnąłem”<sup>[8]</sup>.

Do I Korpusu wstępowali także zrusyfikowani Polacy o słabym poczuciu tożsamości narodowej. Dlatego ważną rolę odgrywała praca oświatowa – organizowano pogadanki dla żołnierzy oraz odczyty o historii i literaturze polskiej. Oficerem oświatowym był Tadeusz Miciński, wybitny poeta i dramaturg, a odczyty wygłaszał między innymi Melchior Wańkowicz.

Pewnego dnia Dowbor-Muśnicki przysłuchiwał się prelekcji, siedząc w ławce. Na blacie zobaczył wycięty napis „Mikołaj Rey z Nagłowic”. Gdy prelekcja się skończyła, oznajmił żołnierzom: „Mikołaj Rey jest zapewne zuch i dobry żołnierz, ale powiedzcie mu, żeby kazionnych [skarbowych – T.S.] ławek nie psuł”<sup>[9]</sup>.

Natomiast w Rohaczowie, po innym odczycie Wańkowicza (o Piłsudskim), nastąpiła część nieoficjalna. Pito wyśmienitą starkę, którą żołnierze raczyli się jeszcze przed przybyciem prelegenta. Bawiono się tak dobrze, że załoga pociągu pancernego miała trudności w dotarciu do składu. Wielu innych natomiast „nie mogło dosiąść koni i trzeba było odwozić ich dorożkami”<sup>[10]</sup>.

We wrześniu 1917 roku do I Korpusu Polskiego dołączył 1 Pułk Ułanów pod dowództwem pułkownika Bolesława Mościckiego. Jednostkę otaczała legenda niedawnej szarży na oddziały niemieckie pod Krechowcami i obrony ludności Stanisławowa przed zanarchizowanymi żołnierzami

rosyjskimi. Na wieść o przybyciu ułanów do wsi Dukora pojawiła się tam duża delegacja Polaków z Mińska.

Ułani zrobili na nich ogromne wrażenie, gdyż świetnie prezentowali się podczas rewii, byli zdyscyplinowani i pełni energii, a do tego nosili nienagane mundury. Zdecydowanie odróżniali się od „tłuszczy towarzyszców, od tego rozchełstania i rozbestwienia żołnierzy rosyjskich”<sup>[11]</sup>.

Polacy z Mińska zaprosili wkrótce delegację ułanów na raut – nic dziwnego, że niektóre mieszkanki miasta chciały się przy tej okazji odpowiednio zaprezentować. Ich uroda, wydekoltowane sukienki i elegancka biżuteria zrobiły wrażenie na kawalerzystach. Po raucie nastąpiła część nieoficjalna i „późno w noc rozlegały się wyuzdane śmiechy pań i nieskończone, coraz bardziej bełkotliwe przemówienia bohaterów krechowieckich”<sup>[12]</sup>.

## Konflikty z chłopami i bolszewikami

Stosunki Korpusu z miejscową, białoruską ludnością i rewolucyjnymi komitetami układały się fatalnie. Chłopi skarżyli się bolszewikom, że żołnierze dokonują brutalnych rekwizycji, ale były to raczej rewindykacje. Polscy ziemianie, widząc, że chłopci ich wywłaszczają, „ofiarowali bowiem Korpusowi swoje konie, bydło i zboże”<sup>[13]</sup>.

Część tego dobytku została już zagrabiona, więc gdy Białorusini nie chcieli go oddać dobrowolnie, Polacy faktycznie stosowali przemoc. Z reguły wystarczyło wychłostać jednego z prowadzących, by zrabowane mienie się odnajdywało. Przy okazji rewindykacje na ogół powstrzymywały dalsze rabunki.



Opanowany przez rewolucjonistów mohylewski gubernialny komitet ziemski twierdził, że członkowie I Korpusu uniemożliwiają reformę rolną i stają w obronie polskich obszarników. Nic zatem dziwnego, że na zjeździe Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Mohylewie nazwano podwładnych Dowbora „wrzodem naszych okolic” paraliżującym całą robotę<sup>[14]</sup>.

Generał zarzekał się, że żaden z żołnierzy nie przywłaszczył sobie mienia chłopskiego, odbierano tylko to, co zostało zrabowane polskim ziemianom lub broniono ich własności. Obecność Korpusu na Białorusi spowodowała również, że napady na polskie majątki na tych terenach były mniej drastyczne niż na Ukrainie i raczej nie zdarzały się przypadki mordowania mieszkańców dworów i pałaców.

„Na Białorusi – tłumaczył pisarz Michał Kryspin Pawlikowski – pogrom polegał na tym, że tłum chłopów okolicznych pod wodzą »komitetu« (często jednoosobowego) nachodził dwór, dzieląc między sobą dobro burżujskie (...), czyli bydło, drób, zapasy żywności, odzież”<sup>[15]</sup>.

Wiść o bolszewickim dekreście o ziemi, w którym likwidowano własność prywatną, szybko dotarła na wieś. Wkrótce po jego uchwaleniu, pod koniec listopada 1917 roku, wiejski komitet zażądał od Edwarda Woyniłłowicza, prezesa Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, przekazania wszystkich kluczy do jego majątku. Woyniłłowicz musiał nawet prosić komitet, by mógł kupić własne zboże na mąkę i chleb. Ale chyba najbardziej bolało go to, że „delegaci gminni z dziewczkami rozjeżdżali się moimi końmi cugowymi na wieczorynki”. Byli jednak łaskawi, gdyż czasami udostępniali mu konie, aby mógł pojechać na mszę do kościoła<sup>[16]</sup>.

Pojawienie się jednostek Korpusu było dla polskich ziemian zbawienne. Dlatego też – niezależnie od wszelkich

podarunków – dobrowolnie opodatkowali się na rzecz polskich żołnierzy. Był jednak wyjątek...

„Cudzoziemców nie chcę – pisała do Dowbora księżna Magdalena Radziwiłłowa – dla obronienia mnie od swoich. (...) Jestem Białorusinką, moja własność, tak jak moja osoba są niepolskie, więc nie ma dobrej racji, dlaczego bym korzystała z opieki niepotrzebnej i której nie pragnę”<sup>[17]</sup>.

Wkrótce jednak musiała uciekać przed „swoimi”, czyli bandami chłopów i bolszewików.

## „Bunt” Korniłowa

Bolszewicy nie przeoczyli faktu, że Dowbor-Muśnicki zaangażował się w tak zwany bunt generała Ławra Korniłowa, głównodowodzącego armii rosyjskiej. W rzeczywistości była to bowiem próba ocalenia Rosji przed anarchią i ostatnia szansa na powstrzymanie komunistów. Korniłow uważał, że rząd rosyjski pod przewodnictwem Aleksandra Kiereńskiego jest bezradny wobec rosnącej w siłę partii Lenina, i zamierzał zmienić ten stan rzeczy, podejmując marsz na Piotrogród.

Dowbor-Muśnicki podzielał opinię Korniłowa – postanowił mu pomóc, wysyłając kilkuset żołnierzy do osłony kwatery głównej armii rosyjskiej w Mohylewie. Część z nich jednak tam nie dotarła, gdyż drogę zastąpiły im oddziały bolszewickie.

Polscy działacze w Mińsku byli poważnie zaniepokojeni poparciem Dowbora dla Korniłowa. Uważali, że I Korpus nie powinien się mieszać w wewnętrzne sprawy Rosji. Członek Rady Polskiej Ziemi Mińskiej Michał Stanisław Kossakowski i książę Czesław Światopełk-Mirski tłumaczyli generałowi, że

jego zaangażowanie może przynieść fatalne skutki i dla korpusu, i dla Polaków. Dowbor jednak twierdził, że „w Korniówie jest ostatnia nadzieja ratunku dla Rosji, a więc pośrednio dla sprawy polskiej, dla której siła zbrojna została tu utworzona”<sup>[18]</sup> .

Generał ponownie przemyślał sprawę i jeszcze tego samego dnia zadzwonił do Światopełka-Mirskiego, informując go, że wycofał swoich żołnierzy z akcji korniówskiej. Zakończyła się ona zresztą klęską, gdyż Kiereński ogłosił generała buntownikiem. Bał się go bardziej niż bolszewików i pozwolił na rozbite jego wojsk. Był to chyba jedyny przypadek, gdy obok siebie walczyły oddziały Rządu Tymczasowego i piotrogrodzkiego Sowdepu, czyli Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

Po rozgromieniu sił Korniówa Dowbor udzielił schronienia generałowi Antonowi Denikinowi, przyszłemu dowódcy Armii Ochotniczej. Dlatego po bolszewickim przewrocie w listopadzie 1917 roku stał się jeszcze bardziej podejrzany dla nowych władców Rosji. Zwłaszcza że ocalał też dotychczasowego dowódcę Frontu Zachodniego, generała Piotra Bałujewa, którego wręcz „wyrwał z rąk bolszewików”<sup>[19] [20]</sup> , .

Nie zgodził się też na kampanię informacyjną w oddziałach I Korpusu po bolszewickim przewrocie. Tłumaczył, że jest ona niemożliwa do realizacji, gdyż w jego oddziałach nie ma komitetów żołnierskich, które mogłyby się tym zająć. Nie było ich jednak dlatego, że Dowbor-Muśnicki nie zezwolił na ich tworzenie...

## Gławkowierch Krylenko wzywa generała Dowbora

Stanowisko głównodowodzącego armii rosyjskiej objął po bolszewickim przewrocie chorąży Nikołaj Krylenko, przed wojną będący nauczycielem w Królestwie Polskim. Na początku grudnia 1917 roku wezwał na rozmowę do kwatery głównej w Mohylewie dowódcę I Korpusu, oficjalnie bowiem związek taktyczny wciąż znajdował się w składzie armii rosyjskiej. Gławkowierch Krylenko zrobił na Dowborze-Muśnickim fatalne wrażenie, gdyż był „nieumyty, nieuczesany, w brudnej, podartej kurtce, widocznie niepokoiły go insekty, bo ręce mu wszędzie niespokojnie biegały”<sup>[21]</sup>.

Krylenko, „rycząc ze złości”, wykrzyczał, że chłopci skarżą się na żołnierzy korpusu, którzy dokonują u nich rekwizycji. Wyjaśnienia Dowbora nie trafiły mu do przekonania, gdyż jako bolszewik uważał, że majątki ziemian należą do ludu, a zatem odbieranie zdobyczy chłopom było karygodne.

Ważniejsze okazało się jednak żądanie, by w I Korpusie – tak jak w całej armii rosyjskiej – powstały komitety żołnierskie, które miały wybierać dowódców. Domagał się także, by bolszewicy mogli uprawiać agitację w oddziałach, co nazywał „demokratyzacją”. Oczywiście spotkał się ze sprzeciwem Muśnickiego, gdyż oznaczałoby to szybki koniec korpusu jako polskiej jednostki.

Pod koniec grudnia związek taktyczny liczył już 17 tysięcy żołnierzy i Dowbor wymusił na Krylence zgodę na jego koncentrację w rejonie Bobrujska, Rohaczowa i Żłobina. Chciał mieć wszystkie siły w jednym miejscu, co znacznie podniosłoby wartość bojową korpusu. Było to jednak oczywiste także dla bolszewików, dlatego gdy koncentracja się

rozpoczęła, podejmowali próby rozbrojenia polskich oddziałów. Pociągi wiozące Polaków były zatrzymywane, żołnierzom odbierano broń, prowadzono agitację – w rezultacie część z nich opuściła szeregi.

Na stacji w Rżewie żołnierze 8 Pułku Strzelców podjęli walkę z bolszewikami, lecz wobec przewagi oddziałów Czerwonej Gwardii złożyli broń. Wprawdzie pozwolono im zabrać część karabinów, ale w Wiaźmie zostali całkiem rozbrojeni, a bolszewicy usiłowali bezskutecznie zbuntować żołnierzy przeciw oficerom <sup>[22]</sup>.

O szczęściu mogła mówić grupa ułanów, do której należał Franciszek Skibiński, późniejszy podkomendny generała Stanisława Maczka w 1 Dywizji Pancерnej. Zostali zatrzymani przez bolszewickich żołnierzy, którzy zastanawiali się, czy Polaków „rozstrzelać od razu, czy poczekać na decyzję rewkomu”. Nastroje były tak wrogie, że od linczu ochroniła ich tylko eskorta. Kawalerzystom udało się uciec. Tylko dlatego nie stanęli przed rewolucyjnym trybunałem <sup>[23]</sup>.

Z kolei eszelon wiozący 5 Pułk Strzelców był początkowo nieskutecznie zatrzymywany przez oddziały Czerwonej Gwardii, ale skład nie dojechał jednak do celu. Przed Mińskiem wykoleił się na rozkręconych torach, a polscy żołnierze zostali ostrzelani. Zginął wówczas dowódca, pułkownik Mieczysław Maciejewski <sup>[24] [25]</sup>.

W Orszy bolszewicy zatrzymywali oficerów zmierzających w stronę nowej dyslokacji, a pomagali im w tym żołnierze. Bracia Rosińscy – kapitan i porucznik – zostali „powieszeni żywcem za nogi i paleni od głowy” (zachowały się zdjęcia z tej kaźni). Wyrok na nich miał wydać polski komunista, Stanisław Berson <sup>[26] [27]</sup>.

Ofiarą zbrodni padli wówczas także Tadeusz Miciński i Eugeniusz Światopełk-Mirski, administrator katedry w

Mohylewie, którego czekiści zamordowali na krótko przed opanowaniem miasta przez polskich żołnierzy.

3 Dywizja Strzelców, stacjonująca w Jelni niedaleko Smoleńska, miała zostać przetransportowana pociągiem, ale bolszewicy odmówili podstawienia składu. W tej sytuacji dywizję czekał ponad 200-kilometrowy marsz. Jedyne dowódcy, generałowi Wacławowi Iwaszkiewiczowi, zaproponowano sanie. Wywołało to jednak niechętnie komentarze ze strony żołnierzy, wobec czego generał stwierdził, że „może jeszcze lepiej maszerować od narzekającej piechoty” – i faktycznie tak zrobił. Nie dał się przekonać, by jednak skorzystał z sań. Szedł, podpierając się cienką laseczką, co przy jego wysokim wzroście i sporej tuszy wyglądało nieco humorystycznie <sup>[28]</sup>.

Na początku marszu dywizji w stronę Bobrujska zginęli Jan Litauer i Józef Strasburger. Wykonywali rozkaz wysadzenia mostu, co miało opóźnić ewentualny pościg, lecz zostali schwytani i rozstrzelani.

Niebawem doszło do pierwszego starcia, jednak szybko odparto napastników. Przygnieciono Rosjan do ziemi ogniem karabinów maszynowych, a kontratak zmusił ich do panicznej ucieczki. Inna sprawa, że „jakaś pasja owładnęła żołnierzem, kłuto bez litości nawet proszących pardonu bolszewików; ukrytych w domach i piwnicach zarzucano granatami” <sup>[29]</sup>.

Nie dał się rozbroić także 1 Pułk Ułanów, a postawa jego kawalerzystów spowodowała, że Rosjanie nie zdecydowali się podjąć walki. Zresztą dowódca jednostki, pułkownik Bolesław Mościcki, powiedział bolszewikom wprost, że broń będą mogli wziąć tylko od martwych. Podjęto rozmowy i pozwolono dwóm agitatorom na zwołanie żołnierskiego wiecu. Skończyło się tak, że obaj zostali pobici i wyrzuceni z rejonu zakwaterowania. Po tym zajściu czerwonogwardziści

stwierdzili, iż polscy żołnierze są jeszcze gorsi od swoich oficerów<sup>[30] [31] [32]</sup> , , .

Podczas przemarszu z Dukory pod Bobrujsk tabor 1 Pułku Ułanów i ubezpieczający go szwadron zostały zaatakowane, a wobec przewagi oddziałów bolszewickich niemal wszyscy się poddali. Jednak dowodzący szwadronem rotmistrz Bronisław Romer wraz z trzema oficerami i kilkoma ułanami rzucił się do przeciwnatarcia, „atakując działające na grobli karabiny maszynowe nieprzyjacielskie, zdobył je i posługując się nimi, wkroczył do wsi. Wydzierał z rąk nieprzyjaciela chata po chacie i w ten sposób odbijał cały swój szwadron i tabor pułku”<sup>[33]</sup> .

## Rozmowy w siedzibie Lenina

W sprawie rozbijania I Korpusu interweniował w Piotrogradzie generał Jan Jacyna, prezes Komisji Wojskowej Naczepu. Długo czekał w Smolnym na przyjęcie przez Lenina, jednak wódz partii bolszewickiej nie miał czasu, gdyż właśnie rozmawiał z Trockim, który prowadził w Brześciu rokowania z Niemcami. Jacynę odesłano więc do Nikołaja Gorbunowa, sekretarza Rady Komisarzy Ludowych.

Już sam początek spotkania nie rokował najlepiej. Gorbunow oświadczył bowiem, że Lenin uważa polskich wojskowych za imperialistów. Niezrażony tym Jacyna zaproponował, by powołać komisję lekarską dla zbadania stanu psychicznego Krylenki, gdyż jego decyzje zmierzające do rozbicia korpusu wzbudzają poważne obawy. Przekonywał, że zdrowy na umyśle Rosjanin, rozumiejący interesy swego narodu, nie

może tak postępować, a trudno przypuszczać, by *gławkowierch* był prowokatorem<sup>[34]</sup>.

Podobno Krylenko faktycznie został wezwany do Piotrogradu na rozmowę, ale niewiele to zmieniło. Dowbor-Muśnicki wysyłał więc protesty do Aleksandra Miasnikowa, dowódcy Frontu Zachodniego, ten jednak otrzymał od Krylenki instrukcję, by „nie liczyć się nadal z tymi panami”<sup>[35]</sup>.

## Ultimatum Dowbora

Muśnicki nie zamierzał jednak beczynnienie przyglądać się niszczeniu swojego korpusu i zażądał od Krylenki natychmiastowego zaprzestania rozbrajania jednostek. W przeciwnym razie uzna, że rozpoczęły się „wrogie działania przeciw Wojsku Polskiemu”. W odpowiedzi usłyszał, że to właśnie Polacy rozpoczęli wojnę z bolszewikami i dlatego zostali uznani za wyjętych spod prawa wrogów rewolucji. Krylenko wydał rozkaz aresztowania oficerów korpusu, a ujęci z bronią w rękę mieli zostać rozstrzelani.

W sztabie I Korpusu pojawiła się delegacja bolszewickiego Komisarjatu Polskiego z Mińska – zażądano, by w jednostkach powstały komitety żołnierskie. Niejaka panna Maciejewska groziła żołnierzom, że jeśli odważą się na walkę z bolszewikami, zostaną zabici. W efekcie niewiele brakowało, by delegację rozniesiono na szablach.

W tej sytuacji Komisarjat Polski wydał odezwę do żołnierzy I Korpusu, nazywając ich dowódcę „pachołkiem i siepaczem Mikołaja II” oraz „carskim policjantem”, który wydał wojnę „ludowi rosyjskiemu”. Wezwano też do usunięcia wszystkich oficerów<sup>[36]</sup>.



Jeszcze dalej posunęli się mińscy bolszewicy z Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Ubolewając, że polscy żołnierze, „nie wiedząc, co czynią”, rozpędzają komitety włościańskie i rady delegatów żołnierskich, esdecy wzywali do natychmiastowego zaprzestania tego rodzaju akcji i oddania oficerów w ręce trybunału rewolucyjnego<sup>[37]</sup>.

## Zajęcie Bobrujska i walki z bolszewikami

Wobec zbliżającej się konfrontacji z bolszewicką armią sztab I Korpusu postanowił opanować twierdzę w Bobrujsku. Nie miała ona wprawdzie specjalnych walorów obronnych, ale znajdowały się tam ogromne magazyny wojskowe. Fortecę zajęto bez większego wysiłku w pierwszych dniach lutego 1918 roku.

„Rozbrajanie bolszewików i zajmowanie twierdzy odbyło się bardzo szybko i łatwo – relacjonował pułkownik Wacław Jan Przeździecki – ponieważ zdeprawowani żołnierze czubaryccy, będąc z imienia tylko żołnierzami, chętnie składali broń, ogłaszając się neutralnymi. Z naszej strony strat nie było, oprócz jednego żołnierza 7 Pułku zabitego przez pomyłkę”<sup>[38]</sup>.

Tylko nieliczni obrońcy próbowali stawiać opór, a z członkami bobrujskiej rady delegatów robotniczych i żołnierskich zawarto umowę, że jeżeli przestaną się mieszać do zarządzania korpusem, nie będzie ingerencji w sprawy miasta. Nie zmieniało to jednak faktu, że jednostka – nawet w twierdzy – wciąż była „maleńką, szarpaną ze wszystkich stron wysepką wśród rozfalowanej dzicy rewolucyjnej”<sup>[39]</sup>.

Tym bardziej że Krylenko nie zamierzał zignorować zajęcia Bobrujska. Bolszewickie dowództwo zaplanowało efektowny sposób na złamanie morale i siły Polaków: nad twierdzę nadleciał samolot, który zrzucał dwie bomby. Celem był fort Wilhelma, gdzie znajdował się ogromny skład amunicji. Bomby jednak chybiły.

7 lutego Polacy zaatakowali Żłobin, ważną stację węzłową. Podpułkownik Antoni Mackiewicz wtargnął ze swoimi żołnierzami do koszar i ustawił dwa karabiny maszynowe, by sterroryzować batalion czerwogwardzistów. Oświadczył, że nie zamierza z nimi walczyć, a jeżeli nie będą stawiać oporu, wyda przepustki, by mogli wrócić do domów. W innym wypadku za pomocą artylerii zrówna koszary z ziemią. Oferta została przyjęta.

Jednak pozostałe bolszewickie oddziały nie zamierzały skapitulować. Niestety, w Żłobinie znalazła się tylko jedna z grup przeznaczonych do opanowania miasta, gdyż druga spóźniła się i nie wzięła udziału w walce. Na domiar złego po stronie czerwogwardzistów stanęli niektórzy mieszkańcy oraz robotnicy zakładów kolejowych. W tej sytuacji Polacy wycofali się pod osłoną żywych tarcz – jeńców ujętych z bronią w rękę.

Pięć dni później miała miejsce tragedia szpitala polowego Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej w Cichiniczach. Wcześniej ewakuowano stamtąd większość pacjentów, ale w placówce zostało jeszcze około 20 najciężiej rannych. Wówczas zaatakowali czerwogwardziści i po zaciętej walce (w obronie wzięła udział grupa żołnierzy oraz część personelu) zamordowali cztery osoby z obsługi i dwóch rannych oficerów. Ocalał natomiast jeden z pracowników cywilnych, który wyszedł z dzieckiem na rękę, a „jakiś marynarz zarzucił mu wojskowy płaszcz na ramiona i rzekł: *uchadzi!*”<sup>[40]</sup>.

Niewiele brakowało, by los mężczyzn podzieliły także cztery sanitariuszki. Gdy składały do grobu ciała pomordowanych, rozległy się okrzyki, by się „z nimi nie cackać” i „wysłać gryźć ziemię”<sup>[41]</sup>. Sytuację uratował bolszewicki komisarz, który – grożąc rewolwerem – rozpędził agresywny tłum. Dramat szpitala opisał Melchior Wańkowicz w opowiadaniu *Szpital w Cichiniczach* powstałym na podstawie pamiętnika jego kuzynki, Zofii z Wańkowiczów Romerowej.

Sowieci nie mieli litości dla Polaków – dwóch żołnierzy wziętych do niewoli pobito kolbami, torturowano bagnetami, „a potem omdlałych i dających jeszcze znaki życia zakopano w ziemi”<sup>[42]</sup>. Okrutną śmiercią zginęli też dwaj żołnierze 3 Pułku Ułanów, których „odarto z butów, ubrania i bielizny i pędzono nago po śniegu przez wieś, tłukąc kolbami. Później skłuto ich bagnetami i wreszcie dobito z karabinów”<sup>[43]</sup>. Straszny los spotkał jednego z ułanów zakopanego żywcem przez chłopów „za poduszczeniem bab”. Przedtem jednak z nóg zdarto mu skórę „w kształcie lampasów”<sup>[44]</sup>.

W nocy z 18 na 19 lutego 1918 roku toczyły się walki na stacji kolejowej Osipowicze między Bobrujskiem i Mohylewem, gdzie gromadziły się oddziały bolszewickie. Polacy zdobyli działa, dwa pociągi sanitarne, kilkadziesiąt karabinów maszynowych, a także dwa samoloty<sup>[45]</sup>.

Do walk doszło także w Rohaczowie, do którego zbliżył się bolszewicki pociąg pancerny. Został ostrzelany przez Polaków tak, że „zabębniły kule po dachach wagonów, namacały platformę z karabinami maszynowymi, od których uciekła obsługa”. Zginęło wówczas pięciu Rosjan.

Także Polacy dysponowali zaimprovizowanym pociągiem bojowym. Porucznik Stanisław Małagowski z 1 Dywizji Strzelców „zafasował zdobytą na bolszewikach lokomotywę, lory, wagony, opatrzył to workami z piaskiem, postawił

armaty i karabiny maszynowe, zawagonował swoich konnych saperów z trzydziestu końmi i rozpoczął jedyną w swoim rodzaju partyzantkę na Krasny Brzeg, na Tieleuszę, na Żłobin”<sup>[46]</sup>.

Pojedyncze zwycięskie boje nie zmieniły jednak położenia korpusu. W tej sytuacji Rada Polska Zjednoczenia Narodowego i Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej podjęły rozmowy z bolszewikami, proponując przerwanie walk, co miało ocalić korpus przez zagładą. Wyrażono zgodę, by generał Dowbor-Muśnicki stracił dowództwo, a związek taktyczny został wycofany na wschód.

Taka ugoda zapewne ocaliłaby życie wielu żołnierzy, ale faktycznie oznaczałaby utratę przez korpus polskiego charakteru. Na terenach podległych władzy bolszewickiej wprowadzono by bowiem komitety żołnierskie i swobodę agitacji rewolucyjnej. Na szczęście plan ten nie wszedł w życie, gdyż Raczkiewicz nie potrafił go wyegzekwować<sup>[47]</sup>.

## Układ z Niemcami

Po zerwaniu przez Trockiego rokowań z państwami centralnymi w Brześciu na wschód ruszyła ofensywa. W ten sposób korpus wszedł w kontakt z armią niemiecką, co stworzyło zupełnie nową sytuację dla polskiej jednostki. Muśnicki zdecydował się wówczas nawiązać kontakt z Radą Regencyjną Królestwa Polskiego, która – choć mianowana przez Niemców i Austriaków oraz niesamodzielna – wciąż pozostawała polską władzą. Dowbor miał nadzieję, że jeśli Rada przyjmie zwierzchnictwo nad korpusem, stanie się on częścią Polskiej Siły Zbrojnej i nie ulegnie rozbrojeniu. Była to

kalkulacja typowo wojskowa, jednak niosąca poważne skutki polityczne: korpus zorganizowany do walki z Niemcami przeszedłby tym samym na stronę państw centralnych.

Pierwsi delegaci wyruszyli do Warszawy 11 lutego 1918 roku. Towarzyszyły im dwa szwadrony ułanów, jednak po walce z silnym oddziałem bolszewickim we wsi Łopatycze pułkownik Mościcki odesłał kawalerzystów do Bobrujska. Uznał, że łatwiej będzie się przedrzeć w cywilnych ubraniach, i wraz z towarzyszącym mu chorążym Maruszewskim zrzucili mundury. Niebawem jednak zginął z rąk białoruskich chłopów, a jego towarzysz trafił do niewoli. Na wieść o śmierci Mościckiego ruszyła z Bobrujska wyprawa po zwłoki, a przy okazji ułani „dokonali dzieła sprawiedliwości”, mszcząc się za śmierć swego pułkownika <sup>[48]</sup>.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w mińskiej katedrze, a w 1921 roku, kilka miesięcy po zawarciu traktatu ryskiego, trumnę przewieziono do Warszawy, gdzie spoczęła w podziemiach kościoła Świętego Krzyża.

Generał Muśnicki, zdając sobie sprawę, że korpus nie przetrwa walk z armią bolszewicką, pod koniec lutego 1918 roku doszedł do porozumienia z Niemcami i uzyskał dla swojej jednostki status wojska neutralnego. Było to szokiem dla wielu jego podwładnych – pamiętali bowiem słowa generała sprzed kilku miesięcy, gdy deklarował, że Niemcy są „najzaciętszym wrogiem polskiego narodu”.

Jednak sytuacja przez ten czas mocno się zmieniła. Carska, a potem republikańska Rosja, która walczyła z Niemcami, przestała istnieć, natomiast rząd bolszewicki dążył do zawarcia z nimi pokoju. Mimo to obóz niepodległościowy nadal uważał Niemcy za największego wroga, gdyż do spółki z Austriakami okupowali ziemie polskie.

Dowbor-Muśnicki nie był politykiem, a jako dowódca chciał uchronić swoich podkomendnych przed niepotrzebną walką.

Być może kierował się zimną logiką sztabowca, jednak czuł się odpowiedzialny za los żołnierzy i nie zamierzał ich narażać.

Niemcy wyznaczili korpusowi na kwatery rejon kilku okolicznych powiatów, jednak zagwarantowali sobie prawo swobodnego przemarszu i podporządkowanie jednostki w wypadku wspólnych walk z Armią Czerwoną.

## Polska Dowborowa

Tereny kontrolowane przez podwładnych generała nazywano „Dowborią” lub „Polską Dowborową”. Powstał Zarząd Cywilny, z wydziałami aprowizacyjno-finansowym i administracyjno-policyjnym, zniesiono dekrety bolszewickie o likwidacji własności ziemskiej oraz zażądano od chłopów zwrotu zagarniętej ziemi i mienia<sup>[49]</sup>.

Wzbudziło to sprzeciw białoruskich włościan i tak już źle nastawionych do Polaków z powodu rekwizycji żywności we wsiach. Faktycznie zdarzały się wówczas nadużycia, a Melchior Wańkowicz określał działalność polskich żołnierzy okupacją, „polityką rabunku, gwałtu i bezceństwa”<sup>[50]</sup>.

Inny z żołnierzy korpusu, przyszły generał, Stanisław Kopański, przyznawał, że zdarzały się grabieże indywidualne, twierdził jednak, iż były surowo karane. Gdy dwaj artylerzyści dopuścili się rekwizycji na własną rękę, ich koledzy uznali, że zhańbili mundur, i odstawili ich za Dniepr na tereny opanowane przez bolszewików – był to właściwie wyrok śmierci. A chociaż podobno ci dwaj ocalili, droga powrotna do korpusu była już dla nich zamknięta<sup>[51]</sup>.

W tym czasie Bobrujsk, stolica Dowborii, przeszedł metamorfozę. Miasto „z zapyziałego garnizonu zmieniło się w

tętniącą życiem miejscowość”. Powstały polskie harcerstwo, towarzystwo Sokół, teatr i gimnazjum. Wprawdzie wszyscy zdawali sobie sprawę z tymczasowości tej sytuacji, jednak traktowali Bobrujsk jako część Polski na obczyźnie <sup>[52]</sup>.

Wiosną 1918 roku siły korpusu wzmocnił szwadron z Odessy. Został wydzielony z 12 Dywizji Kawalerii dzięki jej dowódcy, a był nim generał Carl Gustaf Mannerheim, przyszły marszałek i prezydent Finlandii. Marsz żołnierzy wzbudził powszechny podziw, gdyż przebyli zimą ponad 900 kilometrów. Gdy ostrzegano ich, że „lód na rzece Usza nie wytrzyma przejazdu kolumny ułanów”, ich dowódca, rotmistrz Konstanty Plisowski, „poszedł z żołnierzami cwałem i przedostał się bez szwanku po pękającym lodzie na drugi brzeg”<sup>[53]</sup>.

Na początku marca w stronę Bobrujska wyruszył z Antonin 2 Pułk Ułanów dowodzony przez rotmistrza Adolfa Mikołaja Waraksiewicza. Dwutygodniowy marsz był – jak to określił jeden z żołnierzy, Tadeusz Kossak, brat bliźniak słynnego malarza Wojciecha – „jedną ustawiczną walką z bolszewicko-ukraińską czernią nienawidzącą »pańskiego wojska«”. Pułk atakowali także niedawni żołnierze rosyjscy, którzy powrócili do swoich wsi na Ukrainie z bronią w ręku. Jednostka notowała straty, ale też odpowiadała zbrojnie – „zemsta i kara szły w ślad za morderstwem, a wzajemna nienawiść doszła wonczas do szczytu”<sup>[54]</sup>.

Kossak odpowiadał za transport taborów pułku, w których oprócz broni i amunicji znajdowały się wielkie zapasy żywności. Zarówno Niemcy, jak i Ukraińcy nie chcieli wypuścić z Antonin takiego skarbu. Pierwsi opóźniali podstawianie wagonów, zaś drudzy twierdzili, że ziarno potrzebne jest im do siewu.

„Poszedłszy w końcu po rozum do głowy – wspominał Kossak – urządziliśmy z kolegami pijatykę dla Niemców i Ukraińców, a otrzymawszy od spitych pozwolenie, ładowaliśmy gorączkowo dzień i noc nasz tabor”<sup>[55]</sup>.

Nie ujechali jednak daleko, gdyż w Szepietówce pociąg został zatrzymany przez Niemców, którzy chcieli odebrać Polakom zapasy żywności. Ale przepuścił ich pułkownik – wziął bowiem Kossaka za jego słynnego brata, którego poznał w Berlinie jako osobę cieszącą się względami cesarza Wilhelma II...<sup>[56]</sup>.

## Spisek w I Korpusie

Wewnątrz korpusu zawiązało się w tym czasie sprzysiężenie członków Związku Broni, którzy byli przeciwni układom z Niemcami. Związek Broni podporządkował się przybyłemu do Bobrujska na początku kwietnia 1918 roku kapitanowi Leopoldowi Lisowi-Kuli z Polskiej Organizacji Wojskowej.

Piłsudzczycy dokonali bowiem w 1917 roku politycznego zwrotu. Komendant uznał, że Rosja, wyparta z większości ziem dawnej Rzeczypospolitej i pogrążona w anarchii, przestała być wrogiem numer jeden. Odtąd stały się nim Austro-Węgry i Niemcy, których armie okupowały ziemie polskie. Z kolei proklamację dwóch cesarzy z listopada 1916 roku uważano za akt bez większego znaczenia, mający na celu wyłącznie zapewnienie dopływu rekrutów.

Bez wątplenia Lis-Kula był nieprzeciętną osobowością. Jedną z członkiń Związku Broni wspominała, że biła od niego „moc przedziwna”, zatem nie zważając na młody wiek Lisa-Kuli,



niektórzy oficerowie i żołnierze korpusu oddawali się pod jego komendę<sup>[57]</sup>.

„Każdego niemal za rękę brał – wspominał kapitana Melchior Wańkowicz – i wiódł po jego ścieżce pracy. Miał ten najwyższy przymiot dowódcy, że podbijał osobiście każdego z podkomendnych”<sup>[58]</sup>.

Kula nie podbił jednak swoją osobowością Dowbora-Muśnickiego nawet wówczas, gdy przypomniał mu jego antyniemieckie wypowiedzi. Wprawdzie generał zapewniał, że nie złoży broni przed Niemcami, a gdy tego zażądają, przejdzie na Ukrainę, ale nie był przekonany do takiego rozwiązania. Niemniej jednak zwrócił się do Rady Regencyjnej o akceptację planu i otrzymał odpowiedź, jakiej właściwie się spodziewał. Regenci poinformowali generała, że ma wolną rękę, jednak sprawa wymaga najwyższej rozwagi, gdyż marsz na Ukrainę łączy się z ryzykiem zagłady I Korpusu<sup>[59]</sup>.

Takie niebezpieczeństwo faktycznie istniało, gdyż korpus mógł zostać zniszczony w drodze przez Armię Czerwoną, natomiast w Kijowie rządził podporządkowany Niemcom hetman Skoropadski. Muśnicki odrzucał też dołączenie do Armii Ochotniczej, gdyż musiałoby to oznaczać podjęcie walki z Rosją Lenina. Wprawdzie korpus wielokrotnie walczył już z bolszewikami, ale była to oczywista samoobrona.

20 maja 1918 roku dowództwo niemieckiej 10 Armii zażądało rozbrojenia wojsk podległych Muśnickiemu, gdyż po zawarciu pokoju z bolszewicką Rosją korpus nie był już Niemcom potrzebny. Pod ich naciskiem Rada Regencyjna zrzekła się zwierzchnictwa nad korpusem i zwolniła żołnierzy z przysięgi. Regenci w liście do Dowbora-Muśnickiego stwierdzali, że w interesie narodowym leży niedopuszczenie do ostrego konfliktu z Niemcami<sup>[60]</sup>.

Była to jasna wskazówka polityczna, która nie pozostała bez wpływu na decyzję podjętą przez generała. Alternatywą dla rozbrojenia była bowiem walka, a to rozwiązanie uważał za pozbawione sensu. Dlatego też 21 maja generał Aleksander Karnicki, przedstawiciel Dowbora-Muśnickiego, podpisał podyktowaną przez Niemców umowę. Korpus miał zostać rozformowany, broń przekazana Niemcom, a żołnierze odesłani do domów. Wielu z nich zresztą o tym marzyło, gdyż opuścili swoje rodziny zmobilizowani do wojska w 1914 roku. Tylko w 1 Pułku Ułanów „nastroje były wybitnie antyniemieckie”, a oddział „rwał się na Niemców jak brytany do dzika”.

Kawalerzyści postanowili, że część oficerów i żołnierzy przedrze się poza obszar kontrolowany przez Niemców, by tam odtworzyć pułk, natomiast pozostali ruszą do Królestwa Polskiego i powołają tajną organizację gotową w odpowiedniej chwili do wystąpienia przeciwko Niemcom.

Gdy popołudniem 21 maja rozeszła się wieść, że I Korpus zostanie rozbrojony, w Bobrujsku zapanowały dezorientacja i zamieszanie. Niektórzy chcieli walczyć z Niemcami, inni natomiast postanowili uciekać. Dowbor-Muśnicki oświadczył, że warunki umowy są rzeczywiście haniebne, ale bierze całe odium na siebie, by ocalić żołnierzy <sup>[61]</sup>.

Generał mógł się nie zgodzić na niemiecki dyktat, ale oznaczałoby to rozlew krwi bez nadziei na sukces. Jego decyzja była bardzo niepopularna, jednak pozwalała na zachowanie kadr dla przyszłego wojska, co też istotnie nastąpiło <sup>[62]</sup>.

„Starzy żołnierze mieli jedyne pragnienie – tłumaczył Kopański – powrotu do Polski, której niektórzy od 4–6 lat nie widzieli. Większości zaś młodych ochotników nie uśmiechała się myśl dalszego tułania się po Rosji. Ponieważ Niemcy

obiecywali odstawienie każdego do Polski, do wybranego przez siebie miejsca, było to zbyt nęcące dla żołnierzy nieznaną resztą życia pod okupacją niemiecką”<sup>[63]</sup>.

## Dramatyczna noc w Bobrujsku

Na wieść o podpisaniu porozumienia zaczęła działać wojskowa konspiracja – planowano natychmiast rzucić żołnierzy do walki z Niemcami. Spiskowcy wierzyli, że „korpus bić się będzie”, a „o rezultaty mniejsza”. Oczywiście pojawiały się także głosy o walce o honor żołnierza polskiego.

Dowodzenie akcją miał jednak objąć nie Lis-Kula, lecz pułkownik Przemysław Barthel de Weydenthal. Kula podporządkował się starszemu stopniem – i to był poważny błąd. Kapitan przebywał już jakiś czas w Bobrujsku, natomiast Barthela, który przyjechał w ostatniej chwili, właściwie nikt nie znał, a on sam nie orientował się w nastrojach panujących wśród większości oficerów. Ci z kolei nie widzieli sensu w ataku na wojska niemieckie. Wańkowicz przyznawał nawet, że „morale żołnierzy jest pod psem”, co tłumaczył faktem, iż większość z nich chciała wracać do domu, a nie walczyć”<sup>[64]</sup>.

Agitacja Lisa-Kuli przyniosła wprawdzie pewne efekty, ale jego zwolenników było zbyt mało. Zdarzali się jednak nawet tacy optymiści, którzy uważali, że od zbrojnego wystąpienia Polaków w Bobrujsku zacznie się walić „stojąca ostatnim tchem potęga niemiecka”<sup>[65]</sup>.

Była to jednak mocno nierealistyczna ocena sytuacji. Być może bez większego trudu udałoby się rozbroić 800 niemieckich żołnierzy w Bobrujsku, ale na tym sukcesy by się

skończyły. Wojska niemieckie Ober-Ostu mogły z łatwością zmieść z powierzchni ziemi stosunkowo słaby polski korpus.

Kierownictwo sprzysiężenia musiało zdawać sobie z tego sprawę. Wynik starcia był właściwie przesądzony, ale nie to było istotne. Chodziło bowiem o zainicjowanie walki z Niemcami. Miałoby to wielkie znaczenie polityczne i zapewne odbiłoby się echem daleko od Bobrujska<sup>[66]</sup>.

Klęskę I Korpusu miał więc uwieńczyć spektakularny akt. Jeden z członków spisku zaproponował, by „wysadzić się z fortecą w powietrze”, co miało być znakiem dla kraju, że polscy żołnierze na Białorusi walczą o ojczyznę<sup>[67]</sup>.

Efekt z pewnością byłby o wiele bardziej widowiskowy niż eksplozja kończąca oblężenie zamku w Kamieńcu Podolskim. W forcie Wilhelma znajdował się bowiem potężny skład materiałów wybuchowych – ich detonacja rozerwałaby twierdzę. Zrobienie z Bobrujska drugiego Zbaraża nie było jednak możliwe, gdyż „jeden, drugi i trzeci ekrazytowy pocisk rozwaliby tę »fortecę« w przeciągu kwadransa”<sup>[68]</sup>.

Po północy 22 maja 1918 roku Barthel de Weydenthal w towarzystwie Lisa-Kuli i innych spiskowców wkroczył do kwatery Dowbora-Muśnickiego. W imieniu Józefa Piłsudskiego zażądał, by „generał objął kierownictwo bitwy z Niemcami, która już się rozpoczęła”. Była to nieprawda – nie padł żaden strzał, a Piłsudski osadzony przez Niemców w twierdzy magdeburgskiej nic nie wiedział o planach POW dotyczących I Korpusu. Generał odmówił i zwymyślał Weydenthala. W tej sytuacji w porucznik Mieczysław Gielniewski wymierzył w Dowbora lufę pistoletu. Generał chciał się na niego rzucić, ale rozdzielił ich adiutant. Krewki dowódca korpusu nie mógł potem odżalować, że nie zastrzelił napastnika<sup>[69]</sup>.

Generał został aresztowany. Barthel de Weydenthal oświadczył, że przejmuje dowództwo korpusu, zaś Lisa-Kulę mianował komendantem twierdzy w Bobrujsku. Żołnierze z tamtejszego pułku inżynieryjnego, kompanii sztabowej i samochodowej oraz słuchacze szkoły podoficerskiej zgłosili akces do walki, jednak do opanowania twierdzy, w której stacjonowało kilkuset niemieckich żołnierzy, to nie wystarczało. Do akcji trzeba było wciągnąć tysiąc dobrze uzbrojonych członków Legii Oficerskiej, ale zażądali oni deklaracji Dowbora-Muśnickiego. Generał pozostawał jednak pod strażą, a Barthel i Lis doskonale wiedzieli, jakie jest jego zdanie w kwestii przebiegu wypadków.

Nastąpił „tragiczny moment”, gdyż spiskowcy wahali się, czy przystąpić do akcji bez dwóch batalionów Legii. Barthel ponownie zaapelował do oficerów, ale nie udało mu się ich przekonać. W tej sytuacji rozkazał, by ci, którzy chcą się bić z Niemcami, przeszli na prawo, a pozostali na lewo.

„Zobaczyłem najprzód końskie łby zwracające się na prawo – wspominał Wańkowicz. – To konni wywiadowcy jak jeden stawali na stronie, która miała się bić. Niebawem zebrał się przy nich pluton z trzydziestu ludzi, który sformował się od razu karnie w dwuszeregu. Na lewo – nie poszedł nikt. Cała masa gardłująca, gestykulująca stała na miejscu”.

Wańkowicz na próżno apelował, by dołączyli do tych, którzy wybrali walkę. Nie dali się jednak przekonać i „cały oddział, pozostając w miejscu, znalazł się niejako po lewej stronie”<sup>[70]</sup>.

Wezwań Bartheta de Weydenthala nie posłuchała także żadna z trzech dywizji I Korpusu. Nie powinno to specjalnie dziwić, skoro do walki z Niemcami „alarmował je jakiś nieznany pułkownik”<sup>[71]</sup>. Nie przyjęto też do wiadomości zmiany na stanowisku dowódcy związku taktycznego, chociaż

okłamywano oficerów, że Dowbor-Muśnicki dobrowolnie zrzekł się stanowiska.

„U nas wszystko spokojnie – meldował rotmistrz Władysław Anders, szef sztabu 1 Dywizji Strzelców. – Zabroniliśmy kategorycznie wszelkich wystąpień. Podlegamy jedynie władzy generała Dowbora”<sup>[72]</sup>.

Nad ranem podpułkownik Barthel wydał swój jedyny wykonany rozkaz: uwolnienia Dowbora-Muśnickiego. Generał nakazał jemu i Lisowi-Kuli natychmiast opuścić Bobrujsk. W rozkazie wyrażał się o nich bardzo obelżywie, insynuował, że są „łotrami działającymi za czyjeś pieniądze”. W rewanżu Melchior Wańkowicz nazwał go kilka lat później „renegatem”, natomiast Legię Oficerską, która odmówiła walki z Niemcami – „zgrają”. Jedyną ofiarą nieudanego przewrotu był porucznik Gielniewski. Widząc fiasko puczu, popełnił samobójstwo.

Bobrujsk opuścił też inny zwolennik walki z Niemcami, były sztabskapitan piechoty, Ignacy Matuszewski. Przyszły wybitny publicysta i polityk II Rzeczypospolitej był szefem sztabu spiskowców, ale już wcześniej – z różnych powodów – Dowbor za nim nie przepadał. Chociaż odnosił sukcesy wywiadowcze, generał uważał go za osobę niepewną. Teraz Matuszewski udał się do Kijowa, mając na koncie dwa wyroki śmierci (bolszewicki i niemiecki) oraz nakaz aresztowania wydany przez Dowbora.

Po dramatycznej nocy generał Dowbor-Muśnicki zarządził zbiórke bobrujskich oddziałów. Tłumaczył żołnierzom, że mógłby dla sławy swojej i korpusu wygrać dwie czy trzy bitwy z Niemcami, lecz uważał, że ofiara z życia żołnierzy jest bezużyteczna. Zdawał sobie sprawę, że niektórzy go przeklinali, gdyż splamił ich dumę i honor, ale miał nadzieję, iż z perspektywy czasu spojrzą na jego decyzję inaczej. Opowiadał, że wraz z nim aresztowano niemieckiego oficera, co mogło spowodować odwet, ale załagodził incydent:

„Postanowiłem ratować sprawę – tłumaczył – i wiecie co, dzisiaj pocałowałem Niemca (tutaj generał Dowbor nie wytrzymał, łkanie nie pozwoliło mu mówić), »rozejdźcie się, chłopcy«, (...) jeszcze wypowiedzieć zdołał”<sup>[73]</sup>.

Wspomnianym oficerem był porucznik Carl Goerdeler, późniejszy nadburmistrz Lipska, uczestnik spisku na życie Adolfa Hitlera w lipcu 1944 roku. Typowany na kanclerza Rzeszy, został stracony w lutym 1945 roku.

Chociaż walka I Korpusu z Niemcami nie miała szans powodzenia, nie przeszkadzało to jednak hagiografowi Lisa-Kuli i Barthela de Weydenthala pisać o wspaniałym i zniweczonym przez Dowbora planie przebicia się przez obręcz wojsk niemieckich na Ukrainę. Tam Polacy mieli się połączyć z niedobitkami II Korpusu oraz formującym się III Korpusem – i stworzyć potężną armię, która po przedarciu się do kraju wzniesiłaby powstanie<sup>[74]</sup>.

Rozformowanie korpusu i złożenie broni było ciężkim przeżyciem dla wszystkich żołnierzy i oficerów. Panowało ogólne przygnębienie, w 2 Pułku Ułanów generał obejmował sztandar jednostki i płaczącego jej dowódcę, rotmistrza Adolfa Waraksiewicza.

„Generał Dowbor miał dobre przeczucie – wspomniał tamtą chwilę Tadeusz Kossak – mówiąc nam, że ratuje dzielnych żołnierzy dla ojczyzny, która nas rychło potrzebować będzie, że nas zawezwie. W cztery miesiące zawezwał nas – i stawiliśmy się na rozkaz”<sup>[75]</sup>.

Gdy w styczniu 1919 roku generał został wyznaczony przez Józefa Piłsudskiego na dowódcę sił zbrojnych powstania wielkopolskiego, zabrał ze sobą sprawdzonych oficerów I Korpusu, a wśród nich Władysław Andersa, który został jego szefem sztabu. Inna sprawa, że Piłsudski, nominując Dowbora,

liczył, iż generał, który spędził całe życie w Rosji i nie znał mentalności Wielkopolan, skompromituje się...



**Kopiec w Bobrujsku ku czci poległych żołnierzy I Korpusu Polskiego.**

(NAC)



**Sztab I Korpusu Polskiego, Józef Dowbor-Muśnicki siedzi w środku.**

(NAC)





**Pułkownik Bolesław Mościcki, dowódca 1 Pułku  
Ułanów I Korpusu Polskiego.**

(NAC)

Zgodnie z umową z Niemcami rozbrojeni żołnierze I Korpusu (około 23 tysięcy osób) zostali przewiezieni do Królestwa Polskiego. W czerwcu 1918 roku poświęcono kopiec usypany na terenie bobrujskiej twierdzy, spoczęło pod nim około 30 poległych i zamordowanych żołnierzy. Uroczystość zakończyła defilada.

Walczyć przeciwko Niemcom, ale już na innym froncie, chciało natomiast kilkuset oficerów i żołnierzy rozformowanego korpusu. Przedarli się więc do Murmańska, gdzie stacjonowały wojska angielskie i francuskie. Stamtąd można było odpłynąć do Francji, gdzie formowała się polska armia. Wyprawa na Murmańsk była jednak skrajnie niebezpieczna. Za Piotrogradem bolszewicy aresztowali rotmistrza 1 Pułku Ułanów, Bronisława Romera – rozstrzelano go wraz z dwoma innymi ułanami we wrześniu 1918 roku <sup>[76]</sup>.



**Obchody trzeciomajowe w Bobrujsku w 1918 r.**

(Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa)



**Pomnik Dowborczyków w Warszawie, lata 30. XX w.**  
(Biblioteka Narodowa)

Za walkę z oddziałami bolszewickimi oficerowie i żołnierze otrzymali 145 Krzyży Orderu Virtuti Militari. Nie uhonorowano nim jednak Dowbora-Muśnickiego, gdyż na czele kapituły orderu stał Józef Piłsudski, który najwyraźniej nie lubił generała. Niestety, Marszałek czasami bywał małostkowy i być może dlatego w II Rzeczypospolitej Dowbor nie doczekał się żadnego polskiego odznaczenia państwowego. Dopiero w stulecie odzyskania niepodległości został uhonorowany Orderem Orła Białego.

## Sprawa pomnika Dowborczyków

W 1930 roku na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie odsłonięto pomnik Dowborczyków. Żołnierz na cokole wznosił szablę i trzymał sztandar. Monument zniszczyły w 1948 roku

władze komunistyczne, gdyż przypominał pierwszych żołnierzy polskich, którzy walczyli z bolszewicką Rosją. Na początku lat 90. minionego wieku pomnik został odtworzony, jednak do tej pory nigdzie nie stanął. Od 30 lat (!) nie można bowiem znaleźć dla niego lokalizacji w Warszawie.

Inicjatywa Instytutu Pamięci Narodowej podjęta w 2017 roku, by monument przestał być obiektem muzealnym, zakończyła się niepowodzeniem. W stulecie zwycięstwa w wojnie z bolszewicką Rosją nie doczekaliśmy się ani Muzeum Bitwy Warszawskiej, ani łuku triumfalnego. Można było uczcić tę rocznicę, odsłaniając pomnik Dowborczyków w godnym miejscu stolicy. Wystarczyło tylko trochę dobrej woli i chęci, ale tych najwyraźniej zabrakło...

## ROZDZIAŁ 10

# ORGANIZACJA WOJSKOWA NA BIAŁORUSI

W mińskim oddziale POW wybitną rolę odegrały gimnazjalistki i harcerki, na których spoczywał ciężar pracy wywiadowczej i kurierskiej. Tragiczny los spotkał Jadwigę Tejszerską, komendantkę oddziału kobiecego, która aresztowana przez czekistów przeżyła ogromny dramat i do dziś nie wiadomo, gdzie i jak zginęła.

## POW w Mińsku

Podległa Józefowi Piłsudskiemu Polska Organizacja Wojskowa została rozwiązana na przełomie listopada i grudnia 1918 roku, a jej członkowie zasilili szeregi Wojska Polskiego. Jednak na Kresach Wschodnich, wobec nieuchronnej konfrontacji z bolszewicką Rosją, konieczne było reaktywowanie jej działalności. W nowym wcieleniu miała być dywersyjną i wywiadowczą ekspozyturą Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich. Z misją jej ponownego zorganizowania przybył do Mińska na przełomie lat 1918 i 1919 Wincenty Żmigrodzki.

Po wyjściu Niemców miasto zostało zajęte przez bolszewików. Żmigrodzki wciągnął do konspiracji młodzież gimnazjalną – nie miał zresztą wyboru, gdyż starsi członkowie POW z Mińska byli już w szeregach armii. Niestety, w organizacji znalazł się zdrajca – w efekcie została rozbita, a Żmigrodzkiego aresztowano i rozstrzelano. Jego następcą, komendantem POW na Białorusi, został 23-letni Mateusz Stefanowski „Żywy”, organizator harcerstwa w Orenburgu i do niedawna żołnierz I Korpusu Polskiego.

„Jego energia była wprost niespożyta – wspominał jeden z członków POW. – (...) Nie spał chyba nigdy... Wszystkie ważniejsze sprawy załatwiał osobiście i w krótkim czasie kierowana przez niego organizacja rozrosła się liczebnie, stała się silną i sprężystą. (...) Do pracy »Żywy« wciągał każdego, kto tylko mógł oddać organizacji jakiegokolwiek usługi, i w ten sposób stworzył z POW jakby tajną ambasadę, w której Polonia tamtejsza znajdowała moralne oparcie”<sup>[1]</sup>.

Na ziemiach białoruskich działały lotne oddziały POW. Jednym z nich – pod Kojdanowem, kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Mińska – dowodził Antoni Piotrowicz „Łysy”. Został jednak schwytany i rozstrzelany przez bolszewików. Oddział nie przestał jednak istnieć, gdyż przejął go brat „Łysego”, który „mścił się na bolszewikach”<sup>[2]</sup> <sup>[3]</sup>.

Skutecznością wykazała się też grupa pod dowództwem Ignacego Jeziorkowskiego „Icka”, który zabrał sowieckim żołnierzom sześć wozów z amunicją i przetransportował je przez linię frontu. Peowiaci prowadzili również działalność dywersyjną na liniach kolejowych – uszkodzali i wysadzali mosty. Ale jedna z takich akcji zakończyła się tragedią – gdy bowiem Józef Sochacki wraz z dwoma innymi członkami POW wysadził most na Plisie, zadenuncjowała ich siostra jednego z

jego towarzyszy. Cała trójka została aresztowana i niezwłocznie rozstrzelana<sup>[4]</sup>.

Taki sam los spotkał podejrzanego o współudział adwokata Ludwika Jelca, którego zabito w Komarówce. Gdy po zajęciu Mińska przez Polaków dokonano ekshumacji, okazało się, że ręce Jelca związane drutem kolczastym, a na jego ciele nie było ran postrzałowych. Najprawdopodobniej zatem został zakopany żywcem<sup>[5]</sup>.

Jednym z największych osiągnięć miejscowej POW było sporządzenie opisu umocnień Mińska i zdobycie planu obrony miasta. Generał Stanisław Szeptycki przyznał, że tamtejsza organizacja – ze Stefanowskim na czele – była „pierwszorzędną placówką wojskową”, która w znacznej mierze przyczyniła się do zdobycia miasta w sierpniu 1919 roku. W uznaniu tych zasług porucznik Stefanowski został w 1920 roku, dekretem Józefa Piłsudskiego, przyjęty pośmiertnie w szeregi Wojska Polskiego<sup>[6]</sup>.

## Oddział kobiecy POW

Prawą ręką Stefanowskiego była Jadwiga Tejszerska, nazywana „Dziunią”. Harcerka i komendantka oddziału kobiecego POW odznaczała się „odwagą przechodzącą w jakieś szaleńcze zuchwalstwo”<sup>[7]</sup>. Pochodziła z Wilna, ale w mieście nad Świsłoczą uczęszczała do gimnazjum, a na życie zarabiała korepetycjami. Podczas pierwszych rządów bolszewickich (listopad 1917 – marzec 1918) działała w kierowanej przez Stanisławę Kuszelewską organizacji harcererek, która opiekowała się żołnierzami I Korpusu przebywającymi w więzieniach i szpitalach.

Jako kierowniczka oddziału kobiecego POW rekrutowała do służby wywiadowczej i kurierskiej głównie swoje koleżanki ze szkoły i młodsze uczennice. Nie uchodziła za specjalnie urodziwą, ale podobno miała miły wyraz twarzy, a szczególnie uwagę zwracały jej duże szare oczy i usta „pełne i dumne, słodkie w uśmiechu”<sup>[8] [9]</sup> .

Stefan Mayer, wówczas oficer II Oddziału Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich (późniejszy szef wywiadu), nie miał słów uznania dla Tejszerskiej. Chwalił, że znakomicie zorganizowała służbę kurierską i „pomimo swojego młodego wieku, nie wyrobienia życiowego i nieodporności fizycznej” świetnie wywiązywała się z powierzonych zadań. A jej raporty z Mińska były bardzo wysoko oceniane<sup>[10]</sup> .

Do oddziału kobiecego należała także Jadwiga Michałowska, która na polecenie „Żywego” zapisała się na kurs radiotelegrafistek i dostała pracę w stacji telegraficznej. Dzięki temu miała wgląd we wszystkie depesze cywilnych i wojskowych władz bolszewickich. Niekiedy opóźniała ich wysłanie, zniszczyła także depeszę nakazującą rozstrzelanie peowiaków z Wilna: Pac-Pomarneckiego, Galińskiego i kuriera z Mińska, Dyszlonka. Niestety, nie zapobiegło to egzekucji, ale odwlekło ją o kilka dni. Gdy Jadwiga została aresztowana, odmawiała zeznań i nie załamało jej nawet kilkakrotne wyprowadzanie z celi rzekomo na rozstrzelanie<sup>[11] [12]</sup> .

Do najmłodszych bohaterek mińskiej POW należała Fela Sadowska, „ułamna, na wpół dziecko”, która jako kurierka kilkakrotnie przekraczała linię frontu. Aresztowana przez czekistów zmarła w więzieniu. Natomiast 14-letnia harcerka Maria (Mucha) Konopacka wraz z Tejszerską wyprowadziła ze szpitala dwóch jeńców, Polaków, i ukryła ich w zaścianku szlacheckim pod miastem<sup>[13] [14]</sup> .

Tejszerska była bardzo wymagająca wobec podległych jej dziewcząt, zaprowadziła w swym oddziale surową dyscyplinę. Ale także czuła się za nie odpowiedzialna. Gdy czekiści wpadli na trop jednej z jej podwładnych – Marysi (nazwiska nigdy nie ustalono) – aresztowali rodziców dziewczyny. Ogłoszono, że jeśli Marysia sama nie zgłosi się do Czeka, jej rodzice zostaną rozstrzelani. Gdy dziewczyna wróciła do Mińska, koleżanki z organizacji nakazały, by się ukryła, nie informując o uwięzieniu rodziców oraz grożącej im śmierci. Wówczas Tejszerska postanowiła stawić się w mińskiej czerezwyczajce zamiast swej podwładnej. Próbowano ją od tego odwieść, jednak „Dziunia” oświadczyła, że „jest wszystkiemu winna i za wszystko odpowiedzialna, bo to ona ją przecież wysłała na wywiad”. Na szczęście nie zrealizowała swego postanowienia, bo rodzice Marysi niespodziewanie zostali zwolnieni<sup>[15]</sup>.

## Aresztowanie i próba uwolnienia „Żywego”

Organizacja ponosiła straty w wyniku aresztowań, jednak w śledztwie peowiacy trzymali się dzielnie i nigdy nie doszło do wielkiej wsypy. O tym, że jednej z nich udało się uniknąć, zadecydował niezwykle przypadek. Mieszkanie, w którym zatrzymała się kurierka POW powracająca z za linii frontu, zostało otoczone przez czekistów. Dziewczyna wpadła w panikę i zamiast zniszczyć legitymację sporządzoną na kawałku jedwabiu z pieczęcią dowództwa Frontu Litewsko-Białoruskiego, wyrzuciła ją przez okno, wprost pod nogi bolszewików. Na szczęście sytuację uratowała „pasąca się w



pobliżu koza, która ze smakiem zjadła niebezpieczny dokument”<sup>[16]</sup>.

Czekiści byli bliscy zdemaskowania „Żywego” i podkomendni namawiali go na wyjazd do Polski. Gdy w lipcu 1919 roku do Mińska zbliżał się front i spodziewano się, że miasto zostanie opanowane przez polskie oddziały, „Żywy” został przeniesiony do Smoleńska. Po raz pierwszy w życiu opuściła go energia, był bardzo przygnębiony i pełen złych przeczuć.

„Pamiętajcie, gdyby coś się ze mną stało – tłumaczył dziewczętom z POW – wy nie możecie stracić głowy. Chłopcy mogą zwątpić o wszystkim, tego się obawiam, ale wam, dziewczętom, nie wolno żadnej! Zmusicie chłopców do pokonania rozpaczy i będziecie pracowali wszyscy, jakbym tu był. To mój ostatni rozkaz!”<sup>[17]</sup>.

Stefanowski nie zdążył jednak wyjechać z Mińska – padł bowiem ofiarą prowokacji ze strony bolszewickich agentek, sióstr Lichodziejewskich. Poprosiły go, by zabrał z ich mieszkania karabiny, które rzekomo pozostały po niemieckich wojskowych. Zgodził się, a czekicści zdobyli w ten sposób dowód na jego konspiracyjną działalność<sup>[18]</sup>. Jednak ostatecznie zdradził go niejaki Gordziejewski, który doniósł Rosjanom, że Stefanowski jest komendantem POW w Mińsku<sup>[19]</sup>.

28 lipca 1919 roku, niecałe dwa tygodnie przed wkroczeniem Wojska Polskiego, „Żywy” został aresztowany i przewieziony do twierdzy w Bobrujsku. Peowiacy chcieli zatrzymać pociąg, który wywoził go z Mińska, lecz kurier z rozkazem wysadzenia torów nie dotarł na czas do partyzantów. W tej sytuacji z misją uwolnienia Stefanowskiego pojechała do Bobrujska Józefa Michałowska (siostra Jadwigi), która –

podając się za jego siostrę – uzyskała pozwolenie na widzenie z aresztowanym.

Wtajemniczyła Stefanowskiego w plan oswobodzenia go: pomysł polegał na wywołaniu pożaru za pomocą przemywanej nafty, a następnie „Żywy” uciekłby, wykorzystując powstałe zamieszanie. Dodatkowo, Józefa dostarczyła pieniądze na przekupienie strażnika. Niestety, na wieść o planowanej rewizji w celach więźniowie wyrzucili przez okno butelki z naftą, a przekupionego strażnika zdradził jego kolega.

Dziewczyna musiała zaczynać wszystko od początku, co gorsza – była tropiona przez czekistów. Często zmieniała miejsce pobytu, miała problemy ze znalezieniem kolejnych noclegów.

„Polacy bali się własnego cienia – wspominała. – (...) Spotkałam zaledwie parę rodzin polskich, które bez cienia wahania przyjmują mnie, dzielą się swym skromnym posiłkiem, czuwają nad moim bezpieczeństwem. Są to przeważnie ludzie ubodzy, którzy nie mają nic do stracenia”<sup>[20]</sup>.

Podobno Stefanowski nie chciał się zgodzić na próbę jego uwolnienia, gdyż stwierdził, że jemu „nie pomogą, a zaszkodzą organizacji”. Dlatego z dnia na dzień odwlekał realizację pomysłu, a niektórzy podejrzewali, że „stracił wiarę w swoją szczęśliwą gwiazdę”. Być może chciał umrzeć, gdyż w ostatnich miesiącach skarżył się, „że mu ciężko żyć”<sup>[21]</sup>.

Jego depresja mogła się wiązać z zarzutami, że wciąga do konspiracji nieletnich, którzy następnie lądują w celach czerezwyczałki. Jednak „Żywy”, podobnie jak wcześniej Żmigrodzki, nie miał wyboru. Inna sprawa, że wiek członków mińskiej POW rzeczywiście może zaskakiwać – podwładnymi Stefanowskiego byli np. 12-letni Antoś, 14-letnia Ala i 15-letnia Marysia Witkowsy. Ich rodzice nie protestowali, gdyż sami działali w konspiracji. Natomiast część młodzieży napotykała

na opór swych rodzin i wtedy „stokroć cięższa była ich praca, niezrozumiana przez najbliższych”<sup>[22]</sup>.

W rzeczywistości „Żywy” chciał jednak żyć i nie stracić nadziei na wyrwanie się z rąk czerezwyczajki. Jego plan polegał na oświadczeniu czekistom, że polski rząd zgodził się na wymianę za komunistów aresztowanych w Polsce. Takiej zgody nie wydano, ale prośbę o nią miała przekazać Michałowska. Była to faktycznie chyba jedyna próba uratowania „Żywego”<sup>[23]</sup>.

Jego sugestia została przekazana i adiutant Komendy Naczelnej POW na Białorusi, Jan Szczęsny Mayzel, napisał do Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego prośbę o interwencję w sprawie „Żywego”<sup>[24]</sup>. Polskie dowództwo porozumiało się z bolszewikami w tej sprawie i wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Nie zdawano sobie jednak sprawy z perfidii Sowietów, którzy dopiero wtedy zorientowali się, jak ważna osoba wpadła im w ręce. Zatem uznali, że lepiej uśmiercić Stefanowskiego, niż zgodzić się na wymianę.

Pewnego dnia w bobrujskim więzieniu odczytano listę osadzonych, którzy mieli być wywiezieni do Smoleńska. Figurował na niej również Stefanowski, jednak kilka godzin później zabrano go z celi razem z 12 innymi więźniami. Prawdopodobnie zginęli od strzału w głowę nad Berezyną, a ciała wpadły do rzeki<sup>[25]</sup>.

„13 sierpnia wczesnym rankiem – wspominała Michałowska – opuściłam to okropne miasto pełne oparów krwi rozstrzelanych i męczonych ofiar, pełne sterroryzowanej ludności, miasto, gdzie przeżyłam najokropniejsze chwile mojego życia”<sup>[26]</sup>.

Mateusz Stefanowski „Żywy” został pośmiertnie uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

Otrzymała go także Michałowska, jednak we wniosku odznaczeniowym jej bobrujska misja została trochę podkoloryzowana. Miała planować i „wykonała osobiście prawie na oczach warty podpalenie więzienia”, a następnie „pod gradem kul – cudem się uratowała”<sup>[27]</sup>.

Michałowska, relacjonując po latach dramatyczne chwile z Bobrujska, wcale o tym nie wspominała. Natomiast oprócz niej i „Żywego” Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari za działalność w POW na Białorusi zostali uhonorowani także: Ignacy Jeziorkowski „Icek”, Antoni Piotrowicz „Łysy”, Józef Sochacki i Wincenty Żmigrodzki.

## Dramat Jadwigi Tejszerskiej

Na początku sierpnia 1919 roku, po zajęciu Mińska przez Wojsko Polskie, szefowa miejscowej POW rozpoczęła studia medyczne w Wilnie. Ponieważ nadal była czynną członkinią organizacji i kurierką w sztabie generała Stanisława Szeptyckiego, dowódcy Frontu Litewsko-Białoruskiego, pojechała do Warszawy, by uzyskać zwolnienie ze służby. Jednak w oddziale II Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego przekonano ją, że jest niezbędna i niezastąpiona. Przecież wciąż trwała wojna z bolszewicką Rosją<sup>[28]</sup>.

Wywiad potrzebował informacji z terenów kontrolowanych przez Armię Czerwoną, a placówki POW w Orszy i Smoleńsku zostały rozbite. W tej sytuacji Tejszerska otrzymała rozkaz odbudowania organizacji w pierwszym z tych miast, a jej koleżanka, Elżbieta Łotakówna – w drugim.

Wyruszyły w drogę na przełomie stycznia i lutego 1920 roku z podrobionymi bolszewickimi dokumentami, które jednak na

wiele im się nie przydały. Dziewczęta zostały niemal natychmiast aresztowane – jak przyznał jeden z sowieckich oficerów, „zdradził je ordynans kapitana z ostatniej polskiej placówki, Żyd z pochodzenia, który podsłuchał, że mają przejść rano linię frontu i uprzedzając ich wymarsz, zaalarmował bolszewicki posterunek”<sup>[29]</sup>.

Były więzione w Smoleńsku i Witebsku, zastraszano je i bito. Podczas jednego z przesłuchań Tejszerskiej „krew puściła się gardłem”, obie jednak odmawiały zeznań, a szczególnie podania adresów ludzi, z którymi miały się skontaktować. W kwietniu 1920 roku zostały przewiezione do Moskwy i osadzone początkowo na Łubiance, a potem w Butyrkach.

Tam zastosowano nową metodę postępowania. Pojawiali się wytrawni śledczy, którzy „z wymęczonymi dziewczętami prowadzili salonowe rozmowy, roztrząsali kwestie zasadnicze i ideowe”. Obie dostawały też kwiaty i drobne upominki<sup>[30]</sup>.

Gdy „Dziunia” siedziała w celi, czekałiści rozbili placówkę POW w Moskwie. Na jej aresztowanego komendanta, 23-letniego porucznika Ignacego Dobrzyńskiego, nie działały żadne groźby – został przewerbowany pod wpływem rozmów na tematy polityczne. Nie oznaczało to zresztą dla niego radykalnej zmiany poglądów, był bowiem członkiem PPS-Lewicy<sup>[31]</sup>.

Jerzy Hryniewski, zastępca Dobrzyńskiego i jego bliski krewny, początkowo nie mógł uwierzyć w zdradę przełożonego. Uważał, że tylko pozornie zgodził się na współpracę i podjął grę z czekistami<sup>[32]</sup>.

Tymczasem śledczy w rozmowach z szefem moskiewskiej placówki POW wykorzystywali fakt, że ruszyła wielka ofensywa Armii Czerwonej na Warszawę. Wydawało się, że los Polski jest przesądzony, a rewolucja nad Wisłą nieunikniona. Tłumaczono, że na jej czele muszą stanąć

inteligenci, by roli przywódczej nie przejęli bandyci. Z porucznikiem spotykali się nawet Marchlewski i Lenin, a w połowie lipca zwolniono go z więzienia<sup>[33]</sup>.

Dobrzyński nie wydał jednak nikogo z moskiewskiej siatki POW, a nawet zażądał – jako warunek współpracy – że ludzie dotychczas aresztowani nie będą sądzeni, lecz zostaną deportowani do Polski. Zgodził się na to sam Feliks Dzierżyński, szef CzeKa. Inna sprawa, że aresztowani peowiacy zachowywali się bardzo różnie... Porucznik Wiktor Martynowski kategorycznie odmówił zeznań i „wykazał zupełną nieskuteczność nawracania go na komunizm, od którego zresztą broni go głęboka wiara w Komendanta Piłsudskiego”. Natomiast Stanisław Lewandowski zaproponował czekistom, że pojedzie do Polski i zabije Naczelnika.

Martynowski i Hryniewski dostali „personalną amnestię” od samego Lenina, natomiast zwerbowanego przez czekistów Dobrzyńskiego włączono do zespołu, który prowadził rozmowy z Tejszerską i Łotakówną. Sączono „w nie kropla po kropli jad nowych, komunistycznych teorii”, proponowano „służbę społeczną” w celu odrodzenia społeczeństwa na nowych zasadach<sup>[34] [35]</sup>.

Hasła sprawiedliwości społecznej, walki z kapitalistycznym wyzyskiem i oskarżenia o doprowadzenie robotników do nędzy były wówczas bardzo popularne. Nie sądzono, że kryją się za nimi zupełnie inne cele bolszewików, a komunizm nie objawił jeszcze do końca swojej grozy. Dziewczęta były przybite informacjami o postępach ofensywy Armii Czerwonej i odczuwały „zwątpienie i lęk”.

Dobrzyński twierdził, że „Dziunia” zgodziła się na współpracę, gdyż postanowiła „sprawdzić praktycznie, co jej mówiono, a w wypadku ujemnym zemścić się”. Z drugiej

jednak strony przyznawał, że nigdy nie wierzył w szczerą jej deklarację współpracy.

Heroiczna opowieść o Tejszerskiej mówi, iż po serii rozmów została – wraz z Łotakówną – uwolniona. Pojechały do Wilna, gdzie „Dziunia” zorientowała się, że jest śledzona, i zdała sobie sprawę, że była tylko przynętą, by aresztować innych członków POW. Tejszerska – mimo nalegań rodziców – nie chciała jednak się ukryć, gdyż nie potrafiła złamać danego w Moskwie słowa honoru. Jednocześnie „nie naprowadziła na żaden ślad, nikogo nie wydała” i tym samym skazała na śmierć samą siebie <sup>[36]</sup>.

Do tragicznego finału prowadziła jednak zapewne inna i bardziej wstrząsająca droga. Tejszerska rzeczywiście pojechała latem 1920 roku do Wilna, ale towarzyszyli jej Ignacy Dobrzyński i Wiktor Marczewski. Ten drugi używał wówczas nazwiska Witkowski, wcześniej był oficerem Wojska Polskiego, a do Związku Sowieckiego uciekł, ratując się przed odpowiedzialnością karną za malwersacje. W Wilnie „Dziunia” miała zniknąć im z oczu na parę godzin i – jak twierdził Dobrzyński – po naradzeniu się „ze swoimi” rozpoczęła „wstrętą grę”. Polegała ona na okłamywaniu czekistów i odbudowie POW w Mińsku, dokąd następnie udała się cała trójka. Tam też miała się zwierzyć Aleksandrze Gumińskiej, jedynej powiaczce pozostałej w mieście po wkroczeniu Armii Czerwonej, że „podziela przekonania bolszewickie, nie lubi ich tylko za terror” <sup>[37]</sup>.

W Mińsku działała w konspiracji rodzina Witkowskich, która pomagała ukrywającym się polskim żołnierzom. Z polecenia Tejszerskiej Dobrzyński zgłosił się do Witkowskich z prośbą, by przechowali go do przyścia Wojska Polskiego. Całą rodzinę, w tym nieletnie dzieci, wkrótce aresztowano, a Dobrzyński pozostał w ich mieszkaniu. Ludziom, którzy przychodzili tam po pomoc, przedstawiał się jako polski

konspirator, po czym denuncjował ich swoim przełożonym. Być może przyczyniała się do tego sama „Dziunia”, która w dobrej wierze miała namawiać polskich żołnierzy do ujawniania się. W zamian obiecywała wyrozumiałość bolszewickich władz.

Kolejne aresztowania spowodowały jednak, że zrozumiała, iż była tylko narzędziem w ręku czekistów. W tej sytuacji próbowała popełnić samobójstwo, zażywając opium. Została odratowana.

Nie poddała się jednak i zaczęła odbudowywać siatkę POW, nakłaniając Dobrzyńskiego i zakochanego w niej Wiktora Witkowskiego-Marczewskiego do porzucenia współpracy z Sowietami. Wciągnęła do organizacji Juno (Junonę) Singer-Przepielińską, dawną członkinię Ochotniczej Legii Kobiet, a prywatnie kochankę Dobrzyńskiego. Zaufała jej, ale Przepielińska doniosła Dobrzyńskiemu, że „Dziunia” prowadzi podwójną grę. Poinformowała też kochanka o przygotowywanym przez Tejszerską wysadzeniu mostu, co miało być próbą zamachu na Lwa Trockiego, którego wizyty w Mińsku się spodziewano<sup>[38]</sup>.

Inna wersja mówi, że celem zamachu miał być Michaił Tuchaczewski, dowódca Frontu Zachodniego. Być może są to tylko konfabulacje czekistów pragnących podnieść w ten sposób rangę sukcesu, jakim miało być udaremnienie zamachu na tak ważne osobistości. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że Dobrzyński twierdził, iż „Dziunia” odbudowała konspiracyjną organizację w Mińsku, a nawet zorganizowała dwa oddziały partyzanckie, „które potem musiano rozbijać otwartym atakiem kawalerii i piechoty”<sup>[39]</sup>. To również wygląda na konfabulację.

Tejszerska miała zaufać także Marczewskiemu, który oficjalnie odgrywał rolę jej narzeczonego. Mając problem z



materiałami wybuchowymi, zwróciła się do niego o pomoc, gdyż była przekonana, że pod jej wpływem zerwał już z czekistami. Wiktor zdawał sobie sprawę, że „Dziunia” wciąż jest polską patriotką, i obawiając się komplikacji, miał ją zabić strzałem w tył głowy, gdy wychodziła z jego mieszkania <sup>[40]</sup>.

Czy to prawda? Podobno był w niej „szaleńczo zakochany” i „gotów był dać się za nią rozszarpać”, co sugerowałoby raczej, że nie był zdolny do zamordowania dziewczyny z zimną krwią.

O losie „Dziuni” zdecydował zapewne Dobrzyński, który zamordował ją cudzymi rękoma. Ponieważ chciała uciec do Polski, poprosiła o skierowanie jej jako agitatorki do jednostki Armii Czerwonej stacjonującej jak najbliżej linii frontu. Dostała list polecający od Dobrzyńskiego, ale w kopercie był nakaz rozstrzelania. Najprawdopodobniej Tejszerska zginęła pod koniec 1920 roku. Istnieje wersja, że przed egzekucją sama musiała wykopać sobie grób <sup>[41]</sup>.

Elżbieta Łotakówna powróciła do kraju w ramach wymiany więźniów w październiku 1921 roku. 10 lat później została odznaczona Krzyżem Niepodległości z Mieczami. Nadano go także pośmiertnie Mateuszowi Stefanowskiemu i Jadwidze Tejszerskiej.



**Jerzy Hryniewski.**  
(Wikipedia)



**Potwierdzenie przyznania Towarzystwu Koło Polek w  
Mińska znaku pamiątkowego za obronę mieszkańców  
Mińska 20–21 lutego 1918 r.**  
(Biblioteka Narodowa)



**Jadwiga Tejszerska.**

(Wikimedia Commons)



**Mateusz Stefanowski.**

(Wikimedia Commons)

Ignacy Dobrzyński, pod nazwiskiem Sosnowski, służył następnie w sowieckich służbach bezpieczeństwa – doszedł do rangi komisarza bezpieczeństwa państwowego NKWD. Podczas stalinowskiej czystki został aresztowany. Oskarżono

go, że w 1920 roku tylko zainscenizował zerwanie z POW i polskim wywiadem - dzięki temu przeniknął do czerezwyczajki, wprowadzając tam również Witkowskiego i obaj szpiegowali na rzecz Polski. Zostali rozstrzelani w 1937 roku. Ich los podzieliła także Singer-Przepielińska.

# ROZDZIAŁ 11

## OD RARAŃCZY DO KANIOWA – EPOPEJA II BRYGADY LEGIONÓW

**I**I Brygada Legionów Polskich zawsze pozostawała w cieniu I Brygady. I wcale nie zdecydowały o tym mniejsze zasługi bojowe, bo jej szarżę pod Rokitną słusznie przyrównuje się do bitwy pod Somosierrą. Chodzi o legendę Józefa Piłsudskiego – jej blask spadał na dowodzoną przez niego brygadę, której żołnierze mieli w najlepszy sposób wyrażać ideę walki o niepodległość. Natomiast legionieści II Brygady mogli się poszczycić tym, że jako jedyni walczyli przeciwko armiom wszystkich trzech państw zaborczych.

### Traktat brzeski

9 lutego 1918 roku Niemcy i Austro-Węgry zawarły z rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej traktat, na mocy którego przekazano pod jej administrację Chełmszczyznę i część Podlasia. W tajnej klauzuli Wiedeń zobowiązywał się ponadto do wyodrębnienia Galicji Wschodniej ze Lwowem jako

osobnym, autonomicznym krajem koronnym. W zamian Ukraińcy mieli dostarczyć milion ton zboża.

Wprawdzie proklamacja z 5 listopada 1916 roku ogłaszająca utworzenie Królestwa Polskiego nie określała jego granic, ale wieść o układzie z Ukraińcami zszokowała polskie społeczeństwo. Powszechnie bowiem uważano, że Wiedeń i Berlin przehandlowały część polskich ziem za chleb.

W tym czasie II Brygada Legionów wchodziła w skład Polskiego Korpusu Posiłkowego i stacjonowała w okolicach Czerniowiec na pograniczu Bukowiny i Besarabii. Gdy wiadomość o traktacie brzeskim dotarła do żołnierzy, niemal natychmiast doszło do buntu. Legioniści uznali postępowanie Berlina i Wiednia za zdradę i kategorycznie odmówili dalszej walki u boku państw centralnych.

Oliwy do ognia dołał kapelan legionowy, ksiądz Józef Panaś. 13 lutego w Mamajowcach (Mamaivtsi) miało miejsce nabożeństwo żałobne za zmarłego w Krakowie na atak serca majora Włodzimierza Mężyńskiego. W niewielkiej kaplicy ustawiono pustą, sosnową trumnę, zaś na niej ułożono na poduszkach austriackie i niemieckie odznaczenia oficera. Ksiądz Panaś wygłosił płomienne kazanie, a na zakończenie zrzucił ordery i je podeptał. Przy okazji wykrzykiwał, że zaborcy po raz kolejny oszukali Polaków<sup>[1]</sup>.

Obecni na uroczystości oficerowie natychmiast zaczęli odpinać swoje odznaczenia i również rzucali je na podłogę, zaś Panaś oznajmił, że serce Mężyńskiego „pod wpływem okropnych gromów walących w naszą ojczyznę nie wytrzymało”<sup>[2]</sup>.

Nabożeństwo przerodziło się w manifestację patriotyczną, podczas której śpiewano *Rotę*, co idealnie trafiło w nastroje zebranych, gdyż najważniejszy fragment pieśni głosił, że „nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”...

Dzień później, 14 lutego, w Mamajowcach odbyło się zebranie oficerskie. Podczas gorącej dyskusji padały różne propozycje, między innymi przejścia do Rumunii lub marszu do Galicji w celu wywołania powstania. Największe poparcie zyskał jednak pomysł przedarcia się przez linię frontu na stronę rosyjską, by dołączyć do formujących się tam polskich korpusów. Za tym rozwiązaniem szczególnie agitował kapitan Roman Górecki, a poparł go porucznik Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Ostatecznie plan ten został zaakceptowany przez dowódcę II Brygady, Józefa Hallera.

W tym czasie prawdziwy dramat przeżywał dowódca Polskiego Korpusu Posiłkowego, generał Zygmunt Zieliński. Doskonale rozumiał buntujących się oficerów, ale nie chciał i nie potrafił złamać przysięgi żołnierskiej. Gdy Górecki zameldował mu, że II Brygada wypowiada posłuszeństwo naczelnemu dowództwu armii austriackiej, i prosił, by generał dołączył do rebeliantów, ten odmówił. Stwierdził, że lepiej byłoby, żeby podwładni go zastrzelili<sup>[3]</sup>.

Górecki na próżno przekonywał generała. W końcu postanowił go aresztować i w ten sposób zamierzał zabrać ze sobą. Dowódca był bowiem powszechnie lubiany i szanowany przez żołnierzy i oficerów.

Niewykluczone zresztą, że sam generał wpadł na ten pomysł, co zaoszczędziło mu dylematu związanego ze złamaniem przysięgi<sup>[4]</sup>. Do końca pozostał jednak człowiekiem odpowiedzialnym za podwładnych, którymi do niedawna dowodził – tuż przed wymarszem zainteresował się jeszcze, czy legioniści mają dostateczną ilość żywności i amunicji.

## Bój pod Rarańczą

„Dnia 15 lutego przed i po południu – wspomniał Roman Górecki – gorączkowa praca i ruch panował wśród legionistów. Intendentura korpusu pobrała w ostatnim momencie z magazynów austriackich ekwipunek, a szczególnie buty, które żołnierze w dniu wymarszu otrzymywali. Pobrano również i rozdano żołnierzom racje rezerwowe, a wreszcie w ostatniej już chwili pobrano w austriackiej kasie operacyjnej dotacje w wysokości kilku milionów koron”<sup>[5]</sup>.

Jednym z oficerów, którzy opracowali plan przebicia się przez linię frontu, był podpułkownik Michał Żymierski (późniejszy niesławnej pamięci marszałek ludowego Wojska Polskiego). Wymarsz – pod pozorem nocnych ćwiczeń – rozpoczął się około godziny 18. Kolumnę wojska otwierała kompania szturmowa 2 Pułku Piechoty wyposażona w hełmy, co wówczas było jeszcze rzadkością. Za nią maszerowały: 2 Pułk Piechoty, 1 Pułk Artylerii, 3 Pułk Piechoty, tabor, zakłady tyłowe, zaś pochód zamykała kompania szturmowa 3 Pułku.

Było bardzo mroźno i w dodatku zaczął sypać śnieg. Choć obalano słupy telegraficzne oraz przecinano druty, Austriacy i tak dowiedzieli się o zamiarach legionistów. Gdy Polacy natknęli się na oddział blokujący drogę, porucznik Mieczysław Boruta-Spiechowicz strzelił do austriackiego oficera, który próbował ich zatrzymać, po czym wydał rozkaz, by jego kompania ruszyła do ataku tyraliera.

„Wszystko krzyczy »hurra« – wspominał Spiechowicz. – Słychać jęki i krzyki, wszystko strzela bezładnie, słychać wybuchy granatów ręcznych rzuconych przez naszych chłopaków. Austriacy ledwie zdołali dać krótką serię ze swoich ckm-ów, gdy już stały się naszym łupem, ogień tyralierów austriackich milknie równie szybko, jak powstał. Uderzenie nasze jest krótkie, szybkie jak piorun. (...) Żal nam mordować tych osłupiałych, zresztą Bogu ducha winnych



żołnierzy. Mścimy się za to na ich karabinach i niszczymy, łamiąc i rozbijając je w kawałki”<sup>[6]</sup>.

Dwa bataliony austriackiego 53 Pułku Piechoty zostały rozbite przez legionowy 2 Pułk. Trzeci batalion nadciągający od strony Rarańczy spotkał podobny los – poszatkowano go bowiem ogniem karabinów maszynowych. Droga w kierunku linii frontu została otwarta.

Nie wszyscy jednak mogli dalej maszerować. Posuwające się wolno tabory zostały bowiem ostrzelane z broni maszynowej i otoczone przez Austriaków. Podobny los spotkał pułk artylerii, zatrzymano też samochód wiozący generała Zielińskiego. Wzięci do niewoli oficerowie i żołnierze zostali internowani w obozach na Węgrzech, a ponad setce z nich wytoczono proces o bunt i zdradę. Prokurator domagał się kary śmierci dla obywateli austriackich i dożywotniego więzienia dla urodzonych po rosyjskiej stronie dawnej granicy. Jednak w ostatnich tygodniach istnienia monarchii austro-węgierskiej cesarz Karol I podpisał abolicję dla oskarżonych, a wkrótce potem sąd ich uniewinnił.

Tymczasem 2 i 3 Pułk minęły Rarańczę, zmierzając do linii frontu. Jeden z oddziałów został jednak ostrzelany przez austriacką artylerię.

„W piekle ognia – relacjonował porucznik Marian Kantor-Mirski – w ulewie żelaza trysnęły strumienie krwi, zarzęgotwały po zamarznętej ziemi stalowe hełmy spadające z urwanymi głowami, wylatywały w powietrze wraz z kupą ziemi poszarpane ciała legionistów dzierzące jeszcze w stygnących rękach karabin. Z jękiem ludzkim zmieszał się przeraźliwy kwik rannych koni – a tu czyste pole, nigdzie nijakiego schronu – a cofać się nie można, bo z tyłu, od Rarańczy, posuwa się gęsta tyraliera austriacka – a armaty piekielnie grają”<sup>[7]</sup>.

Sytuacja stała się dramatyczna. Legioniści cały czas byli w zasięgu austriackiej artylerii i wycofanie się nie wchodziło w rachubę. Nie pozostało zatem nic innego jak kontratak na baterie wroga.

„Rzuciliśmy się ławą w ich stronę – kontynuował Mirski – by im pyski pozatykać. Widząc austriaccy artylerzyści szaleńców pędzących wichrem, ze strachu zaprzestają ognia. Pędzimy w ich stronę”<sup>[8]</sup>.

Przeciwnik szybko ochłonał i wznowił ostrzał, ale legioniści już dopadli armat. Dalszą drogę zagradzały jednak zasieki z drutu kolczastego, a Polacy nie mieli nożyc do ich cięcia. Rzucali zatem płaszcze na zasieki i w ten sposób je sforsowali. Nad ranem 16 lutego przeszli linię frontu.

„Ktoś głosem czystym – opisywał Boruta-Spiechowicz – trochę nieśmiało intonuje *Rotę*. Pieśń tę podchwytuje nadpływająca brać legionowa, pieśń początkowo cicha – potężnieje. Rozproszona wiara scala się w jedno. Coraz głośniejszy śpiew. To pobudka i hasło zbiórki, to radosny, wolny wolnego Polaka śpiew”<sup>[9]</sup>.

Przez linię frontu przedarło się około stu oficerów i półtora tysiąca żołnierzy. Podczas boju wyróżnił się i został awansowany do stopnia chorążego Bronisław Duch, przyszły generał i dowódca 3 Dywizji Strzelców Karpackich walczącej pod Monte Cassino<sup>[10]</sup>.

Podczas tych walk poległo 16 żołnierzy. W 1927 roku przeniesiono ich szczątki spod Rarańczy na cmentarz Obrońców Lwowa.

## Bolszewicy na horyzoncie

Legioniści planowali dołączyć do II Korpusu stacjonującego w Sorokach, a podczas marszu mijali miejsca wstawione bitwami z przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Jeszcze w Mamajowcach brygadier Haller wysłał do każdego pułku po kilka egzemplarzy *Trylogii*, by żołnierze pamiętali, że będą iść „sienkiewiczowskimi szlakami”<sup>[11]</sup>.

Na plebanii w Sokolcu ksiądz, goszcząc legionistów, stwierdził, że gdyby udali się w kierunku Jampolu, trafiliby na miejsce, gdzie „Azja wyrznął rodzinę biednej Ewki”. Przypomniał też, że w Raszkowie osobiście bywał „Sienkiewicz i wszystko notował”<sup>[12]</sup>.

Szlak śladami *Pana Wołodyjowskiego* był jednocześnie naznaczony spalonymi niedawno polskimi dworami. Chłopsko-bolszewickie bandy nie miały litości, mordując i grabiąc.

„Gdzie spojrzeć, wszędy zgliszcza i kupy popiołu – wspominał jeden z żołnierzy II Brygady. – Z dworców polskich pozostała ruina, sterczały tylko osmalone nagie mury. Znikły cudne ogrody, przepiękne parki, w których dawniej, a może jeszcze wczoraj kryły się dworzyszczka polskie”. Ale *towarzyszczy* pozostawiali po swojej bytności także zgliszcza chałup i zabudowań bogatych chłopów. A także trupy<sup>[13]</sup>.

Legioniści wkroczyli na teren kontrolowany przez Armię Czerwoną. Dowództwo stacjonującej w Chocimiu bolszewickiej brygady nie miało nic przeciwko temu, by Polacy dołączyli do II Korpusu, ale zażądano złożenia broni. Na taki warunek nie mógł się zgodzić z kolei Haller, jednak nie zerwał rozmów z Sowiecami. Jednocześnie zdecydował o dalszym marszu, a przekroczenie przez brygadę mostu na Dniestrze pod Żwańcem zaniepokoiło bolszewicki garnizon w Kamieńcu Podolskim.

Miasto kusiło Polaków, gdyż znajdowały się tam magazyny wojskowe. Dowództwo brygady nie zamierzało jednak doprowadzić do niepotrzebnej konfrontacji z Armią Czerwoną. Planowano bowiem dotarcie do Sorok w Besarabii, gdzie stacjonował II Korpus Polski. Co więcej – ostatecznie udało się zdobyć życzliwą neutralność bolszewików, wykazując, że brygada to nie jednostka reakcyjna, a tradycja legionowa jest demokratyczna. Rosjan podobno przekonał fakt, że zarówno żołnierze, jak i oficerowie brygady otrzymywali takie samo wyżywienie. W tej sytuacji zrezygnowali z żądania, by w polskich oddziałach powstały komitety żołnierskie, chociaż drażniły ich oficerskie oznaki na mundurach. Na wszelki wypadek oznaki zostały zdjęte.

Ważną rolę w uzyskaniu neutralności bolszewików odegrał działacz PPS-u i członek Polskiej Organizacji Wojskowej, Tadeusz Hołówko. Wraz z porucznikiem Marianem Raganowiczem udali się do Płoskirowa na rozmowy z Rewkomem (Komitet Rewolucyjno-Wojskowy) VII Armii.

„Zacząłem od tego – wspominał Hołówko – że jestem delegatem PPS, której stanowisko wobec rewolucji jest znane, że sam jestem starym działaczem rewolucyjnym [Hołówko miał wówczas 28 lat – T.S.], który zaznał więzienia carskiego i niemieckiego obozu dla internowanych”<sup>[14]</sup>.

To wprowadzenie życzliwie usposobiło Rosjan, tym bardziej że Hołówko dodatkowo wspominał o walce Legionów z armią carską. Natomiast przejście II Brygady przez front przedstawił jako „epizod walki z imperialistycznymi Niemcami i Rosją”. Bardzo zręcznie tłumaczył też, że „żelazna brygada”, jak nazywano jednostkę, może być przydatna dla bolszewików. Poza tym podnosił, że „honor rewolucji proletariackiej wymaga, aby otoczyć opieką i szacunkiem tych, którzy jej zaufali i szukali u niej schronienia i pomocy”<sup>[15]</sup>.

Inna sprawa, że Hołówko naprawdę sądził, iż II Brygada może walczyć u boku Armii Czerwonej z Niemcami i Austriakami. Być może wyglądałoby to na egzotyczny sojusz, ale dla piłsudczyków, których Hołówko reprezentował, głównym wrogiem były państwa centralne okupujące Polskę.

Dobre przyjęcie wystąpienia Hołówki było też zasługą członka Rewkomu, Henryka Muszkiet-Królikowskiego. Był on jednocześnie działaczem PPS-u i komendantem Polskiej Organizacji Wojskowej w Płoskirowie. Hołówko uzyskał też poparcie szefa Rewkomu, który stwierdził, że nie można niczego Polakom narzucać. Nie zażądał też rozbrojenia brygady, a nawet obiecał środki transportu na dalszą drogę.

Hołówko wyjechał z Płoskirowa na spotkanie z Hallerem. Jednak po drodze samochód, którym podróżował, został zatrzymany przez tłum w Dunajowcach. Wcześniej rozbrojono tam samodzielny polski oddział rotmistrza Engela. Postawa ludzi otaczających samochód była tak groźna, że Hołówko wyciągnął broń. Okazało się to poważnym błędem. Po chwili bowiem rozległy się okrzyki, by rozbroić burżuja i od razu postawić go pod ścianą.

Sprawę uratował Muszkiet-Królikowski, który nie tylko uspokoił tłum, lecz także potrafił wypertraktować zwolnienie Engela i jego ludzi.

Brygada wznowiła marsz, posuwając się równolegle do Dniestru, i w pierwszych dniach marca nawiązano kontakt ze stacjonującym w Sorokach II Korpusem Polskim. Haller wydał wówczas rozkaz, w którym zaznaczył, że „na dawnych Kresach Rzeczypospolitej, na wolnej ziemi Ukrainy łączą się po raz pierwszy oddziały wojskowe dwóch zaborów, dając przykład i wzywając naród polski do skonsolidowania się celem odbudowy ojczyzny”<sup>[16]</sup>.

## W Sorokach

W niespełna trzy tygodnie II Brygada przeszła około 300 kilometrów, jednak sytuacja, jaką zastano w Sorokach, nie napawała optymizmem. II Korpus powstał przez wydzielenie polskich żołnierzy z trzech armii rosyjskich frontu rumuńskiego. Dowództwo nad korpusem objął generał Sylwester Stankiewicz, ale nie wykazywał specjalnych chęci ani energii, by przekształcić go w pełnowartościową jednostkę bojową. Inna sprawa, że poddał się nastrojom powszechnie panującym w szeregach. Wielu żołnierzy miało już bowiem dość wojny i traktowali korpus jako bezpieczną przystań dla siebie i swoich rodzin przed powrotem do domu.

„Rzucały się w oczy – wspominał kapitan Rajmund Bergel – brak szeregowych, przy nadmiarze oficerów, olbrzymie sztaby, a figuralnie tylko istniejące oddziały; przede wszystkim zaśpotworne tabory, zavalone w znacznej części własnością prywatną. Oficerowie, a nawet szeregowi, będący wraz ze swoimi żonami i dziećmi – oto stosunki, które nie podnosiły chyba marszowej i bojowej wartości korpusu”<sup>[17]</sup>.

Na tym tle zdecydowanie wyróżniali się waleczni i karni żołnierze II Brygady. Nie był im jednak dany dłuższy odpoczynek po ciężkim marszu. Z powodu zawarcia przez Rumunię pokoju z państwami centralnymi II Korpus musiał opuścić Besarabię, którą przejmowały wojska rumuńskie. W przeciwnym wypadku jednostce groziłoby rozbrojenie.

Jednocześnie podnosiły się głosy, by korpus, wycofując się z terytorium rumuńskiego, zatrzymał się na Podolu i bronił polskich ziemian przed bandami ukraińskich chłopów. Opowiadali się za tym generałowie Sylwester Stankiewicz i Władysław Glass, natomiast Haller uznał, że jeżeli taka

decyzja zapadnie, jego brygada pomaszeruje na wschód, by się wydostać poza tereny kontrolowane przez państwa centralne.

Brygadiera poparł Polski Komitet Wykonawczy Frontu Rumuńskiego. W odezwie do żołnierzy II Korpusu określono, że ich celem powinna być próba połączenia się z I Korpusem Polskim na Białorusi, a nie walka ze zbuntowanym chłopstwem<sup>[18]</sup>.

Stanowisko Hallera zdobyło aplauz wielu żołnierzy innych jednostek II Korpusu. Zaklinali swoich dowódców, „by ich prowadzić razem z brygadą”, a nie kierować się na Podole. Zdawali sobie bowiem sprawę, że w ten sposób prędzej trafią do rodzinnych domów<sup>[19]</sup>.

## Marsz na wschód

W tej sytuacji Stankiewicz i Glass opuścili korpus, a Rada Wojskowa powierzyła dowództwo Hallerowi (szefem sztabu został Żymierski). Żołnierze przekroczyli Boh pod Hajworonemi weszli na teren okupacji niemieckiej. W Humaniu 7 kwietnia odbyła się defilada, która wywarła wielkie wrażenie na mieszkających tam Polakach.

Entuzjazmu nie dzielali jednak polscy ziemianie – mieli bowiem nadzieję, że żołnierze II Korpusu umożliwią im powrót do skonfiskowanych i rozparcelowanych majątków. Haller jednak nie zamierzał zaognić konfliktu z ukraińskimi chłopami. Stosunki z nimi i tak już były złe z powodu koniecznych rekwizycji, a „wszelkie próby rewindykacji polskiej własności w danej chwili byłyby tylko donkiszoterią o krótkotrwałym efekcie”. Doprowadziłyby do „rozjątrzenia do żywego nienawiści mas chłopskich”<sup>[20] [21]</sup>.

W Goriaczkówce wymordowano podczas snu żołnierzy szwadronu 6 Pułku Ułanów, zaś z Bałabanówki, „siedliska bandytów”, strzelano do polskich żołnierzy. Dowództwo nie mogło puścić tego płazem. Goriaczkówka została zniszczona przez artylerię, a do Bałabanówki wysłano ekspedycję karną.

„Kapitan Kruk-Szuster z batalionem 2 Pułku Piechoty – wspominał Kantor-Mirski – otoczył wieś i wykonał egzekucję, bezwzględną – lecz zasłużoną, która lotem błyskawicy obiegła całą Ukrainę i na pewien czas powstrzymała chłopstwo od dalszych mordów”<sup>[22]</sup>.

Problemów zresztą nie brakowało. Podczas dalszego marszu ujawniono demoralizację wśród żołnierzy 4 Dywizji Strzeleckiej. Pułkownik Michał Żymierski powiadomił Radę Wojskową Korpusu o „pijaństwie, niesubordynacji, braku uświadomienia celów marszu na wschód oraz agitacji przeciw takowemu, z ujawnieniem tendencji wejścia w porozumienie z wojskami państw centralnych”<sup>[23]</sup>.

## Bitwa pod Kaniowem

17 kwietnia napotkano oddziały niemieckie, jednak stanowcza postawa Polaków sprawiła (dali do zrozumienia, że mogą użyć broni), że marsz kontynuowano. Decyzją dowódcy Wojsk Polskich na Ukrainie, generała Aleksandra Osińskiego, jednostka zatrzymała się w okolicach Kaniowa nad Dnieprem. Jednocześnie rozpoczęły się rozmowy na temat przyszłości korpusu pomiędzy: Osińskim, Radą Regencyjną i Niemcami, którzy zresztą odmawiali warszawskim władzom prawa do zwierzchnictwa nad korpusem.



Józefowi Hallerowi zarzucano później, że czekał na wynik negocjacji, zamiast przeprowić się przez Dniepr. Zapewne manewr by się powiódł, gdyż Niemcy dopiero koncentrowali swoje siły wokół korpusu. Taką decyzję chcieli zresztą wymusić na generale piłsudczycy – członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej. Dalsza przyszłość rysowałaaby się jednak w dość ponurych barwach, gdyż wojska państw centralnych okupowały niemal całą Ukrainę, a rządzący w Kijowie hetman Pawło Skoropadski był ich marionetką. Bolszewicka Rosja zawarła traktat pokojowy z Berlinem i Wiedniem, zaś możliwość dotarcia do terenów kontrolowanych przez „białą” Armię Ochotniczą była dość iluzoryczna.

Oddziały niemieckie otoczyły teren, na którym rozlokowały się jednostki II Korpusu. 6 maja 1918 roku zażądano złożenia broni w ciągu trzech godzin, na co Polacy zareagowali przygotowaniami do obrony. Było to sporym zaskoczeniem dla Niemców, wobec czego wycofano ultimatum. Uspіło to czujność Hallera i jego sztabu.



**Żołnierze II Brygady Legionów w okopach w okolicy Rarańczy (1915 r.).**

(Wikimedia Commons)



**Michał Rola-Żymierski jako legionista II Brygady.**  
(Wikimedia Commons)



**Michał Rola-Żymierski jako marszałek w Ludowym  
Wojsku Polskim.**  
(NAC)



## **Żołnierze 2 Pułku Piechoty II Brygady Legionów Polskich.**

(Wikipedia)



## **Generał Józef Haller.**

(Wikipedia)



## **Szlak bojowy II Brygady Legionów Polskich na Wołyniu.**

(Biblioteka Narodowa)



**Ksiądz Józef Panaś.**

(Wikipedia)



**Generał Roman Górecki.**

(Wikimedia Commons)

Do ataku doszło bez uprzedzenia w nocy z 10 na 11 maja. Polacy dysponowali 7 tysiącami żołnierzy, wojska przeciwnika były co najmniej dwukrotnie liczniejsze. Uderzenie skierowano na Potok, gdzie stacjonowała 5 Dywizja Strzelców.

„Wszędzie chmary żołdactwa pruskiego – wspominał Kantor-Mirski – w stalowych hełmach zaczęły wynurzać się ze wszystkich stron, wściekle palbą karabinów ręcznych i dziesiątkami maszynówek atakując. Jakiś dziw i lęk ogarnął knechtów pruskich na widok porucznika Karpińskiego podobnego wzrostem do Podbipięty, który puściwszy swe olbrzymie ręce jak skrzydła wiatraku w ruch, rozbijał pięściami łby pruskich oficerów. Każde uderzenie jego prawicy to śmierć jednego wroga. »Pracuje« tak dłuższy czas aż do nadejścia pomocy. Porucznik Dżugaj roznosi straszne zniszczenie ciupagą góralską, kapitan Rudka kawałkiem kołka wyrwanego z płotu chlasta na odlew po pyskach pruskich”<sup>[24]</sup>.

Niemców zaskoczyła desperacka obrona i rozpoczęli odwrót, jednak wkrótce otrzymali wsparcie karabinów maszynowych, których ogień przygwoździł Polaków do ziemi. Do niewoli dostał się dowódca dywizji, pułkownik Stanisław Machcewicz, co jednak tylko rozwścieczyło jego podwładnych, którzy z impetem zaatakowali wroga. Z Niemcami starła się także stuosobowa Legia Oficerska, walczone na białą broń i nie brano jeńców.

„Zazgrzytały bagnety o kości – kontynuował Mirski – tu i ówdzie pada strzał rewolwerowy – bucha krew z przegryzionego gardła – nóż lub scyzoryk rozpruwa brzuch knechta – trupy padają gęsto”<sup>[25]</sup>.

Przewaga Niemców była jednak ogromna. W tej sytuacji Polacy usiłowali przebić się na step, ale ogień karabinów maszynowych odciął im drogę. Dalsza obrona w Potoku oznaczała pewną zagładę oddziału i podpułkownik Józef Zajac wydał rozkaz przedarcia się. Po tych walkach dywizja utraciła niemal połowę swojego składu.

W zaatakowanym przez Niemców Kozinie doszło do dramatycznego boju. Odwrót 4 Dywizji Strzelców osłaniała

kompania porucznika Rudolfa Brandysa, a gdy została otoczona, jej dowódca odmówił złożenia broni. Stwierdził, że polski żołnierz nigdy się nie poddaje, i rzucił swoich podkomendnych do ataku na bagnety. Niemcy nie wytrzymali konfrontacji, ale za chwilę skierowali na kompanię morderczy ogień karabinów maszynowych. Oddział został zmasakrowany, a Brandys otrzymał 23 rany i został dobity bagnetami<sup>[26] [27]</sup>.

Żołnierze II Korpusu mogli przeciwstawić przewadze wroga tylko swą „determinację i zaciekłość”. Ogólny entuzjazm walki porwał wszystkich – „nawet szeregowi z taborów i muzykanci, wzięwszy karabin do garści, szli w tyralierze”<sup>[28]</sup>. Szwadron porucznika Witolda Cieślińskiego z 6 Pułku Ułanów, który został zaatakowany w Sułowie, „brawurową szarżą przejechał po bagnetach nieprzyjacielskich, biorąc w dalszej akcji jeszcze 100 jeńców”<sup>[29]</sup>.

Wspaniała postawa polskich żołnierzy nie mogła jednak zrekompensować braku amunicji. W tej sytuacji Haller uznał, że skończyły się możliwości racjonalnej obrony, i wysłał parlamentariuszy z propozycją przerwania walki. Niemcy – zaskoczeni fanatyczną postawą Polaków – przyjęli to z ulgą.

Emocje były jednak tak silne, że wielu naszych rodaków nie mogło się pogodzić z koniecznością złożenia broni i niewoli. Dochodziło do samobójstw i straceńczych ataków. Zdarzyło się nawet, że „garstka żołnierzy, mając tylko goły bagnet w ręce, rzuciła się na masy żołdactwa niemieckiego, a siejąc okrutną rzeź, starała się przebić na tyły lub zginać”<sup>[30]</sup>.

W walce poległo i zostało rannych około tysiąca polskich żołnierzy, zaś straty niemieckie wyniosły 1,5 tysiąca ludzi. Do niewoli trafiły ponad 3 tysiące Polaków. Józef Haller chciał dzielić los jeńców, ale mu to wyperswadowano. Przedostał się do Murmańska i stamtąd odpłynął do Francji, gdzie objął

dowództwo formującej się armii polskiej. Około 2 tysięcy żołnierzy wymknęło się Niemcom – dzięki temu nie trafili do obozów. Dzień po bitwie z niewoli zbiegł także pułkownik Machcewicz<sup>[31]</sup>.

## ROZDZIAŁ 12

# POLACY W ODESSIE

Polska diaspora na terenie imperium Romanowów to nie tylko Petersburg, Kijów czy Moskwa. Wielu naszych rodaków mieszkało również w Odessie i odgrywali tam znaczącą rolę. Jak zwykle stanowili stosunkowo niewielką, ale za to bardzo elitarną mniejszość etniczną i religijną.

## Miasto francuskiego księcia

Pod koniec XVIII stulecia na terenie dzisiejszej Odessy Turcy wybudowali twierdzę Yeni Dünya, którą we wrześniu 1789 roku opanowali Rosjanie. Pięć lat później utworzono tam port wojenny i rozpoczęto budowę miasta, które miało zostać stolicą prowincji (kraju noworosyjskiego).

Odessa najwięcej zawdzięcza francuskiemu emigrantowi, który w 1804 roku został jej gubernatorem. Księżę Emmanuel Richelieu opuścił rodzinny kraj po wybuchu rewolucji francuskiej, zaciągając się na służbę u carycy Katarzyny II. Był to prawdziwy człowiek oświecenia: ascetyczny, energiczny i uniwersalny. Po otrzymaniu nominacji na gubernatora ściągał do Odessy i w jej okolicy imigrantów z różnych stron świata.



Ambitni przybysze (Niemcy, Żydzi, Grecy, Polacy, Tatarzy, Rosjanie i Ukraińcy) znaleźli tu dobre warunki do pracy.

Od samego początku miasto stanowiło nieprawdopodobny tygiel narodowości i kultur – obok siebie stały tam cerkwie, kościoły, synagogi i meczety. Szybki rozwój i zamożność mieszkańców spowodowały, że Odessę zaczęto nazywać „małym Paryżem” lub „drugim Petersburgiem”, ewentualnie „perłą Morza Czarnego”.

Pierwsze sto polskich rodzin szlacheckich pojawiło się w mieście i okolicach już niemal w chwili jego założenia. W tym czasie nadania ziemskie w kraju noworosyjskim otrzymało kilkanaście rodzin magnackich, których majątki szybko zaczęły przynosić duże zyski. Nasi rodacy inwestowali także w Odessie, dzięki czemu stali się zauważalną mniejszością.

Wprawdzie stanowili stosunkowo nieliczny odsetek ludności (w 1823 roku około 800 Polaków na 50 tysięcy mieszkańców), jednak była to grupa bardzo elitarna – niemal bez wyjątku potomkowie zamożnych, szlacheckich rodzin odgrywający dużą rolę w życiu ekonomicznym, kulturalnym i towarzyskim. Wykonywali też wolne zawody, co dodatkowo podkreślało ich uprzywilejowaną pozycję.

Odessa – przedsiónek imperium Romanowów – stała się najważniejszym rosyjskim portem nad Morzem Czarnym. Miasto odwiedzali słynni śpiewacy, mistrzowie klawiatury i smyczka, zaś tutejsze bale cieszyły się ugruntowaną renomą.

Często przebywali tam polscy ziemianie z południowych Kresów. Zjeżdżali po zbiorach, by dopilnować sprzedaży zboża i zaopatrzyć się w luksusowe towary. Ich pobyt z reguły przeciągał się do zimy – wówczas strumieniami lało się wino, a przy karcianych stolikach wygrywano i przegrywano fortuny.

Wielu polskich ziemian kupiło w mieście domy, gdzie większość czasu spędzały ich rodziny. Świat Odessy nie był zresztą zhierarchizowany – rządził tu pieniądz, a nie tytuły

bez znaczenia. Niejedna panna z wielkiego polskiego rodu wyszła za mąż za dorobkiewicza, a wielu zubożałych arystokratów poślubiło córki kupców. Mieszała się krew, powstawały nowe fortuny – wszystko pod czujnym okiem księcia gubernatora.

W latach 1806–1809 w Odessie działał polski teatr prowadzony przez Jana Nepomucena Kamińskiego. Uczeń Wojciecha Bogusławskiego cieszył się względami księcia Richelieu, który popierał rozwój jego placówki. Kamiński uznał jednak, że ważniejsza jest polska scena we Lwowie, i po trzech latach działalności wrócił nad Pełtew.

„Miasto rozległe, okazałe – wspominał Odessę pisarz, Aleksander Jełowicki – przystań pełna okrętów, okolice pełne pięknych futorów strojnych pięknymi domami, po ulicach miasta ciągle snują się wozy z pszenicą i innym zbożem, ciągle turkoczą drążki kupców; targi pełne ryb wybornych, owoców doskonałych, kramy pełne towarów zagranicznych, domy i ulice pełne ludzi zagranicznych, bo to wolne miasto kupieckie, co na stepach wygląda jak wyspa, na której spoczęli rozbitkowie wszystkich narodów. Toteż Odessa nie ma żadnego piętna narodowego. (...) Ulice proste i szerokie, domy obszerne, wygodne i kształtne; co dom, to i parę składów dwupiętrowych: ten, co miasto zakładał, stepu nie żałował, więc i dziedzince wielkie, i rynki ogromne, tak że Odessa wygląda niby zbiór zamków; a rozparła się szeroko, jak gdyby bała się, żeby nie zniknęła między morzem a stepem.

[Także] na lato zjeżdża się do Odessy wiele rodzin polskich; ojciec sprzedaje pszenicę, matka kupuje stroje, dzieci uczą się śpiewać po włosku, a wszyscy kąpią się w morzu; słaby, żeby był zdrow, zdrowszy, żeby nie był słaby, chudy, żeby utył, tłusty, żeby schudł”<sup>[1]</sup>.

Dynamicznego rozwoju miasta nie zahamowała nawet zaraza „morowej śmierci” w 1812 roku. A gdy Richelieu dwa

lata później wracał do Francji, z własnych pieniędzy ufundował szkołę nazwaną później jego imieniem. Mieszkańcy zachowali o nim wdzięczną pamięć, czego śladem jest pomnik gubernatora wznoszący się do dziś na szczycie słynnych Schodów Potiomkinowskich.

## Mickiewicz, Śniadecka i inni

W lutym 1825 roku pojawili się w Odessie trzej filomaci skazani na osiedlenie w Rosji: Adam Mickiewicz, Franciszek Malewski i Józef Jeżowski. Mieli otrzymać pracę w Liceum imienia Richelieu, ale właśnie trwał rok szkolny i brakowało wolnych etatów. Dostali zatem zakwaterowanie, stałą pensję i czekali na dalsze decyzje władz carskich. Jeżowski zajął się przekładami Horacego, Malewski również zakopał się w książkach, a Mickiewicz poznawał uroki karnawału nad Morzem Czarnym.

Sprawa pozostaje jednak bardzo niewygodna dla bogobojnych biografów wieszczka, gdyż poeta zamiast „cierpieć za miliony”, bawił się, a do tego utrzymywał przyjazne kontakty z oficerami carskiej policji. Z jej agentką (Karoliną Sobańską) połączył go namiętny romans, czego efektem były piękne *Sonety erotyczne* (a po wspólnej wyprawie na Krym także *Sonety krymskie*).

Najbardziej znany utwór z pierwszego cyklu, *Niepewność*, został rozślawiony przed laty dzięki brawurowej interpretacji Marka Grechuty. Sobańska nie była zresztą jedyną partnerką seksualną Mickiewicza w Odessie. W jego życiu pojawiła się jeszcze Awidia Guriewa, miał także sporo przygód na jedną czy kilka nocy. Sam poeta wspominał, że żył w tamtych czasach „jak basza”. A jednym z atrybutów baszy jest przecież harem...

Znaczną część życia spędziła w Odessie Ludwika Śniadecka. Ukochana Słowackiego przybyła do miasta niedługo po wyjeździe Mickiewicza i pozostała tam aż do 1842 roku. Zamożna córka lekarza (i bratanica rektora Uniwersytetu Wileńskiego) oddała serce rosyjskiemu oficerowi Włodzimierzowi Korsakowowi, a po jego śmierci przystąpiła do religijnej grupy pietystów.

Ten luterański ruch na początku XIX stulecia miał w Odessie licznych zwolenników w kręgach arystokratycznych. Śniadecka łączyła żalobę z doznaniem religijnymi – planowała odszukać grób Korsakowa (zginął w walkach z Turkami pod Warną), uczcić jego pamięć, a następnie poświęcić się działalności charytatywnej. Po kilkunastu latach pobytu w Odessie wyjechała do Konstantynopola, by tam zrealizować pomysł fundacji imienia Korsakowa.

W tureckiej stolicy związała się z Michałem Czajkowskim – przedstawicielem Hotelu Lambert. Oboje przeszli na islam i zawarli małżeństwo (mimo że Michał miał już żonę i trójkę dzieci). Czajkowski jako oficer turecki (Sadyk Pasza) prowadził działania podczas wojny krymskiej przeciwko Rosji, oboje współpracowali wówczas blisko z Mickiewiczem, a Ludwika towarzyszyła poecie w jego ostatnich dniach w Stambule.

Śniadecka przeżyła wieszczka o 11 lat i nad Bosforem pozostała na zawsze. Pochowano ją na katolickim cmentarzu w Adampolu, natomiast Sadyk Pasza po raz kolejny zmienił poglądy i religię. Tym razem przeszedł na prawosławie i stał się zwolennikiem panslawizmu. Osiadł w Kijowie (z kolejną żoną) i publicznie głosił konieczność zjednoczenia Słowian pod berłem carów. Osamotniony i zniechęcony do życia popełnił samobójstwo w wieku 82 lat...

Dobra passa Odessy trwała aż do wojny krymskiej. Konflikt między Rosją a koalicją złożoną z Turcji, Anglii i Francji zakończył się klęską armii carskiej. W kwietniu 1854 roku

flota sprzymierzonych zbombardowała Odesę, ale miasto szybko podniosło się ze zniszczeń. W latach 60. uruchomiono połączenie kolejowe z Kijowem, co przyczyniło się do dalszego rozwoju handlu.

Odessa stała się czwartym miastem imperium, a przez tutejszy port przechodziła większość wymiany towarowej z południową Rosją. W praktyce oznaczało to wywożenie ogromnych ilości węgla i żelaza z Zagłębia Donieckiego oraz zboża z ukraińskich pól. Z kolei w mieście inwestował obcy kapitał: Belgowie zbudowali linie tramwajowe, Brytyjczycy wodociągi, a Niemcy sieć gazową.

## Odeskie problemy przyszłego noblisty

Odessa odegrała pewną rolę także w życiu Henryka Sienkiewicza, chociaż pisarz zapewne wolałby wykreślić ten fakt ze swej biografii. W 1892 roku poznał urodziwą Marię Romanowską, adoptowaną córkę Konstantego i Heleny Wołodkowiczów. Mimo znacznej różnicy wieku (27 lat) postanowił się ożenić – był wówczas od siedmiu lat wdowcem i uznał, że nadszedł czas na ponowną stabilizację.

Wołodkowiczowie byli niezwykle zamożną rodziną osiadłą w Odessie, a swojego ogromnego majątku dorobili się na ukraińskich cukrowniach i gorzelniach. Marzyli o dobrej partii dla ich przybranej córki, a najpopularniejszy ówczesny polski pisarz wydawał się łatwą ofiarą.

Marynuszka (jak nazywali ją najbliżsi) była wprawdzie dziewczyną niezwykle piękną, ale całkowicie bezwolną w rękach matki intrygantki. Na pewno jednak pomysł ślubu z Sienkiewiczem bardzo jej imponował, poza tym całkowicie podporządkowała się woli rodziców.



**Książę Emmanuel Richelieu.**  
(Wikimedia Commons)



**Jan Nepomucen Kamiński.**  
(Biblioteka Narodowa)



**Generał Lucjan Żeligowski.**  
(Wikipedia)

Pisarz natomiast się wahał. Dziewczyna bardzo mu się podobała, ale „nie wierzył, że ktoś mógł się naprawdę zająć taką starą i żółtą małpą jak on”. Miał rację – Marynuszka i jej matka kierowały się wyłącznie zimnym wyrachowaniem.

Na początek Sienkiewicz wysłał do Odessy komplet swoich dzieł w oprawie, a w grudniu sam ruszył nad Morze Czarne. Cel był jasny: zamierzał się tam oświadczyć.

Ostateczną decyzję podjął już pierwszego dnia, gdyż przepych odeskiej willi Wołodkowiczów całkowicie go oszołomił. Wielki, bogato urządzonej dom otoczony pięknym ogrodem stał na urwisku nad morzem, a właścicielom usługiwała liczna służba. Sienkiewicz oświadczył się i został przyjęty, rezerwę zachował tylko przyszły teść. Wołodkowicz zauważył bowiem w rozmowie z córką, że pisarz chyba nie jest dla niej właściwym kandydatem na męża, gdyż będzie musiała mu „co wieczór gotować rumianek”.



**Jan Nepomucen Kamiński na kilka lat przed śmiercią.**  
(Wikimedia Commons)



**Ludwika ze Śniadeckich-Czajkowska, żona Michała Sadyka Paszy.**  
(Wikipedia)

Natomiast pani Helena była w swoim żywiole – zaproponowała, że wraz z pisarzem i córką wyjadą do Włoch, a ślub odbędzie się w marcu w Rzymie. Sienkiewicz zgodził się na termin i miejsce, nie chciał jednak wcześniejszej podróży do Italii. Widział bowiem, że Wołodkiewiczowa zupełnie nie liczy się z pieniędzmi, a jako przyszły zięć powinien pokryć większość kosztów eskapady i ślubu.

Ostatecznie matka i córka pojechały do Nervii koło Genui, natomiast Sienkiewicz udał się do Krakowa, a następnie do Warszawy. Jednak pod koniec lutego pojawił się w Italii i przez trzy tygodnie przebywał z paniami w Nervii, a potem wybrał się z nimi do Rzymu. Dojechał też tam Wołodkiewicz – i pisarza szybko zaczęło przerażać postępowanie przyszłych teściów.

Wołodkiewiczowie zamieszkali bowiem w Hotelu de Rome, gdzie płacili „Bóg wie ile”. Ale skoro był to ulubiony hotel Czartoryskich czy Radziwiłłów, to cukrowi potentaci z



Ukrainy nie mogli się zatrzymać w innym miejscu. Sienkiewicz wynajął pokój w znacznie tańszym Hotelu Angielskim, ale i tak narzekał na cenę (ponad 70 euro za dobę). Na domiar złego miał „okropny katar, prawie influencę” [grypę – S.K.] i „bolała go łapa”, tak że zastanawiał się, czy to nie przypadkiem „początek paraliżeczku”.

To jednak było niczym w porównaniu z zachowaniem pani Heleny, z którą pisarz kłócił się nieustannie. Wprawdzie wiedział już wcześniej, że kobieta ma trudny charakter, a swoją przybraną córkę kocha do szaleństwa, ale w Rzymie dochodziło jeszcze do gorszących kłótni na tematy finansowe. Powodem było oczywiście „skąpstwo” Sienkiewicza.

Pani Helena przypomniała przysłemu zięciowi, że jej córka ma zagwarantowany posąg w wysokości 9 tysięcy rubli rocznie (blisko 120 tysięcy euro) i zażądała, by z tej kwoty przeznaczał tysiąc rubli rocznie (13 tysięcy euro) na jej „drobne wydatki”. Pisarz jednak orzekł, że nie dopuści do tego, by żona dysponowała tak wielką kwotą. W tej sytuacji Wołodkowiczowa stwierdziła, że jej podopieczna umrze z nędzy po roku takiego traktowania.

Sienkiewicz jednak nie rezygnował, a do przyjaciół pisał, że teściową „musi trzymać krócej”. Zaczął jednak zdawać sobie sprawę, że było to właściwie niemożliwe do osiągnięcia. Pozostawał natomiast pod coraz większym urokiem narzeczonej, ale chyba w ogóle jej nie rozumiał. Nazywał dziewczynę „liliowym majestatem”, z czego tak naprawdę zgadzał się tylko kolor. Maria faktycznie lubiła stroje o tej barwie, ale do majestatu było jej daleko – całkowicie podporządkowała się władczej matce.

Do tego doszły jeszcze problemy z zawarciem małżeństwa we Włoszech. Ślub kościelny miał tam także charakter cywilny i potrzebne były dodatkowe dokumenty narzeczonych. Pani Wołodkowiczowa uznała to za absurd,

twierdząc, że do zawarcia małżeństwa wystarczy tylko zgoda jej i męża. Wyrażała też oburzenie, że dokumenty muszą być przetłumaczone na włoski i poświadczane przez konsulaty w Odessie i Warszawie. Poza tym była zawiedziona, że ślubu nie udzieli „co najmniej sam papież” i ostatecznie zgodziła się na uroczystość w kraju. Uzgodniono, że ślub odbędzie się w czerwcu w Krakowie – i Wołodkowiczowie powrócili do Odessy. W całym tym zamieszaniu trzeźwe spojrzenie zachował tylko ojciec Marynuszki, który przytomnie zauważył, że „pan Sienkiewicz powinien plunąć na wszystko”...

Przez najbliższe miesiące wybuchały kolejne awantury, doszło nawet do zerwania narzeczeństwa. Ostatecznie jednak uroczystość zaślubin odbyła się z wielką pompą w Krakowie w listopadzie 1893 roku. Następnie państwo młodzi wyjechali w podróż poślubną do Włoch, gdzie niebawem wybuchł ogromny skandal. Sienkiewicz, który był w kiepskiej formie fizycznej po przebytej malarii, nie potrafił skonsumować małżeństwa. Niebawem w Italii pojawili się teściowie, a młoda żona uciekła do rodziców. Związek został unieważniony dwa lata później. Jak na pisarza przystało, Sienkiewicz zemścił się na byłej żonie i teściowej, przedstawiając je w bardzo niekorzystnym świetle w *Rodzinie Połanieckich*. Po latach ożenił się jeszcze raz.

Marynuszka także ponownie stanęła na ślubnym kobiercu. Wyszła za mąż za architekta Tadeusza Dachowskiego, z którym miała dwoje dzieci. Związek jednak nie uchodził za udany i pod wpływem „odeskiej kanalii” (czyli teściowej) rozpadł się po kilku latach. „Jej liliowy majestat” wraz z dziećmi przeniósł się do Szwajcarii, a następnie do Francji, gdzie Marynuszka osiedliła się w Nivoles koło Lyonu. Zmarła w wieku 92 lat w 1966 roku.

Byli (albo niedoszli) teściowie Sienkiewicza odeszli jeszcze przed I wojną światową. Konstanty Wołodkowicz zmarł w 1906 roku w Monte Carlo, zaś jego żona w 1913 roku w Odessie. Nie doczekała rewolucji bolszewickiej i ruiny starego świata, co pozbawiłoby ją majątku i wszystkich przywilejów, które tak bardzo ceniła...

## *Belle époque w Odessie*

Ogromną rolę w życiu miasta odegrał napływ ludności żydowskiej spowodowany ustawodawstwem carskim. Władze rosyjskie ograniczały bowiem możliwość działalności gospodarczej Żydów na terenach wiejskich, co skutkowało migracją do miast. Odessę zasiedlali więc żydowscy rzemieślnicy i drobni sklepikarze – miasto stało się hałaśliwe i nabrało nowobogackiego charakteru. Ale wśród osadników nie brakowało ludzi zamożnych oraz inteligencji. Właśnie tu urodzili się Lew Trocki, Włodzimierz Żabotyński oraz niezrównany komentator wojny polsko-sowieckiej z 1920 roku – Izaak Babel. Stąd pochodzili też rodzice Stevena Spielberga i matka Kirka Douglasa.

Na przełomie XIX i XX wieku ludność żydowska stanowiła ponad 30 proc. mieszkańców Odessy, Rosjanie – prawie 50 proc., a Polacy i Ukraińcy – po 5 proc. Reszta obejmowała: Niemców, Greków, Bułgarów, Tatarów, Belgów i wielu innych. Powstawały i upadały fortuny, rozwijał się ruch socjalistyczny i anarchistyczny. W ówczesnej Europie trudno było znaleźć miasto o podobnym charakterze.

Jednym z najważniejszych zabytków Odessy jest gmach opery przy ulicy Czajkowskiego. Zbudowany w latach 1884–1887 uchodzi za jeden z najpiękniejszych teatrów operowych

w Europie. Zaprojektował go austriacki architekt Ferdinand Fellner – jeden z twórców słynnej opery wiedeńskiej. Budynek w Odessie reprezentuje cechy charakterystyczne dla architektury schyłku XIX stulecia – eklektyczna fasada z elementami neorenesansu i neobaroku, dwupiętrowy portyk na pierwszym poziomie ozdobiony symbolami antycznymi, a powyżej popiersia Puszkina i Gogola.

Wnętrze budynku idealnie odpowiadało oczekiwaniom najzamożniejszych mieszkańców Odessy. Obfite zdobnictwo przytłaczało balkony widowni, do tego niewielka scena i oszałamiające, neorokokowe bogactwo. Gmach doskonale ilustrował sytuację kosmopolitycznego portu na przełomie XIX i XX wieku.

Przy budowie opery współpracował polski architekt, Feliks Gąsiorowski. Był on także twórcą hotelu Imperial oraz pałacu przemysłowca Aleksieja Nowikowa. Za jego najwspanialsze dzieło uchodzi jednak gmach Muzeum Starożytności (obecnie Archeologiczne), chociaż niektórzy wyżej stawiają pałac Brzozowskich. Gąsiorowski projektował także budowle użyteczności publicznej z mostem Stroganowa na czele. Nazwa konstrukcji pochodzi od nazwiska rosyjskiego generała – gubernatora kraju noworosyjskiego.

Z kolei Mikołaj Tołwiński zasłynął jako projektant budynków miejscowego uniwersytetu, a Lew Włodek wzniósł w ostatnich latach XIX wieku neobarokowy hotel Pasaż. Nie brakowało tam nowatorskich rozwiązań, a szczególny zachwyty wzbudzał szklany dach nad ciągiem handlowym. Włodek był także autorem hotelu Wielka Moskwa, ale z równą pasją oddawał się architekturze przemysłowej. To właśnie według jego planów wzniesiono stację wodociągową dla miasta.

Od 1893 roku klasę skrzypiec w miejscowym konserwatorium prowadził Emil Młynarski – jeden z twórców

Filharmonii Warszawskiej. Podczas pobytu nad Morzem Czarnym zainteresował się utalentowanym synem polskich Żydów – i przeczucie nie zawiodło mistrza. Paweł Kochański został koncertmistrzem Filharmonii Warszawskiej w wieku 14 lat (!), a z czasem stał się najwybitniejszym polskim skrzypkiem pierwszej połowy XX stulecia i niezrównanym interpretatorem muzyki Karola Szymanowskiego.

Warto też wspomnieć, że w Odessie uczył się złodziejskiego fachu Stanisław Cichocki, bardziej znany jako Szpicbródka. Niewiele wiadomo o jego pochodzeniu, prawdopodobnie wywodził się z dawnych Kresów Rzeczypospolitej i z zawodu był fryzjerem. Jego mentorem miał być Wincenty Brocki, który zasłynął włamaniem do skarbcza na Jasnej Górze.

Samodzielną karierę Cichocki rozpoczął na początku XX stulecia i w 1904 roku był już sądzony za obrabowanie Banku Azjatyckiego w Moskwie. Podobno łup był tak ogromny, że Cichocki z kompaniami zignorowali pieniądze i złoto, koncentrując się wyłącznie na brylantach...

Piękny obraz polskich mieszkańców Odessy przedstawił Jarosław Iwaszkiewicz w pierwszym tomie *Sławy i chwały* – to polska inteligencja i ziemianie od pokoleń żyjący w mieście i jego okolicach, uważający Odessę za swą małą ojczyznę. Szyllerowie mieszkali w kamienicy przy Deribasowskiej 10 (niedaleko Instytutu Richelieu), był to dom zajmowany niemal wyłącznie przez naszych rodaków, polskiej narodowości był nawet stróż. Niedaleko, przy tej samej ulicy, swoją cukiernię prowadził Franciszek Gołąbek, późniejszy mąż Oli Royskiej. Z kolei Ariadna Tarło, córka rosyjskiego policmajstra (polskiego pochodzenia), mieszkała wraz z rodziną gdzieś w okolicach dworca kolejowego.

Powieść Iwaszkiewicza stanowi ciekawy obraz odeskich Polaków w czasach I wojny światowej i rewolucji bolszewickiej. Jedna z kluczowych scen rozgrywa się na

słynnych Schodach Potiomkinowskich. Nocą po stopniach monumentu chodził hrabia Janusz Myszyński, nie wiedząc, czy uciekać z ogarniętej rewolucyjną pożogą Odessy, czy też pozostać. W porcie czekała na niego ukochana Ariadna, ale arystokrata odmówił wyjazdu i dziewczyna odpłynęła wraz z przyjaciółmi do Konstantynopola. Jednak wyrwana z rodzinnego miasta popełniła samobójstwo.

Wiele lat później motyw Schodów Nadmorskich wykorzystał Juliusz Machulski w filmie *Deja vu*. Johnny Pollack (wspaniąta rola Jerzego Stuhra), płatny amerykański morderca zapewne polskiego pochodzenia, przybywa w latach 20. ubiegłego stulecia do Odessy, by wykonać wyrok mafii na zdrajcy zbiegłym do rodzinnego miasta. Przeżywa tam rozmaite przygody, aż wreszcie – nie mogąc się zaadaptować do sowieckiej rzeczywistości – traci zmysły.

Natomiast prawdziwą perłą humoru jest scena rozgrywająca się na słynnych schodach. Pollack, ścigając zdrajcę na rowerze (solo na tandemie!), wjechał w ekipę Siergieja Eisensteina, która właśnie kręciła tam *Pancernika Potiomkina*. Filmowano słynną scenę masakry na schodach, a zabójca przypadkowo potracił dziecięcy wózek. Zachwycony Eisenstein kazał go sfilmować, gdy staczał się w dół. W ten sposób miał przejść do historii światowego kina...

## Szymanowski i Iwaszkiewicz nad Morzem Czarnym

Osadzenie akcji kilku rozdziałów *Sławy i chwały* w Odessie było efektem wizyty Iwaszkiewicza w tym mieście latem 1918 roku. Pisarz przyjechał na rozmowy z Karolem

Szymanowskim, który odpoczywał w willi swojej przyjaciółki, Natalii Dawydow. Budynek stał nad brzegiem morza, „posiadał własną plażę i kajutę do rozbierania się”. Wokół upadał dawny świat, miasto okupowali Austriacy, a Iwaszkiewicz z Szymanowskim relaksowali się i rozmawiali o sztuce.

„Czas był wspaniały – wspominał pisarz – niebo bez chmurki, cały ranek spędzaliśmy na plaży i w wodzie. Po południu siedzieliśmy na wysokim brzegu nad wodą i omawialiśmy nasze sprawy oraz czytając najmłodsze moje utwory, które przywiozłem ze sobą do Odessy”<sup>[2]</sup>.

Artyści rozmawiali głównie o libretcie *Króla Rogera*, nad którym Iwaszkiewicz rozpoczął pracę, oraz o cyklu *Pieśni muezina szalonego*. Pisarz uważał zresztą, że właśnie w tych utworach jego współpraca z Szymanowskim przyniosła najlepsze rezultaty. Nie potrafił jednak zrozumieć, dlaczego starszy kuzyn odrzucił projekt skomponowania muzyki do jego oktostychów, twierdząc, że „są one tak napełnione treścią poetycką, że muzyki już nie potrzebują i muzyki nawet nie zniosą”...

„Parę dni słońca w Odessie minęło szybko – kontynuował Iwaszkiewicz – musiałem wracać do Kijowa, gdzie rozpoczęte starania o przepustkę na wyjazd do Warszawy wymagały mojej obecności. (...) Szymanowski wahał się, co robić. Był to początek września 1918 roku i zaczynało być jasne, że Niemcy przegrają [wojnę]. Trzeba było się pospieszyć z decyzjami. Szymanowski był obciążony rodziną: matka jego już wówczas z trudnością się poruszała męczona przez ciężki artretyzm, młodsza siostra, świeżo zamężna, Zofia, mieszkała na Podolu i nie miała zamiaru wyjeżdżać”<sup>[3]</sup>.

Ostatecznie Szymanowscy – podobnie jak Iwaszkiewicz – szczęśliwie dotarli do kraju. Natomiast gościnną Natalia Dawydow straciła niebawem cały majątek. Przedostała się na

zachód Europy, w Paryżu zarabiała „szyciem i haftami”. Zakończyła życie, popełniając samobójstwo.

## Przez Odessę do Polski

Latem 1918 roku na Kubaniu, w guberni stawropolskiej, rozpoczęło się formowanie polskiego oddziału przy rosyjskiej Armii Ochotniczej. Jego sztab ulokował się w kozackiej Stancy Paszkowskiej koło Jekaterynodaru. Trzon oddziału będącego zaczątkiem brygady, a potem 4 Dywizji Strzelców stanowili żołnierze rozbitego przez Niemców II Korpusu Polskiego i rozbrojonego I Korpusu. W listopadzie, po powstaniu niepodległej Polski, generał Lucjan Żeligowski, dowódca Wojsk Polskich na Wschodzie, zarządził pobór na terenach kontrolowanych przez „białą” Armię Ochotniczą. Jej dowództwo nie gwarantowało jednak broni dla Polaków i w efekcie można było tylko liczyć „na uzyskanie oręża” wyłącznie przez „zdobycie go w ciągłych starciach i potyczkach z bolszewikami”<sup>[4]</sup>.

Gdy Józef Piłsudski objął w listopadzie 1918 roku władzę w Polsce, zwrócił się do marszałka Ferdinanda Focha, głównodowodzącego wojsk ententy, o pomoc w przerzuceniu żołnierzy z Kubania do kraju. Droga miała prowadzić przez Odessę, dokąd od początku grudnia 1918 roku oddziały polskiej brygady zaczęły przybywać drogą morską z Noworosyjska. Faktyczną władzę w mieście sprawował francuski konsul, który uznał żołnierzy polskich za straż przednią wojsk ententy<sup>[5]</sup>. Polacy jednak niechętnie bronili miasta i portu w Odessie przed oddziałami armii Ukraińskiej



Republiki Ludowej, gdyż zdawali sobie sprawę, że Ukraińcy – tak jak oni – walczą o swoje niepodległe państwo<sup>[6]</sup>.

13 grudnia 1918 roku oddziały ukraińskie Symona Petlury zdobyły Odessę, a dywizja Żeligowskiego została zepchnięta do portu. Tam broniła się przez pięć dni, dopóki do miasta nie dotarł desant francusko-grecki. Wtedy, w wyniku wspólnej akcji, miasto zostało odzyskane w ciągu kilku dni.

Formująca się 4 Dywizja Strzelców pod dowództwem generała Żeligowskiego weszła w skład armii polskiej we Francji, a jednocześnie była częścią sił alianckich i walczyła z Armią Czerwoną oraz powstańcami chłopskimi. Bolszewicy jednak zbliżali się do miasta przepełnionego „zrewoltowaną masą robotników portowych, drżącego w pomrukach rewolucyjnych skierowanych przeciw wojskom sprzymierzonym”.

Dużą rolę odgrywała też agitacja rewolucyjna, jednak polscy żołnierze – w przeciwieństwie do francuskich – byli na nią odporni. W pierwszych dniach kwietnia 1919 roku w Odessie rozgorzały walki, a w mieście „wybuchło powstanie miejscowych bolszewików, głównie Żydów, którzy nie zaczepiali wcale Francuzów, strzelając jedynie z za węgła do Polaków i Rosjan z Armii Ochotniczej”<sup>[7]</sup>.

Dywizja Żeligowskiego stanowiła straż przednią wycofujących się z Odessy wojsk sprzymierzonych. W ciężkich walkach odwrotowych na przedmieściach miasta, podczas próby odbicia dział, śmiertelnie ranny został pułkownik Przemysław Barthel de Weydenthal – były oficer Legionów, który kilka miesięcy wcześniej próbował skłonić I i III Korpus w Rosji do walki z armią niemiecką i austro-węgierską.

Z kolei 4 Dywizja Strzelców skoncentrowana w czerwcu 1919 roku na Bukowinie koło Czerniowiec przeszła do Galicji

Wschodniej, gdzie toczyła się wojna polsko-ukraińska. Gdy żołnierze znaleźli się na jej terenie, ze wzruszeniem całowali ojczystą ziemię. „Pierwsza zaraz za Otynią wieś polska zgotowała oddziałom polskim nadzwyczaj serdeczne przyjęcie, a to się powtarzało odtąd stale”<sup>[8]</sup>.

Tak samo witali żołnierzy Żeligowskiego polscy mieszkańcy Stanisławowa. Dywizja, będąca w trakcie przekształcania się w 10 Dywizję Piechoty Wojska Polskiego, broniła miasta przed Ukraińcami, a później wzięła udział w letniej ofensywie, która zakończyła się wyparciem wojsk ukraińskich za Zbrucz.

## Koniec polskiej Odessy

Przed wybuchem I wojny światowej w mieście mieszkało 25–30 tysięcy Polaków. Działo tu wiele narodowych organizacji społecznych, m.in. Katolickie Towarzystwo Dobroczynności, które prowadziło tanią kuchnię, kolonie letnie dla dzieci, internat i ochronkę. Na początku XX stulecia powstał też Dom Polski z salą widowiskową na 600 miejsc oraz biblioteką liczącą 5 tysięcy tomów. Prężnie działała także inna placówka – Ognisko.



**Mikołaj Tołwiński.**  
(Biblioteka Narodowa)



**Lew Dawidowicz Trocki (stoi pośrodku).**  
(Wikipedia)

W mieście funkcjonowały dwie polskie księgarnie, nasi rodacy kierowali także jedną z największych tutejszych aptek. W 1911 roku powstało Katolickie Stowarzyszenie Kobiet pod

wezwaniem św. Zyty, które zrzeszało polskie dziewczęta pracujące w Odessie jako służące.

Chociaż dla miejscowych Polaków Odessa była małą ojczyzną, to jednak powstanie niepodległej Rzeczypospolitej okazało się wystarczającym powodem do jej opuszczenia. Zwłaszcza że w rewolucyjnym zamęcie nie było to już bezpieczne miasto – zajmowali je Ukraińcy, bolszewicy, Austriacy, białogwardziści i ponownie bolszewicy. A każda zmiana władzy łączyła się z krwawymi represjami. Ostatecznie – w 1921 roku – Odessa weszła w skład Rosji Sowieckiej, a naszych rodaków, którzy tam pozostali, czekał tragiczny los.



**Izaak Babel na kilka miesięcy przed aresztowaniem.**  
(Wikimedia Commons)

W 1926 roku było ich około 10 tysięcy. Pierwsze wywózki zaczęły się jeszcze w latach 20. Potem przysła tragedia wielkiego głodu, która dotknęła polskich kołchoźników zasiedlających okolice miasta. W tym czasie w Odessie zlikwidowano polskie technikum rolnicze, szkołę robotniczą i

Dom Polski. Potem przyszła największa ze zbrodni – akcja polska NKWD. Ocenia się, że te tragiczne lata przeżyło zaledwie 3 proc. Polaków z Odessy i jej okolic...

## ROZDZIAŁ 13

# III KORPUS POLSKI NA UKRAINIE

Z trzech polskich wyższych związków taktycznych sformowanych w Rosji w latach 1917–1918 najsłabsze opinie zebrał III Korpus. Jego kadrze dowódczej zarzucano, że zamiast walczyć z Niemcami i Austriakami, skoncentrowała się na obronie polskich majątków na Ukrainie. Krytycy, do których należeli zarówno piłsudczycy, jak i komuniści, świadomie pomijali jednak fakt, że dzięki żołnierzom III Korpusu ocalało nie tylko wielu ziemian z rodzinami, lecz także setki, jeżeli nie tysiące, polskich pracowników folwarków, cukrowni i gorzelni. Gdyby nie żołnierze Korpusu, nie udałooby się uratować także wielu pamiątek rodzinnych, dzieł sztuki i archiwów.

## Polska samoobrona

Pierwsze polskie oddziały na Ukrainie zaczęły powstawać na przełomie lat 1917 i 1918. Z tą inicjatywą wystąpiła Rada Wojskowych Polaków Frontu Południowo-Zachodniego armii rosyjskiej i kijowski Komitet do Walki z Anarchią. W listopadzie III Uniwersał proklamował federację Ukrainy z

Rosją i jednocześnie likwidował majątki ziemiańskie. Wzmogło to agresję ukraińskiej wsi wobec dworów i pałaców.

Odpowiedzią na zagrożenie było powołanie polskiej samoobrony. Generał Eugeniusz Henning de Michaelis, mianowany dowódcą III Korpusu, wyraził zgodę, by oddziały spontanicznie tworzone przez miejscowych Polaków kwaterowały w majątkach ziemskich. Z czasem zamierzał je wcielić do korpusu, pod warunkiem że „ich zachowanie odpowiadało godności polskiego żołnierza”. Nie były to bynajmniej bezzasadne zastrzeżenia i gdy dowódca w Owruczu, chorąży Sobocki, „wykazał się awanturniczymi skłonnościami”, generał cofnął zgodę na włączenie jego oddziału <sup>[1]</sup>.

Do obrony ziemian i ich posiadłości nie kwapili się natomiast żołnierze, którzy do korpusu przeszli bezpośrednio z armii rosyjskiej. Często nie byli w ogóle związani rodzinnie z Ukrainą, a poza tym okazali się podatni na bolszewicką agitację. Inna sprawa, że większość Polaków napływających do korpusu w ogóle nie zamierzała z nikim walczyć. Po czterech latach spędzonych na froncie pragnęli tylko wydostać się z targanej wojną domową Rosji i wrócić do rodziny.

## Antoniny, polska oaza

Stolica wielkiej posiadłości Potockich była w tych dramatycznych miesiącach azylem dla Polaków na Ukrainie. Stacjonowały tam bowiem 2 Pułk Ułanów formowany jako jednostka I Korpusu oraz oddział partyzancki Feliksa Jaworskiego. Do Antonin ściągali ziemianie i ich pracownicy z zagrożonych lub już zniszczonych podolskich majątków.

Nigdy właściwie nie było to miasteczko ani wieś, lecz „wielkie osiedle skoncentrowane wokół rezydencji”. W pewnym sensie samowystarczalne, gdyż posiadało nawet własną elektrownię, straż pożarną, warsztaty mechaniczne, a także „polskie gimnazjum czteroklasowe”. Oczywiście nie brakowało też solidnych zapasów żywności oraz infrastruktury typowej dla wielkich polskich majątków ziemskich <sup>[2]</sup>.

Dlatego właśnie do Antonin zmierzał w lutym 1918 roku generał Henning de Michaelis. Opuścił Kijów na krótko przed opanowaniem miasta przez „czerwonych”, a razem z generałem wyszedł 200-osobowy oddział sformowany przez pułkownika Juliusza Rómmla. Tego samego, który w niedalekiej przyszłości miał zasłynąć jako pogromca Konarmii dowodzonej przez Siemiona Budionnego.

Na miejscu Henning de Michaelis wydał rozkaz, by oddział Rómmla wraz z załogą antonińską opanował Starokonstantynów, gdzie znajdowały się duże magazyny wojskowe. Przeprowadzona pod koniec lutego akcja zakończyła się pełnym sukcesem, a żołnierze bolszewickiej 9 Armii nie stawili poważniejszego oporu.

„Zaskoczeni nagłością akcji – opisywała Zofia Kossak-Szczucka – zdumieni i przerażeni atakiem z dwóch stron, nieprzygotowani do walki, niezdolni zorganizować się w tak krótkim czasie – bolszewicy stracili zupełnie głowę” <sup>[3]</sup>.

Faktycznie, z miasteczka uciekało „wszystko, co miało nogi”, i w ręce Polaków dostały się tabory, broń i zasobne magazyny wojskowe. Wzięto do niewoli kilkuset żołnierzy i kilkunastu bolszewickich komisarzy. Wysłano ich do Antonin, a wyrok mógł być zapewne tylko jeden... <sup>[4]</sup>.

Niektórzy polscy żołnierze nie potrafili się oprzeć okazji i rabowali na własną rękę. Do generała wpłynęła skarga na ich



zachowanie od mieszkańców Starokonstantynowa. Henning de Michaelis potraktował sprawę dość lekko, stwierdzając, że podczas wojny takie rzeczy są nieuniknione, a poza tym „żołnierz nasz zanadto napatrzył się na łotrostwa »towarzyszy« i sobie niekiedy nie pofolgował”<sup>[5]</sup>.

Zdarzyła się jednak sprawa znacznie poważniejsza. Generał miał pod swoją komendą również oddział zebrany przez niejakiego Benję-Szewicza tytułującego się pułkownikiem. Była to „banda grasantów”, która rabowała ukraińskich chłopów, a w razie oporu groziła podpaleniem chałup i śmiercią. Na polecenie Henninga de Michaelisa oddział został rozwiązany, a Benja-Szewicz trafił przed sąd polowy. Mimo ciężkich zarzutów skazano go jedynie na wydalenie z III Korpusu, a generał, choć uznał, że kara była zbyt łagodna, jednak zatwierdził wyrok<sup>[6]</sup>.

Kilka dni po opanowaniu Starokonstantynowa doszło do starcia w Krasławie. Oddział dowodzony przez kijowskiego aptekarza, Seweryna Ejzerta, przybył tam na prośbę pracowników miejscowej cukrowni. Polscy żołnierze niemal natychmiast zostali zaatakowani przez okoliczne chłopstwo i bolszewików. Bronili się w murach cukrowni, a przysłana odsiecz rozgromiła napastników. Potem „nastąpiła przykładna kara, która na razie uspokoiła hajdamaków”<sup>[7]</sup>.

Zajęcie Starokonstantynowa wzburzyło Rewkom 8 Armii w Płoskirowie. Bolszewicy obawiali się, iż polscy żołnierze pójdą za ciosem, i zagrozili, że w razie ataku ofiarami ich zemsty padną okoliczni ziemianie. Eskalacji konfliktu zapobiegł Tadeusz Hołówko, wysłannik Polskiej Organizacji Wojskowej i zarazem członek PPS-u, który za zgodą Rewkomu pojechał do Antonin, by porozmawiać Henningiem de Michaelisem. Uzyskał od niego zapewnienie, że III Korpus nie ruszy na Płoskirów.

Innym celem Hołówki było przekonanie generała o konieczności przygotowania korpusu do walki z Niemcami i Austriakami. Hołówkę popierał hrabia Remigiusz Grocholski, który w przyszłości miał zasłynąć jako pomysłodawca i komendant Wachlarza – wydzielonej organizacji Armii Krajowej na dawnych dalekich Kresach Rzeczypospolitej.

Henning de Michaelis wprawdzie obiecał przygotować korpus do walki z Niemcami i Austriakami, jednak w rzeczywistości był przeciwny konfrontacji zbrojnej. Uznał bowiem, że zaatakowanie oddziałów państw centralnych przy wrogiej postawie ukraińskiej wsi mogło się zakończyć pogromem Polaków na Ukrainie<sup>[8]</sup>.

Na początku kwietnia 1918 roku generał ustąpił ze stanowiska dowódcy III Korpusu. Jego miejsce zajął generał Aleksander Osiński, który mianował szefem sztabu Przemysława Barthela de Weydenthała, członka Polskiej Organizacji Wojskowej. Barthel był gorącym zwolennikiem walki z Niemcami i Austriakami. Wkrótce miał się jednak przekonać, że nie tylko dotychczasowy dowódca był temu przeciwny – pomysł nie podobał się także większości oficerów.

## Masakra w Niemirowie

Polscy oficerowie z gwardyjskiego pułku kirasjerów stacjonującego pod Kijowem stworzyli pod koniec 1917 roku oddział ułanów. W sile około 40-osobowego szwadronu wymaszerowali w stronę Winnicy. Tam wyznaczono jedno z miejsc koncentracji III Korpusu, a do szwadronu dołączyli kolejni Polacy z rosyjskiej 11 Dywizji Kawalerii. Utworzona w ten sposób jednostka otrzymała w kwietniu 1918 roku nazwę 7

Pułk Ułanów, a jego dowódcą został pułkownik Henryk Kuncman. Wśród kawalerzystów znaleźli się także miejscowi Polacy – ziemianie oraz pracownicy rolni i fabryczni<sup>[9]</sup>.

Kawalerzyści kwaterowali w Dzwonisze, Tywrowie i Niemirowie. W tej ostatniej miejscowości znajdowały się gorzelnia i składy spirytusu, więc tamtejsi Polacy obawiali się napadu chłopów i bolszewików. Co gorsza, można było przypuszczać, że upojeni alkoholem napastnicy będą nieobliczalni – ochrona ze strony polskich ułanów była zatem konieczna. I korzystna także dla kawalerzystów. Zaczęli bowiem pobierać za ochronę 7-10 proc. ze sprzedaży spirytusu<sup>[10]</sup>, które przekazywano na utrzymanie oddziału. Dzięki temu unikano rekwizycji w okolicznych wsiach i dalszego zaogniania konfliktu.

Mimo to 21 marca 1918 roku został zaatakowany niewielki polski oddział, w walce poległo pięciu żołnierzy. Część rannych dobito, a pozostałych – w tym sanitariuszkę Mroczkiewiczównę (Mroczkowską) – zabrano do szpitalika urządzonego przy cukrowni w Uładówce. Następnego dnia pojawił się tam tłum chłopów, którzy „wywlekli za włosy rannych na podwórze i tak zmasakrowali, że pozostała z nich jedna bezkształtna okrwawiona bryła”<sup>[11]</sup>.

Mroczkiewiczówna umierała w męczarniach – obcięto jej język, wyłupiono oczy, a na koniec roztrzaskano głowę o słup telegraficzny. Pretekstem do napadu na Polaków był fakt, że dziewczyna była podobno córką ziemianina, który miał ściągnąć polski oddział dla „rabowania ludności”.

Mordercami okazali się chłopci z Kaczanówki. Spotkał ich surowy odwet ze strony żołnierzy oddziału Rómmla, którzy wpadli we wściekłość na widok okaleczonych ciał kolegów. Doszło do pacyfikacji wsi, spalono wszystkie chałupy i

zabijano każdego, kto znalazł się w zasięgu wzroku. Łącznie zginęło 50 chłopów.

Trzy tygodnie później kilku polskich kawalerzystów przyjechało do wsi Strzelczyńce, by odebrać zakupiony furaz dla koni. W nocy zostali napadnięci i rozbrojeni, a wysłany na pomoc oddział zaatakowano zaraz po jego wyjściu z Niemirowa. Polacy opanowali umocnioną wieś Medweże, a gdy dochodzili do Strzelczyniec, zostali powitani ogniem. Uzbrojeni Ukraińcy obsadzili również sąsiednie wioski.

Pułkownik Kuncman ocenił, że stosunek sił jest niekorzystny dla ułanów, rozkazał zatem odwrót do Niemirowa, natomiast sam udał się do Dzwonichy po posiłki. Po drodze został jednak schwytany i zamordowany.

Dzień później znów nastąpił atak – trzy szwadrony pod dowództwem porucznika Romiszewskiego broniły się w Niemirowie w oparciu o mury gorzelni, a gdy wyczerpano prawie cały zapas amunicji, inicjatywę przejął podporucznik Stefan de Latour. „Z wielką brawurą odparł nieprzyjaciela w piechym szyku lancami, mając za sobą tylko jeden pluton”<sup>[12]</sup>.

Rankiem obrońcy nie ugięli się pod kolejnym atakiem, wobec czego Ukraińcy zaproponowali negocjacje. Zawarto umowę, że ułani złożą broń w ręce Kozaków (którzy nie brali udziału w walce) jako przedstawiciele rządu ukraińskiego w Kijowie. Miała ona zostać przewieziona do Winnicy, dokąd w eskorcie Kozaków odmaszerowaliby Polacy.

Gdy jednak kawalerzyści oddali broń, chłopci natychmiast ich zaatakowali. Szczególnie pastwiono się nad oficerami, z których przed śmiercią zdzierano mundury. Ich nagie zwłoki były „tak zmasakrowane przez chłopów, że rozpoznać ich nie było można”<sup>[13]</sup>.

Jedyny pluton, który nie złożył jeszcze broni, rzucił się do rozpaczliwej walki – został wybity do nogi. W masakrze

zginęło ponad 30 Polaków.

Na wiadomość o walkach w Niemirowie na pomoc ruszyły oddziały stacjonujące w Dzwonisze i Tywrowie. Dowodził nimi podpułkownik Barthel de Weydenthal, który na przeprawie przez Boh niepotrzebnie wdał się w „długie i bezcelowe” rozmowy z komisarzami reprezentującymi władze ukraińskie<sup>[14]</sup>.



**Oficerowie Lekkiej Brygady III Korpusu Polskiego.**

(Biblioteka Narodowa)



**Szwadron 7 Pułku Ułanów w Winnicy.**

(Biblioteka Narodowa)

Dzięki temu chłopci uzyskali czas, by przygotować się do rozprawy z Polakami. 15 kwietnia żołnierze Barthela pokonali Boh pod osłoną ognia artylerii. Zaraz potem zostali napadnięci przez chłopskie bandy. Sytuację uratowała szarża ułanów, ale i tak poległo 11 z 60 kawalerzystów. Barthel zarządził więc marsz do Gniewania – zamierzał się bronić w murach tamtejszej cukrowni. Artyleria odparła ukraiński szturm, a

następnie kanonierzy, „porzuciwszy działa, rzucili się do kontrataku i w ręcznym boju pod dowództwem pułkownika Rómmla, dowódcy dywizjonu artylerii, powstrzymali napad”<sup>[15]</sup>.

Położenie Polaków nadal było jednak trudne, dlatego też przyjęli mediację austriackiego pułkownika Mieczysława Lindego (późniejszego generała WP), który przybył na czele oddziału habsburskich żołnierzy. Zawarto rozejm, po czym Polacy odmaszerowali do Winnicy.



**Przemysław Barthel de Weydenthal.**

(Wikipedia)



**Władysław Raczkiewicz (razem z Tadeuszem Hołówką)  
był zwierzchnikiem politycznym III Korpusu.  
(NAC)**

Nie przeszkadzało to jednak Barthelowi twierdzić w raporcie, że bój pod Gniewaniem zakończył się zwycięstwem. Co gorsza, zdarzyło mu się nazwać bohaterską walkę ułanów w Niemirowie „kompromitującą klęską”<sup>[16]</sup>.

Z niewiadomych powodów Barthel uwierzył, że po zawarciu rozejmu konflikt wygaśnie i nastąpi polsko-ukraińskie porozumienie. Dlatego też wydał odezwę, w której zaapelował do Ukraińców, by walczyli razem z Polakami przeciwko ich wspólnemu wrogowi, czyli wojskom niemieckim i austriackim. Niestety, apel ten wskazywał, że pułkownik zupełnie nie orientował się w realiach konfliktu na Ukrainie – jawne rzucenie rękawicy państwom centralnym groziło bowiem wyniszczeniem korpusu. Dlatego też w rezultacie narady oficerskiej Barthel przestał być szefem sztabu, a właściwie faktycznym dowódcą III Korpusu. Zastąpił go pułkownik Juliusz Rómmel.

Po ponownej reorganizacji oddziałów utworzono Oddzielną Lekką Brygadę III Korpusu. Jednak nie miało to już większego znaczenia, gdyż polskie jednostki – liczące około 2 tysięcy żołnierzy – zostały otoczone przez przeważające siły austriackie. Gdyby Barthel wciąż dowodził, zapewne wydałby rozkaz walki, co byłoby decyzją samobójczą.



**Eugeniusz Henning de Michaelis.**  
(NAC)

Rómmel, jako znacznie rozsądniejszy oficer, wynegocjował korzystne warunki. Polacy mieli złożyć broń, po czym odesłano by ich na teren Królestwa Polskiego, gdzie oddzielnym transportem miało trafić ich uzbrojenie. Porozumienie zostało podpisane 10 czerwca 1918 roku – datę tę można uznać za zakończenie krótkiej, ale dramatycznej historii III Korpusu.



## ROZDZIAŁ 14

# SZTUKA, WOJNA, MIŁOŚĆ I REWOLUCJA – WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI I KATARZYNA KOBRO

O Katarzynie Kobro i Władysławie Strzemińskim słyszał prawie każdy Polak, a film *Powidoki* Andrzeja Wajdy jeszcze bardziej wzmógł zainteresowanie ich życiem i twórczością. Mało kto zdaje sobie jednak sprawę, że oboje pochodzili z dalekich Kresów Rzeczypospolitej i tam też rozpoczęli działalność artystyczną. Ponadto wczesna biografia Strzemińskiego została kompletnie zakłamana przez jego córkę, Nikę, a informacje, jakie podawała w swoich pracach na temat rodziców, do dziś uważane są za wiarygodne.

## Rodzina Strzemińskich z Mińska

Jednym ze stosunkowo mało znanych tematów z naszej historii jest służba Polaków w charakterze zawodowych oficerów w armii carskiej. Z reguły pamięta się o przymusowym poborze do rosyjskiej armii i służbie trwającej

25 lat (!), natomiast zapominamy, że tysiące Polaków z własnej i nieprzymuszonej woli wybrały karierę carskich oficerów. Ich znaczną liczbę potwierdza fakt, że w armii II Rzeczypospolitej służyło ponad stu generałów, którzy wcześniej nosili rosyjskie mundury.

Przy okazji warto też zauważyć, że u schyłku XIX stulecia nie traktowano tego jako zdrady interesów narodowych. Nawet tak gorliwa patriotka jak Eliza Orzeszkowa nie miała nic przeciwko temu, że jej ostatnia fascynacja, Franciszek Godlewski, służył jako oficer w grodzieńskim pułku piechoty.

Synem rosyjskiego oficera był także Władysław Strzemiński. Ojciec plastyka, Maksymilian, był absolwentem nowogródzkiego Korpusu Kadetów i I Pawłowskiej Szkoły Wojskowej w Petersburgu. Naukę zakończył w 1867 roku (trzy lata po stłumieniu powstania styczniowego!) i odznaczył się podczas wojny z Turcją w latach 1877–1878. W nagrodę został dowódcą kompanii piechoty, a podczas służby był wielokrotnie nagradzany wysokimi odznaczeniami.

Rodzinę założył stosunkowo późno, ożenił się bowiem dopiero w wieku 39 lat. Jego wybranką została Ewa Olechnowicz, a małżeństwo zawarli w Mińsku w 1886 roku. Siedem lat później na świat przyszedł ich najstarszy syn, Władysław, a potem jeszcze dwójka dzieci: Walerian i Janina.

Oboje Strzemińscy byli pochodzenia szlacheckiego, a ród Maksymiliana miał się wywodzić od błogosławionego Jakuba Strzemienia, biskupa halickiego z przełomu XIV i XV wieku. Oczywiście informację tę można włożyć między bajki, gdyż Jakub Strzemię, jako biskup, raczej nie mógł mieć legalnego potomstwa...

Maksymilian Strzemiński pozostawał czynnym oficerem armii rosyjskiej do 1902 roku, kiedy to w stopniu podpułkownika zakończył karierę wojskową. Jego emerytura nie była niska – wraz dodatkami za służbę na froncie dostawał

430 rubli miesięcznie (około 5600 euro). Przez kilka lat pełnił funkcję skarbnika pułkowego, dzięki czemu w cywilu mógł objąć posadę buchaltera.

Najwyraźniej nie pozostawał bez zajęcia, gdyż rodzina raczej nie narzekała na braki finansowe, mimo że wykształcenie dzieci i utrzymanie pochłaniały poważne sumy. Strzemińscy posiadali też trzy folwarki w okolicach Mińska, a w samym mieście ich własnością był drewniany dom z ogrodem owocowym<sup>[1]</sup>.

Ojciec rodziny miał decydujący wpływ na wybór drogi życiowej najstarszego syna. Zawyrokował, że Władysław pójdzie jego śladem i zostanie zawodowym wojskowym. Jako szlachcic, emerytowany oficer i kawaler wysokich odznaczeń mógł zapewnić potomkowi kształcenie wojskowe na koszt państwa. Tak też się stało – w 1904 roku Władysław rozpoczął naukę w elitarnym 3 Moskiewskim Korpusie Kadetów. Miał wówczas 11 lat.

## Petersburg

Choć po ukończeniu szkoły Strzemiński mógł kontynuować naukę na uczelniach cywilnych, to jednak w 1911 roku trafił do kolejnej elitarnej placówki, Mikołajewskiej Szkoły Inżynierskiej w Petersburgu – przyszły artysta dobrze się czuł w wojskowym rygorze. Wszystko wskazuje na to, że w Moskwie był prymusem, gdyż katolików (czyli tak naprawdę Polaków) bardzo niechętnie przyjmowano do petersburskiej uczelni. Zdarzały się roczniki, gdy nie zakwalifikowano żadnego kandydata, a najczęściej dopuszczano do nauki jedną osobę na rok lub na dwa lata. Oczywiście, by dostać się do

akademii, należało pokonać prawosławnych i protestanckich rówieśników, w stosunku do których nie stosowano żadnych ograniczeń. Zresztą Niemcy (protestanci) stanowili prawie 10 proc. słuchaczy placówki.

Strzemiński miał też trochę szczęścia – nie tylko został przyjęty, lecz także nie przeniesiono go na inną uczelnię podczas nauki, co było częstą praktyką. Niebawem okazał się zresztą znakomitym nabytkiem – wyróżniał się spośród innych junkrów, jak nazywano w Rosji słuchaczy szkół wojskowych.

Petersburska uczelnia gwarantowała dalszą karierę wojskową, natomiast w wypadku zmiany decyzji absolwenci mogli liczyć na dobre oferty pracy w sektorze cywilnym. Szkoła cieszyła się bowiem znakomitą renomą. W chwili wybuchu I wojny światowej w całej armii carskiej służyło zaledwie 800 oficerów wojsk inżynieryjnych<sup>[2]</sup>.

„(...) wytwarzała specjalny typ junkrów – tłumaczył absolwent szkoły, pułkownik Mieczysław Wężyk – których »piechota« nazywała uszczypliwie »studentami w pagonach«, a jazda »panami inżynierami«, zazdroszcząc większych swobód i formy stosunków służbowych, która była kulturalna, nie zmniejszając przy tym dyscypliny wojskowej, a rozwijając samodzielność i poczucie własnej odpowiedzialności”<sup>[3]</sup>.

Jak przystało na elitarną uczelnię, jej władze przykładały ogromną wagę do obycia towarzyskiego słuchaczy. Szkoła miała kształcić nie tylko wybitnych specjalistów, lecz także ludzi o wysokiej kulturze osobistej. Stąd też obowiązkowe lekcje tańca u baletmistrzów Teatru Maryjskiego oraz nauka języków obcych. Prężnie działały uczelniany teatr oraz koło literackie. Oczywiście nie zaniedbywano także ogólnej sprawności fizycznej, a wyjątkowo ważne były „konna jazda,

fechtunek, gimnastyka, piłka nożna i tenis” oraz umiejętności łyżwiarskie<sup>[4]</sup> .

Petersburg był w tym czasie jedną z kulturalnych stolic Europy. Na najwyższym poziomie stały miejscowy teatr, opera i balet, regularnie odbywały się koncerty z udziałem artystów światowej sławy. A co najważniejsze dla Strzeмиńskiego, miasto carów uchodziło za stolicę rosyjskiej sztuki – szczególnie awangardy i futuryzmu.

Wszystko jednak musiało ustąpić karierze wojskowej, gdy w lipcu 1914 roku Strzeмиński ukończył z wysoką lokatą Szkołę Inżynieryjną. Skierowano go do twierdzy Osowiec nad Biebrzą, gdzie miał się pojawić we wrześniu. Historia jednak nagle przyspieszyła i świeżo upieczony podporucznik otrzymał rozkaz, by w miejscu służby zameldować się niezwłocznie.

## Zbiorowe samobójstwo Europy

28 czerwca 1914 roku w stolicy Bośni, Sarajewie, zamordowano następcę tronu Austrii i Węgier, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, wraz z małżonką. Zamachowcem okazał się Gawriło Princip związany z konspiracyjną organizacją Czarna Ręka, której szefem był zwierzchnik wywiadu Królestwa Serbii. Austria nie mogła pozostawić bez odpowiedzi aktu terroryzmu państwowego, jednak Serbowie byli gotowi do wojny. Posiadali liczną i dobrze wyposażoną armię, która zdobyła doświadczenie w wojnach bałkańskich. Poza tym mieli poparcie Rosji, która uchodziła wówczas za najpotężniejsze mocarstwo lądowe na świecie.

Wielka wojna rozpoczęła się 28 lipca 1914 roku, gdy Austro-Węgry wypowiedziały ją Serbii. W tej sytuacji automatycznie zadziały sojusze wojskowe: Rosja zarządziła powszechną mobilizację – tym samym odpowiedzieli Niemcy. Do mobilizacji przyłączyła się Francja i przez kolejne dni europejscy dyplomaci byli zajęci wypowiedaniem wojny lub przyjmowaniem not o jej wypowiedzeniu.

1 sierpnia Niemcy ogłosiły stan wojny z Rosją, a dwa dni później z Francją. Jednocześnie inwazja armii kajzera na Belgię pociągnęła za sobą brytyjskie ultimatum i Anglicy wypowiedzieli Niemcom wojnę 4 sierpnia. Dzień później Austro-Węgry uczyniły to samo w stosunku do Rosji, a w zamian otrzymały noty z wypowiedzeniem wojny od Francji i Wielkiej Brytanii.

Zamożne i syte kraje Europy postanowiły popełnić zbiorowe samobójstwo, gdyż wielka wojna miała się okazać końcem znanego ówczesnie świata. Dotychczasowy porządek legł w gruzach i nic już nie miało być takie samo jak przed wybuchem konfliktu. Przy okazji jednak Polacy doczekali się upragnionej niepodległości.

## Twierdza Osowiec

Podporucznik Władysław Strzemiński pojawił się w twierdzy Osowiec cztery dni po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. Była to jedna z najnowocześniejszych warowni w Europie, a przyszły artysta został włączony do kompanii saperów. Niebawem też miał okazję znaleźć się na linii frontu, gdyż Niemcy – po sukcesach w Prusach Wschodnich – pojawili się na przedpolach fortecy.

Załoga twierdzy podjęła walkę, chociaż nastroje wśród obrońców nie były najlepsze. Ogromne wrażenie zrobiło bowiem na żołnierzach całkowite zaćmienie Słońca, a następnie pojawienie się komety, co tłumaczono jako zapowiedź wielkich nieszczęść dla Rosji. Jednak podporucznik Strzemiński nie był człowiekiem przesądnym, a do tego nie zmarnował lat nauki w Petersburgu. Perfekcyjnie wypełniał powierzone mu zadania. Został za to odznaczony Orderem św. Anny IV klasy <sup>[5]</sup>.

Pierwsze oblężenie Osowca trwało 10 dni, a po raz kolejny Niemcy pojawili się pod twierdzą w ostatnich dniach stycznia 1915 roku. Zasypywali rosyjskie umocnienia setkami ton ciężkich pocisków i saperzy mieli pełne ręce roboty przy naprawach. Strzemiński był wielokrotnie wymieniany po nazwisku w rozkazach dziennych [rodzaj pochwały – red.] i niebawem otrzymał Order św. Stanisława III klasy z Mieczami i Kokardą. Prace inżynieryjne pod ciągłym niemieckim ogniem rzeczywiście wymagały wielkiego hartu ducha i dużych umiejętności.

„Z głębokim uczuciem radości – informował podległych żołnierzy przełożony Strzemińskiego – przekazuję kompanii ten rozkaz, w którym Jego Dostojność Komendant Twierdzy daje tak wysoką ocenę działalności naszego sławnego towarzysza broni, podporucznika Strzemińskiego. Od dawna cała 2 Osowiecka Forteczna Kompania Saperów zna i ceni go jako nieustraszonego bohatera i utalentowanego sapera i dlatego jest nam szczególnie miło, że sławna działalność naszego towarzysza nie została niezauważona i będzie nagrodzona zgodnie z zasługami. Ze swojej strony uważam wprost za obowiązek wyrazić podporucznikowi Strzemińskiemu swoją serdeczną i głęboką wdzięczność za jego olśniewającą, bojową aktywność” <sup>[6]</sup>.

# Wielki blef Niki Strzemińskiej

Dalsze losy artysty, a szczególnie wypadek, który miał się stać przyczyną jego inwalidztwa, znane były dotychczas wyłącznie z relacji Niki Strzemińskiej. Do niedawna nikt nie podważał wiarygodności tego przekazu, przyjmując, że córka posiadała najlepszą wiedzę o nieszczęściu, jakie dotknęło ojca i wywarło decydujący wpływ na jego życie.

„Nocą z 6 na 7 maja 1915 roku – opisywała Strzemińska – zdarzył się wypadek. Własny żołnierz, wychodząc z sąsiedniego okopu, potknął się i odruchowo rzucił trzymany w rękę odbezpieczony granat, który wpadł do rowu, gdzie wraz ze swoimi podkomendnymi był mój ojciec. Wybuch granatu spowodował masakrę. Nielicznych żyjących zabrano do szpitala polowego. Ojcu amputowano prawie 2/3 prawego uda i ponad połowę lewego przedramienia. Ciało pokrywały liczne rany po mniejszych odłamkach. Jeden z nich uszkodził mu prawe oko”<sup>[7]</sup>.

Przez długie lata nikt nie podważał tej relacji, chociaż od razu powinna wzbudzać zastrzeżenia. Nikt przecież nie chodzi we własnym okopie z odbezpieczonym granatem w rękę, gdy nie toczy się walka (Nika o niej nie wspominała). Wprawdzie część ofiar wybuchu granatu może przeżyć eksplozję, ale informacji o „licznych ranach po mniejszych odłamkach” zaprzeczają zdjęcia wykonane na plaży w Chałupach w 1928 i 1939 roku.

Przedstawiają one Strzemińskiego w stroju kąpielowym (szczególnie starsze z nich jest całkiem dobrej jakości). Nie widać żadnych blizn na ciele, które musiałyby pozostać po licznych ranach od odłamków. Potwierdzają to także lekarze, dodając, że skoro artysta miał doznać ran dwóch



przeciwległych kończyn, dlaczego niewidoczne były obrażenia na reszcie ciała?

Sama Nika przyznała, że ojciec nigdy nie chciał rozmawiać o wojennych przeżyciach, nie miała też informacji na ten temat od osób trzecich. Wydaje się zatem, że po prostu usiłowała „zrekonstruować” wydarzenia, przyjmując wersję, która wydawała jej się możliwa. Dziwne jednak, że jako lekarz z zawodu przeoczyła kilka kwestii, które z punktu widzenia medycyny nie mogły mieć miejsca.

Zapewne nikt nie negowałby jej wersji, gdyby nie dwie badaczki: Iwona Luba i Ewa Paulina Wawer. Chcąc zrekonstruować biografię Strzemińskiego, dokonały wręcz benedyktyńskiej pracy w rosyjskich archiwach, która przyniosła zaskakujące efekty. Okazało się bowiem, że wojenna biografia artysty wyglądała zupełnie inaczej, niż przedstawiła to jego córka. I na pewno nie doszło do okaleczenia podczas wybuchu własnego granatu w maju 1915 roku.

Wprawdzie niemal miesiąc później, na początku czerwca, podporucznik Strzemiński trafił do szpitala, ale opuścił go już po dziewięciu dniach. Wcześniej natomiast nadzorował ustawienie na pozycjach miotacza min własnej konstrukcji. Być może za ten właśnie wyczyn został odznaczony Bronią św. Jerzego, co miało być wstępem do dalszych, znacznie wyższych zaszczytów.

Tymczasem Niemcy, przez kilka miesięcy bezskutecznie szturmujący Osowiec, zdecydowali się na drastyczne rozwiązanie. W kwietniu 1915 roku na froncie zachodnim pod Ypres zastosowali chlor, a w ostatnich dniach maja powtórzyli to na froncie wschodnim w okolicach Bolimowa. Skutki działania gazu wypuszczonego przy sprzyjającym wietrze były straszliwe, gdyż Rosjanie nie posiadali wówczas żadnych

środków ochrony przeciwchemicznej. Zachęciło to dowództwo niemieckie do użycia tej broni pod Osowcem.

Pod koniec lipca dostarczono pod twierdzę 50 tysięcy butli z chlorem i bromem (około 250 ton gazów) i rozmieszczono je w pobliżu pozycji rosyjskich. Sprzyjający wiatr pojawił się 5 sierpnia i następnego dnia nad ranem otwarto zawory. Chmura gazu osiągnęła szerokość kilku kilometrów i wysokość do 15 metrów. Skutki jej działania były straszliwe. Wprawdzie Rosjanie posiadali już pierwsze prymitywne maski przeciwgazowe, ale większość żołnierzy nie potrafiła ich odpowiednio używać, zaś niektórzy – nie wierząc w ich skuteczność – wybrali ucieczkę. Największe procentowo straty zanotowano wśród kadry oficerskiej i podoficerów, którzy próbowali zaprowadzić porządek w ogarniętych paniką szeregach.

Chwilę po tym Niemcy otworzyli gwałtowny ogień artyleryjski na rosyjskie pozycje, by dokończyć dzieła zniszczenia. Gdy chmura gazu przesunęła się dalej, do ataku ruszyła piechota. Usiłowały ją zneutralizować rosyjskie działa, ale obsługa armat nie miała masek, a chlor dotarł już do carskich baterii.

Niemcy obsadzili część zdobytych okopów, dobijając bagnietami obrońców, jednak niespodziewanie Rosjanie przeprowadzili kontratak, wypierając przeciwnika. Na własną prośbę (i nieszczęście) wziął w nim udział podporucznik Strzemiński.

Wydarzenia, które wówczas się rozegrały, przeszły do legendy jako „atak umarłych”. Według szeroko kolportowanych informacji propagandowych, gdy wojska kajzera obsadzały rosyjskie pozycje, pojawiła się setka carskich żołnierzy atakujących bagnietami. Ich widok przeraził napastników, gdyż Rosjanie mieli sine, spalone twarze i pluli krwią z kawałkami własnych płuc. Niemcy wycofali się w

popłochu, a poświęcenie zagazowanych żołnierzy ocaliło rosyjskie pozycje. Tę wersję do dziś podtrzymuje wielu rosyjskich badaczy, a „atak żywych trupów” jest prawdziwym przebojem rosyjskiego internetu.

Tymczasem wydarzenia przebiegły zupełnie inaczej. Mimo że na terenie obsadzonym przez Niemców nadal zalegała trucizna (chlor jest cięższy od powietrza i gromadzi się przy ziemi), do kontrataku ruszyły trzy kompanie piechoty. W walce na bagnety odrzucono przeciwnika, ale dowodzący pierwszym pododdziałem podporucznik Władimir Kotliński został śmiertelnie ranny. Umierając, zdążył jeszcze przekazać swoje obowiązki Strzemińskiemu, który biegł obok niego z szabłą w dłoni w pierwszym szeregu.

Poniesiono jednak poważne straty – zarówno bezpośrednio w walce, jak i od gazu. Jedną z osób, która uległa zatruciu, był właśnie Władysław Strzemiński. Dodatkowo został jeszcze ranny w przedramię – dosięgła go kula karabinowa.

## Tajemnic część dalsza

Artysta ponownie trafił do szpitala, ale dość szybko go opuścił. Najwyraźniej jednak leczenie nie przyniosło spodziewanych efektów, gdyż w krótkim czasie był hospitalizowany jeszcze dwukrotnie. Za postawę w trakcie kontrataku został odznaczony najwyższym rosyjskim odznaczeniem, Orderem św. Jerzego IV klasy. W ten sposób znalazł się w niewielkim gronie Polaków, którzy otrzymali zarówno Broń, jak i Order św. Jerzego. O elitarności tej grupy świadczy fakt, że należało do niej zaledwie trzech generałów: Dowbor-Muśnicki, Świacki i Ostapowicz.

Wysoki splendor orderu był uznawany nawet w niepodległej Polsce, gdzie uważano go za odpowiednik Virtuti Militari. Fakt posiadania go przez Strzemińskiego zrobił też duże wrażenie na Witkacym podczas ich spotkania wiele lat później. Nic zresztą dziwnego – Witkacy, były oficer pułku lejbgwardii, doskonale orientował się w tych sprawach.

Nic jednak bliżej nie wiadomo o symptomach, jakie pojawiły się u Strzemińskiego po zatruciu gazem, poza tym, że po kilku hospitalizacjach powrócił do szeregów. Były to zresztą ostatnie dni rosyjskiego Osowca, gdyż w związku z pogarszającą się sytuacją na froncie twierdza została ewakuowana pod koniec sierpnia. Przy okazji wysadzono też część umocnień.

Strzemiński wraz ze swoimi saperami trafił na pozycje w Puszczy Nalibockiej. Miał tam spędzić kilka miesięcy, a w międzyczasie otrzymał Order św. Włodzimierza IV klasy oraz ponownie św. Anny, tym razem III klasy. Przez pewien czas dowodził też macierzystą kompanią saperów.

Jesienna i zimowa aura w puszczańskich błotach fatalnie odbiła się na stanie zdrowia artysty, kumulując dolegliwości po zatruciu gazem. Niewiele też pomógł urlop w rodzinnym Mińsku na przełomie lutego i marca 1916 roku. Coś złego działo się z organizmem Strzemińskiego. W maju ponownie znalazł się w szpitalu polowym, a stamtąd został skierowany na dalsze leczenie do Moskwy. Warto przy tym zauważyć, że nie zachowały się informacje o nowych ranach czy kontuzjach, zatem przyczyna hospitalizacji musiała być inna.

## Okaleczony oficer

W dokumentach była tylko wzmianka o chorobie. Nie wymieniono jednak jej nazwy – pozostają wyłącznie domysły. Wiadomo natomiast, że już w Moskwie Strzemiński został awansowany na porucznika i otrzymał kolejne odznaczenie, tym razem Order św. Stanisława III klasy.

W szpitalu przebywał przez kilka miesięcy, ale najwyraźniej nie doszło wtedy jeszcze do amputacji, gdyż w korespondencji Sztabu Moskiewskiego Okręgu Wojskowego rozważano powrót Strzemińskiego na front. Nigdzie też nie pojawiły się wzmianki, by uznano go za niezdolnego do służby wojskowej.

Został przydzielony do rezerw osobowych przy sztabie i jednocześnie zaakceptowano jego dalsze leczenie. Wiadomo też, że w połowie 1917 roku ponownie odwiedził Mińsk. W lipcu został nawet uznany za zdolnego do służby i miał zostać odesłany do macierzystej jednostki. Wszystko działo się dwa lata po tym, jak – według córki – został inwalidą i spędzał czas w moskiewskich lecznicach...

Jednak jesienią faktycznie trafił ponownie do szpitala, a przyczyną były zapewne komplikacje po ataku gazowym. Lekarze nie potrafili jeszcze eliminować skutków zatrucia chlorem, swoje zrobiły również fatalny klimat Puszczy Nalibockiej i rana postrzałowa. Niewykluczone, że poparzenia ciągle się jątrzyły, doprowadzając do zakażenia oraz zgorzeli. Warto też dodać, że w późniejszych latach Strzemiński preferował koszule z bardzo luźnymi kołnierzykami, co może sugerować problemy z układem oddechowym.

Skończyło się na amputacji ręki i nogi, a do tego doszło jeszcze nieodwracalne uszkodzenie prawego oka. U artysty wystąpiły zmiany w siatkówce, zmętnienie soczewki i zanik nerwu wzrokowego. Zachowała się tylko wrażliwość na światło <sup>[8]</sup>.

# Katarzyna Kobro

W wieku 24 lat Strzemiński został inwalidą i właśnie wtedy poznał kobietę, która miała się stać największą miłością i przekleństwem jego życia; bez której nie osiągnąłby zapewne tak wiele jako artysta, ale którą ostatecznie znienawidził.

Katarzyna Kobro pochodziła z rodziny niemieckiej osiedlonej w Rosji. Jej przodkowie przeszli na prawosławie i żenili się z Rosjankami, a ojciec Katarzyny – Mikołaj von Kobro – poślubił studentkę moskiewskiego konserwatorium, Eugenię Rozanow. Matka przyszłej rzeźbiarki miała duży talent muzyczny, studiowała w klasie fortepianu u samego Antona Rubinsteina. I chociaż przepowiadano jej wielką karierę, małżeństwo położyło kres planom artystycznym. Eugenia wybrała tradycyjny model życia – została żoną i matką, poświęcając się rodzinie.

Katarzyna urodziła się w styczniu 1898 roku w Moskwie. Na początku nowego stulecia rodzina (dziewczynka miała jeszcze czwórkę rodzeństwa) przeniósła się do Rygi, gdzie przyszła rzeźbiarka uczęszczała do gimnazjum. Kobrowie byli dobrze sytuowani, a interesy ojca zapewniały rodzinie dostatni byt. Naukę przerwała jednak wojna i matka wraz z dziećmi przeniósła się do Moskwy, gdzie Katarzyna zdała maturę. Szkołę średnią dokończyła w ewakuowanym znad Wisły III Warszawskim Gimnazjum Żeńskim.

Jednak wbrew późniejszym pogłoskom nie uczyła się tam polskiego. Na jej świadectwie maturalnym w odpowiedniej rubryce wstawiono kreskę – nauka naszego języka nie była bowiem przedmiotem obowiązkowym. Katarzyna zapewne też nie przypuszczała, że niebawem jego znajomość okaże się jej bardzo przydatna...

Naukę w gimnazjum łączyła z wolontariatem – pomagała w jednym z moskiewskich szpitali. Tam właśnie poznała starszego o pięć lat Strzemińskiego, który bardzo jej zaimponował. Mimo bowiem poważnego kalectwa nie stracił chęci do życia. Fascynacja była obustronna – panna Kibro mogła się podobać, a Strzemiński musiał znaleźć nową drogę życiową. Obcowanie z atrakcyjną maturzystką prezentującą mu własne rysunki i szkice ujawniło we Władysławie talent, którego istnienia dotychczas nie podejrzewał. Niebawem całkowicie miał się poświęcić plastyce.

## Mińsk i Smoleńsk

Tymczasem Katarzyna rozpoczęła studia stomatologiczne. Jej matka, chociaż sama miała na koncie artystyczny epizod, pragnęła, by córka zdobyła jednak intratny zawód. Ale Katarzyna nie wytrzymała na medycynie. Niebawem pojawiła się w moskiewskiej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Budownictwa, gdzie również nie zagrzała długo miejsca.

Tym razem przyczyny były jednak obiektywne – bolszewicy zlikwidowali uczelnię (w międzyczasie wybuchła rewolucja październikowa). Kibro została słuchaczką Państwowych Wolnych Pracowni Artystycznych, gdzie studiował również Strzemiński, a wzajemny kontakt odgrywał coraz większą rolę w ich życiu. Władysław okazał się zresztą człowiekiem o niezwykłym talencie i aż trudno uwierzyć, że dotychczas zajmował się wyłącznie karierą wojskową.

„Matka była zafascynowana – opisywała po latach ich córka – nie tylko jego podejściem do sztuki, ale również indywidualnością. Nie bez znaczenia były pałające ożywieniem chabrowe oczy i ciemne, lekko faliste włosy

mojego ojca. Nieomal nie zauważała jego fizycznych ułomności”<sup>[9]</sup>.

Zachowane zdjęcia podkreślają urodę Katarzyny, co potwierdzała Nika Strzemińska. Nastolatka faktycznie mogła się podobać:

„Moja matka była wówczas bardzo atrakcyjna. Miała dobrą figurę, wyraziste, szaroniebieskie oczy, zmysłowe usta i wijące się, niezwykle gęste, brązowe włosy”<sup>[10]</sup>.

Strzemiński dostrzegł jeszcze jedną cechę Katarzyny: wyróżniała się nie tylko urodą, intelektem i talentem, lecz także ogromną wyobraźnią artystyczną. I właśnie to mogło się okazać decydujące. W przyszłości bowiem nieraz korzystał z jej pomysłów, podpisując je własnym nazwiskiem...

Tymczasem rewolucja sowiecka nabierała rozpędu i Moskwa przestała być dobrym miejscem dla awangardy. Strzemiński wrócił więc do Mińska, gdzie szybko osiągnął sukces. Pracował dla gubernialnego Wydziału Sztuk Pięknych Ludowego Komisariatu Oświaty Republiki Białoruskiej. Nie unikał kontaktów z bolszewikami, a może nawet fascynowała go wówczas nowa ideologia? Był przecież jednym z autorów dekoracji miejskiej uświetniającej pierwszą rocznicę powstania Armii Czerwonej.

„Uczestniczył w naszej wspólnej pracy – relacjonował krytyk sztuki i bolszewik, Wsiewołod Dmitriew – moskwianin towarzysz Strżiminskij delegowany przez Tatlina [znany moskiewski malarz i architekt – S.K.], wybitny twórca, który już zdecydowanie zrezygnował ze zwykłego malarstwa sztalugowego dla pracy nad materiałami, którego twórczość zdecydowanie przeszła w konstruowanie, w badanie materiałów i szeregu zestawień tych materiałów”<sup>[11]</sup>.

Rodzina Władysława nie popierała jednak jego bolszewickich fascynacji – po śmierci ojca przeniosła się do Wilna. Sam



artysta niebawem również miał już dość Mińska i po kilku miesiącach wyjechał do Smoleńska. Tam dołączyła do niego Katarzyna – od tej pory ich losy miały się związać już na zawsze.

Smoleńsk faktycznie był znacznie lepszym miejscem dla artystów niż Moskwa czy Mińsk. Niedawna studentka wykładała w Szkole Ceramiki, robiła dekoracje teatralne i projektowała plakaty. Z kolei Strzemiński został kierownikiem sekcji sztuki w Gubernialnym Wydziale Oświaty, prowadząc wraz z Katarzyną pracownię artystyczną. Pełnił również obowiązki kierownika szkoły artystycznej II stopnia. Był postacią niezwykle popularną w miejscowym świecie artystycznym, uważano go za osobę „pełną natchnienia, zakochanego w sztuce artystę, wspaniałego człowieka, mądrego, obiektywnego, ale dla przeciwników nieprzejednanego”<sup>[12]</sup>.

Strzemiński miał trudny charakter – był apodyktyczny, nie znosił sprzeciwu i aprobował wyłącznie własną drogę artystyczną. Inna sprawa, że akceptowali go plastycy najwyższej rangi: Kandinsky, Malewicz, Tatlin, Chagall, co tylko zwiększało uznanie dla jego talentu – sztuką zajmował się przecież od niedawna i właściwie nie odbył żadnych regularnych studiów.

Kobro i Strzemiński spędzali ze sobą coraz więcej czasu. Współtworzyli smoleńską filię UNOWIS (Krzewiciele Nowej Sztuki), ugrupowania skupiającego rosyjskich twórców awangardowych. Filie UNOWIS-u powstawały wówczas w wielu miastach Rosji.

Bliska zażyłość zamieniła się w fascynację, a ta – w uczucie. Na przełomie 1921 i 1922 roku pobrali się, o czym Katarzyna w lakoniczny sposób zawiadomiła matkę i siostrę, zamieszczając w jednym z listów adnotację, że „tak poza tym – wyszła za mąż”. Rewolucja zmieniła obyczaje: jeszcze mieszkając w

Moskwie, dziewczyna wyprowadziła się z domu, a teraz poprzestała na ślubie cywilnym. Katarzyna była prawosławna, Władysław wyznawał katolicyzm, oboje zresztą nie praktykowali. Inna sprawa, że tereny pozostające pod władzą bolszewików nie były najlepszym miejscem na uroczystości religijne.

Można podziwiać odwagę i determinację Katarzyny. Strzemiński był niezwykle inteligentnym człowiekiem, obdarzonym ogromnym talentem, ale jego kalectwo stanowiło niełatwą próbę. Kobro wiedziała, że związek z nim oznacza ograniczenie własnych ambicji artystycznych, gdyż Władysław potrzebuje stałej opieki:

„Ojciec – pisała Nika – pomimo znacznej sprawności i dużej siły fizycznej wymagał pomocy przy licznych czynnościach łatwych dla kogoś zdrowego, a prawie niewykonalnych dla człowieka bez ręki i nogi”<sup>[13]</sup>.

W efekcie, Katarzyna była nie tylko żoną, kochanką i partnerką artystyczną, lecz także pielęgniarką i służącą:

„Matka musiała smarować mu chleb, kroić na talerzu każdy kęs jedzenia, wbijać gwoździe w ściany, wieszać na wystawach i w domu obrazy, aby ojciec mógł je z właściwej odległości obejrzyć, myć pędzle i ostrzyć ołówki”<sup>[14]</sup>.

## Kierunek: Polska

Niebawem małżeństwo stanęło przed poważniejszymi wyzwaniem. Zakończyła się wojna domowa, a zwycięzcy bolszewicy nie okazywali zrozumienia dla sztuki nowoczesnej. Artyści mieli się włączyć w budowę najlepszego z ustrojów i nie było tam miejsca dla awangardy. Socrealizm stawiał inne

wymagania: sztuka powinna stracić elitarność, miała być zrozumiała dla niewykształconych mas. Zlikwidowano UNOWIS i Strzemiński nakłaniał żonę do emigracji. Proponował wyjazd do Paryża, gdzie mogli znaleźć odpowiednie miejsce dla rozwoju talentu. Legalne opuszczenie „kraju sprawiedliwości społecznej” nie wchodziło jednak w rachubę, należało więc przedostać się do Polski przez zieloną granicę, a stamtąd ruszyć nad Sekwanę.

Przekroczenie granicy wiązało się z dużym niebezpieczeństwem. Dekonspiracja groziła odstawieniem na sowiecki posterunek, a użycie broni przez służby graniczne obu stron wydawało się całkowicie realne. Wciąż działali jednak zawodowi przemytnicy i to właśnie oni przeprowadzili Strzemińskich do Polski.

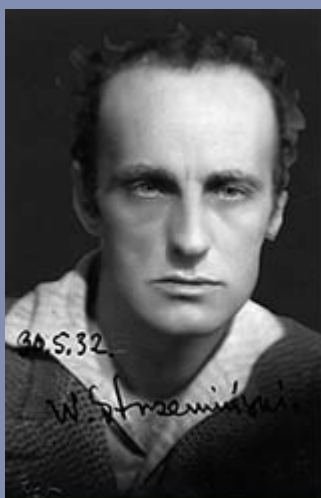
„(...) przedzierali się – opisywała córka – nocą przez bagna i gęste krzaki. Ojciec jako inwalida szedł bez obciążenia, matka dźwigała w worku ich dobytek. Ponieważ nie było mowy o zabranii rzeźb – wzięła jedynie ich fotografie. Za przeprowadzenie przez granicę zapłaciła biżuterią, którą dostała na pożegnanie od swojej matki”<sup>[15]</sup>.

Polska nie powitała ich przyjaźnie – na kilka tygodni trafili do aresztu. Po zwolnieniu wyjechali na Wileńszczyznę, gdzie osiadła rodzina Władysława (po traktacie ryskim Mińsk pozostał po sowieckiej stronie).



**Zniszczenia w północnej części twierdzy Osowiec (1915 r.).**

(Wikimedia Commons)



**Fotografia portretowa Władysława Strzemińskiego (1932 r.).**

(NAC)



**Nagrobek Katarzyny Kobro i jej córki Niki Strzemińskiej na cmentarzu na łódzkich Dołach.**

(Wikipedia/Gapcior)

Kobro czuła się fatalnie w nowym otoczeniu. Nasz kraj odzyskał wolność po ponad stuleciu niewoli, niedawno zakończyła się krwawa wojna z bolszewikami, a Katarzyna w ogóle nie znała polskiego. W domu męża nie zwracano na to uwagi, mówiono wyłącznie w rodzimym języku, co jeszcze bardziej potęgowało jej wyobcowanie. Zresztą teściowa nie znosiła Katarzyny, a na ulicy podobno opluwano ją i wyzywano. Strzemiński również nie potrafił się znaleźć w sytuacji – niespodziewanie obudził się w nim polski nacjonalista.

Niebawem Kobro miała już dość upokorzeń, spakowała swoje rzeczy i wyjechała do Rygi. Na Łotwie przebywała jej rodzina, a że niedawno zmarła jej matka, Katarzyna postanowiła zająć się młodszą siostrą.

Separacja trwała dwa lata, ale małżonkowie korespondowali ze sobą (listy nie zachowały się). Kobro musiała odwiedzić w tym czasie Warszawę, weszła bowiem w skład grupy artystów awangardowych Blok. W 1924 roku prezentowała swoje prace

na pierwszej wystawie ugrupowania w Salonie Automobilowym Laurina i Klementa przy Mazowieckiej 11 w Warszawie. Artyści nieprzypadkowo wybrali miejsce wernisażu – podkreślało to związek sztuki z techniką.

Kobro i Strzeмиński chyba nie myśleli wówczas na serio o zerwaniu ze sobą, a czasowa separacja pozytywnie wpłynęła na ich związek. Uczucie zwyciężyło i małżeńskie stosunki powoli się unormowały. Władysław nie myślał już o Paryżu, a żona postanowiła mu towarzyszyć. Warunkiem uzyskania polskiego obywatelstwa był jednak ślub katolicki, na co Katarzyna przystała. W lipcu 1924 roku w Rydze ponownie stanęli na ślubnym kobiercu, a miejsce uroczystości było chyba jednym z nielicznych ustępstw, na jakie zgodził się Strzeмиński.

Nie zamieszkali jednak w Wilnie, Katarzyna nie chciała mieć nic wspólnego z rodziną męża. Przenieśli się więc do Szczekocin nad Pilicą, gdzie Władysław został nauczycielem i wychowawcą w gimnazjum. Mimo oddalenia od stolicy bywali na spotkaniach Bloku, ale niebawem opuścili grupę, przystępując do ugrupowania Praesens. Wkrótce zresztą przenieśli się do Łodzi.



**Nagrobek Władysława Strzemińskiego na Starym Cmentarzu w Łodzi.**

(Wikimedia Commons)

Katarzyna nie mogła jeszcze pracować zawodowo – zbyt słaba znajomość języka polskiego uniemożliwiła jej zatrudnienie w szkolnictwie lub administracji. Nigdy zresztą nie pozbyła się rosyjskiego akcentu i jeszcze pod koniec życia brano ją za repatriantkę z Kresów. Pisała z błędami ortograficznymi, szczególnie zasady stosowania „ó” pozostały dla niej niezgłębioną tajemnicą. Ale wolny czas wykorzystywała na pracę twórczą – był to najbardziej płodny okres w jej biografii artystycznej.

I chociaż wiele dzieł Katarzyny zaginęło, warto zwrócić uwagę na pewien znaczący fakt. Zachowana *Kompozycja abstrakcyjna* (olej na szkło) z lat 1924–1926 (druga praca znana jest wyłącznie z reprodukcji) wykazuje niepokojące podobieństwo do późniejszych *Kompozycji architektonicznych*

Strzemińskiego. Wydaje się więc, że w tym związku to właśnie Kobro „była inspiratorką nowatorskich idei i poczynań”, a Strzemiński często korzystał z jej pomysłów i talentu. Jednak czy mamy tu do czynienia z odosobnionym przypadkiem? Wystarczy przypomnieć historię Auguste’a Rodina i Camille Claudel. Poza tym wykorzystywanie talentu partnerek wydaje się równie stare jak ludzkość...

Przez długi czas nie robiło to jednak na Katarzynie specjalnego wrażenia, żyła wizją swojej sztuki. Zarówno ona, jak i mąż musieli jednak podjąć normalną pracę, by się utrzymać – nigdy bowiem nie sprzedali żadnego ze swoich dzieł (!). A ponieważ sztuka wymaga dużych nakładów pieniężnych, problemy finansowe w końcu przyczyniły się do rozpadu ich związku.

Pojawiła się również wzajemna niechęć, która z czasem przerodziła się w nienawiść. Narodziny dziecka niewiele w tej kwestii zmieniły, a ostateczny kres miłości przyniosła II wojna światowa. Katarzyna Kobro zmarła w Łodzi w lutym 1951 roku, Władysław Strzemiński odszedł kilkanaście miesięcy później.

Ich twórczość zdobyła światowy rozgłos dopiero po wielu latach. Zostali uznani za prekursorów nowatorskich prądów zrywających z wielowiekową tradycją. Natomiast zainteresowanie szerszej publiczności podsycił ostatni film Andrzeja Wajdy, *Powidoki*. Inna sprawa, że był to obraz o Strzemińskim i Kobro, ale bez Katarzyny. Jednak to już temat na zupełnie inny rozdział i inną książkę...



## ROZDZIAŁ 15

# FELIKS JAWORSKI, KRESOWY ZAGOŃCZYK

**B**ył zajadłym wrogiem zrewoltowanych chłopów ukraińskich i bolszewików, którzy nienawidzili go z całego serca. Natomiast dla polskich ziemian stanowił uosobienie kresowego watażki, który bronił ich życia i majątków. Porównywano go do sienkiewiczowskiego Kmicica.

## Z armii rosyjskiej do polskiej

Feliks Jaworski, przyszły obrońca polskich dworów, urodził się w maju 1892 roku w Cyganówce Balińskiej położonej niedaleko Kamieńca Podolskiego. Jego ojciec był właścicielem majątku ziemskiego, w którym wprowadzał nowatorskie metody zarządzania. Planował stworzenie modelowego przedsiębiorstwa winiarskiego i w tym celu sprowadził nawet kilku specjalistów z Węgier. Jego marzeniem było, by w przyszłości syn przejął rodzinną posiadłość, i gdy chłopak ukończył gimnazjum w Kamieńcu Podolskim, namówił go na studia rolnicze. Zamiary ojca pokrzyżował jednak wybuch wielkiej wojny.

Nic bliższego nie wiadomo na temat ówczesnej orientacji politycznej przyszłego zagończyka. Zgłosił się jednak na ochotnika do armii rosyjskiej, zatem musiał się uważać za lojalnego poddanego Romanowów. Ukończył Szkołę Kawalerii w Jelizawetgradzie i dostał skierowanie do 17 Pułku Huzarów, a jego jednostka stanęła w 1916 roku naprzeciwko Legionów Polskich na Wołyniu. Dowodził nawet szarżą na polskie pozycje i niebawem został awansowany do stopnia porucznika.

Gdy po upadku caratu zaczęły powstawać jednostki polskie w Rosji, Jaworski trafił do Dywizji Strzelców Polskich i w jej ramach stworzył Polski Szturmowy Szwadron Huzarów<sup>[1]</sup>. Następnie został dowódcą Polskiego Szturmowego Szwadronu w rosyjskim 41 Korpusie, a potem formacji zwiadowczej 8 Armii. W listopadzie 1917 roku wraz z podwładnymi kwaterował w Płoskirowie.

Były to bardzo niebezpieczne czasy, a „społeczeństwo kresowe niepewne jutra widziało w nich obrońców w zbliżającej się pożodze”<sup>[2]</sup>. Faktycznie, jesienią 1917 roku rozpoczęła się fala napaści na polskie pałace i dwory na Podolu, Wołyniu i Kijowszczyźnie. Brali w nich udział zarówno żołnierze rozpadającej się armii rosyjskiej, bolszewicy, jak i ukraińscy chłopci. Zagrożeni byli także mieszkańcy kresowych miasteczek, przed którymi stanęło widmo anarchii, rabunków i gwałtów. Na prośbę Polaków zamieszkałych w Płoskirowie rosyjskie dowództwo zgodziło się, by Jaworski z podwładnymi ochraniał miasto i okoliczne majątki.

Jego oddział szybko się rozrastał i przekształcono go w Dywizjon Szwoleżerów. Pod komendą Jaworskiego znalazło się wielu potomków polskich ziemian, którzy musieli uciekać ze swoich domów. Byli to ludzie „dyszący żądzą zemsty za doznane krzywdy” i pragnący ocalić inne dwory. Nie zawsze się to jednak udawało, czego przykładem była grabież dworu

Dzierżykraj-Stokalskiego w Dobrohorszczy. Wyrwano jednak „z rąk rozbestwionego tłumu dwie małe córeczki i staruszkę matkę” właściciela, a także „ludzi na służbie pokoleniami tam przebywających”<sup>[3]</sup>.

Gdy w Płoskirowie pojawił się silny oddział bolszewicki, jego komisarze początkowo uwierzyli, że ludzie Jaworskiego pragną się tylko przedostać do Królestwa Polskiego. Rosjan zaniepokoiły jednak skargi ukraińskich chłopów na nieznaną oddział, który ich prześladował.

„Żołnierz nasz – nie ukrywał Wiktor Dzierżykraj-Stokalski – wprawiony w należyte obchodzenie się z rozbestwionym chłopstwem dał się we znaki okolicznym wsiom, przejmując strachem zbolszewiczały lud, a przez to paraliżując wszelkie jego wykroczenia”<sup>[4]</sup>.

Sytuacja zrobiła się niebezpieczna, ponieważ bolszewicy podjęli decyzję o likwidacji polskiego oddziału. Gdy zatem na początku 1918 roku Jaworski dowiedział się, że generał Eugeniusz Henning de Michaelis zaczął formować III Korpus Polski, zadeklarował wstąpienie w jego szeregi.

## W obronie pałacu Potockich

14 stycznia 1918 roku oddział opuścił Płoskirów i udał się do Antonin. Stacjonował tam już 2 Pułk Ułanów formujący się jako jednostka I Korpusu Polskiego. Jego żołnierze pochodzili jednak z jednostek rosyjskich i znaczna ich część była już przesiąknięta bolszewicką propagandą. W przeciwieństwie do zagończyków Jaworskiego nie zamierzali też bronić polskich majątków, gdyż nienawidzili „burżujów”.

Pod koniec stycznia trzej podwładni porucznika udali się do wsi Rosołowce, mieli dostarczyć do komitetu wiejskiego list od wypędzonego właściciela majątku. Zostali tam napadnięci – dwóch żołnierzy zdołało zbiec, trzeciego bestialsko zamordowano. Jaworski zarządził odwetową wyprawę i niebawem Rosołowce „płonęły jak wielka pochodnia, wśród dzikiego wycia walczących wzajemnie chłopów i żołnierzy, huku strzałów, ryku bydła i lamentu bab”<sup>[5]</sup>.

W odpowiedzi chłopci zwrócili się o pomoc do stacjonujących w Starokonstantynowie żołnierzy bolszewickich. Ci jednak nie zamierzali walczyć z Polakami wyłącznie dla idei. Za wyprawę na Antoniny zażądali znacznej kwoty, na co chłopci zresztą przystali. Przy okazji wielu z nich – skuszonych bogactwem zgromadzonym w antonińskiej rezydencji – także zdecydowało się wziąć udział w napadzie.

Pięć dni po pacyfikacji Rosołowiec, 29 stycznia, bandy bolszewicko-chłopskie ruszyły na Antoniny. Na początek zaatakowano sąsiednie Kremieńczugi, gdzie stacjonowała część ludzi Jaworskiego. Napastnicy ufali w siłę ognia dwóch „broniewików” (pojazdy pancerne), które faktycznie przydużyły Polaków do ziemi ogniem karabinów maszynowych.

Sytuacja groziła całkowitą klęską i Jaworski musiał poderwać swoich ludzi do kontrataku. Zrobił to we właściwy sobie sposób, wykrzykując, że nie „będą przecież czekać na śmierć jak barany”, i rozkazał użyć granatów oraz bagnatów. Przyniosło to natychmiastowy efekt, tym bardziej że na pomoc przybył im szwadron przysłany przez pułkownika Stefana Suszczyńskiego, dowódcę 2 Pułku Ułanów. Zwycięstwo zostało jednak opłacone śmiercią sześciu polskich żołnierzy, a Jaworski odniósł rany.

Jeden z bolszewickich samochodów pancernych uległ awarii i na stacji kolejowej w Antoninach załadowano go na

platformę z zamiarem przetransportowania do Starokonstantynowa. Gdy jednak następnego dnia Jaworski uderzył na dworzec, „broniewik” wpadł w polskie ręce.

„Nie brakło nawet tej moralnej satysfakcji – wspominała Zofia Kossak – że przez dwa tygodnie wszystkie eszelony bolszewickie przejeżdżające codziennie w tę i tamtą stronę wywieszały białe flagi, zbliżając się do Antonin”<sup>[6]</sup>.

Nie wszyscy byli jednak zadowoleni z postępowania jaworczyków. Tadeusz Hołówko, przebywający w Antoninach wysłannik POW i członek PPS-u, krytycznie komentował fakt, że polskie oddziały – zamiast przygotowywać się do walki z armiami niemiecką i austriacką – bronią polskich dworów i pałaców. Jako socjalista z przekonania uważał, że właśnie dokonywał się „proces dziejowy likwidacji wielkiej własności ziemskiej na terenie całej Rosji”, natomiast na prawobrzeżnej Ukrainie „stan posiadania ziemian był sztucznie podtrzymywany przez polskich żołnierzy”. Przyznawał, że „czuł żal i niesmak do tych żołnierzy, którzy z wielkiej idei armii polskiej uczynili parodię, wskrzeszając smutne tradycje prywatnych wojsk »królewiat« kresowych”<sup>[7]</sup>.

Z wielką niechęcią obserwował też zachowanie polskich oficerów podczas wystawnej kolacji w pałacu. Nie brakowało jedzenia i wina z miejscowych piwnic, a oficerowie ze śmiechem opowiadali o pacyfikacjach ukraińskich wsi. Wyjątek stanowił sam Jaworski, który nie zabierał głosu.

„Siedział przy stole milczący i pochmurny – wspominał Hołówko – pijąc szklanką stojące przed nim wino. Nie brał wcale udziału w rozmowie. W oczach jego żarzył się ponury płomyk: widać było, że jest pod wrażeniem niedawnych walk – jak gdyby przesiąknięty jeszcze kurzawą krwi i dymu palących się chat”<sup>[8]</sup>.

Hołówko nazywał Jaworskiego prawdziwym Kmicicem i wspaniałym typem watażki kresowego. Przyznawał też, że oficer ma w sobie wiele uroku, gdyż na co dzień „tryskała zeń junacka wesołość, pogoda i dziwna niefrasobliwość, która wytwarzała wokół niego atmosferę życzliwości i bezwiednego podziwu”<sup>[9]</sup>.

Porucznik cieszył się wręcz bałwochwalczą miłością podwładnych gotowych pójść za nim w ogień. Byli to żołnierze szaleńczo odważni i zuchwali, którzy wierzyli „na świecie w dwie rzeczy: Wojnę i Dowódcę”, natomiast „reszta nie istniała albo była obojętna”<sup>[10]</sup>.

Nawet Hołówko złośliwie określający ich mianem „kondotierów” przyznawał, że byli już owiani legendą, na którą składały się „cuda waleczności”. Wprawdzie słynęli z wyjątkowego okrucieństwa, ale bez wyraźnego powodu nie dokonywali krwawych pacyfikacji, natomiast ich codziennością była „ciężka walka wrogich oddziałów, zawzięta i okrutna”<sup>[11]</sup>.

Jeden z jaworczyków, Wiktor Dzierżykraj-Stokalski, nie ukrywał, że zarzucano im, iż zbyt ostro postępowali z członkami chłopskich band. Uważał jednak tę krytykę za bezpodstawną i oderwaną od rzeczywistości.

„Niestety, było to konieczne – tłumaczył – najpierw dlatego, że butny chłop powitał nasz szwadron ogniem karabinowym, a po wtóre musieliśmy sterroryzować wsie, by unikać straszego losu, jaki spotkał pod miasteczkiem Niemirowem nieszczęśliwy siódmy pułk ułanów polskich”<sup>[12]</sup>.

Na początku marca w Antoninach odbyła się defilada przed Henningiem de Michaelisem. Maszerowali także jaworczycy, o których generał otrzymał już wcześniej relację od pułkownika Suszczyńskiego, że „w bitwach pod ogniem dali dowody męstwa, nadzwyczajnej odwagi i spokoju”. Tego dnia oddział

Jaworskiego stał się Pierwszym Dywizjonem Szwoleżerów III Korpusu, a jego dowódca awansował na rotmistrza.

„Zasłużyliście sobie na nieugasłą pamięć w sercach dziesiątków rodzin – dziękowali okoliczni Polacy – które imię Wasze wymawiać będą w modlitwie dziękczynnej ze łzami. Poszczególni z nas pozostaną Wam wdzięczni za pomoc w uratowaniu resztek dobytku i życia, społeczeństwo za ocalenie śladów kulturalnej przeszłości, stanowiącej tak niedawno jeszcze dumę i chlubę tego kraju”<sup>[13]</sup>.

12 kwietnia dywizjon opuścił Antoniny, przechodząc w okolice Winnicy. Po włączeniu do niego kawalerzystów z rozbitego 7 Pułku Ułanów powstał Pułk Szwoleżerów Polskich. Gdy jednak dwa miesiące później nastąpiła kapitulacja Lekkiej Brygady III Korpusu, w skład której wchodził pułk Jaworskiego, rotmistrz nie zamierzał zaakceptować sytuacji. Część broni i wierzchowców ukrył w pobliskich polskich majątkach, a sam z kilkudziesięcioma żołnierzami rozpoczął długi marsz na zachód. Odbywał się on „w ciągłych utarczkach z bandami petlurowskimi i rozbestwionego chłopstwa wśród mrozów i śnieżnych zamieci”.

## Przeciw Ukraińcom i Armii Czerwonej

W grudniu 1918 roku Jaworski i jego żołnierze natknęli się na pierwsze placówki Wojska Polskiego we Włodzimierzu Wołyńskim. Stacjonował tam już batalion szturmowy POW, a pojawienie się słynnych zagończyków wyprzedziła ich sława. W efekcie, dla „powstrzymania ich wojowniczych zapędów wypadło w nocy wysyłać na miasto patrole”<sup>[14]</sup>.

Inna sprawa, że ludzie Jaworskiego faktycznie mogli wzbudzać popłoch wśród dowódców regularnych oddziałów. Opowiadano o nich wręcz nieprawdopodobne historie – nie tylko o szaleńczej odwadze, lecz także o okrucieństwie. Po latach trudno oddzielić legendę od prawdy, ale rzeczywiście mieli na sumieniu spalenie wielu ukraińskich wsi. Podobno w jednej z pacyfikowanych osad Jaworski polecił zakopać żywcem wszystkich mężczyzn, uznając, że będzie to sprawiedliwy odwet za zniszczenie polskiego dworu. A przy okazji – odstraszący przykład dla innych chłopów.

Nie zmienia to jednak faktu, że zagończycy byli dla Rzeczypospolitej na wagę złota. Trwała już bowiem wówczas wojna z Ukraińską Republiką Ludową i oddział Jaworskiego został włączony do grupy operacyjnej Władysława Bończy-Uzdowskiego. Na początku stycznia opanowano Poryck, a Sztab Generalny informował w komunikacie, że „zdobyto wiele karabinów i amunicji oraz 23 jeńców, w tym 1 pułkownika i 1 kapitana”<sup>[15]</sup>.

W marcu Jaworski został awansowany na majora, a jego oddział przemianowano na Dywizjon Jazdy Kresowej. Zagończycy wzięli udział w walkach o Torczyn, a po śmiertelnym zranieniu pułkownika Leopolda Lisa-Kuli to właśnie major objął dowództwo nad atakującymi oddziałami. I doprowadził je do zwycięstwa.

Jesienią 1919 roku dywizjon stacjonował w Hrubieszowie, a gdy pod koniec roku opuszczał miasto, udając się na front, żegnano go z żalem. Chociaż bowiem zagończycy „bywali nieraz junacy i bujni”, to w oddziale panował rygor, a mieszkańcy nie skarżyli się na ich wybryki. Podczas uroczystości pożegnalnej Aleksander Ledóchowski podarował jaworczykom na własność tysiącmorgowy (ok. 500 hektarów) folwark pod Włodzimierzem Wołyńskim. Była to ta sama posiadłość, „którą dzielni chłopcy trzy razy odbijali



Ukraińcom, nie dając wstępu do rozległych dóbr hrabiowskich”<sup>[16]</sup>.

Niecały rok później, w lutym 1920 roku, oddział majora Jaworskiego – jako 4 Wołyński dywizjon 1 Pułku Strzelców Konnych – rozgromił bolszewików we wsi Łuczanki. Po tym boju na podwładnych majora spłynął deszcz odznaczeń, z Orderami Virtuti Militari na czele. Na szczególny podziw zasłużył podchorąży Stanisław Łukaszewicz, który zdobył bolszewicki sztandar; natomiast plutonowy Józef Zajac wziął do niewoli dowódcę pułku i nie pozwolił go odbić. Odznaczony został także Jaworski, który swoim zwyczajem walczył w pierwszym szeregu.

„Zaatakował, prowadząc osobiście spieszony szwadron – pisano w uzasadnieniu wniosku orderowego – na najważniejszy i najbardziej obsadzony przez nieprzyjaciela punkt. Natrafił na krzyżowy i flankowy ogień karabinów maszynowych. Nie wahając się ani chwili, major Jaworski rzucił się naprzód w błyskawicznym »hurrra« na bagnety, porywając za sobą oficerów i żołnierzy. Złamał opór kilkukrotnie silniejszego nieprzyjaciela, zdobywając wieś. Rezultatem wypadu majora Jaworskiego było kompletne rozbicie i zniszczenie 427 Pułku Piechoty sowieckiej, zdobycie sztandaru tegoż pułku, czterech armat z zaprzęgami, dziesięciu karabinów maszynowych oraz paruset jeńców”<sup>[17]</sup>.

## Walki pod Czarnobylem

Podczas ofensywy kijowskiej w kwietniu 1920 roku Feliks Jaworski dowodził grupą oddziałów, w skład której – oprócz jego kawalerzystów – wchodziły także jednostki piechoty i

artylerii. Otrzymał zadanie zdobycia Czarnobyła, portu bolszewickiej eskadry dniesprzańskiej, we współdziałaniu z flotyllą pińską. Grupa Jaworskiego maszerowała wzdłuż Prypeci, natomiast uzbrojone jednostki rzeczne płynęły z jej nurtem. Dowodził nimi porucznik Borys Mohuczy.

Do pierwszego starcia doszło 25 kwietnia w okolicach Koszarówki, gdy w świetle księżyca dostrzeżono kilka bolszewickich okrętów. Polskie kutry otworzyły ogień, ale z powodu przewagi wroga zarządcono odwrót. Niestety, polska flotylla nagle utknęła na mieliźnie.

„Bolszewickie statki zasypywały pociskami szarpiące się motorówki – opisywał bój jeden z jego uczestników. – Wtem celny strzał z calowego działa uratował oddział z ciężkiego położenia. Na jednym z większych statków wybuchła fontanna ognia, po czym statki te umilkły natychmiast”<sup>[18]</sup>.

Przypadkowy pocisk zdecydował o wyniku starcia, gdyż bolszewicy nagle stracili ochotę do walki. Być może zresztą uważali, że polskie siły są znacznie liczniejsze, a w ciemnościach nie potrafili się zorientować w liczbie naszych jednostek.

Dwa dni później, na kilka kilometrów przed Czarnobyłem, grupa Jaworskiego znalazła się pod ostrzałem bolszewickich okrętów. Na pomoc majorowi przysły polskie kutry i kanonierka „Pancerny I”, które otworzyły gwałtowny ogień do Rosjan. Wprawdzie jednostek wroga było więcej, ale polski ogień okazał się znacznie skuteczniejszy. Stosowano bowiem „strzelanie szybkimi seriami, po cztery pociski na jednej nastawie celownika, a dopiero po wystrzeleniu serii następowała korekta nastawy i następna seria”<sup>[19]</sup>.

Pojedynek na rzece ułatwił żołnierzom Jaworskiego zdobycie Lelowa, a następnie marsz w kierunku Czarnobyła. Miasto opanowano dzięki wspólnej akcji marynarzy i

żołnierzy, jednak nie był to jeszcze koniec walk – efektownym finałem okazał się bój flotylli pińskiej na Dnieprze za Czarnobyłem.

Chociaż przewaga ponownie była po stronie bolszewickiej, „porucznik marynarki Mohuczy rozgrzany pościgiem nie myślał ustępować”. Celny pocisk wyeliminował z walki kanonierkę „Gubitielnyj”, na której doszło do eksplozji amunicji, a pozostałe jednostki wroga rozpoczęły odwrót. W efekcie, znacznie słabsza polska eskadra „potrafiła jednak wyprzeć z Prypeci silną flotę przeciwnika i zadać jej poważne straty”.

Major Feliks Jaworski wrócił z wyprawy kijowskiej z kolejną raną. Jeszcze jako rekonwalescentowi powierzono mu zorganizowanie w lipcu 1920 roku brygady jazdy ochotniczej. Była to funkcja stworzona wręcz dla niego, gdyż dowództwo takiej jednostki mógł objąć wyłącznie oficer wykazujący samodzielność, zatem „jedynie doświadczony partyzant i zwiadowca”<sup>[20]</sup>.

Brygada weszła w skład dowodzonej osobiście przez Marszałka Piłsudskiego grupy uderzeniowej, która 16 sierpnia rozpoczęła zwycięską kontrofensywę znad Wieprza. Kawalerzyści Jaworskiego zajęli wówczas Radzyń i Międzyrzec, a ich najwspanialszym wyczynem był udział w ciężkich walkach o Skrzyszew i Frankopol – w efekcie, trzy bolszewickie dywizje musiały zmienić drogę odwrotu<sup>[21]</sup>. Podczas starcia o przeprawę na Bugu Jaworski po raz kolejny został ranny.

Przy okazji dała też znać o sobie natura „kmicicowych baranków” jego podwładnych. Chłopi na Podlasiu skarżyli się na bezprawne rekwizycje żywności i siana – w efekcie, 16 żołnierzy zostało aresztowanych. To jednak nie pohamowało

pozostałych – ich „wybrykom i samowoli nie było końca”.  
Wzniecili też „pożar w Żakowoli”, a „winnych aresztowano”<sup>[22]</sup>.



**Polska delegacja na Międzynarodowy Kongres Medycyny i Farmacji Wojskowej w Londynie (1929 r.). Na zdjęciu major Feliks Jaworski oznaczony numerem 12.**

(NAC)



**Grupa ułanów I Korpusu Polskiego w Rosji, drugi od prawej siedzi major Feliks Jaworski.**

We wrześniu 1920 roku brygada Jaworskiego została przeorganizowana w 19 Pułk Ułanów, ale były to już ostatnie tygodnie wojny i jednostka nie brała udziału w walkach. Major pełnił funkcję jej dowódcy do połowy 1921 roku, później służył w Wojsku Polskim jeszcze przez dwa lata.

Żurawiejka 19 Pułku Ułanów Wołyńskich im. gen. Karola Różyckiego – jak każdy z tych nieoficjalnych wierszyków układanych dla poszczególnych pułków kawalerii – była złośliwa i wyolbrzymiała cechy jednostki, jednak nie do końca mijała się z prawdą... A odnosiła się do genealogii pułku związanej z oddziałem Jaworskiego:

*Dziewiętnasty to hołota,  
ma otoki jak piechota.*

*Kto obronił chłopów, panów,  
Dziewiętnasty Pułk Ułanów.*

*Słynny z mordów i pożarów,  
Dziewiętnasty Pułk batiarów.*

*Same łotry i wisielce,  
to są Jaworskiego strzelce.*

*Bić, mordować – nic nowego  
dla ułanów Jaworskiego.*

*Wiąże Żydom kamień młyński,  
Dziewiętnasty Pułk wołyński<sup>[23]</sup>.*



**Przedwojenna siedziba Państwowego Zakładu dla Umysłowo Chorych w Kulparkowie (na zdjęciu stan współczesny).**

(Wikipedia/Aeon)

Stosunek jaworczyków do ludności żydowskiej został w żurawiejce nieco zdemonizowany. Potwierdza to fakt, że dowódca oddziału zrobił sympatyczne wrażenie na spotkanym w Białej Podlaskiej adwokacie, Apolinarym Hartglasie. Zresztą skarg na jego podwładnych „Żydzi prawie nie zgłaszali”<sup>[24]</sup>.

## Dramat ostatnich lat

Po zdjęciu munduru major Jaworski administrował majątkiem ziemskim pod Włodzimierzem Wołyńskim. Zapewne była to ta sama posiadłość, którą kiedyś przekazał jaworczykom hrabia Ledóchowski.

Major nie potrafił się jednak odnaleźć w meandrach cywilnego życia, zbyt długo funkcjonował w ekstremalnych

warunkach, by teraz spokojnie gospodarować. Nadużywał alkoholu, a do tego upijał się na ponuro. Swoim zachowaniem odstręczał ludzi, gdyż właściwie nie chciał i nie potrafił się hamować.

„Zacna pani Lala – wspominał dziennikarz, Michał Kryspin Pawlikowski – zaszczyczona towarzystwem bohatera narodowego postanowiła go bawić – nie bacząc, że milczał, patrząc w talerz i wychylając kieliszek po kieliszku. Aż w pewnej chwili Jaworski nie mógł wytrzymać tej damskiej paplaniny i powiedział głośno: »Co mi pani zawraca głowę! Pani w życiu tyle nie na...ła, ile ja przeżyłem«”<sup>[25]</sup>.

W marcu 1924 roku doszło do tragedii – Jaworski zastrzelił własną matkę. Ponieważ był bohaterem, rozpowszechniano informację, że doszło do tego przez przypadek. We lwowskiej restauracji major miał się pokłócić z kelnerem. Bardzo zdenerwowany wyjął broń, a gdy matka chciała zakończyć awanturę, padł strzał.

W rzeczywistości było inaczej. Jaworski zastrzelił matkę podczas kłótni we Włodzimierzu Wołyńskim, a potem, gdy policjanci chcieli go aresztować, zabił jeszcze postronną osobę. Ponieważ od pewnego czasu zdradzał objawy nieznacznej choroby psychicznej (być może na tle alkoholowym), został umieszczony w szpitalu dla nerwowo chorych<sup>[26]</sup>.

Nie wiadomo, jak wyglądały ostatnie lata majora Jaworskiego. Pewne jest tylko, że tuż przed II wojną światową nadal przebywał w Państwowym Zakładzie dla Umysłowo Chorych w Kulparkowie<sup>[27]</sup>.

## ROZDZIAŁ 16

# POW W KIJOWIE

Członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej znad Dniepru to zapomniani bohaterowie wojny z Sowieciami. Mieli na koncie wielkie zasługi wywiadowcze i przyczynili się do ostatecznego zwycięstwa, ale zapłacili za to wysoką cenę. W ich historii można odnaleźć zarówno przykłady niezwykłego poświęcenia czy patos ostatnich słów wypowiedzianych przed egzekucją, jak i zdradę oraz małostkowe zachowania. Nie zmienia to jednak faktu, że tym nieumundurowanym żołnierzom Wojska Polskiego należy się podziw.

## Józef Bromirski („Jot”)

Niebawem po akcji pod Bezdanami pojawił się w Kijowie Józef Piłsudski. Wygłosił dla polskiej młodzieży odczyt o powstaniu styczniowym, dowodząc, że nawet niewielkimi siłami można się przeciwstawić zaborcy. Wprawdzie „wywody te wstrząsnęły młodzieżą kijowską”, ale ich efekt był krótkotrwały, gdyż ruch niepodległościowy oparty na walce zbrojnej nie był specjalnie popularny nad Dnieprem<sup>[1]</sup>.



W przyszłej ukraińskiej stolicy powołano jednak oddział Związku Walki Czynnej oraz Związek Strzelecki, na czele których stanął Józef Bromirski („Jot”), członek Organizacji Bojowej PPS. Po wybuchu wielkiej wojny Bromirski przyłączył się do kieleckiej wyprawy strzelców Piłsudskiego, lecz na polecenie Komendanta wrócił do pracy konspiracyjnej w Kijowie. Założył tam organizację Dniepr, a pod koniec 1914 roku objął stanowisko komendanta lokalnego oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej.

Dzięki jego zaangażowaniu powstały okręgi organizacji w Odessie, Żytomierzu, Humaniu, Berdyczowie, Białej Cerkwi, a także w Saratowie i Charkowie. Ekspozytury tworzone nawet „w rosyjskich szkołach oficerskich i w wojsku, czym został przygotowany grunt ku powstaniu polskich formacji wojskowych POW na Ukrainie”<sup>[2]</sup>.

Do prowadzenia działalności dywersyjnej przeciwko armii rosyjskiej brakowało jednak materiałów wybuchowych i Bromirski osobiście jeździł w tym celu do Warszawy. Uważał bowiem, że jako 50-letni mężczyzna będzie mniej podejrzany i kontrolowany niż młodzi ludzie – peowiacy.

## Komenda Naczelna 3

Nowy rozdział w historii działalności niepodległościowej na Ukrainie rozpoczął się wraz z przybyciem do Kijowa w marcu 1918 roku Przemysława Barthela de Weydenthala, wysłannika Komendy Naczelnej POW. Powstała wówczas nad Dnieprem Komenda Naczelna nr 3 POW, a jej szefem został Bogusław Miedziński, który przejął organizację od Bromirskiego. Nawet

nie ukrywał zdziwienia obyczajami panującymi wśród swoich nowych podwładnych.

„Byłem zaskoczony, chwilami nawet rozbawiony, ale częściej zirytowany – wspominał Miedziński – gdy wskazani mi przez Bromirskiego jego najbliżsi współpracownicy w organizacji na pierwszych moich z nimi odprawach odpowiadali na moje dyrektywy i wskazania długą dyskusją, z nogą założoną na nogę i papierosem w zębach. Musiałem w radykalny sposób zmienić te obyczaje, stawiając moich rozmówców na baczność i w ostry sposób nakazując zachowanie form dyscypliny wojskowej. Byli tym zaskoczeni, ale poddali się. Wkrótce potem zauważyłem, że im się nawet te nowe formy wcale podobały<sup>[3]</sup> .

Po kilku miesiącach Miedzińskiego zastąpił Leopold Lis-Kula. Nowy komendant od razu wzbudził uznanie podwładnych. Szczególnie zachwycał się nim początkujący wówczas poeta, członek POW, Kazimierz Wierzyński:

„Młodzieniec ogromnego wzrostu, o pięknej twarzy, w której mieszkał wyraz ascetycznej, onieśmielającej powagi z prawie dziecinnym wdziękiem. Przyszła z nim sława nieustraszonego żołnierza, ktoś powiedział o nim: to nowy Sułkowski. Zapuszczaliśmy się więc z tym Sułkowskim w podkijowskie wertepy, słuchaliśmy jego wykładów i ćwiczyliśmy, jakbyśmy byli nie u końca wojny, lecz u początków Związków Strzeleckich”<sup>[4]</sup> .

Lis-Kula wzbudził podziw nie tylko Wierzyńskiego. Bardzo wysoko oceniał go także Karol Wędziagolski, wytrawny rewolucjonista (ale nie bolszewik), komisarz jednej z rosyjskich armii.

„Po godzinnej rozmowie – wspominał – miałem się przekonać, że mam do czynienia z dojrzałym, inteligentnym

dowódcą rozległej organizacji bojowej. Był niewątpliwie fenomenem”<sup>[5]</sup>.

Wędziagolski na polecenie Lisa zajął się zorganizowaniem druku blankietów potrzebnych do produkcji fałszywych dokumentów. Było to niezwykle ważne zadanie, gdyż „dobry fałszyfikat rozstrzygał wówczas sprawy życia lub śmierci, a w każdym razie wolności i niewoli”.

Na działalność POW brakowało jednak pieniędzy, toteż Bromirski sprzedał otrzymany w spadku dom w Kijowie, a pieniądze przekazał organizacji. Nie wspomniał jednak Kuli, skąd pochodziły środki finansowe<sup>[6]</sup>.

Działalność POW na Ukrainie w 1918 roku związana była z antyniemiecką i antyaustriacką polityką obozu piłsudczykowskiego. W porozumieniu z wywiadem francuskim organizacja miała paraliżować kolej, by uniemożliwić lub opóźnić ewentualny transport wojsk państw centralnych z Ukrainy na front zachodni.

Peowiaci wysadzali mosty, zorganizowali strajk kolejarzy, jednak brakowało w ich szeregach specjalistów od dywersji. Dlatego rezultaty nie były specjalnie imponujące, chociaż twierdzono, że zniszczono 27 mostów. Mimo to „działań zmierzających do całkowitego sparaliżowania okupujących Ukrainę wojsk niemieckich i austriackich – wbrew deklaracjom złożonym francuskiemu wywiadowi – nie udało się przeprowadzić”<sup>[7]</sup>.

Nie udało się też nakłonić III Korpusu Polskiego do walki z wojskami państw centralnych. Byłaby to samobójcza decyzja, chociaż takie gesty zawsze wysoko ceniono w polskiej tradycji.

# Perypetie Wieniawy

W kwietniu 1918 roku do Kijowa przyjechał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, wysłannik pułkownika Edwarda Śmigłego-Rydza, komendanta naczelnego POW. Miał nawiązać kontakt z Józefem Hallerem oraz przedstawicielami państw ententy.

Kazimierzowi Wierzyńskiemu, który otrzymał zadanie przyjęcia emisariusza i zapewnienia mu mieszkania, przybysz przedstawił się jako doktor Marjański. Był czarującym, błyskotliwym rozmówcą i często wspominał o Komendancie.

„Doktor Marjański sypiał długo w dzień, wracał późno w nocy – wspomniał Wierzyński. – Nie mogę zataić, że wracał często w tak zwanym różowym humorze. Pewnej nocy zapytał mnie dość obcesowo: »Pan podobno pisze wiersze. Ja pisuję od czasu do czasu też«<sup>[8]</sup>.

Wieniawa-Długoszowski w czerwcu wyjechał z Kijowa do Moskwy. Kontynuując swoją misję, spotkał się z Borysem Sawinkowem, rewolucjonistą zawzięcie tropionym przez czekistów, oraz z szefem francuskiej placówki wywiadowczej. Jednak największy wpływ na dalsze życie Wieniawy miało spotkanie ze znajomą jeszcze z paryskich czasów, Bronisławą Berenson.

„Moje ogłupienie i jej osłupienie – wspominał po latach – odbiło się na nas obojgu w bliskiej przyszłości, dowodząc niezbicie, że od zdziwienia do podziwu jest groźnie blisko, od podziwu zaś do miłości już tylko krok”<sup>[9]</sup>.

Pani Berenson została niebawem żoną Wieniawy, ale być może nie doszłoby do tego, gdyby nie uratowała go z rąk czerezwyczejki. Długoszowski został bowiem aresztowany i jego przyszłość rysowała się w ciemnych barwach. Jednak pewnego dnia do celi przyszedł Stanisław Pestkowski,

prominentny polski komunista, zastępca ludowego komisarza do spraw narodowości. Zapytał, czy wśród więźniów znajduje się ktoś, kto przedstawia się jako Boguszewski – właśnie na to nazwisko były wystawione dokumenty Wieniawy. Po chwili wahania oficer się przyznał. Wówczas Pestkowski oznajmił, że pojawił się w celi „na nalegania pani B., której mąż wybawił go ongiś od stryczka”<sup>[10]</sup>. Małżonek Bronisławy, znany adwokat Leon Berenson, specjalizował się bowiem w bronienu polskich rewolucjonistów.

Podobno pomogła także znajomość Bronisławy z niejaką Jakowlewą, sekretarką Jakowa Petersa, zastępcy szefa czerezwyczajki. Wprawdzie była znana z „okrucieństwa i z egzotycznych skłonności i wybryków”, ale zaangażowała się w uwolnienie Wieniawy. Inna sprawa, że kulis tej akcji zapewne nigdy nie poznamy, gdyż pani Berenson była związana z działalnością wywiadowczą i pracowała „być może na kilka frontów”<sup>[11]</sup>.

Po śledztwie i rozmowie z Feliksem Dzierżyńskim Wieniawa wyszedł na wolność, a „w dorożce przed więzieniem czekała pani B., zapraszając go do siebie”<sup>[12]</sup>.

## Przeciwko bolszewikom

Na początku 1919 roku POW na Ukrainie została rozwiązana. Była to jednak czysto taktyczna decyzja, gdyż Stefan Bieniewski, jej komendant naczelny, wydał jednocześnie tajny rozkaz o kontynuowaniu działalności, ale już jako ekspozytury Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego<sup>[13]</sup>.

Zbliżała się bowiem konfrontacja z bolszewicką Rosją, a wszelkie informacje o Armii Czerwonej były wręcz bezcenne.

Peowiacy na Ukrainie uważali się za „nieumundurowane wojsko polskie”, które wspierało żołnierzy walczących na froncie<sup>[14]</sup>. Nie zmieniało to jednak faktu, że warunki działalności w Kijowie pod rządami bolszewików były wyjątkowo trudne.

„Co noc i co chwila człowiek był świadkiem przemocy – wspominał szef POW na Ukrainie w drugiej połowie 1919 roku, Henryk Józewski – rozbewszewienia, deptania godności ludzkiej, zbrodni, zadawania męczarni. W każdej chwili świadek mógł się stać obiektem i ofiarą. W każdej chwili władza mogła porwać człowieka w swe tryby i robić z nim, co się jej podoba. Nazywało się to walką z reakcją i kontrrewolucją. Na widok najmniejszego oporu władza wpadała w szal i stosowała bestialskie środki”<sup>[15]</sup>.

W maju 1919 roku w jadalni akademickiej w Kijowie, gdzie odbywał się odczyt, aresztowano studentów zaangażowanych w pracę konspiracyjną. Czekiści oskarżyli pięciu z nich – z Marianem Nekraszem, prezesem Bratniej Pomocy na czele – o „czynny udział w nielegalnej organizacji polskiej, która werbowała i wysyłała białogwardzistów do polskiej Armii Ochotniczej”. Do tego doszedł jeszcze zarzut działalności kontrrewolucyjnej oraz szpiegowskiej i studenci zostali rozstrzelani<sup>[16]</sup>.

Sytuacja w Kijowie stała się tak trudna, że Komendę ewakuowano do niedalekiego Worzela. A gdy w obawie przed dekonspiracją przenoszono archiwum POW do innego budynku, pojawili się czekiści i dokumenty wraz z pieczętkami trafiły w ich ręce. Zdołano je jednak odzyskać, a pomógł w tym tupet jednego z peowiaków, który udał się do szefa miejscowej czerezwyczejki i zażądał zwrotu łupu, grożąc, że w razie odmowy wyda go w ręce wojsk ukraińskiej armii halickiej, która była wówczas o krok od zdobycia Kijowa<sup>[17] [18]</sup>.

## Kłopoty i sukcesy

Trzonem POW na Ukrainie byli studenci i młodzi absolwenci oraz harcerze. To właśnie oni oddali największe zasługi w pracy wywiadowczej.

„Nie byliśmy przeszkoleni – wspominał Henryk Józewski – i co najważniejsze, nie mieliśmy wrodzonych predyspozycji do wywiadu. Woleliśmy walczyć na froncie z bronią w rękę, jednak jak się okazało, wywiązywaliśmy się z powierzonego zadania nad podziw dobrze. (...) Okazało się, że w pewnych wypadkach wystarcza inteligencja, intuicja, pasja przygody i nielicząca się z niczym pasja walki”<sup>[19]</sup>.

Nie zawsze jednak dobre chęci i zapał wystarczały. Porucznik Jerzy Kossakowski, który objął jesienią 1919 roku stanowisko szefa wywiadu POW na Ukrainie, miał wiele krytycznych uwag co do jakości i wiarygodności pozyskanych dotychczas materiałów wywiadowczych<sup>[20]</sup>.

Pod koniec 1919 roku komendantem naczelnym został porucznik Jerzy Radomski („Kmicic”). Był to „dzielny oficer liniowy”, lecz nie nadawał się do służby na Ukrainie, gdyż nie znał miejscowych realiów i języka, a jego sposób kierowania organizacją spowodował, że wielu peowiaków odsunęło się od działalności<sup>[21]</sup>.

Inna sprawa, że „Kmicic” skarżył się przełożonym w Warszawie na brak ludzi do pracy. Dysponował jedynie skautami, a ich wywiadowcze osiągnięcia nie prezentowały się imponująco. Dodatkową komplikację wywołało przysyłanie z Polski fałszywych rubli, niemożliwych do użycia<sup>[22]</sup>.

Mimo tych trudności odnoszono jednak sukcesy. Największym osiągnięciem wywiadowczym było wykradzenie taśm z aparatu Hughesa, na których zapisano tajne rozmowy

Jewhena Petruszewicza, przywódcy Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, z przedstawicielem rządu bolszewickiej Rosji. W ocenie Józewskiego ujawnienie treści tych rozmów spowodowało, że po kilku latach mocarstwa zachodnie przyznały Polsce Galicję Wschodnią.

Taśmy zdobył urodzony w Kamieńcu Podolskim Edmund Farenholc („Dragomir”). Ten uczestnik bitwy pod Kaniowem był jednym z najwyżej uplasowanych wywiadowców POW, pracował bowiem jako sekretarz, a później prezes bolszewickiej Wyższej Wojennej Inspekcji<sup>[23]</sup>.

Cenne informacje z najwyższych kręgów bolszewickiej władzy uzyskiwała też Maria Buyko-Mongirdowa, która została sekretarką Jurija Piatakowa, sekretarza Komitetu Centralnego partii bolszewickiej na Ukrainie. Pracowała także w biurze szefa kijowskiej czerezwyczajki, Martyna Łacysa<sup>[24]</sup>. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, i „stała nosiła przy sobie płyn trujący, celem zażycia go w momencie ostatecznym”.

Największym osiągnięciem Buyko-Mongirdowej było wykradzenie spisu agentów bolszewickich w Polsce. Zamierzała go skopiować. Czekiści zauważyli jednak, że dokument zniknął, i zaczęli ją podejrzewać. W obawie przed rewizją Mongirdowa zniszczyła spis i na rozkaz Komendy Naczelnej opuściła Kijów. Zresztą wydano już na nią wtedy wyrok śmierci.

Wiele informacji zdobył także Jerzy Kowalewski („Świda”). Gdy wyszedł z sowieckiego więzienia z powodu braku dowodów winy, znalazł zatrudnienie na stanowisku sekretarza Komisji Nadzwyczajnej do Zaopatrzenia Armii Czerwonej. Dzięki temu miał wgląd w ważne dokumenty i rozkazy<sup>[25]</sup>.



# Oddział Żeński POW

Na początku 1915 roku w Kijowie pojawiła się „śliczna, elegancka i młoda” Władysława Macieszyna („Sława”). Dostała rozkaz założenia nad Dnieprem Oddziału Żeńskiego POW – i niezwłocznie przystąpiła do działania. Początkowo grupa liczyła około 30 studentek i harcerek, które działały głównie jako kurierki i wywiadowczynie.

Znakomicie sprawdzała się tu Wanda Langertówna, kierowniczką miejscowego wywiadu. Charakteryzowała się ogromnym tupetem, chcąc „zbadać liczebność jakiegokolwiek sztabu albo nowo przybyłego oddziału, śmiało wchodziła do koszar, rozdawała żołnierzom papierosy i wypytywała ich”. Wprawdzie czasami „zwracało to uwagę komisarzy, którzy początni ją śledzić”, ale Langertównie zawsze uchodziło to na sucho<sup>[26]</sup>.

Gdy nie wróciło kolejnych sześciu kurierów wysłanych z Kijowa do kraju, zapadła decyzja, by ich śladem podążyła właśnie Langertówna. Dotychczas – ze względu na jej ogromną przydatność w działaniach wywiadowczych – nie zlecano jej takich misji, jednak tym razem uznano, że nie ma wyboru. Langertówna wielokrotnie przekraczała linię frontu, ale w lipcu 1919 roku skończyła się jej dobra passa. Wanda wpadła w ręce bolszewików i została rozstrzelana<sup>[27]</sup>.

O szczęściu mogła natomiast mówić Ewa Niewiarowska („Hajduczanka”). Gdy Komenda Naczelna 3 straciła kontakt z okręgiem żytomierskim POW, Niewiarowska, chcąc uniknąć kontroli podczas podróży koleją, przeszła 130 kilometrów z Kijowa do Żytomierza – i tak samo wróciła. Jako kurierka przekraczała także linię frontu, a gdy podczas powrotu z Warszawy w kwietniu 1920 roku została zatrzymana, uciekła dzięki pomocy jednego z bolszewików. Kilka miesięcy później

znów ją ujęto – tym razem miała być rozstrzelana. Wyrok został jednak anulowany przez funkcjonariusza Czecha, za co aresztowano go pod zarzutem działalności kontrrewolucyjnej<sup>[28]</sup>. Natomiast transportowana z więzienia do więzienia „Hajduczanka” zbiegła z pociągu i przedostała się do Polski.

Kobiety nie były jednak wyłącznie kurierkami i wywiadowczyniami, obejmowały też istotne stanowiska w strukturach Komendy Naczelnej 3. W dużej mierze było to spowodowane odpływem peowiaków do Legionów, a później do Wojska Polskiego. W efekcie, „wyczuwał się brak ludzi ideowych, pewnych i wyrobionych, toteż Komenda Naczelna była zmuszona włączać »młodzież niewieścią« do coraz odpowiedzialniejszej pracy”<sup>[29]</sup>.

Wybitną rolę w POW na Ukrainie odegrała Maria Wittek. Chodziła do szkoły w Winnicy i jednocześnie uczyła się z koleżankami na tajnych kursach, a „każda z nich pod klapą fartucha nosiła biało-czerwoną kokardkę”. Następnie Wittkówna uczęszczała do Polskiego Gimnazjum Zrzeszenia Rodziców i Nauczycieli w Kijowie. Jesienią 1917 roku wstąpiła do harcerstwa, a jej drużynowy związany z POW powierzał swoim podopiecznym zadania wywiadowcze.

„Ustałałyśmy numery jednostek – wspominała – rozpoznanie dywizjonów, sprzętu. Później pisało się meldunki. I ja kiedyś taki wywiad zrobiłam, że panowie z POW zażyczyli sobie widzieć tę osobę, która ów meldunek pisała”<sup>[30]</sup>.

W maju 1918 roku, jeszcze przed maturą, Maria Wittek została zaprzysiężona jako członkini POW. Przysięgę odbierał jej narzeczony, Leopold Lis-Kula<sup>[31]</sup>.

Wittkównie powierzono kierowanie wywiadem miejscowym w Kijowie. Wywiązywała się z zadania doskonale – dostarczała cenne materiały. We wniosku o odznaczenie jej

Krzyżem Walecznych stwierdzono: „Robotę stawia tak, że nie ma sztabu bolszewickiego ani też centralnej instytucji wojskowej, która by nie była obsadzona przez naszych wywiadowców”<sup>[32]</sup>.

Latem 1919 roku 20-letnia Maria Wittek objęła kierownictwo Wydziału Wojskowego Komendy Naczelnej 3. W następnym roku wstąpiła do Wojska Polskiego, należała do Ochotniczej Legii Kobiet. W niepodległej Polsce była komendantką Przysposobienia Wojskowego Kobiet, a podczas okupacji niemieckiej stała na czele Wojskowej Służby Kobiet AK. W 1991 roku, jako pierwsza kobieta w Wojsku Polskim, została mianowana generałem.

Niezwykle ważną rolę w działalności POW odgrywały też adiutantki Komendy Naczelnej i komend okręgowych. Funkcje te w Kijowie pełniły Jadwiga Goszczycka i Helena (Ela) Sikorska, natomiast komendantką okręgu żytomierskiego była Stefania Kudelska. W latach 1919–1920 w okręgach Komendy Naczelnej 3 służyło 90 kobiet<sup>[33]</sup>.

## Nie tylko bohaterowie

Pod koniec 1919 roku oddział w Żytomierzu poniósł dotkliwe straty po denuncjacji gimnazjalisty Marcenki, członka Sokoła. Pijany zaczął wyklinać bolszewików, co zakończyło się jego aresztowaniem. Czekiści obiecali mu wolność za zdekonspirowanie miejscowej POW. Wprawdzie wydał tylko osoby z Sokoła, ale wśród nich było wielu peowiaków<sup>[34] [35]</sup>.

W grudniu 1919 roku rozpoczęły się aresztowania. Antoni d’Erceville nie chciał zeznawać – został zatem zamordowany. Nie dał się również złamać Franciszek Niepokólczycki

(„Lipek”), komendant żytomierskiego okręgu POW (w latach 1945–1946 prezes antykomunistycznego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość). Miał szczęście – udało mu się zbiec<sup>[36]</sup> <sup>[37]</sup>.

Złamano jednak jego adiutantkę, Alinę Kraśnicką. Uważała, że w wypadku odmowy zeznań zostanie rozstrzelana. Według innych relacji chora na tyfus dziewczyna była półprzytomna, gdy ją przesłuchiowano. Pod wpływem tortur miała się załamać także jej siostra, która straciła „panowanie na sobą i zaczęła opowiadać różne szczegóły pracy w POW”.

Na zeznania Aliny w nieoczekiwany sposób zareagował śledczy. Jej współsadzonym nakazał, by skłonili Kraśnicką do milczenia, gdyż przez długi język adiutantki może zginąć wielu ludzi<sup>[38]</sup><sup>[39]</sup>.

Obie siostry zostały rozstrzelane w nocy przed Wigilią 1919 roku razem z matką, która – gdy córki zostały aresztowane – sama zgłosiła się do więzienia, by dzielić ich los. Przy okazji oskarżono ją o przechowywanie archiwum POW. Razem z kobietami zabito jeszcze kilku peowiaków. Jeden z nich, Wiktor Rodziewicz, na wiadomość o wyroku wykrzyknął: „Niech żyje Polska!”.

Inni więźniowie dowiedzieli się o egzekucji, „widząc niepomierne pijaństwo, jakie w takich wypadkach uprawiali komisarze”, którzy mieli w zwyczaju „sowite zapijanie” każdej ofiary<sup>[40]</sup>.

## Dramat księdza Andrzeja Fedukowicza

Opiekunem młodych peowiaków w Żytomierzu był ksiądz Andrzej Fedukowicz, proboszcz tamtejszej parafii katedralnej. Dobrze znał swoich podopiecznych, był bowiem prefektem miejscowych szkół i działał w harcerstwie. Trafił w ręce Czeka już po likwidacji POW na Ukrainie – w 1923 roku aresztowano go pod zarzutem udziału w rzekomej konspiracyjnej organizacji Orzeł Biały. Dowodem na jej istnienie miał być proporzec z orłem znaleziony w katedrze. Bolszewicy nie mogli zapomnieć Fedukowiczowi, że w maju 1920 roku na jego plebanii zatrzymał się Józef Piłsudski.

Pod wpływem tortur ksiądz zgodził się na współpracę, jednak po zwolnieniu nie podjął jej. Aresztowano go więc ponownie i tym razem zmuszono do podpisania listu do papieża Piusa XI, w którym oskarżał polskich księży na sowieckiej Ukrainie o prowadzenie działalności szpiegowskiej. Do zarzutów dołączona była również prośba, by papież zwrócił się do rządu polskiego o powstrzymanie duchownych od takiej działalności.

Ksiądz ostatecznie został zwolniony, ale dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie potrafił sobie psychicznie poradzić i „błagał, by go zabito, gdyż nie jest godzien żyć”<sup>[41]</sup>. W marcu 1925 roku Fedukowicz oblał się benzyną i podpalił – ponoć powiedział, że sam musi się ukarać. Zmarł w wyniku rozległych poparzeń.

## Dekonspiracje w Winnicy

W Winnicy harcerze stworzyli oddział bojowo-wywiadowczy ściśle związany z POW. Należeli do niego także najmłodszy, którzy często sprawdzali się znacznie lepiej niż ich starsi koledzy.

„Okazuje się, że taki 13-14-letni malec – tłumaczył jeden z założycieli polskiego harcerstwa w Kijowie, Władysław Nekrasz – lepiej od starszego wkrada się pomiędzy wrogów, nie ściągając na siebie żadnego podejrzenia. Niebezpieczeństwa nie obawiał się, bo go nie rozumiał. Ważny moment dziejowy, który wtedy przeżywano, usankcjonował tę akcję małoletnich, która w czasach pokojowych byłaby prawie nie do pomyślenia”<sup>[42]</sup>.

W połowie 1919 roku został aresztowany Stanisław Gnatkowski („Bij”), komendant okręgowy POW w Winnicy. On i jego trzech współpracownicy dzielnie trzymali się w śledztwie, mimo tortur nie wydali żadnego z członków organizacji. Zapadł wyrok śmierci i całą czwórkę prowadzono na miejsce egzekucji z rękoma skrępowanymi drutem. Chwilę później Gnatkowski „zaczął śpiewać *Jeszcze Polska nie zginęła*, a potem wszyscy razem *Boże, coś Polskę*, po czym rozległy się strzały”<sup>[43]</sup>.

Pół roku później doszło do kolejnej dekonspiracji winnickiej POW. W styczniu 1920 roku zatrzymano porucznika Jerzego Borkowskiego – brawurowego, lecz bardzo nieostrożnego adiutanta miejscowej komendy. Niestety, załamał się w śledztwie. W efekcie jego denuncjacji skazano na śmierć sześcioro peowiaków, w tym komendanta Tadeusza Łukasiewicza. Komendant do końca próbował ratować pozostałych i gdy całą grupę prowadzono na miejsce egzekucji, „po raz ostatni starał się przekonać oprawców, że tylko on i Łazowska należeli do organizacji, a pozostali są niewinni”. Nie przyniosło to jednak rezultatu – całą szóstkę rozstrzelano<sup>[44]</sup>.

## Kijowski epilog

W marcu 1920 roku aresztowano w Kijowie komendanta naczelnego POW na Ukrainie, Jerzego Bolewskiego, oraz adiutantki Jadwigę Goszczycką i Helenę Sikorską. Powodem aresztowania była zdrada 12-letniego chłopca, który (nie wiadomo skąd) znał nazwiska i adresy konspiratorów. Przy okazji czekiści aresztowali jeszcze innych peowiaków, a jeden z zatrzymanych złamany w śledztwie zadenuncjował następnych kolegów i koleżanki.

W kwietniu dziewięciu mężczyzn i siedem kobiet – wśród nich byli Bolewski, Goszczycka oraz Sikorska – wywieziono z Kijowa do Charkowa, gdzie w czerwcu 1920 roku zostali rozstrzelani. Ponieważ zdawali sobie sprawę ze zbliżającej się egzekucji, „zaczęli śpiewać pieśni patriotyczne i legionowe”. Wywoływano ich pojedynczo, umierali kolejno, każdy żegnał się z resztą towarzyszy, którzy nie przestawali śpiewać. Nawet bolszewicy byli wstrząśnięci i uznali, że peowiacy „wpadli jak dzieci, umierali jak bohaterowie”<sup>[45]</sup>.

Gdy na początku maja 1920 roku Wojsko Polskie wkroczyło do Kijowa, z POW pozostał tylko „krwawy strzęp”. Organizacja na Ukrainie została wówczas rozwiązana, ale decyzja nie objęła naczelnych instytucji i struktur wywiadowczych.

We wrześniu 1920 roku do Kijowa przyjechał Stanisław Rytel („Stary”), by pod rządami Sowieców rozwinąć dalszą działalność. W styczniu 1921 roku wezwano go do Warszawy, pozostawiając dowództwo w ręku Leona Korzeniowskiego. Ten jednak został wkrótce aresztowany, a przesłuchiwał go Ignacy Dobrzyński, były członek POW, który po aresztowaniu w Moskwie poszedł na współpracę z czekistami<sup>[46]</sup>. Korzeniowskiego rozstrzelano wraz z 13 innymi peowiakami

(wśród nich były trzy kobiety) w nocy z 11 na 12 kwietnia 1921 roku. W ten sposób nastąpił koniec POW na Ukrainie.

W służbie dla Polski poległo lub zostało zamordowanych 119 peowiaków, a członkom Komendy Naczelnej nr 3 nadano 121 Orderów Virtuti Militari. Warto jednak zaznaczyć, że aż 72 z tych odznaczeń przyznano pośmiertnie<sup>[47]</sup><sup>[48]</sup>, ...

## Niełomna Maria Glinczanka

W ostatnich miesiącach istnienia Komendy Naczelnej nr 3 do POW przystąpiła 21-letnia Maria Glinczanka. Zatrudniła się w czekistowskiej radiostacji w Humaniu, skąd wyniosła urzędową pieczętkę, dzięki czemu peowiacy mogli wyrabiać fałszywe dokumenty. Jesienią 1921 roku, po zeznaniach kuriera, dziewczyna została aresztowana. Przesłuchiwana w kijowskiej czerezwyczajce na pytanie śledczego, czy żałuje prowadzenia działalności przeciwko bolszewickiej Rosji, odparła, że chociaż „to pogrzebanie siebie, ale inaczej nie można” było<sup>[49]</sup>.





**Bogusław Miedziński.**

(NAC)



**Maria Wittkówna.**

(Biblioteka Narodowa)



**Władysława Macieszyna.**

(Biblioteka Narodowa)



**Pogrzeb Polaków bestialsko zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów (1919 r.).**

(Wikimedia Commons)

Następnie trafiła do więzienia Butyrki w Moskwie. Na przesłuchania wożono ją na Łubiankę, a w listopadzie 1922 roku stanęła przed sądem.

„Zdawało mi się – wspominała – patrząc na tę salę, że jestem przeniesiona do innej epoki, że czytam powieść jakąś z czasów Wielkiej Rewolucji, że za tym stołem stanie jakiś płomienny mówca ludu francuskiego i padną stamtąd krwawe słowa skazujące dwie młode głowy na gilotynę”<sup>[50]</sup>.

Glinczanka była bowiem sądzona m.in. z Zofią Bordecką, koleżanką z konspiracji. Rozprawie przewodniczył Wasilij Ulrich – ten sam, który w 1945 roku wyda wyrok na 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. W ostatnim słowie peowiaczka powiedziała, że jeżeli jej działalność przyniosła Polsce chociaż trochę korzyści, to niczego nie żałuje i czuje się szczęśliwa<sup>[51]</sup>.

Oczywiście skazano ją na śmierć, ale egzekucja została wstrzymana. W marcu 1923 roku Maria Glinczanka wróciła do Polski w ramach wymiany więźniów politycznych.

W 1934 roku sowieckie organy bezpieczeństwa na Ukrainie przypomniały sobie o POW i „reaktywowały” jej działalność. Była to „biurokratyczna fantazja” uzasadniająca masowe represje wobec Polaków<sup>[52]</sup>.



**Bolesław Wieniawa-Długoszowski jako oficer  
Pierwszej Kompanii Kadrowej, Kielce 1914 r.**  
(NAC)



**Komenda naczelna POW w 1914 r. Bogusław  
Miedziński siedzi pierwszy od prawej.**  
(Wikimedia Commons)

Rzekome, nieprzerwane istnienie POW miało usprawiedliwiać wszystkie sowieckie niepowodzenia, a szczególnie – tragiczny wielki głód na Ukrainie. Czekiści jednak „zdemaskowali” kontrrewolucyjną i szpiegowską organizację. Była to uwertura do operacji polskiej zarządzanej w 1937 roku przez Nikołaja Jeżowa, szefa NKWD.

## ROZDZIAŁ 17

# KIJÓW 1920

W polskiej literaturze historycznej wymienia się wiele przykładów „moralnych zwycięstw” czy też „zwycięskich odwrotów”. A tak naprawdę chyba tylko jedna sytuacja z naszych dziejów zasługuje na to drugie określenie – szkoda jednak, że pozostaje niemal całkowicie nieznana. Mało kto zdaje sobie bowiem sprawę, że gdyby nie mistrzowskie (nie ma w tym słowie żadnej przesady) dowodzenie generała Edwarda Śmigłego-Rydza podczas odwrotu z Kijowa losy Bitwy Warszawskiej zapewne potoczyłyby się inaczej. A wraz z nimi – także dzieje Europy i świata.

## Przed marszem nad Dniepr

Niewypowiedziana wojna z bolszewikami trwała od grudnia 1918 roku, gdyż ewakuacja okupacyjnych wojsk austriackich i niemieckich spowodowała bezpośredni kontakt operacyjny z Armią Czerwoną. Jednak w ciągu całego następnego roku walki były rzadkością i właściwie ograniczały się wyłącznie do północnej części frontu. Właśnie tam rozegrała się bitwa o

Wilno, a w późniejszych miesiącach doszło do polskiego ataku na obsadzony przez Rosjan łotewski Dyneburg.

W tym czasie Sowieci mieli własne problemy – z armiami Antona Denikina i Aleksandra Kołczaka walczyli o przetrwanie. Piłsudski nie zamierzał wspierać kontrrewolucji, bowiem bardziej obawiał się „białych” niż bolszewików. „Biali” generałowie w najlepszym wypadku aprobowali powstanie państwa polskiego w ścisłych granicach etnograficznych (nawet bez Białegostoku), a w tym układzie nie było miejsca dla niepodległej Ukrainy czy państw bałtyckich mających oddzielać Polskę od Rosji.

Piłsudski uważał system komunistyczny za przejściowy eksperyment, bez realnych szans na przetrwanie. W interesie Polski leżały więc zamęt w Rosji i maksymalne osłabienie imperium, pozwalające na stworzenie systemu bezpieczeństwa na wschodniej granicy. I chociaż państwa ententy nalegały na udzielenie pomocy Denikinowi, Komendant kluczył i znajdował przeciwwskazania.

W tym czasie armia Denikina osiągała wielkie sukcesy: na zachodniej flance zajęła Kijów, podporządkowując sobie Ukraińską Republikę Ludową, natomiast na wschodzie opanowała Carycyn nad Wołgą (lepiej znany jako Stalingrad). We wrześniu „biali” Rosjanie szykowali się do zadania ostatecznego ciosu Rosji bolszewickiej, dochodząc do Tuły – miasta leżącego 170 kilometrów od Moskwy.

W lipcu 1919 roku Polacy wysłali do kwatery głównej Denikina w Taganrogu misję dyplomatyczną. „Biali” Rosjanie byli bowiem ludźmi niereformowalnymi i stali na stanowisku, że należy odbudować Rosję wielką i niepodzielną, zatem Polska mogłaby istnieć jedynie w granicach dawnego Królestwa Kongresowego. Zażądali wywieszenie rosyjskich flag na wschód od Bugu, przekazania na tych terenach administracji cywilnej w ręce Rosjan oraz ewakuacji Wojska

Polskiego z Podola i Wołynia. Proponowali również, by Polacy uderzyli na bolszewików w okolicy Mohylewa, co ułatwiłoby marsz na Moskwę. Denikin wiedział, że ma poparcie Francji, zatem jego propozycje nie podlegały żadnym negocjacjom: Polacy mieli je po prostu przyjąć.

Piłsudski stanowczo odrzucił rosyjski dyktat. Jako Wódz Naczelny wiedział, że Wojsko Polskie nie dysponuje jeszcze wystarczającymi siłami, by zdecydować się na tak dużą operację. Współpraca z Denikinem wywołałaby również olbrzymie niezadowolenie społeczne, gdyż oznaczałaby zaprzepaszczenie kilkumiesięcznych wysiłków wojennych na wschodzie Polski i przelew krwi w interesie „białej” Rosji. Przede wszystkim jednak po prostu nie mógł się zgodzić na dyktat Denikina, bowiem byłoby to równoznaczne z utratą niepodległości – Polska znalazłaby się w sytuacji sprzed wybuchu I wojny światowej.

Tymczasem jeszcze w 1919 roku w Polsce pojawił się Julian Marchlewski, który posiadał doskonałe znajomości w sferach rządowych, sięgające czasów początku ruchu socjalistycznego. Skontaktował się z Józefem Beckiem – wiceministrem spraw wewnętrznych (ojcem przyszłego ministra spraw zagranicznych), swoim dawnym współpracownikiem z czasów Związku Robotników Polskich. Po wstępnych rozmowach przekroczył granicę frontu, a po uzyskaniu szerokich pełnomocnictw od Lenina przybył do Białowieży na nieformalne rokowania.

Dyskretne negocjacje kontynuowano w Mikaszewiczach na Polesiu (jako rozmowy Polskiego i Rosyjskiego Czerwonego Krzyża). Strona polska zobowiązała się do zatrzymania wojsk na zajmowanych aktualnie pozycjach, proponując Sowiecom wycofanie się o 10 kilometrów w celu stworzenia pasa neutralnego. Jednocześnie zażądano od bolszewików przerwania agitacji komunistycznej w armii polskiej oraz

nieatakowania sił ukraińskiego atamana Petlury, podkreślając poparcie dla łotewskich aspiracji do Dyneburga.

Piłsudskiego interesowała wyłącznie polska racja stanu, zignorował zatem żądanie ententy, by zaatakować Armię Czerwoną w okolicach Mozyrza, co Sowieci gorliwie wykorzystali. Denikin po latach żalił się, że z frontu polskiego ściągnięto 40 tysięcy żołnierzy, których udział w walkach rozstrzygnął losy wojny.

Naczelnik ze spokojem przyglądał się rozwojowi sytuacji. Wszelkiej maści Rosjan zawsze bowiem traktował jako wrogów Polski, niezależnie od tego, czy byli biali, czy czerwoni:

„Zarówno bolszewikom – mówił – jak i Denikinowi jedno jest tylko do powiedzenia – jesteście potęgą, a wyście trupy. Mówiąc inaczej, językiem żołnierskim: dławcie się, bijcie się, nic mnie to nie obchodzi, o ile interesy Polski nie będą zahaczane. A jeśli gdzie zahaczycie je, będę bił. Jeśli gdziekolwiek i kiedykolwiek was nie biję, to nie dlatego, że wy nie chcecie, ale dlatego, że ja nie chcę. Lekceważę, pogardzam wami”<sup>[1]</sup>.

## Przymierze z Petlurą

Komendant dotrzymał słowa. Nie uderzył na Mozyrz, jak sobie tego życzyli Denikin i ententa, ale zerwał rozmowy z bolszewikami. Realizując własną politykę, nie chciał się krępować żadnymi zobowiązaniami. Miał własne plany i nie zamierzał z nich rezygnować.

Doskonale jednak wiedział, że starcie z bolszewikami jest nieuniknione. Politycy z Kremla grali na zwłokę, składając



stronie polskiej atrakcyjne propozycje pokojowe. W rzeczywistości dążyli do izolacji Ukrainy, której tylko Polska mogła udzielić pomocy. Zaś Piłsudski traktował niezależny rząd w Kijowie jako podstawę bezpieczeństwa naszego kraju. Zresztą Sowieci nie zamierzali poprzestać wyłącznie na Ukrainie – Polska nie tylko była dla nich konkurentem do wpływów nad Dnieprem, lecz także odgradzała Rosję od zrewoltowanych Niemiec. A to uniemożliwiało eksport rewolucji w Europie.

Tymczasem wojna domowa na wschodzie wciąż trwała. Gdy zimą resztki rozbitej armii Denikina wycofywały się na południe, rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej zerwał więzy narzucone mu kilka miesięcy wcześniej i próbował dojść do porozumienia z Polską. Negocjacje utrudniała sprawa granicy – ostatecznie jednak w lutym 1920 roku zapadła decyzja, że zgodnie z dawną granicą rosyjsko-austriacką zostanie wytyczona na rzece Zbrucz. Był to niewątpliwy sukces Warszawy.

W zamian za ustępstwa graniczne Ukraińcy otrzymali pomoc Rzeczypospolitej w odbudowie swojego państwa. W Warszawie decyzja ta wywołała wewnętrzne spory – chociaż nie brakowało głosów, że restytucja Ukrainy osłabi wroga Polsce Rosję, część polityków uważała jednak, że w ten sposób powstanie kolejne, nieprzychylne Polsce państwo. Warto pamiętać, że odbudowa Ukraińskiej Republiki Ludowej miała wielkie znaczenie polityczne – przekreślała bowiem niekorzystne dla naszego kraju decyzje państw ententy, z linią Curzona jako wschodnią granicą Polski na czele.

21 kwietnia 1920 roku zawarto umowę polityczną i konwencję wojskową z Symonem Petlurą pełniącym obowiązki prezesa Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej. Władze naszego kraju uznały atamana i jego współpracowników za jedyńych przedstawicieli narodu

ukraińskiego, chociaż wojska Petlury zostały wcześniej przez bolszewików rozbite, a sam Petlura przebywał w Warszawie.

## Tramwajem do Kijowa

Wojsko Polskie ruszyło do ofensywy 25 kwietnia 1920 roku. Brały w niej udział trzy polskie armie: na północy atakowała grupa uderzeniowa (późniejsza 3 Armia) dowodzona przez „Śmigłego”, w centrum generał Antoni Listowski stał na czele 2 Armii, a na południu walczyła 6 Armia generała Wacława Iwaszkiewicza. Rosjanie bronili się dwiema armiami: XII na północy oraz XIV na południu, w skład których wchodziły po cztery dywizje strzeleckie i po dywizji jazdy. Armie Wojska Polskiego z reguły składały się z trzech dywizji piechoty oraz brygady jazdy. Zatem siły były wyrównane.

Wśród żołnierzy Armii Czerwonej panowało niskie morale, oddawali teren praktycznie bez walki, zatem Polacy odnieśli błyskawiczny sukces. Rosyjskiego odwrotu nie zatrzymały nawet zagony wykonywane przez polską kawalerię oraz – po raz pierwszy w tej wojnie – formacje zmechanizowane. Pierwszy cel kampanii, czyli zniszczenie armii rosyjskich, nie został zrealizowany, a skoro w nocy z 26 na 27 kwietnia osiągnięto zamierzone cele terenowe, polskie siły zatrzymały się. Nie skorzystano w ten sposób z okazji, by wkroczyć do Kijowa za uciekającymi czerwonoarmistami.

Dopiero 28 kwietnia Józef Piłsudski wydał „Śmigłemu” rozkaz przygotowań do marszu na Kijów. Polskie dowództwo spodziewało się, że Rosjanie zechcą bronić ukraińskiej stolicy i skupią tam swoje siły, dzięki czemu będzie okazja do ich zniszczenia. Zatem bez pośpiechu koncentrowano wojska – 1 Dywizji Piechoty Legionów, 15 Dywizji Piechoty i 7 Brygady

Jazdy – oraz amunicję dla ciężkiej artylerii. Akcja miała się rozpocząć po 3 maja, gdy w Kijowie pojawią się większe siły rosyjskie.

Czekano jednak bezowocnie i dopiero 6 maja Polacy ruszyli do przodu. Dużo było w tym jednak przypadku – pododdziały rozpoznawcze nie stwierdziły bowiem obecności nieprzyjaciela i wyruszyły na jego poszukiwania. Za nimi podążyły macierzyste pułki, a wyżsi dowódcy zaakceptowali sytuację.

Podobno pierwsi żołnierze wjechali do Kijowa... tramwajem. W jaki sposób odbywała się ta podróż, nie wiadomo. Być może zachowali się jak na prawdziwych „polskich panów” przystało i wykupili u konduktora bilety? Niewykluczone jednak, że obsługę zmuszono do jazdy, a sam tramwaj miał zostać uzbrojony w karabin maszynowy. W ten sposób dojechali ponoć do Chreszczatyka, głównej ulicy śródmieścia Kijowa.

Jak to z legendami bywa, najtrudniej ustalić prawdziwy przebieg wypadków. Nie wiadomo nawet, kto dowodził tą tramwajową eskapadą. Według jednych relacji miał to być podporucznik Olszewski z 1 Pułku Szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego, a według innych – porucznik Olszewski z I Brygady Piechoty Legionów. Niektórzy twierdzili, że pierwszy Olszewski wjechał do ukraińskiej stolicy wieczorem, natomiast drugi powtórzył jego wyczyn rankiem. Być może zresztą nie był to żaden z nich, tym bardziej że nigdzie nie padło imię „zdobywcy” Kijowa. Zaś późniejsze roczniki oficerskie wymieniają aż kilkudziesięciu Olszewskich...

Inna sprawa, że bezproblemowe wkroczenie Wojska Polskiego do miasta zaskoczyło wszystkich – nie tylko Piłsudskiego i „Śmigłego”, lecz także mieszkańców i służby porządkowe. Na zachowanych fotografiach widać bowiem zwarte oddziały wojskowe przeciskające się między

wiwatującymi mieszkańcami i unieruchomionymi na środku ulic tramwajami.

W Polsce wybuchła euforia. Piłsudskiego porównywano do Bolesława Chrobrego, a „Śmigłego” – do Janusza Radziwiłła, bohatera *Potopu*. Pamiętano bowiem, że właśnie ten hetman był ostatnim wodzem Rzeczypospolitej, który zajął Kijów. Miało to miejsce na początku sierpnia 1651 roku podczas powstania Chmielnickiego...

## Ostatnie dni w Kijowie

Tydzień, który Polacy spędzili na przedpolach Kijowa, Rosjanie wykorzystali na wycofanie się za Dniepr. Ich straty są trudne do oszacowania, gdyż w tym okresie więcej żołnierzy zdezerterowało, niż zginęło w efekcie bezpośrednich walk. Natomiast straty polskie to zaledwie 150 poległych.

Gorzej, że na opanowanych terenach chłopci masowo występowali przeciw naszym wojskom, uważając, że wraz z nimi wrócą polscy właściciele ziemscy. Bolszewicy rozpoczęli już bowiem reformę rolną i nowym właścicielom groziła teraz rewindykacja majątków. Chłopi popierali zatem władzę radziecką, nie przypuszczając, jak straszny los zgotują im za kilka lat politycy z Kremla. Ale czy ktoś mógł przewidzieć sprowokowaną przez Sowietów potworną klęskę głodu i kilka milionów ofiar na Ukrainie?

Na domiar złego administracja Petlury nie miała szans na odbudowanie struktur państwowych. Wprawdzie ogłoszono pobór do wojska, lecz brakowało urzędników do jego przeprowadzenia – wojsko ukraińskie zostało zasilone jedynie nielicznymi ochotnikami. Do tego na ziemiach wyzwolonych spod rosyjskiej okupacji władzę przejmowali lokalni

watażkowie, którzy ignorowali polecenia władz centralnych i nie chcieli się dzielić posiadanymi zasobami.

Front polsko-bolszewicki składał się z dwóch części rozdzielonych bagnami Polesia. Z północy, z terenów litewsko-białoruskich, nadchodziły informacje o olbrzymiej koncentracji sił rosyjskich przygotowujących się do potężnej ofensywy. W Warszawie zdecydowano o skierowaniu tam wszystkich możliwych wzmocnień, także z Ukrainy. Na południu miały pozostać znacznie skromniejsze siły obronne, gdyż uważano, że „Śmigły” poradzi sobie ze stacjonującymi tam wojskami sowieckimi. Było ich jednak coraz więcej, a wśród nich pojawiła się również Armia Konna Siemiona Budionnego.

Ofensywa rosyjska na Ukrainie rozpoczęła się 26 maja 1920 roku, a jej głównym celem było zniszczenie 3 Armii stacjonującej wokół Kijowa oraz odepchnięcie 6 Armii zajmującej pozycje na południe od miasta. Sowietami dowodził Aleksandr Jegorow, którego komisarzem politycznym był Józef Stalin. Planowano, że część sił rosyjskich zaatakuje Kijów i zwiąże „Śmigłego” walką, a w tym czasie reszta bolszewickich oddziałów otoczy miasto. Natomiast Konarmia Budionnego miała za zadanie powstrzymać wszelkie próby odsieczy dla Kijowa.

Siły rosyjskie były trzykrotnie liczniejsze. Wprawdzie ich przewagę ilościową Polacy częściowo niwelowali lepszym wyszkoleniem i dobrą artylerią, jednak praktycznie każde z czterech bolszewickich ugrupowań atakujących Kijów powinno samodzielnie poradzić sobie z wojskami „Śmigłego”. Na szczęście generał po raz kolejny pokazał swoją prawdziwą wartość na froncie.

Przez pierwsze 10 dni postępy Sowietów były minimalne, gdyż „Śmigły” umiejętnie manewrował odwodami, wspierając zagrożone odcinki. Z tego powodu Naczelne Dowództwo w

Warszawie zrezygnowało nawet z przysłania pod Kijów dodatkowych dwóch dywizji, kierując je na front białoruski. Były to jednak tylko przejściowe sukcesy, bo niebawem „Śmigły” znalazł się w bardzo trudnej sytuacji.

Podstawowy problem stanowił bowiem kompletny brak łączności – „Śmigły” nie miał kontaktu z dowodzącym frontem ukraińskim generałem Antonim Listowskim ani także z Piłsudskim w Warszawie. Używane wówczas telefony polowe nie pozwalały na rozmowy dalekodystansowe, telegraf drutowy nie działał, radiostacja nie miała zasięgu, a samoloty nie mogły wystartować z błotnistych lotnisk. Do „Śmigłego” docierały zaledwie strzępki informacji, zatem uznał, że aktualne są rozkazy z końca maja, czyli obrona Kijowa za wszelką cenę i oczekiwanie na posiłki. O tym, że wysłano je na Białoruś, nie wiedział.

Tymczasem Armia Konna przerwała polski front na styku między 3 a 6 Armią, a informacja o tym dotarła do Kijowa dopiero po 48 godzinach. Oznaczało to, że miasto mogło zostać odcięte. Na domiar złego nadeszła też wiadomość, że dowództwo frontu opuściło już swoją kwaterę w Żytomierzu. Była to tragedia dla oddziałów „Śmigłego”, gdyż przez Żytomierz położony o 130 kilometrów na zachód od Kijowa biegło bezpośrednie połączenie drogowe z Polską. W tej sytuacji pozostawał wyłącznie drugi szlak ewakuacyjny – droga i linia kolejowa prowadzące przez Korosteń leżący bardziej na północ.

„Śmigły” przywykł jednak do wykonywania rozkazów. Wiedział też, że zapasy wystarczą mu na dwa tygodnie. Dostał polecenie bronić miasta – i zamierzał to respektować, tym bardziej że do 15 czerwca miało przybyć obiecane wzmocnienie. Drogą kolejową przez Korosteń rozpoczął ewakuację rannych, chorych i cywilów. Wówczas otrzymał od

Listowskiego rozkaz opuszczenia Kijowa i uderzenia na Żytomierz.

Generał uznał to polecenie za niewykonalne i pamiętając o rozkazach od Naczelnego Wodza, zażądał jego powtórzenia przez dowództwo w Warszawie. Specjalnie w tym celu wysłano samolot, dowodząc, że szanse powodzenia ataku na Żytomierz są minimalne, a poza tym przez miasto nie prowadziła linia kolejowa. W tej sytuacji musiałby porzucić tabory, rannych i cywilów, a odwrót zamieniłby się w ucieczkę. Twierdził także, że w Kijowie utrzyma się wystarczająco długo, by zdążyła nadejść odsiecz.

Kolejny rozkaz dotarł do Kijowa (samolotem) po południu 9 czerwca, podpisał go szef Sztabu Generalnego, generał Stanisław Haller. Nakazywano przeprowadzić odwrót w kierunku na Korosteń, co było możliwe do wykonania. „Śmigły” zrozumiał, że nie dostanie żadnych wzmocnień, i zarządził wysadzenie mostów na Dnieprze. Ta decyzja potwierdza, że zdawał sobie sprawę, iż ewakuacja Kijowa ma charakter ostateczny. Przez ostatnie sześć lat miasto przechodziło kilkanaście razy z rąk do rąk, ale nikt nigdy nie zniszczył przepraw mostowych. Wszyscy okupanci mieli bowiem nadzieję, że wrócą do ukraińskiej stolicy, i nie chcieli utrudniać sobie życia.

Edward Śmigły-Rydz opuścił Kijów następnego dnia po południu. Jechał odkrytym samochodem, kierowca prowadził pojazd bardzo wolno, by nie wzbudzać w mieście niepotrzebnej paniki. Przez kilka kolejnych godzin generał zajmował się organizacją szyku i kolumn marszowych, w efekcie – jeszcze przed zapadnięciem zmroku – wojsko zaczęło wychodzić z miasta.

## Mistrzowski odwrót

Przypominało to prawdziwy exodus. Na czele szyku, wzdłuż torów kolejowych maszerowała 1 Dywizja Piechoty Legionów. Za nią kilometrami ciągnęły się tabory wojskowe i cywilne, wśród których straż pełniła ukraińska 6 Dywizja. Większość cywilów – zarówno obywatele Kijowa narodowości polskiej, jak i Ukraińcy oraz przedstawiciele dyplomatyczni przy rządzie Petlury – podróżowała kilkudziesięcioma pociągami jadącymi w tempie marszu. Od północy kolumnę osłaniały pułki strzelców podhalańskich pułkownika Józefa Rybaka, a od południa – 7 Dywizja Piechoty.

Przed południem 11 czerwca, zaledwie 20 kilometrów od Kijowa, natknięto się na bolszewików. Była to 25 Dywizja Strzelców, doborowa jednostka dowodzona niegdyś przez legendarnego Wasilija Czapajewa. Rosjanie obsadzali most kolejowy na rzeczce Zdwiż, blokując odwrót „Śmigłego”. W normalnych warunkach opanowano by przeprawę, korzystając z przewagi w artylerii, ale teraz nie można było użyć dział, gdyż pociski zniszczyłyby most, co uniemożliwiłoby przejazd pociągom. Dlatego dopiero pod wieczór polskie oddziały zdobyły przeprawę i opanowały stację w pobliskiej Borodziance. Miejscowość ta pozostała jednak w rękach Rosjan – prowadzili stamtąd ogień, co nie pozwalało saperom na naprawę uszkodzonego mostu.

Następnego dnia o świcie Polacy wznowili atak. Do walki przyłączyły się oddziały wysłane przez „Śmigłego” w górę rzeczki, które po jej sforsowaniu obeszyły pozycje bolszewików. Pośpiech był konieczny, gdyż w kierunku placu boju zdążyły sowieckie posiłki. Zresztą Rosjanie kontratakowali, nie zważając na straty – jeden z bolszewickich



pułków właściwie przestał istnieć rozstrzelany ogniem ponad setki karabinów maszynowych i kilkunastu dział.

Bojem piechoty legionowej pod Borodzianką znakomicie dowodził pułkownik Stefan Dąb-Biernacki. „Śmigły” nie musiał się też martwić o południowe skrzydło – wszystko przebiegało tam bez zakłóceń. Natomiast grupa pułkownika Rybaka natknęła się na kolejne jednostki sowieckie i odeszła w kierunku południowym. W tej sytuacji „Śmigły” nakazał pułkownikowi jak najszybsze przybycie pod Borodziankę i wzmocnienie polskich sił. Chcąc ułatwić wykonanie rozkazu, polecił kolumnom taborowym zejście z drogi i przebijanie się leśnymi szlakami na zachód. Okazało się to szczęśliwym posunięciem – tabory nie natknęły się już na Rosjan i kilkanaście godzin później dołączyły do wojsk.

Nadejście podhalańczyków pułkownika Rybaka pozwoliło wreszcie odepchnąć Rosjan od mostu, który stał się przejezdny około godziny 18. Jako pierwszy przekroczył go pociąg pancerny „Paderewski”, a za nim kolejne składy ewakuacyjne. Jednak dalsza wędrówka nie była możliwa – całodobowy bój bardzo osłabił żołnierzy. Na szczęście równie wyczerpani byli bolszewicy, dlatego noc upłynęła spokojnie.

Rankiem zaatakowali Sowieci, doszło do jeszcze bardziej zażartych walk niż poprzedniego dnia. W pewnej chwili polskim karabinom maszynowym dosłownie zaczęły się przegrzewać lufy, a działom brakowało już amunicji. Tym razem decydująca okazała się kondycja polskiego piechura: Dąb-Biernacki zebrał odpowiednio silne odwody, a „Śmigły” rzucił je do boju we właściwym momencie. Legioniści wyparli rosyjską piechotę, zaś artyleria po uzupełnieniu amunicji rozbiła czerwoną konnicę. W południe bitwa była zakończona, Sowieci zostali zmuszeni do panicznego odwrotu na północ. „Śmigły” zakazał jednak pościgu – nie zapomniał bowiem, że

jego celem nie było rozbić wroga, lecz wyprowadzenie wojsk i cywilów w bezpieczne miejsce.

15 czerwca 3 Armia nawiązała bezpośrednią łączność z zapleczem, a trzy dni później osiągnęła rejon Korostenia, co oznaczało zakończenie pierwszej fazy odwrotu. Przy okazji jej południowe skrzydło natknęło się na jedną z konnych dywizji Budionnego i ją rozproszyło. Okazało się jednak, że zniszczenie Konarmii jest tak samo trudne jak pokonanie zagonów tatarskich przed wiekami. Chociaż Polacy mieli przewagę ognia, w chwili porażki podwładni Budionnego rozpraszała się, a potem ponownie odzyskiwali sprawność bojową.



**Józef Piłsudski i Symon Petlura w Winnicy 16 maja 1920 r.**

(Wikipedia)

Wymarsz z Kijowa i odejście 150 kilometrów na zachód dało „Śmigłemu” kilka dni wytchnienia. Odbudowano wówczas

zdolność bojową, dokonano także reorganizacji dowodzenia. 15 czerwca „Śmigły” przestał być formalnym dowódcą 1 Dywizji Piechoty Legionów i mógł się skupić na dowodzeniu 3 Armią. Nie był to jednak koniec zmian – kilka dni później powierzono mu dowodzenie całym Frontem Ukraińskim. Od tej chwili zaczęto używać określenia Front Śmigłego-Rydza, a później Front Południowo-Wschodni.

„Śmigły” po raz kolejny udowodnił swoją wyższość nad starszymi od niego oficerami z armii zaborczych. Warto też zapamiętać nazwiska podlegających mu wtedy polskich oficerów. Poza wspomnianymi już Dąbem-Biernackim i Rybakiem byli to: Juliusz Rómmel, Władysław Bortnowski i Tadeusz Kutrzeba. Czyli dowódcy, którzy odegrali pierwszoplanową rolę podczas odwrotu w trakcie wrześniowych walk 1939 roku...

Pierwszą decyzją „Śmigłego” jako dowódcy frontu była reorganizacja jazdy. Chociaż nie uważał, by miała ona zdolność do wykonywania samodzielnych operacji, to jednak do pokonania Konarmii potrzebna była podobna formacja. Dlatego generał wycofał na zachód znużone pułki ułanów i połączył je w 1 Dywizję Jazdy, którą dowodzić miał Rómmel.

Tymczasem jednak sowiecki front przesuwał się na zachód – od Polesia po Dniestr. Polska 6 Armia generała Iwaszkiewicza wraz z sojuszniczymi wojskami ukraińskimi wycofała się w kierunku granicy państwowej na Zbruczu, a od północy, od strony Polesia, nadchodziły kolejne siły sowieckie. Ogółem bolszewicy osiągnęli dwukrotną przewagę w dywizjach piechoty, a jeszcze większą w kawalerii. Wprawdzie uderzenie sowieckie na Białorusi zostało odparte, ale gdy 4 lipca tamtejsze siły pod wodzą Michała Tuchaczewskiego rozpoczęły nową ofensywę, odniosły ogromny sukces. Polskie wojska cofały się w tempie znacznie szybszym niż na Ukrainie

i niebawem Sowietci stanęli na granicy dawnego Królestwa Kongresowego.

Na początku sierpnia „Śmigłemu” udało się osaczyć Budionnego w Brodach. Jednocześnie na skrzydłach przeszły do uderzenia 3 i 6 Armia, wiążąc wojska rosyjskie i nie pozwalając im przyjść z pomocą Armii Konnej. Niestety, wówczas do sztabu 3 Armii, w którym przebywał Józef Piłsudski, dotarła wiadomość, że Władysław Sikorski utracił Brześć nad Bugiem, co oznaczało, że Armia Czerwona wyszła na tyły Frontu „Śmigłego”. W efekcie, zamiast zadać ostateczny cios Armii Konnej, „Śmigły” musiał przerwać walkę i odejść z dywizjami piechoty na zachód.

Pamięć o znakomicie przeprowadzonym odwróceniu spod Kijowa jednak pozostała, a potwierdzeniem tego faktu była rozmowa z marca 1942 roku między Józefem Stalinem a generałem Władysławem Andersem. Kremlowskiemu dyktatorowi najwyraźniej sprawa mocno zapadła w pamięć – gdy bowiem rozmowa zeszła na Śmigłego-Rydzę, zauważył, że był on „niezłym dowódcą, w 1920 roku dobrze dowodził na Ukrainie”. Rzadko zdarzało się, by Stalin chwalił swoich przeciwników, zwłaszcza jeśli z ich powodu doznał niepowodzeń...

Przez całe lata trwała (i zapewne jeszcze długo potrwa) dyskusja na temat Bitwy Warszawskiej. Zawsze pada wówczas sakramentalne pytanie – kto był ojcem zwycięstwa? Kandydatów jest wielu: Józef Piłsudski, który bitwą dowodził; jego szef sztabu, Tadeusz Rozwadowski; Maxime Weygand, który był słynnym gościem z zagranicy; a nawet Józef Haller, nominalny dowódca Armii Ochotniczej.

Jednak prawdziwym architektem polskiego sukcesu był Edward Śmigły-Rydz. Gdyby jego wojska uciekały przed Jegorowem i Budionnym w takim samym tempie, jak na Białorusi wycofywano się przed Tuchaczewskim, Warszawa

bez problemu zostałyby zdobyta. Nie byłoby bowiem ani sił do wyprowadzenia uderzenia znad Wieprza, ani miejsca, skąd to uderzenie można by wyprowadzić.

## ROZDZIAŁ 18

# MIŃSK PRZEGRANY W RYDZE

15 października 1920 roku Wojsko Polskie zdobyło Mińsk, ale zgodnie z postanowieniami właśnie zawartego rozejmu Polacy wycofali się stamtąd już następnego dnia. Podczas rokowań w Rydze nie podjęli też walki dyplomatycznej o to najważniejsze na ziemiach białoruskich miasto – oddano Sowiecom nie tylko Mińsk, lecz także jego okolicę, gdzie mieszkało ponad 150 tysięcy Polaków.

## Rokowania w Rydze

Trzy tygodnie wcześniej, 21 września 1920 roku, w Domu Bractwa Czarnogłowych w stolicy Łotwy rozpoczęły się rozmowy pokojowe z bolszewikami. Niestety, strona polska zgodziła się, by po przeciwnej stronie zasiedli przedstawiciele sowieckiej Ukrainy, co oznaczało porzucenie sojusznika, czyli Ukraińskiej Republiki Ludowej. Zdecydowały o tym twarde realia: nie było szans na powtórzenie wyprawy kijowskiej i ponowną próbę reaktywowania ukraińskiego państwa ze stolicą w Kijowie.

Polska delegacja nie dopuściła natomiast do rozmów na temat Galicji Wschodniej. Przewodniczący delegacji, Jan

Dąbski, argumentował, że kraina ta nigdy nie należała do Rosji, ignorując jednocześnie fakt, że upominali się o nią delegaci z bolszewickiej Ukrainy. Główny negocjator ze strony bolszewickiej, Adolf Joffe, nie nalegał zresztą na dyskusję o Galicji Wschodniej. Dla Moskwy było bowiem ogromnym sukcesem, że Warszawa przyjęła do wiadomości istnienie bolszewickiej Ukrainy.

Wprawdzie układ Polski z Ukraińską Republiką Ludową ustalający granicę na Zbruczu był nieaktualny, a front przebiegał znacznie dalej na wschód od tej rzeki, jednak polscy przedstawiciele nie zażądali powiatów kamienieckiego i płoskirowskiego. Zignorowano zupełnie fakt, że zamieszkiwała tam znaczna liczba ludności polskiej.

Endecki polityk, Stanisław Grabski, przekonał kolegów z polskiej delegacji, że takie postępowanie będzie potraktowane przez Sowietów jako gest dobrej woli i potwierdzenie faktu, że Rzeczpospolita pozostawiła Ukrainę w strefie interesów rosyjskich.

Jednak Joffe nie zamierzał zadowalać się wyłącznie Ukrainą i stwierdził, że także Białoruś powinna pozostać pod kontrolą Moskwy. Argumentował, iż Kreml „ma zobowiązania wobec jej ludności i musi uchronić ją przed powrotem polskich panów”<sup>[1]</sup>. W tej sytuacji zaproponował, by granica przebiegała wzdłuż nieznacznie skorygowanej w kierunku wschodnim linii Curzona.

Na to absolutnie nie zamierzał się zgodzić Dąbski, który stwierdził, że albo granice Polski zostaną przesunięte daleko na wschód, albo obie strony zgodzą się na niepodległość Białorusi.

## Kwestia Mińska

Jednak Moskwa nie po to wykreowała bolszewicką Białoruś, by zgodzić się na jej niezależny byt państwowy. W praktyce oznaczałoby to powrót do polskich idei federacyjnych, do czego politycy na Kremlu nie mogli dopuścić. Joffe oświadczył więc, że może się zgodzić na granicę przebiegającą na zachód od linii kolejowej biegnącej z Lidy przez Baranowicze, Sarny, Łuniniec do Brodów. Dąbski odparł, że jest to niemożliwe, gdyż linia kolejowa ma znaczenie strategiczne dla Polski i musi do niej należeć. Dodatkowo, by zapewnić jej bezpieczne funkcjonowanie, granica powinna zostać odsunięta kilkadziesiąt kilometrów na wschód. Ostatecznie Joffe zgodził się z polskim stanowiskiem.

Nawet jednak przy takim przebiegu granicy Mińsk pozostałby po stronie bolszewickiej. Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że polscy dyplomaci byli podzieleni w sprawie Mińszczyzny. Właściwie tylko dwóch członków delegacji dążyło do włączenia jej do Polski. Byli to: Leon Wasilewski, faktyczny przedstawiciel Józefa Piłsudskiego podczas rokowań w Rydze, i profesor Witold Kamieniecki.

Gdyby Mińszczyzna odpadła od Rosji, wciąż można by jeszcze myśleć o programie federacyjnym, chociaż uszczuplonym o Ukrainę. Mirosław Obieziński, reprezentant Polaków z ziem białoruskich na konferencję, przedstawiał ich stanowisko członkom delegacji. Zaproponował, by Białoruś została połączona z Polską „najsilniejszym węzłem, jednakże z uwzględnieniem autonomicznych praw naszych”<sup>[2]</sup>.

Zdecydowanie sprzeciwiał się temu Stanisław Grabski, który przekonał do swoich poglądów innych członków polskiej delegacji: socjalistę Norberta Barlickiego i ludowca Władysława Kiernika. Grabski dowodził, że białoruska ludność prawosławna odczuwa bliższy związek z Rosją (niezależnie od tego, czy białą, czy czerwoną) niż z Polską. W tej sytuacji losy federacji zapowiadały się bardzo niepewnie i lepiej by było,



gdyby katolicka część Białorusi została wcielona do Polski, a prawosławna pozostawiona Rosji. Obawiał się również, że wraz z postępowaniem oświaty pojawią się narodowe dążenia Białorusinów. A sądził, że szczególnie wyznawcy wschodniej odmiany nie będą przyjaźnie nastawieni do Polski. Dowodził, że po włączeniu Mińszczyzny do Rzeczypospolitej to właśnie oni dominowałiby na ziemiach położonych na wschód od Grodna <sup>[3]</sup>.

Endecki polityk podnosił również, że Mińsk był centrum Cerkwi prawosławnej na ziemiach białoruskich, a jej duchowieństwo miało przekonania „nacjonalistycznie rosyjskie”. Gdyby zatem miasto znalazło się w granicach Polski, natychmiast stałoby się ośrodkiem tego nacjonalizmu.

Było to zgodne z endeckimi koncepcjami, że Polska nie może żądać zbyt daleko wysuniętej granicy w kierunku wschodnim, gdyż nie będzie w stanie zasymilować Białorusinów i Ukraińców ani też zapanować nad ich dążeniami narodowymi. Kwestia ukraińska została już rozstrzygnięta, granica przebiegała na Zbruczu – i tego trzymała się polska delegacja.

Natomiast na ziemiach białoruskich nasi rodacy powinni stanowić co najmniej 65 proc. ludności. W innym wypadku Rzeczpospolita nie mogłaby prowadzić „polityki prawdziwie polskiej albo też musiałaby ją narzucać połowie swej ludności policyjną przemocą”. W tej sytuacji nie mogłaby się stać „państwem naprawdę praworządnym”<sup>[4]</sup>.

Trudno powiedzieć, dlaczego endecja uznała, że akurat 65 proc. Polaków stanowi próg, poniżej którego państwu miało grozić wewnętrzne niebezpieczeństwo. Był to jednak punkt wyjścia dla argumentacji, że jeżeli do Polski zostanie włączona Mińszczyzna, wówczas Polaków będzie w kraju zbyt mało, co utrudni normalne funkcjonowanie państwa.

Z zupełnie innej perspektywy widział sprawę Mińska Leon Wasilewski. Nie interesowały go proporcje i procenty, lecz wyłącznie polityka. Uważał, że jeśli Mińsk przypadnie bolszewickiej Rosji, miasto stanie się centrum sterowanej z Kremla irredenty białoruskiej. Natomiast temat straciłby na znaczeniu, gdyby Mińsk został stolicą „czegoś w rodzaju państwa białoruskiego”, gdyż jego interesy związane byłyby wówczas z Polską<sup>[5]</sup>.

## Pozbyć się białoruskiego wrzodu!

„Gdy argumenty te przedstawiłem Barlickiemu i Kiernikowi – relacjonował Grabski – uznali oni również, że wbrew wszelkim względom uczuciowym trzeba zrezygnować z włączenia ziemi mińskiej do Polski. I tak też zdecydowała większość naszej delegacji”<sup>[6]</sup>.

Niektórzy uczestnicy rozmów w Rydze uważali jednak, że rezygnacja z tych terenów była poważnym błędem. Zapewne gdyby wywarto odpowiednią presję na Joffego, zgodziłby się na pozostawienie Mińszczyzny po stronie polskiej. Nie podjęto jednak oficjalnej próby, by się przekonać, jak zareagują bolszewicy. Tym bardziej że Joffe, jako wytrawny dyplomata, wiedział, iż na początku musi wysoko licytować, by potem móc pójść na ustępstwa.

Dąbski wspominał, że – w przeciwieństwie do sprawy Ukrainy – bolszewicy byli znacznie bardziej skłonni „oddać pod wpływem polskie Białą Ruś”, ale nie zgadzała się na to większość polskich negocjatorów. W efekcie, Ukraina i Białoruś „zostały w Związku Sowieckim, to znaczy faktycznie

przy Rosji”. W ten sposób „program federacyjny został przez rozwój wypadków przekreślony”<sup>[7]</sup>.

Choć podczas wewnętrznych dyskusji większość polskich przedstawicieli opowiedziała się za stanowiskiem Grabskiego, to zwolennicy federacji chcieli (chyba już tylko dla zaspokojenia ciekawości) się dowiedzieć, czy Moskwa wyraziłaby jednak zgodę na rezygnację z ziemi mińskiej. Aleksander Ładoś, sekretarz delegacji, podczas poufnej rozmowy zapytał Joffego, jaka koncepcja bardziej by go interesowała: bezpośrednia granica Rosji z Polską czy też Białoruś „niejako pod polskim protektoratem”. Joffe nie odpowiedział od razu i zwrócił się o opinię do Moskwy. Następnego dnia zakomunikował, że opowiada się ona raczej za pierwszym rozwiązaniem.

„Z tego jasno widać – uważał Ładoś – że koncepcję federacyjną można było przeprowadzić. (...) Zasadniczej odmowy nie było”<sup>[8]</sup>.

Nie brakowało też opinii, że Joffe dysponował pełnomocnictwem do rezygnacji z ziem aż po Dniepr i Dźwinę, lecz Grabski miał powiedzieć, że „trzeba raz Polsce pozbyć się tego wrzodu białoruskiego”<sup>[9]</sup>.

Dla endeckiego polityka ważniejsze niż Mińszczyzna były ziemie na północy, dzięki którym Polska mogłaby graniczyć z Łotwą i tym samym odciąć Litwę od Rosji. Było to istotne, gdyż rząd w Kownie zajmował zdecydowanie antypolskie stanowisko wobec Warszawy. Grabski stwierdził nawet, że „przeprowadzenie tego żądania uważał za najlepszą bodaj rzecz, jaką kiedykolwiek udało mu się zrobić dla Polski”<sup>[10]</sup>.

Podczas dyskusji między członkami polskiej delegacji, przedstawicielami Polaków z ziem białoruskich i ekspertami wyłonił się przyszły kształt granicy polsko-rosyjskiej. Zrezygnowano z Kojdanowa i części gminy Krajsk, ale

Obieziński przekonał delegatów, by po stronie polskiej znalazła się część powiatu dziśnieńskiego i „bardzo polska” gmina Prozoroki. Nie oddano też bolszewikom „tak polsko-katolickich okolic jak Raków, Wołma i Rubieżewicze”<sup>[11]</sup>.

Inna to już sprawa, że sprezentowany Rosji Kojdanów stał się w 1932 roku stolicą nieudanego sowieckiego eksperymentu – Polskiego Rejonu Narodowościowego (podobny powstał na Ukrainie w okolicach Dołbysza). Miasto przemianowano wówczas na Dzierżyńsk, a nazwa utrzymała się do dziś. Natomiast pozostały przy Polsce Raków stał się stolicą przemysłowców, co plastycznie opisał Sergiusz Piasecki w powieści *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*.

Delegacja rosyjska przyjęła bez większych uwag polski projekt. Wprawdzie domagano się Poczajowa, argumentując, że jest to cudowne miejsce pielgrzymek ludności prawosławnej, ale strona polska odrzuciła to żądanie. Troska bolszewików o ludzi wierzących w Boga wprawiła delegatów Rzeczypospolitej w spore osłupienie...

## Skutki traktatu w Rydze

Generalnie wśród polskich negocjatorów przeważała opinia, że „niepodobna rozbić pokoju o takie szczegóły jak granica”. Zbliżona argumentacja pojawiła się także, gdy rozważano sprawę amnestii dla naszych rodaków skazanych przez bolszewików za przestępstwa polityczne. Mieli ją otrzymać wyłącznie obywatele polscy i nie pomogły argumenty, że honor narodowy wymaga zagwarantowania Polakom odciętych od kraju granicą „życia, wolności i mienia”. Gdy część delegatów kładła nacisk na tę sprawę, inni stali na stanowisku,

że „nie można rozbijać traktatu pokojowego w obronie praw obszarników”<sup>[12]</sup>.

Polakom z Mińszczyzny nie pozostawiono także prawa wyboru – nie mogli bowiem zdecydować, czy chcą zostać na ojcowiznie, czy też przenieść się w granice Polski. Właściwie zdecydowano za nich, skazując ich na życie pod komunistycznym reżimem.

Tuż przed podpisaniem preliminaryjnego pokoju (12 października) wyłonił się niespodziewany i nieco zabawny problem. Delegaci zapomnieli przywieźć z Warszawy złote wieczne pióro, a jednocześnie wiedziano, że Joffe będzie podpisywał dokument piórem wysadzonym brylantami. Na domiar złego okazało się, że w Rydze nigdzie nie można kupić złotego pióra.

„Obstalowano więc srebrne – pozłacane. (...) Podobno pan Dąbski był mocno niezadowolony, że obsadka pióra obstalowanego przez pana sekretarza jest zielona, zamiast mieć barwę amarantowo-białą...! – szydził Obieziński. – Słowem, szereg niepowodzeń...! Biedny prezes delegacji!...”<sup>[13]</sup>.

Gdy delegaci mieli ból głowy z powodu pióra, Edward Woyniłłowicz, ziemianin z Mińszczyzny, nie ukrywał rozgoryczenia. Stwierdził, że rezygnacja z tych terenów przekreśla kilkuwiekową polską pracę kulturalną na wschodzie. Politycy znad Wisły potraktowali białoruskich Polaków instrumentalnie, dając im do zrozumienia, że „murzyn może odejść”<sup>[14]</sup>.

Traktat ryski podpisano 18 marca 1921 roku. Na kpinę zakrawało zawarte w nim stwierdzenie, że obie strony uznają niepodległość Ukrainy i Białorusi, marionetkowych tworców Moskwy.

Według oficjalnych spisów na sowieckiej Ukrainie pozostało 496 tysięcy Polaków, natomiast na Białorusi – około 97 tysięcy.

W rzeczywistości liczby te były znacznie większe i szacunkowo wynosiły odpowiednio: 650 i 300 tysięcy<sup>[15]</sup>. W okręgu mińskim, o który nie chciała walczyć polska delegacja, pozostało co najmniej 159 tysięcy Polaków, z czego w powiecie mińskim – 58 tysięcy, a w samym Mińsku – 18 tysięcy<sup>[16]</sup>.

Wybitny filozof i znawca Rosji, profesor Marian Zdziechowski, na wieść o podpisaniu traktatu opublikował artykuł *Zbrodnia ryska*. Stwierdził w nim, że polska delegacja, koncentrując się na politycznym wymiarze przebiegu granicy z Rosją bolszewicką, nie chciała przyjąć do wiadomości, że powinien być to „pokój filantropijny”. Taki byłby wówczas, gdyby „ratowano od czerwonego terronu jak największą ilość jęczących w więzieniach albo ginących z głodu i nędzy, zdręczonych strachem istot ludzkich”<sup>[17]</sup>.

Zdziechowskiemu chodziło o los nie tylko Polaków, lecz także Białorusinów. Dlatego uważał, że należało żądać granic jak najdalej wysuniętych na wschód – nie tylko do Dniepru i Berezyny, lecz nawet jeszcze dalej.

Jednak nie było to winą wyłącznie jednego człowieka – Stanisława Grabskiego – ani też większości delegatów, która uległa jego argumentacji.

„Nie oskarżajmy naszych ówczesnych dyplomatów ryskich – przekonywał Michał K. Pawlikowski. – Zawiniłiśmy wszyscy, bo wszyscy milczeliśmy. Głupszy spośród nas przyjęli traktat ryski jak gołębicę trwałego pokoju. Mądrzejsi jako dopust Boży, który jednak nam zsyłał czasową *pieriedyszkę*. Ale i mądrzejsi milczeli. Milczała prasa, milczał Sejm”<sup>[18]</sup>.

## Protesty i ulotki

14 kwietnia 1921 roku podczas posiedzenia Sejmu poświęconego ratyfikacji traktatu ryskiego doszło do dramatycznego incydentu.

Stanisław Grabski, faktyczny twórca granicy wschodniej, wyraził zrozumienie dla bólu i oburzenia Polaków, którzy zostali odcięci od ojczyzny, i dla tych, którzy opuścili swoje domy na Mińszczyźnie. Stwierdził jednak, że zjednoczenie wszystkich rodaków wymagałoby stworzenia państwa, w którym Polacy nie „byliby gospodarzami”<sup>[19]</sup>.

Polacy pragnęli pokoju, jednak Grabski dawał do zrozumienia niezadowolonym z ustaleń co do granic podjętych w Rydze, że sytuacja w Rosji daleka jest od stabilizacji, więc nikt nie wie, „jakie jeszcze zmiany mogła zgotować przyszłość na wschodniej granicy”.

W pewnym momencie na salę sejmową spadły ulotki. Rozrzucił je Henryk Grabowski, prawnuk po kądzieli Tadeusza Rejtana – słynnego posła, który desperacko i samotnie protestował przeciw ratyfikacji traktatu rozbiorowego w 1773 roku. Grabowski był członkiem Mińskiego Towarzystwa Rolniczego i Rady Narodowej Ziemi Białoruskiej.

„Stanisławie Grabski! – pisano w treści ulotki. – Odpowiedzialność za haniebny pokój, który narzuciłeś Polsce, spada na ciebie... Pada na ciebie i hańba oddania na mękę ostatecznego zmoskalenia tych milionów ludu białoruskiego tak haniebnie odepchniętego przez Polskę. Stanisławie Grabski! Imieniem tych milionów bądź przeklęty. Bądź przeklęty imieniem tych powstańców naszych, których kości bieleją po całej Rosji za udział w powstaniach! Bądź przeklęty imieniem tych wyzutych ze swego mienia uczestników powstań! Bądź przeklęty imieniem tych »opornych« umęczonych przez Moskwę za wytrwanie w »polskiej« wierze! Bądź przeklęty imieniem tych pokoleń, które wszystkiego sobie odmawiały, byleby piędzi ziemi nie oddać

wrogowi! Bądź przeklęty imieniem tych męczenników naszych skatowanych przez Moskale na naszych Kresach! Stanisławie Grabski, bądź przeklęty imieniem Tadeusza Reytana, przez którego ciało Sejm Polski drugi raz przestępuje, uchwalając ten nowy rozbiór Polski”<sup>[20]</sup>.



**Chwila podpisania traktatu ryskiego. Po lewej Leonid Oboleński i Adolf Joffe, po prawej Jan Dąbski.**

(Wikimedia Commons)



**Leon Wasilewski.**

(NAC)





**Adolf Joffe.**

(Wikimedia Commons)



**Polska delegacja na rozmowy pokojowe w Rydze.**

(Wikipedia)

Za zakłócenie obrad Sejmu Grabowski został skazany na 100 marek grzywny. Równie bezsilnie protestowała Rada Narodowa Ziem Białoruskich, natomiast Sejm niemal jednogłośnie zatwierdził traktat pokojowy. Upoważnił też Naczelnika Państwa do jego ratyfikacji. Przeciwko głosowało kilku posłów żydowskich, którzy uznali, że dokument nie zabezpiecza interesów ich narodu. Nie brakowało też głosów, że pokój zawarty w Rydze był w rzeczywistości czwartym rozbiorem Polski.

Piłsudski z niechęcią złożył podpis pod aktem ratyfikacyjnym. Runęła w gruzy jego koncepcja federacyjna, a

tym samym – nadzieja na trwałe osłabienie Rosji (niezależnie białej czy czerwonej). Byt Rzeczypospolitej był zagrożony.



### Jedna ze stron traktatu ryskiego.

(Biblioteka Narodowa)



### Mapa z przebiegiem granicy polsko-rosyjskiej po delimitacji w 1923 r.

(Biblioteka Narodowa)

„Wy tej Polski nie utrzymacie – mówił Marszałek nieco później. – Ta burza, która nadciąga, jest zbyt wielka. Obecna Polska zdolna jest do życia tylko w jakimś szczęśliwym, złotym okresie dziejów... Ja przegrałem swoje życie. Nie udało mi się powołać do życia dużego związku federacyjnego, z którym świat musiałby się liczyć”<sup>[21]</sup>.

## Minął wiek...

Chociaż od zawarcia traktatu w Rydze minęło sto lat, wciąż zauważalne są różnice na ziemiach położonych po obu stronach wyznaczonej wówczas granicy. Nie tylko przed i za Zbruczem, lecz także na Białorusi. Autorzy niniejszej książki mieli okazję się o tym przekonać podczas swoich kresowych wędrówek. Dawne polskie miasteczko Rubieżewicze, leżące około 1,5 kilometra przed dawną granicą, ma zupełnie inny charakter niż miejscowości znajdujące się dalej na wschód. Wprawdzie Rubieżewicze są dzisiaj wsią, ale wciąż czystą i schludną. Jej uroku nie zakłócają nawet żółte rury instalacji gazowej, które sowieckim obyczajem poprowadzono na zewnątrz, oplatając dawną drewnianą zabudowę.

Natomiast jadąc w kierunku Dzierżyńska, napotykamy już typowo bolszewickie porządki: rozpadające się domy i płoty, wszechogarniające bałagan i chaos. Szkoda tylko, że nasi rodacy z Rubieżewicz, którzy przyznają się do swojej narodowości, już niemal zapomnieli polskiego języka. Ale witali nas bardzo gorąco...

## ROZDZIAŁ 19

# KIJOWSKA TAJEMNICA NINY ANDRYCZ

**P**rzyszła „królowa sceny PRL-u” spędziła w mieście nad Dnieprem 10 lat (1917–1927). Podobno wraz z matką przyjechała tu z rodzinnego Brześcia Litewskiego, by złożyć wizytę krewnym, a rewolucja uniemożliwiła im powrót do Polski. To nieprawda. Jednak aktorka wielokrotnie i z całą powagą powtarzała tę historię, a dziennikarze wierzyli jej bezkrytycznie. W efekcie, w wielu publikacjach do dziś pokutuje ten absurd.

## Tajemnicze daty

Autor niniejszego rozdziału jeszcze za życia Niny Andrycz w jednej ze swoich książek podał w wątpliwość oficjalną datę jej urodzin. Aktorka twierdziła wówczas, że ma 99 lat, natomiast według wyliczeń powinna mieć 104 lata. Intencją autora nie było jednak szukanie taniej sensacji, lecz przybliżenie czytelnikom pierwszego okresu życia gwiazdy i wyjaśnienie tajemnicy jej pobytu w Kijowie.

Gdy ogłosił wyniki swoich poszukiwań, Andrycz przyznała, że nie urodziła się w 1915 roku, jak dotychczas podawała, lecz

trzy lata wcześniej. To również wydawało się nieprawdopodobne, a gdy pani Nina niebawem zmarła, na jej grobie wyryto: 1910. Zatem dopiero po śmierci aktorki ustalono jej prawdziwą datę urodzenia (choć w internecie wciąż figuruje w większości 1912).

Konsekwentne odmładzanie się wcale nie jest rzadkim zabiegiem wśród płci pięknej. Tak naprawdę raczej trudno znaleźć artystkę, która nie postępowałaby podobnie, ewentualnie nie ukrywała swojego prawdziwego wieku. Zapewne zawsze tak było, jest i będzie.

W wypadku Niny Andrycz problem stwarza jej relacja na temat pierwszych lat po powrocie z Kijowa. Przyszła królowa sceny miała się uczyć w polskim gimnazjum, zdać maturę i ukończyć Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej w Warszawie, gdzie nauka trwała trzy lata. Potem przez dwa kolejne lata grała w zespole teatru Na Pohulance w Wilnie i przy okazji studiowała na Uniwersytecie Stefana Batorego. W 1935 roku zadebiutowała natomiast na scenie Teatru Polskiego Arnolda Szyfmana, miała ponoć wówczas 20 lat.

Jak wynika z pobieżnych rachunków, musiało jej to zająć co najmniej 12 lat, natomiast od chwili przyjazdu do kraju do warszawskiego debiutu minęło niespełna osiem lat. Nie mówiąc już o tym, że zarówno szkoły, jak i sceny teatralne działają w systemie jesień-wiosna. Zatem do przedstawionych wyliczeń spokojnie można dodać jeszcze rok. Nic zatem dziwnego, że niektórzy publicyści, nie mogąc się zorientować w sprzecznych relacjach, podejrzewali, iż pani Nina po prostu nie skończyła szkoły aktorskiej.

Prawda była jednak zupełnie inna: Andrycz, wracając z Kijowa, nie miała 12 lat, jak twierdziła, tylko 17, i niemal od razu przystąpiła do matury. Co jednak dziwne, żadna z osób opisujących jej życie nie zaczęła od podstawy, czyli od

sprawdzenia daty urodzin aktorki, co wyjaśniłoby wiele tajemnic.

Przyszła premierowa PRL-u była córką prawnika, Eugeniusza Andrycza, i młodej wdowy, Marii von Gröning. Po wybuchu I wojny światowej ojciec został zmobilizowany i trafił do armii rosyjskiej. Nina dobrze go zapamiętała, co powinno raczej dziwić, gdyby faktycznie przyszła na świat w listopadzie 1915 roku... Dalsze wspomnienia aktorki są jednak jeszcze bardziej zaskakujące – twierdziła, że w 1917 roku jej matka postanowiła odwiedzić zamożnych krewnych w Kijowie. Tak też uczyniła i wraz z Niną, jej bratem Aleksandrem, własną matką oraz służącą udała się nad Dniepr.

To nieprawda, gdyż w 1917 roku Brześć znajdował się w rękach niemieckich. Rosjanie ewakuowali go bez walki dwa lata wcześniej, podpalając twierdzę i miasto. W tej sytuacji podróż do Kijowa oznaczałaby przekroczenie linii frontu, co dla kobiety z dwojgiem małych dzieci, staruszką i służącą było raczej niemożliwe. Zatem najprawdopodobniej rodzinę Andryczów dotknął w 1915 roku los wielu tysięcy Polaków przymusowo wysiedlonych na wschód przed nadejściem wojsk państw centralnych. Faktycznie mogli się udać do krewnych z Kijowa, gdzie mieli spędzić najbliższe 12 (a nie 10) lat.

## Tajemnic część dalsza

„Pamiętam miasto – wspominała aktorka po latach – które przechodziło z rąk do rąk, raz byli w nim czerwoni, raz biali. Na placu odbywały się egzekucje, których, oczywiście, nie oglądałyśmy. Na całe życie zapamiętałam jednak krew na śniegu. Bandy grabiły domy, przyszli też do nas. Bałyśmy się z

mamą piekielnie. Pamiętam, jak mama, która była jeszcze młoda i bardzo ładna, poprosiła jednego z bandziorów, żeby nie zabierał jej zegarka, pamiątki po mężu, który jest w Polsce. I ten bandzior zabrał jakąś szubę, palto, a zegarek zostawił”<sup>[1]</sup>.

Opis bardzo plastyczny, ale jedno zdanie podważa wiarygodność tej relacji. Otóż pani Andrycz stwierdziła, że po przyjeździe rodziny do Kijowa wybuchła rewolucja i zamknięto granice, przez co powrót do Polski okazał się niemożliwy.

Faktycznie, w ciągu trzech lat władarze Kijowa zmieniali się 19-krotnie i nawet specjalistom trudno się połapać w tym galimatiasie. Choć komunikacja z Warszawą była wtedy nieco utrudniona, to wiadomo, że mimo to wyjazd z Kijowa nie stanowił problemu. Spośród bohaterów niniejszej książki w latach 1917–1920 uczynili tak: Szymanowski, Iwaszkiewicz, Fertner, Jaracz, Osterwa i wielu innych. Zresztą w maju 1920 roku Kijów zajęła armia Edwarda Śmigłego-Rydza, a gdy rozpoczęła odwrót, towarzyszyły jej tysiące Polaków ewakuujących się na zachód.

Powrót do Polski był wówczas tym bardziej możliwy, gdyż bolszewicy pochodzący znad Wisły zachowali dużo sentymentu do rodaków. Gdy w Kijowie zatrzymano działacza narodowego Joachima Bartoszewicza, przesłuchujący go czekista (młody polski Żyd) oddał mu paszport i polecił w ciągu 24 godzin wyjechać do Polski. Zapytany o przyczyny takiego postępowania odpowiedział:

„Panie prezesie, strzelać możemy do siebie na ulicach Warszawy, ale tu obaj jesteśmy Polakami”<sup>[2]</sup> ...

Warto też pamiętać, że po podpisaniu pokoju w Rydze kończącej wojnę polsko-sowiecką odbywała się trwająca trzy lata repatriacja ludności polskiej z Rosji. Dotyczyła nie tylko osób mieszkających wcześniej na ziemiach, które

znalazły się w granicach odrodzonego kraju, lecz także Polaków z całego imperium Romanowów (nawet z Mandżurii). Wprawdzie Sowieci często stwarzali różne przeszkody, ale do 1924 roku do Polski przyjechało ponad 1,1 miliona osób<sup>[3]</sup>. Dlaczego zatem rodzina Andryczów pozostała nad Dnieprem?

Raczej na pewno można wykluczyć pozytywny stosunek matki aktorki do bolszewików. Żadna kobieta (może poza zajadłymi wielbicielkami czerwonej ideologii) nie chciałaby, aby jej dzieci dorastały w kraju rządzonym przez komunistów. Czy zatem w grę wchodziły sprawy osobiste, o których nic nie wiadomo? Nie wiemy, jak układały się stosunki Marii z mężem przed jego zmobilizowaniem. Czy małżeństwo było udane, czy też niekoniecznie? Podobno bardzo tęskniła za mężem, ale czy można wierzyć w relację pani Niny?

Czy zatem w Kijowie matka aktorki pozostała wierną żoną, czy też z kimś się związała? Była przecież bardzo atrakcyjną kobietą i zapewne nie narzekała na brak adoratorów, a w stolicy Ukrainy przebywało wielu ziemian, artystów i przedstawicieli inteligencji. Czyżby związała się z kimś, kto chciał pozostać nad Dnieprem? A może po prostu nie zamierzała wracać do Polski i spotkać się z mężem? Na te pytania nie znajdziemy już – niestety – odpowiedzi.

Nie zmienia to jednak faktu, że rodzina pozostała w Kijowie, który ostatecznie opanowali bolszewicy. I zaczęli wprowadzać tam swoje porządki.

## Sowiecka szkoła

Początkowo zresztą nic nie zapowiadało problemów. Po zwycięstwie w wojnie domowej bolszewicy przez pewien czas



prowadzili względnie umiarkowaną politykę wobec polskiej mniejszości narodowej. Nasi rodacy posiadali autonomię językową, a na terenie ZSRS działały gubernialne i rejonowe Biura Polskie. Oczywiście zadaniem ich urzędników było wspieranie przemian ustrojowych, tak by powstało „polskie społeczeństwo socjalistyczne”, ale przez dwa lata po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej nie było jeszcze mowy o brutalnej polityce antypolskiej<sup>[4]</sup>.

Nie zmienia to jednak faktu, że sowiecki Kijów nie był łatwym miejscem do życia. Zamożni krewni z dnia na dzień stali się żebrakami, ale – na szczęście – matka Niny znalazła zatrudnienie w charakterze tłumaczki. Przydały się wykształcenie i znajomość języków.

Nina chodziła do szkoły, a potajemnie uczęszczała również na lekcje religii. Polskiego uczyła ją w domu matka, podobno po wojnie polsko-bolszewickiej nie był to język mile widziany nad Dnieprem.

W Kijowie panowała bieda, ale właśnie wówczas mała Nina zainteresowała się teatrem.

„(...) głodujący mieli dwa abonamenty – jeden do przewspaniałej opery, drugi do przewspaniałego teatru dramatycznego. Jako dziewczynka widziałam wszystkie piękne spektakle – Fausta, Dostojewskiego – połowy wtedy nie rozumiałam, ale i tak bardzo mi się spodobało”<sup>[5]</sup>.

Dziewczynka recytowała wiersze i już wówczas musiała przejawiać talent, gdyż rówieśnicy chętnie jej słuchali. Miało to przełożenie na popularność w szkole, a co za tym idzie – na lepsze warunki bytowe.

„Mówiąc wiersze, zdałam sobie sprawę, że mam pewną władzę nad rówieśnikami, że nikt się nie wierci, nie gwizdże, że mnie słuchają. Pomyślałam, że jestem niezwykłą istotą i że trzeba wyciągnąć z tego wnioski. Zauważyłam też, że jak

występowałam, to byłam lepiej traktowana, dostawałam lepszy *pajok* na drugie śniadanie. Nie chcę naginać faktów, ale wiem, że już wtedy zrozumiałam, że będę aktorką. To mnie też trochę wyrzywało z tej szarzyzny, z tego głodu, nędzy, strachu, rozstrzeliwań. Bo wojna domowa to jest głód i strach”<sup>[6]</sup>.

Po latach Andrycz mocno ubarwiała swoją relację. Podobno odgrywając scenkę teatralną na podwórku, miała bezwiednie wykrzyknąć: „*La Liberte!*”, co usłyszał i – co dziwniejsze – zrozumiał dozorca. Stróże faktycznie byli z reguły na usługach NKWD, ale raczej nie znali francuskiego. Poza tym zamiast donieść przełożonym (zakładając, że jednak zrozumiał), przyszedł ponoć na skargę do matki Niny. Ta natomiast udobruchała go artykułem z „Prawdy”, gdzie stwierdzano, że bolszewicy popierają sztukę teatralną...

Bardziej prawdopodobny wydaje się natomiast opis lekcji religii u wiekowego polskiego kapłana.

„Ksiądz Szymon był już staruszkciem – emerytem, więc nie wzbudzał zainteresowania dookolnych *politruków*. Podarował mi sfatygowany egzemplarz czterech Ewangelii i udzielił następującej rady:

– Moje dziecko, jak ciebie jakieś лихо dopadnie i przycisnie, to ty nie wołaj głośno: »O Jezu Chryste!«, bo wtedy i najgłupszy czekista zrozumie, o kogo chodzi. Westchnij sobie tylko i szepnij w duchu: »Immanuel«, co oznacza: »Bóg jest z nami«, zobaczysz, poskutkuje”<sup>[7]</sup>.

Niebawem Nina miała okazję zastosować tę radę w praktyce – została bowiem zauważona, jak wychodziła po nabożeństwie z kijowskiej katedry (kościół konkatedralny pod wezwaniem św. Aleksandra). Za karę musiała się stawić u „szkolnego politruka”, zatem przed wejściem szepnęła: „Immanuel”.

Oczywiście została zganiona za „burżuazyjne przeżytki”, czyli za wiarę, że Bóg istnieje. Na uwagę, że do praktykowania

religii nakłania ją pewnie „babcia staroreżimna”, Nina odparła, że staruszka bardzo się na Boga gniewa, bo nic nie zrobił, gdy rodzina wydała ją za znacznie starszego, obojętnego jej człowieka. Natomiast przyznała, że osobiście czuje, iż „Bóg gdzieś istnieje”.

Jeśli relacja z tej rozmowy jest prawdą, to szkolny czekista zachował się względnie spokojnie. Stwierdził, że „wszystko to razem są dziecinne mrzonki”, i wyraził nadzieję, iż „szybko wywietrzeją”. Dodał również, że nie będzie upierał się przy karze, gdyż Nina „uczyła się dobrze”. Na koniec jednak zagroził, że przy katedrze ma „ludzi pod dostatkiem”.

## Opera, balet i film w sowieckim Kijowie

Zgodnie z zasadami komunistycznej gospodarki w mieście wystąpiły poważne problemy z żywnością. Brakowało „odpowiedniej ilości chleba, mięsa, masła, mleka”, ale w zamian władze oferowały przeżycia duchowe i „to wysoce artystyczne”.

„Młody Związek Sowiecki – wspominała Andrycz – odziedziczył po zamordowanej matce Rosji fantastyczny Balet, świetną Operę z Szalapinem na czele oraz Teatr Dramatyczny Stanisławskiego”<sup>[8]</sup>.

Pani Ninie ponownie pamięć trochę tu nie służyła, gdyż Szalapin opuścił ZSRS w 1922 roku, zatem raczej nie śpiewał zbyt długo dla czerwonych. Natomiast Stanisławski faktycznie został do końca życia w sowieckim raju, a sztukę baletową władze na Kremlu utrzymywały na najwyższym poziomie. Oczywiście nie wrócili do Rosji znakomici tancerze z

Baletów Rosyjskich Diagilewa, ale talentów nigdy tam nie brakowało. Nie tylko zresztą w balecie, lecz także wśród śpiewaków.

„Moje pierwsze zetknięcie z zaczarowanym światem Sztuki – opisywała Andrycz – nastąpiło w Operze. Usłyszałam i zobaczyłam *Lohengrina*, a szedł mi właśnie dziewiąty rok. (...) Muzyka Wagnera przetoczyła się przez moje nerwy z piorunami”<sup>[9]</sup>.

Oczywiście może dziwić, że dziewięcioletnie dziecko zachwycało się Wagnerem, ale warto jednak pamiętać, że Andrycz miała wówczas co najmniej 14 lat. Dlatego można też uwierzyć, że rok później ogromne wrażenie zrobił na niej *Eugeniusz Oniegin* Czajkowskiego. Wszystko stanie się w ogóle bardziej klarowne, jeśli czytając wspomnienia aktorki, doliczymy pięć lat do podawanego przez nią wieku – to jednak bardzo duża różnica. Być może jako 15-latką rzeczywiście coś pojęła z utworów Dostojewskiego, czego od 10-letniego dziecka raczej trudno oczekiwać.

Bardziej zrozumiała wydaje się natomiast fascynacja filmem, a szczególnie obrazami z Polą Negri. Nina dobrze wiedziała, że aktorka jest jej rodaczką, dzięki czemu czuła jeszcze większy zachwyt. Zaś olśniewająca uroda gwiazdy dodatkowo potęgowała tę fascynację.

## Powrót

„W tym czasie – relacjonowała przyszła aktorka – zniewolona i świadomie zubażana przez Moskwę Ukraina, tak jak wszystkie inne republiki, już mogła skorzystać z dobrodziejstwa NEP-u, czytaj: Nowej Ekonomicznej Polityki. Mówiąc po ludzku, partia

musiała zezwolić na wolny handel. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszędzie pojawiły się bułki, rogaliki, masło, twaróg, dżem, chałwa, miód oraz inne, po prostu niewyobrażalne wspaniałości”<sup>[10]</sup>.

NEP został wymuszony przez tragiczną sytuację gospodarczą Rosji Sowieckiej. Był to częściowy powrót do gospodarki rynkowej; odwołano zasady komunizmu wojennego, znosząc obowiązkowe kontyngenty w rolnictwie. Zezwolono nawet na własność prywatną tam, gdzie nie obowiązywał państwowy monopol, a w przemyśle wprowadzono zasady racjonalnej polityki gospodarczej.

Teoretycznie wszystko się zgadzało, jednak po raz kolejny pamięć nie do końca służyła pani Ninie. NEP wprowadzono bowiem jeszcze w 1921 roku, a nie tuż przed opuszczeniem przez rodzinę Rosji Sowieckiej, co nastąpiło w 1927 roku. Wówczas bowiem miał ich odnaleźć Eugeniusz Andrycz i zorganizować powrót do kraju. Podobno pomagał mu w tym jego starszy brat, Czesław, zatrudniony w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Faktycznie, stryj aktorki pracował w centrali MSZ – dlaczego więc zlokalizowanie rodziny zajęło tak dużo czasu? Czy znów nie wiemy o pewnych sprawach rodzinno-prywatnych? Nie jest to wykluczone, tym bardziej że w tych latach niemal normalnie działał kontakt korespondencyjny między Polską a ZSRS.

Podobno Nina nie była zachwycona perspektywą powrotu. Polubiła Kijów, miała tu przyjaciół, a szczególnie smakowały jej napoleonki, które niedawno pojawiły się w kawiarniach.

„Na pewno Kijów – tłumaczyła jej babcia – jest piękniejszy od Brześcia nad Bugiem, to nie ulega żadnej wątpliwości! Ale [naszym] krajem rządzi człowiek wielkiego formatu, marszałek Piłsudski. (...) A tutaj, po śmierci łysego belzebuba na Kremlu, diabli wiedzą, kto do władzy się dorwie. Ale tak czy owak – NEP zlikwidują i twoje napoleonki się skończą. Ale się

nie martw: w Polsce co jak co, ale ciastka bywają nawet lepsze niż w Paryżu. (...) Na pewno będzie nam tam lepiej niż w tej barbarii pseudoproletariackiej”<sup>[1]</sup>.



**Nina Andrycz na balu zorganizowanym przez Związek Autorów Dramatycznych w Warszawie (1937 r.).**  
(NAC)



**Grób Niny Andrycz na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.**

Wprawdzie po 1924 roku Rosję legalnie opuściło zaledwie kilkuset Polaków – i to głównie na zasadzie wymiany więźniów politycznych – ale półprywatna repatriacja nie była niemożliwa. W każdym razie Andryczowie ponownie zamieszkali w Brześciu. Rok później Eugeniusz zmarł na gruźlicę. W tym czasie Nina zdawała już maturę, a następnie rozpoczęła studia aktorskie. Pod okiem Arnolda Szyfmana stworzyła wspaniałe kreacje, zaś w pamięci widzów zapisała się jako Solange z *Lata w Nohant* Jarosława Iwaszkiewicza. Premiera utworu uczyniła z niej gwiazdę. Nina miała wówczas 25 lat.

Natomiast dalsze losy aktorki to temat na zupełnie inną książkę. One także wymagają bowiem wyjaśnienia i sprostowania...

## ROZDZIAŁ 20

# MARCHLEWSZCZYNA

**T**raktat pokojowy w Rydze kończący wojnę z bolszewikami odciął od kraju setki miejscowości zamieszkałych przez Polaków. Wprawdzie część naszych rodaków opuściła kraj przodującego ustroju w latach 1921–1923, jednak wielu z nich z różnych powodów nigdy nie wyjechało z rodzinnych stron. Niektórym repatriację na zachód uniemożliwiły władze sowieckie, przeważali jednak ci, którzy po prostu nie chcieli porzucić ziemi ojców.

Większość polskiej diaspory w ZSRS przyzwyczaiła się do ciągłych zmian granic i panowanie bolszewików uważała za stan przejściowy. Szczególnie widoczne było to w okolicach Żytomierza, gdzie obszary polskiego osadnictwa wielokrotnie przechodziły z rąk do rąk. W 1914 roku rządzili tu carscy urzędnicy, potem przysła okupacja niemiecka. Następnie władzę przejęli ukraińscy nacjonałiści, później „biali” Rosjanie, bolszewicy, armia polska i znów wrócili Sowietci. Zresztą władze z Kremla głosiły wówczas prawo narodów do samodzielnego rozwoju w obrębie ZSRR i wydawało się, że pod ich rządami Polacy będą mogli spokojnie żyć. Nic bardziej mylnego – już niebawem komunizm miał pokazać swoje prawdziwe oblicze.



# Polski Rejon Narodowościowy

Nieznana jest liczba Polaków zamieszkujących sowiecką Ukrainę. Według oficjalnego spisu z 1926 roku miało ich być prawie 500 tysięcy, jednak do tych danych należy podchodzić z dużą ostrożnością. Nie brano bowiem pod uwagę kwestii wyznaniowych, co na mieszanych etnicznie terenach miało decydujące znaczenie.

Język również nie był tu właściwym kryterium oceny, gdyż w rodzinach dwujęzycznych wpisywano narodowość ukraińską lub rosyjską. W efekcie, badacze wciąż nie potrafią oszacować siły polskiego żywiołu za Zbruczem – można jednak podejrzewać, że w granicach sowieckiej Ukrainy pozostało ponad milion naszych rodaków. Dokładnych liczb zapewne nigdy nie poznamy, tym bardziej że Sowieci utajnili wyniki dwóch następných spisów powszechnych.

Zwarte grupy polskiej ludności zamieszkiwały Żytomierszczyznę, a w miejscowościach położonych na zachód od stolicy regionu Polacy stanowili zdecydowaną większość etniczną – z reguły około 70 proc. populacji. Zdarzały się jednak wioski, gdzie Polaków było ponad 90 proc. Nasi rodacy zachowali język i wyznanie przodków, nigdy nie zaprzeczyli swojej polskości. I właśnie na tych terenach w połowie lat 20. zainicjowano eksperyment narodowościowy, który miał się zakończyć tragedią.

Władze sowieckie mogły bowiem głosić prawo narodów do samodzielnego rozwoju, nigdy jednak nie wyrzekły się planów podboju Polski. Uznano, że w celu usprawnienia tego procesu należy stworzyć modelowy rejon narodowościowy, który w przyszłości miałby się stać zalążkiem przyszłej Polskiej Republiki Rad. Rejon ten stanowiłby kuźnię polskich kadr komunistycznych gotowych do eksportu rewolucji, a przy

okazji byłyby poligonem doświadczalnym dla sowieckich eksperymentów ekonomicznych i światopoglądowych.

Nigdy nie ustalono, z jakiego okresu pochodzi polskie osadnictwo na zachód od Żytomierza. Przeważają opinie, że nasi rodacy zamieszkują tam od czasów powstania Chmielnickiego, brakuje jednak przekonujących dowodów na poparcie tej tezy.

Badacze różnią się także w opiniach na temat pochodzenia społecznego tutejszej diaspory. Jedni twierdzą, że miejscowi Polacy są potomkami szlachty zagrodowej, a przed laty miały się tu znajdować liczne zaścianki szlacheckie. Inni natomiast uważają, że nasi rodacy mają pochodzenie włościańskie. Wiadomo jednak, że na początku XX stulecia miejscowi Polacy prowadzili typowo chłopski tryb życia i nie odróżniali się specjalnie od swoich odpowiedników z innych części Ukrainy.

W lipcu 1925 roku powołano do życia Polski Rejon Narodowościowy im. Juliana Marchlewskiego, zwany potocznie Marchlewszczyzną. Pięć lat później powiększono jego obszar – liczył on wówczas około 70 tysięcy mieszkańców, przy czym Polacy stanowili 70 proc. tej populacji.

Stolicą rejonu został trzytysięczny Dołbysz, który przemianowano na Marchlewsk i uważano za „polską stolicę radziecką”. Język polski uznano za jeden z języków urzędowych, rozwijano polskie szkolnictwo i prasę (szczególne znaczenie miał tytuł „Marchlewszczyzna Radziecka”). Nie tolerowano jednak działalności Kościoła katolickiego, zamykano tutejsze świątynie, a księża trafiali do więzienia. Walkę z religią podniesiono do rangi obowiązującego dogmatu, sprawnie działała Antykatolicka Sekcja Polska – oddział ogólnokrajowego Związku Wojujących Bezbożników.

Polacy zamieszkiwali nie tylko Dołbysz, w wielu okolicznych wsiach nasi rodacy lub ich potomkowie wciąż są dominującą większością. To prawdziwy kresowy fenomen, gdyż w żadnym innym miejscu na wschód od Bugu Polacy nie stanowią tak dużej części populacji.

Losem Marchlewszczyzny bardzo interesowali się polscy działacze partii bolszewickiej. Bywał tu Feliks Dzierżyński, a po jego śmierci wdowa po nim, Zofia. Dołbysz odwiedzali również inni prominentni komuniści polskiego pochodzenia: Feliks Kon, Bronisław Skarbek, Tomasz Dąbal i Stanisław Kosior.

Szczególną rolę odegrali dwaj ostatni – Dąbal, były legionista i poseł na Sejm Ustawodawczy RP (!), był naczelnym teoretykiem Marchlewszczyzny; natomiast Kosior, I sekretarz ukraińskiej WKP(b), sprawował pieczę nad całym przedsięwzięciem. Bolszewicy polskiej narodowości zamierzali bowiem osobiście dopilnować forpoczty komunizacji Polski.

## Szaleństwo i metoda

Niemal natychmiast po utworzeniu rejonu przystąpiono do jego industrializacji. W Dołbyszu rozbudowano fabrykę porcelany i zmodernizowano działające w okolicy huty szkła. Zatrudnienie zwiększyło się niemal trzykrotnie, co uznano za dowód na powstanie samodzielnej klasy robotniczej w polskim rejonie. Były to jednak typowo sowieckie działania, które nie wytrzymały konkurencji z realiami ekonomicznymi.

Marchlewszczyźnie brakowało połączeń kolejowych z resztą kraju, przez co transport produktów z miejscowych zakładów był utrudniony. Problemem stał się również zbyt towarów,

wobec czego zakłady nastawiły się na wytwarzanie szkła aptecznego, zaspokajając aż 80 proc. zapotrzebowania Ukrainy.

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że władze rejonu dobrze wykorzystywały dotacje państwowe. W Dołbyszu zbudowano elektrownię i urząd pocztowo-telekomunikacyjny, oddano też do użytku nowoczesny szpital. W miasteczku ruszyła budowa apteki, kinoteatru i przychodni weterynaryjnej. Uruchomiono nawet bezpośrednią komunikację autobusową z Żytomierzem, co oznaczało, że mieszkańcy Dołbysza uzyskali wreszcie okno na świat.

Dążąc do wytworzenia w rejonie pełnej struktury klasowej, dużą wagę przywiązywano do procesu powstawania inteligencji pracującej. Udało się to znacznie lepiej niż z klasą robotniczą, bowiem na terenie ZSRR nie brakowało ideowych polskich komunistów. Aby zapewnić sobie wykształcone kadry, bolszewicy kładli nacisk na rozwój zaplecza społeczno-kulturalnego. Powstała wzorcowa polska szkoła siedmioletnia, otwierano biblioteki i świetlice. Przy okazji jednak wyszła na jaw duża (jak na warunki sowieckie) polaryzacja majątkowa tutejszego społeczeństwa.

Zdarzało się, że na 30 uczniów szkoły we wsi Niwra tylko dziewięciu miało własne obuwie. W pozostałych osadach było jeszcze gorzej. Na stu uczniów w Gołubynie tylko czterech przychodziło na zajęcia w butach. Nie mówiąc już o tym, że internat w Nowym Zawodzie bardziej przypominał chlew niż miejsce nadające się do zamieszkania<sup>[1]</sup>.

Problemy nie zmniejszały jednak entuzjazmu polskich bolszewików. Uznali oni, że znaczącą przeszkodą w procesie tworzenia się polskiej inteligencji jest zbyt trudna ortografia rodzimego języka, w związku z tym zaproponowali radykalną reformę zasad. W swoich zarysach przypominała projekt rozważany w pierwszych latach PRL-u, gdy obawiano się, że

towarzysze z awansu społecznego nigdy nie opanują zawilgości języka polskiego.

„Oczyścimy język nasz – głosił Bruno Jasiński – z obcych jemu naleciałości, będziemy musieli przystąpić z kolei do oczyszczania go z piętna tych klas, które dotychczas tworzyły literaturę polską. Nowa literatura proletariacka przemówić musi własnym językiem klasowym, językiem pracujących mas polskich, wykuwając własne słownictwo i własne formy językowe”<sup>[2]</sup>.

Zaproponowano usunięcie wielu wyrażeń uważanych za szlacheckie, burżuazyjne czy wręcz faszystowskie. W zamian oferowano wzbogacenie języka o słownictwo rewolucyjne i postępowe. Najważniejszą jednak rolę miały odegrać nowe, uproszczone zasady pisowni.

„Głównym argumentem stronników reformy – relacjonował białoruski historyk mieszkający w Polsce, Mikołaj Iwanow – było to, że »arystokratyczny, historyczny charakter pisowni polskiej utrudnia wciągnięcie mas pracujących do budownictwa polskiej kultury proletariackiej«. Proponowana przez nich »demokratyzacja« przewidywała następujące »rewolucyjne« nowości:

- zmianę »rz« na »ż«;
- zmianę »sz« i »cz« na »š« i »č«;
- zamianę »ch« na »h«;
- usunięcie »ą« i »ę« – i wprowadzenie »om« i »em« oraz »on« i »en«;
- zamianę »ó« na »u«”<sup>[3]</sup>.

Proponowane modyfikacje miały przynieść lepsze wyniki nauczania, a przy okazji odgrodzić miejscową ludność od polskiej literatury z za Zbrucza. Dzięki likwidacji wielu utrudnień ortograficznych przemysł patriotycznej i kościelnej kontrabandy znalazłby o wiele mniej zwolenników. Podobnie

jak literatura polska (kościelna i świecka) drukowana jeszcze w carskiej Rosji...

## Kołchozy Marchlewszczyzny

Mieszkańcy rejonu zawiedli jednak swoich sowieckich patronów. Nie udało się tu ateizacja, bo uparci Polacy nadal wyznawali wiarę przodków. Tymczasem Sowietci, złamawszy potęgę Cerkwi prawosławnej, zaczęli uznawać katolicyzm za jedno z najważniejszych zagrożeń dla ustroju państwa.

„Księża katolicycy – oskarżano na łamach »Trybuny Radzieckiej« – stają się bezpośrednimi kierownikami antysowieckiego ruchu wśród ludności polskiej, centralnymi figurami polskiej bogoojczyźnianej rewolucji w ZSRR”.

Jeszcze bardziej rozczarowały nikłe postępy kolektywizacji. Wprawdzie pierwszy kołchoz powstał tu w 1929 roku, ale polscy chłopcy nie chcieli kolejnych. Nie pomagały oskarżenia rzucane pod adresem przeciwników kolektywizacji oraz aresztowania „wrogów ludu”. Miejscowe władze twierdziły nawet, że rejon został „prawie w całości opanowany przez zbrojny bandytyzm”, co umożliwiło opór przeciwko kolektywizacji. Zdarzały się również przypadki tworzenia fikcyjnych kołchozów, które miały zapewnić spokój ich członkom.

„W niektórych wsiach – czytamy w jednym z raportów – szczególnie w rejonie Marchlewskim, kołchozy składają się z klasy średniej, zamożnych oraz kułaków, którzy nie znacjonalizowali swojego mienia, zatrzymując je do użytku własnego i swoich rodzin”<sup>[4]</sup>.

W efekcie, zwolennikami kolektywizacji z reguły byli przedstawiciele wiejskiego lumpenproletariatu, „bezrolni, bezrobotni pijacy” próbujący „żyć na cudzy rachunek”.

Polityki władz nie popierały nawet Koła Niezamożnych Włościan, które powołano w celu przyspieszenia likwidacji indywidualnego rolnictwa. Na zebraniach oddziałów stowarzyszenia oficjalnie protestowano przeciw przymusowej kolektywizacji, twierdząc, że wszelkie odgórne naciski nie są wskazane.

„Nikt nie może nas zmusić do wstąpienia do kołchozów – mówił przewodniczący jednego z oddziałów KNW – niech wstępuje, kto chce. Ja nie wstępuję do kołchozu i nikt mi nic nie zrobi, a innych nie będę namawiał. Każdy ma swój »rozum«”<sup>[5]</sup>.

W efekcie takich działań liczba kołchoźników na Marchlewszczyźnie była zdecydowanie niższa niż na innych terenach sowieckiej Ukrainy, a przecież i ona nie zadowalała władz centralnych. W tej sytuacji na Kremlu zapadła decyzja o podjęciu drastycznych działań, które raz na zawsze miały złamać opór chłopów.

## Wielki głód

W latach 1932–1933 Stalin i jego współpracownicy wywołali sztuczną klęskę głodu, która pociągnęła za sobą kilka milionów ofiar. Rodziny chłopskie niszczo bezwzględnie egzekwowanymi kontyngentami, które drastycznie przekraczały możliwości produkcyjne gospodarstw. Przy okazji wprowadzono też drakońskie kary za kradzież zboża z pól kołchozowych – za zerwanie pięciu (!) kłosów groziło od 10

lat łagru do kary śmierci. W ciągu dwóch lat na mocy tej ustawy skazano ponad 120 tysięcy osób.

Marchlewszczyzna w pełni doświadczyła klęski głodu, a opowieści na ten temat są równie przerażające jak te, pochodzące z innych części sowieckiej Ukrainy. Zezwierzęcenie, zanik wszelkich norm etycznych, straszliwe opisy ludożerstwa nawet w obrębie najbliższej rodziny.

„Niedaleko nas mieszkał dobry gospodarz Weselski mający dwanaścioro dzieci – wspominała Janina Całko ze wsi Natalia. – Dziesięcioro z nich zmarło. Żona tego gospodarza, bardzo dobrego znajomego mego ojca, który często do nas przychodził, zaczęła gotować zmarłe dzieci, żeby ocalić od śmierci głodowej siebie, męża i dwójkę pozostałych dzieci”<sup>[6]</sup>.

Po wsiach krążyły ekipy aktywistów – poszukiwali ukrytych zapasów i niszczyli wszystko, co nadawało się do zjedzenia. Ludzie jedli „trawę, korę z drzew, różne zioła”, zniknęły wszystkie psy i koty. Całe wsie i miasteczka były zasłane „zapachniętymi kościotrupami”, które pod nadzorem milicji zwożono na prowizoryczne cmentarze. Tam układano je warstwami w głębokich dołach i zalewano „chlorowanym wapnem”.

Nie wszyscy jednak chcieli jeść własne dzieci czy też czekać na ich śmierć głodową. Częściej notowano przypadki zbiorowych samobójstw.

„Mieszkaniec wioski Hołubin, Wiktor Konik, wiosną 1933 roku udał się na targ do Romanowa, by kupić coś do jedzenia dla swojej rodziny. Gdy wrócił z niczym, zarząbał troje z piątki swoich dzieci, po czym poszedł do lasu i się zastrzelił”<sup>[7]</sup>.

Nieznana jest pełna liczba ofiar głodu na Marchlewszczyźnie, wiadomo jednak, że były wsie, które już nigdy się nie zaludniły. W tym rejonie głód trwał zresztą dłużej niż w innych częściach Ukrainy. „Sytuacja zaczęła się



poprawiać” dopiero w 1935 roku. Niebawem jednak okazało się, że naprawdę tragiczne dla Polaków czasy miały dopiero nadejść...

## Czystki i terror

Pod koniec 1934 roku władze sowieckie uznały, że polski eksperyment narodowościowy zakończył się klęską i winni muszą za to odpowiedzieć. Nie wystarczyło wyniszczenie Marchlewszczyzny głodem – teraz przyszła pora na likwidację ludzi, którzy się nie sprawdzili.

Na pierwszy ogień poszły władze rejonu, sędziowie, prokuratorzy oraz miejscowi dziennikarze. Zgodnie z sowieckim obyczajem oskarżono ich o szpiegostwo na rzecz „faszystowskiej Polski” oraz przynależność do (od dawna nieistniejącej) Polskiej Organizacji Wojskowej. Na czele konspiracji miał stać szef partyjnej propagandy z Kijowa, Bronisław Skarbek, któremu dodatkowo zarzucono, że „korzystając z zaufania, jakim obdarzały go kierownicze organa partyjne, zdołał obsadzić swoimi agentami kierownictwo polrejonu [rejonu polskiego – S.K.], a także liczne stanowiska przewodniczących polskich rad wiejskich i polskich kołchozów”.



**Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski. Juliusz Marchlewski siedzi pośrodku (6), obok niego Feliks Dzierżyński (5) i Feliks Kon (7).**

(Biblioteka Narodowa)

Skarbek był ideowym i wiernym komunistą, ale nawet on wielokrotnie opowiadał się za spowolnieniem procesu kolektywizacji, uważając, że brutalna akcja przyniesie więcej szkody niż pożytku. Głosił tezę o konieczności „powolnego wrastania Polaków w socjalizm”, twierdząc, że na początek powinno powstać kilka bogatych kołchozów, które zachęcałyby chłopów do tej formy gospodarowania. Takie teorie były jednak nie do przyjęcia dla stalinowskiego aparatu władzy, toteż Skarbek i jego współpracownicy zostali rozstrzelani.

Przy okazji z Polskiego Instytutu Pedagogicznego im. Feliksa Dzierżyńskiego w Kijowie usunięto większość studentów. Zarzucono im kontakty ze Skarbkim i tworzenie na uczelni „polskiego gniazda faszystowskiego”. Ich miejsce zajęła

bardziej podatna na indoktrynację młodzież wiejska – przyszłe zastępy janczarów nowego ustroju.

Latem 1935 roku z partii usunięto całe kierownictwo Marchlewszczyzny, zarzucając jego członkom uprawianie „kułackiej polityki”. Zakończono wydawanie polskojęzycznych czasopism, a na ich miejsce powołano „Głos Radziecki”. W październiku ostatecznie zlikwidowano rejon polski, a Marchlewsk został przemianowany na Szczors. W sowieckiej prasie pisano o „agresji polskiego faszyzmu przeciwko ojczyźnie światowego proletariatu”, a polskich działaczy określano jako „giermków niemieckiego faszyzmu”. Najwyraźniej nasi rodacy nie nadawali się do życia w państwie sprawiedliwości społecznej.

Już w marcu 1935 roku wysiedlono z Marchlewszczyzny ponad 700 polskich rodzin, zlikwidowano też wszystkie polskie szkoły, a nauczycieli wysłano do łagrów. Wiosną następnego roku do Kazachstanu trafiło ponad 10 tysięcy Polaków (prawie dwa tysiące rodzin). Dla wielu z nich zesłanie oznaczało śmierć.

„Po przybyciu rozkwaterowywano się w ziemiankach i lepiankach – opisywała rosyjska badaczka, Natalia Lebediewa – myto się jedynie latem, kiedy woda zagrzała się na słońcu. Nie było ani szkół, ani szpitali; towary na stragany dowożono raz w miesiącu. Klimat był niezwykły i ciężki – latem upały dochodzące do 45 stopni, zimą mrozy do 50. Po stepie hulały stada wilków, napadając na ludzi i zwierzęta domowe”<sup>[8]</sup>.

Represje nie ograniczały się wyłącznie do zesłania, wielu Polaków zostało aresztowanych i niemal natychmiast rozstrzelanych. Niektórzy zaś nagle znikali bez śladu i nikt nigdy nie poznał ich losów.



**Jedna z milionów ofiar wielkiego głodu na Ukrainie  
(Charków 1932 r.).**

(Wikimedia Commons)

„Po zmroku do chaty zastukało kilku funkcjonariuszy – opowiadał o losach swojego pradziadka ks. Władysław Matuszewski – i poprosiło, by pokazał on im drogę do sąsiedniej wsi. Ten, nic nie przeczuwając, ubrał się i poszedł. Nigdy go już więcej nikt nie widział, nikt nie wiedział, co się z nim stało. Nie został formalnie o nic oskarżony”<sup>[9]</sup>.

Marchlewszczyznę zamieszkiwały 42 tysiące Polaków, z czego 1/3 padła ofiarą represji. Dokładne liczby zapewne nigdy nie będą znane, wiadomo jednak, że miejscowi Polacy jako pierwsi na terenie ZSRR doświadczyli skutków polityki narodowościowej Stalina. I nie był to jeszcze koniec, bo tutejsza ludność polska wkraczała w nowy, tragiczny okres swojej historii.

## ROZDZIAŁ 21

# SKOMPLIKOWANE DZIEJE RODZINY BACEWICZÓW

**D**ziwnym zrzędzeniem losu niektórzy z naszych wybitnych muzyków XX stulecia to Polacy z wyboru. Paweł Kochański był potomkiem rosyjskich Żydów z Odessy, a Grzegorz Fitelberg – synem muzyka wojskowego z Łotwy. Kropli polskiej krwi nie miała w żyłach również Anna German, natomiast Grażyna Bacewicz pochodziła z mieszanej rodziny. Jej ojciec był zajadłym litewskim nacionalistą i niewiele brakowało, by osiągnięciami tej znakomitej skrzypaczki i kompozytorki szczycili się teraz jego rodacy.

## Litewski nacionalista w Łodzi

Vincas Bacevičius ukończył Studium Nauczycielskie w Wejwerach, niedaleko Kowna. Szkoła była ośrodkiem odradzającego się narodowego ruchu litewskiego i Bacevičius został uznany przez władze carskie za element wywrotowy. Jako osoba niepożądana na Żmudzi otrzymał administracyjny nakaz osiedlenia się w Łodzi, gdzie pojawił się w roku 1899. Już wcześniej interesował się muzyką i grał na skrzypcach, a w

Łodzi ukończył szkołę muzyczną braci Hanickich. Poznał tam również Marię Modlińską, absolwentkę petersburskiego Instytutu dla Szlachetnie Urodzonych Panien. Pobrali się w 1903 roku.

Matka Grażyny była córką Stanisława Modlińskiego. Pochodził on z rodziny ziemiańskiej, jednak uznanie zyskał jako zdolny inżynier. Pracował przy budowie mostu Kierbedzia w Warszawie i stołecznych Filtrach, dzięki czemu mógł zapewnić najbliższemu życiu na wysokiej stopie. Niestety, rodzice szybko zmarli i Maria musiała utrzymywać się sama. Wówczas przeniosła się do Łodzi, gdzie poznała swojego przyszłego męża.

Rok po ślubie przyszło na świat ich pierwsze dziecko, syn Keistutis (Kiejstut). Bacewicz – jak przystało na litewskiego nacjonalistę – nadawał dzieciom imiona związane z dziejami swojego kraju. Drugi syn został więc ochrzczony jako Vytautas (Witold), a córkę nazwano Grażyną. Jako ostatnia przyszła na świat Wanda – i było to jedyne ustępstwo Vincasa na rzecz polskiej tradycji.

„W dzieciństwie i wieku szkolnym – wspominał po latach Kiejstut Bacewicz – życie codzienne nas czworga toczyło się w sferze wpływów polskiej tradycji kulturalnej, że w domu mówiliśmy wszyscy po polsku i uczęszczaliśmy do polskich szkół. Ale także prawdą jest, że obok polskiego i litewski pierwiastek narodowy był rodzimym pierwiastkiem naszego domu i że musiał mieć udział w kształtowaniu naszych umysłów. Ojciec był dla nas żywym uosobieniem tego pierwiastka i litewskiej tradycji kulturalnej. Wpływ wychowawczy ojca oraz nasze pobyty wakacyjne na Litwie u jego rodziny uczyniły nam i ten kraj emocjonalnie bliskim. Tak więc w naszej świadomości i wyobraźni obok wątku polskiego zawsze żywy był wątek litewski”<sup>[1]</sup>.

Ojciec rodziny mógł być litewskim nacjonalistą, ale jednocześnie był człowiekiem dużej wiedzy i kultury. Oboje z żoną wychowywali potomków „w kulcie dla nauki, sztuki i pracy twórczej”, a największe znaczenie miały dla nich „wartości ogólnoludzkie”. Bacewiczowie byli też silnymi osobowościami, co wpłynęło na późniejsze losy ich dzieci.

## Najważniejsza jest muzyka

„Ojciec był tak fanatycznie oddany muzyce – wspominała Wanda Bacewicz – że uważał to za rzecz najważniejszą. I miał chyba rację. Od piątego roku życia wszystkie dzieci uczył gry na paru instrumentach, tak że idąc do konserwatorium, byliśmy wszyscy absolutnie przygotowani”<sup>[2]</sup>.

Urodzona w lutym 1909 roku Grażyna spędziła więc dzieciństwo w domu, w którym panował kult muzyki. Dziewczynce od pierwszych miesięcy życia towarzyszyło brzmienie różnych instrumentów.

„Spałam w kołysce – opowiadała po latach – moi bracia w łóżeczkach (siostry nie było jeszcze na świecie), a wokół nas rozbrzmiewały dźwięki: wiolonczeli, skrzypiec, fortepianu, czasem głosu ludzkiego, a nawet trąbki”<sup>[3]</sup>.

Ojciec miał ambicję stworzyć z dzieci kwartet, postawił jednak na wszechstronność i każde z nich grało na więcej niż jednym instrumencie.

„Mam już 5 lat – kontynuowała Grażyna. – Doganiam chłopców zwłaszcza w grze na skrzypcach. Z fortepianem gorzej. Młodszy z braci, Witek, jest niedościgły. Zresztą nie w głowie nam rywalizacja.

Trio już jest. Ojciec maksymalista, wolałby kwartet. Zaczyna »męczyć« najmłodszą, Wandę. Chyba przed czasem. I pedagog cieszący się dobrą sławą na uczelni, w której pracuje, może postąpić czasem niepedagogicznie w domu”<sup>[4]</sup>.

Wydawało się, że wszystkie dzieci zrealizują ambicje Vincasa. Rodzeństwo pobierało podwójną edukację: w szkole ogólnokształcącej i w prywatnym konserwatorium Heleny Kijeńskiej-Dobkiewiczowej. Była to dobra uczelnia, po II wojnie światowej przekształcono ją w Akademię Muzyczną.

Grażyna po raz pierwszy stanęła na estradzie w wieku siedmiu lat. Razem ze starszymi braćmi występowała na różnych koncertach, „czasami jako skrzypaczka, czasami jako pianistka”.

Inna sprawa, że tryb życia narzucony rodzeństwu Bacewiczom praktycznie zabrał im normalne dzieciństwo. Poświęcili się wyłącznie nauce – poza edukacją muzyczną musieli przecież realizować normalny program szkolny. Młode lata pod kuratelą despotycznego ojca wywarły decydujący wpływ na całe dorosłe życie Grażyny. Do końca miała pozostać pracoholiczką, praktycznie nigdy nie pozwalając sobie na chwile bez troski i wypoczynku.

## Rodzina i polityka

Koniec I wojny światowej był też okresem gwałtownych zmian dla rodziny Bacewiczów. Polska i Litwa odzyskały niepodległość, ale politycy z Kowna nigdy nie pogodzili się z przyłączeniem Wilna do Rzeczypospolitej. Nie nawiązano stosunków dyplomatycznych, a Litwini utrzymywali fikcję, że kraj pozostaje w stanie wojny z Polską. W tej sytuacji Vincas



Bacevičius nie wyobrażał sobie dalszego życia nad Wisłą. Podjął decyzję o wyjeździe do Republiki Litewskiej i chciał sprowadzić do Kowna całą rodzinę.

W 1923 roku nielegalnie przedostał się na Litwę. Wkrótce jego śladem poszli synowie. Plany ojca szczególnie popierał Vytautas, który doskonale odnalazł się w nowym otoczeniu. Rozwinął w Kownie ożywioną działalność muzyczną oraz publicystyczną. Popierał nowe prądy w sztuce, założył czasopismo „Muzika ir Teatras” i przewodniczył Sekcji Litewskiej Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej.

Inną decyzję podjął Kiejstut, który w 1935 roku wrócił jednak do Polski. Nad Wisłą zasłynął jako kameralista i pedagog, a po II wojnie światowej przez 12 lat był rektorem łódzkiej Akademii Muzycznej. Otrzymał nawet doktorat honoris causa tej uczelni, a szkoła nosi dziś imię Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów.

Decyzja starszego syna spotkała się z ogromną dezaprobatą ojca, który chciał, by wszystkie jego dzieci wybrały narodowość litewską.

„Grażyna ani ja nie czułyśmy się absolutnie Litwinkami – opowiadała wiele lat później Wanda Bacewicz – i owszem, Grażyna jak już dorosła, to jeździła z bratem jednym lub drugim i koncertowała na Litwie. Ale to nic nie znaczyło”<sup>[5]</sup>.

Wydaje się jednak, że po latach pamięć niespecjalnie służyła pani Wandzie. Może zresztą z rozmysłem przeinaczała fakty lub po prostu nie wiedziała o wszystkim (w chwili emigracji ojca miała dziewięć lat). Z innych źródeł wynika bowiem, że Grażyna poważnie rozpatrywała osiedlenie się na Litwie, ale podobno nie chciała zrezygnować z polskiego paszportu.

To chyba jednak tylko kolejna legenda, bowiem niepełnoletnia dziewczyna nie mogła przecież decydować o swoim obywatelstwie. Potrzebna byłaby zgoda obojga

rodziców, a Maria Bacewicz zapewne nie wyobrażała sobie emigracji córki. Wystarczająco doświadczył ją fakt, że mąż przedłożył miłość do rodzinnego kraju ponad jej osobę.

Vincas Bacevičius był dyrektorem szkół w Kownie, uczył muzyki i śpiewu, prowadził chóry i orkiestry. Pisał podręczniki do nauki gry na skrzypcach i kompozycji, był również autorem wielu utworów muzycznych. Do końca życia pozostał na Litwie i nigdy nie zmienił swoich poglądów. Zmarł w Kownie w grudniu 1952 roku.

## Czas decyzji

W 1928 roku Grażyna wraz z matką i siostrą przeniosła się do Warszawy. Dziewczyna podjęła naukę w stołecznym konserwatorium w klasach: skrzypiec, fortepianu i kompozycji, a jakby tego było mało, przez pewien czas studiowała równolegle filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Muzyka jednak zwyciężyła i Grażyna skoncentrowała się wyłącznie na kompozycji oraz grze na skrzypcach (porzuciła również edukację w klasie fortepianu).

W 1933 roku Bacewicz zdobyła swoją pierwszą nagrodę za kompozycję – wygrała konkurs zorganizowany przez paryskie Towarzystwo „Aide aux femmes de professions libres” (Stowarzyszenie Popierające Kobiety Pracujące w Wolnych Zawodach). Rok później odbył się w Warszawie jej pierwszy koncert kompozytorski.

Niebawem jednak poniosła dotkliwą porażkę jako skrzypaczka. Niepowodzeniem zakończył się bowiem jej udział w I Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego. Klęska była tym bardziej dotkliwa,

że Bacewicz uchodziła za jedną z faworytek, a nadzieje wzrosły po pierwszym etapie konkursu.

„W przeddzień mojego występu – wspominała Grażyna – siedziałyśmy jak najspokojniej w Filharmonii. W przerwach flirtowałam sobie z doktorem Andrzejem Biernackim – moim przyszłym mężem. Odprowadził nas do domu, pożegnał nas przed bramą. Wyjątkowo długo czekałyśmy na jej otwarcie. Gdy na koniec znalazłyśmy się przed drzwiami mieszkania, klucz od zamka okazał się zbyteczny”<sup>[6]</sup>.

Mieszkanie zostało bowiem dokładnie splądrowane przez złodziei. Poza meblami nie pozostało tam praktycznie nic.

„Nie, mówiąc, że nic w nim nie pozostało, popełniłam nieściskość: na tapczanie w pierwszym pokoju, a więc na najbardziej widocznym miejscu, leżała troskliwie ułożona suknia koncertowa, w której miałam następnego dnia wystąpić, obok – z jednej strony pantofelki, z drugiej – skrzypce.

Cóż za szarmanccy i interesujący się sztuką złodzieje! Jeszcze tylko brakowało karteczki: »Życzymy powodzenia«”<sup>[7]</sup>.

Grażyna z matką i siostrą spędziły noc na komisariacie, a następnego dnia skrzypaczka zagrała fatalnie. Otrzymała tylko wyróżnienie, co odebrano jako klęskę.

Mimo że Bacewicz żyła w Polsce, przez długi czas nie mogła podjąć decyzji w sprawie swojej narodowości, zawsze czuła bowiem związek z Litwą. W wielu utworach Grażyny rozbrzmiewały motywy z tamtejszej muzyki ludowej – wyraźnie można je usłyszeć w młodzieńczych pieśniach oraz w *I kwartecie smyczkowym* z 1938 roku. Zdecydowanie litewski charakter ma również napisany sześć lat wcześniej *Kwintet na instrumenty dęte*.

Wydaje się, że być może kompozytorka osiadłaby w Kownie, gdyby nie fakt, że bez zrzeczenia się polskiego obywatelstwa

nie miałyby tam szans na zatrudnienie. Poza tym jako Polka musiałaby się liczyć z deportacją, co nie byłoby sytuacją komfortową. Ostateczną decyzję podjęła na początku lat 30., kiedy to starała się o stypendium kompozytorskie do Paryża. Ponieważ w Polsce nie udało jej się niczego załatwić, ruszyła do ojca na Litwę.

Nie była tam osobą anonimową, wielokrotnie koncertowała z braćmi w Republice Litewskiej i cieszyła się znacznym uznaniem. Przyjazdy Grażyny na Litwę były zapewne możliwe dzięki stosunkom ojca i braci, gdyż władze w Kownie zerwały wszelkie kontakty z Polską (kulturalne również). Prawdopodobnie przypuszczała więc, że pozycja Vincasa ułatwi jej otrzymanie upragnionej subwencji.

„Tatuś chciał Ci wyrobić stypendium (do Paryża) u ministra oświaty Šakenisa – pisał Vytautas do Grażyny wiele lat później – który to wtedy oświadczył Ojcu, że już chciał się podpisać na potwierdzenie stypendium rocznego dla Ciebie, ale Motiekaitis i Balys Dvarionas wnieśli skargę do ministerstwa, że Ty jesteś Polką i wobec tego nie powinnaś dostać stypendium. Wtedy to Ty, jak pamiętasz, po dwóch triumfalnych koncertach słusznie oświadczyłaś: »A więc dobrze, jestem wobec tego Polką«, i wtedy ja Cię zawiozłem do Paryża. To był punkt zwrotny w Twoim życiu, choć bardzo wtedy bolesny dla naszego Tatusia”<sup>[8]</sup>.

Wydaje się, że właśnie ta decyzja litewskiego ministra spowodowała, iż twórczość Grażyny Bacewicz należy do polskiej kultury. Chociaż bowiem nie dostała pomocy od rządu polskiego, jednak uznała, że mimo to nasz kraj daje jej większe możliwości kariery niż Republika Litewska.

## Frustracje Vytautasa Bacevičiusa

Latem 1939 roku Witold wyjechał na koncerty do Ameryki Południowej, zaś po wybuchu wojny przeniósł się do Nowego Jorku. Nie myślał o powrocie do Kowna – Litwa weszła bowiem w skład ZSRS, a Vytautas nie zamierzał zostać obywatelem „kraju sprawiedliwości społecznej”. Nie zmienia to jednak faktu, że nie czuł się dobrze w USA i właściwie nigdy się tam nie zaadaptował.

Przez wiele lat prowadził obfitą korespondencję z rodziną w Polsce. Najwyraźniej miał bardzo dużo wolnego czasu oraz potrzebował rozmowy i kontaktu z najbliższymi, gdyż do dziś zachowało się ponad 1600 jego listów. To zapewne tylko ułamek korespondencji. Przez ponad 30 lat pobytu w USA napisał prawdopodobnie kilkadziesiąt tysięcy listów, a być może więcej.

Dokumentują one samotność Bacevičiusa i jego frustracje spowodowane brakiem sukcesów na amerykańskim rynku muzycznym. Ten utalentowany kompozytor i pedagog nie mógł się przebić w USA, gdyż nie posiadał amerykańskiego obywatelstwa. Co więcej – ciągle wisiała nad nim groźba deportacji do ZSRS, gdyż przez lata nie miał nawet pozwolenia na pobyt. Zapewne wpłynęło to na jego postrzeganie tamtejszego świata muzycznego.

„[Kiejstut] dopytuje się o słynną szkołę Juilliard – pisał do Grażyny. – Więc powiedz mu, że mają partaczy (z wyjątkiem jednego lub dwóch). Ja masę uczniów tej szkoły uczyłem latami (po cichu) na ich prośby. (...) Dyrektor i kompozytor Schuman w swoich listach do mnie wynosił mnie pod niebiosa za moje koncerty w Carnegie Hall, ale wakancji nie było”<sup>[9]</sup>.

Vytautas miał również jak najgorsze zdanie o amerykańskiej publiczności odwiedzającej sale koncertowe. Wydawała mu się „tak strasznie chamska, jakby to nie było centrum New Yorku, lecz jakaś bardzo głucha prowincja”. Za zupełny absurd uważał też nawoływanie do tworzenia muzyki zrozumiałej przez

„masy płacące” za bilety na koncerty. Przypominało mu to bowiem postulaty socrealizmu w muzyce, gdy kompozycje miały być zrozumiałe dla „mas pracujących”.



**Grażyna Bacewicz, zdjęcie portretowe ze skrzypcami (1937 r.).**

(NAC)



**Wiersze Wandy Bacewicz opublikowane w czasopiśmie „Litery. Magazyn Społeczno-Kulturalny Wybrzeża” 1968, nr 4 (76).**

(Biblioteka Narodowa)



**Vytautas Bacevičius – kto wie, jak potoczyłoby się jego artystyczne życie, gdyby jednak przyjął polskie obywatelstwo.**

(Biblioteka Kongresu)



**Paweł Kochański – jeden z wielu wybitnych Polaków z wyboru.**

(NAC)

Piętnował codzienną pogoń za dobrami materialnymi, uważając, że w Ameryce „przyjaźń się kupuje pieniędzmi i nie jest wprost do pomyślenia bezinteresowna przyjaźń w stylu europejskim”.

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że ten bardzo samotny człowiek dziwaczał w świecie, w którym nie mógł zaistnieć z powodu braku obywatelstwa. Nie przeszkadzało mu to jednak zachować bardzo wysokie mniemanie o własnym talencie i twierdzić, że jest znacznie lepszym pianistą od odnoszącego wówczas ogromne sukcesy Artura Rubinsteina.

Mimo ciągłych frustracji Witold nie tracił nadziei i całymi latami starał się o obywatelstwo USA. Z drugiej jednak strony pogardzał tym krajem i jego mieszkańcami. Uważał, że „dla wszystkich Amerykanów kultura to luksusowe urządzenia w ich kuchniach, *air conditioner*, lodówki, auta, drogi wspianiałe, kolorowe TV itd. Z tym idzie w ich głupim mniemaniu i nauka oraz sztuka i kultura duchowa, i nikt ich nie przekona, że nauka, sztuki piękne etc. mogą być wyższe w krajach, które są *behind us* cywilizacyjnie”<sup>[10]</sup>.

KONCERTY KONSERWATORIUM  
ALEJA 1-GO MAJA Nr. 6  
NIEDZIELA  
27-GO STYCZNIA O GODZ. 17  
**RECITAL SPIEWACZY**  
**HALSZKA**  
**BACEWICZ**  
przy fortepianie **KIEJSTUT BACEWICZ**  
W PROGRAMIE  
Mozart - Beethoven - Schubert - Chopin - Liszt - Debussy - Stravinski i inni  
Wielki w. sala 20, 101-10 21. Uniwersytecki zespół Sali Koncertowej. Al. 1 Maja 6



**Plakat reklamujący występ Kiejstuta Bacewicza z żoną  
(Łódź, 1946 r.).**

(Biblioteka Narodowa)

W desperacji postanowił wreszcie wyemigrować do Iranu, uważając, że jego talent będzie przydatny dla rządu szacha Mohammada Rezy Pahlawiego. W korespondencji z władzami irańskimi snuł nawet ogromne perspektywy sukcesów *Symfonii perskiej*, którą zamierzał skomponować. A gdy i to zawiodło, przypomniał sobie o swoich polskich korzeniach.

„Chciałbym powrócić do Polski – informował Grażynę. – (...) Wierzę, że lekcijkami zarobiłbym w jakimś konserwatorium na przeżycie, bo mam 30-letnie doświadczenie jako pedagog, a pozostały czas bym poświęcił na komponowanie. Czy mnie przyjmiesz? Bo ja nie chciałbym przyjechać jako Litwin, (...) lecz jako Polak, Witold Bacewicz, pozostawiając tę sprawę otwartą (kto chce, może mieć mnie za Litwina i vice versa). Mnie na tym wcale nie zależy, bo niestety narodowość w ogóle żadnej roli w moim życiu nie odgrywa. (...) Jakiej jestem narodowości? Bardzo proste! Jestem narodowości muzycznej. A jakiej rasy? Rasy atonalnej. I to wszystko”<sup>[11]</sup>.

Bacevičius nie zrealizował jednak irańsko-polskich planów, ale wreszcie otrzymał prawo stałego pobytu w USA. Zaczął nieźle zarabiać, udzielając lekcji muzyki, i w 1961 roku wybrał się do Paryża na spotkanie z dawno niewidzianą rodziną. Niestety, pod względem artystycznym pobyt nad Sekwaną był nieudany – nikt nie zainteresował się kompozycjami Witolda. Być może dlatego w stolicy Francji czuł się równie nieswojo jak w Nowym Jorku.

Co gorsza, nawet siostra i brat krytykowali jego utwory, uważając, że są przykładem „braku rozwoju spowodowanego izolacją”, a sama instrumentacja jest „wyjątkowo

staroświecka”. Najwyraźniej Witold zaczął na koniec tracić kontakt z rzeczywistością, gdyż w ostatnich latach życia opanowała go wizja „muzyki kosmicznej”. Ponownie bez efektów, gdyż – jak przyznawał – „został uwięziony przez papier nutowy”.

Gdyby przed laty wybrał narodowość polską, być może tak jak siostra zrobiłby dużą karierę. A tak – pozostał sfrustrowanym wygnańcem, który nie potrafił się odnaleźć w świecie po II wojnie światowej.

Vytautas Bacevičius zmarł w styczniu 1970 roku w Nowym Jorku. Niemal równo rok wcześniej odeszła jego utalentowana siostra, Grażyna. Kiejstut przeżył oboje o prawie ćwierć wieku, a Wanda zmarła w 2011 roku. Ona, jako jedyna z rodzeństwa, nie poświęciła się muzyce – wybrała poezję, prozę i dziennikarstwo.

## ROZDZIAŁ 22

# OPERACJA POLSKA NKWD

Pierwsze sowieckie ludobójstwo Polaków do dziś pozostaje właściwie nieznanie szerszym kręgom społeczeństwa. Choć w ostatnich latach uczyniono wiele, by wypełnić białe plamy dziejów naszego kraju, to jednak na temat operacji polskiej NKWD z lat 1937–1938 panuje zadziwiająca zmowa milczenia – artykuły czy pozycje książkowe są stosunkowo nieliczne, zaś w podręcznikach do historii dla liceum zamieszczono na ten temat jeden (!) krótki akapit. A przecież było to najbardziej tragiczne wydarzenie w dziejach narodu aż do wybuchu II wojny światowej. Nawet jeżeli jego ofiarami nie byli polscy obywatele.

## Polacy za Zbruczem

Nieznana jest dokładna liczba naszych rodaków, którzy po traktacie ryskim pozostali w granicach Związku Sowieckiego. Ocenia się, że w latach 1921–1924 repatriowano do kraju około 1,1 miliona osób, z czego znaczną część stanowili przedstawiciele innych narodowości niż polska, ale pochodzący z ziem włączonych w granice II Rzeczypospolitej.

Natomiast około 1,5 miliona naszych rodaków pozostało w ZSRS, co pośrednio potwierdza sowiecki spis z 1926 roku. Wykazano wówczas liczbę prawie 800 tysięcy Polaków, a zwyczajem kremlowskich specjalistów od statystyki było zaniżanie o połowę niewygodnych danych demograficznych.

Przekrój społeczny sowieckich Polaków był bardzo zróżnicowany. Nie brakowało bowiem przedstawicieli inteligencji o komunistycznych poglądach, którzy uznali ZSRS za swoją ojczyznę. Przytłaczającą większość stanowiła jednak schłopiała szlachta zaściankowa i autentyczni włościanie, których niebawem dotknąć miała kolektywizacja.

Natomiast zupełnie zapomnianą sprawą jest fakt, że w latach 20. i 30. do Rosji Sowieckiej wyjeżdżało wielu specjalistów przemysłowych: inżynierowie i wykwalifikowani robotnicy. Nawet Amerykanie i Anglicy poszukiwali tam pracy, gdyż władze stawiały na intensywny rozwój przemysłu ciężkiego, a do tego dobrze płaciły. W ten sposób w sowieckich miastach znalazła się pokaźna grupa Polaków, często z rodzinami.

Bolszewicy nigdy nie mieli zaufania do naszych rodaków i antypolską politykę prowadzili od chwili utworzenia ZSRS. Szczególną nieufność wykazywał Józef Stalin, który nie zapomniał klęski z 1920 roku i doskonale wiedział, że Polacy nigdy nie byli w Rosji specjalnie lubiani. Od czasów carskich uważano ich bowiem za wiecznych buntowników, co miały zresztą potwierdzać kolejne powstania narodowe. Pamiętano również, skąd pochodził zabójca Aleksandra II – zakrawa to na paradoks, gdyż w trakcie wojny domowej bolszewicy sami wymordowali większość carskiej rodziny.

Do tego klęską okazał się polski eksperyment narodowościowy w Dzierżyńsku i Marchlewsku. Mieszkańcy tamtejszych obwodów okazali się wyjątkowo odporni na sugestie Sowietów dotyczące kolektywizacji i religii katolickiej – nic nie wskazywało na to, że staną się awangardą

światowej rewolucji, gdy ziści się plan bolszewików o przekroczeniu granicy z Polską i eksporcie komunizmu na zachód.

## Rzekomi członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej

Katastrofalny głód na Ukrainie zapewne przyspieszył decyzję o eliminacji „elementów wrogich władzy radzieckiej”. W styczniu 1933 roku Stalin osobiście wezwał do „nasilenia walki klasowej”, ale musiało upłynąć trochę czasu, nim podwładni dyktatora w pełni zrozumieli jego intencje. Dotychczas bowiem wyniszczano poszczególne warstwy społeczne: następni po inteligencji i ziemianach wymordowanych podczas wojny domowej byli kułacy przeciwni ideom wspólnego posiadania ziemi.

Zresztą początki całej operacji nie zapowiadały jeszcze ludobójstwa etnicznego, chociaż już wówczas zadbano o wskazanie konkretnego zagrożenia, z którym wewnętrzni wrogowie Związku Sowieckiego mogli być powiązani. Wobec osób cywilnych raczej nie dało się stosować na szeroką skalę zarzutów o współpracę z obcym wywiadem, zatem padło na Polską Organizację Wojskową. Nieistotne, że POW już nie istniała – ważne było natomiast, że w Rosji pamiętano o jej działalności sprzed kilkunastu lat. Idealnie zatem nadawała się, by przypisać jej rolę organizacji szpiegowskiej i dywersyjnej, która dąży do destabilizacji sytuacji w Związku Sowieckim.

Pierwsze próby „reanimacji” POW pojawiły się już w 1929 roku. To właśnie wtedy jeden z członków Komunistycznej

Partii Polski przygotował broszurę o prowokatorskiej działalności peowiaków wśród aktywistów komunistycznych. Cztery lata później tematem na poważnie zajęła się Moskwa i latem 1933 roku aresztowano 20 prominentnych polskich komunistów przebywających w Związku Sowieckim.

Niektórzy z nich faktycznie mieli za sobą działalność w szeregach POW podczas wielkiej wojny, ale dawno już przeszli na pozycje skrajnie lewicowe i byli zwolennikami czerwonej władzy w Polsce. Dwóch aresztowanych nie przeżyło śledztwa (jednego zamordowano, drugi popełnił samobójstwo), kolejnego skazano na karę śmierci. Pozostałych wysłano do łagrow, gdzie kilka lat później zostali rozstrzelani.

Gdy w Warszawie opracowywano kolejne wersje broszury ostrzegającej przed knowaniami peowiaków, na Kremlu zapadła decyzja, by całą tę sprawę wykorzystać do rozprawy z Polakami mieszkającymi w ZSRS.

## Początki wielkiej czystki

1 grudnia 1934 roku w Leningradzie został zastrzelony szef tamtejszej WKP(b), Siergiej Kirow. Zginął na polecenie Stalina, który obawiał się jego popularności, ale o zabójstwo – oczywiście – oskarżono wrogów Związku Sowieckiego. Jeszcze tego samego dnia ogłoszono dekret o trybie doraźnym w rozpatrywaniu spraw politycznych i niezwłocznym wykonywaniu wyroków śmierci. Niebawem rozszerzono te przepisy na młodocianych od 12. roku życia.

Jeszcze w grudniu rozpoczęły się aresztowania „białogwardzistów trockistów i zinowjewowców”, co w praktyce oznaczało początek rozprawy z antystalinowską opozycją. W styczniu przed sądem stanęli więc Lew

Kamieniew, Grigorij Zinowjew i ich współpracownicy (Trocki przebywał na emigracji) oskarżeni o zabójstwo Kirowa i planowanie mordy na Stalinie. Zapadły wyroki więzienia, co nie przeszkodziło w ponownym postawieniu całej grupy przed sądem w sierpniu następnego roku. W tzw. pierwszym procesie moskiewskim zapadły wyroki śmierci, które natychmiast wykonano.

Na kolejny rok zaplanowano rozprawę z następnymi opozycjonistami w szeregach partyjnych oraz z dowództwem Armii Czerwonej (tzw. sprawa Tuchaczewskiego). W międzyczasie ze stanowiska NKWD usunięto Gienricha Jagodę (stracono go wraz z żoną i siostrą półtora roku później), którego zastąpił Nikołaj Jeżow.

W połowie stycznia poinformował on Stalina o znalezieniu śladów działalności „szpiegowskiej siatki POW” w organach bezpieczeństwa. Z kolei kilka tygodni później ogłosił, że służby specjalne zawiodły, a polskich szpiegów wykryto w szeregach NKWD. Powtórzył to podczas obrad plenum Komitetu Centralnego, a na początku lipca zapadła decyzja o podjęciu operacji przeciwko „elementom antypaństwowym”.

## Nie tylko Polacy

Przedostatniego dnia lipca Biuro Polityczne zatwierdziło rozkaz NKWD NR 00447. To bezprecedensowy przypadek w dziejach świata, gdyż po raz pierwszy wydano na piśmie polecenie zlikwidowania wrogów państwa, wyznaczając odpowiednie „kontyngenty liczbowe”.

Jednocześnie określono też limity grup osób, które na wiele lat miały trafić do łagrów. Limity były zależne od wielkości republik związkowych, krajów i obwodów. Dla przykładu: na

terenie Białorusi planowano wymordować 2 tysiące osób, a 10 tysięcy wywieźć, natomiast na Ukrainie miano rozstrzelać 8 tysięcy osób, a zesłać prawie 21 tysięcy. Trzeba przyznać, że dokładność oprawców w wyliczaniu przerebu ofiar do dziś wprawia w osłupienie.

„Posiadany materiał – meldował szef moskiewskiej organizacji partyjnej, Nikita Chruszczow – daje podstawy do wyznaczenia 2000 ludzi do pierwszej kategorii i 5689 ludzi drugiej kategorii”<sup>[1]</sup>.

Represjonowani mieli być: byli kułacy, „elementy społecznie niebezpieczne”, dawni członkowie „antysowieckich partii”, uczestnicy wszelkich organizacji i ruchów, którzy wyrażali negatywne zdanie na temat bolszewików. W praktyce oznaczało to, że ofiarą represji może paść każdy.

Weryfikację – zatem w praktyce sąd – miały przeprowadzać trójki złożone z najwyższych funkcjonariuszy NKWD i członków WKP(b) dla właściwego terytorium. Decyzje przekazywano do zatwierdzenia do centrali, a Jeżow uspokajał podwładnych, że jeżeli „w czasie tej operacji rozstrzela się niepotrzebnie tysiąc ludzi, nic się nie stanie”.

Niemal równocześnie wydano rozkaz aresztowania „wszystkich Niemców zatrudnionych w zakładach zbrojeniowych”, a potem Koreańczyków z Dalekiego Wschodu. Następnie represje rozciągnięto na przedstawicieli kolejnych narodów, które nie weszły w skład ZSRS: Łotyszy, Rumunów, Estończyków, Finów, Greków, Persów, Chińczyków i Bułgarów. 11 sierpnia 1937 roku przyszedł czas na Polaków.

Masakrę zaplanowano na trzy miesiące, przy czym w pierwszym rządzie mordowano by „wrogów ludu”. Z kolei „lżej winni” i rodziny straconych mieli trafić do łagrów, zaś dzieci – do specjalnych przytułków.

Każde aresztowanie musiało być udokumentowane protokołem rekwizycyjnym, a następnie protokołem z



przesłuchania i – co najważniejsze – spisem współpracowników we „wrogiej robocie”. W błyskawicznie prowadzonych śledztwach załamywali się niemal wszyscy, gdyż stosowano wobec nich tortury i szantaż psychiczny dotyczący najbliższych. Spis „wrogów władzy sowieckiej” stawał się zatem coraz dłuższy, a każdy wyrok był dokładnie opisany.

Protokoły natychmiast przekazywano do centrali, zaś o zbiorczych wynikach meldowano co pięć dni. Dzięki temu szefostwo NKWD i sam Stalin byli doskonale poinformowani o przebiegu wydarzeń, a po latach można było ustalić dokładną liczbę ofiar.

Początkowo rozmiar operacji przerósł techniczne możliwości terenowych placówek NKWD. Nie chodziło nawet o samo fizyczne uśmiercanie, gdyż strzał w tył głowy był stosunkowo łatwy do wykonania. Większy problem sprawiało względnie dyskretne grzebanie zwłok. Liczba specjalnie przygotowanych dołów okazała się zbyt skromna jak na potrzeby czekistów, a próby palenia szczątków ofiar nie powiodły się. Sowieci byli pod tym względem zbyt słabo zaawansowani technologicznie i dopiero kilka lat później problem rozwiązali hitlerowcy. Dlatego w Rosji do grzebania zwłok wykorzystywano opuszczone klasztory i kościoły, chociaż zdarzało się również, że obciążone ciała wrzucano po prostu do rzek czy zbiorników wodnych. Szybko jednak opanowano sytuację.

Czekistów, którzy za dodatkową pracę otrzymywali sowite wynagrodzenie, ogarnęła prawdziwa żądza mordu. Do moskiewskiej centrali z całego kraju napływały wnioski o zwiększenie kontyngentów. W przypadku Ukrainy chodziło o 30 tysięcy kolejnych ofiar. Ale sprawnością przebiło wszystkich NKWD z Omska – złożono tam bowiem wniosek o „zwiększenie limitu do 8 tysięcy” (z początkowego tysiąca).

Niewiele w tyle pozostali czekałsi z kraju krasnojarskiego, którym nie wystarczyło zabicie 750 osób – zgłosili zapotrzebowanie na dalsze 6,6 tysiąca<sup>[2]</sup>. Centrala przychylnie traktowała te prośby, a przy okazji przyznano też znacznie większe środki finansowe na prowadzenie operacji.

## Rozkaz nr 00485

Operacja przeciw Polakom miała trwać trzy miesiące, jednak niebawem została przedłużona. Przebiegała w trybie „albumowym”, który z góry wykluczał inny wyrok niż karę śmierci dla oskarżonego z „pierwszej grupy”.

„Na kartce po lewej stronie – tłumaczył szef moskiewskiego OGPU (policja polityczna podporządkowana NKWD), Stanisław Redens – trzeba było opisać biografię, wszystkie dane aresztowanego, a po prawej stronie istotę sprawy. Z kolei pośrodku przez cały czas wymagali zapisywania pokrótce: np. zdemaskowany przez materiały; zeznania; sam się przyznał; istota przestępstwa szpiegostwo; dywersja, terror, jakich czynności dokonał albo jakie miał zadania. W centrali wszystkie te sprawy zszywano dla wygody w albumy po sto stron”<sup>[3]</sup>.

Początkowo „w kilka godzin rozpatrywano 500–600 spraw, a innym razem 1000 spraw”. Gdy jednak ich liczba rosła, przedstawiciele centrali zaczęli dzielić między siebie albumy i decyzje podejmowano jednoosobowo. Według opinii Redensa (zresztą Polaka z pochodzenia) w 95 proc. przypadków oznaczało to wyrok śmierci.

Warto też zauważyć, że chociaż każdy wyrok śmierci – przynajmniej teoretycznie – miał zatwierdzić Jezow, to

podpisywał dokumenty bez czytania, gdyż bardziej interesowały go liczby. Zresztą zachęcał go do tego Stalin, twierdząc, że „trzeba bić Polaków, ile wlezie”. Sam szef NKWD instruował podwładnych, by „kontynuowali w tym duchu, wyciągali zeznania i nie zwracali na nic uwagi”.

W rozmowie z dowódcami terenowych jednostek stwierdził, że według jego oceny nielegalnie miało się przedostać z Polski do ZSRS ponad 50 tysięcy Polaków, z czego połowa się ukryła. Dlatego teraz należy „wszędzie ich zbierać na pęczki”, gdyż była to „podstawowa baza szpiegowska polskiego wywiadu”.

„O czym to świadczy? – pytał podwładnych. – Nie mamy granicy. Jaka to, u diabła, granica, jeśli 58 tysięcy ludzi w krótkim czasie przeszło; to nie granica, a sito. A spróbujcie do tej samej (...) zasranej Polski, trzech groszy niewartej ani naszej guberni, spróbujcie przerzucić do niej 58 tysięcy... Ona wam pokaże – nikogo nie przepuści, wszystkich powystrzela”<sup>[4]</sup>.

Zgodnie z rozkazem 00485 aresztowaniu podlegali ujawnieni w trakcie śledztwa „członkowie POW”, pozostali do tej pory na terenie Rosji sowieckiej polscy jeńcy wojenni, uciekinierzy z naszego kraju „niezależnie od czasu przejścia do ZSRS” oraz „emigranci polityczni”. Do tego dochodzili jeszcze „wymienieni z Polską więźniowie polityczni” i dawni „członkowie PPS”. Oczywiście największe możliwości do działania dawała „najaktywniejsza część miejscowych nacjonalistycznych elementów”. Do tej kategorii można było bowiem zaliczyć każdą osobę polskiego pochodzenia<sup>[5]</sup>.

Aby zidentyfikować jak największą liczbę osób narodowości polskiej, przeglądano w miastach książki telefoniczne, przesłuchiwano inkasentów energii elektrycznej i życzliwie wysłuchiwano donosów. Niejeden Rosjanin padł ofiarą pomyłki, gdyż nosił polsko brzmiące nazwisko. Nic nie

zatrzymywało enkawudzistów. Gdy wreszcie udało się odnaleźć grupę naszych rodaków, czasami nawet nie czekano na zatwierdzenie polecenia egzekucji. Po szybkich przesłuchaniach (jedno, góra dwa) dokonywano mordu, „a dopiero później podpisywano hurtowo wyroki”.

„Po co się z nimi guzdrać? – pytał retorycznie jeden z oprawców, Maksim Didienko. – Rozstrzelać ich wszystkich, a potem podpiszemy protokół”<sup>[6]</sup>.

Gdy jeden z Polaków, Michał Jodko, mimo postrzału w głowę przeżył i wydostał się z masowego grobu, zadenuncjowała go miejscowa ludność. Niebawem ponownie wpadł w ręce enkawudzistów, którzy tym razem zadbali, by nie spartaczyć egzekucji.

„Ludzi rozstrzeliwano w podziemiach więzienia – wspominał kierowca kijowskiego NKWD – a w nocy specjalnymi kleszczami ładowano zwłoki na ciężarówki. Tymi kleszczami łapaliśmy ciała za szyję i nogi i rzucaliśmy je na przyczepę. Potem przykrywaliśmy je brezentem i wywoziliśmy do Bykowni. Ciała wrzucano jedno na drugie do dołów”<sup>[7]</sup>.

Polacy ucierpieli najbardziej ze wszystkich narodów ZSRS prześladowanych w latach 1937–1938. Po latach uważano, że ich położenie było wówczas zbliżone do sytuacji Żydów w III Rzeszy. Gdyby wówczas żył jeszcze twórca Czeka, Feliks Dzierżyński, bardzo wątpliwe, czy przeżyłby operację polską...  
<sup>[8]</sup>

## Krwawy bilans

Paradoksalnie, największe straty pod względem procentowym poniosły dwie bardzo odległe od siebie grupy Polaków.

Pierwszą z nich byli katoliccy księża, a drugą – działacze komunistyczni. Z ponad 470 kapłanów pozostałych na terenie ZSRS po objęciu władzy przez bolszewików, operację polską przeżyło zaledwie 10 (część z nich przedostała się do Polski, korzystając z wojny domowej i polsko-rosyjskiej). Zamknięto też niemal wszystkie kościoły, funkcjonowały tylko dwa przeznaczone dla dyplomatów – w Leningradzie i Moskwie.

Natomiast polskich komunistów wybito niemal do nogi, gdyż zginęło wówczas około 5 tysięcy działaczy. Nieważne, czy należeli do KPP, czy do WKP(b), nie liczyły się też żadne zasługi – istotna była wyłącznie narodowość. Do łagru trafił także Karol Radek, któremu Stalin nie mógł zapomnieć dowcipu o szansach na światową rewolucję.



**Siergiej Kirow.**  
(Wikimedia Commons)



**Lew Kamieniew.**  
(Wikimedia Commons)

Jak bowiem twierdzili klasycy marksizmu-leninizmu, rewolucja powinna wybuchnąć we wszystkich państwach, a przynajmniej w najważniejszych na danym kontynencie. Dopiero wtedy zmiany społeczne miałyby szansę powodzenia. Natomiast Radek zadawał retoryczne pytanie: skoro nie powiodła się światowa rewolucja, czy można budować komunizm tylko w jednym kraju? I odpowiadał, że – oczywiście – można, tylko szkoda tego kraju...

Radek został w łagrze zamordowany, zresztą jako polski Żyd nie miał szans na przetrwanie. Podobnie jego współtowarzysze. Zaś tych, którzy przebywali wówczas za granicą, wzywano do powrotu. Chociaż właściwie wiedzieli, co się dzieje, to jednak ćwiczona przez lata dyscyplina partyjna nie pozwalała im na odmowę – ze stoickim fatalizmem przyjeżdżali więc na pewną śmierć. W ten sposób wymordowano całe kierownictwo KPP. Przetrwali tylko ci, którzy przebywali wówczas w polskich więzieniach. Paradoksalnie, stały się dla nich najbezpieczniejszym

miejscem, a kilka lat później właśnie ci ludzie mieli tworzyć podwaliny PRL-u i przejąć władzę.



**Rynek w Kojdanowie (1918 r.).**

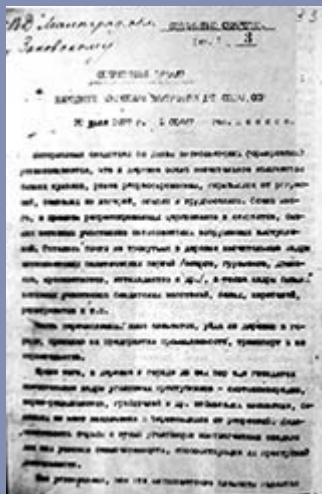
(Wikimedia Commons)

„Pod koniec 1939 roku w Moskwie właściwie już nie było Polaków – wspominała córka działacza KPP, Janina Dobrzańska. – Całe nasze środowisko zniknęło. (...) Brat matki, Józef Unzlicht, w więzieniu, siostra Zofia też, cała polska sekcja – matka pracowała tam jako sekretarz – aresztowana. Wzywano nawet jej kolegów z zagranicy i wsadzano do więzienia. Pamiętam, jak prosto z dworca przyszedł do nas Jerzy Ryng. Posiedział, pomilczeliśmy. Powiedział, że przyjdzie jutro, jak będzie mógł. Byłam chyba ostatnią osobą, która widziała go żywego”<sup>[9]</sup>.



**Wniosek do Stalina o podwyższenie limitu skazanych: dla pierwszej kategorii o 300 osób, a drugiej – o 1000 osób. Generalissimus odręcznym piśmie nakazuje zmianę kontyngentu na 500 i 800 osób...**

(Wikimedia Commons)



**Rozkaz NKWD nr 00447 rozpoczynający wielką czystkę w Związku Radzieckim.**

(Wikimedia Commons)



Zachowały się oficjalne dane operacji polskiej NKWD. Zamordowano 111 091 osób, trudniej jednak określić liczbę ofiar, które zmarły w łagrach. Przyjmuje się, że łącznie zginęło 140–170 tysięcy Polaków<sup>[10]</sup>. Zniknęło całkowicie – i nigdy się nie odrodziło – polskie osadnictwo w okolicach Dzierżyńska, a w pobliżu Marchlewska zostało znacznie ograniczone.

Operacja polska trwała aż 14 miesięcy i została wygaszona dopiero jesienią 1938 roku. Sowieckim obyczajem oskarżono jej wykonawców o przekroczenie uprawnień i praktycznie wszystkich rozstrzelano. Odsunięty został też Jeżow, którego stracono półtora roku później. Jego miejsce zajął Ławrientij Beria – właśnie on miał niebawem nadzorować masowe deportacje z terenów II Rzeczypospolitej zajętych przez Sowieców po 17 września 1939 roku. A w marcu 1940 roku postawił wniosek o wymordowanie tysięcy polskich oficerów w ramach zbrodni katyńskiej.

„Kaźde aresztowanie wytrąca mnie z równowagi – notowała w marcu 1938 roku urodzona w Moskwie Emma Korzeniewska. – Nastrój mam okropny, nie wiem, gdzie się schować, dokąd uciec – byle tylko nie widzieć, nie słyszeć, nie wiedzieć nic o aresztowaniach. Ale nie ma od nich ucieczki. Żyjemy jak króliki w klatce węża – co chwilę ktoś znika. Czujesz, jak krąg się zacieśnia i zacieśnia. (...) Z całej rodziny pozostałam zupełnie sama. Żeby tylko z dziećmi mnie nie rozłączyli; niech mnie biorą – byle razem z nimi. Ale przecież wiem, że zabiorą mi dzieci. Gdy o tym pomyślę, robi mi się słabo. Za jakie grzechy takie okrucieństwo? Do czego oni dążą?”<sup>[11]</sup>.

## ROZDZIAŁ 23

# FEMME FATALE II

# RZECZYPOSPOLITEJ

Z Żytomierza pochodziła jedna z najbardziej tajemniczych postaci okresu międzywojennego w dziejach Polski, Marta Thomas-Zaleska. Była partnerką życiową Edwarda Śmigłego-Rydza i powszechnie uważano ją za złego ducha marszałka. Nie zmienia to jednak faktu, że była jego wielką miłością i prawdopodobnie jedyną kobietą, z którą się związał.

## Dzieje pewnego mezaliansu

Marta Thomas była córką miejscowego aptekarza i od najmłodszych lat zwracała uwagę inteligencją i niekonwencjonalną urodą. Podczas nauki w gimnazjum poznała syna miejscowych ziemian, Michała Zaleskiego, który zakochał się w niej bez pamięci i – mimo różnicy statusu społecznego – postanowił poślubić. W pewnym sensie sprawę ułatwił fakt, że rodzice Zaleskiego zmarli i nikt nie mógł się sprzeciwić jego planom matrymonialnym.

Podobno małżonkowie byli ze sobą szczęśliwi, a Marta dobrze czuła się w nowym środowisku:

„(...) zamieszkali w naszych stronach w Sandrakach – wspominała ziemianka z Podola, Helena Kutylowska – i pewnego dnia złożyli rodzicom wizytę. Pani Marta wesoła, przystojna, szybko weszła w rolę ziemianki i – choć w owych czasach taki związek uważano za mezalians, gdyż była córką aptekarza – została przez sąsiadów, szczególnie panów, mile przyjęta. Dobrze jeździła konno i często wpadała do Kumanowic, aby wziąć udział w naszych wycieczkach”<sup>[1]</sup>.

Idyllę przerwał wybuch wojny. Zaleski został zmobilizowany i w stopniu oficera trafił do armii rosyjskiej. Nie chciał, by żona samotnie nudziła się w majątku, i na własne nieszczęście zaproponował jej przeprowadzkę do Kijowa. Osobiście przygotował wygodny apartament, a wyjeżdżając, zalecił, by używała życia.

Marta przyjęła zalecenia męża bardzo dosłownie. Nie wiadomo, czy w ogóle go nie kochała, czy też była zbyt młoda na poważne uczucie (w chwili wybuchu wojny miała zaledwie 19 lat). Wdała się w romans z jakimś panem M. (nigdy nie ustalono jego personaliów) i całkowicie zapomniała o Zaleskim. Planowała nawet unieważnienie małżeństwa i poślubienie kochanka, nie zdając sobie sprawy, że dla nowego partnera romans z nią jest tylko przygodą.

Relacje co do dalszych wydarzeń pozostają sprzeczne. Nie wiadomo, czy Zaleski został poinformowany przez „życzliwych”, czy też przyjechał niespodziewanie – w każdym razie zastał żonę z kochankiem *in flagranti*. Zachował się jednak z ogromną klasą. Gdy uświadomił sobie, że Marta darzy uczuciem pana M., udał się do jego pokoju hotelowego. Oznajmił, że nie zamierza stwarzać im przeszkód i będą mogli się pobrać.

Rywał szyderczo odpowiedział, że nie planuje małżeństwa z Martą, bo z jego strony cała sprawa ograniczała się wyłącznie do seksu. Tego było za wiele dla polskiego szlachcica i

rosyjskiego oficera. Zaleski wyszarpnął z kabury (czy też z kieszeni) rewolwer, a pan M. schował się pod kołdrę, która nie stanowiła przecież żadnej osłony przed pociskami...

Na pogrzebie kochanka Marta urządziła historyczne sceny, natomiast jej mąż stanął przed sądem. Otrzymał jednak stosunkowo łagodny wyrok: degradację i skierowanie na front, na co zapewne wpływ miało zachowanie Marty. Poza tym sądy carskie z reguły łagodnie traktowały zabójców, którzy swoje czyny popełnili pod wpływem miłości czy zazdrości.

Pani Zaleska pozostała w Kijowie z opinią *femme fatale*. Opowiadano, że prowadziła dość swobodny tryb życia. Pod koniec wojny rozpoczęła współpracę z POW, a złośliwi szeptali, że główną przyczyną jej zainteresowania konspiracją był miejscowy dowódca tej organizacji. Faktycznie, pułkownik Leopold Lis-Kula (który zresztą kwaterował u Zaleskiej) był bardzo przystojnym mężczyzną...

Jednak bez względu na prawdziwe pobudki wstąpienia do POW Marta nie traktowała sprawy w kategoriach towarzyskich. Odznaczyła się jako odważna kurierka, ocalała też jednego z oficerów, który – oficjalnie pracując dla Niemców – zostawił w swoim biurze ważne dokumenty konspiracyjne. Zaleska niezwłocznie się tam udała i wykorzystując urok osobisty, „potrafiła tak Niemców »zagadać«,” że niemal na „ich oczach udało się jej niepostrzeżenie wyciągnąć z szuflady i wynieść dowody rzeczowe”. Natomiast przy innej okazji została przez okupantów na krótko aresztowana <sup>[2]</sup>.

Był to czas po zawarciu pokoju brzeskiego, gdy Rosja wycofała się z wojny, a Ukraina stała się samodzielnym państwem. Jej ziemie okupowali jednak Niemcy i Austriacy, a zachodni alianci szukali dla nich przeciwników w tej części Europy. Dlatego we wrześniu do Kijowa przybył pułkownik Edward Śmigły-Rydz, który z ramienia POW jechał do Rumunii

na rozmowy z francuską misją wojskową. Zanim jednak dotarł do Jass, gdzie przebywali Francuzi, zdążył kompletnie stracić głowę dla Marty.

Po powrocie spędził ze swoją wybranką kilkanaście dni nad Morzem Czarnym, jednak nie znamy bliższych szczegółów tego pobytu. Być może jeszcze przed wyjazdem do Jass doszło między nimi do pierwszych zbliżeń erotycznych. I trudno się temu dziwić – w tak burzliwej epoce nie warto było tracić czasu na konwenanse. Zresztą Marta zawsze uchodziła za osobę mało pruderyjną.

Niestety, „Śmigły” nie miał czasu dłużej rozkoszować się bliskością kochanki. Historia nagle przyspieszyła – w połowie września francuska Armia Orientu, stacjonująca dotychczas w Salonikach, rozpoczęła ofensywę na północ. Jej sukces przekroczył wszelkie oczekiwania; jeszcze przed końcem miesiąca zawieszenie broni podpisała Bułgaria, a zaraz potem Turcja. Gdy w październiku Francuzi przemierzali Bałkany, kierując się na Belgrad i Budapeszt, dla wszystkich stało się jasne, że klęska Austro-Węgier i Niemiec jest kwestią najbliższej przyszłości.

Jak później elegancko to określono, monarchia Habsburgów „zaczęła się rozłazić jak stare gacie” – Niemcy nie byli w stanie sami prowadzić wojny. Zresztą narastały tam rewolucyjne nastroje, a żołnierze kajzera nie chcieli już ginąć na froncie. W pierwszych dniach października Rada Regencyjna w Warszawie zapowiedziała nawet utworzenie niepodległej Polski. W tej sytuacji „Śmigły” musiał porzucić kochankę i wracać do Warszawy.

## Nietypowy związek

Ponownie spotkali się w maju 1920 roku w Kijowie, gdy „Śmigły” wkroczył tam na czele 3 Armii Wojska Polskiego. Jak wiadomo, triumf nie trwał zbyt długo i Marta Thomas-Zaleska opuściła miasto wraz z wojskami partnera. Być może towarzyszyli jej też rodzice i siostra.

Zamieszkała w Warszawie, a generał wystąpił dla niej o Krzyż Walecznych za zasługi dla ojczyzny. Odznaczenie – oczywiście – otrzymała, zaś złośliwi szeptali, że jest to nagroda za wykonywanie indywidualnych zleceń generała. Było to bez wątpienia krzywdzące dla Marty.

W tym czasie uważano ich już za małżeństwo, choć nikomu nigdy nie udało się odnaleźć żadnego dowodu, że w ogóle zalegalizowali swój związek. Bez wątpienia problemem był fakt, że wciąż żył mąż Marty (zmarł w 1939 roku), a w Polsce nie istniała instytucja rozwodu cywilnego.

Jednak nie takie problemy wówczas rozwiązywano! Ponieważ kościelne unieważnienie małżeństwa było bardzo kosztowne, zawsze pozostawała jeszcze zmiana wyznania. Właśnie w ten sposób zawierali małżeństwa: Wieniawa-Długoszowski, Orlicz-Dreszer, Sławoj-Składkowski, Beck, a nawet sam Piłsudski. Dlaczego zatem Marta i Edward nie zdecydowali się na tę drogę? Czyżby Zaleski stawiał zbyt wygórowane żądania?

Oboje raczej unikali tego tematu w rozmowach z postronnymi. Wiadomo też, że gdy po zawarciu pokoju z bolszewikami „Śmigły” przyjechał z Martą do rodzinnych Brzeżan, nic nie wspominał przyjacielom o ślubie z partnerką.

Wśród elit politycznych i wojskowych II Rzeczypospolitej brak legalizacji związku nie stanowił jednak większego problemu. Przecież Piłsudski przez kilkanaście lat pozostawał w nieformalnym układzie z Aleksandrą Szczerbińską (miał z nią dwoje dzieci), Daszyński spłodził nieślubnego syna, a Sikorskiego szantażowano ujawnieniem jego zdrad

małżeńskich i atmosfery domowej. Dlatego Marta i Edward mogli być uważani za małżeństwo nawet bez formalnego potwierdzenia.



**Złośliwi mawiali, że wielki patriotyczny zapał zatlił się w sercu Marty Thomas-Zaleskiej na widok Leopolda Lisa-Kuli.**

(NAC)







otrzymał niewielką posiadłość rolną po parcelacji ziemi znajdującej się wcześniej w rękach rosyjskich.

„Wykonując kontrolę mobilizacyjną – wspominał pułkownik Marian Romeyko – trafiłem w 1925 roku do dowódcy dywizjonu 19 Pułku Artylerii stacjonującego w Lidzie. Dowódca zajęty był sprawami administracyjnymi, a zwłaszcza »przetargiem na nawóz koński«. Zapytałem go dla ciekawości, czy ma wielu kupujących. Oto odpowiedź:

»Wcale nie... Właściwie kupujący jest tylko jeden: teść generała Rydza, którego Rydz osadził na swej resztówce koło Lidy, niedaleko od nas. Proponowałem mu wielokrotnie, żeby zabierał bądź za darmo, bądź kupował z wolnej ręki. Odmówił, bo Rydz zapowiedział mu, że wyrzuci go z resztówki, jeżeli będzie korzystał z jakiegokolwiek uprzejmości wojska...«<sup>[3]</sup>.

Historia ta potwierdza osobistą uczciwość „Śmigłego”, czego Marta nigdy nie potrafiła zrozumieć. Jednak generał bardzo ją kochał, chociaż związek z nią stanowił niełatwą próbę. Uchodziła bowiem za osobę znerwicowaną, nie potrafiła się kontrolować i łatwo wpadała w histerię.

Powszechnie uważano ją za kobietę bardzo atrakcyjną fizycznie, ale na zachowanych zdjęciach jej uroda wydaje się dyskusyjna. Być może Marta nie była fotogeniczna, jednak na pewno miała znakomitą figurę, co dodatkowo podkreślały ówczesne stroje.

„Wówczas to zaczynał wchodzić w modę fokstrot – wspominała generałowa Anna Regina Hubicka. – Marta wtedy też tańczyła, a wszystkim rzucały się w oczy jej lisie ruchy. Była niesympatyczna. Udawała wielką arystokratkę, choć wiedzieliśmy, że jest córką aptekarza z Żytomierza. Bardzo zgrabna, odznaczała się wielką urodą, choć miała brzydką cerę, nieco piegowatą. Mimo to kochało się w niej mnóstwo mężczyzn. Po prostu było w niej coś. Nazywają to seksapil”<sup>[4]</sup>.

Na pewno nie cieszyła się też dobrym zdrowiem. Cierpiała na niedowład ręki (złośliwi nazywali ją „suchą rączką”), przeszła kilka operacji, które jednak nie przyniosły efektu. Na domiar złego Marta nie mogła mieć potomstwa, co zapewne wpłynęło na jej charakter i stosunki z otoczeniem. A chociaż „Śmigły” uwielbiał dzieci (potwierdza to wiele relacji), wcale nie myślał o porzuceniu partnerki. I to chyba najlepiej potwierdza jego uczucie do Marty.

Do tego bardzo różnili się charakterami. Generał zawsze uchodził za niezwykle sympatycznego i skromnego człowieka, zaś Marta – za rozkapryszoną i wiecznie niezadowoloną z życia. Na domiar złego miała słabość do alkoholu. Zdarzało się, że na przyjęciach w kasynach pułkowych, podczas wyjazdów inspekcyjnych „Śmigłego”, nadużywała mocnych trunków. Gdy nie było takiej okazji, wymykała się w ustronne miejsce, a zawsze nosiła w torebce piersiówkę z alkoholem. Sytuacja stała się wreszcie na tyle kompromitująca dla „Śmigłego”, że przestał zabierać partnerkę ze sobą <sup>[5]</sup>.

Plotki na temat Marty narastały, opowiadano o niej najdziwniejsze historie. Podobno w Wilnie („Śmigły” był tam Inspektorem Armii), udając się na zakupy, czasami rozmyślnie nie zabierała ze sobą służącej. Dlatego wracając do domu, upatrywała sobie młodego oficera i prosiła go o pomoc w odniesieniu pakunków. Po drodze przedstawiała się jako panna (była przecież atrakcyjną kobietą), a już na schodach śmiało flirtowała i rozpinąła mundur ofiary, obiecując ciąg dalszy w mieszkaniu. I nagle – na dźwięk dzwonka drzwi otwierał generał „Śmigły”!

Wykorzystani w ten sposób młodzi oficerowie stawali nagle przed swoim dowódcą, mając rozpięty mundur (czy też spodnie) i obładowani paczkami. Jedni mdleli, inni wpadali w histerię. Podobno któryś z tych oficerów usiłował niezwłocznie, jeszcze na schodach, popełnić samobójstwo <sup>[6]</sup>.

Wydaje się jednak, że tego rodzaju historie były raczej pomówieniami. W tamtych czasach kobieta, która sama szła na zakupy i flirtowała z żołnierzami, mogła co najwyżej uchodzić za przedstawicielkę półświatka. Poza tym obowiązujące przepisy nie pozwalały oficerowi w mundurze nosić jakichkolwiek paczek, nie mówiąc już o tym, że drzwi otwierałaby służąca, a nie „Śmigły”. I raczej każdy oficer w Wilnie wiedział, gdzie mieszka jego dowódca...

Podobno przez pewien czas Marta występowała na przyjęciach w rękawiczkach. Tłumaczyła wtedy, że musi je nosić, gdyż ma alergię... na partnera. Niektórzy uważają te słowa za przykład publicznego upokarzania „Śmigłego”, ale czy tak było naprawdę? Niejedna para lubi szokować otoczenie swoim zachowaniem względem siebie i obserwuje reakcje innych. Może tak samo było również we wzajemnych relacjach Marty i Edwarda, chociaż pewne opinie wskazują, że faktycznie źle działo się w prywatnym życiu „Śmigłego”.

„(...) zmienił się nie do poznania – wspominał jego przyjaciel Franciszek Studziński. – Co wpłynęło na to – nie wiem. Małżeństwo czy choroba, czy coś innego. Stał się jakby zgaszony, apatyczny, pasywny, nic – przynajmniej tak to wyglądało – go nie interesowało poza partyjką brydża i rozmówkami z kilkoma przyjaciółmi”<sup>[7]</sup>.

„Śmigły” był bardzo popularny w armii, powszechnie ceniono jego skromność i bezpośredniość, przy czym zawsze zachowywał się w sposób wzbudzający uznanie. Gdy w lipcu 1930 roku wziął udział w zjeździe koleżeńskim z okazji 25-lecia egzaminu maturalnego, do Brzeżan przybył w ubraniu cywilnym. Kategorycznie odmówił wszelkich honorów wojskowych, odbył też spotkanie ze znajomymi w kasynie 51 Pułku Piechoty. Natomiast w tym czasie Marta zapracowywała na swój jak najgorszy wizerunek.

„Wydarzyło się to pod koniec lat dwudziestych – kontynuowała Regina Hubicka. – Marta pracowała wtedy w jednej z instytucji związanej z wywiadem. Przed zamknięciem urzędu kasjer policzył banknoty, skleił je dokładnie banderolą i rzekł:

– Teraz wiem, że nic nie zginie. Nie sposób z tego wyjąć choćby jedną stużłotówkę.

– Założę się, że to możliwe – stwierdziła Marta.

– Dobrze.

– Ale jeśli wyciągnę sto złotych, pieniądze są moje.

Zgodził się pewien swego. Wówczas wzięła szpilkę do włosów, wygięła ją, uchwyciła koniec banknotu i skręcając, wysunęła stużłotówkę. Po czym najspokojniej schowała ją do kieszeni. Była to suma odpowiadająca połowie pensji kasjera. Wszyscy przyjęli to z oburzeniem”<sup>[8]</sup>.

Opowiadano, że Marta była zawiedziona, iż jej partner zbyt mało zarabia. Oczywiście pensja generalska była znaczna, Edward otrzymywał mniej więcej pięciokrotność ówczesnej średniej pensji (ok. 3 tysięcy euro), do tego dochodziły jeszcze różne dodatki służbowe. Dla Marty była to jednak kwota niewystarczająca – dziwiła się, że partner nie korzysta z posiadanych możliwości, by nielegalną drogą powiększyć swe dochody.

Jednak „Śmigły”, jako człowiek uczciwy do bólu, w tej kwestii potrafił się przeciwstawić partnerce. Inna sprawa, że nie wiadomo, czy zdawał sobie sprawę, iż Marta nie tylko nadużywa alkoholu, lecz także eksperymentuje z narkotykami. Zapewne wpływ na to miały problemy z ręką – by oszczędzić sobie bólu, zaczęła zażywać morfinę. Niebawem się od niej uzależniła.

## Chiromanci, jasnowidze i znachorzy

Edward i Marta początkowo korzystali w Warszawie ze służbowego mieszkania odziedziczonego po Władysławie Sikorskim (generał nigdy nie darował „Śmigłemu”, że musiał zwolnić lokal), później przenieśli się na ulicę Klonową. Zamieszkali w willi położonej niemal dokładnie naprzeciwko Belwederu, zajęli pierwsze piętro budynku, na dole mieściły się mieszkania adiutantów. Część parteru zajmował (wraz z rodziną) chorąży Walenty Wójcik – szef belwederskiej ochrony Marszałka Piłsudskiego.

Wspomnienia jego syna potwierdzają przyjazny stosunek „Śmigłego” do ludzi z jego otoczenia, a szczególnie do dzieci. Marszałek, wracając z pracy (lub do niej wychodząc), zawsze znalazł czas na chwilę rozmowy czy wręcz zabawy z najmłodszymi. Zupełnie inaczej zachowywała się jego partnerka. Z reguły przechodziła w milczeniu, nie dostrzegając nikogo. Natomiast zwracała wyjątkową uwagę na ogrodników czy członków ekip remontowych. Często dzwoniła do nadzorującego prace inżyniera Zygmunta Protassewicza (męża Jadwigi Smosarskiej), zarzucając mu wymyślane niedociągnięcia.

We wspomnieniach współczesnych trudno znaleźć jakkolwiek pozytywną opinię na temat Marty. Luciana Frassati, żona polskiego ambasadora w Wiedniu, twierdziła, że „żona Rydza-Śmigłego, osoba inteligentna i bardzo chorowita, cały wolny czas poświęcała na konsultacje z chiromantami; straszna to i bezskuteczna mania...”.

Z kolei jej małżonek wspominał, że Thomas-Zaleska, przebywając w 1936 roku w Wiedniu, „całymi tygodniami mojej żonie po prostu żyć nie dawała, wymagając ciągłego asystowania jej i drobnych usług, które samą swą ilością i

częstotliwością stały się dla nas nader uciążliwe. Szczęściem, w końcu się obraziła”.

Edward mimo wszystko bardzo kochał kobietę swojego życia, martwił się jej postępującą chorobą i uzależnieniem. U Marty zdiagnozowano bowiem zanik nerwów w ręce, a ówczesna medycyna nie dawała nadziei na wyleczenie. Zachowały się relacje, że nie mogła już grać na fortepianie, co bardzo przeżywała. Nic zatem dziwnego, że wokół „Śmigłego” i jego partnerki zaczęły krążyć dziwne osoby, które próbowały wyleczyć Martę niekonwencjonalnymi metodami.

Jedną z nich był niejaki Władysław Jaworowicz (czy też Jaworowski), który pojawił się w otoczeniu „Śmigłego” jeszcze pod koniec życia Piłsudskiego i szybko stał się niemal domownikiem.

„Dzięki Władysławowi Jaroszewiczowi, warszawskiemu komisarzowi rządu – wspominał generał Kordian Zamorski – wtrynił się do »Śmigłych« znachor, Jaworowicz, pospolity żulik, były farmaceuta, podający się za tybetańskiego lekarza, który miał się nauczyć sztuki leczenia u jakiegoś Hindusa w Wiedniu. Mimo różnych ostrzeżeń Marta i Edward Śmigłowie wierzą mu i ten drab dniem i nocą u nich siedzi”<sup>[9]</sup>.

Jaworowicz – „jakiś ni to Niemiec, ni Polak” – rzeczywiście miał ponoć pewne osiągnięcia medyczne. Podejrzewano jednak, że pracował dla obcego wywiadu i w przyszłości mógłby szantażować „Śmigłego” oraz jego partnerkę. Nic zatem dziwnego, że został objęty dyskretną obserwacją.

Inwigilacja przyniosła zaskakujące rezultaty. Ustalono, że znachor w rzeczywistości był kapralem w poznańskim batalionie sanitarnym, a w Warszawie oprócz Marty „leczył jeszcze wiele innych prominentnych osobistości”. Wprawdzie nic nie wskazywało, by miał kontakty z obcymi agenturami, jednak już wcześniej dał się poznać na Pomorzu jako oszust i miał nawet za sobą wyroki skazujące.

Nie przeszkadzało to jednak Marcie wozić go służbowym samochodem męża, co legitymowało Jaworowicza w kręgach towarzyskich stolicy i zapewniało mu nowych pacjentów. Wprawdzie opowiadano, że znachor „głównie leczył wzrokiem”, a nawet „podejmował się leczenia garbatych tą samą metodą”, lecz dowody oszustwa wzbudziły w „Śmigłym” powątpiewanie w „prawdziwość przedstawionych mu ustaleń”<sup>[10]</sup>.

Inna sprawa, że w pewnej chwili Jaworowicz zniknął z otoczenia Generalnego Inspektora. Przyczyną zapewne był jednak fakt znikomej skuteczności kuracji, a nie brak zaufania do uczciwości znachora.

Jaworowicz to niejedyna podejrzana postać z otoczenia „Śmigłego” i jego partnerki zajmująca się medycyną niekonwencjonalną. Pojawiał się tam także niejaki Woynowski próbujący leczyć wszystkie schorzenia miksturami własnej produkcji. „Śmigły” namówił nawet na kurację generała Zamorskiego. Ten jednak uznał, że nie było „skutków żadnych, a nawet pogorszenie” stanu zdrowia...<sup>[11]</sup>

Tymczasem Marta nadal poszukiwała pomocy i ulgi w cierpieniu. Kolejną dziwną osobistością, jaka pojawiła się w jej otoczeniu, była mistyczka katolicka ze Lwowa, Stefania Fulla Horak. Informacje na temat jej objawień dotarły do Warszawy, nic zatem dziwnego, że dostała zaproszenie od Marty i Edwarda. Było to już po marszałkowskiej nominacji „Śmigłego”<sup>[12]</sup>.

W spotkaniu wziął także udział inny nietypowy znajomy, inżynier Stefan Ossowiecki – najśłynniejszy polski jasnowidz tamtych lat, którego niezwykłych umiejętności nie negował nawet zdroworozsądkowy Piłsudski. Natomiast Marta zawsze miała skłonność do wiary w zjawiska nadprzyrodzone, a pod jej wpływem upodobania te podzielał także partner.

Nic bliższego nie wiadomo na temat ewentualnych prób leczenia Marty podjętych przez Fullę Horak. Mistyczka otrzymała jednak stały bilet na okaziciela na wszystkie linie kolejowe, miała też okazję poznać wiele osób z ówczesnego establishmentu. Podobno za jej pomocą szukano protekcji u „Śmigłego”, co miała z odrazą odrzucać. Nie zmienia to jednak faktu, że spotkała się nawet z kardynałem Hlondem, który wypytywał ją o prywatne sprawy i zdrowie „Śmigłego”.

## Sprawa pewnego transportu

„Śmigły” kolejno awansował, stając się po śmierci Piłsudskiego osobą nr 2 w państwie. Marta też potrafiła zadbać o siebie i od 1938 roku przebywała we Francji. Złośliwi twierdzili, że miała tam poprawić swój francuski (i maniery) w związku z przewidywanym na rok 1940 objęciem przez „Śmigłego” urzędu prezydenta RP. Zamieszkała w Monte Carlo, w domu zakupionym na jej nazwisko (jako Marta Zaleska) z funduszy Oddziału II Sztabu Głównego. Otrzymywała również wynagrodzenie z wojskowej listy płac, prawdopodobnie za usługi wywiadowcze. Nie zachował się jednak żaden jej meldunek i możliwe, że chodziło wyłącznie o legalny sposób finansowania przez armię pobytu partnerki marszałka na Lazurowym Wybrzeżu.

Marta pojawiła się jednak w Warszawie na przełomie lat 1938 i 1939. Razem ze „Śmigłym” wzięła udział w balu noworocznym wydanym na Zamku przez prezydenta Mościckiego – właśnie z tej imprezy pochodzi ich ostatnie wspólne zdjęcie.

Ponownie przyjechała do stolicy tuż przed wybuchem wojny. Według raportu kapitana Gustawa Stachowicza (oficer ds.



gospodarczych Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych) zarządziła ewakuację za granicę cennego wyposażenia domu „Śmigłego”. Relację tę potwierdza także w swych wspomnieniach Irena Krzywicka, która wprawdzie zarzucała to... Beckom, ale zapewne z upływem lat pani Irenie pamięć nie służyła. Beckowie nie wywieźli bowiem za granicę żadnego majątku.

„Patrząc przez okno – wspominała Krzywicka – widziałam też dość gorszące rzeczy. Zaraz na samym początku rząd ciężarówek przed willą Becka i żołnierzy wynoszących pościel, jakieś dywany, firanki. Odjeżdżały te ciężarówki załadowane, nie wiem dokąd i po co, widocznie w ślad za Beckami”<sup>[13]</sup>.

Cała sytuacja zdecydowanie bardziej pasuje do Marty, zwłaszcza że w pierwszych dniach wojny faktycznie przedzierała się w kierunku rumuńskiej granicy na czele konwoju składającego się z dwóch samochodów ciężarowych i kilku pojazdów osobowych, którymi – oprócz Marty – podróżowali jej rodzice, siostra, dwie pokojówki (polska i francuska), dwie kucharki, lokaj oraz żandarmi z ochrony rodziny marszałka.

Marta prawdopodobnie wiozła prywatne archiwum partnera, a także meble z jego służbowego mieszkania, szablę koronacyjną Augusta II otrzymaną w prezencie od wojska, kosztowną biżuterię oraz prace malarskie „Śmigłego”. Bez wątplenia część tych zbiorów można uznać za prywatny majątek Naczelnego Wodza i jego partnerki, ale większość była jednak własnością państwa...

Nie wiadomo, czy pomysł ratowania majątku był prywatną inicjatywą Marty, czy też wymyśliła to wspólnie ze „Śmigłym”. Na pewno jednak marszałek musiał o wszystkim wiedzieć, albowiem bez jego zgody eskapada nie mogłaby mieć miejsca. Jednak jego podwładni całą winą obciążali

Zaleską, twierdząc, że całkowicie opętała partnera i to właśnie przez nią „Śmigłego” „opanovała żądza” posiadania.

A może prawda leżała pośrodku – może marszałek uznał, że w tak niebezpiecznych i nieprzewidywalnych czasach należy zabezpieczyć partnerkę materialnie? Nawet jeżeli nie wszystko, co wywozła, było jego prywatną własnością? Przecież w wypadku pomyślnego zakończenia wojny całość wyposażenia powróciłaby na swoje miejsce.

4 września konwój dotarł do murowanego dworku myśliwskiego w Ludwinowie koło Czemiernik na Lubelszczyźnie. Leśniczówka należała do hrabiego Karola Raczyńskiego. I właśnie tam po kilku dniach miało dojść do niewyjaśnionych do dziś wydarzeń.

„(...) w czasie kampanii wrześniowej – zeznawał kilka miesięcy później we Francji kapral Feliks Matkowski – mając przydział do Naczelnego Dowództwa, byłem przydzielony jako żandarm do pełnienia służby ochronnej przy pani marszałkowej Rydz-Śmigłej. W czasie pobytu w majątku hrabiego Raczyńskiego (...) zostały zakopane skrzynie, których zawartość nie jest mi znana. Podczas wykonywania tych czynności obecni byli: pan kapitan Stachowicz z GISZ, wachmistrz Ślusarczyk z Naczelnego Dowództwa, lokaj pani marszałkowej, Kamiński, oraz trzech żandarmów, których nazwisk nie pamiętam. Przy zakopaniu tych skrzyń byłem obecny”<sup>[14]</sup>.

Podobno przeprowadzone kilka lat temu badania potwierdziły, że we wskazanych miejscach faktycznie zakopano kiedyś duże przedmioty, jednak skrytki zostały już dawno opróżnione. Kto i kiedy to zrobił – nie udało się ustalić.

Wiarygodność całej historii staje pod znakiem zapytania, gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że według relacji świadków w leśniczówce osobiście miał się pojawić „Śmigły”. Marszałek podobno przyleciał samolotem, by zobaczyć Martę, co wydaje

się jednak całkowicie nieprawdopodobne. W chwili zakopywania skrzyń Naczelnny Wódz przebywał już bowiem w Brześciu – wprawdzie niezbyt oddalonym od Ludwinowa, ale jego przylot podczas całkowitej dominacji Luftwaffe w powietrzu byłby zupełnym szaleństwem.

Przed wyjazdem Marty ze stolicy zapewne ustalili trasę jej ewakuacji, ale określenie czasu dotarcia do Ludwinowa wydaje się niemożliwe. Wojna potoczyła się przecież zupełnie inaczej, niż przewidywali polscy sztabowcy, i Niemcy wcale nie potrzebowali miesiąca, by dotrzeć do linii Wisły.

Pewną informacją jest natomiast to, że konwój Marty dotarł do Rumunii w nocy z 14 na 15 września 1939 roku. Samochody przekroczyły granicę bez większych problemów, ale dalej już nie było tak łatwo. Ambasada francuska w Bukareszcie odmówiła Marcie wizy wjazdowej i na niewiele zdały się interwencje „Śmigłego”.

To właśnie wtedy po raz jedyny – i zapewne ostatni – rozmawiał z terenu Rumunii z partnerką. Ostatecznie Marta dostała wizę angielską, ale biorąc pod uwagę, że trafiła jednak do Monte Carlo, dokument ten zapewniał jej prawdopodobnie tranzyt przez terytorium Francji.

## Luksusy Lazurowego Wybrzeża

„Śmigły” został internowany w Rumunii i do dziś nie wiadomo, czy miał jeszcze okazję zobaczyć kobietę swojego życia. W środowisku historyków krążą niepotwierdzone informacje, że jednak doszło do takiego spotkania po ucieczce marszałka na Węgry.

Pobył nad Balatonem do dziś wzbudza dyskusje specjalistów – podobno „Śmigły” spotkał się w Budapeszcie z regentem

Węgier Horthym i prowadził z nim rozmowy w sprawie powołania nad Dunajem polskiego rządu kolaborującego z Niemcami. Spotkania nie ograniczały się zresztą wyłącznie do Horthy'ego. Marszałek (lub jego przedstawiciel) rozmawiał ponoć również z reprezentantami władz niemieckich. Co więcej, uzyskał dyskretną zgodę na wyjazd do okupowanej Polski.

Podobno do „Śmigłego” przyjechała z Monte Carlo także Marta – mieli razem spędzić kilka tygodni nad Balatonem. Jeśli to prawda, widzieli się wówczas po raz ostatni.

Inna sprawa, że jeżeli rzeczywiście doszło do wizyty Zaleskiej, to można mieć pewność, że marszałek prowadził negocjacje z Węgrami i Niemcami. Czy Marta mogłaby bez szwanku przejechać przez niemal całą okupowaną Europę, by spotkać się z Edwardem w kraju satelickim III Rzeszy? I spokojnie spędzić z nim dłuższy czas?

Według oficjalnych informacji marszałek Edward Śmigły-Rydz zmarł w okupowanej Warszawie na atak serca. Stało się to 2 grudnia 1941 roku, chociaż podobnie jak w wypadku wcześniejszych wydarzeń nie brakuje tu kontrowersji.

Można bowiem spotkać opinię, że zamordowali go wierni generałowi Sikorskiemu członkowie Związku Walki Zbrojnej. Inni badacze są natomiast przekonani, że został internowany, co miało uniemożliwić mu powołanie kolaboracyjnego rządu u boku Niemców. Miał później popełnić samobójstwo lub umrzeć z powodów naturalnych w 1943 roku w Otwocku. Szerzej tym tematem zajmuje się jeden z autorów niniejszej książki w swojej biografii marszałka „Śmigłego”.

Podobno jesienią 1943 roku do Marty dotarły pamiątki po partnerze. Do Monte Carlo miał je przywieźć oficer z kancelarii cywilnej marszałka, Michał Ejgin. Wśród nich był ponoć pamiątnik prowadzony przez „Śmigłego” w ostatnich latach, a pośrednie przekazy na temat takiego dokumentu

można też odnaleźć w relacji pułkownika Wendy z czasów internowania w Rumunii. W ten sposób w rękach Zaleskiej miały się znaleźć tajemnice polityczne, wyjątkowo niewygodne dla wielu prominentnych osób.

Marta bez szwanku przetrwała wojnę na Lazurowym Wybrzeżu, korzystając z faktu, że księstwo Monako oficjalnie pozostało neutralne. Po zakończeniu konfliktu prowadziła wygodne, ekstrawaganckie życie, a przywieziony z Polski majątek zapewniał jej godziwe utrzymanie. Podobno „całe prywatno-państwowe mienie ostatniego marszałka Polski było wyprzedawane – hurtem i w detalu, na lewo i na prawo”. Zaleska dwukrotnie zastawiała w lombardach biżuterię, ale szybko ją wykupywała.

W 1950 roku sprzedała (za 750 tysięcy franków – około 13 tysięcy euro) szablę koronacyjną Augusta II. Nabywcą był Stefan Czarnecki – zamieszkały w Paryżu Polak, który dorobił się majątku na handlu bronią. Wdowa po marszałku na co dzień mieszkała w domu przy Boulevard des Moulins, w pobliżu najszynniejszych kasyn świata. Bywała tam zresztą częstym gościem, ale grę traktowała wyłącznie jako rozrywkę.

Marta pokazywała się publicznie w towarzystwie różnych mężczyzn, z reguły znacznie młodszych od siebie. Jeden z krupierów zwierzył się prasie francuskiej (już po śmierci marszałkowej), że był jej kochankiem. Wzywała go ponoć do siebie, dając mu znaki przez gaszenie i zapalanie światła w mieszkaniu, którego okna wychodziły na kasyno. To – oczywiście – dało podstawy do zarzutów, że Marta urządzała w Monte Carlo orgie seksualne, co raczej nie było zgodne z prawdą. Po prostu przez całe życie lubiła mężczyzn, a z wiekiem preferowała coraz młodszych partnerów.

Inna sprawa, że na Riwierze marszałkowa nawiązywała nie zawsze bezpieczne znajomości. Widywano ją w towarzystwie

gangsterów i handlarzy narkotyków, zresztą wojna sprowadziła na złą drogę wielu ludzi... Niejeden bohater wojenny zdobywał majątek na przemyśle, handlu bronią czy narkotykami – zatarła się naturalna granica między dobrem a złem, szczególnie dla ludzi o słabszych charakterach.

## Tajemnicze zabójstwo

Pod koniec czerwca 1951 roku Marta pobrała z konta bankowego 500 tysięcy franków (około 9 tysięcy euro), z czego większość pożyczyła zaprzyjaźnionemu małżeństwu Romanowskich (córka i zięć generała Andersa). Ostatni raz widziano ją żywą 2 lipca – jadła wówczas obiad (czy też śniadanie) właśnie w towarzystwie Romanowskiego.

Dwa tygodnie później kilkunastoletni chłopiec znalazł w potoku oddalonym o 40 kilometrów od Nicei worek zawierający niezidentyfikowane szczątki ludzkie (kadłub bez kończyn i głowy). W ciągu dalszych poszukiwań odkryto stopę i lewą rękę, poszczególne fragmenty znajdowały się wiele kilometrów od siebie.

Ogłędziny lekarskie wykazały, że ofiarą była kobieta, której ciało po śmierci poćwiartowano (kości nacinano cienką piłą, a następnie łamano). Dopiero po pewnym czasie, na podstawie identyfikacji rzadkiej amerykańskiej bielizny znalezionej wraz z ciałem, udało się ustalić, że były to szczątki właśnie Marty.

Wizja lokalna w jej mieszkaniu wykazała, że na miejscu zostały przybory toaletowe, które kobieta zawsze zabiera ze sobą w podróż (i nie tylko). Brakowało natomiast cennej biżuterii – mieszkanie zostało okradzione. Świadcówce widzieli na drzwiach kartkę (która później zniknęła) pisaną ręką Marty: „Wracam w czwartek, 5 lipca”.

W kręgu podejrzanych znalazł się Zbigniew Massalski, 37-letni przedstawiciel firm perfumeryjnych. Sam zgłosił się na policję. W obecności swojego adwokata przyznał, że osobiście zniszczył kartkę pozostawioną przez Martę, albowiem – gdy nie zastał lokatorki – dopisał tam swoje nazwisko, co potem uznał za niegrzeczność. Z braku dowodów ostatecznie został zwolniony. Na wolność wyszedł również Romanowski, w którego obronę osobiście zaangażował się generał Anders.

Oprócz rabunkowych motywów zbrodni rozpatrywano również porachunki przemytników lub handlarzy narkotyków. Winnych jednak do dziś nie odnaleziono.



**Edward Śmigły-Rydz z Martą Zaleską w otoczeniu znajomych na imieninach Naczelnego Wodza.**

(NAC)



**Marta Zaleska (trzecia od lewej) w towarzystwie m.in. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego (siedzi drugi od prawej) i Tadeusza Hołówki (stoi trzeci od prawej).**  
(NAC)



**Edward Śmigły-Rydz z Martą Thomas-Zaleską na wyborach do sejmu w 1939 r.**  
(NAC)



Inną hipotezę wysuwa Dariusz Baliszewski i ludzie aprobujący jego poglądy. Według tej teorii rabunek był wyłącznie zasłoną dla prawdziwych celów zabójców. Rozczłonkowanie ciała miało służyć nie ukryciu zbrodni, lecz spotęgowaniu grozy i zastraszeniu innych. Z mieszkania Marty zginęły bowiem wszystkie dokumenty marszałka: listy do żony pisane z Rumunii, Węgier i Warszawy, jego zdjęcia oraz – co najważniejsze – pamiętnik. Czyli informacje o planach i działaniach ludzi, którzy pragnęli odbudować Polskę u boku hitlerowskich Niemiec. Czy faktycznie były to wiadomości tak kompromitujące, by zabijać jeszcze sześć lat po wojnie? Czy też może ludzie związani z obozem londyńskim chcieli usunąć ślady po aresztowaniu marszałka „Śmigłego”?

Teoria ta bez wątplenia jest bardzo atrakcyjna, ale warto jednak zauważyć, że tak naprawdę, nigdy nie zidentyfikowano szczątków ofiary w 100 proc. Dokonano tego jedynie na podstawie oględzin bielizny (!), a nie szczegółów budowy anatomicznej czy znamion na ciele (głowy zresztą nigdy nie odnaleziono).



**Krążące po Warszawie plotki głosiły, że Stefan Ossowiecki próbuje uleczyć Martę Zaleską, bowiem bywał nader częstym gościem w domu Naczelnego Wodza.**

(NAC)

Czy zatem ofiarą zbrodni na Riwierze rzeczywiście była Marta Thomas-Zaleska? Czy może partnerka „Śmigłego” z różnych przyczyn sama wolała zniknąć? Przecież wiadomo, że nie zawsze zawierała bezpieczne znajomości. W tej sytuacji zabranie ze sobą osobistych pamiątek po marszałku byłoby jak najbardziej naturalne – nic dziwnego, że nie odnaleziono ich w jej mieszkaniu. Sprawy ostatecznie nie wyjaśniono i zapewne nigdy nie uda się znaleźć odpowiedzi na pytanie, czy w lipcu 1951 roku zamordowano partnerkę „Śmigłego”.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że argumentacja zwolenników teorii o morderstwie w celu zastraszenia innych zawiera pewien bardzo słaby punkt: nigdy nie odnaleziono przecież głowy. A jeśli zabójcy rzeczywiście chcieliby

zastraszyć ludzi, którzy mogliby ujawnić niewygodne tajemnice, powinni właśnie zadbać, by ciało zidentyfikowano bez żadnych wątpliwości. Podobnie – jeżeli do zabójstwa miałyby dojść z powodu rozliczeń za handel narkotykami czy bronią.

A tak – nadal pozostały znaki zapytania. Absolutnie nie można więc zaprzeczyć podejrzaniom, że Marta Thomas-Zaleska sama sfigowała swoje zniknięcie...

# ZAKOŃCZENIE

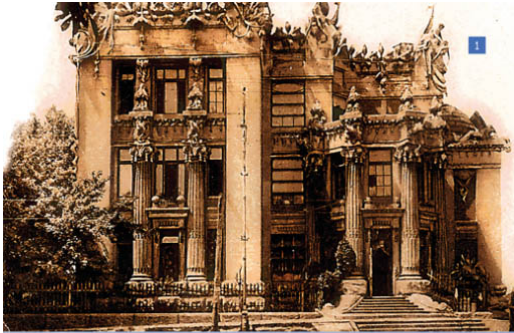
Najdalsze Kresy Rzeczypospolitej należą już do przeszłości, zachowało się tam niewiele polskich śladów. Obecnie za wschodnią granicą II RP rzadko można usłyszeć polski język. Tragiczne wydarzenia XX stulecia przeorały ziemię i ludność, a nasi rodacy musieli opuścić swoje rodzinne strony, zostali wymordowani lub wynarodowieni.

Europa Środkowa i Wschodnia wygląda już zupełnie inaczej niż przed wybuchem I wojny światowej, całkowicie zmienił się jej skład narodowościowy i religijny. Ale spacerując ulicami Odessy czy Kijowa, wciąż odnajdziemy tam polskie ślady – miejsca związane z życiem i działalnością zawodową naszych rodaków.

Podobnie jest w wielu innych miejscowościach na Kresach, czasami nawet bardzo odległych, jak choćby w Kropywnyckim na Zaporozżu. Wprawdzie Polaków już tam nie ma, ale zachowały się budynki, które przed laty wiele widziały. Czasami niewielka tablica informuje o działalności i zasługach naszych słynnych rodaków.

Pozostała pamięć – i z perspektywy czasu właśnie ona jest najważniejsza. Nie można bowiem zapomnieć o wiekach rozwoju kulturalnego i technologicznego na Kresach. Pochodziło stamtąd tak wiele wybitnych postaci, że trudno sobie wyobrazić dzieje naszego kraju bez ich obecności na kartach wspomnień czy podręczników. Nawet jeżeli ich

rodzinne strony leżą o kilkaset kilometrów od dzisiejszych granic Polski...







- 1 Pomnik Władysława Horodeckiego w Kijowie... (Wikipedia/Pavel Shchur)
- 2 ... i jego grób w polskiej sekcji cmentarza Doulab w Teheranie. (Wikipedia/Iman Larabi)
- 3 Brama wejściowa na cmentarz Bajkova. (Wikipedia/Fakian Herrikoson)







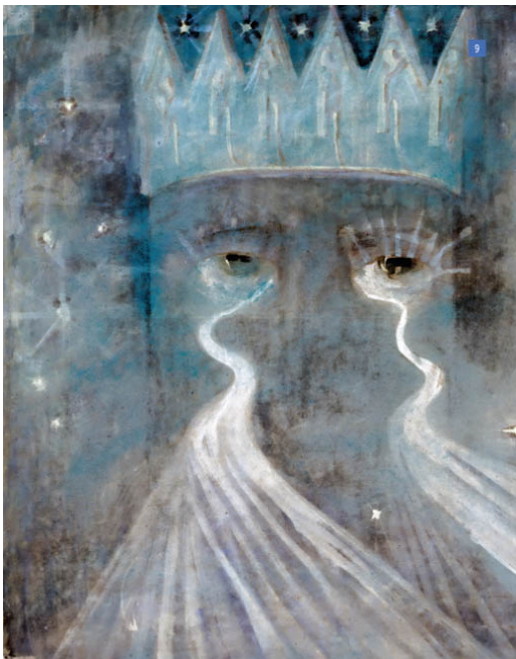
Chreszczatyk  
w 2009 r.  
(Wikipedia/Nick Grapty)





7 Konkatedra  
Wniebowzięcia NMP  
i św. Stanisława  
w Mołotylewie.  
*(Wikipedia/Strati)*





9 Pomnik Walentego  
Wańkowicza w Minsku.  
(Wikipedia/Joergsm)

9 Obraz Wieczność pędzla  
Mikołaja Ciurlionisa (1906).  
(Wikipedia)



 Tamara Lempicka *Blask*  
(Wikart)

 Popiersie Tamary Lempickiej  
w Kielcach. (Wikipedia/Paweł Cielia)











**12** Brama przy pałacu  
w Antoninach  
(współczesnie).  
*(Wikipedia/  
Kerpij Wenczlowski)*





**Palac Olgi Potockiej  
w Odessie  
(współczesnie).**  
(Wikipedia/Alex Levitskiy  
& Dmitriy Shamatachi)



**14** Pałac Zenona Belliny-  
-Brzozowskiego w Odesie.  
(Wikipedia/Alex Ostrov)



1 Józef Mączka  
– porucznik  
i poeta legionowy  
– na pocztońce.  
(Włocławek)





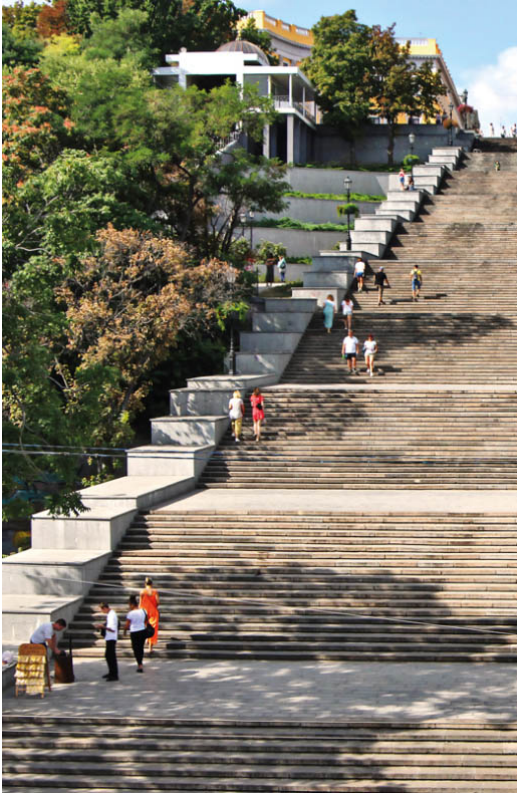


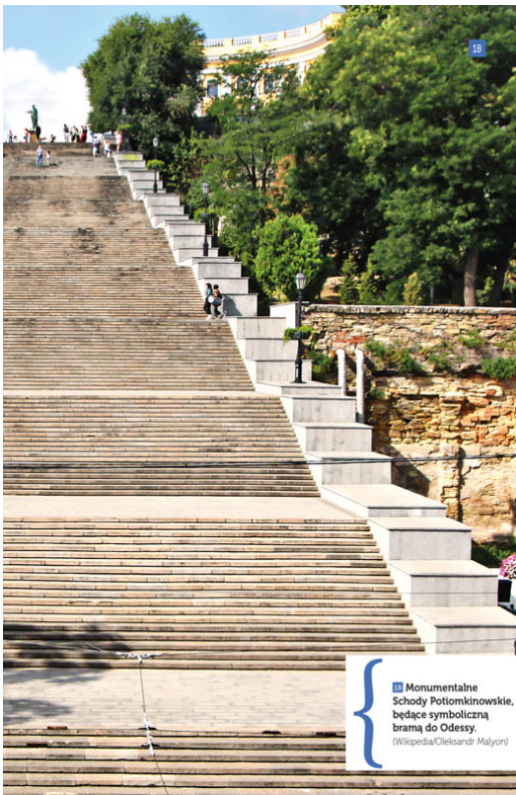






**Teatr Opery i Baletu w Odessie.**  
(Wikipedia/Alex Levitskiy & Dmitry Shamatovskii)





18 Monumentalne  
Schody Potemkinowskie,  
będące symboliczną  
bramą do Odessy.  
*(Wikipedia/Ciekawski - Malizon)*



СТАУБЦОУСКІ Р-н

ОАО

Р  
У  
Б  
Е  
Д  
З  
В  
И  
Т  
И



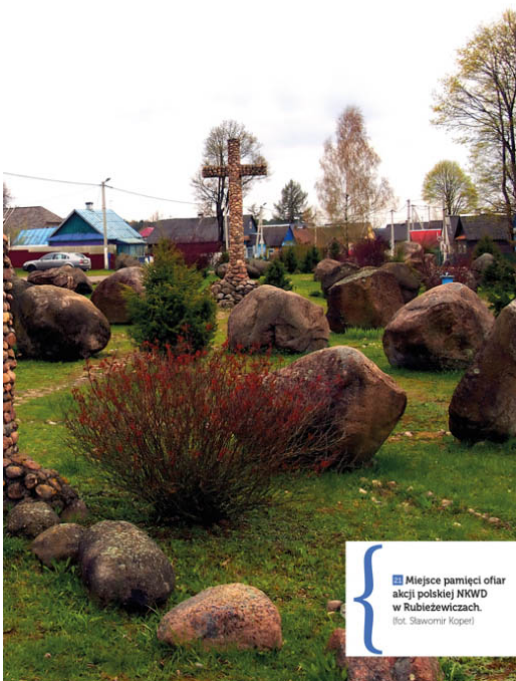












Miejsce pamięci ofiar  
akcji polskiej NKWD  
w Rubieżewiczach.

(fot. Sławomir Koper)



**Polski kościół  
pod wezwaniem  
św. Józefa  
w Rubieżewiczach.**  
(fot. Sławomir Kopper)

**Ostatnia strona traktatu  
ryńskiego z pieczęciami  
i podpisami reprezentantów Polski,  
Rosji i Ukrainy.**  
(Wikipedia)

Wymiana dokumentów ratyfikacyjnych nastąpi w Mińsku w terminie czterdziestu pięciu dni od dnia podpisania Traktatu niniejszego.  
Wszędzie, gdzie w Traktacie niniejszym są w jego załącznikach wymieniane jako termin chwilę ratyfikacji Traktatu Pokojowego, rozumie się przez to chwilę wymiany dokumentów ratyfikacyjnych.

Na dowód czego pełnomocnicy obu układających się stron własnoręcznie podpisali Traktat niniejszy i opatrzili go swemi pieczęciami.

Sporządzono i podpisano w Rydze dnia osiemnastego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku.





■ Marszałek Edward Śmigły-Rydz na popularnej przed II wojną ilustracji autorstwa Konstantego Szewczeni.

(Biblioteka Narodowa)

# BIBLIOGRAFIA

- Aftanazy R., *Dzieje rezydencji na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Województwo wołyńskie*, t. 5, Warszawa 1994.
- Aftanazy R., *Materiały do dziejów rezydencji*, t. Va, Warszawa 1988.
- Andrycz N., *Bez początku, bez końca*, Warszawa 2003.
- Andrycz N., *Patrzę i wspominam*, Warszawa 2012.
- Bacewicz G., *Znak szczególny*, Warszawa 1974.
- Bacewicz K., *Mój brat Witold*, „Ruch Muzyczny”, 16/1986.
- Bagiński H., *Wojsko Polskie na Wschodzie 1914–1920*, Warszawa 1921 i 1990.
- Baliszewski D., *Polska femme fatale*,  
[Wprost.pl/tygodnik/99991/polska-femme-fatale.html](http://Wprost.pl/tygodnik/99991/polska-femme-fatale.html)
- Baliszewski D., *Wdowa po Rydzu*, „Wprost” 51–52/2006.
- Baranowa A., *Spotkania z Čiurlionisem*,  
[PodkowianskiMagazyn.pl/nr45/ciurlonis.htm](http://PodkowianskiMagazyn.pl/nr45/ciurlonis.htm)
- Bauer P., *Generał Józef Dowbor-Muśnicki 1867–1937*, Poznań 1988.
- Bauer P., Łukomski G., Polak B., *Polskie formacje wojskowe w Rosji 1914–1920*, Koszalin 2003.
- Bergel R., *Dzieje II Korpusu Polskiego*, Warszawa 1921.
- Berka W., *O polski czyn zbrojny na Wschodzie 1914–1918*, Warszawa 1925.
- Biedrzyńska W., *Praca wojskowa Z.W.C. w zaborze rosyjskim i w Rosji*, t. VIII, „Niepodległość” 1(18)/1933.

- Boruta-Spiechowicz M., *11 kompania*, [w:] *Garść wspomnień spod Rarańczy*, oprac. F. Olas, Warszawa 1938.
- Cat-Mackiewicz S., *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 5 lipca 1945 r.*, Londyn 1995.
- Chylińska T., *Karol Szymanowski i jego epoka*, Kraków 2008.
- Ciesielski T., *Polacy i Ukraińcy w Odessie na przełomie XIX i XX wieku. Liczebność, struktura i kontakty obu diaspor*,  
<http://dspace.nbu.gov.ua/bitstream/handle/123456789/72046/15-Cheselskij.pdf?sequence=1>
- Claridge L., *Tamara Łempicka. Między art déco a dekadencją*, Poznań 2000.
- Crawford D. i R., *Michael and Natasha: the life and love of Michael II, the last of the Romanov tsars*, Londyn 1997.
- Czapska M., *Europa w rodzinie*, Warszawa 1999.
- Czczott W., *Dyceczya mińska i jej pasterz biskup Zygmunt Łoziński*, Wilno 1925.
- Czerep S., *II Brygada Legionów Polskich*, Warszawa 1991.
- Dąbski J., *Pokój ryski. Wspomnienia, pertraktacje, tajne układy z Joffem, listy*, Warszawa 1931.
- Dla ludzi zawsze mam twarz pogodną... Grażyna Bacewicz*,  
Telewizja Polska SA 1999, [YouTube.com/watch?v=0HAGaACyt94](https://www.youtube.com/watch?v=0HAGaACyt94)
- Dorożyńska z Zaleskich E., *Na ostatniej placówce*, Łomianki 2018.
- Dowbor-Muśnicki J., *Krótki szkic do historii I-go Polskiego Korpusu*, cz. 1 i 2, Warszawa 1919.
- Dowbor-Muśnicki J., *Moje wspomnienia*, Warszawa 2013.
- Droba K., *Vytautas Bacevicius w Ameryce, czyli artysta w klatce*,  
[Kultura.onet.pl/muzyka/gatunki/klasyka/vytautas-bacevicius-w-ameryce-czyli-artysta-w-klatce/xj7bs2d](http://Kultura.onet.pl/muzyka/gatunki/klasyka/vytautas-bacevicius-w-ameryce-czyli-artysta-w-klatce/xj7bs2d)
- D.S., *Wspomnienia z działalności POW na Białorusi*, [w:] *Polska Organizacja Wojskowa. Szkice i wspomnienia*, red. J.

- Stachiewicz, W. Lipiński, Warszawa 1930.
- Dubicki T., *Ppłk Bolesław Ziemiański (1901–1976). Szef Ochrony Marszałka Józefa Piłsudskiego. Oficer wywiadu polskiego w Rumunii w czasie II wojny światowej*, Łomianki 2016.
- Duda S., *Karolina Rzewuska-Sobańska. Moskiewska kochanica. Wielcy zdrajcy cz. 7*,  
Wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,20223156,karolina-rzewuska-sobanska-moskiewska-kochanica-wielcy-zdrajcy.html?disableRedirects=true
- Dunin-Kozicka M., *Burza od Wschodu*, Warszawa 1990.
- Dyskant J.W., *Czarnobyl 1920*, Warszawa 1994.
- „Dziennik Kijowski”, 24.04.1918.
- Dzierżykraj-Stokalski W., *Dzieje jednej partyzantki z lat 1917–1920*, Lwów 1927.
- Femme fatale II Rzeczypospolitej – Marta Thomas*,  
[radio.bialystok.pl/tnc/index/id/155918](http://radio.bialystok.pl/tnc/index/id/155918), 29.05.2018.
- Fertner A., *Podróże komiczne*, Kraków 1960.
- Filipow K., *Order Virtuti Militari 1792–1945*, Warszawa 1990.
- Fragment wspomnień Bronisława Nietykszy*,  
[Free.of.pl/w/wolynskie/miejsca-s/slawuta\\_k.html](http://Free.of.pl/w/wolynskie/miejsca-s/slawuta_k.html)
- Frassati-Gawrońska L., *Przeznaczenie nie omija Warszawy*, Warszawa 2008.
- Fuksa J., *Wspomnienia z Kijowa. Architekt Horodecki*,  
[horodecki.pdf](#)
- Gablankowski M., *Zapomniany grzech Piłsudskiego. Czy to z jego winy bolszewicy stanęli pod Warszawą?*,  
[CiekawostkiHistoryczne.pl/2015/08/14/zapomniany-grzech-pilsudskiego-czy-to-z-jego-winy-bolszewicy-staneli-pod-warszawa/](http://CiekawostkiHistoryczne.pl/2015/08/14/zapomniany-grzech-pilsudskiego-czy-to-z-jego-winy-bolszewicy-staneli-pod-warszawa/)
- Gass A., *Śmierć i koronki*, [FocusNauka.pl/arttykul/smierc-i-koronki](http://FocusNauka.pl/arttykul/smierc-i-koronki)
- Gawroński J., *Dyplomatyczne wagary*, Warszawa 1965.



„Gazeta Warszawska”, 15.04.1921.

Gisges J.M., *A po człowieku dzwoni dzwon*, Rzeszów 1985.

Giżycki J.M., *Z przeszłości zakonu bazylikańskiego na Litwie i Rusi*, [w:] „Przewodnik Naukowy i Literacki”, dodatek do „Gazety Lwowskiej” 32/1904.

Glinczanka M., *Oko w oko ze śmiercią. Wyznania śp. Marii z Glinków Rose z kaźni bolszewickiej*, Poznań–Warszawa–Wilno–Lublin 1939.

„Głos Lubelski”, 25.01.1920.

Gold A., Fizdale R., *Misia: The Life of Misia Sert*, Nowy Jork 1981.

Górecki R., *Aresztowanie sztabu P.K.P.*, [w:] *Za kratami więzień i drutami obozów. Wspomnienia i notatki więźniów ideowych z lat 1914–1921*, t. 2, Warszawa 1928.

Grabski W., *Pamiętniki*, t. 1 i 2, Warszawa 1989.

Grosfeld L., *Polskie reakcyjne formacje wojskowe w Rosji 1917–1919*, Warszawa 1956.

Gulbinowa E., *Jadwiga Tejszerska (harcerka)*, Kraków 1932.

Haller J., *Pamiętniki*, Łomianki 2014.

Harski I., *Komendant Naczelny KN 3 Jot-Bromirski*, [w:] *Polska Organizacja Wojskowa. Szkice i wspomnienia*, red. W. Lipiński, J. Stachiewicz, Warszawa 1930.

Hartglas A., *Na pograniczu dwóch światów*, Warszawa 1996.

Heltman S., *Robotnik polski w rewolucji październikowej na Białorusi*, Mińsk 1927.

Henning de Michaelis E., *W zamęcie („Burzy dziejowej” część trzecia). Przyczynek do historii formacji polskich w Rosji. 1917–1918*, Warszawa–Kraków 1929.

Hieronimowa Sobańska z Grocholskich M., *Wspominki nikłe*, Grodzisk Mazowiecki 2002.

Holiczenko A., *Żołnierze tajnego frontu. Lista imienna KN3 POW-Wschód 1914–1921*, Olsztyn 2012.

Hołówko T., *Przez dwa fronty*, Rzeszów 2014.

Horak S.F., *Niewidzialni*,

Tohorak.opole.opoka.org.pl/Fula%20Horak%20-%20Niewidzialni.pdf

Horbatowski P., *Polskie życie teatralne w Kijowie w latach 1905–1918*, Kraków 2009.

Hubicka H., *Na wschodniej rubieży. Służba ojczyźnie.*

*Wspomnienia uczestniczek walki o niepodległość 1915–1918*, Warszawa 1929.

Hud' B., *Panowie polscy*, „Karta” 41/2004.

Iwanow M., *Ilu Polaków było w Związku Sowieckim przed wojną?*, [Kresy24.pl/ilu-polakow-bylo-w-zwiazku-sowieckim-przed-wojna](http://Kresy24.pl/ilu-polakow-bylo-w-zwiazku-sowieckim-przed-wojna)

Iwanow M., *Pierwszy naród ukarany. Stalinizm wobec polskiej ludności kresowej 1921–1938*, Warszawa 1991

Iwaszkiewicz J., *Dzienniki 1911–1955*, Warszawa 2007.

Iwaszkiewicz J., *Dzienniki 1964–1980*, Warszawa 2011.

Iwaszkiewicz J., *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1983.

Iwaszkiewicz J., *Księżyc wschodzi*, Warszawa 1975.

Iwaszkiewicz J., *Mińsk, Poznań–Warszawa*, ok. 1919.

Iwaszkiewicz J., *Pisma muzyczne*, Warszawa 1958.

Iwaszkiewicz J., *Podróże do Polski*, Warszawa 1987.

Iwaszkiewicz J., *Spotkania z Szymanowskim*, Warszawa 1976 i 1986.

Iwaszkiewicz J., *Wiersze*, t. 1, Warszawa 1977.

Jackiewicz M., *Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w Mińsku*, [w:] „Znad Wili” 2/2019.

Jacyna J., *Zagłada caratu*, Warszawa 1930.

Jałowiecki M., *Na skraju imperium i inne wspomnienia*, Warszawa 2000.

Januskiewiczowa J., *W potopie krwi i łez. Wspomnienia zakładniczek*, Warszawa 1921.

- Jarosław Iwaszkiewicz, oprac. J. Rohoziński, Warszawa 1968.
- Jaroszewski T.S., *Uwagi o modernizacji kilku siedzib wiejskich w Polsce na przełomie XIX i XX wieku*, [w:] *Materiały Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie*, t. 4, Pszczyna 1987.
- Jaworski J., *Pod obcym znakiem pozostaniemy Polakami*, „Pamięć” 10/2015.
- Jaźwiński P., *Oficerowie i dżentelmeni. Życie prywatne i służbowe kawalerzystów Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 2011.
- Józef Piłsudski, *hospodar miński*, [b.m.w.], [b.r.w.], s. 3–4.
- Józewski H., *Zamiast pamiętnika*, Paryż–Kraków 2017.
- Jurkowski R., *Polskie spory o Białorusi*, [w:] „Białoruskie Zeszyty Historyczne”, 33/2010.
- Kamiński S., *Generał dywizji Bronisław Bolesław Duch (1896–1980)*, Warszawa 2010.
- Kamiński S., *Lata walk i zamętu na Ukrainie*, Warszawa 1928.
- Kantor–Mirski M., *Od Rarańczy do Kaniowa. Wspomnienia legionowe z r. 1918*, Sosnowiec 1934.
- Karaczarowa O., *Niezapomniani...*, [Dk.com.ua/post.php?id=60](http://Dk.com.ua/post.php?id=60)
- Karol Szymanowski. *Korespondencja*, t. 1, 1903–1919, oprac. T. Chylińska, Warszawa 1982.
- Kawalec T., *Historja IV-ej Dywizji Strzelców generała Żeligowskiego w zarysie*, Wilno–Kraków–Łódź 1921.
- Konopka A., *Szpital polowy Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej*, [w:] „Studia Podlaskie”, t. 9, Białystok 1999.
- Kopański S., *Moja służba w Wojsku Polskim 1917–1939*, Londyn 1965.
- Koprowski M.A., *Na gruzach Marchlewszczyzny*, Poronin 2014.
- Koprowski M.A., *Śmierć za Sienkiewicza! Prześladowania Polaków na Podolu 1918–1991*, Poznań 2015.
- Korzeniowski M., *Za Żółtą Bramą. Działalność społeczno-kulturalna Polaków w Kijowie w latach 1905–1920*, Lublin

2009.

Kossakowski M.S., *Diariusz. 29 kwietnia–31 grudnia 1917*, Lublin 2016.

Kossak-Szczucka Z., *Požoga*, Łódź 1990.

Kossak T., *Wspomnienia wojenne (1918–1920)*, Kraków 1925.

Kozubel M.B., *Działalność Nadzwyczajnej Komisji Śledczej ds. Antysemickich Pogromów na terytorium Ukraińskiej Republiki Ludowej w 1919 roku*, „Kwartalnik Historyczny”, 4/2020.

Koźmiński K., *Kamienie na szaniec*, Lwów–Warszawa 1937.

Kraśiński E., *Arnold Szyfman. Portret dyrektora w labiryncie teatru*, Warszawa 2013.

Kraśiński E., *Stefan Jaracz*, Warszawa 1983.

Krynicka T., *Ksiądz Andrzej Fedukowicz (1875–1925) – proboszcz parafii katedralnej w Żytomierzu*, t. 29, „Studia Polonijne” 2008.

Krzywicka I., *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1992.

Kukła J., *Eugeniusz Morawski – kompozytor zapomniany czy wygnany z pamięci?*, „Ruch Muzyczny” 14/1989.

Kupczak J.M., *Polacy na Ukrainie w latach 1921–1939*, Wrocław 1994.

„Kurjer Polski”, 5.01.1918.

„Kurjer Warszawski”, 9.09.1919, wyd. poranne.

Kutyłowska H., *Wspomnienia z Podola. 1898–1919*, Warszawa 2003.

Kydryński L., *Życie wśród gwiazd*, Warszawa 1997.

Leczycki K., *Listopad sprzed 12 laty*, [w:] „Słowo”, 11.11.1930.

Leczycki K., *Państewko*, Warszawa 1929.

Lempicka-Foxhall de K., *Passion by Design: The Art and Times of Tamara de Lempicka*, Nowy Jork 1987.

Leżeński C., *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, t. 1, Lublin 1989.

- Limity terroru*, „Karta. Niezależne Pismo Historyczne”, 11/1993.
- Lipiński W., *Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905–1918*, Dziekanów Leśny 1980.
- Lis-Błońska J., *Wspomnienia peowiackie z Mińska Litewskiego*, „Peowiak” 1, 2–3/1933.
- List Bolesława Zahorskiego do Naczelnika Państwa*, Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, teczka 701/2/35.
- Luba I., Wawer E.P., *Władysław Strzemiński. Zawsze w awangardzie. Rekonstrukcja nieznannej biografii 1893–1917*, Łódź 2017.
- Ładoś A., *Wasilewski w rokowaniach ryskich*, t. XVI, „Niepodległość” 1937.
- Łapeta O., *Eugeniusz Morawski. Życie i recepcja twórczości*, Warszawa 2019.
- Łatyszonek O., *Białoruskie formacje wojskowe 1917–1923*, Białystok 1995.
- Łazowska B., *Spis ludności na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej w 1919 r.*, „Wiadomości Statystyczne. The Polish Statistician”, 10/2019, vol. 64.
- Łoziński Z., *Memorandum „W sprawie wschodnich granic Rzeczypospolitej”*, Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, teczka 701/2/19.
- Maliszewski E., *Przewodnik po gubernji mińskiej. Zarys historyczno-opisowy*, Warszawa 1919.
- Matkowski J., *W sowieckim raj. Dramat Polaków w Odessie i okolicach*, „Kurier Galicyjski”, 19/2015.
- Mayzel J.S., *Meldunek w sprawie aresztowania Komendanta Naczelnego POW na Białoruś*, Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, teczka 701/2/18.
- Mędrzecki W., *Polacy na Ukrainie naddnieprzańskiej w Drugiej Rzeczypospolitej*, [w:] *Metamorfozy społeczne*, t. 2. *Badania nad dziejami społecznymi XIX i XX wieku*, Warszawa 2007.

- Michałowska J., *Z pracy POW w Mińsku*, [w:] *Służba ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość 1915–1918*, red. M. Rychterówna, Warszawa 1929, s. 344.
- Miedziński B., *Wspomnienia (dokończenie)*, „Zeszyty Historyczne”, 37/1976.
- Mikalojus Konstantinas Čiurlionis. *Litewski malarz i kompozytor*, Katowice 2006.
- Mikalojus Konstantinas Čiurlionis. *Twórczość, osobowość, środowisko*, Kowno 2001.
- M.K. Čiurlionis, [red.] G. Kondrotaitė, Kraków 2015.
- Muszyński W.J., *Białe Legiony 1914–1918. Od Legionu Puławskiego do I Korpusu Polskiego*, Warszawa 2018.
- Muszyński W.J., Sierchuła R., *Józef Dowbor-Muśnicki 1867–1937*, Poznań–Warszawa 2018.
- Nad Świsłoczą. Kalendarz miński informacyjny na rok 1914*, red. W. Dworzaczek, Mińsk 1913.
- Naglerowa H., *Ludzie prawdziwi*, Warszawa 1938.
- Nekrasz W., *Harcerze w bojach. Przyczynek do udziału młodzieży polskiej w walkach o niepodległość ojczyzny w latach 1914–1921*, cz. 1, Warszawa 1930.
- Notatki Stefana Mayera dotyczące POW i początków polskiej służby wywiadowczej*, Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie,teczka nr 709/100/49.
- Nowik M., *Skarby marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza*, [Poczta.interia.pl/html/?uid=7cc133862719ff65#iwa\\_source=log\\_p\\_zaloguj](http://Poczta.interia.pl/html/?uid=7cc133862719ff65#iwa_source=log_p_zaloguj)
- Nowina-Konopka K., *Wspomnienia wojenne 1915–1920*, Kraków 2011.
- Obiezierski M., *Wspomnienia z polsko-rosyjskiej konferencji pokojowej ryskiej dla ułożenia preliminarów pokojowych (wrzesień–październik 1920)*, Warszawa 1938.

- Odessa. Polska spuścizna (Polacy w Odessie), [Hor.net.ua/?page\\_id=1260&lang=pl](http://Hor.net.ua/?page_id=1260&lang=pl)
- Offenberg J., *Wspomnienia z Mińska z czasów walki o niego*, [w:] „Słowo”, 9.08.1930.
- Olstowski P., Wołos M., *Rola militarna i polityczna Polskiej Organizacji Wojskowej w odzyskaniu niepodległości. Próba bilansu*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 1-2/2018.
- Pawlikowski M.K., *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego*, Łomianki 2010.
- Pawlikowski M.K., *Epizod miński 1918 roku*, „Kultura” (Paryż) 7-8/1955.
- Pawlikowski M.K., *Wojna i sezon*, Łomianki 2011.
- Pepłoński A., *Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920*, Warszawa 2005.
- Pietrow N., *Polska operacja NKWD*, „Karta. Niezależne Pismo Historyczne”, 11/1993.
- Piłsudski J., *Pisma zebrane*, t. 5, Warszawa 1937.
- „Placówka Ilustracja Polska. Miesięcznik myśli i czynowi dowborczyków poświęcony”, 2/1934, 8/1935.
- Pług A., *Józef Ignacy Kraszewski na Ukrainie w latach czterdziestych XIX w.*, [Kbroszko.dominikanie.pl/kraszewski.htm](http://Kbroszko.dominikanie.pl/kraszewski.htm)
- Podhorski B., *Pogrom dworu*, „Karta” 41/2004.
- POW na ziemiach W.X. Litewskiego 1919-1934. Szkice i wspomnienia*, red. S. Burhardt, Wilno 1934.
- Pruski W., *Dwa wieki polskiej hodowli koni arabskich w Polsce (1778-1978) i jej sukcesy na świecie*, Warszawa 1983.
- Pruszyński M., *Dramat Piłsudskiego. Wojna 1920*, Warszawa 1999.
- Pruszyński M., *Jak straciliśmy Mińsk i federację z Białą Rusią. Rozmowa z Aleksandrem Ładosiem*, „Zeszyty Historyczne” 36/1976.

- Pruszyński M., *Rozmowa historyczna ze Stanisławem Grabskim*, [w:] „Zeszyty Historyczne” 36/1976.
- Przejskie II Brygady pod Rarańczą, [w:] „Panteon Polski” 18/1925.
- Radziwon M., *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie*, Warszawa 2010.
- Rąkowski G., *Ilustrowany przewodnik po zabytkach kultury na Białorusi*, Warszawa 1997.
- Romaniuk R., *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, t. 1, Warszawa 2012.
- Romeyko M., *Przed i po maju*, Warszawa 1985.
- Rozmowa z Józefem Czapskim dla Radia Wolna Europa*, [w:] „Archiwum Emigracji. Studia, szkice, dokumenty”, 2/1999.
- Rubinstein A., *Moje długie życie*, Kraków 1988.
- Rubinstein A., *Moje młode lata*, Kraków 2019.
- Rytard J.M., *Z Jarosławem Iwaszkiewiczem na Ukrainie*, [w:] *Jarosław Iwaszkiewicz i Ukraina*, red. R. Papiieski, Podkowa Leśna 2011.
- Rzyszczewska E., *Mord sławucki w oświetleniu naocznego świadka*, Lwów 1919.
- Seferowicz A., *Polgej.pl*
- Siechowicz, P. *Wyobraźnia muzyczna Mikalojusa Konstantinasa Čiurlionisa*, Poznań 2015.
- Siedlecka J., *Mikołaj Konstanty Čiurlionis. 1875–1911. Preludium warszawskie*, Warszawa 1996.
- Siedlecka-Siwuda J., *Mikalojus Konstantinas Čiurlionis. Litewski modernista, którego wstydzą się Marki*, [PrzeglądBałtycki.pl/5531,mikalojus-konstantinas-ciurlionis-litewski-modernista-ktorego-wstydzza-sie-marki.html](http://PrzeglądBałtycki.pl/5531,mikalojus-konstantinas-ciurlionis-litewski-modernista-ktorego-wstydzza-sie-marki.html)
- Przybytkówna, *Dwa testamenty*, [w:] *POW na ziemiach W.X. Litewskiego 1919–1934. Szkice i wspomnienia*, Wilno 1934, red. Stefan Burhardt.



- Rawski W., *Działalność Polskiej Organizacji Wojskowej w Moskwie, 1919–1920*, cz. 1, [w:] „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 14/2013.
- Rawski W., *Działalność Polskiej Organizacji Wojskowej w Moskwie, 1919–1920*, cz. 2, [w:] „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 15/2014.
- Roguski R., *Działania jazdy ochotniczej majora Jaworskiego na Podlasiu*, „Szkice Podlaskie” 14/2006
- Skibiński F., *Ułańska młodość 1917–1939*, Warszawa 1989.
- Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 3, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, Warszawa 1882.
- Smolikowski P., *Historja Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*, t. 3, Kraków 1895.
- Snyder T., *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, Kraków 2018.
- Sommer T., *Rozstrzelać Polaków. Ludobójstwo Polaków w Związku Sowieckim w latach 1937–1938. Dokumenty z Centrali*, Warszawa 2010.
- S., *Szermierze polscy na Kresach*, „Droga”, 4/1923
- Strzezińska N., *Katarzyna Kobro*, Warszawa 1999.
- Strzezińska N., *Sztuka, miłość i nienawiść. O Katarzynie Kobro i Władysławie Strzezińskim*, Warszawa 2001.
- Szczerbak J., *Jarosław Iwaszkiewicz w Kijowie*, [w:] *Jarosław Iwaszkiewicz i Ukraina*, red. R. Papiński, Podkowa Leśna 2011.
- Szczublewski J., *Żywot Osterwy*, Warszawa 1973.
- Szymanowska Z., *Opowieść o naszym domu*, Warszawa 2020.
- Tadeuszowa Grocholska z Zamoyskich Z., *Wspomnienia bolesne 1917–1919*, Warszawa 2017.
- Tarasiuk D., *Polacy w radzie miejskiej Mińska w latach 1917–1918*, [w:] „Echa przeszłości”, 9/2008.
- Taube K., *Boje flotyli pińskiej na Prypeci*, „Morze” 10/1930.

„Tygodnik Ilustrowany”, 21–22/1918.

Tomasik K., *Jarosław Iwaszkiewicz w 25. rocznicę śmierci*,  
InnaStrona.pl

Tomasik K., *Wielcy i niezapomniani: Karol Szymanowski. Życie  
miłosne i erotyczne kompozytora*,  
InnaStrona.pl/kult\_ludzie\_szymanow-ski2.shtml

Turkiewicz J., *Zarys historii wojennej 12-go pułku ułanów  
podolskich*, Warszawa 1928.

Urbański A., *Pro memoria*, Warszawa 1929.

Wańkiewicz M., *Strzępy epopei. Szpital w Cichiniczach*,  
Warszawa 1993.

Wańkiewiczowa Z., *Związek Broni (kartki z pamiętnika), [w:]  
Służba ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walk o  
niepodległość, 1915–1918*, red. M. Rychterówna, Warszawa  
1929.

Waśkow-Wyszomirski W., *Na zakrętach historii. Rzecz o III  
Korpusie wojsk polskich na Wschodzie*, Katowice 1938.

Weber B., *Čiurlionis. Encyklopedia Muzyczna PWM. Część  
biograficzna*, Kraków 1984.

Weber M., *Józefa Lis-Błońska. Ucieczka z twierdzy „Bobrujsk”*,  
Warszawa 2016.

Wejtko W., *Samoobrona Litwy i Białorusi. Szkic historyczny*,  
Wilno 1930.

Wędziagolski K., *Pamiętniki*, Londyn 1987.

Wężyk M., *Wojskowa Szkoła Inżynieryjna w Piotrogradzie*,  
„Saper i Inżynier Wojskowy”, 8/1923.

Wieczorkiewicz. *Mimo wszystko Stalin nas szanował*,  
[wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/220259,wieczorkie  
wicz-mimo-wszystko-stalin-nas-szanowal.html](http://wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/220259,wieczorkiewicz-mimo-wszystko-stalin-nas-szanowal.html)

Wieczorkiewicz P., *Historia polityczna Polski 1935–1945*,  
Warszawa 2005.

- Wieniawa-Długoszowski B., *Wymarsz i inne wspomnienia*, Warszawa 1992.
- Wierzejski W.K., *Fragmenty z dziejów polskiej młodzieży akademickiej w Kijowie 1834–1920*, Warszawa 1939.
- Wierzyński K., *Pamiętnik poety*, Warszawa 1991.
- Więcej Polaków wymordowano tylko w Powstaniu Warszawskim. Ludobójczy rozkaz nr 00485, [DoRzeczy.pl/historia/82494/1/operacja-polska-nkwd.html](http://DoRzeczy.pl/historia/82494/1/operacja-polska-nkwd.html)
- Winnicki Z.J., *Rada Regencyjna Królestwa Polskiego i jej organy (1917–1918)*, Wrocław 2017.
- Winnicki Z.J., *W Mińsku Litewskim, mieście dawnej Rzeczypospolitej*, Wrocław 1999.
- Wojciechowski A., *Zarys historii wojennej 1-go pułku ułanów krechowieckich*, Warszawa 1929.
- Woyńłłowicz E., *Wspomnienia 1847–1928. Część pierwsza*, Warszawa 2018.
- Wrzosek M., *Dokumenty polskiego ruchu wojskowego w formacjach rosyjskiego frontu rumuńskiego i losy II Korpusu Wojska Polskiego 1917–1918*, [w:] „*Studia Podlaskie*”, t. XVIII, 2009/2010.
- Wrzosek M., *Polski czyn zbrojny podczas pierwszej wojny światowej 1914–1918*, Warszawa 1990.
- Wrzosek M., *Przyczynek do historii 1 Rewolucyjnego Pułku Polskiego*, „*Przegląd Historyczny*” 48/1957.
- Wrzosek M., *W obronie polskiego stanu posiadania na Ukrainie*, t. 9, „*Studia Podlaskie*” 9/1999.
- W trybach*, „*Karta. Niezależne Pismo Historyczne*”, 11/1993.
- Wspomnienia p. Marii Wittek spisane 30 kwietnia 1981 r.*, [Kpbc.umk.pl/dlibra/doccontent?id=201680](http://Kpbc.umk.pl/dlibra/doccontent?id=201680)
- Zabłocki T., *Na wschodzie bez zmian*, Londyn 1988.
- Zaborski Z., „*Śmiałym*” ku zwycięstwu. *Listy Ziemomysła Zaborskiego z wojny 1914–1920*, Pruszków 2013.

- Zagrodzki J., *Katarzyna Kobro i kompozycja przestrzeni*, Warszawa 1984.
- Zamorski K.J., *Dzienniki. 1930–1938, Łomianki* 2011.
- Zawistowski D., *Zarys historii wojennej 19-go pułku ułanów wołyńskich im. płk. Karola Różyckiego*, Warszawa 1930.
- Zielińska T., *Poczet polskich rodów arystokratycznych*, Warszawa 1997.
- Ziemiański I., *Praca kobiet w POW Wschód*, Warszawa 1933.
- Ziemiański I., *Zarys dziejów szturmówki POW (Włodzimierskiego batalionu szturmowego)*, „Peowiak” 3/1930.
- Zychowicz P., *Obrońca polskich dworów. Wielka krucjata Feliksa Jaworskiego*, [w:] „Historia do Rzeczy” 10/2017.
- Zychowicz P., *Operacja polska NKWD 1937 r. Sowiecka rzeź Polaków*, [Tygodnik.dorzeczy.pl/38040/Operacja-Polska-NKWD-1937-r-Sowiecka-rzez-Polakow.html](http://Tygodnik.dorzeczy.pl/38040/Operacja-Polska-NKWD-1937-r-Sowiecka-rzez-Polakow.html)
- Zychowicz P., *Sowieci. Opowieści niepoprawne politycznie*, cz. II, Poznań 2016 i 2017.
- Żołędowski C., *Pierwsza repatriacja. Powroty i przyjazdy osiedleńcze do Polski ze wschodu po I wojnie światowej*, [Cejsh.icm.edu.pl/cejsh/element/bwmeta1.element.desklight-b42d840a-3490-4134-87da-ed3b683fbce2/c/Studia\\_Migracyjne\\_1-17\\_4Zoledowski.pdf](http://Cejsh.icm.edu.pl/cejsh/element/bwmeta1.element.desklight-b42d840a-3490-4134-87da-ed3b683fbce2/c/Studia_Migracyjne_1-17_4Zoledowski.pdf)
- Żyromski Z., *Polacy w Odessie*, [LewicowyDolnySlask.pl/polacy-w-odessie-1/](http://LewicowyDolnySlask.pl/polacy-w-odessie-1/)
- Żyskar J., *Nasze kościoły: diecezja mińska*, t. 2, z. 11, Warszawa-Petersburg 1914.

# Przypisy dla Rozdziału 1

- [1] Za: A. Pług, *Józef Ignacy Kraszewski na Ukrainie w latach czterdziestych XIX w.*,  
[Kbroszko.dominikanie.pl/kraszewski.htm](http://Kbroszko.dominikanie.pl/kraszewski.htm)
- [2] Za: *ibidem*.
- [3] T. Zabłocki, *Na wschodzie bez zmian*, Londyn 1988, s. 77.
- [4] J. Garliński, *Świat mojej pamięci*, Warszawa 1992, s. 15.
- [5] T. Zabłocki, *op. cit.*, s. 77.
- [6] M. Korzeniowski, *Za Złotą Bramą. Działalność społeczno-kulturalna Polaków w Kijowie w latach 1905–1920*, Lublin 2009, s. 448.
- [7] J. Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1983, s. 124.
- [8] M. Korzeniowski, *op. cit.*, s. 451.
- [9] Za: *ibidem*, s. 453.
- [10] A. Rubinstein, *Moje młode lata*, Kraków 2019, e-book.
- [11] *Ibidem*.
- [12] *Ibidem*.
- [13] *Ibidem*.
- [14] J. Fuksa, *Wspomnienia z Kijowa. Architekt Horodecki*,  
[Web.archive.org/web/20140308181626/http://swpk.ovh.org/pdf/horodecki.pdf](http://Web.archive.org/web/20140308181626/http://swpk.ovh.org/pdf/horodecki.pdf)
- [15] *Ibidem*.
- [16] Za: P. Horbatowski, *Polskie życie teatralne w Kijowie w latach 1905–1918*, Kraków 2009, s. 80.
- [17] A. Fertner, *Podróże komiczne*, Kraków 1960, s. 146.
- [18] *Ibidem*, s. 146.
- [19] *Ibidem*, s. 147.

- [20] M. Jałowicki, *Na skraju imperium i inne wspomnienia*, Warszawa 2000, s. 236–237.
- [21] Za: M. Korzeniowski, *op. cit.*, s. 46.
- [22] *Ibidem*, s. 47.
- [23] O. Karaczarowa, *Niezapomniani...*, Dk.com.ua/post.php?id=60

## Przypisy do Rozdziału 2

- [1] E. Maliszewski, *Przewodnik po gubernji mińskiej. Zarys historyczno-opisowy*, Warszawa 1919, s. 6.
- [2] *Nad Świsłoczą. Kalendarz miński informacyjny na rok 1914*, red. W. Dworzaczek, Mińsk 1913, s. 69–79.
- [3] J. Giertych, *Epopeja szlachty zagrodowej na Białorusi*, „Wiadomości”, Londyn 31.07.1949.
- [4] S. Kopański, *Moja służba w Wojsku Polskim 1917–1939*, Londyn 1965, s. 176.
- [5] G. Rąkowski, *Ilustrowany przewodnik po zabytkach kultury na Białorusi*, Warszawa 1997, s. 136–141.
- [6] M.K. Pawlikowski, *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego*, Łomianki 2010, s. 44.
- [7] P. Smolikowski, *Historija Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*, t. 3, Kraków 1895, s. 236.
- [8] J.M. Giżycki, *Z przeszłości zakonu bazylikańskiego na Litwie i Rusi*, [w:] „Przewodnik Naukowy i Literacki”, dodatek do „Gazety Lwowskiej”, 32/1904.
- [9] E. Woyniłłowicz, *Wspomnienia 1847–1928. Część pierwsza*, Warszawa 2018, s. 101.
- [10] *Ibidem*, s. 64.
- [11] *Ibidem*, s. 81.
- [12] *Ibidem*, s. 82.

- [13] M.K. Pawlikowski, *op. cit.*, s. 44–45.
- [14] M. Czapska, *Europa w rodzinie*, Warszawa 1999, s. 115.
- [15] M.K. Pawlikowski, *op. cit.*, s. 45.
- [16] Rozmowa z Józefem Czapskim dla Radia Wolna Europa, [w:] „Archiwum Emigracji. Studia, szkice, dokumenty”, 2/1999.
- [17] J. Żyskar, *Nasze kościoły: diecezja mińska*, t. 2, z. 11, Warszawa–Petersburg 1914, s. 180–181.
- [18] „Tygodnik Ilustrowany”, 21–22/1918.
- [19] J. Iwaszkiewicz, *Mińsk*, Poznań–Warszawa, ok. 1919, s. 27.
- [20] M.K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*, Łomianki 2011, s. 46.
- [21] M.S. Kossakowski, *Diariusz. 29 kwietnia–31 grudnia 1917*, Lublin 2016, s. 183.
- [22] I. Ziemiański, *Praca kobiet w P.O.W. Wschód*, Warszawa 1933, s. 42.
- [23] Z. Wańkowiczowa, *Związek Broni (kartki z pamiętnika)*, [w:] *Służba ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość, 1915–1918*, red. M. Rychterówna, Warszawa 1929, s. 324.
- [24] *Ibidem*, s. 327.
- [25] M.K. Pawlikowski, *Wojna...*, s. 208.
- [26] *Ibidem*, s. 212–213.
- [27] D. Tarasiuk, *Polacy w radzie miejskiej Mińska w latach 1917–1918*, [w:] „Echa przeszłości”, 9/2008.
- [28] M.K. Kossakowski, *op. cit.*, s. 249.
- [29] K. Leczycki, *Państwewko*, Warszawa 1929, s. 217.
- [30] J. Dowbor-Muśnicki, *Moje wspomnienia*, Warszawa 2013, s. 313, 316.
- [31] „Kurjer Polski”, 5.01.1918.
- [32] S. Heltman, *Robotnik polski w rewolucji październikowej na Białorusi*, Mińsk 1927, s. 74.

- [33] Z. Zaborski, „Śmiałym” ku zwycięstwu. Listy Ziemomysła Zaborskiego z wojny 1914–1920, Pruszków 2013, s. 33.
- [34] *Ibidem*, s. 33.
- [35] *Ibidem*, s. 34.
- [36] M. Wańkowicz, *Strzępy epopei. Szpital w Cichiniczach*, Warszawa 1993, s. 56.
- [37] F. Skibiński, *Ułańska młodość. 1917–1939*, Warszawa 1989, s. 41.
- [38] O. Łatyszonek, *Białoruskie formacje wojskowe 1917–1923*, Białystok 1995.
- [39] W. Wejtko, *Samoobrona Litwy i Białorusi. Szkic historyczny*, Wilno 1930, s. 16.
- [40] K. Leczycki, *Listopad sprzed 12 laty*, [w:] „Słowo”, 11.11.1930.
- [41] J. Iwaszkiewicz, *op. cit.*, s. 32.
- [42] J. Offenberga, *Wspomnienia z Mińska z czasów walki o niego*, [w:] „Słowo”, 9.08.1930.
- [43] Z.J. Winnicki, *W Mińsku Litewskim, mieście dawnej Rzeczypospolitej*, Wrocław 1999, s. 64–65.
- [44] J. Januszkiewiczowa, *W potopie krwi i łez. Wspomnienia zakładniczek*, Warszawa 1921, s. 151.
- [45] S. Rostworowski, *Listy z wojny polsko-bolszewickiej*, Warszawa 1995, s. 126.
- [46] J. Offenberga, *op. cit.*
- [47] *Ibidem*.
- [48] M.K. Pawlikowski, *Dzieciństwo...*, s. 40.
- [49] Józef Piłsudski, *hospodar miński*, [b.m.w.], [b.r.w.], s. 3–4.
- [50] J. Piłsudski, *Pisma zebrane*, t. 5, Warszawa 1937, s. 106–107.
- [51] Z. Łoziński, *Memorandum „W sprawie wschodnich granic Rzeczypospolitej”*, Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, teczka 701/2/19.



- [52] M. Jackiewicz, *Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w Mińsku*, [w:] „Znad Wilii”, 2/2019.
- [53] E. Woyniłłowicz, *op. cit.*, s. 264.
- [54] „Dzwon Niedzielny”, 10.04.1932.
- [55] W. Grabski, *Pamiętniki*, t. 2, Warszawa 1989, s. 164.
- [56] J. Dąbski, *Pokój ryski. Wspomnienia, pertraktacje, tajne układy z Joffem, listy*, Warszawa 1931, s. 53.
- [57] *Ibidem*, s. 55.
- [58] S. Grabski, *op. cit.*, s. 162.
- [59] J. Dąbski, *op. cit.*, s. 62.
- [60] W. Czeczott, *Diecezyna mińska i jej pasterz biskup Zygmunt Łoziński*, Wilno 1925, s. 39.

## Przypisy do Rozdziału 3

- [1] T. Chylińska, *Karol Szymanowski i jego epoka*, Kraków 2008, t. 1, s. 66.
- [2] Z. Szymanowska, *Opowieść o naszym domu*, Warszawa 2020, e-book.
- [3] J. Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1983, s. 35.
- [4] J. Iwaszkiewicz, *Spotkania z Szymanowskim*, Warszawa 1986, s. 24.
- [5] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 48.
- [6] J. Iwaszkiewicz, *Spotkania...*, s. 39.
- [7] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 53.
- [8] *Ibidem*, s. 55.
- [9] Z. Szymanowska, *op. cit.*
- [10] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 58–59.
- [11] *Ibidem*, s. 59.

- [12] Za: K. Tomasik, *Wielcy i niezapomniani: Karol Szymanowski. Życie miłosne i erotyczne kompozytora*, InnaStrona.pl/kult\_ludzie\_szymanow-ski2.phtml
- [13] A. Rubinstein, *Moje młode lata*, Warszawa 1986, s. 465.
- [14] A. Rubinstein, *Moje długie życie*, Kraków 1988, t. 1, s. 97.
- [15] *Ibidem*, s. 111.

## Przypisy do Rozdziału 4

- [1] Za: B. Weber, *Čiurlionis. Encyklopedia Muzyczna PWM. Część biograficzna*, Kraków 1984, s. 207.
- [2] Za: *Mikalojus Konstantinas Čiurlionis. Twórczość, osobowość, środowisko*, Kowno 2001, s. 149.
- [3] Za: *ibidem*, s. 151.
- [4] Za: *ibidem*, s. 152.
- [5] Za: *ibidem*, s. 153.
- [6] Za: J. Siedlecka, *Mikołaj Konstanty Čiurlionis. 1875–1911. Preludium warszawskie*, Warszawa 1996, s. 57.
- [7] Za: *Mikalojus...*, s. 158.
- [8] J. Kukla, *Eugeniusz Morawski – kompozytor zapomniany czy wygnany z pamięci?*, „Ruch Muzyczny” 14/1989.
- [9] Za: *Mikalojus...*, s. 162.
- [10] Za: *ibidem*, s. 163.
- [11] Za: *ibidem*.
- [12] Za: *ibidem*, s. 165.
- [13] Za: *ibidem*, s. 166.
- [14] Za: *ibidem*, s. 167.
- [15] S. Cat-Mackiewicz, *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 5 lipca 1945 r.*, Londyn 1995, s. 140.

## Przypisy do Rozdziału 5

- [1] Za: L. Claridge, *Tamara Łempicka. Między art déco a dekadencją*, Poznań 2000, s. 25.
- [2] Za: K. de Lempicka-Foxhall, *Passion by Design: The Art and Times of Tamara de Lempicka*, Nowy Jork 1987, s. 22.
- [3] L. Claridge, *op. cit.*, s. 51.
- [4] R. i D. Crawford, *Michael and Natasha: the life and love of Michael II, the last of the Romanov tsars*, Londyn 1997, s. 44.
- [5] Za: L. Claridge, *op. cit.*, s. 52.
- [6] A. Gold, R. Fizdale, *Misia: The Life of Misia Sert*, Nowy Jork 1981, s. 15.
- [7] Za: L. Claridge, *op. cit.*, s. 60.
- [8] Za: K. de Lempicka-Foxhall, *op. cit.*, s. 26.
- [9] Za: *ibidem*, s. 29.
- [10] *Ibidem*, s. 31.
- [11] Za: L. Claridge, *op. cit.*, s. 83.
- [12] Za: *ibidem*.
- [13] Za: *ibidem*, s. 36.

## Przypisy do Rozdziału 6

- [1] Za: E. Krasiński, *Arnold Szyfman. Portret dyrektora w labiryntcie teatru*, Warszawa 2013, s. 115.
- [2] Za: *ibidem*, s. 119.
- [3] Za: J. Szczublewski, *Żywot Osterwy*, Warszawa 1973, s. 107.
- [4] Za: E. Krasiński, *Stefan Jaracz*, Warszawa 1983, s. 142–143.
- [5] *Ibidem*, s. 143–144.
- [6] A. Fertner, *Podróże komiczne*, Kraków 1960, s. 34.
- [7] *Ibidem*.

- [8] Za: L. Kydryński, *Życie wśród gwiazd*, Warszawa 1997, s. 14.
- [9] A. Fertner, *op. cit.*, s. 172.
- [10] Za: *ibidem*, s. 117.
- [11] Za: P. Horbatowski, *Polskie życie teatralne w Kijowie w latach 1905–1918*, Kraków 2009, s. 151.
- [12] A. Fertner, *op. cit.*, s. 168–169.
- [13] M. Korzeniowski, *Za Żłotą Bramą. Działalność społeczno-kulturalna Polaków w Kijowie w latach 1905–1920*, Lublin 2009, s. 476.
- [14] Za: *ibidem*, s. 477.

## Przypisy do Rozdziału 7

- [1] M. Dunin-Kozicka, *Burza od Wschodu*, Warszawa 1990, s. 38.
- [2] W. Mędrzecki, *Polacy na Ukrainie naddnieprzańskiej w Drugiej Rzeczypospolitej*, [w:] *Metamorfozy społeczne, t. 2. Badania nad dziejami społecznymi XIX i XX wieku*, Warszawa 2007, s. 97.
- [3] Z. Kossak-Szczucka, *Požoga*, Łódź 1990, s. 14.
- [4] *Ibidem*, s. 31.
- [5] B. Hud', *Panowie polscy*, „Karta” 41/2004.
- [6] Za: M. Wrzosek, *W obronie polskiego stanu posiadania na Ukrainie*, t. 9, „Studia Podlaskie” 1999.
- [7] E. Rzyaszczewska, *Mord sławucki w oświeceniu naocznego świadka*, Lwów 1919, s. 7.
- [8] T. Zielińska, *Poczet polskich rodów arystokratycznych*, Warszawa 1997, s. 374.
- [9] E. Rzyaszczewska, *op. cit.*, s. 16.
- [10] *Fragment wspomnień Bronisława Nietykszy*, [Free.of.pl/w/wolynskie/miejsca-s/slawuta\\_k.html](http://Free.of.pl/w/wolynskie/miejsca-s/slawuta_k.html)

- [11] R. Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Województwo wołyńskie, t. 5, Warszawa 1994, str. 464–472.*
- [12] E. Rzyaszczewska, *op. cit.*, s. 27.
- [13] *Ibidem*, s. 24–25.
- [14] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 15.
- [15] Z. Dunin-Kozicka, *op. cit.*, s. 23.
- [16] E. z Zaleskich Dorożyńska, *Na ostatniej placówce, Łomianki 2018, s. 15.*
- [17] S. Kamiński, *Lata walk i zamętu na Ukrainie, Warszawa 1928, s. 24.*
- [18] *Ibidem*, s. 25.
- [19] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 38, 56.
- [20] S. Kamiński, *op. cit.*, s. 26.
- [21] T. Hołowko, *Przez dwa fronty, Rzeszów 2014, s. 162–163.*
- [22] B. Podhorski, *Pogrom dworu, „Karta” 41/2004.*
- [23] S. Kamiński, *op. cit.*, s. 27.
- [24] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 27.
- [25] M. z Grocholskich Hieronimowa Sobańska, *Wspominki nikłe, Grodzisk Mazowiecki 2002, s. 166 i 176.*
- [26] Z. z Zamoyskich Tadeuszowa Grocholska, *Wspomnienia bolesne 1917–1919, Warszawa 2017, s. 35.*
- [27] *Ibidem*, s. 35.
- [28] *Ibidem*, s. 38.
- [29] M. Dunin-Kozicka, *op. cit.*, s. 63.
- [30] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 15.
- [31] M. Dunin-Kozicka, *op. cit.*, s. 46, 69.
- [32] A. Urbański, *Pro memoria, Warszawa 1929, s. 7.*
- [33] M. Dunin-Kozicka, *op. cit.*, s. 47.
- [34] M. Dunin-Kozicka, *op. cit.*, s. 85.

- [35] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 151.
- [36] E. z Zaleskich Dorożyńska, *op. cit.*, s. 45.
- [37] *Ibidem*, s. 178.
- [38] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 178.
- [39] *Ibidem*, s. 164.
- [40] *Ibidem*, s. 143.
- [41] Za: *ibidem*, s. 180.
- [42] M.B. Kozubel, *Działalność Nadzwyczajnej Komisji Śledczej ds. Antysemickich Pogromów na terytorium Ukraińskiej Republiki Ludowej w 1919 roku*, „Kwartalnik Historyczny”, 4/2020.
- [43] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 181.
- [44] *Ibidem*, s. 181.
- [45] M.B. Kozubel, *op. cit.*
- [46] M. Dunin-Kozicka, *op. cit.*, s. 187.
- [47] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 194.
- [48] W. Pruski, *Dwa wieki polskiej hodowli koni arabskich w Polsce (1778–1978) i jej sukcesy na świecie*, Warszawa 1983, s. 121, 129.
- [49] T.S. Jaroszewski, *Uwagi o modernizacji kilku siedzib wiejskich w Polsce na przełomie XIX i XX wieku*, [w:] *Materiały Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie*, t. 4, Pszczyna 1987, s. 183.
- [50] „Kurjer Warszawski”, 9.09.1919, wyd. poranne.
- [51] Z. Kossak-Szczucka, *op. cit.*, s. 208.
- [52] E. z Zaleskich Dorożyńska, *op. cit.*, s. 165.
- [53] *Ibidem*, s. 336.

## Przypisy do Rozdziału 8

- [1] J. Szczerbak, *Jarosław Iwaszkiewicz w Kijowie*, [w:] *Jarosław Iwaszkiewicz i Ukraina*, red. R. Papieski, Podkowa Leśna 2011, s. 236.
- [2] M. Radziwon, *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie*, Warszawa 2010, s. 14.
- [3] *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 3, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, Warszawa 1882, s. 704–707.
- [4] *Jarosław Iwaszkiewicz*, oprac. J. Rohoziński, Warszawa 1968, s. 129.
- [5] J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, Warszawa 2007, s. 44.
- [6] J.M. Gisges, *A po człowieku dzwoni dzwon*, Rzeszów 1985, s. 22.
- [7] R. Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, t. 1, Warszawa 2012 s. 5–6.
- [8] M. Radziwon, *op. cit.*, s. 14.
- [9] J. Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Kraków–Wrocław 1983, s. 8.
- [10] J. Iwaszkiewicz, *Spotkania z Szymanowskim*, Warszawa 1986, s. 12.
- [11] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 66.
- [12] *Ibidem*, s. 68–69.
- [13] J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki...*, Warszawa 2007, s. 82.
- [14] J. Iwaszkiewicz, *Księżyc wschodzi*, Warszawa 1975, s. 18.
- [15] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 84–85.
- [16] *Ibidem*, s. 85.
- [17] J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki...*, s. 111.
- [18] Za: A. Seferowicz, [Polgej.pl](http://Polgej.pl)
- [19] J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki...*, s. 111.
- [20] J. Iwaszkiewicz, *Wiersze*, t. 1, Warszawa 1977, s. 412.
- [21] J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki...*, s. 502.

- [22] J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, Warszawa 2011, s. 339.
- [23] *Ibidem*, s. 440.
- [24] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 151.
- [25] *Ibidem*, s. 141.
- [26] J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955...*, s. 135–136.
- [27] J. Iwaszkiewicz, *Podróże do Polski*, Warszawa 1987, s. 10.
- [28] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 121.
- [29] J. Iwaszkiewicz, *Spotkania z Szymanowskim*, Warszawa 1976, s. 35.
- [30] Tamże, s. 37.
- [31] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 170.
- [32] Karol Szymanowski. *Korespondencja*, t. 1, 1903–1919, oprac. T. Chylińska, Warszawa 1982, s. 542.
- [33] J. Iwaszkiewicz, *Pisma muzyczne*, Warszawa 1958, s. 60.
- [34] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 161.
- [35] *Ibidem*, s. 163.
- [36] J.M. Rytard, *Z Jarosławem Iwaszkiewiczem na Ukrainie*, [w:] *Jarosław Iwaszkiewicz i Ukraina*, red. R. Papieski, Podkowa Leśna 2011, s. 88.
- [37] Za: K. Tomasiak, *Jarosław Iwaszkiewicz w 25. rocznicę śmierci*, InnaStrona.pl
- [38] Za: *ibidem*.
- [39] J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 147.
- [40] *Ibidem*, s. 167.
- [41] *Ibidem*, s. 168.
- [42] *Ibidem*, s. 169.
- [43] *Ibidem*, s. 171.

## Przypisy do Rozdziału 9



- [1] J. Dowbor-Muśnicki, *Moje wspomnienia*, Warszawa 2013, s. 236.
- [2] L. Grosfeld, *Polskie reakcyjne formacje wojskowe w Rosji 1917–1919*, Warszawa 1956, s. 40.
- [3] *Ibidem*, s. 41.
- [4] J. Dowbor-Muśnicki, *op. cit.*, s. 266.
- [5] *Ibidem*, s. 260–261.
- [6] M. Wrzosek, *Przyczynek do historii I Rewolucyjnego Pułku Polskiego*, „Przegląd Historyczny” 48/1957.
- [7] J. Dowbor-Muśnicki, *op. cit.*, s. 540.
- [8] Za: W.J. Muszyński, *Białe Legiony 1914–1918. Od Legionu Puławskiego do I Korpusu Polskiego*, Warszawa 2018, s. 270.
- [9] M. Wańkowicz, *Strzępy epopei. Szpital w Cichiniczach*, Warszawa 1993, s. 62.
- [10] Z. Zaborski, „Śmiałym” ku zwycięstwu. Listy Ziemomysła Zaborskiego z wojny 1914–1920, Pruszków 2013, s. 52.
- [11] M.S. Kossakowski, *Diariusz. 29 kwietnia–31 grudnia 1917*, Lublin 2016, s. 187.
- [12] *Ibidem*, s. 200.
- [13] J. Dowbor-Muśnicki, *Krótki szkic do historii I-go Polskiego Korpusu*, cz. 1, Warszawa 1919, s. 27.
- [14] L. Grosfeld, *op. cit.*, s. 73.
- [15] M.K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*, Łomianki 2011, s. 88.
- [16] E. Woyniłłowicz, *Wspomnienia 1847–1928. Część pierwsza*, Warszawa 2018, s. 202.
- [17] J. Dowbor-Muśnicki, *Moje...*, s. 842.
- [18] M.S. Kossakowski, *op. cit.*, s. 144.
- [19] H. Bagiński, *Wojsko Polskie na Wschodzie 1914–1920*, Warszawa 1921, s. 147.
- [20] J. Dowbor-Muśnicki, *Krótki...*, s. 26.
- [21] *Ibidem*, s. 33.

- [22] H. Bagiński, *op. cit.*, Warszawa 1990, s. 188.
- [23] F. Skibiński, *Ułańska młodość 1917–1939*, Warszawa 1989, s. 36–38.
- [24] J. Dowbor-Muśnicki, *Krótki...*, s. 37.
- [25] H. Bagiński, *op. cit.*, wyd. 1921, s. 188.
- [26] „Placówka Ilustracja Polska. Miesięcznik myśli i czynowi dowborczyków poświęcony”, 8/1935.
- [27] J. Dowbor-Muśnicki, *Moje...*, s. 212.
- [28] „Placówka Ilustracja Polska. Miesięcznik myśli i czynowi dowborczyków poświęcony”, 2/1934.
- [29] *Ibidem*.
- [30] W. Berka, *O polski czyn zbrojny na Wschodzie 1914–1918*, Warszawa 1925, s. 83.
- [31] A. Wojciechowski, *Zarys historii wojennej 1-go pułku ułanów krechowieckich*, Warszawa 1929, s. 16.
- [32] H. Bagiński, *op. cit.*, wyd. 1921, s. 197.
- [33] K. Koźmiński, *Kamienie na szaniec*, Lwów–Warszawa 1937, s. 98.
- [34] J. Jacyna, *Zagłada caratu*, Warszawa 1930, s. 115.
- [35] M. Wrzosek, *Polski czyn zbrojny podczas pierwszej wojny światowej 1914–1918*, Warszawa 1990, s. 176.
- [36] S. Heltman, *Robotnik polski w rewolucji październikowej na Białorusi*, Mińsk 1927, s. 118
- [37] *Ibidem*, s. 121.
- [38] Za: J. Dowbor-Muśnicki, *Moje...*, s. 571.
- [39] M.K. Pawlikowski, *Epizod miński 1918 roku*, „Kultura” 7–8/1955, Paryż.
- [40] A. Konopka, *Szpital polowy Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej*, [w:] „Studia Podlaskie”, t. 9, Białystok 1999.
- [41] M. Wańkowicz, *op. cit.*, s. 190.
- [42] H. Bagiński, *op. cit.*, wyd. 1921, s. 215–216.

- [43] M.K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*, Łomianki 2011, s. 93.
- [44] S. Kopański, *Moja służba w Wojsku Polskim 1917–1939*, Londyn 1965, s. 42.
- [45] J. Dowbor-Muśnicki, *Krótki szkic do historii I-go Polskiego Korpusu*, cz. 2, s. 18.
- [46] M. Wańkiewicz, *op. cit.*, s. 51.
- [47] P. Bauer, G. Łukomski, B. Polak, *Polskie formacje wojskowe w Rosji 1914–1920*, Koszalin 2003, s. 38.
- [48] F. Skibiński, *op. cit.*, s. 42.
- [49] L. Grosfeld, *op. cit.*, s. 101.
- [50] M. Wańkiewicz, *op. cit.*, s. 101.
- [51] S. Kopański, *op. cit.*, s. 44.
- [52] W.J. Muszyński, R. Sierchuła, *Józef Dowbor-Muśnicki 1867–1937*, Poznań–Warszawa 2018, s. 23.
- [53] W.J. Muszyński, *op. cit.*, s. 342.
- [54] T. Kossak, *Wspomnienia wojenne (1918–1920)*, Kraków 1925, s. 1–2.
- [55] *Ibidem*, s. 3.
- [56] *Ibidem*, s. 4.
- [57] H. Hubicka, *Na wschodniej rubieży. Służba ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walki o niepodległość 1915–1918*, Warszawa 1929, s. 319.
- [58] M. Wańkiewicz, *op. cit.*, s. 68.
- [59] Z.J. Winnicki, *Rada Regencyjna Królestwa Polskiego i jej organy (1917–1918)*, Wrocław 2017, s. 269.
- [60] J. Dowbor-Muśnicki, *Krótki...*, cz. II, s. 87.
- [61] W. Lipiński, *Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905–1918*, Dziekanów Leśny 1980, s. 280.
- [62] P. Bauer, *Generał Józef Dowbor-Muśnicki 1867–1937*, Poznań 1988, s. 110.
- [63] S. Kopański, *op. cit.*, s. 44.

- [64] M. Wańkowicz, *op. cit.*, s. 43.
- [65] *Ibidem*, s. 71.
- [66] *Ibidem*, s. 73.
- [67] Z. Wańkowiczowa, *Związek Broni (kartki z pamiętnika)*, [w:] *Służba ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość 1915–1918*, Warszawa 1929, s. 326.
- [68] T. Kossak, *op. cit.*, s. 4.
- [69] J. Dowbor-Muśnicki, *Moje...*, s. 339.
- [70] M. Wańkowicz, *op. cit.*, s. 82–83.
- [71] K. Koźmiński, *op. cit.*, s. 206.
- [72] Za: J. Dowbor-Muśnicki, *Moje...*, s. 613.
- [73] Za: P. Bauer, G. Łukomski, B. Polak, *op. cit.*, s. 147.
- [74] K. Koźmiński, *op. cit.*, s. 123.
- [75] T. Kossak, *op. cit.*, s. 10.
- [76] W. Berka, *op. cit.*, s. 101.

## Przypisy do Rozdziału 10

- [1] S.D., *Wspomnienia z działalności POW na Białorusi*, [w:] *Polska Organizacja Wojskowa. Szkice i wspomnienia*, red. J. Stachiewicz, W. Lipiński, Warszawa 1930, s. 236.
- [2] S.D., *op. cit.*, s. 239.
- [3] I. Ziemiański, *Praca kobiet w POW Wschód*, Warszawa 1933, s. 121.
- [4] S.D., *op. cit.*, s. 238.
- [5] J. Januszkiewiczowa, *W potopie krwi i łez. Wspomnienia zakładniczki*, Warszawa 1921, s. 139.
- [6] S., *Szermierze polscy na Kresach*, „Droga”, 4/1923.
- [7] E. Gulbinowa, *Jadwiga Tejszerska (harcerka)*, Kraków 1932, s. 6.

- [8] *Notatki Stefana Mayera dotyczące POW i początków polskiej służby wywiadowczej*, Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie, teczka nr 709/100/49.
- [9] H. Naglerowa, *Ludzie prawdziwi*, Warszawa 1938, s. 37.
- [10] *Notatki...*
- [11] M. Weber, *Józefa Lis-Błońska. Ucieczka z twierdzy „Bobrujsk”*, Warszawa 2016, s. 48.
- [12] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 250–251.
- [13] *Ibidem*, s. 122.
- [14] E. Gulbinowa, *op. cit.*, s. 6.
- [15] M. Przybytkówna, *Dwa testamenty*, [w:] *POW na ziemiach W.X. Litewskiego 1919–1934. Szkice i wspomnienia*, Wilno 1934, red. Stefan Burhardt, s. 71.
- [16] J. Lis-Błońska, *Wspomnienia peowiackie z Mińska Litewskiego*, „Peowiak” 1/1933.
- [17] *POW na ziemiach W.X. Litewskiego 1919–1934. Szkice i wspomnienia*, red. S. Burhardt, Wilno 1934, s. 70.
- [18] S.D., *op. cit.*, s. 241.
- [19] J. Januszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 126.
- [20] J. Lis-Błońska, *op. cit.*
- [21] S.D., *op. cit.*, s. 242.
- [22] J. Michałowska, *Z pracy POW w Mińsku*, [w:] *Służba ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość 1915–1918*, red. M. Rychterówna, Warszawa 1929, s. 344.
- [23] J. Lis-Błońska, *op. cit.*
- [24] J.S. Mayzel, *Meldunek w sprawie aresztowania Komendanta Naczelnego POW na Białoruś*, Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, teczka 701/2/18.
- [25] Januszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 127–128.
- [26] J. Lis-Błońska, *op. cit.*, „Peowiak” 2–3/1933.
- [27] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 226.

- [28] M. Weber, *op. cit.*, s. 56.
- [29] E. Gulbinowa, *op. cit.*, s. 15.
- [30] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 167.
- [31] P. Zychowicz, *Sowietci. Opowieści niepoprawne politycznie, cz. II*, Poznań 2016, s. 291.
- [32] W. Rawski, *Działalność Polskiej Organizacji Wojskowej w Moskwie, 1919–1920*, cz. 2, [w:] „Przegląd Historyczno-Wojskowy”, 15/2014.
- [33] W. Rawski, *Działalność Polskiej Organizacji Wojskowej w Moskwie, 1919–1920*, cz. 1, [w:] „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 14/2013.
- [34] E. Gulbinowa, *op. cit.*, s. 22.
- [35] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 168.
- [36] E. Gulbinowa, *op. cit.*, s. 26.
- [37] *List Bolesława Zahorskiego do Naczelnika Państwa*, Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, teczka 701/2/35.
- [38] *Notatki...*
- [39] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 267.
- [40] *Ibidem*, s. 168–169.
- [41] E. Gulbinowa, *op. cit.*, s. 27.

## Przypisy do Rozdziału 11

- [1] K. Nowina-Konopka, *Wspomnienia wojenne 1915–1920*, Kraków 2011, s. 288.
- [2] S. Czerep, *II Brygada Legionów Polskich*, Warszawa 1991, s. 197.
- [3] R. Górecki, *Aresztowanie sztabu P.K.P.*, [w:] *Za kratami więzień i drutami obozów. Wspomnienia i notatki więźniów ideowych z lat 1914–1921*, t. 2, Warszawa 1928, s. 360.
- [4] J. Haller, *Pamiętniki*, Łomianki 2014, s. 149.

- [5] *Przejście II Brygady pod Rarańczą*, [w:] „Panteon Polski” 18/1925.
- [6] M. Boruta-Spiechowicz, *11 kompania*, [w:] *Garść wspomnień spod Rarańczy*, oprac. F. Olas, Warszawa 1938, s. 37.
- [7] M. Kantor-Mirski, *Od Rarańczy do Kaniowa. Wspomnienia legionowe z r. 1918*, Sosnowiec 1934, s. 32.
- [8] *Ibidem*.
- [9] M. Boruta-Spiechowicz, *op. cit.*, s. 40–41.
- [10] S. Kamiński, *Generał dywizji Bronisław Bolesław Duch (1896–1980)*, Warszawa 2010, s. 29.
- [11] J. Haller, *op. cit.*, s. 152.
- [12] K. Nowina-Konopka, *op. cit.*, s. 327.
- [13] M. Kantor-Mirski, *op. cit.*, s. 50, 66.
- [14] T. Hołówko, *Przez dwa fronty*, Warszawa 2014, s. 84.
- [15] *Ibidem*.
- [16] R. Bergel, *Dzieje II Korpusu Polskiego*, Warszawa 1921, s. 28.
- [17] *Ibidem*, s. 33.
- [18] M. Wrzosek, *Dokumenty polskiego ruchu wojskowego w formacjach rosyjskiego frontu rumuńskiego i losy II Korpusu Wojska Polskiego 1917–1918*, [w:] „Studia Podlaskie”, t. XVIII, 2009/2010, s. 394.
- [19] R. Bergel, *op. cit.*, s. 40.
- [20] *Ibidem*, s. 45.
- [21] M. Kantor-Mirski, *op. cit.*, s. 81.
- [22] *Ibidem*, s. 82.
- [23] M. Wrzosek, *Dokumenty...*, s. 406.
- [24] M. Kantor-Mirski, *op. cit.*, s. 97.
- [25] *Ibidem*, s. 98.
- [26] *Ibidem*, s. 101.
- [27] R. Bergel, *op. cit.*, s. 60.

[28] *Ibidem*.

[29] *Ibidem*, s. 58.

[30] M. Kantor-Mirski, *op. cit.*, s. 103.

[31] M. Wrzosek, *Polski czyn zbrojny podczas I wojny światowej 1914–1918*, Warszawa 1990, s. 435.

## Przypisy do Rozdziału 12

[1] Za: S. Duda, *Karolina Rzewuska-Sobańska. Moskiewska kochanica. Wielcy zdrajcy cz. 7*, [Wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,20223156,karolina-rzewuska-sobanska-moskiewska-kochanica-wielcy-zdrajcy.html?disableRedirects=true](http://Wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,20223156,karolina-rzewuska-sobanska-moskiewska-kochanica-wielcy-zdrajcy.html?disableRedirects=true)

[2] J. Iwaszkiewicz, *Spotkania z Szymanowskim*, Warszawa 1986, s. 54.

[3] *Ibidem*, s. 56.

[4] T. Kawalec, *Historja IV-ej Dywizji Strzelców generała Żeligowskiego w zarysie*, Wilno–Kraków–Łódź 1921, s. 12.

[5] H. Bagiński, *Wojsko Polskie na Wschodzie 1914–1920*, Warszawa 1921, s. 498.

[6] W. Lipiński, *Walka zbrojna o niepodległość Polski w latach 1905–1918*, Dziekanów Leśny 1980, s. 332.

[7] H. Bagiński, *op. cit.*, s. 520.

[8] T. Kawalec, *op. cit.*, s. 47.

## Przypisy do Rozdziału 13

[1] E. Henning de Michaelis, *W zamęcie („Burzy dziejowej” część trzecia). Przyczynek do historii formacyj polskich w Rosji. 1917–1918*, Warszawa–Kraków 1929, s. 39.



- [2] R. Aftanazy, *Materiały do dziejów rezydencji, t. Va*, Warszawa 1988, s. 6.
- [3] Z. Kossak, *Pożoga*, Łódź 1990.
- [4] W. Dzierżykraj-Stokalski, *Dzieje jednej partyzantki z lat 1917–1920*, Lwów 1927, s. 63.
- [5] E. Henning de Michaelis, *op. cit.*, s. 84.
- [6] *Ibidem*, s. 97.
- [7] *Ibidem*, s. 89.
- [8] *Ibidem*, s. 84.
- [9] J. Turkiewicz, *Zarys historii wojennej 12-go pułku ułanów podolskich*, Warszawa 1928, s. 6.
- [10] W. Waśkow-Wyszomirski, *Na zakrętach historii. Rzecz o III Korpusie wojsk polskich na Wschodzie*, Katowice 1938, s. 15–16.
- [11] I. Ziemiański, *Praca kobiet w POW Wschód*, Warszawa 1933, s. 68.
- [12] J. Turkiewicz, *op. cit.*, s. 9.
- [13] „Dziennik Kijowski”, 24.04.1918.
- [14] H. Bagiński, *Wojsko Polskie na Wschodzie 1914–1920*, Warszawa 1921, s. 390.
- [15] *Ibidem*, s. 394.
- [16] P. Bauer, G. Łukomski, B. Polak, *Polskie formacje wojskowe w Rosji 1914–1920*, Koszalin 2003, s. 168.

## Przypisy do Rozdziału 14

- [1] I. Luba, E.P. Wawer, *Władysław Strzemiński. Zawsze w awangardzie. Rekonstrukcja nieznannej biografii 1893–1917*, Łódź 2017, s. 43.
- [2] *Ibidem*, s. 77.

- [3] M. Wężyk, *Wojskowa Szkoła Inżynieryjna w Piotrogradzie*, „Saper i Inżynier Wojskowy”, 8/1923.
- [4] *Ibidem*.
- [5] I. Luba, E.P. Wawer, *op. cit.*, s. 128.
- [6] Za: *ibidem*, s. 144–145.
- [7] N. Strzemińska, *Sztuka, miłość, nienawiść. O Katarzynie Kobro i Władysławie Strzemińskim*, Warszawa 2001, s. 17.
- [8] *Ibidem*, s. 92.
- [9] N. Strzemińska, *Katarzyna Kobro*, Warszawa 1999, s. 17.
- [10] *Ibidem*, s. 17.
- [11] Za: J. Zagrodzki, *Katarzyna Kobro i kompozycja przestrzeni*, Warszawa 1984, s. 43.
- [12] Za: *ibidem*, s. 44.
- [13] N. Strzemińska, *Katarzyna...*, s. 26.
- [14] *Ibidem*.
- [15] N. Strzemińska, *Sztuka...*, s. 45.

## Przypisy do Rozdziału 15

- [1] D. Zawistowski, *Zarys historii wojennej 19-go pułku ułanów wołyńskich im. płk. Karola Różyckiego*, Warszawa 1930, s. 3.
- [2] W. Dzierżykraj-Stokalski, *Dzieje jednej partyzantki z lat 1917–1920*, Lwów 1927, s. 23.
- [3] *Ibidem*, s. 37.
- [4] *Ibidem*, s. 47.
- [5] Z. Kossak-Szczucka, *Požoga*, Łódź 1990, s. 78.
- [6] *Ibidem*, s. 86.
- [7] T. Hołówko, *Przez dwa fronty*, Rzeszów 2014, s. 118.
- [8] *Ibidem*, s. 123–124.
- [9] *Ibidem*, s. 127–128.

- [10] Z. Kossak, *op. cit.*, s. 73.
- [11] T. Hołowko, *op. cit.*, s. 129.
- [12] W. Dzierżykraj-Stokalski, *op. cit.*, s. 50–51.
- [13] Za: *ibidem*, s. 61.
- [14] I. Ziemiański, *Zarys dziejów szturmówki POW (Włodzimierskiego batalionu szturmowego)*, „Peowiak” 3/1930.
- [15] D. Zawistowski, *op. cit.*, s. 10.
- [16] „Głos Lubelski”, 25.01.1920.
- [17] P. Zychowicz, *Obrońca polskich dworów. Wielka krucjata Feliksa Jaworskiego*, [w:] „Historia do Rzeczy” 10/2017.
- [18] K. Taube, *Boje flotyli pińskiej na Prypeci*, „Morze” 10/1930.
- [19] J.W. Dyskant, *Czarnobyl 1920*, Warszawa 1994, s. 59.
- [20] J. Jaworski, *Pod obcym znakiem pozostaniemy Polakami*, „Pamięć” 10/2015.
- [21] D. Zawistowski, *op. cit.*, s. 27–31.
- [22] R. Roguski, *Działania jazdy ochotniczej majora Jaworskiego na Podlasiu*, „Szkice Podlaskie” 14/2006.
- [23] Za: P. Jaźwiński, *Oficerowie i dżentelmeni. Życie prywatne i służbowe kawalerzystów Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 2011, s. 161.
- [24] A. Hartglas, *Na pograniczu dwóch światów*, Warszawa 1996, s. 213–214.
- [25] M.K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*, Łomianki 2011, s. 259.
- [26] „Polska Zbrojna”, 23.03.1924.
- [27] P. Zychowicz, *Sowieci. Opowieści niepoprawne politycznie*, cz. II, Poznań 2017, s. 250.

## Przypisy do Rozdziału 16

- [1] W. Biedrzyńska, *Praca wojskowa Z.W.C. w zaborze rosyjskim i w Rosji*, t. VIII, „Niepodległość” 1(18)/1933.
- [2] I. Harski, *Komendant Naczelny KN 3 Jot-Bromirski*, [w:] *Polska Organizacja Wojskowa. Szkice i wspomnienia*, red. W. Lipiński, J. Stachiewicz, Warszawa 1930, s. 225.
- [3] B. Miedziński, *Wspomnienia (dokończenie)*, „Zeszyty Historyczne”, 37/1976.
- [4] K. Wierzyński, *Pamiętnik poety*, Warszawa 1991, s. 55.
- [5] K. Wędziagolski, *Pamiętniki*, Londyn 1987, s. 280.
- [6] I. Harski, *op. cit.*, s. 226.
- [7] P. Olstowski, M. Wołos, *Rola militarna i polityczna Polskiej Organizacji Wojskowej w odzyskaniu niepodległości. Próba bilansu*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 1-2/2018.
- [8] K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 62.
- [9] B. Wieniawa-Długoszowski, *Wymarsz i inne wspomnienia*, Warszawa 1992, s. 201.
- [10] *Ibidem*, s. 211.
- [11] J.M. Majchrowski, *Ulubieniec Cezara. Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Zarys biografii*, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1990, s. 108.
- [12] B. Wieniawa-Długoszowski, *op. cit.*, s. 215.
- [13] A. Pepłoński, *Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920*, Warszawa 2005, s. 91.
- [14] H. Józewski, *Zamiast pamiętnika*, Paryż-Kraków 2017, s. 42.
- [15] *Ibidem*, s. 39.
- [16] W.K. Wierzejski, *Fragmenty z dziejów polskiej młodzieży akademickiej w Kijowie 1834-1920*, Warszawa 1939, s. 138-140.
- [17] I. Ziemiański, *Praca kobiet w POW Wschód*, Warszawa 1933, s. 98.
- [18] A. Pepłoński, *op. cit.*, s. 153.

- [19] H. Józewski, *op. cit.*, s. 39, 48.
- [20] A. Pepłoński, *op. cit.*, s. 95.
- [21] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 101.
- [22] A. Pepłoński, *op. cit.*, s. 98–99.
- [23] *Ibidem*, s. 15.
- [24] A. Holiczenko, *Żołnierze tajnego frontu. Lista imienna KN3 POW-Wschód 1914–1921*, Olsztyn 2012, s. 218.
- [25] *Ibidem*, s. 165.
- [26] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 225.
- [27] *Ibidem*, s. 226.
- [28] A. Pepłoński, *op. cit.*, s. 169.
- [29] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 98–99.
- [30] *Wspomnienia p. Marii Wittek spisane 30 kwietnia 1981 r.*, [Kpbk.umk.pl/dlibra/doccontent?id=201680](http://kpbk.umk.pl/dlibra/doccontent?id=201680)
- [31] *Ibidem*.
- [32] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 262.
- [33] *Ibidem*, s. 101.
- [34] A. Pepłoński, *op. cit.*, s. 127.
- [35] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 101–102.
- [36] *Ibidem*, s. 102.
- [37] A. Pepłoński, *op. cit.*, s. 127.
- [38] *Ibidem*.
- [39] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 104.
- [40] *Ibidem*, s. 105.
- [41] T. Krynicka, *Ksiądz Andrzej Fedukowicz (1875–1925) – proboszcz parafii katedralnej w Żytomierzu*, t. 29, „Studia Polonijne” 2008.
- [42] W. Nekrasz, *Harczerze w bojach. Przyczynek do udziału młodzieży polskiej w walkach o niepodległość ojczyzny w latach 1914–1921*, cz. 1, Warszawa 1930, s. 131.

- [43] I. Ziemiański, *op. cit.*, s. 217.
- [44] *Ibidem*, s. 111–112.
- [45] *Ibidem*, s. 130, 216.
- [46] A. Holiczenko, *op. cit.*, s. 160.
- [47] H. Józewski, *op. cit.*, s. 53.
- [48] K. Filipow, *Order Virtuti Militari 1792–1945*, Warszawa 1990, s. 173.
- [49] M. Glinczanka, *Oko w oko ze śmiercią. Wyznania śp. Marii z Glinków Rose z kaźni bolszewickiej*, Poznań–Warszawa–Wilno–Lublin 1939, s. 30.
- [50] *Ibidem*, s. 79.
- [51] *Ibidem*, s. 83.
- [52] T. Snyder, *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, Kraków 2018, s. 122.

## Przypis do Rozdziału 17

- [1] Za: M. Gablankowski, *Zapomniany grzech Piłsudskiego. Czy to z jego winy bolszewicy stanęli pod Warszawą?*, [CiekawostkiHistoryczne.pl/2015/08/14/zapomniany-grzech-pilsudskiego-czy-to-z-jego-winy-bolszewicy-staneli-pod-warszawa/](http://CiekawostkiHistoryczne.pl/2015/08/14/zapomniany-grzech-pilsudskiego-czy-to-z-jego-winy-bolszewicy-staneli-pod-warszawa/)

## Przypisy do Rozdziału 18

- [1] J. Dąbski, *Pokój ryski. Wspomnienia, pertraktacje, tajne układy z Joffem, listy*, Warszawa 1931, s. 108.
- [2] M. Obiezierski, *Wspomnienia z polsko-rosyjskiej konferencji pokojowej ryskiej dla ułożenia preliminarów pokojowych (wrzesień–październik 1920)*, Warszawa 1938, s. 22.
- [3] S. Grabski, *Pamiętniki*, t. 1, Warszawa 1989, s. 173.

- [4] *Ibidem*, s. 174.
- [5] A. Ładoś, *Wasilewski w rokowaniach ryskich*, t. XVI, „Niepodległość” 1937.
- [6] S. Grabski, *op. cit.*, s. 174.
- [7] J. Dąbski, *op. cit.*, s. 78.
- [8] M. Pruszyński, *Jak straciliśmy Mińsk i federację z Białą Rusią. Rozmowa z Aleksandrem Ładosiem*, „Zeszyty Historyczne” 36/1976.
- [9] E. Woyniłłowicz, *Wspomnienia 1847–1928. Część pierwsza*, Warszawa 2018, s. 298.
- [10] M. Pruszyński, *Rozmowa historyczna ze Stanisławem Grabskim*, [w:] „Zeszyty Historyczne” 36/1976.
- [11] M. Obiezierski, *op. cit.*, s. 23.
- [12] *Ibidem*, s. 26, 28–29.
- [13] M. Obiezierski, *op. cit.*, s. 30.
- [14] E. Woyniłłowicz, *op. cit.*, s. 296.
- [15] M. Iwanow, *Ilu Polaków było w Związku Sowieckim przed wojną?*, [Kresy24.pl/ilu-polakow-bylo-w-zwiazku-sowieckim-przed-wojna](http://Kresy24.pl/ilu-polakow-bylo-w-zwiazku-sowieckim-przed-wojna)
- [16] B. Łazowska, *Spis ludności na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej w 1919 r.*, „Wiadomości Statystyczne. The Polish Statistician”, 10/2019, vol. 64.
- [17] M. Zdziechowski, *Europa, Rosja, Azja. Szkice polityczno-literackie*, Wilno 1923, s. 231.
- [18] M.K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*, Łomianki 2011, s. 134.
- [19] „Gazeta Warszawska”, 15.04.1921.
- [20] Za: R. Jurkowski, *Polskie spory o Białorusi*, [w:] „Białoruskie Zeszyty Historyczne”, 33/2010.
- [21] M. Pruszyński, *Dramat Piłsudskiego. Wojna 1920*, Warszawa 1999, s. 306.

## Przypisy do Rozdziału 19

- [1] N. Andrycz, *Bez początku, bez końca*, Warszawa 2003, s. 82.
- [2] Za: Wieczorkiewicz, *Mimo wszystko Stalin nas szanował*, [wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/220259,wieczorkiewicz-mimo-wszystko-stalin-nas-szanowal.html](http://wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/220259,wieczorkiewicz-mimo-wszystko-stalin-nas-szanowal.html)
- [3] C. Żołędowski, *Pierwsza repatriacja. Powroty i przyjazdy osiedleńcze do Polski ze wschodu po I wojnie światowej*, [cejsh.icm.edu.pl/cejsh/element/bwmeta1.element.desklight-b42d840a-3490-4134-87da-ed3b683fbce2/c/Studia\\_Migracyjne\\_1-17\\_4Zoledowski.pdf](http://cejsh.icm.edu.pl/cejsh/element/bwmeta1.element.desklight-b42d840a-3490-4134-87da-ed3b683fbce2/c/Studia_Migracyjne_1-17_4Zoledowski.pdf)
- [4] J.M. Kupczak, *Polacy na Ukrainie w latach 1921–1939*, Wrocław 1994, s. 104–105.
- [5] N. Andrycz, *op. cit.*, s. 97.
- [6] *Ibidem*, s. 98.
- [7] N. Andrycz, *Patrzę i wspominam*, Warszawa 2012, s. 114.
- [8] *Ibidem*, s. 115.
- [9] *Ibidem*.
- [10] *Ibidem*, s. 119.
- [11] *Ibidem*, s. 122.

## Przypisy do Rozdziału 20

- [1] M.A. Koprowski, *Na gruzach Marchlewszczyzny*, Poronin 2014, s. 17.
- [2] Za: M. Iwanow, *Pierwszy naród ukarany. Stalinizm wobec polskiej ludności kresowej 1921–1938*, Warszawa 1991, s. 88.
- [3] Za: *ibidem*, s. 89.
- [4] Za: M.A. Koprowski, *op. cit.*, s. 21–22.
- [5] Za: *ibidem*, s. 27.
- [6] Za: *ibidem*, s. 33.



[7] *Ibidem*, s. 43.

[8] Za: P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Warszawa 2005, s. 193.

[9] Za: M.A. Koprowski, *op. cit.*, s. 63–64.

## Przypisy do Rozdziału 21

[1] K. Bacewicz, *Mój brat Witold*, „Ruch Muzyczny”, 16/1986.

[2] *Dla ludzi zawsze mam twarz pogodną... Grażyna Bacewicz*, Telewizja Polska SA 1999, [YouTube.com/watch?v=0HAGaACyt94](https://www.youtube.com/watch?v=0HAGaACyt94)

[3] G. Bacewicz, *Znak szczególny*, Warszawa 1974, s. 5.

[4] *Ibidem*, s. 7.

[5] *Dla ludzi...*

[6] G. Bacewicz, *op. cit.*, s. 78.

[7] *Ibidem*.

[8] Za: K. Droba, *Vytautas Bacevicius w Ameryce, czyli artysta w klatce*, [Kultura.onet.pl/muzyka/gatunki/klasyka/vytautas-bacevicius-w-ameryce-czyli-artysta-w-klatce/xj7bs2d](https://kultura.onet.pl/muzyka/gatunki/klasyka/vytautas-bacevicius-w-ameryce-czyli-artysta-w-klatce/xj7bs2d)

[9] Za: *ibidem*.

[10] Za: *ibidem*.

[11] Za: *ibidem*.

## Przypisy do Rozdziału 22

[1] Za: *Limity terroru*, „Karta. Niezależne Pismo Historyczne”, 11/1993.

[2] *Ibidem*.

[3] Za: T. Sommer, *Rozstrzelać Polaków. Ludobójstwo Polaków w Związku Sowieckim w latach 1937–1938. Dokumenty z Centrali*, Warszawa 2010, s. 232.

- [4] Za: N. Pietrow, *Polska operacja NKWD*, „Karta. Niezależne Pismo Historyczne”, 11/1993.
- [5] Za: T. Sommer, *op. cit.*, s. 28.
- [6] Za: P. Zychowicz, *Operacja polska NKWD 1937 r. Sowiecka rzeź Polaków*, Tygodnik.dorzeczy.pl/38040/Operacja-Polska-NKWD-1937-r-Sowiecka-rzez-Polakow.html
- [7] Za: *ibidem*.
- [8] *Więcej Polaków wymordowano tylko w Powstaniu Warszawskim. Ludobójczy rozkaz nr 00485*, DoRzeczy.pl/historia/82494/1/operacja-polska-nkwd.html
- [9] Za: *W trybach*, „Karta. Niezależne Pismo Historyczne”, 11/1993.
- [10] Za: T. Sommer, *op. cit.*, s. 23.
- [11] Za: *W trybach...*

## Przypisy do Rozdziału 23

- [1] H. Kutyłowska, *Wspomnienia z Podola. 1898–1919*, Warszawa 2003, s. 112.
- [2] I. Ziemiański, *Praca kobiet w POW Wschód*, Warszawa 1933, s. 75.
- [3] M. Romeyko, *Przed i po maju*, Warszawa 1985, s. 149–150.
- [4] Za: C. Leżeński, *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, t. 1, Lublin 1989, s. 265–266.
- [5] *Femme fatale II Rzeczypospolitej – Marta Thomas*, [radio.bialystok.pl/tnc/index/id/155918](http://radio.bialystok.pl/tnc/index/id/155918), 29.05.2018.
- [6] D. Baliszewski, *Polska femme fatale*, [Wprost.pl/tygodnik/99991/polska-femme-fatale.html](http://Wprost.pl/tygodnik/99991/polska-femme-fatale.html)
- [7] Za: *ibidem*.
- [8] Za: C. Leżeński, *op. cit.*, s. 264.
- [9] K.J. Zamorski, *Dzienniki. 1930–1938*, Łomianki 2011, s. 379.

- [10] T. Dubicki, *Ppłk Bolesław Ziemiański (1901–1976). Szef Ochrony Marszałka Józefa Piłsudskiego. Oficer wywiadu polskiego w Rumunii w czasie II wojny światowej*, Łomianki 2016, s. 55–56.
- [11] K. Zamorski, *op. cit.*, s. 482.
- [12] S.F. Horak, *Niewidzialni*,  
[Tohorak.opole.opoka.org.pl/Fula%20Horak%20-%20Niewidzialni.pdf](http://Tohorak.opole.opoka.org.pl/Fula%20Horak%20-%20Niewidzialni.pdf)
- [13] I. Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1992, s. 351.
- [14] Za: M. Nowik, *Skarby marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza*,  
[Poczta.interia.pl/html/?uid=7cc133862719ff65#iwa\\_source=log\\_p\\_zaloguj](http://Poczta.interia.pl/html/?uid=7cc133862719ff65#iwa_source=log_p_zaloguj)